

John Ringo

Szmaragdowe Morze

(Emerald Sea)

Tłumaczenie: Marek Pawelec

Dedykuję Markowi Turukowi,
bez którego książka ta nigdy nie zostałaby napisana.

To, co nas nie zabije, robi z nas mocaaaarzy!
– Freakin' Canucks...

Prolog

W zamierzchłej przeszłości, kiedy ludzie robili jeszcze takie rzeczy, asteroid o masie piętnastu tysięcy ton nazwano AE-513-49. W drugiej połowie dwudziestego pierwszego wieku, gdy wyszukano i prześlędzono trajektorię każdego kawałka skały i lodu, jaki mógł zagrażać bezpieczeństwu Ziemi, uznano, że prawdopodobieństwo zderzenia z asteroidem AE-513-49 – bryłą z żelaza i niklu o kształcie słoniowej nogi – jest na tyle niskie, że bardziej realnym problemem była śmierć ciepła wszechświata.

Przez jakiś czas asteroidę brano pod uwagę w planach eksploatacji metalu, ale w końcu ustalono, że ponieważ krąży ona na orbicie bliskiej Słońca, transport pozyskanych z niej surowców byłby kosztowniejszy niż z innych obiektów wędrujących po odleglejszych rejonach układu słonecznego. Później, po krótkotrwałym rozkwicie cywilizacji, w miarę spadku liczebności mieszkańców Ziemi, którzy tym samym przestali potrzebować surowców spoza atmosfery, eksploatacja asteroidów i tak ustała.

AE-513-49 pozwolono więc krążyć po samotnej orbicie i obiegać Słońce niczym maleńka planeta trzymająca się samego skraju „pasa życia” między Ziemią a Merkurem.

Aż zdarzyło się coś dziwnego.

Asteroida napotkała na swej drodze coś, co spowodowało drobne pchnięcia grawitacyjne. Z początku skręciła w stronę Słońca, w którym oczywiście spaliłaby się bez zauważalnych śladów. Później jednak natrafiła na studnię grawitacyjną Merkurego, przyspieszając w jego polu i ruszając w stronę zewnętrznych rejonów układu słonecznego.

Trajektorię lotu zmieniały kolejne drobne pchnięcia, niektóre prawie niezauważalnie małe, aż jej trasa przybrała taki kierunek, iż nieuniknione stało się jej przecięcie z orbitą Ziemi. Przez prawie rok nic się nie działo.

Kiedy jednak zaczęła zbliżać się do Ziemi, pojawiły się kolejne pchnięcia. Kilka poprawek kursu naprowadzających asteroidę na Ziemię, a dokładniej w pewien konkretny rejon. Te korekty zwalniały ją lub przyspieszały tak, by trafiła w określone miejsce tego rejonu. A później, gdy zbliżyła się do atmosfery, grawitacyjne pchnięcia przybrały na sile. Teraz asteroida celowała w jeden mały punkt. Gdy wkroczyła w atmosferę wysoko nad ziemią, zaczęła świecić, skrząc się płomieniami lżejszych materiałów, zebranych w trwającej dwa miliardy lat wędrówce przez układ słoneczny,

wypalających się i odsłaniających lity rdzeń żelazonikłowy. W miarę zbliżania się do Ziemi i on zaczął się żarzyć, falami ognia sublimując metal.

Tak więc nie lita bryła, a raczej stopiona kula żelaza i niklu – pędząca z prędkością znacznie większą od orbitalnej i ciągnąca za sobą potężny warkocz ognia i dymu – uderzyła w powietrzu w niewidzialną barierę trzydzieści metrów nad niepozornym domem, który wbrew zdrowemu rozsądkowi unosił się na środku jeziora płynnej lawy.

Ulegając prawom fizyki, stop na wpół zjonizowanych przez ciepło metali eksplodował z olbrzymią siłą. Jednak jego eksplozja również została powstrzymana i potężny wybuch, który zniszczyłby większość okolicy, został wytłumiony przez niewidzialną siłę, a jego energia rozproszona.

Żelazo i nikiel stanowiące kiedyś jądro AR-513-49 rozlały się po przezroczystej, półkulistej barierze osłaniającej dom, na chwilę odcinając docierające do wnętrza światło, po czym spłynęły, bulgocząc, i dołączyły do jeziora lawy.

Wewnątrz pola ochronnego uderzenie asteroidu wyczuwalne było jedynie jako głośnie uderzenie. Słyszac je, Sheida Ghorbani jak co dzień otworzyła ekran wizyjny i spojrzała na otaczające dom inferno. Całą dolinę wypełniały masy czerwonych i czarnych płynnych skał, dymiących i plujących chmurami żółtawej, przesyconej siarką pary. Jak zwykle przywołała wspomnienie strzelistych jodeł i krystalicznego górskiego strumienia, które kiedyś widziała za oknem. W czasach przed Upadkiem.

Do tego doprowadziła się rasa ludzka. Wznosząc się przez mroki dziejów. Przeżywając wojny i zarazy. Aż osiągnęła poziom techniki, który każdemu umożliwił zaspokojenie pragnień. Zapomniano o wojnach i rządach. Sztuczna inteligencja zwana Matką, powołana początkowo jako protokół ochronny dla prawie mitycznego Internetu, przekształciła się z czasem tak bardzo, że w końcu to ona stała się ostatecznym sędzią. Matka ze swoim Argusowym okiem i procesorami rozproszonymi wszędzie – od pszczelich uli do pozawymiarowych pól kwantowych – wiedziała i widziała wszystko. Nie tylko, kto jest dobry, a kto zły, widziała upadek wróbla.

Jednak niebezpieczeństwo wiążące się z istnieniem takiego bytu zrozumiano jeszcze przed jego powołaniem. Twórca Matki, zdając sobie sprawę z ryzyka wynikającego z jej istnienia, pierwszej prawdziwej SI, ustanowił nad nią ludzką kontrolę. Powołano kilkunastu „posiadaczy Kluczy”, każdy z fizycznym obiektem, którego posiadanie umożliwiało modyfikację jej protokołów i, w ekstremalnych przypadkach, otwarcie jądra systemu i przeprogramowanie go. To ostatnie wymagało jednak całkowitej

jednomyślności wszystkich sprawujących pieczę nad Kluczami.

Początkowo, we wczesnych dniach jej młodości, Klucze trafiły do rąk szefów rządów i wielkich korporacji. Jednak z czasem niektóre przeniknęły w mrok świata podziemi. W miarę jak rosła potęga Matki, na jej barki zrzucano coraz więcej decyzji i obarczono coraz większą odpowiedzialnością, aż w ostatnim tysiącleciu to ona stała się faktycznym rządem światowym. Formalnie dozór nad nią sprawowała Rada kilkunastu posiadaczy Kluczy. Stanowili ludzki element struktury władzy i zajmowali się głównie pilnowaniem i utrzymaniem jej protokołów, podczas gdy ona stała na straży dystrybucji dóbr i usług. Ostatni kontrolowany całkowicie przez ludzi światowy rząd rozwiązzał się prawie dwieście lat wcześniej z powodu prostego braku jakiegokolwiek użyteczności.

Powód tego braku użyteczności był prosty – przy nieistnieniu ograniczeń praktycznie nie pojawiały się żadne konflikty i przestępczość. Replikacja, teleportacja, nanity i inżynieria genetyczna stworzyły świat, w którym każdy człowiek mógł żyć, jak mu się tylko podobało. Stworzenie domu na szczycie góry stało się banalnie proste, a góra mogła znajdować się w dowolnym miejscu ziemi, bo dzięki teleportacji przeniesienie się w jakiegokolwiek miejsce było kwestią jednej myśli. Bardzo popularna stała się modyfikacja ciał, dzięki której ludzie przemieniali się w syreny, jednorożce, delfiny i mnóstwo innych form. Wszystkie konflikty i przestępstwa wynikają z łamania spisanych i nieformalnych umów. Matka pilnowała, by nie dochodziło do ich naruszania. W rzadkich przypadkach, gdy jednak to następowało, dopuszczająca się tego osoba była odszukiwana przez małe, lecz skuteczne siły policyjne i „poprawiana”, w ekstremalnych warunkach przez oczyszczenie pamięci i jej wymianę w celu stworzenia miłego, przyzwoitego i dobrze dostosowanego obywatela.

Jednak z nieograniczonym bogactwem i swobodą życia wiązały się też pewne problemy. W miarę upływu lat przyrost naturalny ludzkości i postęp naukowy uległy zdecydowanemu ograniczeniu. Populacja planety sięgnęła dwunastu miliardów pod koniec dwudziestego pierwszego wieku, po czym zaczął się długi, powolny spadek, aż przed Upadkiem na ziemi mieszkało zaledwie około miliarda ludzi, w większości rozproszonych w małych osiedlach i wioskach. Przy niczym nieograniczonym dostępie do rozrywek i rodzeniu – dzięki Bogu – przeniesionym z ciał kobiet do replikatorów macicznych wychowanie dzieci trafiło na sam dół listy ludzkich pragnień. A stanowcze protokoły, których pilnowania przestrzegała Matka – wprowadzone w czasach, kiedy dopuszczano się potwornych eksperymentów

społecznych – nie pozwalały żadnym grupom na swobodne tworzenie dzieci. Każda istota ludzka powstająca w replikatorze macicznym musiała wywodzić swoje geny z dwojga ludzi, a jedno z nich musiało przyjąć odpowiedzialność za wychowanie dziecka. Zaniedbanie skutkowało utratą przywileju rozmnażania, i dotyczyło to obojga rodziców.

W latach przed Upadkiem na dzieci decydowało się mniej niż dziesięć procent populacji. Stosując proste projekcje liniowe, łatwo dało się spostrzec, że za około pięćset do tysiąca lat ostatni człowiek będzie musiał zgasić światło po wymarłej rasie ludzkiej.

Postęp naukowy zmierzał w tym samym kierunku. Choć wciąż istniały osoby, które zajmowały się grzebaniem na obrzeżach nauki, ostatni większy przełom – teleportacja – został dokonany prawie pięćset lat temu.

Dostrzegając oba te trendy, najstarszy członek Rady, Paul Bowman, uznał, że Coś Trzeba Z Tym Zrobić. Zdecydował, że ludzie muszą znów nauczyć się pracować, stać się silni. A wprowadzenie etyki pracy i ograniczenie dostępu do energii tylko dla osób produkujących dla społeczeństwa umożliwi przywrócenie nauki, sztuki, literatury i przyrostu współczynnika narodzin, który tak znacznie zmalał przez ostatnie tysiąclecie.

Przez lata skupiał koło siebie członków Rady, którzy – kierując się własnymi motywami – uznali jego zwierzchnictwo. I kiedy Rada odrzuciła wysunięte przez niego żądania, grupa ta uderzyła, atakując przeciwników w trakcie zebrania za pomocą owadów przenoszących zabójczą truciznę binarną.

Sheida, jeden z członków Rady, którzy przeciwstawili się Paulowi Bowmanowi, stała się liderką opozycji. Jako studentka historii, której nie znała większość pozostałych, bała się, że jego fanatyzm doprowadzi do przemocy. Zasięgnęła rady u przyjaciela, który jeszcze dogłębniej poznał historię wojen, i przygotowała się najlepiej, jak mogła. Do sali Rady nie można było wnieść żadnych niebezpiecznych przedmiotów. Trujące szerszenie zadziałały tylko dlatego, że w pojedynkę nie stanowiły niebezpieczeństwa, a neurotoksynę aktywowało dopiero użądlenie przez dwa ich rodzaje.

Sheida została użądlna dwukrotnie, przez jeden typ. Niektórzy z jej frakcji zginęli. Ale równocześnie oddali cios, zabijając członków grupy Paula. W walce, tuż przed własną śmiercią, jednego z wrogów zabił Javlatangus Cantor, niedźwiedziolak, podobnie Ungphakorn, Przemieniony quetzacoatl, zabił innego i zabrał jego Klucz.

Mimo wszystko Sheida i jej pozostali przy życiu poplecznicy uciekli.

Zaczęła się wojna. Rozpoczął się Upadek.

Rada toczyła teraz między sobą wojnę, wykorzystując energię, która wcześniej służyła społeczeństwu. Otaczające dom jezioro lawy było ubocznym efektem potężnej wiązki energii kierowanej na tarczę jej twierdzy przez stronę Paula, która przybrała nazwę Nowego Przeznaczenia. Koalicja odpowiedziała atakiem i teraz praktycznie cała energia wytwarzana przez ludzkość wykorzystywana była przez frakcje Rady do ataku i obrony.

Pogrzyżyło to resztę świata w stanie prawdziwej apokalipsy. Od stuleci jedzenie produkowano w replikatorach i teleportowano. Domy często znajdowały się w miejscach, w których nie dało się żyć bez stałego zasilania. Wyłączenie osobistych pól ochronnych stało się przyczyną śmierci wielu ludzi przebywających akurat na dnie mórz lub w fotosferze słońca. Brak pożywienia lub nagła samotność na szczycie góry bądź środka morza prowadziły do znacznie powolniejszego konania.

Tak właśnie rozpoczął się Upadek i nastał po nim Czas Umierania, kiedy w krótkim czasie zginęło ponad dziesięć procent ludności świata, więcej niż sto milionów istot ludzkich o różnych postaciach. Niektórzy w jednej chwili, zanim zorientowali się, co się dzieje. Inni od upadku, utonięcia czy powolną śmiercią głodową lub od promieniowania.

Życie tych, którzy przetrwali Czas Umierania, nie było łatwe. Świat wrócił do stanu sprzed epoki przemysłowej, z rolnikami wyszarpującymi ziemi plony i armiami toczącymi tysiące drobnych starć z gangami bandytów w celu zachowania porządku i utrzymania pozorów cywilizacji.

Najważniejszą grupą, która przyczyniła się do uratowania pozostałych przy życiu mieszkańców ziemi byli rekreacyjni, ludzie poświęcający się odtwarzaniu życia w zamierzonych czasach. Tworzyli małe społeczności, w których żyli jak ich przodkowie, używając ręcznych narzędzi i udomowionych zwierząt, naśladując antyczne czasy.

Dzięki powszechnej długowieczności bardzo wielu zajmowało się swoim hobby od dziesięcioleci czy nawet wieków i dysponowało wiedzą, jakiej nie poznała żadna pojedyncza osoba z dowolnego okresu odtwarzanej przez nich historii. Teraz wykorzystywali wszystkie techniki i sztuczki, by ocalić życie uciekinierów – stare słowo, którego znaczenia zapomniano przed Upadkiem – jacy stanęli na ich progu.

Na obszarach podlegających kontroli Sheidy, terenach dawnej Unii Północnoamerykańskiej, społeczeństwa rekreacyjni przygarnęli uciekinierów i nauczyły, jak żyć, a w rzadkich przypadkach nawet nieźle prosperować, powoli odbudowując społeczeństwo i rząd. Właściwie wcale

nie tak wolno. W ciągu roku powstał szkieletowy rząd, konstytucja oraz załóżki sił lądowych i morskich.

Te ostatnie były kluczowe, ponieważ w Ropazji Paul zajmował się tym samym. On jednak poszedł inną drogą, ustanawiając się dyktatorem i używając energii ludzkich ciał do Przemieniania ich w formy „bardziej odpowiednie do aktualnych warunków”. Jego legiony Przemienionych, rosące liczebnie po każdym skutecznym podboju, błyskawicznie zagarnęły całą Ropazję i zapewniły mu rządy żelaznej ręki. Szybko zaczął snuć plany inwazji na Norau, ziemię swoich wrogów.

Sheida często zastanawiała się, czy słusznie zrobiła, sprzeciwiając się Paulowi. Pozornie jego zamierzenia nie były nawet w części tak straszne jak to, do czego doprowadziła wojna. Choć dzięki niej i tak dostał większość tego, czego pragnął. Przyrost naturalny błyskawicznie skoczył w górę, ponieważ wraz z odcięciem energii przestały obowiązywać protokoły powstrzymujące płodność kobiet. I ludzie zdecydowanie musieli znów nauczyć się pracować.

Kiedy jednak nachodziły ją wątpliwości, wystarczyło, że spojrzała na raporty mówiące o tym, co działo się w Ropazji. Przez stulecia ostro narosły zakazy przeciwko wykorzystywaniu Matki jako uniwersalnego szpiega i narzędzia przymusu. Jednak Matka znająca najintymniejsze sekrety człowieka była jedyną instancją kontrolną – ludzie potrafili się z tym pogodzić, mając pewność, że nie pozna ich nikt inny. Wszyscy mieli przecież tajemnice, których nie chcieli ujawniać światu. Każdemu zdarzały się drobne potknięcia. W ramach protokołów sprzed Upadku Matka nie mogła zostać wykorzystana do nadzoru kryminalnego, po prostu nie. Dla małych, ochotniczych i wiecznie przepracowanych sił policyjnych wyśledzenie przestępców, zapobieganie zbrodniom i odczytywanie umysłów podejrzanych ludzi oznaczało więc stosowanie innych metod, nie odwołujących się do wszytkowiedzącej Matki.

Jeśli Paul przejąłby kontrolę nad systemem, Matka zmieniałaby się z odległego, niedbającego o śmiertelników bóstwa w kogoś, kto nieustannie wszystkich by nadzorował. A biorąc pod uwagę kierunek, w jakim zdążyły wprowadzane przez Paula zmiany, zapewne wykorzystano by ją jako ekstremalny środek przymusu. Teraz Przemiana wymagała bezpośredniej, osobistej interwencji członka Rady. Gdyby Paul zdobył kontrolę nad Matką, mógłby zmienić całą rasę ludzką w grupę wyspecjalizowanych insektów.

To jest tylko wojna, pomyślała, wyłączając ekran i wracając do tysięcy obowiązków przewodniczącej Koalicji Wolności i nowo koronowanej

królowej Zjednoczonych Stanów. Walczymy w słusznej sprawie, mamy szansę wygrać i grupa, której się przeciwstawiamy, jest wyraźnie pozbawiona wyobraźni, stanowi uosobienie zła, choć wyrosło ono, przynajmniej u Paula, z „dobrych „intencji.

Gdyby tylko zdołali wygrać.

Rozdział 1

Jeździec ściągnął wodze, zatrzymując się przy bocznej drodze i spojrzął na rozciągające się ku wschodowi pola.

Potężnej budowy mężczyzna pomimo zbroi lekko dosiadał bojowego rumaka. Na sobie miał szarą pelerynę, spiętą brązową zapinką przedstawiająca orła, zbroję segmentową – z zachodzących na siebie metalowych płyt przypominających pancerz wija – stalowe karwasze i kilt ze skórzanych pasów z przynitowanymi żelaznymi płytkami. Z prawej strony z siodła zwisał duży hełm z wąską szczeliną w kształcie litery T, a z lewej duża drewniana tarcza z żelaznym okuciem i umbem w formie pikującego orła. Wszystkie metalowe elementy zbroi były mocno powygniatane i porysowane, ale utrzymane w dobrym stanie i wypolerowane.

Prawą rękę jeździec oparł na nodze, trzymając wodze wygiętymi kleszczami protezy zastępującej mu lewą dłoń. Biorąc pod uwagę poziom techniczny wyposażenia, proteza zdecydowanie nie pasowała do reszty – było to złożone urządzenie z wygiętymi kleszczami o zaostrej wewnętrznej krawędzi, które wyglądało, jakby zrobiono je z myślą o odcinaniu mniejszych kończyn i otwieraniu butelek. Pod prawym okiem miał zagojoną bliznę, a znacznie więcej znajdowało się ich na prawej ręce w miejscach nieosłoniętych karwaszem.

Do siodła przyczepiono także krótki miecz w pochwie i duży sajdak z hakiem, a za siodłem na końskim grzbiecie spoczywał jeszcze zrolowany koc, kołczan ze strzałami i worek paszy dla konia. Pomimo rozmiarów żołnierza i masy sprzętu koń dźwigał obciążenie bez wysiłku. Przez chwilę po zatrzymaniu przebierał nogami, ale raczej z niecierpliwości niż z powodu zmęczenia. Jeździec uspokoił go i zwierze znieruchomiało.

Mężczyznę, jego wierzchowca i zbroję pokrywała warstwa kurzu.

Ogorzały i w sfatygowanej zbroi przybysz okazał się młodzieńcem o twardych rysach twarzy, zielonych oczach, z krótkimi czarnymi włosami. I choć trudno było to stwierdzić na podstawie jego wyglądu, ale bardzo niedawno ukończył dziewiętnaście lat. A spora część pól, na które patrzył, należała do niego.

W ciepłym słońcu złotej, pogodnej jesieni trwały właśnie żniwa. Po drugiej stronie dużego pola dwóch ludzi obsługiwało coś w rodzaju żniwiarki. Jeden prowadził maszynę, a drugi wóz zbierający ziarno. Zboże było niskie, a po przejeździe ciągniętej przez woły żniwiarki pozostawało

tylko ściernisko i skoszona słoma w rzędach do belowania.

Jeździec rozmyślał chwilę niezdecydowany, po czym skierował wierzchowca na pole. Na tym jego końcu zboże nie zostało jeszcze zebrane i koń zaczął się narowić, dopóki nie pozwolił mu na zatrzymanie się i zgnięcie pyskiem sporej porcji kłosów.

– Proszę bardzo, Diabło – powiedział z rozbawieniem. – Mike nie powinien ci tego żałować.

Na okrzyk robotnika prowadzącego wóz obsługujący żniwiarkę podniósł wzrok i zatrzymał woły. Te zaczęły grzebać w zbożu, ale ponieważ pyski zasłonięte miały workami z paszą, nie mogły pójść w ślady konia. Kierujący żniwiarką powiedział coś do woźnicy i zszedł z maszyny, po czym ruszył przez pole w stronę gościa. Konny podciągnął głowę wierzchowca i pchnął go do lekkiego kłusa. Kiedy mężczyźni zbliżyli się do siebie, jeździec sięgnął wodze i szeroko się uśmiechnął.

– Nakarmię mego wierzchowca zbożem stojącym w polu – powiedział, po czym zsiadł, zaczepiając wodze na siodle, by koń pozostał w miejscu.

– Herzer – zawołał z uśmiechem żniwiarz, wyciągając rękę. – Dobrze cię widzieć, stary.

– I ciebie, Mike – odrzekł młodzieniec, chwytając przedramię przyjaciela i wskazując protezą na pola. – Do diaska, ciężko się napracowałeś.

– Prawda, ale się opłaciło – pochwalił się Mike, patrząc na przyjaciela z dumą. – Wyglądasz na zmęczonego.

– Bo jestem – przyznał Herzer. – I cieszę się, że wracam do domu. Ale czeka mnie tura w Akademii, więc może będę mógł trochę tu ochłonać.

– Czego ty musisz się nauczyć? – zapytał Mike.

– A czego ty musisz nauczyć się o rolnictwie? – odpowiedział pytaniem Herzer.

– Mnóstwo.

– Widzisz, ze mną jest tak samo. Ale Edmund pisał o stanowisku instruktora, więc pomyślałem, że mógłbym równocześnie trochę postudiować. Czas przypomnieć sobie antyczną grekę.

– Brzmi rozsądnie – zgodził się Mike, przecierając czoło. – Właściwie, to czemu rozmawiamy o tym tutaj? Chodźmy do domu.

– A co z polem? – zapytał Herzer.

– Nie ucieknie. – Deszcz nie powinien spaść jeszcze przez kilka dni, a to już ostatnie, które muszą skosić. Własne zostawiłem na koniec.

– Własne? – zapytał Herzer, gestem nakazując koniowi iść za sobą, gdy ruszył za przyjacielem w stronę żniwiarki.

– Udało mi się zebrać dość kapitału, żeby wziąć pożyczkę na żniwiarkę – wyjaśnił Mike. – Przez ostatni miesiąc skosiłem połowę pól w dolinie. I owszem, tak naprawdę, to twoje pole.

– Nie o to mi chodziło i dobrze o tym wiesz – z uśmiechem zaprotestował Herzer. – Ja nie zebrałbym stąd nawet garści ziarna.

– Cóż, uczę się – dodał Mike. – Uczę się każdego dnia.

W trakcie tej przerwy pomocnik Mike'a poił i karmił woły, a teraz kiwnął głową zbliżającym się mężczyznom.

– Harry, to Herzer Herrick – przedstawił jeźdźca Mike. – Herzer, to Harry Wilson. Ma małą farmę w dole rzeki.

– Słyszałem o tobie. – Harry wytarł dłoń i wyciągnął ją na powitanie.

– Zabieram go do domu. Nie krępuj się i użyj kosza na żniwiarce, a potem go napełnij. Wrócę za jakiś czas.

– Dobra – zgodził się Harry, wspinając się na żniwiarkę i popędzając woły.

– W ten sposób potrwa to dłużej, ale przynajmniej zrobi kawałek pola – wyjaśnił Mike.

– Chcesz podjechać do domu? – zapytał Herzer, wskazując na konia.

– Mogę iść – szorstko odpowiedział Mike.

Ruszyli ramię w ramię w stronę odległego wzgórza, mijając ścianę drzew, których wyraźnie nie wykarczowano, by osłaniały pole przed wiatrem. Po obu stronach drogi i drzew znajdowały się pola. Niektóre czekały już gotowe do żniw, inne obsiano jakimiś niedojrzałymi jeszcze roślinami, a część wyraźnie pozostawiono odłogiem. Te ostatnie pokryte były dziwną, złotawą rośliną na pierwszy rzut oka przypominającą wodorosty.

– Koniczyna osłonowa – wyjaśnił zapytany o nią przez Herzera Mike. – Bardzo dobrze wiąże azot, dając paszę, którą konie i bydło mogą żywić się w ziemie. – Wskazał na jedno z pól, pełne niskich krzaków obwieszonych zielono-fioletowymi owocami. – Krzewy oliwne. Mam nadzieję zebrać z nich sporo owoców.

– Myślałem, że oliwki rosną na drzewach – zdziwił się Herzer, głaszcząc palcami metalowego orła pod szyją. W szponach lewej łapy ptak trzymał pęk strzał, a w prawej gałązkę oliwną. Otwarty dziób orła skierowany był w lewo.

– To prawda. Ale drzewa potrzebują całych dekad, a nawet stuleci, żeby osiągnąć dojrzałość – przyznał Mike, wzruszając ramionami. – Te dorastają w jeden sezon i dają więcej oliwek z ara niż drzewa.

– To wygląda jak oszustwo – burknął Herzer. – Wiesz, czemu to oliwka

była symbolem pokoju?

– Nie.

– Właśnie dlatego, że tak wiele czasu potrzeba na wyrośnięcie drzew. Jeśli nawet masz drzewa oliwne, to znaczy, że na tym terenie od dawna nie walczyły żadne armie. Zabierz długi czas rośnięcia i co z tego masz?

– No dobrze, ale ja dostaję pięćdziesiąt żetonów za baryłkę oliwy – odpowiedział zrzędliwie Mike. – A z tych krzaków mogę zebrać dwa plony rocznie. Nawet przy kosztach robocizny i materiałów zarabiam na nich w sezonie dziesięć czy jedenaście razy tyle, ile zainwestowałem. Możesz więc wziąć swoje filozoficzne obiekcje i się nimi wypchać.

Herzer roześmiał się i wskazał na grupę drzew rosnących za polem oliwek. Były niskie, z szerokimi liśćmi błyszczącymi ciemną zielenią.

– Drzewa kauczukowe – wyjaśnił Mike. – Zasadziłem je na próbę. Podobno są odporne na mróz i szybko rosną. Co do tego drugiego nie mam wątpliwości, ale to ich pierwsza zima, więc dopiero zobaczymy, jak sobie poradzą.

Jeździec patrzył na sady owocowe i orzechowe, sterty siana, częściowo oczyszczone pola z bydłem. Z pytaniem wskazał na te ostatnie.

– Jeszcze w zeszłym roku dogadałem się z paroma innymi farmerami i razem schwytałismy więcej dzikich zwierząt – oznajmił Mike, gdy mijali ostatnie pole. – W ten sam sposób zdobyłem woły. A nie wiesz, ile warte jest życie, jeśli nie próbowałeś zmienić w woła dzikiego byka.

Herzer parsknął śmiechem, a przed nimi wyłonił się dom. Niska, długa budowla o prostym wyglądzie, ale solidna i dobrze wykonana. Stojącą z boku stodołę, znacznie większą, zbudowano z rżniętych belek i desek. W pobliżu stały jeszcze dwa czy trzy inne budynki.

– Cały ty, masz oborę lepszą od domu – zaśmiał się Herzer.

– Courtney wciąż mi to powtarza – przyznał Mike. – Ale nie mamy worka z pieniędzmi.

Niewysoka, dorodna, z ognicie rudymi włosami i otwartą, uśmiechniętą twarzą kobieta pojawiła się w drzwiach domu, gdy Herzer luzował popręg Diabło. Ponieważ chłopak był świadkiem prowadzonych przez nią negocjacji, zdawał sobie sprawę, że za tą twarzą o kształcie serca krył się błyskotliwy umysł, ale nie miał też wątpliwości, że malująca się na niej radość jest całkowicie szczerą.

– Herzer! – krzyknęła, wrywając spódnicę z dłoni trzymającego się jej dziecka i podbiegając do mężczyzny. – Skąd się tu wziąłeś?

– Z Harzburga – odparł, łapiąc ją i całując w oba policzki. Zauważył przy

tym wyraźne zaokrąglenie jej brzucha. – Szykujesz tam kolejne?

– Tak – odpowiedziała trochę ostro. – To już trzecie.

– Trzecie? – zdziwił się i pokręcił głową. – Nie zdawałem sobie sprawy, że nie było mnie aż tak długo.

– Mała Daneh leży w kołysce – wyjaśniła kobieta i odwróciła się do szkraba kryjącego się w drzwiach. – Miki, chodź tutaj. To nasz przyjaciel, Herzer.

Chłopiec cofnął się pół kroku, a kiedy twarz matki się zachmurzyła, schował się w domu.

– Wątpię, żeby był przyzwyczajony do stojących przed drzwiami nieznajomych w zbroi. – Herzer zmarszczył brwi. – I mam nadzieję, że się nie przyzwyczai do tego rodzaju widoków.

– Kłopoty? – zapytał Mike.

– W tej okolicy nic, o czym bym wiedział – zapewnił Herzer. Zakończył luzowanie popręgu Diabło i ściągnął z niego cały bagaż, po czym zaprowadził konia do koryta i uwiązał go. – Dlatego właśnie przebywałem w Harzburgu. Tarson zostało zdobyte przez bandę zbójów, że ich tak określe z braku lepszej nazwy. Najeżdżali na Harzburg, więc ojcowie miasta poprosili o pomoc federalną. Dostali mnie.

– Musieli się cholernie ucieszyć – zauważył ze śmiechem Mike.

– Tak, zażądali centurii Panów Krwi, jakbyśmy mieli całą centurię do wysłania. I mieli milicję, ale nigdy nie założyli lokalnej kapituły Panów Krwi. Ani nawet nie wysłali nikogo do Akademii. Musiałem więc ich nieco uformować. – Herzer powiesił siodło z kocem i rzędem na poręczy, po czym chwycił pozostałe rzeczy protezą i przewiesił przez ramię. – Prowadź, Macduffie!

– Jak ci poszło? – zapytała Courtney, gdy weszli do domu. Przyniosła dzban i postawiła go na stole, po czym ustawiła na nim jeszcze zimną wieprzowinę, ser i chleb.

– Dziękuję. – Herzer odciął sobie kawałek sera. Miał ostry, pikantny smak i dobrze komponował się z plastrem wieprzowiny. – Chciałem zjeść po drodze, ale pomyślałem, że jeśli do was wstąpię, to może łaskawie nakarmicie mnie czymś innym niż małpa na patyku.

– Żaden problem. – Uśmiechnęła się, zagryzając odrobiną sera. – I przypominam, że pytałam, jak ci poszło.

– Cóż, początki nie były proste – przyznał Herzer. – Spodziewali się kogoś... starszego.

Mike roześmiał się i potrząsnął głową.

– Masz srebrny miecz i laur zasługi.

– Co dla większości z nich kompletnie nie znaczyło – zauważył Herzer z ustami pełnymi chleba i sera. – Pracowałem więc nad tym, aż dotarło do nich, że albo zrobią, czego chcę, albo zginą. Dość jasno dałem im do zrozumienia, że nie obchodzi mnie, co wybiorą. Tarsonianie zaatakowali w końcu miasto, ale starliśmy większość ich wojowników, a potem mniej więcej pomaszerowaliśmy i odbiliśmy Tarson. Ich przywódca zbudował sobie cytadelę z palisady i paru drewnianych baraków, które całkiem ładnie płonęły po obrzuceniu ich gałęzmi i łojem. – Na chwilę się skrzywił, po czym wzruszył ramionami.

– Mówisz, jakby to było banalnie proste.

– Proste. Oczywiście. Zajęło mi to tylko półtora roku. – Herzer znów wzruszył ramionami i wgrzył się w kolejną porcję mięsa. – Smaczne. A co w tym czasie działo się tutaj?

– Bogu dzięki, było spokojnie – odparła Courtney. – Niedawno gościliśmy za to grupę poszukiwaczy ropy.

– Słyszałem o tym – powiedział Herzer. – Sprzedali Akademii trochę wstępnie przetworzonego surowca i nieco z nim eksperymentujemy.

– A konkretniej? – chciała wiedzieć Courtney.

– Cóż, nieźle się pali – ponuro odparł Herzer. – co może być przydatne, jeżeli zdołamy wymyślić sposób na przerzucenie ognia *tam*, gdzie siedzą ci źli. – Machnął w przypadkowym kierunku. – Pracujemy nad czymś, co nazywa się miotacz ognia. Jeśli się nam uda, trzeba będzie wypracować nowe sposoby walki, bo z czymś takim atakowanie w ciasnych formacjach stanie się samobójstwem, zwłaszcza dla ludzi w zbrojach.

– Au! – mruknęła Courtney i zmieniła temat. – Miasto praktycznie przestało się rozwijać. Mnóstwo ludzi przenosi się do Hotrum's Ferry. I zaczynamy sprzedawać sporo towarów w dół rzeki.

– Dostając za nie całkiem dobre ceny – wtrącił Mike. – Stamtąd mogą je znacznie łatwiej przewieźć rzeką do kopalni krasnoludów niż my wozami z Raven's Mill.

– Mam nadzieję, że zbudowali tam przynajmniej rozsądne umocnienia – rzucił Herzer. – Prędzej czy później Paul spróbuje zaatakować Norau.

– Cóż, to ich problem – uznał Mike. – Ci zbóje z Tarson pracowali dla Paula?

– Aż do końca nie mieliśmy pewności – odpowiedział Herzer. – Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że tak. Paul i Chansa maczają palce w mnóstwie spraw, które sprawiają nam problemy.

– Ale teraz sprawa jest już załatwiona? – dopytywała się Courtney.

– O ile mogę stwierdzić. – Herzer wzruszył ramionami. – Niewątpliwie mieszkańcy Tarson stanęli po stronie światła. Harzburg... jeśli o mnie chodzi, całe to miejsce można by zrównać z ziemią.

– Zostaniesz na noc? – przycisnęła go kobieta.

– Nie, niestety, nie mogę – odparł żołnierz, wzdychając. – Mam rozkaz zgłosić się „jak najszybciej”, więc za chwilę będę musiał zbierać się do miasta. Ale pomyślałem, że mogę sobie pozwolić na krótką przerwę i posmakowanie wreszcie odrobiny jakiegoś prawdziwego jedzenia. – Wyszczerył zęby i odciął kolejny plaster wieprzowiny. – Oboje dobrze wyglądacie. Tak samo farma. Cieszę się. – Przez chwilę w zamyśleniu żuł mięso, po czym znów się uśmiechnął. – Życie mogłoby być znacznie gorsze.

– Herzer, lepiej powiedz księciu Edmundowi, żeby pozwolił ci na trochę odpoczynku, bo inaczej będzie miał ze mną do czynienia – zagroziła Courtney. – I lepiej z niego skorzystaj, Herzerze Herricku.

– Zrobię to – obiecał chłopak, rozglądając się po niskim pokoju. Był czysty i przytulny w sposób, w jaki nic nie było w jego życiu, i to już od bardzo dawna. Przypominał spokojne miejsce, którego obawiał się nigdy już nie oglądać.

– Muszę ruszać w drogę – westchnął w końcu. – Dziękuję za poczęstunek. Mam nadzieję, że uda się nam spotkać, gdy będę się kręcił po okolicy.

– Dopilnujemy tego – zapewniła go z uśmiechem Courtney. – I zrobimy to z pompą.

Herzer zebrał swoje rzeczy i wyszedł do konia. Kiedy zwierzę ponownie poczuło na swoim grzbiecie ekwipunek, spojrzało na niego złowrogo, ale cierpliwie zniosło siodłanie i ładowanie całej sterty rzeczy.

– To wszystko jest ci naprawdę niezbędne? – Zapytała gospodyni.

– Właściwie nie – przyznał Herzer. – Pewnie niektóre z tych rzeczy mógłbym pożyczyć w razie potrzeby po drodze. Ale lubię narzędzia, które już mam.

W końcu osiodłał wierzchowca, objął Courtney i uściśnął rękę Mike'a.

– Do zobaczenia w mieście – powiedział, z wysiłkiem wsiadając na Diabło. Koń westchnął i otrząsnął się, nie tyle by zrzucić jeźdźca, co starając się rozmieścić ładunek tak, by jemu było wygodniej.

– Będziemy opiekować się twoją farmą do czasu, aż zechcesz wrócić do domu – zapewniła go Courtney. – Po prostu tu wróć, dobrze?

– Dom – westchnął Herzer, z namysłem kiwając głową. – Cóż za

interesująco abstrakcyjne pojęcie. – Uśmiechnął się i pomachał im,
odjeżdżając w stronę miasta.

Rozdział 2

Po dotarciu do drogi Herzer skręcił w lewo, kierując się na południe, po czym szybko usunął się z koniem na bok, gdy traktem od strony miasta nadjechał kurier. Jeździec, sądząc po wyglądzie szeregowy armii federalnej, spojrzał na niego, a potem zasalutował w pędzie. Herzer odpowiedział tym samym, po czym z powrotem oddał się rozmyśleniom.

W chwili Upadku liczba ludności ziemi wynosiła około miliarda. Pod względem śmiertelności skutki Upadku nie okazały się aż tak tragiczne, jak się spodziewano, głównie dzięki powstaniu niewielkich osad w typie Raven's Mill. Jednak praktycznie całkowita utrata techniki miała olbrzymie konsekwencje, z których część nie od razu stała się oczywista. Jego zainteresowaniom najbliższy był problem liczebności wojska. Z powodu egzekwowanych przez Matkę ograniczeń uniemożliwiających wykorzystanie materiałów wybuchowych ludzkość dysponowała jedynie możliwościami technicznymi sprzed wprowadzenia silników spalinowych i prochu. Bitwy historyczne w czasach, w których nie istniała jeszcze broń palna, odbywały się przeważnie przy stosunkowo wyrównanych siłach obu stron. Teraz jednak praktycznie nie istniały możliwości tworzenia dużych armii – z prostego powodu: braku rąk do pracy. Powołanie dużej grupy pod broń oznaczało, że coś ważnego nie zostanie zrobione – czy uprawa ziemi, czy produkcja – coś musiało zawieść.

W związku z tym cywilizacji chroniła przed barbarzyńcami stosunkowo niewielka liczba żołnierzy. Pilnujących także młode jeszcze i słabe Zjednoczone Wolne Stany przed różnymi władcami feudalnymi o wojowniczych zapędach i technologicznym despotyzmem Nowego Przeznaczenia.

Podobnie jak kapitan okrętu sprzed tysiącleci Herzer nieustannie pragnął więcej ludzi, więcej żołnierzy. Zbyt wiele razy musiał już toczyć bitwy z liczniejszym przeciwnikiem. Mike na przykład byłby doskonałym żołnierzem, ale był potrzebny na swoim miejscu, przy uprawie ziemi.

Częściowo problem rozwiązywało wykorzystanie nowej-starej techniki. Prowadzone przez Mike'a żniwa w czasach przedindustrialnych wymagałyby przynajmniej sześciu osób. Wykorzystanie krosien mechanicznych i pieców Besemerowskich umożliwiało zmniejszenie koniecznego do produkcji nakładu pracy rąk ludzkich. Ale nawet przy zwiększonej produktywności i tak brakowało robotników do wszystkich potencjalnie potrzebnych

stanowisk. Co oznaczało również mniejszą liczbę żołnierzy.

Problem wyglądał na nierozwiązywalny, ale Herzer i tak nieustannie się z nim zmagał. Na przykład kurierzy, którzy na terenach Overjay obsługiwani byli przez stacje pocztowe. Każda z nich wymagała obsadzenia posterunkiem i zaopatrzenia w konie. Lepszy sposób komunikacji na odległość oznaczałby uwolnienie tych ludzi i koni, a tym samym zwiększenie liczebności oddziałów liniowych. Dzięki czemu można by na przykład wysłać do Harzburga więcej niż jednego, ledwie przeszkolonego porucznika i rozwiązać problem w tydzień zamiast w półtora roku.

Rozmyślał nad tym całą drogę aż do bram miasta. Większość okolicznych pól oczyszczono z drzew, jeszcze zanim wyjechał, ale na wzgórzach zobaczył nowe sady i budynki. Wbrew opinii Courtney Raven's Mill nadal się rozwijało.

Na szczytach wzgórz na południe od miasta prowadzono jakieś prace budowlane, ale bez związku z wojną. Bliżej wznoszono drewnianą bramę, a palisada po prawej rozciągała się już w górę wzgórza, aż do Akademii. Po lewej palisadę rozebrano, a jej miejsce zajmowały liczne sterty żwiru.

– Porucznik Herrick – przywitał go dowódca posterunku straży przy bramie, kłaniając się.

– Książę przyspiesza budowę murów? – zapytał Herzer, kiwając głową w stronę żwiru zrzucanego z ciągniętych przez woły wozów, a następnie wyrównywanego przez więźniów.

Wśród tych ostatnich widziało się sporo Przemienionych, ujętych po krótkiej kampanii, którą poprowadził przeciwko miastu Dionys McCanoc. Na ile dało się stwierdzić, byli zwykłymi ludźmi schwytanymi przez McCanoca i wbrew swojej woli Przemienionymi w jego żołnierzy.

Działania najeźdźców, którzy przed zaatakowaniem miasta pustoszyli okolicę, wywołały takie oburzenie, że na wszystkich wydano wyrok śmierci. Pojawiły się jednak głosy, że normalnym ludziom można by z czasem wybaczyć. Przemienionym jednak – poza powrotnym przekształceniem – nie można było zaoferować absolutnie niczego. Owszem, wyrażano współczucie wobec tego, co ich spotkało, ale sami w sobie Przemienieni, ze względu na swój odpychający charakter, nie wzbudzali nawet cienia sympatii. Niscy, niesamowicie silni i brzydzy zachowywali się jak pitbulle szkolone do walk na arenie. Od pierwszego spotkania nazwano ich orkami i nazwa się przyjęła.

Choć sam Herzer współczuł im, przyglądał się tylko ze smutkiem pracy grup takich jak ta i nie próbował nic z tym zrobić. Orkowie nie chcieli pracować inaczej niż pod groźbą natychmiastowej kary, a nawet wtedy

więcej czasu spędzali na walkach niż pracy. W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy na skutek wypadków i wzajemnych zabójstw ich liczba zmniejszyła się i zaczęło wyglądać na to, że problem sam się rozwiąże. Dość szybko sami się pozabijają.

Tego rodzaju wykorzystanie więźniów wydawało się jednak marnotrawstwem – Przemienieni mogliby być dobrymi żołnierzami. Przecież stanowili właśnie ucieleśnienie idealnych żołnierzy Nowego Przeznaczenia. Co ilustrowało tylko, do jakiego stopnia tamta strona konfliktu pozbawiona była wyobraźni. Twardzi i agresywni Przemienieni bardzo łatwo załamywali się w przypadku poniesienia dużych strat i byli całkowicie niezdolni do opanowania jakiegokolwiek dyscypliny. Nadawali się do dzikiej szarży z wrzaskiem, ale w walce pozycyjnej okazywali się do niczego.

Herzera czasem pociągała myśl o użyciu ich przeciwko miastu, które okazało się szczególnie odporne na innego rodzaju argumenty. Na myśl przychodziło mu Renan czy Tarson. Ale Raven's Mill ani Koalicja Wolności nie mogły czegoś takiego zrobić – to oni byli tymi dobrymi.

Diabło doskonale znał drogę do domu i po przekroczeniu bramy ruszył klusem, więc zanim Herzer się zorientował, znalazł się przed bramą Akademii. Zdał sobie z tego sprawę, kiedy usłyszał znajomy głos.

– Wygląda pan na zamyślonego, poruczniku.

– Rozważam problem braku ludzi, Gunny – odpowiedział Herzer z uśmiechem. Starszy centurion Miles A. Gunny Rutherford był przed Upadkiem rekreacjonistą. W późniejszej karierze specjalizował się w odtwarzaniu roli podoficera oddziałów piechoty morskiej Norau w stopniu sierżant zbrojmistrza i przez całe dziesięciolecie tak doskonalił się w roli, że zgodnie z nią żył, jadł i oddychał.

Jak się okazało, do tego rodzaju roli życie przygotowało go doskonale. Urodził się na krótko przed tym, zanim jego rodzice postanowili przenieść się do prowincji o nazwie Anarchia, która przed Upadkiem była regionem bez działającej techniki. Gunny nigdy się nie dowiedział, co się stało z jego rodzicami po przeniesieniu się tam, ale prawdopodobnie ich los nie różnił się zbyt od tego, co spotkało brata księcia, Edmunda. Obszar ten stanowił miejsce ucieczki dla ludzi, którzy nie chcieli żyć w rajach i było jego przeciwieństwem. Anarchią rządziły wtedy grupy feudalnych watażków, a nowo przybyli rzadko potrafili dłużej zachować życie. Gunny tam właśnie dorastał, stając się w końcu jednym z żołnierzy barona Malbuna. Tam też pierwszy raz zetknął się z księciem Edmudem, gdy mężczyzna urodzony jako Karol przybył tam szukać zaginionego brata i uznał, że Anarchii

potrzebne są porządki. Baron dość szybko przekonał się, że niezdyscyplinowany gang nie jest w stanie sprostać zdyscyplinowanej armii. Ci z ludzi barona, którym udało się przeżyć, wstąpili do błyskawicznie rosnącej armii Karola Wielkiego.

Działo się to lata temu, stulecia przed urodzeniem Herzera. Kiedy Anarchia została już spacyfikowana i udało się poskładać w całość smutną historię brata, Karol wrócił do świata i stał się Edmundem Talbotem, kolejnym rekreacionistą. A wraz z nim Anarchię opuścił jego przyjaciel, Arthur Rutherford.

Po Upadku Gunny dotarł do Raven's Mill i znów zajął stanowisko instruktora, tym razem tworzonego właśnie korpusu Panów Krwi. Formacji, której Herzer był zdecydowanie najlepiej znanym członkiem.

– Robimy, co możemy, z tym, co mamy – stwierdził stojący przy bramie podoficer, wzruszając ramionami. – I całkiem nieźle sobie radzimy – dodał.

Przed Upadkiem wolna przestrzeń u stóp Wzgórza Raven stanowiła teren Jarmarków. Kiedy miasto zaczęło przyjmować uciekinierów, miejsce początkowo wykorzystywano do opieki nad nimi, ale po powołaniu Akademii Panów Krwi wzgórze przekazano do jej użytku.

W miejscu, gdzie kiedyś wznosiło się parę baraków, stała teraz kwatera główna, koszary i stajnie, a na szczycie najwyższego w okolicy wzniesienia budowano właśnie twierdzę.

Rozglądając się po okolicy, Herzer równocześnie zastanowił się nad odpowiedzią sierżanta. Choć Gunny powiedział prawdę, był to równocześnie powód, dla którego na zawsze zostanie podoficerem. Skupiał się na żołnierzach, a nie na tym, skąd się brali. Jego pasją było szkolenie, bitwy stały już na drugim miejscu. Jednak Rutherford zawsze myślał tylko na poziomach taktycznych. Herzer, podpatrując księcia Edmunda, z wolna uczył się sięgać myślami poza chwilę obecną. Zasadniczo siły Nowego Przeznaczenia w zakresie liczebności wojska stały przed takimi samymi problemami jak Koalicja Wolności. Jako jedno z rozwiązań wybrali wspieranie tych sił w Norau, które przeszkadzały w tworzeniu Koalicji, równocześnie budując dużą armię w Ropazji.

Gunny potrafił skupiać się niczym laser na szkoleniu oddanych w jego ręce rekrutów. I produkt końcowy tego szkolenia był doskonały, czego dowodem choćby sam Herzer. Jednak nie ufał sojusznikom i większość uwagi poświęcał jak najlepszemu wykorzystaniu tego, czym dysponował. To oficerowie mieli znaleźć więcej ludzi i zająć się integrowaniem gorzej wyszkolonych sojuszników.

Albowiem niezależnie od tego, jak dobrzy byli Panowie Krwi – a byli bardzo dobrzy – trudno sobie wyobrazić, by stosunkowo niewielka grupa w pełni wyszkolonych żołnierzy mogła przeciwstawić się armii budowanej przez Paula.

– Cóż, niedługo powinno napłynąć do nas trochę nowych rekrutów z Harzburga i okolicznych miast – powiedział Herzer, odprowadzając Diabło na wybieg. – Wtedy będziemy mieć ich więcej.

Zsiadł z konia i zaczął ściągać z niego uprząż, gdy zbliżył się do nich jednorożec wielkości kuca i młode źrebię, prawie dorównujące mu wzrostem.

– Cześć, Herzer – odezwał się wysokim głosem jednorożec. – Cieszę się, że wróciłeś.

– Cześć, Barb. Choć mogłabyś przyznać; że tak naprawdę chodzi ci o powrót *Diablo* – roześmiał się chłopak, otwierając bramę i wpuszczając wierzchowca na padok.

– H’zer! – piskliwie zawołał źrebak, po czym uderzył Diabło w bok krótkim, tępym rogiem. – D’ablo!

– Tak naprawdę to nie wie, kim jesteś. – Barb zignorowała przytyk. – Wita się tak z każdym.

Przed Upadkiem Barb Branson przeszła przez całą serię Przemian, tuż przed katastrofą zmieniając się w jednorożca. W tej postaci zastał ją Upadek i po kilku nieprzyjemnych doświadczeniach została schwytana przez oddziały Dionysa. Pomimo że trafiła teraz w znacznie lepsze ręce, nie potrafiła zaadaptować się do ludzkiego społeczeństwa i żyła z końmi, w szczególności z Diabło. Początkowo związek stanowił powód niewybrednych żartów, ale po jakimś czasie dostatecznie spowszechniał, by większość mieszkańców w ogóle się nim nie przejmowała. Źrebak był efektem połączenia z Diabło i zdawał się rozwijać gdzieś w połowie między ludzkim dzieckiem a koniem. Chodzić potrafił prawie od razu po urodzeniu, ale mowa była u niego stosunkowo świeżym nabytkiem.

– Szybko rośnie – Herzer wskazał źrebię. Z tego, co słyszał, zaraz po urodzeniu młode było niewiele większe od kota, a teraz w kłębie przewyższało wzrostem matkę. Wyglądało, jakby miało szansę osiągnąć rozmiary ojca.

– I wszędzie się wciska – westchnęła Barb. Podeszła do żłobu i wsunęła róg do otworu w ścianie. Dźwignia ukrytego po drugiej stronie mechanizmu odmierzyła porcję ziarna, a Barb skubnęła źrebaka, żeby odciągnąć go od podchodzącego do jedzenia Diabło. – Musieliśmy przerobić to tak, żeby nie sięgał rogiem. Nauczył się tego używać, kiedy miał jakieś trzy miesiące.

– Cóż, zaopiekuj się Diablo – rzucił Herzer. Słyszając swoje imię, rumak podniósł głowę, po czym ją opuścił, biorąc do pyska kolejną porcję ziarna, a następnie, przeżuając, przeszedł na środek wybiegu. Po dojściu do właściwego miejsca położył się i przeturlał na plecy, tarzając się tak, by dobrze rozsmarować pył. Robił to, aż cały pokrył się ziemią, po czym podszedł z powrotem do żłobu dokończyć jedzenie. Barb stała cierpliwie, czekając na jego powrót i utrzymując źrebaka na dystans. – Potrzebujesz czegoś?

– Nie, wszystko w porządku – odpowiedziała Barb. – Dziękuję za urządzenie tego wszystkiego.

– Żaden problem – Herzer zaniósł uprzęż do stojącej przy padoku stajni i odłożył ją na miejsce, po czym zabrał swoje rzeczy i skierował się do koszar.

Jako oficer Panów Krwi miał w nich własny pokój, jednak wyjątkowo spartańsko urządzone. Za każdym razem, gdy wracał w to miejsce, obiecywał sobie, że zadba o jakąś dekorację, ale nigdy mu się to nie udało. W izbie stało proste łóżko, biurko, szafka, stojak na zbroję i wbudowana w ścianę szafa. Rzucił rzeczy na podłogę, po czym zdjął zbroję, rozprostowując uwolnione od jej ciężaru ramiona. Następnie starannie pochował wszystko, co nie wymagało natychmiastowego czyszczenia. Wiedział, że czyszczenie zbroi może zostawić urzędującemu w koszarach ordynansowi.

Wyciągnął z pochwy miecz i sprawdził jego krawędź, ale ponieważ wyczyścił i naostrzył broń po ostatnim użyciu, nie wymagała żadnych zabiegów.

Z przyzwyczajenia wypolerował trochę brzeszczot i podostrzył, po czym zaczął zastanawiać się nad dalszymi krokami.

Powinien zgłosić się do księcia Edmunda, ale uznał, że mógłby wcześniej wykapać się po podróży. Pytanie brzmiało, czy przejść przez miasto i skorzystać z łaźni, czy po prostu wziąć prysznic w koszarach. W końcu zdecydował się na to drugie, więc rozebrał się i owinął w talii ręcznikiem.

Prysznicie dobudowano do koszar tuż przed jego wyjazdem. Nie były zbyt wyszukane, po prostu rząd sitek pod sufitem w sali z betonową podłogą i ścianami – W porównaniu z łaźniami wyglądały raczej dość prymitywnie, ale zdecydowanie wygrywały z pomysłem przedefilowania przez całe miasto. Z jakiegoś powodu nie miał ochoty na rozmowy z połową mieszkańców Raven's Mill, co groziłoby mu, gdyby wybrał tę drugą opcję.

O tej porze dnia koszary były puste – instruktorzy zajmowali się męceniem studentów lub pracą w mieszczących się po drugiej stronie placu biurach, a stała załoga straży ćwiczyła, więc samotnie pomaszerował

korytarzem. Prysznicze mieściły się w drewnianym budynku na terenie przeznaczonym dla podoficerów. Przechodząc obok wartownika, kiwnął mu głową i wszedł do koszarowej łaźni. Zastał tam ordynansa, ale jemu też tylko posłał zdawkowy ukłon i wszedł pod prysznic, przed spuszczeniem wody ściągając ręcznik i wieszając go na haku.

Całą wieczność trwało, zanim woda lejąca się z sitka zrobiła się ciepła, ale i tak było to o niebo lepsze od wszystkiego, z czego mógł korzystać w Harzburgu. Na półce leżała kostka mydła, namydlił się więc obficie, łącznie z włosami. Te ostatnie zaczynały już odrastać i przydałaby mu się wizyta u fryzjera. Ale na to przyjdzie czas trochę później. Do tej pory książę na pewno usłyszał już o jego powrocie. Zamknął dopływ wody i wytarł się w ręcznik, po czym ruszył z powrotem do pokoju.

W pomieszczeniu przed prysznicami umieszczono rząd umywalek z bieżącą wodą, nad którymi zamocowano długie, metalowe lustro. Herzer zatrzymał się przed nim i obejrzał własną twarz. Przed Upadkiem zablokował wzrost włosów na twarzy, nie musiał więc martwić się goleniem. Jego włosy faktycznie wyrosły i zaczynały już dotykać uszu, choć jeszcze powinny ująć na inspekcji. Tylko Panowie Krwi przestrzegali wyjątkowo surowych standardów higieny wymaganych przez Gunny'ego.

Wrócił do pokoju i wciągnął na siebie czysty mundur, który okazał się trochę za luźny – w trakcie misji w Harzburgu stracił nieco na wadze – ale od biedy pasował. Bieliznę i koszulę zrobiono z badwabiu, podobnie jak szare spodnie i tunikę o kroju kimona. Ta ostatnia miała jasnoniebieskie kłapy, w odwiecznych barwach piechoty, a wzdłuż zewnętrznego szwu nogawek ciągnął się niebieski pasek. Niebieski dla piechoty, żółty kawalerii, zielony dla łuczników i czerwony dla saperów. Przed włożeniem tuniki przypiął do niej oznaczenia stopnia Porucznika. Przyglądał się im przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Równie dobrze mogę pójść na całość – wymamrotał, otwierając szafkę i wyciągając z niej niewielkie skórzane pudełko. Wyjął z niego małą metalową tarczę, którą przypiął na lewej piersi kimona. Pod nią zamocował cztery ordery.

Wyżej umieścił pojedynczo złoty laur. Niżej zawiesił srebrnego orła z rozłożonymi skrzydłami, drugą tarczę, tym razem z brązu, i miniaturową parę skrzyżowanych mieczy.

Gdy tylko odpowiednio upiął medale, ubrał się w kimono i założył pas z mieczem. Odruchowo wyciągnął broń, sprawdził ją i schował do pochwy. Normalnie miecz nosił wysoko po prawej stronie, przymocowany do zbroi,

ale był przyzwyczajony do obu tych konfiguracji i żadna nie sprawiała mu problemów.

Wyszedł z pokoju i ruszył korytarzem do głównego wyjścia.

– Jeśli ktoś o mnie zapyta, poszedłem zgłosić się do księcia Edmunda – poinformował dyżurnego siedzącego za biurkiem przy drzwiach.

– Tak jest, sir – odpowiedział tamten, nie podnosząc głowy znad czytanej książki.

Herzer zatrzymał się i wykręcił na pięcie.

– Tego rodzaju rzeczy powinniście zapisywać, szeregowy – warknął.

– Tak jest, sir – odpowiedział zbesztany ze znacznie większą uwagą.

Otworzył księgę i sięgnął do pióra i butli z atramentem.

Herzer kiwnął mu głową, po czym wyszedł przez drzwi.

* * *

– Wejść – zwołała Sheida, słysząc dzwonek do drzwi.

Do pokoju wsunął się jej pomocnik, Harry Chambers, prowadząc ze sobą wysokiego i szczupłego mężczyznę o ciemnych włosach. Gość mógł być w dowolnym wieku między trzydziestką a dwiema setkami lat. Na jego twarzy rysował się wyraz jowialnej zyczliwości. Ukłonił się członkini Rady.

– Joel Travante – przywitała go Sheida. – Witam, witam serdecznie. Proszę usiąść. Zostawisz nas, Harry?

– Oczywiście – odpowiedział lekko urażony pomocnik, wychodząc. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, siedzący na dryfowym krześle mężczyzna uległ subtelnej przemianie. Z jego twarzy zniknął uśmiech, zastąpiony nieprzenikliwą maską, a po niedbałej pozie nie pozostał żaden ślad. Miejsce jowialnego, prostego człowieka zastąpiła postać przywodząca na myśl skojarzenia z klingą miecza.

– Jak się masz? – zapytała Sheida, kłaniając się. – Gdzie byłeś?

– Na wyspach Asur – odparł inspektor, prostując się i oddając ukłon. Mówił głębokim barytonem, a oczy miał niebieskie i zimne.

Przed Upadkiem na świecie nie dochodziło do wielu przestępstw. Przy prawie nieograniczonym bogactwie, osobistych polach ochronnych i dostępności półlegalnych sposobów na urzeczywistnienie nawet najmroczniejszych fantazji bardzo rzadko rodziło się pragnienie zbrodni.

Zdarzały się jednak osoby, które z różnych przyczyn popełniały takie czy inne przestępstwa. Biorąc pod uwagę fakt, że ludzie byli w stanie prowadzić życie, jakie im się tylko zamarzyło, tylko ktoś o bardzo spaczony psychice

mógł chcieć wejść w konflikt z prawem, zwłaszcza w wyjątkowo nikczemny i odrażający sposób. A przy życiu w pełni luksusu jeszcze dziwniejszej osobowości wymagało poświęcenie życia polowaniu na złoczyńców.

Jednak tak jak w jednych tkwiło coś, co skłaniało ich do łamania prawa, tak innych gnało do tropienia i często niszczenia groźnych przestępców. To oni właśnie byli Inspektorami Rady. Stanowili małą grupę, która w roku Upadku liczyła raptem niecałą setkę, a większość z nich pracowała tylko dorywczo. Mieli jednak swoją elitę – Inspektorów Specjalnych, dysponujących władzą prawie równą przynależnej członkom Rady. A Inspektorem Specjalnym zostawało się tylko po długiej karierze w tropieniu ludzi popełniających najcięższe zbrodnie i wykazaniu się przy tym wyjątkowym poszanowaniem zasad.

W chwili Upadku Joel Travante miał tytuł Inspektora Specjalnego od czterdziestu lat.

Bezpośredni dostęp do posiadanych przez Matkę baz danych DNA był ściśle ograniczony. Uzyskanie pozwolenia na sprawdzenie DNA wymagało zgody większości członków Rady, a bezpośrednia lokalizacja człowieka – zgody bezwzględnej większości. Przed Upadkiem inspektorzy dysponowali jednak olbrzymimi zasobami ułatwiającymi im wyszukiwanie przestępców. Do ich odnalezienia potrafili wykorzystać najlżejsze poszlaki pozostawione na miejscu zbrodni: strzępek DNA, włókno ubrania, śladowe ilości substancji chemicznych czy biologicznych. Dzięki tym śladom inspektor umiał trafić na trop, którego trzymał się póki żył lub nie złapał zbrodniarza.

Albo nie zawalił się świat.

– Co tam robiłeś przed Upadkiem? – zainteresowała się Sheida.

– Pewien człowiek popełnił całą serię przestępstw – wyjaśnił Joel i przez jego twarz przebiegł nerwowy dreszcz. – Głównie gwałty i morderstwa, przeważnie na bardzo młodych kobietach. On... uwodził je, nakłaniając do opuszczenia osłon, a potem... pilnował, by były zbyt oszołomione, aby ponownie je przywołać. – Przez chwilę zaciskał szczęki, potem ze złością potrząsnął głową.

– Zdobyłem już jego kod genetyczny, przeważnie podawał się za Roba Borescue, ale nagle wydawało się, że zniknął z powierzchni ziemi. Nie wykrywał go żaden z pomocniczych systemów nadzoru, nigdzie nie pojawił się ślad jego DNA. W końcu udało mi się zdobyć informację, że zmienił się w krakena. Miałem powody podejrzewać, że rezyduje gdzieś w głębinach koło wysp Asur. Rozpytywałem w okolicy, mieszkała tam dość duża populacja delfinów i orek oraz trochę rybaków i żeglarzy. Do chwili Upadku

miałem już trzy potwierdzone widzenia krakena na tamtych terenach i szycowałem się do poszukiwań w głębinach. Ale po Upadku musiałem porzucić śledztwo.

– A potem? – zapytała Sheida.

– Zacząłem pracować u jednego z lokalnych żeglarzy, który zajął się zarobkowym połowem ryb – odpowiedział Travante. – Z czasem dorobiłem się własnej żaglówki. Kiedy wyspę przejęły siły Nowego Przeznaczenia, zachowałem Przykrywkę turysty i rybaka. We właściwej chwili i przy odpowiedniej pogodzie postawiłem żagiel i popłynąłem na zachód.

– W rybackiej żaglówce? – zapytała z niedowierzaniem Sheida. – Jak dużej?

– Cztery metry. Miałem powody przypuszczać, że część orek, które z własnej woli przyłączyły się do oddziałów Nowego Przeznaczenia, podejrzewała, że coś ukrywam. Najwyraźniej pamiętano niektóre z pytań, jakie zadawałem przed Upadkiem. I szczerze mówiąc, nie podobały mi się prawa wprowadzone przez Nowe Przeznaczenie. Tak więc, gdy tylko uznałem, że mam szansę przeżycia, pożeglowałem. Dopłynięcie z wysp Asur do Norau nie jest takie trudne, jeśli tylko nic nie nawali.

– Mapy? – dopytywała się Sheida. – Nawigacja?

– Do tamtej pory udało mi się zdobyć kompas, a mój pracodawca nauczył mnie trochę o nawigacji na podstawie gwiazd i co nieco o prądach oceanicznych – wyjaśnił Joel, wzruszając ramionami, jakby przepłynięcie w małej łodzi trzech tysięcy klików przez ocean było czymś całkowicie zwyczajnym. – Wokół łodzi zbierały się dorado, więc miałem stałe źródło żywności. A wypływając, zabrałem duży zapas wody i uzupełniałem go w okazjonalnych deszczach. Wylądowałem na brzegu Flory dziewięćdziesiąt trzy dni po wyruszeniu, potem popłynąłem wzdłuż wybrzeża do bazy w Newfell, odnalazłem osobę, którą znałem przed Upadkiem i skontaktowałem się z przedstawicielem Rady w Koalicji Wolności. Po wezwaniu przez ciebie dotarłem dylizansami i konno do Chian, skąd teleportowano mnie tutaj.

– Zdumiewające, inspektorze – skomentowała Sheida. – Czy nie zmartwi cię, jeśli powiem, że aż nazbyt?

– Nie, madam – odpowiedział inspektor. – Jeśli życzysz sobie przeprowadzić badanie z wykrywaczem prawdy, nie mam nic przeciwko temu. – Podobnie jak większość protokołów inwazyjnych detekcja prawdy, wymagała zgody badanego lub większości Rady.

Sheida zawahała się przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami i przerzuciła odrobinę mocy, uruchamiając wykrywacz kłamstw na

powierzchniowych myślach inspektora. Nie wykryła żadnych śladów sugerujących, by miał jakieś wątpliwości co do własnej historii. Choć coś go dręczyło.

– W czym problem? – zapytała Sheida. – Na powierzchni jesteś spokojny, ale wewnątrz coś cię trapi.

– To... osobiste, madam. – Inspektor westchnął. – Moja żona i córka zaginęły. Zdaję sobie sprawę, że Upadek rozdzielił większość rodzin, ale nie jestem od tego ani trochę szczęśliwszy. Teraz, kiedy odzyskałem kontakt z wyższą władzą, miałem nadzieję na możliwość skorzystania z archiwów do próby ich odszukania. Problem w tym, że... o ile wiem, w chwili Upadku moja żona przebywała na Wyspach Brytyjskich. Co gorsza, córka była wtedy u przyjaciół w Ropazji. – Umilkł, po czym znów wzruszył ramionami. – Szczerze mówiąc, boję się, że jeśli Nowe Przeznaczenie odkryje, kim są oraz że pracuję dla ciebie, użyje ich jako haka na mnie. Gdyby tak zrobili... – Urwał z nieprzeniknioną twarzą. – Znalazłbym się w bardzo nieprzyjemnej sytuacji.

– Rzeczywiście, nieprzyjemnej. – Sheida zmarszczyła brwi. – Z powodów, które za chwilę staną się jasne, nie rozmawiaj na ten temat z nikim poza moimi plecami. Jeśli spotkasz jakiegoś znajomego sprzed Upadku, powiedz mu, że masz niezbite dowody na śmierć twojej rodziny w Czasie Umierania.

– Tak jest, madam – potwierdził Travante z kamienną twarzą. – Tak też mogło się stać.

– Mam nadzieję, że nie – westchnęła Sheida. – Mamy bardzo niewielu agentów w Ropazji i na Wyspach Brytyjskich. Co więcej, sądzę, że to nie jest mądry pomysł, aby rozpytywać o twoją rodzinę. Nasi agenci niepokojąco często byli zdradzani i przesłuchiwani, a później poddawani Przemianie.

– W takim razie, madam – powiedział inspektor – proszę nie rozpuszczać o nie pytań.

– I właśnie o tej niepokojącej częstotliwości chciałam z tobą porozmawiać – ciągnęła Sheida. – Zaczynam podejrzewać, że choć nam się nie udało umieścić na terenach Nowego Przeznaczenia zbyt wielu agentów, w drugą stronę sytuacja wygląda inaczej. – Przywołała holograficzną mapę Norau i wskazała serię czerwonych plamek.

– O ile jesteśmy w stanie uniemożliwić sojusznikom Paula możliwość teleportacji na nasze tereny, nie możemy powstrzymać komunikacji ani awatarów – wyjaśniła. – Na tej samej zasadzie, ponieważ praktycznie wszystkie programy zostały zablokowane za pomocą haseł, możemy wykryć,

kiedy ktoś używa haseł nie należących do Koalicji, a tym samym, kiedy na nasze tereny wkraczają projekcje i awatary Nowego Przeznaczenia. Ta mapa przedstawia lokalizację wszystkich transmisji z ostatnich sześciu miesięcy.

– Wygląda to... bardzo źle – skomentował Travante, przyglądając się symbolom. Pokrywały mapę niczym krosty i pojawiały się w okolicach każdego większego skupiska ludności. – To obejmuje tylko ostatnie sześć miesięcy?

– Tak. – Sheida zmarszczyła brwi. – Niektóre z nich mogą być śladami awatarów pojawiających się, by przyjrzeć się jakiemuś zdarzeniu. Paul wciąż dysponuje nieco większymi zasobami energii niż my i najwyraźniej używa ich do szpiegowania.

– Bardzo rozsądnie z jego strony – uznał Travante. – Próba atakowania twoich tarcz bez posiadania sporego nadmiaru byłaby tylko marnowaniem mocy.

– Problem jednak w tym, że tracimy agentów – przypomniała Sheida. – I zdradzamy wrogom informacje. Nie jesteś pierwszym Inspektorem, jaki pojawił się po Upadku, choć pierwszym Specjalnym. I większość z nich zaprzęłam do pracy nad tym właśnie problemem. W końcu będę musiała wziąć pod uwagę... możliwe problemy na wyższych szczeblach dowodzenia.

– Ma pani na myśli Radę? – Travante zmarszczył czoło.

– Nie, jestem pewna lojalności wszystkich członków Rady – zaprzeczyła Sheida. – Ale chciałabym, żebyś zbadał inne możliwości. Zanim się tym zajmiesz... czy jesteś gotów do kolejnej długiej podróży?

– Na twój rozkaz, pani.

– Chcę, żebyś wrócił do bazy Newfell – oświadczyła Sheida. – Trwają tam właśnie przygotowania do misji. I stamtąd zdecydowanie wyciekają informacje – Zapewne z niejednego źródła. Twoim zadaniem jednak będzie wkroczenie się do misji – biorąc pod uwagę, że masz tak duże doświadczenie morskie, charakterze marynarza – i próba ustalenia, czy w załodze jest jakiś agent lub agenci. Kiedy wrócisz, zapewne zostaniesz w Mewfell albo we flocie, zależnie od wyników śledztwa.

– Tak jest, pani – odpowiedział inspektor.

– Tylko tyle? – Sheida uśmiechnęła się do niego. – Z powrotem na konie i dylizanse, całą drogę przez kontynent?

– Jak zdołam się z tobą skontaktować – zapytał tylko Travante.

– Unieś lewy nadgarstek dłonią do góry – poprosiła Sheida. Kiedy to zrobił, przesunęła palcami nad jego ręką i na chwilę pojawił się tam obraz orła, jakby wytatuowany, po czym zniknął.

– Jeśli uznasz, że musisz się ze mną porozumieć, dotknij orła i powiedz albo pomyśl moje imię – wyjaśniła Sheida. – Sheida, Sheida Ghorbani, czy jak tam. Po prostu pomyśl o mnie. W misji bierze udział Edmund Talbot, mój długoletni przyjaciel, zaufany tak, jak to tylko możliwe. Jeśli będziesz potrzebował pomocy, skontaktuj się z nim. Zostanie poinformowany, że na okręcie znajdzie się obecny mój agent. Spróbujcie nie następować sobie na pięty.

– Dopilnuję tego, pani – zapewnił agent, pocierając nadgarstek. Niewidoczny tatuaż nie pozostawił żadnych śladów, ale i tak odczuwał psychosomatyczne swędzenie.

– A swoją drogą, nie czeka cię podróż dyliżansem. – Sheida uśmiechnęła się. – Choć może byś wołał. Jest tu smok, jeździec wywernów, który kieruje się w tamtą stronę. Zabierze cię do Washan. Stamtąd przed rozpoczęciem misji będziesz musiał dotrzeć do dowództwa floty.

– Tak jest, pani.

– A ja nie zapomnę o twojej żonie i córce – zapewniła Sheida. – Skontaktuję się z tobą, jeśli zdobędę jakieś informacje o którejś z nich.

– Dziękuję – odrzekł Travante.

– Harry da ci pieniądze na podróż i poinformuje, jak zdobyć więcej. Nie wie o celu twojej misji, dla niego zostaniesz wysłany tylko do Washan. Resztę drogi musisz przebyć samodzielnie.

– Tak jest, pani – powiedział Travante, wstając. – Za pozwoleniem.

– Powodzenia, inspektorze. – Sheida wstała i dotknęła jego ramienia w drodze do drzwi. – Będę się modliła i szukała twojej rodziny.

– A ja będę się modlił za ciebie i twoją rodzinę. – Travante wraz z otwarciem drzwi ponownie przybrał maskę życzliwej jowialności.

Rozdział 3

Marsz do księcia Edmunda na szczęście odbył się bez przeszkód. Przez większość drogi Herzer czuł, że coś mu nie pasuje, ale nie potrafił zrozumieć co. Zdawał sobie sprawę, że czuje się trochę wyobcowany, ale chodziło o coś więcej. Raven's Mill było miejscem, gdzie na swój sposób dorósł. Owszem, po Upadku spędził tu zaledwie rok, ale teraz powinien czuć się jak w domu. Bóg wiedział, że siedząc w Harzburgu, wielokrotnie marzył o powrocie.

Jednak z jakiegoś powodu dobre samopoczucie nie nadchodziło. Nie wiedzieć czemu, miasto przypominało mu ubrany w koszarach mundur – niby dobry, ale tak naprawdę za luźny. W oczy rzucały się drobne, ale irytujące zmiany w rodzaju nowego szyldu nad tawerną Tarmaca.

Istotę problemu zaczął pojmować dopiero, gdy dotarł do ratusza. Częściowo jego zdenerwowanie wynikało z niepewności co do własnej przyszłości. Informacje przesyłane mu przez większość jego misji w Harzburgu mówiły o sprowadzeniu go z powrotem jako wykładowcy do Akademii. Nie jednego z sadystycznych świrów, którzy prowadzili pierwszą fazę szkolenia – Herzer rozumiał znaczenie procesu odsiewania rekrutów, choć sam nie miał ochoty się tym zajmować – lecz jako instruktora w stworzonym właśnie kursie podstawowym dla oficerów. We własnej opinii powinien raczej uczestniczyć w tego rodzaju zajęciach, ale przeszkolonych oficerów było tak mało, że rozumiał potrzebę zapchania sobą dziury.

Jednak kategoryczny ton żądania „powrotu najszybciej, jak to możliwe” niezbyt dobrze pasował do rutynowego przydziału szkoleniowego. Bardzo więc nie chciał natknąć się na kogoś, kto zapytałby o powód tak nagłego powrotu, bo nie potrafiłby zaspokoić ani jego, ani własnej ciekawości.

Kiedy zbliżył się do drzwi ratusza, stojący przed nimi wartownicy stanęły na baczność. Dawno odeszły już w zapomnienie dni opartych o ścianę sennych strażników z zardzewiałą bronią. Na warcie stali członkowie milicji szkoleni z Panami Krwi. Żartowano sobie z faktu, że milicjanci nie chcieli zostać Panami Krwi. Szkolenie i proces przesiewu kandydatów były bezlitosne i nawet kiedy rekrut zaliczył już testy umożliwiające mu wstąpienie do elitarnej jednostki, szkolenie trwało dalej. Bieg na Wzgórze Raven z pełnym wyposażeniem był tylko początkiem dnia pełnego brutalnych do granic sadyzmu ćwiczeń.

Jednak tego rodzaju trening oraz dogłębna wiara w działania zespołowe oznaczały, że Panowie Krwi mogli pokonać i, co ważniejsze,

wymanewrować znacznie liczniejszego przeciwnika. Hasło „Walka aż do śmierci” było tylko jednym z ich nieoficjalnych mott. A nikt nie walczył tak jak Panowie Krwi.

Herzer wszedł do ratusza i skręcił w lewo, do biura Edmunda, jednak prawie natychmiast został zatrzymany przy drzwiach przez sekretarkę. To była kolejna nowość.

– Czym mogę służyć? – zapytała kobieta. Herzer odniósł wrażenie, że skądś ją zna, ale nie potrafił sobie przypomnieć. Ciemne włosy, nieco wyższa niż przeciętnie... nie, nie przypomni sobie.

– Herzer Herrick – przedstawił się oficer. – Mam rozkaz jak najszybciej zgłosić się do księcia Edmunda.

– Księżę jest bardzo zajęty – oznajmiła kobieta, pociągając nosem. Kimkolwiek była, zdawała się go nie poznawać. – Może pan po prostu usiądzie?

Herzer nie zawracał sobie głowy fałszywą uprzejmością, po prostu stanął w pozycji na spoczyn, z nogami rozstawionymi na szerokość barków i założonymi za plecami rękami, po czym spojrzał na sekretarkę.

– Proszę pójść i powiedziec księciu Edmudowi, że tu jestem – rzekł całkowicie neutralnym głosem. – Natychmiast.

Tę zazwyczaj skuteczną technikę podpatrzył u Gunny’ego. Kobieta wyraźnie chętnie przerzuciłaby odpowiedzialność na kogoś, kto – jak zapewne miała nadzieję – mógłby go usadzić. Tego rodzaju zagranie nie było może najzgrabniejszym posunięciem wobec spragnionego władzy funkcjonariusza, ale przeważnie się sprawdzało.

W tym przypadku sekretarka posłała mu jadowite spojrzenie, po czym wstała i zapukała do drzwi.

– Księżę Edmudzie – powiedziała, otwierając drzwi i nie czekając na odpowiedź ze środka – Jest tu Herzer Herrick, który nalega na natychmiastowe spotkanie z panem.

– To dlatego, że taki dostał rozkaz, Cristal – łagodnie odparł Edmund. – Przyślij go tu.

Kiedy Herzer przechodził przez drzwi, przypomniał sobie, skąd zna kobietę.

– Miło znów cię widzieć, Cristal – rzucił nieszczerze, wchodząc do gabinetu. – Co słyhać u Morgen?

Starannie zamknął za sobą drzwi i zasalutował, przystawiając prawą pięść do piersi.

– Porucznik Herrick melduje się na rozkaz.

– Daj temu spokój – burknął Edmund, wstając i podchodząc do kredensu.
– Masz ochotę splukać kurz?

– Czemu nie, sir. O co chodzi z tym cerberem przy drzwiach?

– Och, w niczym nie przypomina psa – odpowiedział Edmund. – I nie wiem, czy zdaje sobie z tego sprawę, ale pracuje tu tylko tymczasowo. Biurko zajmowała osoba polecona przez June, ale poszła na urlop macierzyński. – Podał porucznikowi kieliszek z ciemnym płynem. – Zdrowie!

– Krew i stal – rzekł Herzer, kosztując. – Bardzo gładkie.

– I powinno być – przytaknął Edmund. – Dojrzewało prawie trzydzieści lat.

Herzer uważnie przyjrzał się szanownemu generałowi Edmundowi Talbotowi, księciu Overjay, ale nie dostrzegł w nim prawie żadnych zmian od czasu ich ostatniego spotkania rok temu. Książę był masywny, z długą brodą i ogoloną głową. Ubrany w szare, lniane spodnie i błękitną tunikę z dobrej wełny, której brzegi wykończone zostały na żółto. Ubranie wyglądało na nieco już zużyte, ale raczej wygodne niż stare. Sądząc po drobnych zmarszczkach na twarzy i zwiotczalej nieco skórze przedramion mógł mieć gdzieś między sto a dwieście lat, choć Herzer wiedział, że bliżej mu do trzystu. Emanował z niego spokój, który w jakiś sposób przenosił się na ludzi w jego otoczeniu. Gdziekolwiek książę się udał, nawet jeśli lądował w samym środku bitwy, chaos ustępował miejsca porządkowi. To kolejna sztuczka, której Herzer bardzo chciałby się od niego nauczyć, tak jak umiejętności takiego podniesienia głosu, by był słyszalny nawet pośród bitewnego zgiełku oraz tego, że zawsze wiedział, gdzie powinien się znaleźć.

– Zapewne zastanawiasz się, dlaczego wezwałem cię w takim pośpiechu, ale powinniśmy poczekać na... – powiedział książę i urwał, gdy znów otworzyły się drzwi jego gabinetu.

– Nic nie szkodzi, znamy go – oświadczyła, przekraczając próg Daneh Ghorbani. – Śpię z nim każdej nocy, moja obecność nie będzie mu przeszkadzać.

Doktor Ghorbani miała około metra siedemdziesięciu pięciu centymetrów, co w przypadku kobiety oznaczało średni wzrost. Długie rude włosy zebrała w opadający na plecy ogon. Miała duży biust i obfite kształty, raczej rzadkość w społeczeństwie po Upadku. Przed katastrofą do tego stopnia swobodnie operowano ludzkimi genami, że w ciele poza niezbędnym minimum nie tworzył się żaden zbędny tłuszcz. Nie pasowało do niej określenie „tłusta”, na jej widok przychodził na myśl raczej termin

„puszysta”, i robiła wrażenie, że jest jej z tym dobrze. Podobnie jak jej ukochany Edmund i ona zdawała się emanować spokojem, nawet gdy besztala irytujące maluchy. I doskonale wyglądała. Co, jak nagle odkrył Herzer, było dla niego bardzo ważne.

Tuż za nią szła osoba, którą można by wziąć za jej młodszą siostrę, choć faktycznie była córką. Tyle że w przeciwieństwie do matki Rachel Ghorbani nie emanowała wewnętrznym spokojem.

– Tato, musisz się pozbyć tej niemożliwej kobiety – oświadczyła z pasją, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi.

– Już mi to mówiono – zgodził się Edmund z uśmiechem. – Daneh? Kieliszek wina?

– Nie jest na to trochę wcześniej? – zapytała doktor Ghorbani, zerkając na kieliszki w ich rękach.

– Jestem pewien, że gdzieś na świecie słońce zbliża się już ku zachodowi – odpowiedział książę Edmund, nalewając do kieliszka wina, które zalśniło w słońcu rubinem.

– Tak, tato, dziękuję, też się napiję – rzuciła cierpko Rachel.

– Oczywiście. – Edmund zachichotał, nalewając kolejny kieliszek i podając oba kobietom. – Wypijmy za spokojną podróż i gładkie morze.

– Jaką podróż? – zapytała Rachel.

– Tę, w którą się wybieramy, a przynajmniej ja z Herzerem.

* * *

Kiedy projekcja modelowa zakończyła pracę, Chansa warknął i potrząsnął głową. Niezależnie od tego, ile razy uruchamiał model, aktualne przewidywania czyniły inwazję na Norau niemożliwą.

Jak na jego olbrzymią postać pomieszczenie, w którym pracował, było niskie i ciasne. Znajdowało się w niedawno odkrytych i otwartych podziemiach Sali Rady. Wcale nie chodziło o to, że został tu wyrzucony, po prostu taki miał nastrój. Niech Celine gania po swoich laboratoriach, a Paul tworzy szalone sale „pracy dla ludu”. Ten maleńki pokój skupiał więcej czystej władzy niż jakiegokolwiek inne miejsce na ziemi. Jednak Chansa przy całej swojej potędze i tak nie potrafił zrealizować swoich pragnień.

Nie chodziło o liczbę wojska. Wciąż postępował wprowadzony w życie program Przemiany, choć utrudniały go różne blokady programów nałożone przez tę sukę Sheidę. A Przemienieni mężczyźni stawali się bardzo dobrymi żołnierzami, podczas gdy ich kobiety robiły się dostatecznie wytrzymałe, by

zajmować się dostarczaniem żywności. Problemem nie było też uzbrojenie. Z powodów historycznych Ropazja dysponowała sporymi zapasami broni, a do programu Przemiany wprowadzono elementy podstawowego szkolenia w zakresie jej użycia. Stworzono specjalną klasę Przemienionych, którzy świetnie nadawali się na rzemieślników.

Nie, problemem była logistyka.

Przerzucenie całej armii pozbawiłoby Ropazję wszystkich garnizonów. A to nie tylko oznaczałoby, że Koalicja mogłaby ich zaatakować – pojawiłoby się też ryzyko wewnętrznego buntu, co stanowiło bardzo poważny problem wśród nieprzemienionych. Po drugie, dostarczanie zaopatrzenia całej armii przez prawie dwa tysiące klików oceanu było w najlepszym razie ryzykowne. Niemożliwe, jeśli napotkaliby jakikolwiek spójny opór. A istniało wysokie prawdopodobieństwo, że tak by się stało.

W związku z tym próbę inwazji można było podjąć, wykorzystując najwyżej połowę sił. Ponieważ modelowanie wykazywało, że połowa sił nie wystarczy do zniszczenia aktualnych wojsk Norau, coś należało z tym zrobić.

Jak dotąd zawodziły wszystkie podejmowane przez niego próby osłabienia Zjednoczonych Wolnych Stanów. Jeżeli już, to wychodzili z nich silniejsi. Najpierw wciąż wzbudzająca w nim zażenowanie klęska z Dionysem potem, inne nieudane próby przejęcia kontroli nad terenem. W Norau cały czas funkcjonowały neutralne grupy opierające się integracji z ZWS, które równocześnie nie chciały jednak opowiedzieć się po stronie Nowego Przeznaczenia. A projekcje wskazywały, że przy aktualnym przyroście ludności ZWS i liczebności armii w przyszłości również nie było możliwości, by inwazja miała większe niż pięćdziesięcioprocentowe szanse powodzenia.

Doprowadzało go to do szaleństwa.

Podniósł głowę akurat w chwili, gdy w powietrzu pojawił się przed nim awatar Demona. Spróbował się nie skrzywić.

– Tak, lordzie Demonie? – zapytał.

Demon był, jak wskazywał jego przydomek, istotą dość chaotyczną. Zawsze warto było pozostawać z nim w dobrych stosunkach, jeśli w ogóle coś takiego wchodziło tak naprawdę w grę.

– Z tego, co słyszałem, odniosłeś w Norau kolejną porażkę – zagrmiał gość. Nie dało się stwierdzić, jak naprawdę wyglądał pod swoją czarną zbroją, poza tym, że miał przesadnie wielkie rozmiary. Zbroja tworzyła pełną płytową osłonę ciała od rogów na hełmie, przez kły, aż do pazurów na butach. Wedle plotek istota wewnątrz stanowiła po prostu jej mniejszą

wersję. – Zechciałbyś zdradzić mi szczegóły?

– Nie bardzo – cierpko odpowiedział Chansa, po czym wzruszył ramionami. – Harzburg to miasto o pewnym znaczeniu strategicznym w moim scenariuszu inwazji na Norau. Próbowałem przejąć je przez pośredników. Dostarczyłem im trochę energii, broni i instrukcji. Próbowali zdobyć miasto. Zawiedli.

– Znów Edmund Talbot? – zapytał drwiąco Demon.

– Wysłał jednego, jednego cholernego Pana Krwi i rok pracy poszedł w diabły.

– Ten człowiek jest niepoprawny – zgodził się Demon. – Ale szkoli dobrych podwładnych. A ja zawsze uważałem, że właściwy ich dobór jest ważnym elementem wszystkich działań. Rada, pomimo całej swojej siły jako grupa, nie potrzebowała podwładnych, więc nie dziwi mnie, że masz mniej... doświadczenia w obchodzeniu się z nimi. W związku z tym – mówił dalej i wskazał miejsce obok siebie, gdzie w powietrzu zmaterializował się drugi awatar – chciałbym ci zarekomendować usługi mojego protegowanego, brata Connera.

– Czynisz mi wielki zaszczyt, nazywając tym mianem, panie – odezwał się mężczyzna. Był wysoki, ale najwyraźniej kompletnie nie-Przemieniony, o szczupłym wyglądzie sugerującym nieukończenie pierwszego stulecia. Ciemne włosy opadały mu do ramion. Sprawiał wrażenie całkowicie normalnego, dopóki nie spojrzano się na jego oczy, których tęczówki były niemal idealnie białe. W środku wyróżniały się tylko małe czarne kropki źrenic.

– Jesteś zbyt łaskawy, lordzie Demonie – rzekł po chwili Chansa. – Ale nie jestem pewien, co z nim zrobić.

– Sugerowałbym, żebyś zajął się tym, w czym jesteś najlepszy, czyli przygotowywaniem armii Nowego Przeznaczenia do inwazji – cierpko odparł Demon.

– A Connerowi pozwolił zająć się destabilizacją. Ma w tym pewne doświadczenie.

– Ach. – Chansa znów zamilkł, po czym wzruszył ramionami. Przysługi Demona zazwyczaj wiązały się z ukrytą ceną, ale nie należało ich też odrzucać. – Dziękuję, lordzie Demonie.

– Zostawię cię twojej pracy – odparł awatar, rozplywając się w powietrzu. – Dobrej zabawy.

* * *

– Na wybrzeżach Ropazji Paul buduje flotę. – Edmund wyciągnął mapę i rozłożył ją na biurku. – Tu, w Bretan i Holan. I w pobliżu obu tych rejonów gromadzi armię.

– Inwazja? – zapytał Herzer.

– Taki ma cel – zgodził się książę. – I istnieje prawdopodobieństwo, że mu się uda.

– Z inwazją? – zapytała Daneh. – Jak? Musi przepłynąć cały ocean Atlantycki, a potem zaatakować przygotowaną armię. Nie jestem ekspertem w wojskowości, ale dla mnie nie wygląda to dobrze.

– Nie mamy zbyt wiele wojska – odparł Edmund, wzruszając ramionami. – Owszem, są mniej lub bardziej zorganizowane milicje, ale nie nadają się do niczego oprócz obrony stałych pozycji. Tak naprawdę nie można ich nawet użyć do wycieczek. A fortyfikacje większości miast też nie są wiele warte. I zdziwiłabyś się, jak wiele dokonano w historii udanych inwazji morskich. Gdyby kraj pełen był twierdz i zamków, jak jest w Ropazji, byłoby to niemożliwe. W obecnej sytuacji inwazja jest po prostu bardzo ryzykowna. Jeden ze sposobów rozegrania takiej sytuacji to odstraszenie. Trzeba sprawić, by coś było ewidentnie do tego stopnia niemożliwe, żeby nie próbował tego nikt o zdrowych zmysłach. I mieć nadzieję, że przeciwnik jest przy zdrowych zmysłach. W tym przypadku musimy wyeliminować szansę na powodzenie tego rodzaju inwazji. W tym celu musimy zdobyć kontrolę nad liniami morskimi. Pracujemy nad tym na wybrzeżu. Flota opracowuje nową klasę okrętów, które powinny bardzo utrudnić życie każdemu, kto próbowałby przeprawy. Ale kilka okrętów, i to zapewne w niewłaściwym miejscu, nie odstraszy Nowego Przeznaczenia. I nie powinno. To czego nam potrzeba to sojusznicy kontrolujący morskie szlaki. – Spojrzał znacząco na Daneh, która wzruszyła ramionami.

– Zapewne ma to coś znaczyć, ale nie mam pojęcia co – powiedziała.

– Syreny – odezwał się Herzer. – Czy nie donoszono, że po Upadku zbierają się na Południowych Wyspach?

– Dokładnie – potwierdził książę. – Jeśli po naszej stronie opowiedzą się syreny i związane z nimi delfiny, w najgorszym razie zyskamy doskonały wywiad informujący nas o działaniach potencjalnej floty inwazyjnej. Walka z nią może stanowić osobny problem, ale byłbym zaskoczony, gdyby syreny nie mogły i tutaj nam pomóc.

– Czyli to misja dyplomatyczna? – zapytał Herzer. – W takim razie, czemu pan? I skoro o tym mowa, czemu ja?

– Owszem to misja dyplomatyczna, ale z wojskowymi implikacjami – wyjaśnił Edmund. – Jestem najbardziej znaną, a właściwie mógłbym chyba powiedzieć „osławioną”, osobą dostępną na wschodnim wybrzeżu, i zapewne będę jednym z generałów dowodzących obroną.

– Zapewne będziesz nią dowodził – poprawiła Daneh.

– Możliwe. A Herzer musi pojechać z podobnych przyczyn.

– A więc, kiedy reszta z nas będzie znosić trudy zimy – odezwała się z goryczą Rachel – wy będziecie sobie balować na Południowych Wyspach?

– Sheida chce, żebym poprowadził negocjacje. Powiedziała mi, że mogę zabrać ze sobą kogo tylko uznam za potrzebnego. Za niezbędnego uważam Herzera.

– Czyli faktycznie zostawisz nas tu i pożegłujesz na zimę na Wyspy – pogodnie stwierdziła Daneh.

– Cóż, może – odparł Edmund znacznie poważniejszym tonem. – Herzer to doskonały młodszy oficer, ale nie ma nic absolutnie kluczowego, co musiałby robić tutaj. Z Kane’em i Gunnym miasto powinno poradzić sobie ze wszystkim oprócz poważnego szturm. A dostatecznie dobrze znam przeciwników, by wiedzieć, że jeśli nie liczyć inwazji, do czegoś takiego nie dojdzie. Czyli mogę zostawić miasto i być dość pewnym, że zastanę je po powrocie. Pytanie brzmi, czy miasto poradzi sobie bez obu lekarek?

– Nie jestem lekarzem – odezwała się Rachel, ale zaraz pokiwała głową. – Ale rozumiem, o co ci chodzi.

– Cóż, jak długo to potrwa? – zapytała Daneh. – Chodzi mi o negocjacje. Przeniesienie tam, przeniesienie z powrotem, i tydzień lub dwa na miejscu.

– Drobnny problem – skrzywił się Edmund. – Sheida mówi, że choć to ważne, to nie dostatecznie, żeby nas tam teleportować. Pracuje nad jakimś urządzeniem, które zredukuje pobór mocy przy teleportacji, i ma już jeden działający egzemplarz, dzięki któremu może wydostawać się i wracać do domu. Ale nawet to będzie tylko z miejsca na miejsce. A na razie wciąż ogranicza nas prędkość konia i wiatru.

– Ile czasu? – powtórzyła Daneh.

– Miesiąc? Dwa? Może więcej, jeśli pogoda okaże się niesprzyjająca.

– Znam swoje obowiązki – westchnęła Daneh. – I trzeba jeszcze pamiętać o Karolu. Nie jestem pewna, czy chciałabym zostawiać go na tak długo. Zostanę.

Syn Daneh przyszedł na świat w efekcie dokonanego krótko po Upadku gwałtu, którego dopuścił się Dionys McCanoc i jego ludzie. Kiedy dziecko się urodziło, jasne się stało, kto przekazał męskie geny. Równie jasne jak

fakt, że ojciec już nie żyje. Herzer lubił dzieciaka, który poza tendencją do łobuzowania zdawał się odziedziczyć po ojcu wyłącznie wygląd.

– Chciałbym, żebyś dobrze zastanowiła się nad tym, co powiedziałem – poprosił Edmund. – Wolałbym, żebyś ty pojechała, a Rachel została. Nawet biorąc pod uwagę rozłąkę z Karolem.

– Czemu? – zapytała Daneh i w odpowiedzi zobaczyła puste spojrzenie. – Edmundzie, przestań być taki tajemniczy.

– Wcale nie jestem tajemniczy. Mam swoje powody i mam powody ich *nie ujawniać*.

– To po prostu twój sposób na powiedzenie „jestem tajemniczy” – zachichotała Daneh.

– Podam ten najbardziej oczywisty – odparł po chwili Talbot. – Chcemy zawrzeć z nimi sojusz, bez wątpienia sojusz wojskowy, a poza tym chętnie porozumienie handlowe. Żeby do tego doprowadzić, musimy wiedzieć, czego im potrzeba z rzeczy, które możemy dostarczyć. Nie powiem, że chciałbym, abyś rozmawiała z kobietami, podczas gdy ja prowadzić będę „męskie rozmowy”...

– To dobrze – przerwała Daneh z uśmiechem.

– ...Ale przyznam, że różnimy się mocnymi stronami i wiedzą. Gdybym uważał, że ważne miałyby się okazać rolnictwo, wziąłbym Myrona, sądę jednak, że znacznie istotniejsze mogą być kwestie związane ze... stylem życia.

– Jestem lekarzem, nie antropologiem – zauważyła Daneh. – Skoro o tym mowa, to Rachel więcej wie o kulturach przedindustrialnych.

– Racja. Ale twoim opiniom ufam bardziej niż Rachel. – Obrócił się do córki i wzruszył ramionami. – Nie chciałem cię tym urazić, po prostu Daneh jest...

– Starsza i mądrzejsza? – zapytała Rachel, po czym poprawiła się w fotelu. – Wcale mnie to nie dotknęło. Rozumiem, co miałaś na myśli.

– Mogę przekazać kontrolę nad lokalnym układem władzy Emily – zasugerowała Daneh. – Może się podjąć praktycznie wszystkiego, czego Rachel. I zakładam, że gdyby pojawiło się coś naprawdę poważnego, będziemy mogły się skonsultować. Z pewnością poradzi sobie z drobnymi naprawami i porodami. A w razie potrzeby w Hotrum's Ferry jest doktor Beauharnois.

Talbot zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym odprężył się.

– W takim razie witam na pokładzie, Rachel.

– Kiedy wyjeżdżamy? – zapytał Herzer.

– Nie wcześniej niż za tydzień lub dwa – uznał Edmund. – Nie spodziewałem się, że dotrzesz tu tak szybko i przynajmniej tyle czasu potrzebujemy na zebranie tu reszty towarzystwa.

– Czyli kogo? – zapytała Daneh.

– Zobaczysz – odpowiedział Edmund. – To niespodzianka.

Rozdział 4

Joel zdziwił się nieco, natykając się na Harry'ego prawie przy samych drzwiach biura Sheidy.

Jako centrum dowodzenia Sheida używała swojego górskiego domu. Ponieważ kiedyś często urządziła przyjęcia i innego rodzaju spotkania, dom był dostatecznie duży, by pomieścić stosunkowo niewielki personel, z którego pomocy teraz korzystała.

Od kiedy jednak dom otoczyło jezioro wrzącej lawy, wprowadzenie czegokolwiek do środka wymagało teleportacji, co pochłaniało olbrzymie ilości energii.

Docierając tu, Joel dowiedział się, że odpowiedzią na te kłopoty było ustanowienie trwałego portalu. Wystarczyło wkroczyć w sklepienie przejście i nagle lądowało się w zupełnie innym miejscu. Nie miał pewności, jak dużo portal zużywał energii, ale nie mógł pochłaniać jej zbyt wiele, bo sam Joel był zaledwie jedną z tuzina osób, które przeszły przez niego w stosunkowo krótkim czasie.

Zamiast poprowadzić go do portalu, Harry powiódł mężczyznę w inną stronę. Inspektor zauważył, że jego przewodnik lekko kuleje.

– Przygotowałem transport – odezwał się sekretarz, wchodząc do małego biura. Pokój najwyraźniej pełnił wcześniej funkcję sypialni. Teraz upchnięto w nim trzy biurka oraz pudła i mnóstwo papierów. Nie było okien, więc wewnątrz troszkę pachniało stęchlizną.

Harry wydobyl z szuflady plik papierów i mały woreczek, który zabrzączał. Po rzuceniu na stół.

– Złoto znów stało się uniwersalną walutą – stwierdził z sarkastycznym uśmiechem. – Uważaj, żeby nie napadli cię bandyci.

– Spróbuję. – Joel uśmiechnął się jowialnie. Otworzył sakiewkę i wysypał jej zawartość. – Mam to gdzieś pokwitować?

– Tak, potrzebujemy rejestru wydatków – odpowiedział Harry. – Znalesz Sheidę przed Upadkiem?

– Tak, poznaliśmy się. – Joel zebrał na kupkę i przeliczył kanciaste bryłki złota. – Studiowałem kiedyś historię zarządzania i biznesu. Sheida chce, żebym przyjrzał się logistyce w Washan i innym placówkom na wschodnim wybrzeżu.

– Uważaj, żebyś nie nadepnął na palce Edmundowi – rzucił Harry. Zaciśnął zęby i skrzywił się. – To jemu to zawdzięczam.

– Kulenie? – zapytał Joel. Sięgnął po kwit i podpisał go, pozornie nie czytając. W rzeczywistości przeczytał jego treść do góry nogami, kiedy dokument leżał jeszcze przed sekretarzem i wypisana na nim kwota, choć podobna, był jednak wyższa od tego, co faktycznie dostał. Podpisał właśnie bez pokrycia odbiór dodatkowej bryłki złota, odpowiednika dwumiesięcznego zarobku robotnika rolnego.

– To było tuż po Upadku – wyjaśnił Harry. – Przebił mi mieczem koleczugę i rozciął udo. Zawsze mówił, że jedyny sposób walki to robić tak, jakby chciało się zabić drugą osobę, ale do tamtej pory nigdy nie sądziłem, że traktuje to tak poważnie.

– Nie wiedział, co się stanie? – zapytał Joel, szerzej otwierając oczy, jakby przerażony. – I nie dałeś sobie tego naprawić? No wiesz, energii jest mało, ale...

– Cóż... nie wiedzieliśmy, że przestały działać pola ochronne – przyznał Harry. – I owszem, Sheida to naprawiła. Ale wciąż coś szwankuje.

Nanity albo coś naprawiały, albo nie, przynajmniej jeśli chodziło o uszkodzenia tkanki. Nie tylko składały mięśnie i ścięgna, ale odtwarzały wszystko na poziomie komórkowym. A to znaczyło, że wszelkie problemy Harry'ego były wyłącznie natury psychosomatycznej.

– Spróbuję nie dać sobie odciąć nóg – zapewnił inspektor. – Jak wrócę?

– Sheida chce, żebyś poleciał na kierującym się w tamtą stronę wywernie – wyjaśnił Harry, dziwnie na niego patrząc. – Najwyraźniej bardzo się przejmuje tą logistyką.

– To po prostu przykład dobrego wykorzystania zasobów. – Joel wzruszył ramionami. – Jak znajdę tego wywerna?

– Nie boisz się lotu? – zapytał Harry, lekko marszcząc brwi.

– Właściwie to nie mogę się doczekać – rozpromienił się Joel. – To musi być lepsze od dylizansów.

– Cóż... przejdź przez portal, a potem zapytaj o Roberta Scotta, koordynatora podróży. Będzie wiedział, gdzie cię wysłać. – Harry wstał i wyciągnął rękę. – Powodzenia.

– Tobie także – odpowiedział Joel. – Na pewno jeszcze się spotkamy. – Och?

– Jasne. Problemy logistyczne tego miejsca są fascynujące.

* * *

– Mam kilka spraw, które chętnie zrzuciłbym na kogoś innego – przyznał

Chansa, przyglądając się swojemu nowemu asystentowi. – Pochłaniają mój czas i energię, które powinienem poświęcić na planowanie inwazji.

– Rozumiem – rzekł Conner. Trzymał w dłoni bardzo staromodny stylus do pisania i papierowy notatnik.

– Dwa aspekty, które w tej chwili najbardziej mnie pochłaniają to próba przygotowania właściwego klimatu politycznego do inwazji i misja podjęta przez Edmunda Talbota, która ma na celu zawarcie sojuszu z syrenami.

– Mamy po naszej stronie stada orek – zauważył Conner. – Z pewnością mogą sobie poradzić z syrenami.

– Syreny od dawna są sprzymierzone z delfinami – odpowiedział Chansa. – Te z kolei mają bardzo dobrą opinię u paru durniów, którzy zmienili się w wieloryby. A te ostatnie znają całe oceany. Jeśli te trzy grupy połączą siły, Koalicja z dużą dokładnością pozna pozycję naszych okrętów. Ich zneutralizowanie jest więc bardzo ważne. I mam na myśli całkowitą neutralizację – albo staną po naszej stronie, albo nie możemy dopuścić, aby były w stanie nam przeszkodzić. Flota inwazyjna i tak będzie operować na granicy prawdopodobieństwa. Syreny muszą zostać usunięte z równania.

– Rozumiem. – Agent zamyślił się na chwilę. – Gdzie o tej porze roku przebywają syreny i jakimi dysponujemy tam środkami? Zresztą będę potrzebował dostępu do energii w celu komunikacji i budżetu, nie wspominając o aktualnych danych wywiadowczych.

– Mogę ci dać wszystko oprócz energii – odparł Chansa. – Od kiedy ten kretyn McCanoc dał się zabić, mamy jej bardzo mało i nawet my, członkowie Rady, podlegamy ograniczeniom.

– Jednak wykonanie moich zadań będzie absolutnie niemożliwe bez dostępu do energii – zaoponował agent, zamykając notatnik. – Są też inne kwestie. Dotarcie do syren wymaga statków. Potrzebuję też wojska i kontaktów wśród orek. I, z całym szacunkiem, pracuję tak, że ty, panie, przydzielasz mi zadania, a ja je realizuję. Na swój sposób.

– To dość bezczelne – zauważył Chansa, zaciskając szczęki.

– Przykro mi, jeśli tak to odbierasz, panie. Ale tak właśnie pracuję.

– Czemu nie weźmiesz energii od Demona? – zaimprovizował Chansa. – Nie pracuję już dla lorda Demona, sir – sprostował Conner ze szerokim uśmiechem. – Pracuję dla ciebie. Prośenie jego o energię byłoby impertynencją. A on potrafi bardzo bezpośrednio traktować tego rodzaju sprawy. Chansa roześmiał się i kiwnął głową.

– Dam ci listę tego, czym dysponuję. Znajdź sobie biuro, pełno ich w tym skrzydle. Z tego, co dostaniesz, przygotuj listę, rozsądną listę. A w kwestii

orek rozmawiałem z Celine i postaramy się dla ciebie o paru specjalnych pomocników. Później będziesz już zdany na siebie. I lepiej, żebyś był tego wart.

– Jestem pewien, że okażę się wart pokładanego we mnie zaufania, mój panie – oświadczył Conner.

– Ja nie – burknął Chansa. – Teraz uciekaj.

* * *

Jeden z problemów wiążących się z portalem polegał na tym, że nie dało się zobaczyć, kto jest po drugiej stronie – widać było tylko opalizującą taflę światła.

Kiedy Joel się do niej zbliżył, zaczął się zastanawiać, kim są wszystkie przechodzące przez portal osoby i, skoro już o tym mowa, na jakich zasadach udzielano im pozwolenia na wejście. O ile potrafił się zorientować, praktycznie każdy, kto dotarł do miasta, mógł użyć portalu do penetracji najbardziej prywatnego sanktuarium Sheidy. Uważał, że przejście musi być jakoś chronione, ale nie miał pojęcia, w jaki sposób.

Przed portalem czekała krótka kolejka, stanął więc na końcu, kłaniając się kobiecie przed sobą.

– Jesteś tu nowy – zauważyła tamta. Była niska, ledwie sięgała inspektorowi do ramienia, i delikatnej budowy.

– Wpadłem tylko na chwilę – odpowiedział Joel. – Odbylem spotkanie z Harrym na temat usprawnień w logistyce.

– Jedną wizytą wiele nie osiągniesz. – Kobieta pociągnęła nosem. – Dostarczanie tu świeżego jedzenia jest prawdziwym koszmarem.

– Jesteś kucharką? – zapytał, automatycznie próbując zdobyć informacje.

– Dla Jej Wysokości – wyjaśniła kobieta z nutą dumy. – Idę właśnie porozmawiać z rzeźnikiem. Ostatnia porcja mięsa okazała się po prostu okropna. Nie, żeby Jej Wysokość dużo jadła, prawdę mówiąc, dziobie jak ptaszek, to naprawdę straszne. Próbuję namówić ją, żeby jadła trochę więcej, ale ledwie co skubnie, nawet najlepsze moje wyroby wracają prawie nietknięte. To straszny wstyd.

– Gotujesz też dla reszty kompleksu? – zapytał Joel, kiedy kolejka ruszyła do przodu.

– Nie jestem jedyną kucharką, ale gotuję głównie dla Jej Wysokości – poinformowała go kobieta. – Czasami, gdy urządza duże przyjęcie, zajmuję się i tym. Jest tu co prawda główny kucharz, ale jest strasznie męczący,

prawdziwa primadonna, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Uch-och.

– Ale naprawdę się robi nieprzyjemnie, kiedy Sheida urządza jakiś bankiet. Najpierw dostarczenie przez portal jedzenia, a potem wprowadzenie i wyprowadzenie wszystkich gości. Nie masz pojęcia, ile jedzenia potrzeba na taki bankiet... och, z drugiej strony może wiesz, skoro zajmujesz się logistyką?

– Tak, choć raczej dla większych grup – odpowiedział Joel z życzliwym uśmiechem. – Ale wiesz, jestem bardziej od papierkowej roboty. Nie muszę gotować.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, ile z tym kłopotów. No wiesz, przynajmniej mamy tu przyzwoitą kuchnię, ale i tak jest za mała i przydałyby się większe piece. Na szczęście przed Upadkiem studiowałam prawdziwe gotowanie. Żadne tam przesadnie przyprawione płatki marchewki czy skrawki kurczaka wielkości małego palca, o nie...

Po przejściu przez portal Joel zdołał uwolnić się od kobiety i głośno jęknął w duchu. Nie miał pojęcia, kto odpowiada za kontrwywiad Sheidy, ale zdecydowanie pozostawiał wiele do życzenia. Ci ludzie w ogóle nie myśleli w kategoriach bezpieczeństwa. Dostatecznie złe było to, że starsza kucharka swobodnie wychodziła na zewnątrz, rozmawiając z przypadkowymi osobami. Ale jeśli na portalu nie było jakiegoś filtra, do środka mógł wejść ktokolwiek. Albo cokolwiek. Żadnym problemem nie byłoby wprowadzenie trucizny do jedzenia. A toksyna binarna uwalniana z opóźnieniem mogłaby zabić wszystkich przebywających w kompleksie.

Kusiło go, żeby zawrócić i pójść porozmawiać o tym z Sheidą, ale po chwili namysłu zdecydował się kontynuować misję. W końcu i tak będzie musiał się z nią skontaktować, poruszy wtedy z nią tę sprawę, albo z którymś z jej awatarów.

Odszukał koordynatora transportu i dowiedział się, że smok odleci dopiero późnym rankiem następnego dnia. Zdobył jeszcze informację, gdzie ma się stawić i ruszył do miasta.

Podobnie jak w większości miast po Upadku nie miał problemu z odróżnieniem nowych budynków. Większość wzniesiono z ubitej ziemi, którą w innych rejonach określano mianem suszonej na słońcu cegły. Chian mieściło się u podnóża zachodnich pasm górskich, w miejscu, gdzie stykały się z równinami, ściągając mieszkańców obu rejonów. Pełno było tu pasterzy z równin, odzianych przeważnie w płaszcze z surowej bizoniej skóry, dobrze chroniących przed wczesnojesiennym chłodem, i ludzi, których na własny

użytek nazywał mieszczuchami. Po chwili krążenia po ciasnych uliczkach znalazł punkt wymiany pieniędzy. Mieścił się w jednym z niewielu budynków wzniesionych z kamienia i był wyraźnie stary. Nie tylko powstał przed Upadkiem, ale prawdopodobnie pochodził z na wpół mitycznego okresu osiedlenia. Przed drzwiami stali dwaj strażnicy z krótkimi mieczami, którzy obrzucili go uważnym spojrzeniem, gdy wchodził do środka.

Wnętrze było ciemne, oświetlone wyłącznie przez małe okienka umieszczone wysoko na ścianach. Poczekał, aż jego wzrok dostosuje się do półmroku, po czym podszedł do zakratowanej lady na drugim końcu sali.

– Chciałbym wymienić trochę złota na żetony kredytowe i kawałki srebra – powiedział do kobiety za ladą.

– Zobaczmy je – odparła kobieta, wyciągając wagę i jubilerską lupę. Podał jej jedną ze sztabek złota, zastanawiając się równocześnie, czy tym samym nie zdradza, że przychodzi od Sheidy.

– Mennica federalna – zauważyła kobieta na widok pieczęci na metalu. – Nie widzimy ich tu wiele.

– Ja też nie – odpowiedział Joel ze swoim bezbarwnym uśmiechem. – Wykonałem kontraktową pracę dla federalnych i tym właśnie mi zapłacili.

– Mimo wszystko muszę to sprawdzić. – Pociągnęła nosem. Potarła metal o blok szmerglu, a potem kapnęła na niego kroplę rozpuszczalnika. Przez chwilę coś syczało, po czym przyłożyła do sztabki arkusz z tabelką kolorów. Znowu Pociągnęła nosem i położyła złoto na szalce wagi, cały czas marszcząc brwi. W końcu podniosła wzrok, wyglądając czoło.

– Te sztabki mają ustaloną wartość – oznajmiła, grzebiąc w szufladzie, aż wyciągnęła z niej arkusz papieru. Porównała datę, potem wzruszyła ramionami – Czterysta dwadzieścia trzy kredyty.

– Całkiem dobrze, jak na robotę dla rządu – odpowiedział Joel. Chciałbym to dostać w możliwie jak najmniejszej paczce.

Kobieta otworzyła szufladę z pieniędzmi i wyciągnęła z niej kilka banknotów, brązowe monety z wybitym wzorem i trochę srebra w nieregularnych kawałkach. Umieściła srebro na wadze, dodała odrobinę, po czym przesunęła całą kupkę pod kratami.

– Trzysta kredytów w banknotach. – Policzyła banknoty. – Pięć monet dwudziestokredytowych i dwadzieścia trzy w srebrze.

– Tego jeszcze nie widziałem – przyznał Joel, podnosząc banknot. Na jednej jego stronie wydrukowano orła ZWS, a po drugiej umieszczono podobiznę nie znanej mu osoby. Przez cały banknot biegł napis: „Pięćdziesiąt kredytów”. Potarł banknot w palcach, ale druk pozostał na miejscu.

– To nowa waluta kredytowa rozprowadzana przez rząd – wyjaśniła kobieta. – Wszędzie w ZWS można to wymienić na pięćdziesiąt kredytów. Jeśli trafisz do jednego z miast niestowarzyszonych, większość też je akceptuje.

– Wydaje się kiepskim zamiennikiem złota – wyraził powątpiewanie Joel.

– No cóż, jeśli przyjdiesz z tym do nas, damy ci tyle samo minus dwa procent prowizji – uspokoila go kobieta, najwyraźniej przyzwyczajona do wyjaśniania takich rzeczy nowicjuszom. – Albo jeśli założysz u nas konto, rezygnujemy z prowizji.

– Czyli działacie również jako bank?

– Tak, mamy koncesję federalną i działamy w ramach porozumienia z Idioma – wyjaśniła kobieta. – Trochę się zmieniło po podpisaniu karty, ale niewiele. I jesteśmy ubezpieczeni od strat, co jest miłym uczuciem. Po Upadku obrabowano już zbyt wiele banków i kantorów. Teraz to przestępstwo federalne, a inspektorzy będą ścigać aż na kraj świata każdego, kto obrabuje bank federalny.

– Albo do granicy jednego z terytoriów Paula – zauważył Joel. – Dobra, wezmę to. Czy może mi pani zasugerować jakieś miejsce na nocleg? Jutro wyjeżdżam.

– Hotel Brixton jest miły – zaproponowała, wskazując na lewo. – I dają dobre jedzenie.

– Dziękuję za pomoc. – Joel zebrał gotówkę i schował ją do kieszeni. – Szkoda, że nie mogę otworzyć konta.

– Cóż, może jeśli spędzi pan tu trochę więcej czasu – powiedziała kobieta. – Chian szybko rośnie, prawie jak druga stolica. Zawsze jest tu jakaś praca.

– Wezmę to pod uwagę – odparł. – Życzę miłego dnia.

– A czym właściwie się pan zajmuje? – zapytała.

– Zlecenia kontraktowe – odparł Joel, odwracając się. – Lubię myśleć o tym jako o... sprzątaniu.

* * *

Mężczyzna używający aktualnie nazwiska Martin St. John popijał zdumiewająco dobre wino i rozglądał się po zatłoczonej tawernie. Nie planował obrabiać nikogo w tłumie. Kupiec z Bretonii, który miał pecha natknąć się na pozornie przyjaznego młodzieńca na drodze z Setran, wracał z

udanej podróży handlowej. To właśnie odebranymi kupcowi bryłkami srebra, z których każda miała rozmiary kostki palca – stanowiły one preferowaną w Ropazji walutę, znacznie pewniejszą od ulegających inflacji papierowych banknotów Nowego przeznaczenia – zapłacił za kiepski gulasz i dobre wino do jego popicia.

Wino zresztą stanowiło powód istnienia tawerny. Budynek dosłownie od tysiącleci stał na skrzyżowaniu dróg, początkowo jako oberża z czasów wojny stuletniej, potem prywatna rezydencja, utrzymywana przez wieki. Jej ostatni właściciel wykorzystał piwnicę z winami i wiszący nad kominkiem antyczny miecz do przywrócenia jej po Upadku statusu gospody. Do czasu, aż przybyły tu legiony Przemienionych Nowego Przeznaczenia i przybytek przeszedł w ręce jego popleczników.

Przed nastaniem nowych właścicieli jedzenie podawano zdecydowanie lepsze. Ale wina w piwnicy zostały te same. A z czasem może nauczą się, jak robić przyzwoity gulasz.

Na razie jednak musiało mu to wystarczyć. Schronił się przed padającym na zewnątrz deszczem. Miał pełny brzuch, a dojrzałe czerwone wino wprowadzało go w prawie towarzyski nastrój.

Aż do chwili, gdy otworzyły się drzwi gospody i do wnętrza weszła z deszczu wysoka, szczupła postać.

Przybysz zdjął kapelusz z szerokim rondem i otrząsnął go z wody, rozglądając się po sali niemal całkowicie białymi oczami. Widząc jego postawę i oczy, klienci gospody pospiesznie odwracali od niego wzrok. Ucichłe na chwilę rozmowy wybuchły ponownie z nienaturalnym ożywieniem.

Martin łudził się, że mężczyzna szuka kogoś innego. Ale nowo przybyły zauważył jego wzrok i uśmiechnął się przyjaźnie, po czym ruszył ku niemu przez zatłoczoną salę.

– Brat Martin – odezwał się Conner. – Cóż za przyjemna niespodzianka.

– Niespodzianka, jak cholera – ponuro odpowiedział Martin. – Czego u diabła chcesz?

Bractwo Róży powstało przed Upadkiem. W tamtych czasach bardzo niewiele istniało powodów do uprawiania przestępczości. Wymagała ona zarówno szczególnej przebiegłości, jak i głębokiej potrzeby zadawania cierpień. W sytuacji, kiedy można było mieć dosłownie wszystko, zbrodnia przybierała naprawdę niezwykle kształty.

Dla Bractwa była to gra, sposób na umilenie czasu między narodzinami a śmiercią w świecie przepełnionym luksusem. Pozbawienie kobiety

dziewictwa i zdradzenie jej zaufania, odkrycie jedynej rzeczy, którą ktoś umiłował i odebranie mu jej, czy morderstwo w świecie, w którym wszyscy chronieni byli polami energetycznymi, nanity neutralizowały trucizny, a leczenie było praktycznie natychmiastowe, wymagało przebiegłości i specjalnych umiejętności, zwłaszcza że garstka wciąż działających policjantów Rady miała dostęp do technik śledczych, którym niewiele brakowało do magii. A kwestią punktacji między „braćmi” było popełnianie takich rzeczy z klasą.

W Bractwie Conner zdobył naprawdę zdumiewającą sumę punktów.

Martinowi umiejętności, które w sobie rozwinął, zapewniły po Upadku ciepło, jedzenie i maksymalny komfort, jaki możliwy był w tym zdegenerowanym świecie. Zdał sobie teraz sprawę, że wszystko to mogło się właśnie skończyć. Albo nie.

– Jak sobie radzisz? – zapytał Conner, siadając po drugiej stronie stołu i krzyżując nogi. Zamachał do obsługującego chłopaka, który wyglądał na zaganianego przez klientów, i znów spojrzął na Martina. – Jak ci leci?

– Och, wiesz – odpowiedział Martin, rozpierając się wygodniej. – Jakoś sobie radzę. To tu, to tam.

– Tak – potwierdził Conner z uśmiechem. – Nie wątpię. Usłyszałem po drodze trochę plotek. Wygląda na to, że jakiś lokalny kupiec został napadnięty przez zbójów. Coś okropnego. Paul robi wszystko, co może, żeby na kontrolowanych przez siebie terenach ograniczyć przestępczość. Jestem pewien, że zbrodniarz zostanie szybko złapany.

Martin spróbował nie przetykać zbyt głośno, pijąc wino, które nagle nabrało smaku octu. Przed Upadkiem złapanie prowadziło zazwyczaj do ścisłego nadzoru. W ekstremalnych przypadkach – a wiedział, że kwalifikował się to tej kategorii – możliwe było kasowanie mózgu z ukształtowaniem u kryminalisty miłej, przyzwoitej osobowości.

Po Upadku przestępstwa stały się zasadniczo sprawą lokalną. Jeśli złodzieja złapano, okoliczna ludność miała skłonność do bezpośrednich i ostatecznych rozwiązań. Sznur był tani i dawało się go użyć wielokrotnie.

Sytuacja zmieniła się diametralnie z nadejściem legionów Paula. Ten potrafił wykorzystać każdego bardziej produktywnie, niż robiąc z niego stracha na wróble. Jego legiony zawsze potrzebowały nowych rekrutów oddających energię własnych ciał, by ulec Przemianie w brutalne, bestialskie istoty stanowiące podstawę jego armii.

Oczywiście proces obejmował również wyczyszczenie mózgu, jednak zamiast miłej, uprzejmej osobowości i prostego życia były złodziej stawał się

po prostu kolejnym wysyłanym do obozów orkiem.

– Z pewnością – zgodził się. – A co u ciebie?

– Cóż, muszę się przyznać, że znalazłem sobie pracodawcę – oznajmił Conner, przyjmując kubek wina przyniesiony przez zaganianego posługacza.

– Choć ciężko mi przyzwyczać się do myśli, że stanąłem po stronie władz.

– Władz, jasne – prychnął Martin. – Już widzę, jak ustawiasz się w kolejce po wypłatę.

– Ale przyznasz chyba, że regularne jedzenie i pieniądze na kupowanie odzieży... – powiedział, patrząc znacząco na wytarte ubranie swego kompana – mają swoje zalety. Zwłaszcza że jak dotąd praca zdecydowanie mi odpowiada.

– Aż boję się myśleć o liczbie trupów – rzucił Martin.

– Tak się składa, że aktualnie mam zbyt wiele zadań, by ze wszystkimi uporać się osobiście. Przekonałem więc mojego pracodawcę, że potrzebuję odpowiednich... pomocników. Takich jak ty.

Martin przyglądał mu się przez chwilę, potem wzdrygnął się.

– Nie. Nie wiem, w jaki przekręt się wcisnąłeś, ale jestem pewny, że absolutnie nie mogę ci ufać. Myślę, że zostanę przy pracy na własny rachunek.

– Dodam – ciągnął dalej Conner, praktycznie go ignorując – że oferta obejmuje darowanie win za wszystkie przestępstwa, których mogłeś się dopuścić w przeszłości, niewątpliwie przypadkiem. Popełnionych przeciw aktualnemu rządowi Nowego Przeznaczenia. – Conner uśmiechnął się otwarcie i życzliwie. – Takich jak nieszczęsny los pewnego kupca na drodze do Setran.

– Dla kogo ty u diabła pracujesz? – zapytał Martin, mrużąc oczy.

– Oczywiście, że dla Nowego Przeznaczenia. – Conner uśmiechnął się. – Taka nowa i świeża nazwa, nie sądzisz? Zgódź się, to będzie dla ciebie wspaniała okazja.

Martin zacisnął szczęki i pociągnął kolejny łyk wina, po czym kiwnął głową.

– Dobra, co to za praca?

– Wygląda na to, że te łobuzy ze Zjednoczonych Wolnych Stanów zaczynają interesować się pewną flotą, którą budujemy na wybrzeżu – zaczął Conner.

Martin tylko kiwnął głową. W promieniu stu kilometrów od oceanu dawało się zauważyć wzmożony ruch legionów Przemienionych i całego zaopatrzenia dostarczanego dla nich oraz dla tworzącej się floty okrętów.

– Zdają się przy tym uważać, że mogą im pomóc syreny – mówił dalej Conner. – Oprócz innych spraw przydzielono mi zadanie dopilnowania, by syreny, a dokładniej pewna ich grupa, nie sprzymierzyły się z ZWS. W taki czy inny sposób.

– Gdzie siedzą te syreny?

– To jest ta miła część – stwierdził brat Conner. – Wygląda na to, że przebywają w okolicach wysp w pobliżu Flory. Możesz się więc cieszyć perspektywą odprężającej podróży morskiej i miłymi wakacjami w tropikach.

– Sam wiele nie osiągnę – zauważył Martin, choć biorąc pod uwagę padający na zewnątrz zimny jesienny deszcz, perspektywa tropikalnych wakacji wyglądała pociągająco.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Conner. – Będziesz... zarządzał grupą orek i nowej odmiany Przemienionych nazywanych ixchitl. Ty będziesz dowodził. Mam flotę sześciu okrętów, które zawiozą cię na spotkanie z nimi, a później na wyspy. To jedne z pierwszych ukończonych, a będziesz też dysponował oddziałem Przemienionej piechoty morskiej. Powstrzymaj sojusz z syrenami, wybij ich, jeśli będzie trzeba, i równocześnie zniszcz grupę z ZWS oraz całą ich flotę. Nasze informacje sugerują, że wysyłają nowy rodzaj okrętu, „smokowiec”. Smoki, a właściwie wywerny, nie powinny stanowić problemu, bo nie mają jak atakować statków. Czy wszystko to jest dla ciebie dostatecznie jasne, czy muszę ci to spisać słowo po słowie?

– Nie, rozumiem. – Martin popatrzył na oblewane deszczem okna. – Kiedy Wyjeżdżam?

Rozdział 5

Jason wyhamował, zatrzymując się obok i nieco powyżej Czarnego Bruce'a, który obserwował grupę naprawiających jedną z sieci rybackich syren i trytonów. Jedyny nadający się do produkcji sieci materiał był beznadziejny, stanowił rodzaj długich wodorostów – tak naprawdę zielonych alg – a ich łodygi były miękkie i łatwo się rwały. Po splecieniu tworzyły w miarę skuteczną sieć, o ile, tak jak w tym przypadku, nie próbowano złapać w nią ławicy dorado będących jednymi z najszybszych ryb w morzu.

Jednak to dzięki sieciom, łapaniu langust i zbiorom morskich śliwek oraz grupie myśliwych w rodzaju Jasona, polujących na duże ryby za pomocą harpunów z ości, udawało im się bronić przed głodem. To było mniej więcej wszystko, co dało się powiedzieć o szczęśliwym życiu syren. Och, i Dzieło trwało dalej.

– Płyną ludzie Wolności – zapulsował Jason. Syreny, w przeciwieństwie do delfinów i innych ssaków morskich, używały skrzeli i nie dysponowały powietrzem do generowania impulsów sonarowych. Zamiast tego miały umiejscowioną w przewodach nosowych części twarzowej małą kość, podobną w kształcie do tej z ucha wewnętrznego. Mogły wysyłać do niej polecenia, a kość przekształcała ich słowa na impulsy sonarowe wysokiej częstotliwości. Nadawała się też od biedy do manewrowania przy braku widoczności, na przykład w ciemnej jaskini czy mulistej wodzie. Do pewnego stopnia potrafiły także odbierać i przetwarzać obrazy sonarowe stworzone przez delfinoidy, dysponujące znacznie bardziej zaawansowanym systemem. Jednak w rozmowie syreny korzystały ze skrótów słownych.

– Przeznaczenia też – odpowiedział Bruce.

Przydomek Czarny wziął się z żartu, który krążył za jego wczesnych lat bycia trytonem. Powiedział wtedy, że prawdziwym powodem, dla którego Przemienił się w trytona, była chęć odszukania skarbu starożytnego pirata nazywanego Czarnobrodym i spędził na tych poszukiwaniach sporo czasu. Bo czarny zdecydowanie nie był. Skórę miał prawie idealnie białą, blond włosy, a sekcję ogonową pokrywały złote łuski. Jednak ktoś nazwał go Czarnobrodym i przydomek się przyjął, nawet po tym, jak stał się jednym z liderów Dzieła, praktycznie niekończącego się projektu przywracania raf koralowych do stanu sprzed pojawienia się człowieka.

Upadek niewątpliwie ograniczył Dzieło. Nawet Czarny Bruce musiał przyznać, że polowanie i zbieranie pożywienia na rafach stało się

koniecznością, a nie barbarzyńskim hobby. A śliwki morskie, stworzony przez ludzi uniwersalny chwast, wcześniej bezlitośnie rugowany, pielęgnowano teraz równie troskliwie, jak syrenie dzieci. Jednak Dzieło nie ustawało.

Czarny Bruce był jednym z najbardziej szanowanych członków syreniej społeczności i bardzo aktywnym zwolennikiem kontynuowania Dzieła w zakresie ich możliwości. Wśród syren przyjęto, że Dzieło jest ważniejsze niż wszelkie chwilowe spory potęg na górze.

Zdarzało się, że Jason zastanawiał się, czy w życiu nie ma czasem czegoś więcej niż Dzieło. Na przykład próba uniknięcia zadeptania przez strony nadciągającej wojny.

– Będzie walka – powiedział Jason.

– Walka/porażka – odpowiedział Bruce. – Zawsze walka/porażka. My neutralni. Neutralni zostaniemy.

– Wolność... – odezwał się Jason.

– Przeznaczenie! Wolność! Walka/porażka! Zostaniemy neutralni! – To ostatnie powiedziane zostało z falą dźwięku zapożyczoną od delfinów. W tonowym skrócie znaczyło to: „To ja jestem przywódcą, nie ty, i będziesz posłuszny!”.

Jason jednakże rozpoznał kryjący się za tym wszystkim ton matki morświna udzielającej nagany dziecku i zdecydowanie mu się to nie spodobało. Jednakże nie bardzo miał jak odpowiedzieć.

– Polować – odparł z pogardliwym gestem w stronę sieci. – Potrzeba jedzenia. Zostać neutralny. – Po tym odwrócił się i energicznie machnął ogonem, dostatecznie mocno, by fala wody obmyła starego trytona.

Jeśli Bruce uznał to za zniewagę, Jason się tym nie przejął. Właściwie kusilo go, żeby nasikać w odrzucaną wstecz wodę.

* * *

Herzer odrzucił ofertę zjedzenia kolacji z Edmundem i zamiast tego ruszył w stronę kantyny oficerskiej. Za żeton kredytowy dostał tam rozgotowany i przesolony kawałek wołowiny, brylaste puree ziemniaczane z lekko przypalonym sosem i rozgotowane na papkę warzywa. Pocięszył się jednak, że i tak wszystko jest lepsze od małpy na patyku. W kantynie nie zauważył żadnych przyjaciół, a nawet osób znanych tylko z widzenia było zaledwie parę. Sprawdził później u dyżurnego i przekonał się, że aktualnie w koszarach nie przebywał nikt z jego klasy, choć niewielu ich zostało jeszcze

przy życiu. Po kolacji udał się do swojego pokoju, niepewny, gdzie iść i co robić. Mógł sobie odpuścić i pójść się urządzić w klubie oficerskim, ale niezbyt go to pociągało. Co prawda w okolicy zawsze kręciły się jakieś kobiety i jeśli błysnie medalami, może uda mu się którąś zaciągnąć do łóżka. Ale lubił uważać, że jest ponad to. Leżał z ręką założoną za głowę i w zamyśleniu wystukiwał rytm protezą. Powinien przyjąć zaproszenie na kolację od Edmunda. Ledwie przywitał się z Rachel i Daneh, które były jednymi z najbliższych mu żyjących osób. Mógł też pójść do baru, bo jeśli trochę sobie wypije, to przynajmniej ominą go kłopoty z uśnięciem. Zasadniczy problem stanowił fakt, że do tego stopnia przyzwyczyił się do nieustannego nadmiaru zajęć, że zapomniał już, co się robi z wolnym czasem.

W końcu ściągnął tunikę i otworzył ścienną szafkę. Dwa razy sprawdził, zanim upewnił się, że nie ma absolutnie żadnych cywilnych ubrań.

– Herzer, zdecydowanie za głęboko się w tym pograżasz – wymamrotał. W końcu wyciągnął połowę tunikę i pelerynę, po czym wyszedł na zewnątrz.

Ruszył w stronę tawerny Tarmaca, ale ulegając impulsowi, skręcił w stronę publicznych łaźni. Kiedy się do nich zbliżył, zatrzymał się i zagwizdał. W miejscu, gdzie kiedyś wznosił się mały zestaw trzech drewnianych budynków, teraz stał kompleks przynajmniej pół tuzina. A sądząc po ruchu, w środku bawiła się połowa miasta.

Ruszył do głównego wejścia i przeszedł przez jedno z kilku drzwi. Za nimi znajdował się mały ogrzewany przedpokój, w którym, przed przejściem przez wewnętrzne drzwi, zdjął pelerynę. Pomieszczenie pachniało chlorem i szczerze mówiąc, było przegrzane. Wzdłuż ścian po obu bokach ustawiono stoły, za którymi siedziało przynajmniej po sześć osób. Żadnej nie rozpoznał i miał nadzieję, że one też go nie znały. Podeszedł do stołu po prawej, gdzie kiwnęła mu głową nastoletnia dziewczyna w stroju kąpielowym.

– Rety, duży jesteś – powiedziała z uśmiechem. – Jeszcze cię tu nie widziałam.

– Nie było mnie tu od... – Musiał przez chwilę pomyśleć. – Och, przynajmniej dwóch lat. Obawiam się więc, że musisz mnie przeprowadzić przez procedury.

– Och, niestety, muszę tu zostać, bo chętnie bym to zrobiła. – Uśmiechnęła się. – Ale wiele się nie zmieniło. – Sięgnęła pod stół i wyciągnęła torbę oznaczoną skomplikowanym symbolem z przypiętym drewnianym markerem. – Weź torbę, przejdź przez drzwi. Są tam przebieralnie i ręczniki. Weź ręcznik, umieść swoje rzeczy w torbie i oddaj ją pracownikowi. Zapieczętuje ją, a ty zachowujesz znacznik.

– Co jest w tych wszystkich budynkach?

– No cóż, są tam prysznice i proszę, pamiętaj o wysikaniu się i skorzystaniu z prysznica przed wejściem do wanny – powiedziała, robiąc groźną minę. – W jednym budynku mieszczą się łaźnie tylko dla kobiet, w drugim tylko dla mężczyzn, są oznaczone. Sala z basenem jest dla obu płci. Można tam też zjeść. I jeszcze centrum gimnastyczne.

– Centrum gimnastyczne? – zapytał Herzer. – Zaczynam się gubić. Ludzie chodzą tu w strojach kąpielowych?

– Niektórzy tak, inni nie – dziewczyna uśmiechnęła się. – Można je kupić w sklepiu, zaraz za rogiem – dodała, wskazując kierunek.

– Myślę, że zacznę od odwiedzin w sklepiu – zdecydował Herzer.

Poszedł zgodnie ze wskazówkami dziewczyny i znalazł całkiem spory magazyn. Mieli tam nie tylko stroje kąpielowe, ale i pełną linię kosmetyków, mydeł, szamponów, ręczników z logo Raven's Mill, a nawet koszulek i kubków. Wziął do ręki jeden z tych ostatnich i skrzywił się. Na ceramicznym kubku wypalono napis „Raven's Mill, dom Panów Krwi”.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał kobiecy głos zza pleców.

– Morgen! – zawołał, odwracając się. – Myślałem, że uciekłaś do innego miasta!

Morgen Kirby miała około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu i była szczupłym rudzielcem. Zaraz po Upadku, zanim wstąpił do Panów Krwi, przeżyli krótki związek. Bardzo krótki. W zasadzie trwał pół dnia, pod koniec którego ostro się pokłócili. W tej chwili nie potrafił sobie przypomnieć o co.

– Owszem – powiedziała, krzywiąc się. – Przeniosłam się do Resan.

– O, cholera – było wszystkim, na co potrafił się zdobyć Herzer. Resan było jednym z pierwszych miast zaatakowanych przez siły Dionysa McCanoca, a ponieważ rada miejska przyjęła politykę „całkowitego odrzucenia przemocy”, jego siły przeszły przez nie jak gorący nóż przez masło. A to przypomniało mu, o co się pokłócili. – Przykro mi. Nie wiedziałem. Jak... – Urwał niepewny, co powiedzieć dalej.

– McCanoc zaatakował tuż przed świtem. Pracowałam dla jednego z bogatszych ludzi w mieście i wyszłam wtedy na farmę po mleko. Pani Tabitha musiała codziennie na śniadanie mieć świeże mleko.

– A więc uciekłaś – odetchnął Herzer.

– Nie... całkiem nietknięta. – Skrzywiła się. – Potem poszłam do Washan, ale kiedy razem z Edmundem pokonaliśmy McCanoca, uznałam, że wolę znaleźć się z powrotem w Raven's Mill. Nawet jeśli ja mam nie po kolei w

głowie, to przynajmniej mogę siedzieć gdzieś, gdzie inni mają. – Urwała, po czym wzruszyła ramionami. – Miałeś rację. Shilan, Cruz i cała reszta też. Ten świat nie pozwala na pokojową niewinność. Jest na nim zbyt wielu złych ludzi. Zawsze spodziewałam się, że kiedyś przyjdiesz i zaczniesz się chełpić. Ale po jakimś czasie doszłam do wniosku, że chyba nie jesteś tym typem człowieka.

– Owszem, nie jestem – zgodził się Herzer. – Jestem z tych, którzy się martwią. Właściwie to nawet myślałem już dzisiaj o tobie. Widziałem Cristal, jest sekretarką Edmunda.

– Co do niej też miałeś rację – prychnęła. – Faktycznie zazdrościła mi, że jestem z tobą. Kiedy wróciłam, byłam trochę roztrzęsiona i próbowała mnie „pocieszać”. Co było z jej strony dużym błędem. Przekonała się, jak bardzo przeszło mi „unikanie przemocy”.

– Uch... – Herzer podrapał się po policzku i zmarszczył czoło. – Ja... cóż, mamy szkolenia o traumach po walce. Wiesz, naprawdę powinnaś porozmawiać z jakimś doradcą...

– Rozmawiałam – uśmiechnęła się. – Przez cały cholerny rok chodziłam na spotkania grup urazów po gwałcie. Właściwie staram się o pozycję młodszego doradcy, a pani Daneh sądzi, że mi się uda. – Nagle znów się zmarszczyła i spojrzała na jego protezę. A co u diabła ci się stało? Gdzie twoja ręka?

– McCanoc – wyjaśnił Herzer, wzruszając ramionami i podnosząc sztuczną rękę. – Proteza jest w porządku, ma zatrzask na tarczę, co dość ułatwia sprawę. W niektórych sytuacjach prawie lepsza od ręki.

– Nie wiedziałam. – Znów się zmarszczyła, przyglądając się kleszczom i hakowi z błyszczącego metalu.

– Pracujesz tu? – zapytał Herzer, zmieniając temat.

– Pracuję. – Wzruszyła ramionami, wciąż patrząc na protezę ze zmartwioną miną. – Trzy wieczory w tygodniu. A za dnia w tartaku. Szukałeś mnie czy...?

– Prawdę mówiąc, szukałem stroju – przyznał. – Nie byłem w łaźni od roku czy dwóch i widzę, że naprawdę dużo się tu zmieniło.

– Nie aż tak, jak mogłoby się wydawać – uśmiechnęła się. – Niektórzy używają na basenie strojów, inni nie. I szczerze mówiąc, nie sądzę, żebyśmy mieli coś na twój rozmiar.

– Oto całe moje życie – westchnął.

– Cóż, nigdy nie byłeś bardzo typowym facetem.

– No cóż, w takim razie pewnie będę musiał się przełamać – postanowił.

– Przez ponad rok byłem w Harzburgu, a tam mają dość purytańskie zasady dotyczące nagości. Pewnie coś z tego na mnie przeszło.

– Och, nie wątpię, że wrócisz na występne drogi Raven's Mill. – Znow szeroko się uśmiechnęła.

– No cóż... zobaczymy się później?

– Może – odparła, wzruszając ramionami. – Ja... nie jestem pewna, czy dobrze byłoby to znow zaczynać. Już... mi przeszło, ale nie tak do końca.

– Wierz mi, rozumiem. – Herzer zmarszczył brwi. – Sam nigdy tego nie przeżyłem, ale dostatecznie często stykałem się z ofiarami. Dbaj o siebie i... jestem tu. Ramię, łóżko, miecz, dobra?

– Dobra – powiedziała z dołeczkami na policzkach. – Idź się bawić.

– Bawić, jasne – powtórzył, zawieszając torbę na ramieniu.

Przebieralnia również się zmieniła. Wcześniej była otwartym pomieszczeniem, teraz wyposażono ją w zamykane kabiny. A na jego ubranie i rzeczy czekało dwóch szatniarzy. Z wcześniejszych doświadczeń wiedział, że raczej nie groziło mu grzebanie w torbie, więc po chwili namysłu wsadził do niej również sakiewkę z pieniędzmi. Następnie owinał się w talię ręcznikiem i przeszedł przez drzwi z tabliczką „Prysznice”.

Kolejne zmiany. Zamiast jednego rzędu wspólnych sitek stały tam teraz indywidualne kabiny. W pomieszczeniu przebywali mężczyźni i kobiety i kiedy wysoka gibka blondynka wyszła z kabiny całkowicie naga, wreszcie zaczął czuć się trochę swobodniej. Mimo wszystko przed wyjściem spod prysznic z powrotem owinał się ręcznikiem.

Za prysznicami trafił na korytarz z kilkoma drzwiami. Jedne opisano „Łaźnia męska”, drugie „Łaźnia damska”, a trzecie „Basen”. Wszedł do łaźni dla mężczyzn i zobaczył rząd dużych drewnianych wanien przypominających wcześniejsze. W którejś z ostatnich siedziało kilku mężczyzn, ale nie rozpoznał żadnego z nich, więc wyszedł skręcając do basenu.

Właściwie nie był pewien, czego się spodziewać, ale i tak przeżył całkowite zaskoczenie. Długie pomieszczenie musiało zajmować największy z budynków, a jego ściany pokryto boazerią i obwieszono lampami. Z sufitu zwisały kolejne lampy, a w kilku miejscach ustawiono okrągłe metalowe piecyki z kominami wyprowadzającymi dym przez dach. Podłogę wyłożono kafelkami, a dużą jej część zajmowało dziewięć wpuszczonych w ziemię basenów różnej wielkości. Rozstawiono tam też ławy i niskie stoły, przy których siedziało całkiem sporo ludzi. Głośne rozmowy wypełniały zgiełkiem całą salę.

Zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się, próbując ocenić panujące standardy odzieżowe, ale chyba nie było tu czegoś takiego. Niektórzy mieli na sobie stroje kąpielowe, ale większość, niezależnie od płci i wieku, pozostawała nago. Blondynka w kostiumie tak skąpym, że równie dobrze mogłaby nie mieć na sobie niczego, rozmawiała z równie nagim mężczyzną. Dwóch mężczyzn w kąpielówkach gawędziło z dziewczyną, która rozebrana wyszła spod prysznic. W końcu rozpoznał jednego z instruktorów z Akademii i ruszył w jego stronę, kiedy usłyszał nagle, jak ktoś wykrzykuje jego imię i nieoczekiwanie jego ramiona wypełniła naga kobieta.

Miał takie problemy z podjęciem decyzji, co zrobić z ręką i hakiem, że chwilę trwało, zanim ją rozpoznał.

– Shilan! – krzyknął. – Rety, dobrze znów zobaczyć jakąś znajomą twarz. – Hsu Shilan, szczupła brunetka, wspólnie z nim uczestniczyła w programie uczniowskim. Związał się z nią luźno do czasu wstąpienia do Panów Krwi, wtedy praktycznie stracili ze sobą kontakt. Kiedy ostatni raz słyszał o Shilan, była projektantką odzieży w jednej z tkalni. Od tamtego spotkania przybrała nieco na wadze, ale ponieważ wcześniej była prawie anorektycznie chuda, dobrze na tym wyszła. Zbyt dobrze. Herzer stwierdził, że gładzi ją po plecach i pożałował, że nie ma na sobie więcej odzieży.

– Cóż, gdybyś przez jakiś czas został w mieście – powiedziała surowo. Jeśli zwróciła uwagę na sposób, w jaki gładzi ją po plecach, tylko jeszcze mocniej się o niego oparła.

– Wola mego pana – odparł, ostrożnie zabierając dłonie, w obawie, że da się ponieść. – Idę tam, gdzie mi każą. Tym razem przez półtora roku byłem w Harzburgu.

– Nie poznałeś jeszcze mojego męża, Davida. – Pociągnęła go do jednego z basenów.

– Męża?

Jeden z mężczyzn siedzących w niecce wychylił się z wody i wyciągnął rękę.

– Czyli to ty jesteś Herzer Heniek – odezwał się. Ściskając jego dłoń, Herzer zauważył, że była miękka, a jej właściciel jakiegoś dwa razy mniejszy od niego. Gdyby więc przyszło co do czego, prawdopodobnie mógłby wyrzucić Davida przez najbliższą ścianę. Mimo wszystko zamierzał być maksymalnie uprzejmy i poprawny. Do diaska. Samotna misja w Harzburgu oznaczała, że musiał dbać o reputację sił federalnych. I choć starożytny generał powiedział kiedyś, że „żołnierz, który się nie łajdaczy, nie będzie walczył”, Harzburżanie byli tak nadętymi dupkami, że przez cały rok musiał

odstawiać świętego. To był *bardzo* długi rok.

– Shilan mnóstwo mi o tobie opowiadała – mówił David.

– To wszystko kłamstwa i wierutne kłamstwa – oświadczył Herzer, przykucając najskromniej jak mógł z ręcznikiem wciąż owiniętym wokół bioder. Shilan wsunęła się z powrotem do basenu, ale jej piersi, zdecydowanie krągłejsze i pełniejsze niż wtedy, kiedy Herzer widział je po raz ostatni, nadal były odsłonięte.

– No chodź – odezwała się Shilan, machając z basenu. – Wskakuj. Woda jest świetna.

– Uch... – Sto dwadzieścia osiem razy trzy daje... trzy razy osiem, dwa dalej... Zanim w połowie rozwiązał równanie, dotarł do punktu, w którym nie powinien już ściągnać na siebie wstydu i rozwinął ręcznik.

– Widzisz, mówiłam ci, że ma sprzęt jak muł – powiedziała ze śmiechem Shilan. I to by było na tyle, jeśli chodzi o zawstydzanie.

– Tak, a powodem, dla którego nigdy nie zostaliśmy parą, był fakt, że zobaczyła mnie nago pod prysznicem i zemdląła – rzucił szybko Herzer.

– Może z podniecenia – roześmiał się David. – Widzę, że niektórzy tu dali się przed Upadkiem „poprawić”.

– Naturalne geny – zaprzeczył obronnym tonem Herzer. – Miałem sztucznie zbudowane mięśnie, ale tylko dlatego, że chorowałem i ulegały degeneracji. Ćwiczyłem, ale nic z tego nie wychodziło. Kiedy zostałem wyleczony, zrobiłem sobie modyfikację ciała, ale wyłącznie na mięśnie. A potem je utrzymywałem. Reszta to geny. Ogólny rozmiar i... szczegóły.

– Duże dłonie – zachichotała Shilan. – O to ci chodziło?

– Dłoń – poprawił Herzer, wskazując na protezę.

– Przepraszam – powiedziała nagle skruszona Shilan.

– Żaden problem, rewelacyjnie się sprawdza przy otwieraniu piwa. – Herzer wzruszył ramionami.

– Ty jesteś Herzer Herrick? – Do basenu wsunęła się kobieta, którą zobaczył w pomieszczeniu z prysznicami. Przyglądała mu się teraz z zagadkowym uśmiechem. Wyglądała, jakby miała niewiele ponad dwadzieścia lat, ale jej ruchy były tak gładkie i precyzyjne, że musiała mieć bliżej setki. – Spodziewałam się kogoś... starszego.

– Do usług, pani...?

– Panno – poprawiła z uśmiechem kobieta. – Stephanie Vega. – Podała mu rękę, wyciągając się na całą długość wodnego oczka.

Była wysoką i szczupłą blondynką, najwyraźniej prawdziwą – a przynajmniej albo przetransformowała sobie geny, albo bardzo często

stosowała farbę – o pozbawionej bioder i pośladków sylwetce, bardzo modnej przed Upadkiem. Twarz miała odrobinę zbyt idealną, by była naturalna. Herzer bynajmniej nie wyrzuciłby jej z łóżka nawet za jedzenie krakersów. No, może gdyby bardzo przy tym kruszyła.

– I tak, jestem Herzer Herrick – potwierdził młodzieniec, posyłając jej swój patentowany uśmiech wielkiego głupka. Dla większości kobiet duży równało się głupi, a skoro tego chcieli, to czemu nie.

– Pan Krwi? – pytała dalej, szerzej otwierając oczy, jakby wciąż nie do końca mu wierzyła. Źrenice miała tak bardzo rozszerzone, że trudno było zauważyć zielen jej tęczęwek.

– Można by powiedzieć, że Pan Krwi Panów Krwi – wtrąciła się Shilan. – Przy rekrutacji pytają: „Myślisz, że możesz być tak dobry jak on?”.

– Wcale nie wątpiłam – zaprzeczyła Stephanie, uśmiechając się rozbijającą i z powrotem opierając o ścianę basenu. – Ale te historie, które się słyszy...

– Jemy dzieci wyłącznie, gdy są szczególnie chrupkie – rzucił Herzer. Kobieta emanowała wdziękiem, co nagle uaktywniło w nim wszystkie alarmy.

– Walczyć aż do śmierci i cała ta reszta – skomentowała Stephanie. – Byłeś poza miastem?

– Harzburg – wyjaśnił. – Świetne miejsce na odwiedzinę, ale raczej nie chciałabyś tam mieszkać.

– Co robiłeś? – zapytała Shilan.

– Tarson opowiedziało się po stronie Nowego Przeznaczenia. – Herzer wzruszył ramionami. – Napadali na Harzburg. Ci zażądali pomocy. Dostali mnie.

– Jedna wojna, jeden Pan Krwi? – zapytała Stephanie.

– Jedna pomniejsza kampania – sprostował, marszcząc brwi. – Mieli trochę problemów ze swoim „wsparciem”. Z czasem je przewyciężyli.

– Jak to wyglądało? – spytała Stephanie, znów nachylając się i kładąc pod wodą dłoń na jego kolanie.

To był bardzo długi rok, więc powtórzył sobie w pamięci kolejne operacje mnożenia.

– Tarson wysyłało grupy atakujące okoliczne farmy – wyjaśnił. – Słuchaj, naprawdę chcesz poznać szczegóły?

– Co do jednego – zmysłowym głosem zapewniła Stephanie.

– Ja też – wtrącił się David, kiedy Herzer tylko popatrzył na nią z kamienną twarzą.

Porucznik spojrział z rezygnacją w górę, uświadamiając sobie, że wokół basenu zebrał się całkiem spory tłum, włącznie z instruktorem Panów Krwi, którego wypatrzył wcześniej na drugim końcu sali. Pomyślał o krwi i porzucanych po polach odrąbanych strzępach ciał należących kiedyś do istot ludzkich. Ale uświadomił sobie, jak musi wyglądać jego twarz, więc z wysiłkiem przywołał na twarz maskę życzliwości.

– Tarson wysyłało grupy napadające na farmy – powtórzył, obracając się do Shilan. – Spalili ich trochę w rejonie, który nie chciał albo nie mógł płacić ich „podatku”. Za którymś razem, gdy objeżdżałem okolicę... – Urwał i wzruszył ramionami. – Szkolenie Panów Krwi główny nacisk kładzie na walkę w formacji, walka indywidualna dość mocno się od niej różni. Ale ją też trochę trenowałem. – Spojrzął na instruktora z Akademii, który kiwnął mu głową. – Ja... ćwiczyłem więcej niż inni. W każdym razie byłem na jednej z farm, z odwiedzinami. Jeździłem do nich, czasem pomagając, czasem spotykając się z ludźmi. Z zewnątrz usłyszałem krzyk, a Diabło zaczął rzeć. – Zamknął oczy i spróbował się uśmiechnąć, ale niezbyt mu to wyszło. – Rolnicy mieli córkę, mniej więcej jedenastoletnią. Kiedy wyszedłem na zewnątrz, paru Tarsonian powaliło ją już na ziemię. Inni szli w stronę domu z pochodniami w rękach. Ja... cóż, w tego rodzaju walce wszystko robi się dość automatycznie. Moja tarcza była na koniu, ale miałem zbroję. Oni nie. – Umilkł.

– To wszystko? – odezwała się Stephanie po dłuższej przerwie. – A gdzie reszta historii?

– Reszta historii znalazła się w raporcie pobitewnym – odezwał się instruktor. – Piętnastu napastników, różnorodne uzbrojenie. Topory, miecze, włócznie. Jeden Pan Krwi. Tego dnia przyniósł nam pan chlubę, poruczniku.

– Co się stało z dziewczyną? – zapytała Shilan.

– Do końca życia nie będzie już tak samo patrzeć na rzeźnię – ponuro stwierdził instruktor.

– Nic się jej nie stało – wyjaśnił Herzer. – Była trochę wstrząśnięta, ale nic poza tym. Nie mieli czasu ściągnąć spodni, a co dopiero ją skrzywdzić. Rozmawiałem z nią potem kilka razy, potrzebowała się komuś wygadać, a chyba nie czuła, żeby mogła o tym rozmawiać z kimkolwiek innym. Nic jej nie będzie.

– Nie jesteś zbyt dobry w opowieściach, prawda? – zapytała cierpko Stephanie.

– O pewnych rzeczach trudno jest mówić ludziom, którzy nie przeżyli czegoś podobnego – przyznał Herzer, wzruszając ramionami. – Trudno...

opisać dźwięk, jaki wydaje miecz rozłupujący żebra. Jak to jest, kiedy ostrze utknie w kręgosłupie trupa w chwili, gdy ktoś obok atakuje cię toporem. Co się czuje po zasieczeniu tuzina istot ludzkich.

– Wycofuję się – odezwała się Stephanie, opierając się znów o ścianę basenu. – Jeśli o mnie chodzi, możesz sobie podarować te wszystkie szczegóły.

– Zignorowałem tych, którzy chcieli podpalić dom – rozgadał się nagle Herzer. – Gdyby udało mi się wywołać dość zamieszania, musieliby albo mnie zaatakować, albo uciec. Pamiętam, że stratowałem paru z nich po drodze i... – Spojrzał na swoją prawą rękę i wykonał gest jak przy łapaniu owada w powietrzu. – I trochę więcej zrobiłem paru innym. Choć popełniłem błąd z dziewczyną. Byłem taki wściekły. Facet, który próbował ją zgwałcić... jego zęby zadzwoniły na ostrzu mojego miecza jak zabawka. Dzyń-dzyń-dzyń-dzyń. Wtedy właśnie utknął, właściwie nie w kręgosłupie, a w jego mózgu. – Słuchacze zaczęli się krzywić, ale nie zauważył tego, myślami będąc zupełnie gdzie indziej. Kopniakiem wywróciłem jednego z trzymających ją facetów, ale drugi walnął mnie w plecy toporem. Cios zsunął się po zbroi, więc odwróciłem się, rąbnąłem jego i odebrałem topór. Wywalczyłem sobie miejsce i uwolniłem miecz... – Wstrzymał na chwilę oddech.

– Co? – zapytała Shilan.

Machnął ręką, a jego ramiona poruszyły się do przodu i do tyłu, jakby coś próbował uwolnić. Znów skrzywione twarze, łącznie z Shilan, która wyraźnie żałowała zadanego pytania, i paru słuchaczy oddaliło się pospiesznie.

– Do tego czasu przybiegł Diabło, więc dopilnowałem, żeby nie nadepnął na dziewczynę. Ci, którzy planowali spalenie domu, ruszyli z powrotem, a paru z nich rzuciło włóczniami. Pamiętam, że jedna z nich odbiła się od zbroi, druga w niej utkwiała. To po prostu dało mi drugą broń. Przez jakiś czas biłem się właśnie nią, aż się złamała, potem wróciłem do miecza. Kiedy nikt już nie atakował ani mnie, ani dziewczyny, ani konia, poszedłem do strumienia się wyczyścić.

– Zmęczony? – zapytał z profesjonalnym zainteresowaniem instruktor.

– Właściwie nie – odpowiedział Herzer. – Miałem trochę dreszczy, ale przeszły po jakichś pięciu minutach. – Urwał i wzruszył ramionami. – Przypominało to raczej niezbyt intensywne ćwiczenia. Nie byli zbyt dobrzy.

– „Drobiazg, raptem piętnastu” – sparodiowała jego głos Stephanie. – „Trudno to nazwać prawdziwą walką”. Boże! Pochwal się, na miłość Boską!

– Czemu? – zapytał lekkim tonem instruktor. – Przyznam, że była to ciężka walka. Wśród Panów Krwi jest paru, którzy też by sobie z tym poradzili, choć mnie by się to pewnie nie udało. Ale dla Herzera, owszem, było to proste. On naprawdę jest najlepszym z najlepszych, obrazem, jaki pokazujemy naszym studentom, dokładnie, jak powiedziała ta młoda dama. Przykro mi, nie usłyszałem twojego imienia – dodał.

– Shilan – przedstawiła się dziewczyna. – Nie wiedziałam, że pan słyszał.

– Podszedłem tu. Rzecz w tym, że Panowie Krwi szkolą się w robieniu przeciwnikom jednej z trzech rzeczy albo w miarę możliwości wszystkich trzech naraz. Wymanewrować ich, posiekać na kawałki, a jeśli wszystko inne zawiedzie, wytrwać dłużej niż oni. Częściowo osiągamy to przez rotację jednostek, ale indywidualni Panowie Krwi szkoleni są, by walczyć przynajmniej godzinę bez znaczącego zmęczenia. Po pięciu minutach walki nie powinien się nawet spocić.

Stephanie przechyliła się na bok w basenie i podparła na łokciu, wyginając plecy w stronę instruktora.

– Czyli jest w dość dobrej... formie, tak? – zapytała, przechylając głowę w taki sposób, że jej włosy zaczęły falować w przód i w tył.

Instruktor przez chwilę tylko się jej przyglądał, po czym krótko kiwnął głową.

– Tak, dość dobrej.

Stephanie leniwie przesunęła się z powrotem na swoje miejsce i głęboko wciągnęła powietrze, uśmiechając się do niego.

– Tak się cieszę, że bronią nas tacy silni mężczyźni!

Herzer ukrył twarz za dłonią i zacisnął podstawę nosa, żeby się nie roześmiać. Zerknął w bok i zauważył, że Shilan po prostu patrzyła na kobietę z otwartymi ustami. Po chwili zamknęła je ze słyszalnym kłapięciem.

– O czym tu rozmawialiśmy? – zapytała Stephanie.

– No nie wiem – ze śmiechem odpowiedział Herzer. – Z jakiegoś powodu przychodzi mi na myśl ekonomia.

– Czemu właśnie ekonomia? – zapytała zaskoczona Stephanie.

– Bo to najnudniejszy temat, jaki potrafię sobie wyobrazić – wyjaśnił z uśmiechem.

– No nie. – Stephanie, odsunęła obiema dłońmi włosy za uszy, a potem przełożyła je na bok i wypchnęła do przodu piersi. – Całki potrafią być fascynujące.

Herzer znów się roześmiał i potrząsnął głową, zdumiewając się jej niezwykłą bezpośredniością.

– No dobrze, ja zabijam ludzi i niszczę różne rzeczy – powiedział, szukając tematu, który by jej nie pobudził. – A czym ty się zajmujesz?

– Pracuje w banku – oświadczyła bezbarwnie, marszcząc czoło. – Nie rozmawiajmy o pracy.

– Banku? Jakim banku? – zdziwił się Herzer.

– Federalnym Raven – wyjaśniła.

– Kiedyś był to Niszczyciel Kredytów i Rekin Pożyczkowy Toma Sloana – z uśmiechem uzupełniła Shilan. – Trochę rozwinęli działalność.

– Ach – westchnął Herzer. – Tom zajmuje się moimi kontami. Muszę go jutro odwiedzić.

– Kontami? – zapytała Stephanie, unosząc brew. – Liczba mnoga?

– Mnoga – potwierdził spokojnie Herzer. – A co ty porabiasz, Shilan?

– Wciąż jestem projektantką tekstyliów. Tak poznałam Davida. Zajmuje się w tkalni sprzedażą.

– Co jest w tej chwili przegraną sprawą – stwierdził smętnie David. – Kiedyś byliśmy jedynym producentem w okolicy, ale teraz w Hotrum's Feny jest trzech, a koszty transportu sprawiają, że poza najbliższą okolicą zrobiliśmy się nieopłacalni.

– Cóż, to fascynujące, ale mam randkę z butelką wina – odezwała się Stephanie, wstając. – Miło było cię poznać, Herzer – dodała, wyciągając dłoń.

– Mnie również – odparł, ściskając ją. Kobieta odwróciła się i wyszła z basenu.

– Dobra, co się tu stało? – zapytał po chwili Herzer.

– Towarzyski motyl – wyjaśnił instruktor, zanurzając się w basenie. – Dostała z rozmowy dokładnie to, czego chciała, po czym poszła gdzieś indziej, szukać więcej.

– Wszystko jedno – stwierdził Herzer. – Przepraszam, ale choćby mnie kroili, nie potrafię sobie przypomnieć twojego imienia.

– Mike Fraser. – Instruktor wyciągnął prawicę. – Prowadzę drugą fazę szkolenia w Akademii.

– Powinienem być wrócić do Akademii na stanowisko instruktora na kursie wstępnym – mruknął Herzer, wzruszając ramionami.

– A co robisz zamiast tego? – zapytała Shilan.

– Sam się dopiero dzisiaj dowiedziałem – przyznał Herzer. – Ale nie jestem pewien, czy powinienem o tym mówić.

– Żadna tajemnica – uspokoił go Fraser. – Płyniesz z księciem Edmundem na Południowe Wyspy.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o tajemnice wojskowe – burknął Herzer.

– Jak mówię, to żaden sekret. – Fraser wzruszył ramionami. – Czegoś takiego nie da się zorganizować w tajemnicy. A w łaźniach nie ma żadnych sekretów.

– Absolutnie żadnych – przyświadczyła Shilan. – Największa plotkarnia w mieście. Nawet biorąc pod uwagę spotkania pań, które wynikają z grup wsparcia. Choć tamte są ostrzejsze. Wiem, że Edmund wybiera się na wyspy, ale nie wiedziałam, że ty też.

– Dla Daneh i Rachel też było to niespodzianką.

– Nie przychodzą tu często. – Shilan wzruszyła ramionami. – Rachel rzadko, a Daneh nie widziałam ani razu.

– Chyba rozumiem powody.

– To wcale nie to – zaprzeczyła Shilan. – Myślę, że wyleczyła się z problemów po gwałcie, jak dalece to tylko było możliwe. Jeśli nie, z pewnością dobrze to kontroluje. Wydaje mi się, że po prostu jest bardzo wstydliva. Rachel też, choć trochę mniej. I oczywiście mają w domu własną łaźnię. Daneh pewnie dowiedziałyby się na jednym ze spotkań, ale nie przychodzi na nie już od paru tygodni. Sama usłyszałam o tym... jakieś dwa wieczory temu.

– Nie obchodzi mnie, jak trudno jest utrzymać tajemnicę w łaźni – powiedział Herzer. – To mimo wszystko problem.

– Tak, niewątpliwie – zgodził się Fraser. – Choć nie jestem pewien, co da się z tym zrobić.

– Na myśl przychodzi mi szkolenie – rzucił Herzer. – Nie wiem, jak wygląda klasyfikacja tajności naszej misji, ale w sumie to nieważne. Nie powinno się o tym rozmawiać publicznie, kropka. To podstawowe zasady bezpieczeństwa operacyjnego, sir.

– W łaźniach nie mamy też stopni – zauważył Fraser. – Ale rozumiem. Zapewne masz rację co do aspektu edukacyjnego, ale wszyscy wciąż poruszamy się trochę po omacku. Parę lat temu żaden z nas nie był żołnierzem.

– To nie mój problem. – Herzer wzruszył ramionami. – Po prostu mnie to ugryzło.

– A skoro mowa o wymacywaniu drogi... – odezwała się Shilan i spiekła raka. – Trochę nie tak mi to wyszło.

– Nic nie szkodzi – zachichotał Herzer. – Trzeba bardzo specyficznego umysłu, żeby doszukać się w tym komentarzu czegoś niewłaściwego. Choć

muszę przyznać, że mam wyjątkowo specyficzny umysł...

– Jak już jesteśmy przy próbach uporządkowania sobie tego życia – poprawiła się Shilan, odchrząkując – to czemu on jest kapitanem, a ty tylko porucznikiem?

– Bardzo dobre pytanie – zgodził się Fraser. – A odpowiedź jest taka, że ja przyszedłem do Akademii jako porucznik i od tamtej pory awansowałem. Ty chyba byłeś szeregowym, Herzer?

– Zgadza się. Stopień oficerski dostałem tuż przed wyruszeniem do Harzburga. Co było kolejnym powodem ich narzekań. Właściwie dostałem promocję na misję i było to dość oczywiste.

– Ale zmusiłeś ich do dostrzeżenia błędu? – zapytał Fraser.

– Trochę to potrwało – przyznał Herzer. – Miasto rządzone jest przez gildie, które po Upadku cholernie szybko ustanowiły swoje przywileje. Tak naprawdę panują tam znacznie bardziej feudalne stosunki, niż by się mogło wydawać. Nie chcieli, żeby jakiś świeżo promowany porucznik bez przynależności klasowej mówił im, jak powinni kierować swoją milicją. Zresztą milicja otwarta była tylko dla ludzi, których uznawali za „akceptowalnych”. Czyli takich, którym mogli zaufać z bronią.

– Według konstytucji wszyscy mający prawo głosu powinni być uzbrojeni – wtrącił się David. – No wiesz, to wymaganie.

– Tak, ale ten przepis ma dziury, przez które dałoby się przeprowadzić słońia. Powiedział Herzer. Wykorzystali kruczek o „pracy niewolnej do wyłączenia większości mieszkańców miasta, i to nie tylko uciekinierów, ale też ludzi, którzy im się nie podobali. Do milicji mogli wstąpić tylko pełni członkowie gildii.

– Co zapewne ograniczało ich do jednej piątej możliwych sił – mruknął Fraser.

– Mniej więcej – potwierdził Herzer. – I wszyscy byli zbyt zajęci, by zwracać sobie głowę szkoleniem. To znaczy, większość z nich była naprawdę zajęta, wiecie, jak to jest. Każdy miał pracę, i to ciężką. A facetom stanowiącym siłę roboczą, którzy większość czasu siedzieli beczynnie w oczekiwaniu na jakąś robotę, zabroniono ćwiczyć. Przez pewien czas próbowałem z tym po cichu walczyć. Istniał też poważny rozłam między farmerami, którzy cierpieli od nieprzyjacielskich rajdów, i miastowymi, którzy uważali, że ich nikt nie zaatakuje. Cóż, krótko po moim małym starciu na farmie Tarson jednak zaatakowało miasto. Sytuacja stała się niewesoła, ale zdołaliśmy ich odeprzeć krótko po tym, jak spalili garbarnie.

– My? – wtrącił się Fraser.

– Ja... szkoliłem na boku część niewolników – przyznał Herzer. – I to był pierwszy punkt zebrania rady miasta po ataku. Ale to właśnie ja z garstką niewolników odparliśmy atak.

– Taktyka Panów Krwi? – zapytał Fraser.

– Zmodyfikowana. Bardziej pod kątem falangi. Właściwie kazałem im zrobić długie włócznie i maszerować z nimi w formacji. I tak, nie było to proste. Ale zebraliśmy się do kupy i odparliśmy Tarsonian. A potem zrobiło się gorąco. Spotkanie przebiegało dość... intensywne. Ale mieli tylko kilka trudnych do zaakceptowania możliwości. Mogli mnie wyrzucić i spróbować wyciągnąć od rządu federalnego coś innego. Cholernie mało prawdopodobne. Albo mogliby zacząć szkolić swoją „zorganizowaną” milicję. Równie mało prawdopodobne. Ewentualnie mogli zaufać motłochowi z bronią.

– Motłochowi? – zapytała gniewnie Shilan.

– Tak właśnie odnosili się do swoich robotników – wyjaśnił Herzer. – I niektórzy z nich faktycznie tym właśnie byli, Harzburg miało bardzo poważny problem z przestępczością. Spotkanie zaczęło się od tego, że chcieli mnie zlinczować. Oskarżono mnie o złamanie lokalnych rozporządzeń. W zasadzie spytałem ich, jakimi siłami chcą tego dokonać. Skończyło się na tym, że pozwolili mi na rekrutację wśród robotników. I muszę przyznać, że udało mi się zrobić z nich całkiem zgrabną kompanię. – Podniósł wzrok na swoich słuchaczy i wzruszył ramionami. – Może kiedyś znów dostanę dowodzenie.

– Możesz na to liczyć – westchnął Fraser.

– Tak więc kiedy Tarsonianie ponownie zaatakowali, rozbiliśmy ich i odepchnęliśmy z powrotem do ich miasta. Potem je również zdobyliśmy, spaliliśmy przywódców z ich fortecy i oddałem rządy w Tarson paru lepszym robotnikom. Mieszkańcy miasta byli przeważnie cholernie wdzięczni za uwolnienie. Faceci z gildii próbowali się rządzić, jakby miasto należało do nich, ale kazaliśmy im się wypchać. Przygotowałem statut dla Tarson, dopilnowałem złożenia aplikacji do ZWS, odczekałem na wybory – które odbyły się tak spokojnie, jak to tylko możliwe – i zaraz potem dostałem rozkaz powrotu do domu. Misja zakończona.

– Śpiewająco – skomentował Fraser. – Co za nią dostaniesz?

– Następną misję – roześmiał się Herzer.

– Przepraszam, panie Herrick – nad jego ramieniem rozległ się cichy głos.

Obejrzał się i zobaczył małą kępkę włosów łonowych. Sięgnął wzrokiem

w górę i widok go poraził. Jeśli stojąca przed nim dziewczyna nie była absolutnie idealna, nie miał pojęcia, jak wyglądałby ideał. Brunetka, około półtora metra wzrostu, okrągłe piersi, wysokie i niesamowicie sprężyste, płaski brzuch, zaokrąglone pośladki. Uświadomił sobie, że gapi się z otwartymi ustami.

– Tak? – zapytał, skrzecząc.

Dziewczyna wsunęła się do wody na lewo od niego i uśmiechnęła się.

– Mam na imię Sheena. Nie sądzę, żeby mnie pan znał.

– Mnie też się tak wydaje – odpowiedział Herzer, wyrzucając wdzięk za okno. Trzysta pięćdziesiąt siedem razy... leżeć!

– Jeszcze przed atakiem na miasto, pojechał pan na konny patrol – powiedziała miękko, dziewczęcym głosem, który praktycznie pozbawił go zdolności obliczeniowych.

– Tak? – Dwa przeniesić...

– Mój brat był jednym z chłopców na patrolu – wyjaśniła, nachylając się i całując go w policzek. – Chciałam z panem porozmawiać, ale za chwilę wrócę.

– Dobrze – wyskrzecztał, po czym odwrócił się z powrotem do grupy w basenie, gdzie wszyscy próbowali powstrzymać śmiech.

– Ile twoim zdaniem ona ma lat? – zapytał Fraser, próbując nie emanować rozbawieniem.

– Siedemnaście? – rzucił Herzer.

– Blżej dwunastu – skorygował David. – Niemożliwe!

– Możliwe – poparła męża Shilan. – Absolutnie możliwe.

– Co ona, u diabła, robi naga w publicznej łaźni! – Zaczepiając obcych ludzi i psując im cały dzień.

– To łaźnie publiczne – odpowiedziała Shilan, wruszając ramionami. – Pewnie jej rodzice uznali, że jest już dość duża.

– Należałoby ich wysłać do psychiatry.

Sheena wsunęła się nagle z powrotem do wody obok niego i położyła mu rękę na ramieniu.

– Naprawdę się cieszę, że wreszcie cię poznałam – powiedziała gardłowo. Leżeć, leżeć, leżeć, leżeć, LEŻEĆ! Dwanaście! DWANAŚCIE!

– Ja też – odpowiedział Herzer. – Chodzisz teraz do szkoły?

– A, tak. – Sheena zmarszczyła brwi. – Wiesz, nie miałam jej zbyt wiele przed Upadkiem, więc teraz chodzę do klasy z małymi dziećmi...

Dobrze, Bogu dzięki, tej nocy zdecydowanie nie pójdzie z nikim do łóżka...

Rozdział 6

Następnego ranka po pierwszej trąbce Herzer wyszedł ze swojego pokoju w stroju treningowym. Miło było znów mieć przed sobą wyłącznie trochę ćwiczeń fizycznych. Wbiegł na Wzgórze i z powrotem, a potem założył plecak i przebiegł trasę jeszcze cztery razy, za każdym razem szybciej. Zdawał sobie sprawę, że wyszedł z formy, ale udało mu się wspiąć na Wzgórze z akceptowalną imitacją tempa Panów Krwi. Później przeszedł na teren przeznaczony do ćwiczeń szermierki. Nie spostrzegł nikogo ze swojej klasy, ale znalazł kogoś na zbliżonym poziomie i przez dwie godziny poćwiczył walkę mieczem i tarczą. Może brakowało mu oddechu, ale nie zaniedbał treningu walki i jego przeciwnik dobrze wiedział, kiedy został trafiony, nawet przez wyściełaną zbroję.

– No proszę, Herzer. Nie sądziłem, że będziesz zajmował się biciem dzieci. Młody porucznik odwrócił się i klepnął w ramię Bue Pedersena.

– Bue! Do diaska, gdzie ty się podziewał?

– Tworzymy legion w Washan – wyjaśnił Bue. – Brałem udział w tym przedsięwzięciu.

– Szkoda, że mnie tam nie było. Sparring?

– Jeśli myślisz, że dasz radę. – Bue wyszczerzył zęby. Byli razem w pierwszej klasie Panów Krwi i wspólnie bronili Raven's Mill. Od tamtej pory jednak rzadko się spotykali. Bue był sierżantem triari, podczas gdy Herzer został promowany na porucznika. Panowie Krwi mieli niewiele uformowanych jednostek, tworzyli raczej kadrę dla innych sił i pierwsza klasa została porzucana po całym wschodnim wybrzeżu. Herzer słyszał, że niektórzy trafili nawet aż na centralne równiny.

Bue założył wyściełaną zbroję i znalazł odpowiadający mu ćwiczebny miecz. Technika Panów Krwi nie była najlepsza do pojedynków jeden na jednego, ale obaj trenowali też walkę indywidualną.

Zasady starcia nie pozwalały im na ruch w bok, musieli zachowywać się tak, jakby stanowili element jednostki, tylko nieznacznie przesuwać się w przód lub w tył. Herzer ustawił się i rozpoczął walkę od próby uderzenia tarczą, którą Bue łatwo zbił na bok, a potem rozpoczęło się walenie.

Ich starcie trudno było bowiem określić inaczej – bez możliwości zmiany pozycji, z mieczami wyskakującymi nieustannie by dźgać i rąbać. Ciała osłaniały tarcze, które można było przesuwać w górę i w dół oraz nieznacznie na boki. I faktycznie się ruszały, i to szybko, bo obaj walczący

trzymali ciężkie tarcze, jakby wykonano je z balsy, a nie dębu i żelaza. Co chwilę jakiś cios zdołał się prześlizgnąć, trafiając w ramiona, ale żaden z nich nie unieszkodliwiłby przeciwnika, więc walczyli dalej, próbując albo zadać cios wyłączający z walki, albo skłonić przeciwnika do zrezygnowania z powodu zbyt dużego zmęczenia.

Herzer zauważył, że w miarę jak się tłukli, ustała większość pozostałych walk. Miał już za sobą pełne dwie godziny treningowej walki, a kondycję gorszą niż przed misją w Harzburgu. Za to Bue zdawał się zrobiony z żelaza. Niezależnie od tego, jak bardzo próbował, nie potrafił dość mocno go trafić, podoficer nie wyglądał też na zmęczonego.

– Robisz się miękki, Herzer. – Bue wyszczerzył zęby.

– To przez to wygodne życie w Harzburgu – przyznał Herzer, zaciskając zęby. Znał jeden cios, który mógłby zadziałać, ale był ryzykowny i na granicy legalności w tego rodzaju współzawodnictwie. Kiedy uświadomił sobie, że albo zginie, albo padnie, zahaczył swoją tarczą tarczę przeciwnika i uniósł obie w prawie niemożliwym manewrze. Potem opadł na kolano i wbił ćwiczebny miecz w odsłonięty brzuch podoficera, który złożył się od niego w pół.

– Wciąż... jestem lepszy... od ciebie... – wydyszał Herzer, opierając się o tarczę i sapiąc.

– Cristo, wykastrował mnie – wydusił Bue, trzymając się za brzuch.

– Teraz widzicie, czemu trzymamy Klasę Jeden tak daleko od siebie – odezwał się Gunny przy akompaniamencie braw.

Herzer nie wiedział, jak długo podoficer przyglądał się walce, ale udało mu się wyprostować.

– A ja myślałem, że to dlatego, że jesteśmy najlepsi z najlepszych – skomentował, uśmiechając się pomimo zmęczenia.

– Niezły jesteś – przyznał niechętnie Gunny. – Ale chcesz spróbować ze mną tego manewru?

– Nigdy, nawet w bardzo długim życiu – oświadczył Herzer. Podeszedł do stojaka na zbroje i odwiesił swoją tarczę, miecz i hełm, po czym ściągnął ociekającą potem zbroję. – Nic ci nie jest, Bue?

– Przeżyję – jęknął Bue, podchodząc, by odwiesić własny sprzęt. – Gdzie się u diabła nauczyłeś tej sztuczki?

– Tarson – wyjaśnił Herzer. – Desperacja to najlepszy nauczyciel.

* * *

Po prysznicu zjadł śniadanie z Bue i Gunnym. Kantyna była terenem neutralnym, a Panowie Krwi nie utrzymywali ścisłego rozdziału oficerów i szeregowych, więc paru innych oficerów jadło posiłek ze zwykłymi żołnierzami. Wypytywali o aktualne zdarzenia i rozmawiali o starych czasach sprzed paru lat, kiedy dopiero tworzył się korpus Panów Krwi.

Po śniadaniu Bue i Gunny odeszli do swoich obowiązków, a Herzer skierował się do miasta. Znow pomyślał, że choć Gunny jest wciąż bardzo ostry, zaczyna lekko tracić na zaciętości. Dowiedział się, że sierżant nie prowadzi już podstawowego testu selekcyjnego dla kandydatów na Panów Krwi, czyli pierwszego biegu na Wzgórzu. Po prostu nie był już w stanie tego zrobić. Minęły zaledwie dwa lata, ale dwa lata nieustannego męczenia klasy za klasą wyraźnie odebrały energię staremu podoficerowi.

O przejściu na emeryturę nie było mowy – albo stałby się jednym z tych ludzi, którzy cały czas kręcą się po koszarach, albo zginąłby lub popełnił samobójstwo. Wszystko, co znał przed Upadkiem, to życie, które prowadził jako podoficer. Coś należało zrobić, ale Herzer nie miał pomysłu co.

Choć myślał o tym nie po raz pierwszy, jeszcze nigdy tak jasno Herzer nie zastanawiał się, jakim człowiekiem był w młodości Gunny. Albo książę Edmund, skoro już o tym mowa. Kiedy zaczął swoją drogę, patrzył na nich prawie jak na bogów. A teraz byli ludzie, którzy patrzyli w ten sposób na niego. Czy zdarzało im się coś zawalić? Jaka siła doprowadziła ich do tego, kim się stali? Czy żeby prowadzić takie życie, jak oni przed Upadkiem, trzeba było mieć coś poważnie nie tak w życiorysie? Nie wspominając już o tym, co zrobili później.

Kim byli tak naprawdę! Ludzie patrzyli na niego, jak na kogoś szczególnego. Nawet teraz, kiedy szedł przez miasto, podchodzili do niego i szeptali, gdy przechodził. Herzer Obrońca. Herzer Niepokonany. Wiedział, że wcale taki nie jest. Ale nosił maskę, nosił jątak dobrze, że czasem miał wrażenie, jakby stawał się tym, w kogo wierzą. W głębi duszy wiedział jednak, że wciąż jest tym samym nieudacznikiem, który uciekł przed gwałtem Daneh. Który musiał zostać wykuty na kowadle Panów Krwi i życia, żeby osiągnąć jakikolwiek poziom. Któremu od czasu do czasu wciąż zdarzało się coś zepsuć.

Kim tak naprawdę byli oni?

Myśli te poniosły go aż do banku, do którego wszedł zamyślony, prawie nie zauważając, że dotarł do nowo zainstalowanych biurka.

– W czym mogę pomóc? – zapytała kobieta za biurkiem.

– Stephanie?

Znikł nonszalancki towarzyski motyl. Kobieta miała włosy ściągnięte w kucyk i poważny wyraz twarzy znamionujący niechętną kompetencję.

– Porucznik Herrick, jak sądzę? – odpowiedziała Stephanie.

– Szukam Toma – powiedział Herzer.

– Czy jest pan umówiony?

– Niiiii – zaprzeczył Herzer z lekkim uśmiechem. – Ale pomyślałem, że wpadnę powspominać stare czasy.

– Pan Sloan jest dość zajęty, ale zobaczę, czy ma chwilkę. – Wstała i przeszła przez boczne drzwi, a Herzer wreszcie się rozejrzył.

Tom Sloan zaczął skromnie. Przed Upadkiem nie było czegoś takiego jak pieniądze. Istniały kredyty energetyczne, ale wymieniano je, wyłącznie przez sieć. Wszyscy mieli ich dużo. Nawet Herzer, który jako młody człowiek został „uwolniony” przez swoich rodziców, miał dość, by nie tylko opłacić zaawansowane leczenie, ale i by utrzymywać wyszukane symulacje wzbogaconej rzeczywistości. Trzeba się było naprawdę postarać, żeby zużyć wszystkie kredyty energetyczne.

Po Upadku pieniądze z początku oparto na żywności. Jedzenie dystrybuowano z wykorzystaniem żetonów kredytowych. Jeden żeton, jeden posiłek. Albo surowe jedzenie w nieco większej ilości, jeśli wiedziało się, jak je przyrządzić. Z czasem żetony przekształciły się w standardową walutę i w miarę jak społeczeństwo nabrało złożoności, stały się standardową formą monety. Mając żeton w ręku, wciąż można było nabyć od rządu posiłek lub surowe jedzenie. Ale większość wypychana była przez coraz bardziej rozwiniętą ekonomię. Nawet termin „żeton” wypadał ze słownika, zastępowany przez „kredyt”.

Tom dość wcześnie zajął się wymianą żetonów. Dzięki depozytom ludzi mających ich nadmiar oraz pożyczkom rządowym zakumulował całe ich mnóstwo. I wykorzystał je, udzielając pożyczek na lichwiarski procent. Był jednak nieskazitelnie uczciwy i szczery, co zdecydowanie zachęcało do niego ludzi powierzających mu swoje oszczędności. Zbyt wielu jego wczesnych konkurentów połazczyło się na pieniądze swoich klientów. Zajmował się też inwestycjami i kontraktami ludzi takich jak Herzer, ludzi, którzy dysponowali niewielkimi nadwyżkami i chcieli je zaprząć do pracy.

Wyraźnie mu się powiodło. Małe biuro, w którym niegdyś urzędował, zostało powiększone na cały budynek. W pomieszczeniu zainstalowano dużą ladę, za którą urzędowało kilka kobiet, a dalej mieściło się parę biur, najwyraźniej pilnowanych przez Stephanie. Było tam również dwóch dyskretnych, prawdziwych strażników, olbrzymich mężczyzn prawie

rozmiarów Herzera. Jednego rozpoznał z miejskiej milicji. Zgłosił się do Panów Krwi, ale nie był w stanie przejść pełnego szkolenia. Mimo wszystko wyglądał na zdolnego do rozerwania dowolnego napastnika na pół. Herzer kiwnął mu głową, a tamten odpowiedział tym samym, nie z rezerwą, ale w pełni świadom, że gdyby doszło do jakichś kłopotów, Pana Krwi trudno byłoby rozerwać.

– Herzer!

Tom Sloan był wysokim, dobrze wyglądającym mężczyzną gdzieś między trzydziestką a sto pięćdziesiątką, ubranym w elegancką lnianą tunikę i jasnoniebieskie spodnie z badwabiu pasujące kolorem do jego oczu. Miał piaskowe włosy, szczerzy uśmiech i mocny uścisk dłoni. Herzer był pewien, że każdego ranka ćwiczy uśmiech i uścisk przed lustrem.

– Cześć, Tom, masz chwilkę? – zapytał Herzer.

– Zawsze – odpowiedział Sloan z uśmiechem pełnym zębów. – Panno Vega, czy mogłaby pani wyciągnąć dokumenty porucznika i przynieść je do mojego biura?

– Oczywiście, proszę pana – zamizdrzyła się Stephanie, po czym czmychnęła. Herzer był pewien, że w jej przypadku to nie możliwe, a jednak.

– Chodź – powiedział Tom, ujmując Herzera za ramię i prowadząc go przez drzwi. Za nimi mieścił się korytarz z kolejnymi drzwiami po obu stronach. Większość była otwarta i za każdymi siedzieli ludzie, przeważnie kobiety, nachylając się nad stertami papierów.

– Jeśli w tym mieście zmieni się jeszcze coś, zacznę wrzeszczeć – powiedział Herzer.

– Nie masz pojęcia – westchnął Tom. Otworzył drzwi z mosiężną tabliczką „Tom Sloan, Prezes” i wprowadził Herzera do środka.

Pokój był urządony wygodnie, ale nie krzykliwie. Umieszczono tam stół, kilka foteli i średniej wielkości biurko. Na etażerze za biurkiem stało kilka osobistych drobiazgów, włącznie z małym olejnym obrazkiem Toma i jakiejś kobiety. Dziewczyna jakoś mu się luźno kojarzyła, ale nie potrafił sobie przypomnieć jej imienia.

– Ożeniłeś się? – zapytał, zajmując jeden z foteli. Niezbyt się w niego mieścił, co było normalne, ale uświadomił sobie, że kolana ma wyżej niż zwykle. Zdał sobie sprawę, że gdyby był człowiekiem normalnych rozmiarów, musiałby patrzeć do góry na prezesa banku.

– W zeszłym roku – przyznał Tom. – Miałem dla ciebie zaproszenie...

– Ale nie było mnie w mieście? – wyszczerzył się Herzer.

– Tak jakby.

– A więc o co chodzi z tym wyglądem bankiera? – zapytał Herzer.

– Zmiany. – Sloan się skrzywił. – Praktycznie pierwszą rzeczą, jaką zrobił nowy kongres było zatwierdzenie ustaw finansowych i ustanowienie niezależnej komisji bankowej. Musiałem wprowadzić inwestorów, ogłosić statut i zająć się całą resztą papierkowej roboty. Coś, co mogłem zatrzymać dla siebie, rozkwitło nagle w pełnowymiarową pracę polegającą na nadzorowaniu wymaganych przez federalnych raportów. Musiałem przenieść większość zarządzanych przez siebie inwestycji do innej firmy. Wysłałem ci list na ten temat.

– Dostałem go – przyznał Herzer. – Ale wciąż przekazują ci dochody?

– Tak, ale nie wolno mi doradzać w ich kwestii ani nimi zarządzać – wyjaśnił Sloan. – Ale mogę zdać ci raport na temat tego, co trzymamy u siebie. Twoje depozyty, stałe zabezpieczenia, tego rodzaju rzeczy.

– Dobra, co to jest stałe zabezpieczenie? – zapytał Herzer.

– Cóż – uśmiechnął się Tom. – Pamiętasz, kiedy zwykłem mawiać: „Słuchaj, Herzer, zostaw to mnie, a ja gwarantuję ci pięć procent rocznie”?

– Tak.

– Stałe zabezpieczenie – powiedział Tom w chwili, gdy otworzyły się drzwi. – I dziękuję, panno Vega.

– Proszę bardzo. – Stephanie położyła grubą teczkę na jego biurku i wyszła, nie oglądając się.

– Wsadź oczy z powrotem do głowy, Herzer – zachichotał Tom.

– Właściwie to całkiem nieźle przyjrzałem się wczoraj wieczorem w łaźni – przyznał Herzer.

– Pilnowałem twoich kont – ciągnął Tom, ignorując komentarz. – Ale zarządzane są przez Posteala, Ohashiego i Deshurta...

– Deshurta? – zapytał Herzer. – Czy to nie ten gość od ekonomii, na którego zawsze narzekał Edmund?

– Nie wiem – przyznał Tom. – Kiedyś studiował przedindustrialne modelowanie ekonomiczne. Jest w radzie nadzorczej. Ale nie wiedziałem, że miał jakieś problemy z księciem.

– Właściwie to nie problemy – wyjaśnił z uśmiechem Herzer. – Raczej towarzystwo wzajemnej niechęci.

– Jest też w radzie nadzorczej banku...

– W takim razie chyba poszukam innego banku – zachichotał Herzer. – Jeśli moimi pieniędzmi zarządza Brad Deshurt, wolę dać je komuś innemu.

– Poważnie cię to niepokoi? – Tom spojrzał poważnie.

– Nie wiem, dużo straciłem? – zapytał Herzer wciąż ze śmiechem.

– Niczego nie straciłeś, Herzer – poważnie odpowiedział Tom. – Bardzo uważałem z twoimi inwestycjami, podobnie jak P, O i D.

– Żartuję, Tom. – Porucznik poprawił się w fotelu. – Nigdy nie żartuj z bankierem na temat pieniędzy.

– Jeśli naprawdę cię to martwi...

– Wcale nie – oświadczył stanowczo Herzer. – Zajrzyjmy może do ksiąg, dobrze?

Omówienie wszystkich inwestycji zebranych przez Herzera zajęło prawie dwie godziny. Był zaskoczony, nie miał pojęcia, że miał udziały w tak wielu przedsięwzięciach. Ale końcowa suma wydała mu się bardzo okazała.

– W każdym razie masz dobrze rozłożony portfel – zakończył Tom. – Oczywiście były pewne straty, właściwie ten interes z piaskiem i żwirem całkowicie zbankrutował. Wyszedłeś z tego z zaledwie paroma pensjami na kredyt, ale wszystko inne idzie całkiem dobrze. Na szczęście większość twoich inwestycji wciąż mieści się w obszarach zwolnionych z opodatkowania. Zobaczymy, co ci idioci w legislaturze wymyślą w przyszłym roku.

– No i jest jeszcze farma Mike’a Boehlke – dodał Herzer.

– Tak, tym się nie zajmujemy, ale pan Boehlke dorobił się całkiem przyzwoitego interesu. Dobra, choć długoterminowa inwestycja.

– I kolejny subtelny żart – zauważył Herzer.

– Przepraszam?

– Jedno z określeń używanych w wojsku na śmierć to „kupić farmę” – wyjaśnił Herzer z nieobecny wyrazem twarzy. – Żołnierze mówią o kupieniu farmy i zamieszkaniu na niej. Tak więc kiedy któryś zostanie zabity, mówimy, że »kupił farmę». – Jego twarz nagle rozpogodziła się i pojawił się na niej uśmiech. – Albo już zginąłem, albo nigdy mnie nie zabiją.

– Rozumiem. – Tom otworzył szeroko oczy. – Czyli zamierzasz nigdy nie osiadać na kupionej już farmie?

– Nie wiem, Tom. – Herzer wzruszył ramionami. Pewnie będziemy musieli pożyć dostatecznie długo, by się przekonać.

* * *

Dla Joela największy problemem w locie na smoku stanowiło lądowanie w bazie Washan. Jednakże była to jedna z szybko rosnących baz wojskowych tworzonych wzdłuż wybrzeża i łatwo udało mu się szybko zniknąć w tłumie. Przed Upadkiem kilka razy zdarzało mu się jeździć na

wywernach i jedynie długość podróży dałoby się uznać za nowość. Ponieważ wywerny mogły przelecieć zaledwie kilkaset kilometrów dziennie, podróż zajęła kilka dni. Minio wszystko taki lot trwał krócej i zapewniał odrobinę więcej wygody odjazdy dylizansem.

Kiedy wylądował w bazie, postarał się przybrać maksymalnie niepozorny wygląd, po czym poszukał środka transportu. Baza właściwie nie mieściła się w Washan, ale po drugiej stronie rzeki Poma wyrosło małe miasteczko, głównie zaspokajając potrzeby żeglarzy i żołnierzy zamieszkujących bazę.

Pomaszerował ulicą pełną lombardów, barów i zakładów fryzjerskich, przyglądając się wędrującym po niej grupkom ludzi. Zdumiewała go liczba zakładów fryzjerskich, a wszystkie pełne klientów. Kiedy mijał jeden z nich, zauważył, że „fryzjerką” była skąpo ubrana młoda kobieta i musiał dokonać ponownej oceny sytuacji.

Mimo wszystko był prawie środek dnia i nie kręciło się zbyt dużo ludzi. Zastanowił się nad zatrzymaniem w jednym z barów albo nawet „zakładów fryzjerskich” i próbą wyłapania jakichś plotek. Nie należało to jednak do jego misji, więc poszedł dalej ulicą do miejsca, gdzie w bok odchodził mały kompleks budynków, z zagrodą na około tuzin koni, z których większość wyglądała na przyzwoicie utrzymane. Obok wznosił się jeszcze jeden niewielki budynek. Podszedł do niego i wszedł do środka.

We wnętrzu panował półmrok, bo we frontowej ścianie umieszczono tylko dwa nieoszlone okna, a dzień był pochmurny. Zaskoczył go więc kobiecy głos z głębi pokoju.

– W czym mogę pomóc?

Kobieta nie była ani młoda, ani stara, prawdopodobnie nie ukończyła jeszcze pierwszej setki. Siedziała za ladą, patrząc na niego znad arkusza papieru.

– Chciałbym złapać transport do Newfell – powiedział, podchodząc do lady.

– Następny dylizans przyjedzie za trzy godziny – poinformowała go, odkładając kartkę. – Za to dojeżdża aż do bazy Newfell.

Dotarcie do bazy dylizansem nie było częścią jego planu. Zerknął na ścianę, na której zawieszono mapę, potem w dół. – Cóż, wybieram się tylko do Tenerie, nie Newfell. Właściwie, to chcę dojechać do wybrzeża, właśnie dowiedziałem się, że mam tam przyjaciela, który przeżył Upadek.

– Przejazd do Tenerie kosztuje trzydzieści kredytów – oznajmiła kobieta, wyciągając księgę. – Stać pana?

– Tak sądzę – odparł Joel, wyjmując kawałek srebra otrzymany w Chian i

jedną z brązowych monet. – Mam dwudziestkę i trochę srebra.

Kobieta westchnęła na widok tego ostatniego, ale wyciągnęła wagę i odważyła srebro warte dziesięć kredytów. – Wie pan, powinien pan to wymienić. Prawie nikt tu już nie używa metalu, i nie mogę panu dać za niego tyle, ile dostałby pan w kantorze.

– Dobrze – zgodził się Joel. – Jestem z okolic Raven's Mill. Tam posługuje się tym jeszcze mnóstwo ludzi.

– No cóż, witam w metropolii. – Kobieta uśmiechnęła się. – Nie używa już tego nikt w okolicach Washan ani nawet Newfell. Może dalej na wybrzeżu, nie wiem, jak tam jest.

Wypisała mu bilet na dylizans i wyraźnie ignorując go, wróciła do swoich papierów.

– Bardzo dziękuję za pomoc – powiedział Joel, odwracając się i wychodząc na ulicę.

Trzy godziny. Zakładając, że przyjedzie o czasie. To mogło oznaczać dwie godziny. Albo cztery. Lub równie dobrze dziewięć.

Za zagrodą stała gospoda wyraźnie przeznaczona dla pasażerów dylizansu. Po drugiej stronie ulicy mieścił się bar z przylegającymi dwoma „zakładami fryzjerskimi”. Ale za nimi stał budynek z dużym, świeżo wymalowanym napisem „Różności”.

Joel nie był pewien, co oznaczało „Różności”, w tym przypadku mogła to być większa i bardziej wyszukana wersja jednego z „zakładów fryzjerskich”. Podejrzywał jednak, że mogło to oznaczać również takie luksusy jak, och, brzytwa, mydło, a może nawet nowe ubrania.

Wszedł do sklepu i przeżył miłe zaskoczenie. Zastał w środku półki pełne ubrań, przyborów toaletowych, a nawet gotowych butów.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał sprzedawca, wychodząc zza lady na tyłach.

– Potrzebuję zestawu nowych ubrań. – Joel pomacał złożoną parę spodni zrobionych z jakiegoś grubego materiału. – I trochę przyborów toaletowych. Oraz torbę na to wszystko.

– Oczywiście – odpowiedział sprzedawca. – Sprzedajemy sporo takich rzeczy żołnierzom i żeglarzom przenoszonym w inne miejsca. Ten materiał nazywa się dzins. Dopiero zaczyna schodzić z linii produkcyjnych, to nowinka. Ciężki, podwójnie tkany badwab z podwójnym szyciem. Para takich spodni wytrzyma przynajmniej cztery lata, robiąc się z czasem coraz wygodniejsza.

– Wezmę jedną parę, koszulę, trochę bielizny nie z tego...

– Oczywiście – sprzedawca uśmiechnął się. – Równie dobrze mogłaby być ze skóry, jak krasnoludzka.

– Lub włosiennice, jak u Panów Krwi – skomentował Joel.

Znaleźli ubrania na jego rozmiar, a Joel wybrał sobie trochę przedmiotów do higieny osobistej. Przed Upadkiem nigdy nie zahamował na stałe wzrostu owłosienia na twarzy, więcej sensu miało sporadyczne powstrzymywanie go, bo nawet najlepsze implanty nigdy nie wyglądały tak dobrze jak naturalna broda. Ale to znaczyło, że albo pozwoli mu teraz rosnąć, albo będzie się golił, a wolał jednak gładki podbródek.

Kupił wszystko, czego potrzebował, włącznie z jedzeniem na drogę i butelką wody, a i tak miał jeszcze mnóstwo czasu do planowanego przybycia dylizansu.

W trakcie podróży przez kontynent przekonał się, że była to bardzo niepewna usługa. Niektórzy sugerowali budowę kolei, jednakże protokoły przeciwwybuchowe pozwalały na funkcjonowanie wyłącznie niskociśnieniowych maszyn parowych. A tego rodzaju silnik był w stanie uciągnąć tylko kilka załadowanych wagonów, co czyniło plan nieopłacalnym. Budowano kanały, ale te mogły powstać tylko w nielicznych miejscach.

Zjadł talerz niezbyt dobrego jedzenia, popijając kubkiem jeszcze gorszego piwa i poważnie rozważył wizytę w jednym z „zakładów fryzjerskich”. Po Upadku nie zachowywał celibatu. Przed Upadkiem utrzymywali z Dedrą luźny związek i był pewien, że nie miałyby mu za złe ulżenia sobie w takich warunkach. Ale z jakiegoś powodu, pomimo że większość jego związków po Upadku miała charakter... ekonomiczny, nie zdecydował się na to. W końcu wrócił do biura dylizansu i siadł na ławie, zamykając oczy i zatapiając się w myślach.

Sheida praktycznie powiedziała wprost, że podejrzewa przeciek w Radzie. Jego podejrzania natychmiast padły na jej pomocnika, Harry’ego. Jednak to, że dopuszczał się defraudacji, nie czyniło go jeszcze zdrajcą. Mimo wszystko warto było go sprawdzić. Szczerze mówiąc, jeśli kiedyś znajdzie się na pozycji umożliwiającej mu wprowadzanie zmian, bardzo wysoki priorytet uzyskałby kontrwywiad. To doprowadziło go do zastanowienia się, czemu odkryto tak wielu agentów w Ropazji. Część tego mogło być skutkiem przecieków, ale podejrzewał, że jeśli zajmujący się dla Sheidy kontrwywiadem byli tak nieświadomi swojej sztuki, jak sugerowały poszlaki, ludzie od wywiadu byli równie kiepscy.

Prawdę mówiąc, wcale nie podobała mu się przydzielona misja. Gdyby

miał coś do powiedzenia, praktycznie każda jednostka pływająca miałaby przynajmniej jednego tajnego agenta. Ale to oznaczałoby mnóstwo agentów. I program szkoleniowy. Cóż, trzeba by go było i tak do zbierania informacji, więc równie dobrze można by je do pewnego stopnia połączyć.

Rozważając szczegóły proponowanego planu, doczekał się przyjazdu dyliżansu, który dotarł tuż przed zachodem słońca. Wewnątrz siedziało tylko dwóch pasażerów, którzy wyszli rozprostować nogi w trakcie zmiany zaprzęgu.

Oddał woźnicy swój bilet, po czym umieścił nową torbę z tyłu powozu, wspinając się do środka i siadając, podczas gdy dwaj pasażerowie wciąż pozostawali na zewnątrz. Zajął przednie, mniej wygodne miejsce z szacunku dla ludzi, którzy dłużej od niego podróżowali dyliżansem. Kiedy wsiedli, uklonił się. Jeden był młodzieńcem w mundurze oficera floty, drugi starszy, odziany w nie-wyróżniający się strój cywila.

– Podporucznik Jonah Weilis – przedstawił się młodzieniec, wyciągając rękę.

– Joel Annibale – odpowiedział Joel, ściskając ją. Miał nadzieję, że oficer nie miał przydziału do bazy Newfell, a jeśli jednak, to na siebie nie wpadną.

– Rupert Popadiuk – przedstawił się drugi podróżny, kłaniając się.

– Jedzie pan do Newfell? – zapytał Jonah. Jasne było, że tamci dwaj zużyli już wszystkie tematy do rozmów. – Przydzielono mnie tam do kwatery głównej. Wcześniej byłem w bazie Balmoran.

– Wybieram się do przyjaciół na wybrzeżu. – Joel wzruszył ramionami. – pojedziemy na Tenerie i trochę powędrujemy. Trzymają tam łódź rybacką, a ja niani z nimi trochę doświadczenia.

– W takim razie powinien pan wstąpić do floty – oświadczył z uśmiechem podporucznik. – To ciężkie życie, ale dobre i bardzo ważne. Jeśli naprawdę ma pan doświadczenie z małymi łodziami, prawdopodobnie niemal od ręki dostałby pan stopień podoficerski. Gdzie był pan wcześniej?

– Ostatnio na Florze – odpowiedział Joel, gładko kłamiąc. – Żeglowałem z pocztą do Washan. Oglądałem tamtejszą bazę, ale... W każdym razie, mam tych przyjaciół. Nie jest to wyszukane życie, ale jakoś sobie radzę. Co pan robi we flocie?

– Jestem w kontrwywiadzie – pochwalił się Jonah w chwili, gdy dyliżans ruszył.

– To ciekawe – zainteresował się Joel. – Ale co to właściwie znaczy?

Rozdział 7

– Celine – odezwał się z ukłonem awatar Chansy.

Większość interakcji między członkami Rady odbywała się za pośrednictwem awatarów. W pełni świadome projekcje były przed Upadkiem zabronione, ponieważ powodowały nieprzyjemne efekty uboczne. Jednak członkowie Rady, obarczeni olbrzymią liczbą obowiązków i bez doświadczenia w dzieleniu się nimi, używali świadomych projekcji do nadzorowania różnych działań w przydzielonych sobie regionach.

Chansa dostał od Celine zaproszenie do udziału w demonstracji, na co przystał, choć z oporami. Przyznawał, że Nowe Przeznaczenie korzystało z jej tworów, ale często czuł przy nich niepokój. Przemienieni tworzący podstawę jego legionów byli dostatecznie antypatyczni. To on dostarczył listę modyfikacji, które uznawał za akceptowalne, ale w rękach Celine wszystko zamieniało się w koszmar. Zastanawiał się nad odrzuceniem jej propozycji, w końcu to on odpowiadał za legiony Przemienionych. Jednakże w tego rodzaju sytuacjach kobieta potrafiła być wyjątkowo nieprzyjemna. Tolerował więc hordy na wpół dzikich bestii. Musiał przyznać, że bardzo niewiele grup było w stanie się im oprzeć i zazwyczaj wystarczała sama groźba wysłania ich do walki, by przeciwnicy rezygnowali z oporu.

Jednak niektóre z jej specjalnych stworów były po prostu ohydne. Obrzydliwości, od których przewracał się żołądek. I choć większość z nich wymagała zbyt dużo energii lub czasu, by się upowszechnić, Celine obiecywała osiągnąć wkrótce „nowy przełom”.

W związku z tym spotkał się z jednym z jej awatarów w obozie uchodźców na południu Wysp Brytyjskich. Południe było stosunkowo łatwe do zdobycia, ale północ wciąż się uparcie broniła, trzymając się małych dolin i wyżyn, w których nie dało się manewrować. Okolica usiana była antycznymi twierdzami, z których wiele przed Upadkiem zostało odtworzonych przez rekreacionistów, co stanowiło dodatkowe wyzwanie. Do tego dochodziła jeszcze uparta natura obrońców. Zdawali się cieszyć walką i radzili sobie ze wszystkimi siłami, które przeciw nim wysyłał. Jeśli miał gdzieś użyć owych szczególnych stworzeń Celine, to właśnie przeciw tym przeklętym celtom.

Obóz uchodźców był całkowicie standardowy, składał się z długiej palisady i zbioru drewnianych baraków. Uchodźców karmiono i przydzielano do różnych zadań, przy czym większość mężczyzn i część kobiet

przechodziła proces przemiany. Podstawowy proces zaprojektowano tak, by tworzyć istoty bardziej przystosowane do świata po Upadku. Były wytrzymalsze i silniejsze od standardowych ludzi, z pewnymi „wrodzonymi” zdolnościami. Przynajmniej takie były podstawowe specyfikacje. Ku własnej konsternacji zasugerował dodanie agresji, żeby uzyskać lepszych wojowników.

Ludzie czekający na swoją kolej do Przemiany musieli być związani i pilnowani. Kiedy im się przyglądał, do kolejki podbiegła kobieta i próbowała wyszarpnąć z niej mężczyznę, ale żołnierze powalili ją na ziemię. Któryś z nich podniósł ją za włosy i zawłókł wzdłuż rzędu do jednego z baraków stanowiących część koszar. Mężczyzna, którego chciała wyciągnąć, opadł na kolana, ale został pobity i pchnięty do przodu przez innych strażników.

– Chansa – przywitała go Celine, również przyglądając się wydarzeniu. Odwróciła się z błyszczącymi oczami i uśmiechnęła się. – Jesteś taki ponury. Przecież to nie tak, żeby ich zjadali, czy coś.

– Gdzie zabrali dziewczynę? – zapytał Chansa, choć w głębi serca znał odpowiedź.

– Skąd mam wiedzieć? – Kobieta znów się uśmiechnęła. – Nie zajmuję się wszystkimi detalami operacyjnymi.

– Chciałaś mi coś pokazać? – burknął Chansa.

– Tędy. – Awatar wskazał drogę, prowadząc ich za sale Przemian, z których dobiegały ryki bólu. W większości baraków ludzie Przemieniani byli w formę podstawowych żołnierzy legionów. Jednak Celine pozwoliła sobie na pofolgowanie wyobraźni i były też inne baraki, na „modele specjalne”. Armie musiały mieć żołnierzy. Ale potrzebowały także robotników, służących, personelu medycznego i innych specjalistów. W dodatkowych barakach ludzie przekształceni byli w najbardziej „odpowiednie” formy. Równocześnie usuwano im oryginalne wspomnienia, żeby nie zapadali na depresję w związku ze swoim stanem, a zastępowano je prostymi instrukcjami operacyjnymi, szkoląc ich do życia w nowym świecie.

Za barakami znajdowały się boksy, gdzie nowo Przemienieni wychodzili na świat. Byli szczupli i wymizerowani i często trzeba było powstrzymać ich, aby się wzajemnie nie pozabijali, ale wiedział, że przy bogatej w białka diecie – a czasami zastanawiał się, skąd pochodzi to białko – zmienią się w silnych, choć niezdiscyplinowanych wojowników. Kiedy przechodzili, dwóch nowo Przemienionych zaatakowało się, na co zareagowali dojrzały już strażnicy, bijąc ich pięściami i odciągając szponami aż na wpół żywi walczący zostali rozdzieleni.

Dalej mieściła się sekcja przeznaczona dla kobiet i dzieci, których nie poddawano Przemianie. Dzieci były po prostu za delikatne, ze zbyt małymi wewnętrznymi rezerwami energii, by ulec Przemianie, a musiała się nimi zajmować przynajmniej część kobiet.

Zobaczył kręcących się po okolicy kolejnych strażników. Niektórzy wchodzili i wychodzili z szop, a kiedy przechodził obok, usłyszał dobiegający ze środka krzyk. Obozy uciekinierów zarządzane były przez Celine i gdyby miał coś do powiedzenia, zmieniłby to. Ale ponieważ nie miał dość władzy, by interweniować, próbował o tym nie myśleć. Ten spacer zdecydowanie mu to utrudniał. Zamknął uszy na krzyki i łkanie, częściowo dziecięce, a Celine wprowadziła go do znacznie większego baraku.

– Jak wiesz, nie byłam w stanie znaleźć domu dla większości kobiecych uciekinierek – odezwała się Celine. – Na tym świecie mają ograniczoną przydatność. A dzieci wyłącznie pochłaniają zasoby. Ale myślę, że w końcu udało mi się znaleźć rozwiązanie.

Wewnątrz baraku stał pierścień strażników otaczających małą grupkę ludzi. Mężczyzna, kobieta, która mogła być jego żoną, choć wcale nie musiała, i trójka dzieci, od małego, niezdrowo wyglądającego niemowlaka do dziewczyny przed osiągnięciem dojrzałości. W pomieszczeniu znajdował się także jeden z akolitów Celine i kiedy do środka weszły awatary, zaczął mamrotać jakieś monosylaby.

Wokół grupy utworzyła się kula, która zaczęła się świecić, prawdopodobnie pod wpływem działań nanitów. Nagle powietrze wypełniły krzyki bólu, które po chwili przekształciły się w czystą wściekłość. Kiedy kula oczyściła się, w jej środku stało coś. Wielkie jak Chansa i jeszcze od niego szersze w ramionach. Bestia miała duży brzuch i świńską twarz z długimi, zakrzywionymi kłami. Ramiona zwisały jej prawie do kolan, a palce rąk i nóg kończyły się ostrymi szponami. Zdecydowanie, aż do przesady nawet, był to samiec, z olbrzymim penisem i dużym workiem mosznowym. Rozejrzał się po pomieszczeniu i skoczył w stronę drzwi, ale został powstrzymany przez pole energetyczne. Zaczął uderzać z furią w niewidzialną tarczę, aż akolita znów przemówił i potwór znieruchomiał w pozie, z której nadal emanowała furia.

– Gdzie... – odezwał się Chansa, po czym odchrząknął. Nie chciał zadawać tego pytania, w głębi duszy znając odpowiedź, ale nie potrafił się powstrzymać. – Co stało się z tymi ludźmi?

– Mężczyzna został wykorzystany jako podstawa dla mojego najnowszego dzieła – oznajmiła Celine z szerokim uśmiechem, podchodząc,

by pogłaskać potwora. Jej awatar przeszedł przez pole ochronne, ponieważ zaprogramowano je tylko na ciało i krew. – Wykorzystano także jego wewnętrzną energię. Tak samo jak pozostałych surowców. Ich materiał dodano do niego. Idealny. Wspaniały – powiedziała, gładząc potwora po ramieniu. – Penis jest w pełni funkcjonalny i może się rozmnażać z ludzkimi kobietami – zakładając, że by to przeżyły. Potomstwo... cóż, moje modele sugerują kilka potencjalnych wyników. Nie mogę się doczekać danych empirycznych.

– Celine, nawet jak na ciebie... – wymamrotał Chansa, po czym zebrał się W sobie. – To szaleństwo.

– Paul powiedział, że chce grozy – odpowiedziała Celine, obracając się, by spojrzeć na niego, głaszcząc równocześnie ramię stworzenia. Oczywiście jasne i szalone. – Mogę mu dać grozę.

– Tak – zgodził się Chansa – to potrafisz. – Spróbował obiektywnie ocenić sytuację, ale nie umiał. I co dziwne, przed oczyma miał wcale nie obraz znikającej rodziny, a ciągniętej za włosy kobiety.

Żałował, że nie potrafi się oszukiwać tak jak Paul, że to, co robią, jest dobre, słuszne i sprawiedliwe. Po prostu nie mógł. Dawno temu doszedł do wniosku, że jest zły, i już bez szans na odkupienie, że jest mroczną siłą potężniejszą niż kiedykolwiek zaznana przez świat. Wiedział, że wkopał się do jamy piekielnej, z której może nigdy nie zdoła się wydobyć. I zdawał sobie sprawę, co go tam doprowadziło: umiłowanie władzy.

Każdy jej kęs miał smak narkotyku, więc wspinał się w górę, aż z pomocą Paula stał się członkiem Rady. Jednak każdy krok po szczeblach, najpierw jako Inspektor, potem Inspektor Specjalny, współpracownik Rady, sprawiał, że zdobywana stopniowo władza uzależniała go jak narkotyk. Kiedy Paul zaoferował mu możliwość odrzucenia ograniczeń i odpowiedzialności, jakby faktycznie były z pajęczych nici, skorzystał z niej, w pełni zdając sobie sprawę, z kim się sprzymierzył.

I doprowadziło go to do tego.

Jeśli wygrają wojnę, jeśli Paul zdoła przeżyć, mogliby... pozbyć się niektórych członków Rady, takich jak Celine z jej potworami, Reyes z jego dziewczynami, batami i nożami i, przede wszystkim, Demona, jeśli tylko uda im się wybrać właściwych ludzi, którzy przejęliby Klucze Koalicji Wolności, jeśli zdołają je im odebrać.

Jeśli, ale to oznaczało konieczność wygrania.. I użycia, tak jest, każdej broni, jaką dysponowali. Nawet Celine. Nawet tej... potworności.

– Jest wspaniały – powiedział.

* * *

– Są wspaniałe – westchnęła Rachel.

Herzer potrząsnął głową na widok smoków podchodzących do lądowania nad Wzgórzem Raven.

– Żartujesz, prawda? – zapytał. – Teraz już wiem, co miałeś na myśli, mówiąc o niespodziance.

Było ich sześć, cztery z jeźdźcami i dwa bez. Pięć było wyvernami, które miały skrzydła o wielkiej rozpiętości, umożliwiające im latanie i w przeciwieństwie do klasycznego smoka dwie tylko, umieszczone bardziej z tyłu, potężne nogi. Wywerny nie miały świadomości i dawało się je tresować, choć nie było to proste. Miały inteligencję i charakter koni. Oczywiście, gdyby konie jadły mięso zamiast trawy i potrzebowały zjadać codziennie mniej więcej tyle, ile same ważą. Ciała miały również zbliżone wielkością do końskich. Ich nietoperzowe skrzydła nawet po złożeniu zajmowały większą objętość niż reszta ciała, a po rozwinięciu miały rozpiętość blisko trzydziestu metrów.

Był tam też jeden prawdziwy smok. Cztery nogi, długa szyja i potężne skrzydła, w których cieniu zmieściłoby się pięć wywernów. Smoki stworzono niedługo przed elfami i były istotami rozumnymi, ze wszystkimi prawami i obowiązkami ludzi. Jednak dalszego rozwoju gatunku zaprzestano krótko po wojnach SI w reakcji na różne okropności wojny. Później doszło do niewielkiego wzrostu populacji smoków, ale przez kolejne dwa tysiące lat gatunek skurczył się prawie do zera.

A teraz smok lądował w Raven's Mill. Najwyraźniej w celu zawiezienia ich na swoim grzbiecie na brzeg morza. A potem towarzyszenia w wyprawie na wyspy.

– Chyba żartujesz – powtórzyła za Herzerem Daneh. Wciąż dyszała po wspinaczce na wzgórze i patrzyła na ich „transport” z tępym niedowierzaniem. – Nie mów mi tylko, że polecimy na nich do Newfell.

– Dobrze, nie powiem – odparł ze śmiechem Edmund. – Ale możesz już zacząć się wspinać na grzbiet któregoś z nich.

– Świetnie. – Rachel uważniej przyjrzała się prawdziwemu smokowi. – Przepraszam, pani smoczyco?

– Mam na imię Joanna – przedstawiła się smoczyca, opuszczając głowę na do poziomu Rachel. Pomimo paszczy pełnej bardzo długich zębów miała giętkie wargi i język umożliwiające wyraźną mowę. – Joanna Gramlich.

Większość ludzi ma problem z odróżnieniem płci smoków. Skąd wiedziałaś?

– Widzieliśmy cię na przyjęciu urodzinowym Marguerite – wtrącił się Herzer. – Czyli przyłączyłaś się teraz do Koalicji Wolności? Wspaniała wiadomość.

– To długa historia – odpowiedziała cierpko Joanna. Miała dość wysoki, a przy tym grzmiący głos. Coś związanego z językiem. – Wolę stosować termin „niezależny wykonawca”. Księżę Edmund woli „najemnik”.

– Najemny smoki – westchnęła Rachel. – Czemu?

– Masz pojęcie, ile jedzenia potrzeba na utrzymanie tej cholernej postaci? – parsknęła smoczyca. – Zostałam w niej uwięziona przez Upadek. Naprawdę dość już mam polowania na jedzenie.

– Joanna pracuje za kabinę na statku, jedzenie i dość wysokie wynagrodzenie w złocie i klejnotach – zauważył rzeczowo Edmund.

– I nie zapomnij o premii bojowej – dorzuciła Joanna.

– Nie zapomnę. Ale to misja dyplomatyczna.

– Jasne. Jakby miało tak pozostać z tobą na pokładzie. To jak, będziemy tu siedzieć i gadać cały dzień, czy jesteście gotowi do drogi? Mogę wziąć dwie osoby. Wolałabym kobiety, wyglądają na lżejsze. Jeden z jeźdźców wywernów może zabrać księcia. Mam nadzieję, że ten duży zdoła utrzymać się sam na grzbiecie wywerna.

– Nie wiem – przyznał Herzer. – Jak się nimi steruje?

– Nie próbuj – warknęła Joanna. – Polecą za mną, wiedzą, kto rządzi stadem. Po prostu przypnij się i nie zleć.

Herzer podniósł torbę i podszedł do wywerna, przyglądając mu się podejrzliwie. Ciało stworzenia nie było wiele dłuższe niż końskie, ale olbrzymie nogi nadawały mu prawie dwukrotnie większą masę i trzykrotnie większą wysokość. Siodło stanowiła podkładka na grzbiecie utrzymywana na miejscu przez podwójne pasy biegnące od szyi do nóg. Przez praktycznie całą długość ciała przylegały do niego skrzydła. Do głowy wywerna przymocowano cztery wodze, ale Herzer doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, jak ich używać.

Stworzenie miało ciało pokryte drobnymi łuskami podobnymi do jaszczurzych i od razu rzuciło się w oczy, że większość genów wywerny zawdzięczają jaszczurkom. Z drugiej strony miały całkowicie gładką powłokę skrzydeł, która bardziej przypominała skrzydła nietoperza. Niewiele dało się jej w tej chwili dojrzeć, bo smoki złożyły skrzydła i większość powłoki skryła się pod kośćmi.

Wywern obrócił krótką szyję na bok i spojrzał na niego niechętnym,

bardzo ludzkim okiem. Po chwili wydał z siebie dźwięk, coś przypominającego głos, jaki mógłby z siebie wydać bardzo duży gołąb, co brzmiało albo pytająco, albo płaczliwie. A może oba na raz. Przynajmniej tak odebrał to Herzer.

– Cześć – odezwał się ktoś zza jego pleców. Był to jeden z jeźdźców wywernów i Herzer uświadomił sobie nagle, że to kobieta. Przez skórzane stroje i hełmy z większej odległości trudno było odróżnić płeć. – Jestem Vickie. Przypnijmy cię do niego.

– Dooobra – zgodził się Herzer. – Gdzie to dać? – zapytał, wyciągając torbę. Zabrał ze sobą drugi mundur i trochę lżejszych ubrań, włącznie ze strojem kąpielowym zrobionym na jego rozmiar.

– Nie pytaj Joanny, bo odpowiedź może ci się nie spodobać – odparła z uśmiechem Vickie. Wzięła torbę i zgrabnie wspięła się po nodze wywerna na jego grzbiet, gdzie przymocowała torbę tuż za siodłem. Smok wydał z siebie jeszcze jeden pytający dźwięk, po czym przesunął nogę, na której stała. – Zamknij się, Chance.

– Działa to tak, że leżysz na jego grzbiecie. Nie próbuj siadać. Na obrazkach wygląda to świetnie, ale w rzeczywistości w ogóle się nie sprawdza. Widzisz te otwory po bokach?

– Tak – potwierdził Herzer. Uważnie przyglądał się uprząży. – Jak posługiwać się wodzami?

– Jak powiedziała Joanna, niech ci to nawet nie przyjdzie do głowy – ostrzegła Vickie. – Górne linki ciągną w górę, dolne, mocowane do stóp, w dół. Pociągnięcie górnych w prawo lub w lewo umożliwia skręty. Nie próbuj pikowania, bo ci się to nie spodoba.

– Co to jest pikowanie?

– Jeśli nie wiesz, co to, nie zechcesz próbować. Po prostu trzymaj się i nie grzeb przy wodzach. Chauncey będzie się nas trzymał, o ile tylko nie zaczniesz próbować sterować.

Odczekała, aż wspiął się na wywerna, potem przymocowała pasy do jego ud. Przed sobą miał taśmy wyraźnie przeznaczone do chwytania, ale jedyną rzeczą, która przytrzymywała go na grzbiecie smoka były pasy udowe. Zakończyła, przyczepiając dolne wodze do jego butów i wpychając górne wodze, składające się z ciągłego pasa skóry, pod jego ciało.

– Najgorsza rzecz przy jeździe na smoku to nauczenie się trzymania nóg w bezruchu. Jeśli je rozprostujesz, ten ogier polecą do ziemi jak sokół. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Herzer uśmiechnął się wygodniej na miejscu. Cieszył się, że

nie zabrał zbroi, bo podróż byłaby bardzo niewygodna. – On ma na imię Chance czy Chauncey?

– Chauncey – przyznała Vickie. – Mówię na niego Chance, bo tak jest krócej.

– Co tam tyle trwa, Vickie? – burknęła Joanna i Herzer uświadomił sobie, że wszyscy inni siedzieli już na miejscach. – Masz go tam posadzić, a nie go dopieszczać!

Vickie spojrzała na niego, krzywiąc się.

– Muszę iść.

– Na razie. – Herzer uśmiechnął się, poprawiając się na miejscu. – Tym drugim zajmiemy się kiedy indziej.

Vickie zachichotała i poklepała go po pośladku, po czym zesła.

– Dzięki, ale nie jestem zainteresowana – powiedziała, zeskakując na ziemię.

– Szkoda – mruknął Herzer, przyglądając się, jak dziewczyna wsiada na wywerna. Jak tylko zajęła miejsce, Joanna rozłożyła skrzydła i wywołując potężny podmuch wiatru poderwała się ze wzgórza i pomknęła nad rzekę.

Chauncey najwyraźniej był dobrze wytrenowany, ponieważ z odbicia, od którego Herzer mało nie skręcił karku, skoczył do przodu i w górę, lecąc w ślad za większym smokiem. Powietrze natychmiast wypełniło się skrzydłami i formacja smoków wspięła się ku niebu.

Przez chwilę Herzer z wysiłkiem opanowywał odruch wymiotny. Połączenie wysokości i falistego ruchu nabierającego szybkości wywerna przyprawiało o mdłości. Ale po krótkiej chwili pochłonął go spektakularny widok. Smoki wznosiły się po łuku prowadzącym je najpierw nad rzeką Shenan, błyszczącą we wczesnoporannym świetle, a potem nad samym miastem. Rozglądając się, uświadomił sobie, że byli już wyżej niż szczyt góry Massan. Kiedy o tym pomyślał, mocniej chwycił się taśm, bo smok nagle przestał machać skrzydłami. Przez chwilę myślał, że coś się stało, ale potem uświadomił sobie, że zwierzę po prostu szybuje razem z resztą formacji skręcającej w stronę wzniesienia po drugiej stronie rzeki.

Kiedy znów przelatywali nad Wzgórzem Raven, Herzer poczuł wznoszący ruch nie wynikający z ruchów smoka i uświadomił sobie, że przelecieli przez komin powietrzny. Najwyraźniej, aby go wykorzystać, wywerny zaczęły znów wolno machać skrzydłami i szybko nabierały wysokości do czasu, aż prąd przestał sięgać tak wysoko i stworzenia rozłożyły szeroko nieruchome skrzydła. Przelecieli nad rzeką łagodnym ślizgiem i Herzer zaczął się zastanawiać, gdzie lecą. Ocean znajdował się na

wschodzie, a lecieli na zachód.

Kiedy już zaczął się tym poważnie martwić – istniała przecież możliwość, że najemny smok został przekupiony przez Nowe Przeznaczenie do porwania księcia Edmunda wraz z rodziną – przelecieli nad górą Massan i trafili na kolejny, znacznie silniejszy prąd termiczny.

Najwyraźniej tego właśnie szukała Joanna, ponieważ zaczęła wspinaczkę nad szczytem góry, w środku komina ciepłego, a wszystkie smoki dzięki połączonej sile skrzydeł i znacznie większej energii wznoszącego się powietrza zdawały się wzbijać w górę jak rakiety.

Rozdział 8

Daneh oddała miejsce z przodu na grzbiecie Joanny Rachel i dziewczyna z początku bardzo się z tego cieszyła. Nie mogła się wprost doczekać jazdy na smoczym grzbiecie. Jednakże krótko po zajęciu miejsca, kiedy smoczyca wymruczała różne przekleństwa na temat ostrych butów, zmieniła zdanie co do swojej pozycji. Po pierwsze, choć wcale nie wolałaby mieć na widoku pośladków mamy, to teraz właśnie jej pupa znajdowała się przed oczami Daneh. Co gorsza, męczyło ją potworne parcie gazów. Zmiana wysokości w połączeniu z falą strachu przy starcie i zupełnie nowymi doświadczeniami sprawiły, że jej wnętrzności wypełniły się gazami. I choć zdarzało się jej pokłócić z matką, puszczenie jej bąka prosto w nos byłoby cholernie deprymujące.

Żeby zająć myśli czymś innym, postanowiła zaryzykować gniew smoka.

– Joanno! – krzyknęła. – Słyszysz mnie?

– Tak – zagrzmiała w odpowiedzi smoczyca, nie odwracając głowy. – Ale jeśli myślisz, że spojrzę ci w oczy, to musisz przestać czytać fantazje. Latanie jest dostatecznie trudne i bez oglądania się do tyłu!

– Nic nie szkodzi – odkrzyknęła Rachel. – Mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Zadać możesz – zgodził się smok.

– Zawsze jesteś taka nerwowa, czy wkurzyło cię coś konkretnego?

Rachel poczuła, jak siodło pod nią zaczyna się trząść, i mocniej chwyciła się taśm, ale po chwili zdała sobie sprawę, że smoczyca po prostu się śmieje.

– Po trochę jedno i drugie – przyznała Joanna. – Nazywano mnie już suką, i to wielokrotnie. Ale ta misja zdecydowanie mnie denerwuje.

– Czemu? – krzyknęła Rachel. – Południowe niebo, ciepłe morze, tropikalne słońce...

– Cholernie długi lot – wyjaśniła Joanna. – Nie lecimy na wypoczynek. Ten statek podobno ma dla nas platformę do lądowania, ale podejrzewam, że większą część drogi spędzimy w powietrzu. To jak udział w sześć- czy dziesięciodniowym maratonie. Możemy to zrobić, ale i tak to bardzo męczące.

– Och.

– A to nie wszystko – dodała Joanna, rozgrzewając się. – Co my u diabła będziemy jeść? Statek, z którym się spotkamy, nie pomieści dość świeżego mięsa, żeby starczyło nam na całą podróż. I co to oznacza? Soloną

wołowinę? Ryby? Surowe ryby? Nie znoszę sushi!

– Przykro mi.

– Nie twoja wina – powiedziała Joanna. – Nienawidzę tego Upadłego świata. Chcę móc się Przemienić. Kiedy tylko zechcę. Chcę zjeść czekoladę.

Rachel tylko pokiwała głową, czuła się w ten sam sposób.

Jeśli o to chodzi, gdyby to się działo w świecie sprzed Upadku, nawet jadąc w taki sposób, mogłaby usunąć gazy z jelit dzięki nanitom, zamiast być nieuprzejma. No cóż, przynajmniej genetycy już dawno rozwiązali problem smrodu.

– Niech to szlag – wymamrotała Joanna.

– Co? – krzyknęła do niej Rachel. Z powodu szumu wiatru dziewczyna musiała krzyczeć, ale słowa smoka były wyraźnie słyszalne.

– Och, drobiazg – odparła smoczyca. – Wyvern twojego chłopaka leci w moim cieniu aerodynamicznym. Mam dodatkową masę do dźwigania.

Rachel obejrzała się na boki i zauważyła, że z wyjątkiem smoka Herzera, pozostałe wywerny rozstawiły się w literę V.

– On nie kontroluje swojego wierzchowca – zauważyła.

– Wiem, po prostu Chauncey jest leniwy. To nie znaczy, że musi mi się to podobać.

– Czemu pozostałe lecą w kluczu? – krzyknęła pytanie Rachel. – Wyglądają, jakby miały na siebie wlecieć.

– Znów cień aerodynamiczny – wyjaśniła Joanna. – Przy locie powstaje obszar niższego ciśnienia, który rozciąga się na obie strony. Widziałaś kiedyś przelot gęsi?

– Wiele razy.

– Ta sama zasada. Choć to nie obciąża mnie bezpośrednio, tak jak Chauncey. Cholernie głupi wyvern.

Lecieli powolną spiralą w górę przez czas, który sprawiał wrażenie jakiejś połowy poranka, wykorzystując prąd termiczny i moc wolnych wymachów skrzydeł. Sądząc po słońcu, faktycznie nie trwało to więcej niż pół godziny. W końcu Rachel poczuła spadek, coś jakby lekki ubytek wagi.

– Koniec komina powietrznego – oznajmiła Joanna, skręcając na wschód. Wyciągnęłam z niego przynajmniej trzy tysiące metrów, czyli całkiem nieźle jak na poranek w październiku.

Rachel namiętnie wpatrywała się w widok w oddali, ale słysząc te słowa spojrzała w dół. I mocno zacisnęła oczy, kurczowo chwytając się pasów.

– Nie patrz w dół – zachichotała Joanna.

– Za późno – odpowiedziała Rachel.

– Och, co u diabła robi ten idiota? – warknęła smoczyca.

* * *

W trakcie wznoszenia się Herzer uświadomił sobie, że Chauncey leci w cieniu aerodynamicznym większego smoka. Zdecydowanie jednak nie zamierzał niczego robić podczas spiralnego lotu. Ale kiedy smoki ustawiły się w rzędzie i zaczęły szybować ku słońcu, uznał, że warto by zobaczyć, czy będzie w stanie zmienić pozycję swojego wierzchowca. W najgorszym wypadku po prostu przestałby ingerować w lot Chaunceya i wyvern wróciłby na swoje miejsce.

Był jednak pewien problem. Znajdował się bezpośrednio za Joanną, nie dalej niż dwadzieścia metrów. Końcówka jej ogona przemykała na boki przed nosem Chaunceya, prawie dość blisko, by go uderzyć. Tył szerokiego klucza, w jaki ustawiły się smoki, znajdował się za jego aktualną pozycją. Co oznaczało, że będzie musiał zwolnić, a potem nadgonić. Nie znał odpowiednich komend.

Kierując się przecuciem, powoli wyciągnął spod siebie przednie wodze, a potem bardzo delikatnie pociągnął równocześnie za nie i te do nurkowania. Jego kłamra dobrze trzymała wodze, ale bardzo uważał, żeby nie pociągnąć za mocno, bo mógłby przeciąć skórzany pas.

Herzer nie był nawet pewien, co zrobił Chauncey, ale zaczęli z wolna oddalać się od większego smoka, utrzymując się mniej więcej na tej samej wysokości. Właściwie opadał troszkę poniżej smoczy, ale utrzymując się w poziomie, a nie pikując.

Herzer poluzował wodze, a potem pociągnął, bardzo delikatnie, za lewą. Chauncey posłusznie skrzył łagodnie w lewo, ale zaczęli równocześnie tracić wysokość. Znowu poluzował, pociągnął lekko w prawo i po chwili znalazł się na zewnątrz lewego skraju klucza jeźdźców, lecąc mniej więcej w tym samym kierunku. Niestety, był około sześćdziesięciu metrów niżej i jakieś sto do tyłu.

No cóż.

Najbliższym mu jeźdźcem okazała się Vickie i słyszał, jak coś do niego krzyczy, ale nie wydawało mu się, aby mogła coś zrobić w sprawie jego eksperymentów.

Problem wydawał się prosty. Musiał wspiąć się na ich poziom i skłonić Chaunceya do lekkiego przyspieszenia, żeby mógł zająć właściwe miejsce w formacji. Pozostali lecieli równomiernie przed nim i albo nabierali

wysokości, albo on ją tracił. Jednak Chauncey zdawał się zadowolony z wypełniania poleceń i trzymał się aktualnego kursu. Chociaż niewłaściwego.

Pociągnął lekko wodze wznoszenia. Stracił w ten sposób jeszcze więcej odległości, ale faktycznie nieco się wznieśli. Potem Chauncey pociągnął za wodze i wrócił do ślizgu. Herzerowi przypomniał się nagle termin „prędkość przeciągnięcia” i przez chwilę zastanawiał się, jak bardzo zbliżył się do „rozbitcia” smoka. Jeśli coś takiego w ogóle było możliwe.

Nagle przed oczami pojawił mu się bardzo żywy obraz gałęzi uderzającej go w twarz. Krótco po Upadku, dzięki umiejętności jazdy konnej, został wybrany do pomocy przy spędzie dzikich zwierząt. Kiedy próbował powstrzymać dzika przed zabiciem przyjaciółki, Diabło przeskoczył nad nadzianym na włócznią zwierzęciem i czoło Herzera prawie w pełnym galopie zetknęło się z drzewem.

Dojście do zdrowia było powolne i bolesne. Jeśli jednak zepsuje coś w tej jeździe, miał przed sobą perspektywę spadku z wysokości kilku tysięcy metrów. To nie dawało mu nawet najmniejszej szansy na przeżycie.

Ale naprawdę musiał dogonić formację.

– W górę, Chauncey! – krzyknął. – Leć! Naprzód! Wio! Wio! – Ponieważ nic to nie dało, do głowy przyszło mu tylko bicie smoka. Ale nigdy nie widział, żeby jeźdźcy wykonywali jakiegokolwiek ruchy poza drobnymi pociągnięciami za wodze.

Ale. Jego buty dotykały smoczej skóry, nie siodła. Wątpił, żeby to był przypadek.

– Wio, Chauncey – krzyknął, wbijając najmocniej, jak potrafił, oba buty w boki smoka.

Zaskoczony wyvern zaczął machać skrzydłami, gwałtownie nabierając szybkości. Tak gwałtownie, że formacja zaczęła zbliżać się zbyt prędko. A wciąż znajdował się pod nią.

– Góra! – krzyknął, pociągając wodze. W ostatniej chwili opanował odruchową reakcję szarpnięcia i zamiast tego pociągnął delikatnie, jakby próbował odrobinę zwolnić galop Diabło.

Sterowanie zadziało i Chauncey zmienił kąt lotu, wznosząc się, tracąc równocześnie część szybkości w poziomie, ale kiedy wrócili do lotu poziomego, przez zluźwienie wodzy, znaleźli się nad formacją i z przodu. Oraz nieco za daleko na zewnątrz w lewo i nie miał pojęcia, jak do tego doszło.

– Co ty u diabła wyprawiasz? – ryknęła Joanna. – Mówiłam ci, żebyś nic nie robił!

– Leciał w twoim cieniu – odkrzyknął Herzer. – Uznałem, że nie powinnaś go holować!

– Gdyby to był problem, powiedziałabym ci! – ryknęła gniewnie smoczyca. – I co teraz zrobisz, mądralo?

Musiał wrócić, opaść i skrócić w prawo. Pozycja, którą próbował zająć, znajdowała się o jakieś dziesięć do dwudziestu metrów w prawo i mniej więcej tyle samo do tyłu. Jakies sześć metrów niżej. Zdawał się lecieć w odrobinę mniej wydajnym ślizgu niż pozostałe smoki, prawdopodobnie dlatego, że nie wykorzystywał tych samych wirów.

Cóż, próbował już wodzy wznoszących oraz połączenia wznoszenia i opadania. Oraz skręcał w lewo i prawo.

– Chyba spróbuję wodzy do opadania – wymamrotał pod nosem i lekko pociągnął wodze na nogach.

* * *

Rachel przyglądała się próbom sterowania Herzera z rozbawieniem, ale jęknęła przerażona, gdy smok wykręcił na prawym skrzydle i runął w stronę ziemi.

– O Boże! – krzyknęła.

Joanna obróciła lekko głowę w bok i prychnęła.

– To właśnie nazywamy lotem pikującym.

– Nic mu się nie stanie?

– Cóż, nazywamy go w ten sposób, bo jest piekielnie niebezpieczny.

* * *

Herzer mocno chwycił się wodzy, gdy smok zdał się na chwilę wykręcić nogami do góry. Wyraźnie obejrzał brzuch wywerna Vickie i kiedy pod nim przelatywał, uświadomił sobie, że krzyczy, ale chwilowo chyba nie mógł zrobić nic innego.

Jednak leciał w ten sposób bardzo krótko i szybko odzyskał kontrolę nad zwierzęciem, pociągając za odpowiednie wodze nieco mniej łagodnie niż wcześniej.

Smok wyszedł z nurkowania ostrym skrętem w górę i w lewo, wzbijając się silnymi uderzeniami skrzydeł i Herzer krzyknął, dając upust przepelniającej go niesamowitej radości biorącej się z poczucia kontroli nad tą niesamowitą siłą.

– Tak! – krzyknął jeszcze raz, gdy smok wspiął się na poziom formacji. Trochę już pewniej pozwolił mu wznieść się jeszcze nieco wyżej, a potem skierował go na właściwą pozycję ślizgiem w dół. Chauncey zdał się wreszcie wyczuć wiry i z własnej inicjatywy zajął właściwe stanowisko.

– O rety! – Herzer krzyknął do Vickie z szeroko roześmianą twarzą.

– Jesteś cholernie szalony – odkrzyknęła mu Vickie. – Mogłeś się zabić.

– To właśnie jest takie wspaniałe – odpowiedział Herzer, wciąż z uśmiechem. – Zwykle próbują mnie zabić inni ludzie. Tym razem tylko fizyka!

– Daj mi spokój, Vickie – krzyknął następny jeździec w szeregu. – Kiedy ona pierwszy raz pikowała, zsikała się ze strachu.

– Bardzo ci dziękuję, Jerry! – odwrzasnęła Vickie. – Teraz lepiej dobrze sprawdzaj swoją uprząż!

– To było wspaniałe! – zawołał Herzer. – Zróbmy to jeszcze raz!

– Nie ma mowy – odkrzyknął Jerry. – Lecimy w taki sposób, bo czeka nas dzisiaj drugi lot. Już zmęczyłeś go bardziej, niż powinien. Daj mi spokój. Na akrobacje będzie czas w trakcie wyprawy.

– On nie jest jeźdźcem smoków! – krzyknęła Vickie.

– Smok. Jeździec. Jeździec smoka! – Jerry wskazał na Herzera, a potem się roześmiał.

– Jak długo będziemy dziś lecieć? – zapytał Herzer.

– Długo, cztery albo pięć godzin – odpowiedziała Vickie. – To prawie granica wytrzymałości smoka.

– Och – mruknął Herzer. – Nie wiedziałem – dodał, wrzeszcząc.

– Powinno być wszystko w porządku – stwierdziła głośno Vickie. – Nie chodzi o to, że się wyczerpują, po prostu trzeba je wtedy nakarmić. A najedzone smoki nie latają za dobrze. Zazwyczaj lecimy kilka godzin, potem je trochę karmimy i lecimy znowu. Przy takim cztero- czy pięciogodzinnym locie będą musiały napchać się po uszy. A wtedy przez całe godziny do niczego się nie nadają.

– A co, jeśli się ich nie nakarmi? – zapytał Herzer.

– Nie chcesz być blisko głodnego smoka – odkrzyknął Jerry. – Naprawdę nie chcesz.

* * *

Smoki syczały jak olbrzymie czajniki, wykręcając gniewnie głowy z boku na bok. Ale łańcuchy, którymi uwiązano zwierzęta, trzymały je w

dostatecznej od siebie odległości, żeby nie sięgały do siebie nawet ogonami. Z drugiej strony podanie im dużych tac wymagałoby podejścia na tyle blisko, by zostać ugryzionym.

Miejscem docelowym grupy była baza morska Newfell, powiększająca się placówka w pobliżu ujścia rzeki Gem. Mieściła się na końcu dużej zatoki, do której wpadały Gem i Poma, a dopływem tej ostatniej była między innymi Shenan, płynąca przez Raven's Mill.

Bazę utworzono w reakcji na ewidentne plany inwazji z Ropazji i szybko stała się sceną zdumiewającej aktywności.

W porcie zbudowano dwanaście dużych pirsów, a przy każdym z nich cumowało kilkanaście małych jednostek. Większość stanowiły barki i łodzie przewożące materiały z wnętrza ładu, ale dało się też dostrzec kilka dużych żaglowców, które prawdopodobnie dotarły do bazy, żeglując wzdłuż wybrzeża. Herzer przypomniał sobie informację, że na pomocy znajdowały się rosnące miasta Balmoran i Manan, z których każde mogło przysłać statki.

Materiały rozładowywane ze statków transportowano do kompleksu magazynów stojących wzdłuż wybrzeży. Stamtąd część rozprowadzano jako zaopatrzenie dla bazy. Rozlokowały się tam odlewnie produkujące metalowe wyroby dla wszystkiego, co pływa, tartaki tnące belki, przerabiane następnie na maszty i kadłuby, wytwórnie lin wytwarzające konopie na wytrzymałe liny i fabryki żagli, gdzie zszywano bele ciężkiego badwabiu na żagle potrzebne do budowanych wszelkiego rodzaju jednostek pływających.

Wszystko to jednak bladeło przy aktywności stoczni.

Wywerny „zaparkowano” na skraju stoczni, przy brzegu rzeki Gem. Wszędzie wokół wznosiły się kadłuby budowanych statków i okrętów, całość otoczono rusztowaniami. Zewsząd dobiegały odgłosy pił i młotków, a oprócz smrodu zalewowych bagien dominował zapach schnącego drewna i trocin.

Wszystko to wzmagało niepokój wywernów.

Tace były duże, ponad metrowej średnicy, z podniesionymi brzegami i metalowymi uchwytami. Zapach umieszczonej na nich dymiącej masy w połączeniu z zapaszkiem bagien tworzył mieszankę, która przyprawiała Herzera o mdłości.

Nie to jednak stanowiło prawdziwy problem, tak naprawdę pragnął mieć teraz na sobie swoją zbroję. Te wywerny miały duże zęby.

– Co w tym jest? – zapytał, dźwigając razem z Jerrym tacę. Herzer prawdopodobnie potrafiłby unieść ją sam, ale dla większości jeźdźców była to praca dwuosobowa.

– Podroby, soja, olej roślinny i keczup – wyjaśnił Jerry. – One znają już

zapach tej masy i go nie lubią. A więc zechcą spróbować świeżego mięsa. Zatrzymamy się tuż poza zasięgiem szczęk i podsunimy im to. Na trzy.

– Ketchup? – zapytał Herzer.

– Lubią ketchup. Raz, dwa...

Z tyłu rozległ się ryk i w podmuchu wiatru wylądowała Joanna.

– Dość tego – ryknęła, nachylając się, by szczyzną najbliższego wywerna w kark. Zwierzę opuściło głowę i prawie położyło się na plecach, wydając z siebie cichy, miaukliwy dźwięk.

– Teraz je nakarmcie – warknęła Joanna, uspokajając kolejnego smoka, sięgającego w stronę tacy. – Jesteście mi potrzebni żywi.

Jerry i Herzer ruszyli do przodu, opuszczając tacę przed nosem wywerna, po czym podnieśli następną i podsunęli ją Chaunceyowi. Do tej pory pozostałe trzy też zostały już nakarmione.

Niezależnie od tego, czy zwierzęta lubiły podaną im masę, czy nie, natychmiast zanurzyły w niej nosy, wsysając ją, bo nie znajdowało się w niej nic do gryzienia.

– No, załatwione – Jerry westchnął. – Teraz możemy je obejrzeć. Łuskowata skóra smoków była dość wytrzymała, ale mogła zostać mocno otarta przez źle umieszczony pas. Jerry przy akompaniamencie kwaśnych uwag Vickie pokazał Herzerowi, jak sprawdzić, czy smoki nie mają otarć ani zadrapań. Potem spędzili trochę czasu przy Chaunceyu, przycinając mu szpony u nóg. Jerry miał do tego duży zestaw kleszczy do metalu, ale Herzer łagodnie uniósł jeden ze szponów i wsunął jego czubek w kleszcze swojej protezy.

– Są mocne – ostrzegł Jerry.

– Żaden problem – odparł Herzer. – Prawdopodobnie. – Napiął przedramię i czubek szpona odskoczył z trzaśnięciem.

– Ekstra – skomentował Jerry. – Bardzo przydatne.

– Świetnie też nadaje się do otwierania butelek – dodał Herzer, krzywiąc się. – Ale wolałbym mieć dłoń.

– Jak to działa?

– Jeśli napinam się, jakbym chwycił coś kciukiem i palcem wskazującym, zaciska się – wyjaśnił Herzer. – Jeśli ściskam kciukiem i palcem serdecznym, aktywuję przecinak. A jeśli przy tym poruszam małym palcem, aktywuję przekładnię na kleszczach i przecinaku. Daje mi jakieś sześciokrotne zwiększenie siły.

– Użyłeś przekładni?

– Nie, nie była potrzebna. – Herzer przesunął rękę po smoczej nodze i

przyciął pozostałe pazury Chaunceya. – Ta już gotowa.

– Chauncey to jeden z naszych nowszych wywernów – wyjaśnił Jerry, gdy Herzer zajmował się pozostałymi szponami. – Dopiero wyszedł z kolonii, ale ponieważ jest uległy i nie ma jeszcze przydzielonego jeźdźca, a powiedziano nam, żeby zabrać jednego smoka ekstra, wzięliśmy jego, pomimo że nie jest jeszcze w pełni dojrzały.

– I tak jest dość duży – stwierdził Herzer. – Jak szybko rosną?

– Dziesięć lat do tych rozmiarów. Będzie miał jeszcze sześćdziesiąt, może osiemdziesiąt kilo, zanim przestanie rosnąć za kolejne dziesięć.

– Dziesięć lat? Zdziwił się Herzer. – Czyli... urodził się przed Upadkiem?

– Zgadza się – potwierdził z uśmiechem Jerry. – Jeszcze nikomu nie udało się podróż w czasie. Istniało coś takiego jak liga wyścigowa wywernów, to z niej się wywodzimy.

– Myślałem, że wyhodowała je Sheida – powiedział Herzer, a potem urwał. – Czemu się przyłączyliście?

– Cóż, jakoś musieliśmy je karmić. – Jerry wzruszył ramionami i przetarł szmatką grzbiet Chaunceya. – A przy Sheidzie i Nowym Przeznaczeniu nie mieliśmy wielkiego wyboru, prawda?

– Tak, raczej nie mieliście – szczerze odparł Herzer. – Ja... z początku związałem się z facetami, którzy sprzymierzyli się z Nowym Przeznaczeniem. Najpierw o tym nie wiedziałem, potem odszedłem. Ale i wcześniej nie byli zbyt dobrymi ludźmi.

– Cóż, ja dołączyłem do Sheidy niemal od razu – powiedział Jerry. – Miałem wylęgarnię w pobliżu jej domu, w górach Teron. Po Upadku podleciałem tam, a ona natychmiast zrozumiała korzyści. A więc razem z paroma innymi udaliśmy się natychmiast do weyrów i rekrutowaliśmy.

– A skąd się wzięła Joanna? – zapytał Herzer.

– Nie wiem. Sheida gdzieś ją znalazła.

– Nie masz nic przeciw temu, że... tak jakby tu dowodzi?

– Absolutnie – zaprzeczył Jerry, wzruszając ramionami. – Dla wywernów jest niczym bóg, co pomaga, jak to już mogłeś zauważyć. A kiedy angażuje się w walkę, druga strona praktycznie nie ma szans. Wywerny tak naprawdę nie są dobre w walce, bo wszystko, co mogą robić, to gryźć i szarpać szponami, a wtedy tracą prędkość. Joanna przechodzi przez wrogów jak piła mechaniczna. Może używać ogona do zadawania poważnych obrażeń. Cieszę się, że jest po naszej stronie.

Herzer i Jerry zbierali szmaty i przecinaki, kiedy Herzer zauważył Rachel

przemykającą między wyvernami. Po jedzeniu smoki się uspokoiły, ale kilka zasyczało na nią, gdy przechodziła.

Rachel zignorowała je, idąc wprost do Herzera. Kiedy się zbliżyła, stanęła z rękami na biodrach i przechyliła głowę.

– A więc to tu się ukrywasz? Myślałam, że jesteś szczęśliwy w piechocie?

– Jestem – przyznał Herzer. – Ale będziemy dużo pracować ze smokami. Pomyślałem, że niezłym pomysłem byłoby poznanie ich z bliska.

– Cóż. Ojciec uważa za niezły pomysł, żebyście wzięli udział w odprawie przed misją, cokolwiek to oznacza – oznajmiła Rachel. – I dlatego tu jestem.

– Skończyliśmy? – zapytał Herzer.

– Zrobiliśmy dość – odpowiedział Jerry. – Chodźmy.

Rozdział 9

Joel pozwolił entuzjastycznemu podporucznikowi się zarekrutować, ponieważ wydawało się to najprostszym sposobem na wejście do bazy, biorąc pod uwagę komplikacje, jakie pojawiłyby się w innej sytuacji. Weilis zapłacił mu nawet za bilet z Tenerie do Newfell. Tak więc zaraz po przybyciu do bazy Newfell jego opiekun zaprowadził go do budynku rekrutacyjnego, a sam odszedł zgłosić się na służbę.

Joel pokiwał głową, zdumiewając się wielowarstwową naiwnością młodego oficera. Po drodze zatrzymali się na noc na południe od Washan, śpiąc w jednej z gospód przeznaczonych dla dylizansów – cena noclegu wliczona była w bilet. Przybyli więc późnym rankiem. Formalnie podporucznik nie musiał zgłaszać się wcześniej niż tuż przed północą i jeśli zrobi teraz, to albo będzie cały dzień siedział w biurze, albo przydzielą mu jakąś pracę do czasu, aż ktoś wymyśli, co zrobić z nim jutro.

Drugi poziom troski o naiwność Weilisa stanowiło przekonanie Joela, że ktokolwiek kierował kontrwywiadem, nie miał o tym zielonego pojęcia. Młody mężczyzna chętnie opowiedział mu o wszystkich swoich obowiązkach w Balmoran i niektórych, jakie spodziewał się wykonywać w Newfell. Właściwie to dzieciak okazał się takim gadułą, że Joel poznał pół jego życiorysu. Albo perfekcyjnie opanował rolę, albo był kretynem. Nie, nie wyglądał na głupiego, po prostu został wyszkolony przez idiotów. A to jeszcze gorsze.

Joel jeszcze raz pokiwał głową, po czym otworzył drzwi do biura rekrutacyjnego. W pokoju stało biurko, a przed nim dwa wygodne krzesła. Za biurkiem siedział starszy mężczyzna o surowej twarzy i mundurze prawie w całości pokrytym medalami. Kiedy Joel przeszedł przez drzwi, na jego twarzy pojawił się przyjazny uśmiech.

– Witam, synu – zagrzemiał podoficer, wstając i obchodząc biurko. – Miło cię widzieć. Jestem bosman Rishell, ale możesz do mnie mówić „bosmanie”.

– Witam, bosmanie – powiedział Joel. Kiedy bosman wyszedł z biurka, stało się jasne, czemu za nim siedzi – brakowało mu prawej nogi od kolana w dół. – Mam dla pana złą wiadomość, chyba jestem w biurze rekrutacyjnym, prawda?

– Zgadza się, synu – potwierdził bosman, ściskając jego dłoń. – Życie w marynarce to coś dla prawdziwych mężczyzn, ale bierzemy tylko najlepszych. Masz silne ręce, pracowałeś wcześniej jako oracz?

– Nie, bosmanie – wyjaśnił Joel. – Rzecz w tym, że skierował mnie tu taki miły porucznik. Mam zostać przyjęty.

– Już zostałeś zarekrutowany? – zapytał bosman, puszczając dłoń Joela.

– Tak, przed i po Upadku pracowałem na łodziach rybackich – odpowiedział z uśmiechem Joel. – Powiedzieli coś o zrobieniu mnie matem.

Bosman patrzył na niego przez chwilę z pustą twarzą, po czym wskazał na lewo.

– Przyjmowanie znajduje się trzy budynki dalej.

– Przyjąłem, bosmanie – rzekł Joel, próbując się nie uśmiechać.

– Jesteś pod rozkazem? – zapytał bosman, patrząc na jego nędzny strój podróżny.

– Powiedzieli mi, że ustny – odpowiedział Joel, wzruszając ramionami. – Zasadniczo zostałem zaprzysiężony i wsadzony w Newfell do dyliżansu.

– Hmm... – Bosman przyglądał mu się przez chwilę, po czym wrócił za swoje biurko. – Siadaj, synu.

Joel posłuchał, przekrzywiając lekko głowę na bok.

– Chodzi o to, że nie musisz się zgłaszać wcześniej niż przed północą – wyjaśnił bosman, lekko marszcząc czoło. – Jeśli pójdziesz tam o tej porze, nie będą mieli dla ciebie żadnej roboty. Mogą powiedzieć ci, żebyś sobie zrobił wolne, ale bardziej prawdopodobne, że przydzielą ci jakieś tymczasowe zajęcie, którego nikt nie lubi, w rodzaju grabienia trawy czy przerzucania odchodów. Cóż, wszyscy czasem muszą to robić, ale nie ma żadnego powodu, żeby się do takiej roboty pchać, jeśli wiesz, o czym mówię.

– Doceniam radę – podziękował Joel. – Ale nie bardzo wiem, co mógłbym ze sobą zrobić.

– Jeśli masz jakieś pieniądze, sugerowałbym udanie się do placówki pocztowej. Mają tam też bar i nawet sprzedają książki. Może pooglądaj sobie bazę, ale skoro nie masz munduru, ludzie będą zadawać ci pytania, a jeśli trafisz na jakiegoś nadętego służbistę, każe ci się natychmiast zgłosić. Idź kup sobie książkę, zjedz coś i znajdź jakiś kąt na uboczu, gdzie mógłbyś się ukryć. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że mówię ci o tym wszystkim tylko dlatego, że też jesteś żeglarzem.

– Dzięki, bosmanie – odpowiedział Joel, podnosząc się z miejsca. – Mogę spytać, co się stało z pana nogą?

Bosman patrzył na niego przez chwilę z napięciem, potem wzruszył ramionami.

– Dostała się w pętlę liny w szkwale za przyładkiem Far – wyjaśnił. – Pamiętaj, morze to matka.

– Znam to wszystko, bosmanie – odpowiedział szpieg. – Niech się pan trzyma.

– Jasne – rzucił bosman, gdy podchodził już do drzwi. – Ty też.

Joel znalazł wzmiankowaną placówkę i faktycznie, mieli tam książki. Nie znał żadnego z autorów ani tytułów, więc wybrał po prostu tę z najbardziej jaskrawą okładką. Była tak kiepska, jak się spodziewał. Opisywała rzekomo prawdziwą historię obrony Raven's Mill przed poplecznikami Nowego Przeznaczenia w pierwszym roku po Upadku. Do przesady skupiała się na szkoleniu Panów Krwi. Z drugiej strony, jeśli jest w niej coś z prawdy, musi porozmawiać z ich instruktorami. Stworzyli już podstawy działającego programu szkolenia i jeśli szkoła wywiadu, o której myślał, miała kiedykolwiek wystartować, nie zaszkodziłoby szkolenie przynajmniej częściowo w tym samym zakresie.

Sama książka to osobna historia. Nie było mowy, żeby kiedykolwiek dopuścił jej autora choć w pobliże tego, co sam robił. Facet wprowadzał postacie bez żadnego widocznego powodu, a potem je zabijał, kiedy czytelnik już zaczynał się do nich przyzwyczajać. Jasne, to prawdziwa historia i ludzie naprawdę ginęli, ale bez przesady. Napisane to było dość topornie, ale z dziwnym poczuciem humoru. Facet nigdy nie zdobędzie tym żadnych nagród.

Z drugiej strony naprawdę dobrze się to czytało i właściciel baru musiał go wyrzucić przy zamykaniu lokalu. Zabrał książkę ze sobą, nie wiedząc, czy spalić ją, czy dokończyć później, i wciąż chichocząc, skierował się do biura. Miał nadzieję, że ten dureń nigdy nie pozna historii jego życia. Pewnie zabiłby go w chwili, gdy wszyscy zaczęliby go lubić.

* * *

Herzer i Jerry poszli za Rachel w stronę dowództwa, a Herzer skorzystał z okazji, by uważniej przyjrzeć się budowanym statkom. W tej chwili równocześnie konstruowano ich ponad tuzin, od małej łodzi, prawdopodobnie przeznaczonej do żeglugi zatokowej, do olbrzymiej jednostki długiej na sześćdziesiąt metrów. Ta ostatnia składała się dopiero z wręg, ale wyraźnie zaprojektowano ją na szybką i potężną. Nie miał pojęcia, jak będzie wyglądać po ukończeniu, ale sprawiała wrażenie jednostki bojowej.

Za magazynami stał kolejny rząd budynków wzniesionych na nieco wyżej położonym terenie. Większość struktur była bardzo prymitywna,

wyraźnie postawiona w trakcie pierwszej fali budowy po Upadku. Niektóre z nich już rozmontowywano na materiały, bo duże pnie, z których budowano wczesne baraki, dawały się pociąć na deski wystarczające do zbudowania trzech domów. Jednak jeden z nich miał dobudowane dodatkowe konstrukcje i to właśnie tam prowadziła ich Rachel.

– To kwatera główna bazy – wyjaśniła dziewczyna, gdy zbliżali się na miejsce, mijając grupy robotników i żeglarzy w niebieskich spodniach i białych koszulach. – Mieści się tam również tymczasowo Dowództwo Floty. Są trochę stłoczeni.

– Wyobrażam sobie – zgodził się Herzer, chichocząc. Mieli ten sam problem w Raven's Mill z Akademią i Dowództwem Obrony Overjay znajdującymi się w tych samych budynkach. – Uderza mnie, jak wielu jest tu ludzi, musi tu ich być chyba ze dwa albo trzy razy tyle, ile w Raven's Mill. A to więcej, niż było w Harzburgu. Większość z nich to świetny materiał na żołnierzy, a nam ich piekielnie brakuje.

– Z tego, co usłyszałam w dowództwie, ściągają tu z północy i południa od samego Upadku – powiedziała Rachel, gdy zbliżyli się do wejścia. Stojący przed nim strażnicy w niebieskich mundurach zasalutowali Herzerowi, a ten odpowiedział im tym samym. – Duży nacisk kładzie się na zbudowanie floty.

– Cóż, wolałbym raczej walczyć z siłami Paula na lądzie niż na morzu – przyznał Herzer. – Więc nie będę im żałował.

Dziewczyna poprowadziła ich przez budynek do biura mieszczącego się w przybudówce. Powietrze wciąż pachniało trocinami, a pełne ćwieków ściany ronily krople żywicy.

Grupa z Raven's Mill zebrała się wokół biurka, za którym siedział niski mężczyzna z silną opalenizną i gęstymi szarymi włosami, przyciętymi na krótko u góry i prawie do zera na bokach. Miał zimne niebieskie oczy, które badawczo i bez entuzjazmu przyglądały się nowo przybyłemu.

– Porucznik Herzer Herrick, Jerry Riadou, to kapitan Shar Chang. Jest dowódcą Bonhomme Richard, który zawiezie nas na wyspy. Kapitanie, Jerry to starszy jeździec smoków, a Herzer jest jednym z moich oficerów, który w trakcie tej misji będzie pełnił obowiązki mojego adiutanta.

– Sir – odezwał się Herzer, stając na baczność i salutując.

– Generał Talbot ma wyższy stopień ode mnie, poruczniku – cierpko stwierdził Chang. – Jeden z wielu cudownych aspektów tej misji.

– To pan dowodzi jednostką, kapitanie – spokojnie zauważył Talbot. – My tylko na nim płyniemy.

– Co do smoków... – zaczął Shar Chang. – Pozwólcie, że wyjaśnię wam problemy, z którymi musimy się uporać. Richard to nowiutki okręt, smokowiec, pierwszy z planowanej serii. Został zaprojektowany do przewożenia smoków. Problem polega na tym, że zaprojektowano go, opierając się wyłącznie na teoriach i wyobrażeniach, ponieważ to pierwsze wywerny, które mamy w tej bazie. Powinien przewozić trzydzieści sześć wywernów z jeźdźcami lub cztery prawdziwe smoki z grupą pomocniczą na morzu przez sto dni. Pięć wywernów i smok będą miały mnóstwo miejsca, ale to dobrze. Właśnie ukończyliśmy testy stoczniowe. Są pewne problemy, do naprawienia. Nie odbyliśmy jeszcze żadnego rejsu. Olinowanie wymaga przeróbek. Pomieszczenie dla smoków na pewno będzie wymagało przeróbek. A w środku tego wszystkiego przydziela się nam tę priorytetową misję. Chyba rozumieją państwo, czemu brak mi entuzjazmu.

– Rozumiem, sir – wtrącił się Jerry. – Poinformowano nas, że naszym zadaniem będzie wsparcie misji dyplomatycznej i wypracowanie doktryny bojowej. Zrobimy to, sir. Musimy.

– Zgadzam się. Jaki masz stopień, synu? – zapytał kapitan.

– Cóż... – odparł Jerry. – Właściwie nie mamy stopni jako takich. Ja po prostu mam największy staż. W większości przypadków decyzje zostawiam Joannie, jeśli jest w pobliżu.

– Wspaniale – westchnął Chang. – Czyli oficjalnie nie jesteście członkami sił zbrojnych ZWS?

– Jesteśmy – ostrożnie odpowiedział Jerry. – Przynajmniej tak jesteśmy opłacani. Ale nigdy nie pojawił się temat stopni. Po prostu idziemy tam, gdzie wysyła nas Sheida i robimy, co możemy. Wykonywaliśmy misje bojowe, sir. Nie było z tym problemu.

– A co się dzieje, jeśli jeden z pańskich jeźdźców uznaje, że nie podoba mu się misja? – zapytał Chang.

– To... nigdy do tego nie doszło, sir – przyznał Jerry.

– Będę musiał wysłać długi list do Dowództwa Atlantyku – stwierdził Chang. – Bez dwóch zdań. A na razie, panie Riadou, dostaje pan stopień chorążego pierwszej klasy. Nie wiem, ile panu płacono, ale od tej chwili to też pańska kategoria żołdu. Jeśli to więcej, niż dostawał pan dotąd, właśnie dostał pan podwyżkę. Jeśli mniej, coś wykombinujemy. Może premie za godziny w powietrzu. Proszę jeszcze wybrać jednego z pańskich jeźdźców na sierżanta sztabowego, reszta musi się obejść bez stopni. Ma pan jakieś pytania?

– Nie, sir – odpowiedział Jerry.

– A powinien pan. Od tej chwili podlega pan wojskowemu prawu i dyscyplinie. To bardzo odległe od bycia cywilem. Mogę doprowadzić do wychłostania albo powieszenia pańskich jeźdźców za niespełnienie rozkazu. Tak samo jak generał Talbot. Zresztą, musi pan wypełniać rozkazy obecnego tu porucznika Herricka, ponieważ ma wyższy od pana stopień. Każę wysłać kopię przepisów do pańskich koszar.

– A co z Joanną? – zapytał Talbot.

– Dostanie stopień komandora – zdecydował po chwili Chang. – Będzie równa stopniem mojemu pierwszemu oficerowi, a równocześnie przewyższać wszystkich pozostałych na okręcie poza panem i mną. Ogólnie rzecz biorąc, będzie w pełni kontrolować smoki i ich jeźdźców. I odpowiadać za ich działania. Czy to jakiś problem?

– Nie sędzę – uznał Edmund. – Ale ona ma bardzo specyficzną formę żołądu. To znajduje się w moich rozkazach.

– Rozumiem – zgodził się Chang. – Przejdźmy teraz do misji. Jak zauważył pan Riadou, mamy dwa zadania polegające na wyszkoleniu smoków i wykonaniu misji dyplomatycznej. Jakież uwagi?

– Najwyższy priorytet ma dotarcie do archipelagu – zauważył Edmund. – Szkolenie smoków nie może w większym stopniu w tym przeszkodzić.

Chang westchnął i potrząsnął głową.

– I to mniej więcej sprawa, o którą mi chodziło. Cóż, muszę sobie z tym jakoś poradzić. – Rozległo się pukanie do drzwi, które niemal natychmiast otworzyły się ukazując młodzieńca o brązowych oczach i nieobecny wyrazie twarzy. Znieruchomiał, patrząc w zaskoczeniu na grupę, stłoczoną w pokoju, po czym przeniósł wzrok na dowódcę za biurkiem.

– Przepraszam, wrócę później – wymamrotał i zaczął się wycofywać z pokoju.

– Powinieneś się tu zgłosić piętnaście minut temu – westchnął Chang. – Wejdz, Evan. Evan jest... – urwał i spojrzał na księcia Edmunda z malującym się na twarzy zmieszaniem. – Nie jesteśmy do końca pewni, jak go nazywać. Zasadniczo nazywamy go po prostu projektantem okrętowym, ale bardziej pełni funkcję eksperta od wydajności.

– Lubię myśleć o sobie jako o projektancie systemów – odezwał się Evan z uśmiechem, który złagodził jego skupione oblicze. – Właśnie w tej sprawie przyszedłem, chciałbym wprowadzić zmianę w systemie karmienia na Richardzie...

– Evan, musimy mieć te rzeczy w jednym miejscu dostatecznie długo, żeby stworzyć instrukcje obsługi – odpowiedział Chang. Na jego twarzy

pojawił się wyraz rozbawienia, jakby był to element długotrwałego sporu.

– Wiem, Shar, ale myślę, że mogę przeciąć jedną z kabin...

– Powiesz mi o tym później, w tej chwili mamy coś ważniejszego. Chang odwrócił się do Jerry'ego, wskazując go. – To chorąży Riadou. Jest starszym jeźdźcem smoków pierwszego smoczego skrzydła, które będzie u nas stacjonować. Powinieneś oprowadzić go po pomieszczeniach na Richardzie najszybciej, jak to możliwe. Jerry Riadou, Evan Mayerle.

– Dobrze – rzekł Evan, wyciągając rękę. – Czy to znaczy, że mamy wreszcie wywerny, z którymi możemy pracować?

– I większego smoka – potwierdził Chang ze skinięciem. – Nie słyszałeś?

– Och, nie – odpowiedział Evan. – Będziemy musieli połączyć boksy na pokładzie hangaru i...

– Załatw to z pierwszym oficerem, Owenem Mbeki – zdecydował Chang, przerywając mu. – Ruszamy z porannym odpływem. Wracam na pokład najdalej za godzinę. Przekaze pan to pierwszemu, panie Riadou?

– Tak jest, kapitanie – odpowiedział Jerry. – Mam przenieść moich ludzi na pokład?

– Nie wyobrażam sobie innego sposobu dostarczenia smoków na okręt niż przyłot, więc pierwszą rzeczą, jaką musimy rano zrobić, to je sprowadzić. Jak pan myśli?

– Czyli mam wejść na okręt, upewnić się, że wszystko jest przygotowane i zaznajomić się z systemem, a potem wrócić na brzeg?

– Zgadza się – przytaknął kapitan ze śmiechem. – Będę chciał się z panem zobaczyć dziś wieczorem, więc proszę zostać na pokładzie do mojego przybycia.

– Tak jest, sir – odpowiedział Jerry.

– Jesteśmy we flocie, chorąży. – Kapitan uśmiechnął się. – Po otrzymaniu rozkazu odpowiada się „aye, aye, sir”.

– Aye, aye, sir – powtórzył Jerry. – Mogę już iść?

– A właściwa forma to „proszę o zgodę na odmaszerowanie”. – Chang westchnął. – Tak, proszę. Ty też, Evan. Zobaczymy się na pokładzie.

Kiedy mężczyźni wyszli, Chang wzruszył ramionami i spojrzał na księcia Talbota.

– Czy to tylko ja, czy wszyscy muszą tu improwizować na bieżąco?

– Wszyscy – zapewnił go Talbot ze śmiechem. – Daneh musi szkolić lekarzy, a Herzer nieustannie tworzy żołnierzy z trawy i błota. Wszyscy improwizują.

– Czy ma pan jakieś pojęcie, jak złożony jest duży okręt? – zapytał

Chang. – Samo zebranie materiałów niezbędnych do wyjścia w morze wykręca umysł. Dość jedzenia i wody na sto dni dla trzydziestu sześciu smoków? Nie wspominając o dwustu dwudziestu pięciu członkach załogi, dwudziestu oficerach i podoficerach, jeźdźcach smoków i pasażerach. A skoro o tym mowa, na pokładzie woda jest w cenie. Obowiązuje przydział jednego galona dziennie na osobę i nie ma więcej. Są prysznice ze słoną wodą i można skorzystać z trzydziestu sekund spłukania soli używaną wodą słodką. Nie wolno jej pić, nie nadaje się do tego. Mamy silnik parowy małej mocy do wspomagania manewrów i to z niego pochodzi woda do pryszniców, ale jest jej niewiele. Kabiny są małe i ciasne, nie ma miejsca na dużo rzeczy. A jakość jedzenia waha się od słabego do bardzo złego.

– To by było na tyle, jeśli chodzi o przyjemną wycieczkę na wyspy – wtrąciła Rachel ze śmiechem. – To i tak lepiej, kapitanie, niż zaraz po Upadku.

– To prawda – Chang przyświadczył ze skinięciem. – A przy okazji, to zostało tu przeteleportowane. Albo tu stworzone, nie jestem pewien.

Sięgnął za biurko i wyciągnął szare plastikowe pudełko, kładąc je na biurku. Pudełko pozbawione było śladów spoin.

– Nie potrafię go otworzyć – powiedział nieprzyjemnym tonem. – Nie mam pojęcia, co zawiera.

Talbot przyłożył dłoń do wierzchu pudełka, a to otworzyło się wzdłuż niewidocznej wcześniej spoiny. Wewnątrz znajdowały się cztery przezroczyste torby, kilka przedmiotów i zapieczętowana koperta. Księżę wyciągnął kopertę i złamał pieczęć, po czym wyjął ze środka list.

– Kolejne instrukcje od Sheidy – powiedział, składając go i wsadzając z powrotem do koperty. Changa wyraźnie zirytowało, że nie został dopuszczony do treści przekazu, ale Talbot go zignorował. – Maski do oddychania pod wodą i sugerowane materiały handlowe – dodał, zamykając pudełko. – Czy może pan przesłać to na Richarda, kapitanie?

– Oczywiście, generale. Będzie coś jeszcze?

– Nie, nie sądzę – zaprzeczył Talbot. – Zapewne miałyby sens, gdybyśmy udali się na okręt najszybciej, jak to tylko możliwe.

– Przygotuję wszystko – oświadczył kapitan, wskazując na pudełko. – W ten sposób wasz bagaż powędruje razem z wami.

– Dziękuję – odparł z uśmiechem Edmund. – Teraz?

– Horacy!

Rozdział 10

Herzer otworzył szeroko oczy na widok potężnego okrętu.

– I dysponują tylko dwoma setkami ludzi do obsadzenia go? – zapytał.

Jednostka miała blisko osiemdziesiąt metrów długości, trzy maszty, z których ostatni, najwyższy, sterczał na wysokość czterdziestu metrów. Żagle powijane były we wszystkie strony i Herzer miał sporo problemów z ich uporządkowaniem. Część wyglądała, jakby opadała z poprzecznych belek na masztach, ale inne poowijano wokół ukośnych lin albo czegoś na przędzie.

Okręt, który był rodzajem klipra, wyglądał bardzo nietypowo, bo w miejscu, gdzie z tyłu powinien znajdować się maszt, umieszczono dużą platformę, mocno wystającą poza burty i wspartą na specjalnych wspornikach. Prawdę mówiąc, zupełnie brakowało koła sterowego i pokładu rufowego, których się tam spodziewał. Mogły mieścić się pod platformą, ale jeśli tak było, też zostały ukryte. Poza tym całą jednostkę pomalowano na szaro, co Herzerowi wydało się dziwne.

Grupa została przewieziona na okręt jedną z wielu małych łodzi krążących po zatoce. W tej wiosłowały dwie osoby, mężczyzna i krzepka kobieta, która zdawała się dowodzić. Ich łódź nie była jedyną kierującą się do okrętu i kiedy się do niego zbliżyli, zobaczyli grupę marynarzy wciągających na pokład palety z jednej z mniejszych łódek przycumowanych do burty. Obok stała kolejna, z której wystawały cztery gumowe węże. Wyposażono ją w mały silnik parowy i najwyraźniej pompowała coś na większą jednostkę.

Kiedy podpłynęli, z burty spuszczone schodki zakończone pływającą platformą i do niej właśnie skierowali się wiosłarze.

Herzer zdziwił się, kiedy Edmund kazał im wchodzić na pokład łodzi w odwrotnej kolejności starszeństwa, ale teraz zrozumiał, gdy to właśnie księżę jako pierwszy przeskoczył na platformę i wspiał się po schodach. Herzer wyszedł za panem i ruszył na górę. Za nim na platformę i schody wkroczyła Vickie, Rachel i jeden z pozostałych jeźdźców smoków, obarczony gładkim szarym pudełkiem.

Z góry schodów rozległ się dziwny dźwięk, bardzo wysoko brzmiący gwizd, dotarł na szczyt stopni akurat na czas, by zobaczyć, jak Talbot opuszcza rękę po salucie i usłyszeć bardzo głośny okrzyk chorążego: „Dowódca Overjay wchodzi na pokład!”.

Na pokładzie u szczytu schodów stał podwójny szereg marynarzy oraz

żołnierzy w niebieskich mundurach, jakie widział już w bazie marynarki. Marynarze mieli na sobie mundury robocze, ale żołnierze stawili się w dobrze wypolerowanych zbrojach i z pikami abordażowymi trzymanymi pionowo w postawie zasadniczej.

Edmund zrobił im po drodze odprawę, więc Herzer najpierw zasalutował rufie okrętu, gdzie na wietrze łopotała flaga ZWS, przedstawiająca grzechotnika na pomarańczowym polu, a potem witającemu ich oficerowi.

– Sir, proszę o pozwolenie wejścia na pokład.

– Udzielam pozwolenia – odpowiedział pierwszy oficer, oddając salut. Był prawie równie wysoki jak Herzer, ale znacznie szczuplejszy i wyciągnął rękę z przyjaznym uśmiechem. – Będzie pan miał takie same problemy z poruszaniem się po okręcie co ja.

Odwrócił się do księcia i wskazał w stronę rufy jednostki, a chorąży dowodzący grupą powitalną wydał rozkaz przejścia na spocznij i rozejścia się.

– Jestem Owen Mbeki, pierwszy oficer – przedstawił się wysoki mężczyzna.

– A ja ewidentnie Edmund Talbot – odpowiedział książę z uśmiechem. – Moja żona, doktor Daneh Ghorbani, która pełni również funkcję mojego attache kulturalnego, porucznik Herzer Herrick, attache wojskowy i adiutant, moja córka Rachel Ghorbani, pomocnik Daneh, i sierżant sztabowy Vickie Toweeoo, starszy podoficer grupy smoków.

– Bardzo mi miło – odpowiedział Owen Mbeki, ściskając ich dłonie. – Pokażę panu pańską kabinę, generale. Sierżant Toweeoo i pozostali jeźdźcy smoków zakwaterowani zostaną obok swoich zwierząt. – Przywołał bosmana o potężnym głosie i wskazał na dwóch jeźdźców. – Niech ktoś pomoże tym biedakom z bagażem, chief Brooks, i pokaże im pomieszczenia dla smoków. A potem ściągnijcie Evana i tego chorążego od smoków.

– Aye, aye, sir – odpowiedział podoficer.

Kiedy znaleźli się na pokładzie, stało się jasne, że struktura na rufie stanowiąca platformę do lądowania dla smoków zajmowała trzecią część długości jednostki. Pierwszy oficer poprowadził ich w stronę schodków znajdujących się w cieniu platformy i wskazał na górę.

– Ta rzecz będzie nam cholernie utrudniać życie, generale – zauważył. – Nie tylko oznacza brak masztu, może nawet dwóch, ale i wynikłą z tego utratę szybkości, przy i tak potężnej powierzchni żaglowej. Piekielnie ciężko manewruje się tą łajbą.

– Co pan o tym sadzi? – zapytał Talbot – Czy smoki są tego warte?

– Cóż, będziemy się musieli przekonać, sir – odpowiedział Mbeki z rozbawieniem. – Z tego, co rozumiem, nie bardzo mają jak atakować statki. A więc w tej chwili, muszę powiedzieć, że nie. Z drugiej strony przygotowanie się na nie dało nam do zabawy ten uroczy, olbrzymi okręt, a jeśli smoki się nie sprawdzą, możemy po prostu dodać parę masztów i dostać do rąk prawdziwą jednostkę bojową.

Poprowadził ich schodami na następny pokład. Od góry otwór zejściowy osłonięta wałkiem z tkaniny pomalowanej w czarne i żółte pasy.

– Proszę uważać na głowy – powiedział, schylając się. – Zwłaszcza pan, poruczniku. Proszę odwrócić się twarzą do drabiny, tak jest bezpieczniej.

Korytarz za schodami był niski i wąski. Z przeciwnej strony szła dwójka marynarzy, mężczyzna i kobieta, i oboje przypląszczyli się do ściany, przepuszczając ich grupę.

– Przepraszam – odezwała się, przechodząc Daneh.

– Żaden problem, proszę pani – odpowiedziała kobieta, a mężczyzna uniósł brew.

– Przepisy dotyczące poruszania się – wyjaśnił pierwszy oficer, odpychając na bok zasłonę i wchodząc do kabiny na prawo od korytarza. – Przy przejściu korytarzem niższy stopniem ustępuje drogi starszemu. Ponieważ oznacza to, że muszę ustępować tylko kapitanowi, uważam to za świetny układ. – Wskazał na dwie koje przy ścianie małej kajuty. – Nie jestem pewien, jak was rozlokować. Mamy mieszaną załogę, ale osobne kajuty dla kobiet i mężczyzn. Mamy tę kabinę i drugą, większą, przeznaczoną dla księcia Edmunda, ponieważ jest dostatecznie duża, żeby odbywać w niej spotkania. Mogą się tu ulokować panie albo adiutant generała i pomocnica pani Daneh, albo księżę mógłby odstąpić kajutę paniom i przenieść się tutaj. Jest jeszcze jedna kabina w części przeznaczonej dla jeźdźców smoków, ale wolałbym zostawić ją dla jeźdźców, jeśli nie ma pan nic przeciw. Albo jedno z nich mogłoby nocować z jeźdźcami.

Edmund spojrział na Rachel i uniósł brew, na co dziewczyna wzruszyła ramionami.

– W taki czy inny sposób spędziłam z Herzerem większość życia, nie mam problemu z dzieleniem z nim pokoju.

– Mógłbym się przenieść do jeźdźców – równocześnie zaoferował się Herzer.

– Nie, chcę, żebyś z nimi pracował, ale równocześnie musisz być blisko – zamyślił się Edmund, głaszcząc się po brodzie. – Zostaniesz tutaj. Jeśli pojawią się jakieś problemy, rozwiąż je.

Herzer wzruszył ramionami i wszedł do kajuty, rzucając swoje rzeczy na górną pryczę. Od zewnętrznej strony wyposażono ją w niską barierkę, a materac został zrobiony z czegoś stosunkowo miękkiego, choć nie był pewien z czego. W każdym razie uznał, że to ani siano, ani pióra. W kajucie nie starczało miejsca, by nawet ze schyloną głową mógł swobodnie stanąć. Wspinanie się na koję będzie ciekawą operacją. Jego rzeczy, mieszczące się w jednej torbie, powędrowały w nogi koi, co zapewniało mu około stu dziewięćdziesięciu centymetrów na spanie. Biorąc pod uwagę, że miał dwieście dziesięć centymetrów wzrostu, trochę tu niewygodnie. Po prostu nogi ułożył na torbie.

– A zaraz obok. – Mbeki otworzył następne drzwi w korytarzu – mamy kabinę księcia Edmunda.

Kajuta, choć niska, okazała się stosunkowo obszerna. Poza sporym łóżkiem stał tam stół wystarczająco duży, by zapewnić miejsce dla sześciu albo po stłoczeniu nawet ośmiu osób. Dostrzegli też dość spore okno z grubego szkła i parę metrów pustej podłogi.

– Jest pan na bakburcie, przed kajutą kapitańską – dodał. – Moja mieści się po drugiej stronie korytarza, a mesa oficerska za kabiną adiutanta na bakburcie. Pozostałe kabiny oficerskie znajdują się przed schodkami.

– Tu będzie dobrze – ocenił książe Edmund. – Proszę to tu położyć – wskazał miejsce marynarzowi, który niósł jego rzeczy.

– Książę Edmundzie – odezwał się Herzer. – Wybrałbym się poszukać Jerry’ego i przyjrzeć się kwaterom smoków.

– Chorąży Riadou powinien niedługo spotkać się z kapitanem... – powiedział Mbeki.

– Chciałbym, żeby Herzer również uczestniczył w tym spotkaniu – wtrącił się Talbot. – Herzer będzie moim łącznikiem z jeźdźcami. Chciałbym też, żeby brał udział w rozmowach na temat ich wykorzystania.

– Dobrze – zgodził się skonsternowany pierwszy oficer. – Marynarzu, pokażcie porucznikowi Herzerowi biuro kapitana.

Herzer poszedł za marynarzem oszalałym ciągiem korytarzy do drzwi pilnowanych przez strażnika.

– Porucznik Herzer na spotkanie z kapitanem, z rozkazu księcia – oznajmił marynarz, ustępując na bok.

Strażnik spojrział na porucznika i uniósł brwi.

– Pan Krwi?

Herzer nachylił się tak, że jego nos znalazł się o cal od twarzy strażnika i kiwnął głową.

– Pan Krwi. Jest jeden kapitan. Są dwaj porucznicy. Ja jestem tym drugim. I jeśli jeszcze raz spojrzysz na mnie w taki sposób, zetrę tobą podłogę. Nie pozwalam szeregowcom na obgadywanie. Zwłaszcza takim, którzy dopiero co odebrali zbroję i nic jeszcze w życiu nie widzieli. Rozumiemy się?

Strażnik mocno zacisnął szczęki i kiwnął głową.

– Tak jest, sir – powiedział, po czym zapukał do drzwi.

– Tak? – zawołał Chang ze środka.

– Przyszedł do pana porucznik Panów Krwi – wyjaśnił strażnik.

– Proszę go wpuścić.

Herzer wmaszerował do środka i zasalutował kapitanowi pochylonemu nad stołem tuż obok Evana, razem z którym studiowali jakiś schemat, prawdopodobnie okrętu.

– Wiadomość od księcia Edmunda? – zapytał dowódca.

– Właściwie, sir, wysłał mnie tu... żebym przyjrzał się spotkaniu, sir. Postaram się nie przeszkadzać.

Kapitan przyglądał mu się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Nie, jeśli będzie pan miał coś do powiedzenia, proszę się nie krępować. Zajmuję się tym projektem dopiero rok. Z pewnością pana uwagi okażą się bardzo cenne.

– Znacznie bardziej prawdopodobne, że ograniczę się do zadawania pytań, sir – odparł porucznik. – Ale zamierzam uniknąć nawet tego.

– Pytania są dobre – zauważył Evan. – Robienie czegoś takiego sprowadza się właściwie do zadawania pytań. Na przykład, jak wpłynie na sterowność żaglowca trzydzieści sześć wywernów, nieustannie z niego startujących i na nim lądujących?

– No cóż, przekonamy się – uciął kapitan. – W tej chwili zastanawiam się, czy w ogóle uda im się wylądować, a potem wystartować.

– Z lądowaniem sobie poradzimy, sir – odpowiedział Jerry. – Wywerny potrafią lądować w punkcie.

– To ruchomy punkt, chorąży – zauważył kapitan. – W górę i w dół, na boki oraz do przodu i do tyłu. Ograniczę ruch, na ile będę potrafił, ale nie mogę go zatrzymać.

– Jakoś sobie poradzimy, sir – zapewnił Jerry.

– Wie pan coś na temat logistyki, poruczniku? – zapytał kapitan. – Karmił pan te wywerny. Ile jedzenia na dzień?

– Zależy od typu, sir – odparł Herzer. – Z tego, co mi mówiono, dwieście kilo dziennie masy, mniej, jeśli ma dużo białka i tłuszczu.

– Dostęp do tego ostatniego na morzu będzie ograniczony – zauważył kapitan. – Pomagał pan je karmić?

– Tak jest. – Herzer skłonił głowę.

– Proszę pomyśleć o tym, jak wyglądałoby to na kiwającym się okręcie w środku sztormu – powiedział kapitan z uśmiechem.

– Sir, miski z jedzeniem należałoby wbudować w boksy – zaproponował Herzer. – Ze szczelinami w ściankach, przez które można by je napełniać. Jeszcze lepiej, jakiś rodzaj ruchomego wózka, który umożliwiłaby automatyczne karmienie, co zapobiegłoby przypadkowym poślizgnięciom i wpadaniu ludzi na boksy. Brzeg misek powinien być dostatecznie wysoki, żeby mieszanka nie miała szans się wylać. Karmić mniejszymi porcjami częściej, a nie rzadziej większymi. Wymaga więcej pracy, ale jeśli założy się automatyczny system, to nie stworzy problemów, sir.

Kapitan uniósł brew.

– Czy to oficjalne zalecenie, poruczniku?

– Ale... – odezwał się Evan, po czym zamilkł, gdy kapitan uniósł rękę.

– Nie, sir, to tylko pomysł – wyszczeakał Herzer, stojąc w pozycji na spoczynku. – Zostałem zapytany, sir.

Kapitan cofnął się na oparcie swojego krzesła i zdał się po raz pierwszy przyjrzeć Herzerowi.

– Kto pana szkolił, poruczniku Herzer? – zapytał.

– Sierżant zbrojmistrz Miles Rutherford, Gunny, był moim instruktorem zaawansowanej walki, sir – odpowiedział Herzer. – To on stworzył system szkolenia Panów Krwi. Wraz z księciem Edmundem.

– Sierżant zbrojmistrz! – zdziwił się kapitan. – To stopień piechoty morskiej.

– Jeśli ma pan jakiś problem z użyciem tego stopnia, sir, z całym szacunkiem sugerowałbym poruszenie tego tematu z Gunnym, sir – sardonicznie zauważył Herzer.

– Uważa się pan za zabawnego, poruczniku? – zapytał kapitan, przechylając głowę na bok.

– Nie, sir, nigdy nie byłem na morzu, sir – odpowiedział Herzer. – Ale...

– Tak? – zapytał Chang, ponownie unosząc brew.

– Zostałem raniony strzałami, toporem, włócznią i mieczem, dłoń odcięło mi ostrze energetyczne i przedarłem się przez chmurę nanitów, żeby spróbować wbić sztylet w człowieka chronionego przez pole siłowe. Zrzucono mnie z konia, tratowano i widziałem, jak moi najlepsi przyjaciele ginęli u mego boku. Latałem na smokach, toczyłem bitwy kawaleryjskie i

ścierałem się z dziesięciokrotnie większymi siłami Przemienionych, którzy chcieli mojej krwi. Przez dwa cholerne lata prowadziłem tę wojnę na pierwszej linii, sir. Jeśli próbuje mnie pan zastraszyć, przekona się pan, że nie jest to proste.

Kapitan przyglądał mu się przez chwilę, po czym kiwnął głową.

– Próbujemy wymyślić sposób na lądowanie i odzyskiwanie smoków na tym okręcie i jak utrzymać je przy życiu, w zdrowiu, w ekstremalnych warunkach. Próbujemy też znaleźć sposób na stworzenie z nich ofensywnej broni. Chorąży Riadou najwyraźniej już na nich walczył, ale jeśli przeciwnika nie przestraszy samo ich pojawienie się, nie mogą zrobić wiele poza machaniem skrzydłami i sykiem. Nie są nawet zbyt dobre w używaniu tych swoich potężnych szponów. W powietrzu, smok na smoka, mogą być świetne. Ale musimy wymyślić sposób, jak stworzyć z nich znaczącą siłę przeciw wrogom lądowym i morskim. W tej chwili świetnie nadają się do zwiadu, ale nie mam okrętu przeznaczonego do misji zwiadowczej. Chcę broni ofensywnej. Rozumie pan?

– Sir. – Herzer skłonił głowę.

– Czy może pan w tym jakoś pomóc?

– Nie w tej chwili, sir – przyznał Herzer. – Jak wspominałem, nie planowałem uczestniczenia w tym zebraniu. Jestem tu jako oczy i uszy księcia Edmunda. Ale... sir?

– Tak?

– Nie znam nikogo lepszego w tworzeniu broni ofensywnej niż książe Edmund.

– Może w takim razie on będzie miał jakieś pomysły. – Kapitan wzruszył ramionami. – A przy okazji, wymyślił pan taki sam sposób karmienia wyvernów jak Evan. Pan Riadou ma z tym jakieś kłopoty.

– Wywerny to zwierzęta stadne, sir – wyjaśnił jeździec. – Obawiam się, że jeśli spędzą za dużo czasu w zamknięciu i całkowitej separacji, poczują się dość nieszczęśliwe. Wpadną w depresje. A smok w depresji nie chce jeść.

– Cóż, będziemy sobie z tym radzić, kiedy taki problem faktycznie się pojawi – zamknął sprawę Chang. – I to pański problem, o ile nie stanie się coś szczególnego, co wymagałoby mojej zgody.

– Tak jest, sir – odpowiedział jeździec.

– Chcę, żeby myślał pan o zastosowaniach ofensywnych – mówił dalej kapitan. – Chcę od pana sposobu na to, żeby smoki mogły zatapiać statki. Albo jeszcze lepiej, przejmować je.

– Cóż, zawsze możemy zrzucić kamienie – zauważył Jerry. – Ale

musielibyśmy zrzucić je z boku i mieć nadzieję, że nie trafimy w skrzydło wywerna, a wrogowi się dostanie. Nie jest to bardzo skuteczne.

– Proszę to omówić z Evanem – polecił kapitan. – Spędziłem już dość czasu nad tą sprawą. I proszę wziąć ze sobą Herzera. Wymyślcie coś.

– Zrobi się, kapitanie – odpowiedział chorąży. Wyprostował się i zaszalutował, przykładając pięść do piersi. – Proszę o pozwolenie odejścia, sir.

– W marynarce salutujemy do brzegu czapki – poinstruował go Chang, odpowiadając salutem. – Ale nie w pomieszczeniach. Gads, proszę dodać do listy zajęcia z podstawowych protokołów zachowania dla jeźdźców.

– On jest w armii czy flocie? – zapytał Herzer. – Sir.

– Jak na razie na tym okręcie podlega moim rozkazom, poruczniku – odpowiedział z irytacją kapitan. – Więc niech do cholery przestrzega zwyczajów floty.

Herzer w odpowiedzi kiwnął głową i wyszedł.

* * *

Joelowi przydzielono pryczę w kwaterach przejściowych i następnego dnia wręczono mu mundur i kazano wypełnić niezliczone formularze. Jedynym, który sprawił mu problem, był testament. Nie miał nikogo, przynajmniej nikogo, z kim byłby w kontakcie, komu mógłby zostawić swoje rzeczy. Z drugiej strony „Joel Annibale” tak naprawdę nie istniał. W końcu zostawił formularz pusty, a kiedy go oddał, urzędniczka wskazała na puste pola.

– Musisz zapisać rzeczy komuś lub czemuś – powiedziała.

– Nie mam nikogo – oświadczył Joel z kamienną twarzą.

– Podobnie jak większość z nas – odparła. Była młoda i z westchnięciem potrząsnęła głową. – Możesz to zostawić na fundusz floty. Teraz to moja rodzina. Pewnie w takim razie i twoja.

Joel wypełnił pole i podpisał się z dziwnym uczuciem. Wiedział, że prawdopodobnie nie pozostanie we flocie długo, ale na jakiś czas zyskał dom.

Wysłano go do doków z kiepsko dopasowanym mundurem, workiem marynarskim i nowymi butami, które latały mu na stopach. Przydzielono go na łódź i pierwszy raz mógł zobaczyć swój nowy okręt.

Jednostka była olbrzymia i wyglądała jak kliper, jeśli dobrze pamiętał ich wygląd. Ale maszty miała nietypowe, z powodu dużej platformy na rufie.

Na sterburcie pracowała grupa marynarzy, ładując coś na pokład i nowo przybyli, jeszcze zanim przydzielono im koje, zostali zagonieni do pracy przy wciąganiu zapasów. Były wśród nich beczki solonej wołowiny i wieprzowiny stalowe baryłki sucharów, mnóstwo worków z soją i niezliczone inne przedmioty. Bloczki lin zawieszono na rejach, a zaopatrzenie wciągano w dużych sieciach towarowych. Potem należało je ręcznie znieść pod pokład i upchać w ładowniach. Podczas pierwszego zejścia zaskoczyło go, że zaopatrzenie stanowi tylko uzupełnienie tego, co już znajduje się na okręcie, a ładownie pełne są prawie po sufit.

Gdy tylko łodzie zaopatrzeniowe odbiły od okrętu, zaczęła go kobieta podoficer.

– Jestem mat Su Singhisen – przedstawiła się. – Jesteś marynarz Annibale, tak?

– Zgadza się – potwierdził Joel. – Joel Annibale. – Podoficer była średniego wzrostu blondynką z włosami ściągniętymi w kucyk.

– Wyglądałeś, jakbyś wiedział, co robisz – powiedziała, gestem każąc mu iść za sobą.

– Pracowałem już na statkach – wyjaśnił Joel. – Żaden nie był tak duży, ale to praktycznie to samo.

– I zrobili cię stewardem? – Singhisen roześmiała się.

– Naprawdę? – zdziwił się Joel. – Nikt mi nie powiedział, czym będę się zajmował.

– Też mi coś – parsknęła kobieta. – Flota znajduje w końcu kogoś z doświadczeniem na statkach i robi z niego oficera stewarda.

– Dla mnie wygląda to na typową biurokrację – zachichotał Joel.

– Co robiłeś przed Upadkiem? – zapytała Singhisen, prowadząc go pod pokład.

– Głównie żeglowałem na wyspach Asur – odpowiedział Joel. – A po Upadku zająłem się łowieniem ryb.

– Jak się tu dostałeś? – zapytała. Otworzyła drzwi do niesamowicie zatłoczonego pomieszczenia z czterema rzędami koi w sześciu szeregach. – Ciasny, ale własny.

– Wspaniale – ucieszył się Joel, gdy poprowadziła go wąskim przejściem między kojami.

– Jesteś tu nowy. – Wskazała na górną kaję. – Czyli dostajesz najgorsze miejsce.

Joel zauważył już, że worki leżały w nogach posłań. Wspiął się na górę i położył swój na miejscu.

– Co teraz?

– Kambuz, a potem muszę znaleźć kogoś, kto oprowadzi cię po kajutach oficerskich. Później do pracy.

Rozdział 11

Herzer poszedł za Evanem i Jerrym w głąb okrętu. Układ korytarzy stanowił niemożliwy do rozgryzienia labirynt, a przynajmniej takie odnosił wrażenie i przez większość drogi nie miał pojęcia, czy idzie w stronę dziobu czy rufy. W końcu weszli jednak do wysokiego, szerokiego korytarza, który trudno było pomylić z czymś innym.

– Tędy chodzą smoki? – zapytał.

– Nazywamy to Broadway – potwierdził Evan, kiwając głową. – Na końcu jest dla nich rampa. Właz mocno osłabia strukturę klipra, ale wydaje mi się, że dostatecznie ją wzmocniliśmy.

– Jerry, jaką masę jest w stanie udźwignąć wywern, nie licząc ciężaru jeźdźca? – zapytał Herzer.

– Około dwustu kilogramów, w zależności od masy jeźdźca – odpowiedział Jerry.

– W takim razie czemu kazano mi lecieć samemu? – zdziwił się Herzer. – Mogłem lecieć na przykład z Vickie. Albo z tobą.

– Wzięliśmy zapasowego. – Jerry wzruszył ramionami. – Po co je przeciążać?

– Hmm... – Herzer poszedł do boksów i sprawdził, jak są urządzone. Oczywiście, była możliwość wprowadzania jedzenia do trwale zamocowanych koryt oraz pojników w każdej z zagród. Wszystkie pomieszczenia wyposażono w zaczepy na łańcuchy na wypadek, gdyby wywerny wyrwały się spod kontroli, oraz specjalne mechanizmy zamykające i pozwalające na odciążenie stworzenia pod tylną ścianę, gdyby zupełnie przestało nad sobą panować.

– Myślę, że to zadziała – przyznał niechętnie Jerry. – Właściwie to lepszy układ niż w naszych weyrach. Chyba spróbuję przenieść tam niektóre z tych pomysłów? Gdzie znajduje się punkt przygotowywania mieszanki?

– Dalej korytarzem – wyjaśnił Evan. – Spodoba ci się. Pokarm sprowadzany jest windą w odmierzonych porcjach, a potem po prostu wlewa się to do miksera – On też jest zasilany mechanicznie z maszyny parowej. Gdyby robiła akurat co innego, można go obsługiwać za pomocą czteroosobowego kabestanu.

– Mam nadzieję, że pamiętaliście o keczupie – odezwał się żartobliwym tonem Herzer. Dla niego mechaniczne urządzenie wyglądało jak sposób na karmienie wywernów częściami ciała obsługującego je personelu, ale jako

oficer miał nadzieję, że nie będzie musiał się go nawet dotykać.

– Mamy dwie tony sproszkowanego ketchupu – zapewnił gorliwie Evan.
– To powinno wystarczyć na sto dni nawet przy standardowym zużyciu kilograma keczupu dziennie na wywerna, co podano nam jako przeciętną wartość. Jak odnoszą się do ryb? – zapytał.

– Nie mam pojęcia – odparł Jerry. – Jesteśmy z kontynentu. Czemu?

– Zastanawiałem się, czy w razie konieczności można by im dawać suszone ryby albo sos rybny zamiast mięsa lub keczupu?

– Przekonamy się – stwierdził ze śmiechem Jerry. – Bez wątpienia się przekonamy.

– Evan, wcześniej spotkaliśmy chiefa Brooksa. – Herzer podrapał się po brodzie. – Kto to?

– Brooks jest starszym bosmanem sztabowym, najstarszym stopniem bosmanem na pokładzie – wyjaśnił Evan. – Czemu?

– Wiesz, gdzie mogę go znaleźć? – zapytał Herzer. – Wystarczy, że wyjdiesz na pokład i zapytasz, ktoś na pewno wie. – Jerry, mam dziwne wrażenie, że niedługo dostanę rozkaz zaliczenia ekspresowego kursu w lataniu na smokach – powiedział Herzer. – Ale przypuszczam, że któryś z was sprowadzi Chaunceya?

– Oczywiście – potaknął Jerry, marszcząc czoło. – Nie jestem nawet pewien...

– Co do tego możesz mi zaufać – zapewnił Herzer. – Nauczyłem się już czytać trochę w nieprzeniknionym umyśle mojego szefa. Będziemy musieli wymyślić jakiś sposób na przeszkolenie mnie na pokładzie.

– Spróbujemy – westchnął Jerry.

– Dobra, idę poszukać chiefa Brooksa – oznajmił Herzer. – Do zobaczenia później.

– Do zobaczenia – odpowiedział Jerry.

– Nie chciałbym być w jego skórze – parsknął Evan. – Brooks nie lubi, kiedy marnuje się jego czas. Jeśli porucznik mu się nie spodoba, nic nie powstrzyma go przed zrobieniem mu, oczywiście z całym należnym szacunkiem, buta z kapelusza.

– A ja nie jestem pewien, czy chciałbym być bosmanem, który próbowałby czegoś takiego z Herzerem – skomentował w zamyśleniu Jerry.
– No dobrze, a kwatery dla ludzi?

* * *

– Chyba będę mogła tu przez jakiś czas pomieszkać – uznała Daneh, rozglądając się po kabinie po wyjściu pozostałych.

– Jest wygodniejsza, niż się spodziewałem – przyznał Edmund. – Przypuszczałem, że wylądujemy na kojach.

– Jesteś teraz księciem. – Daneh uśmiechnęła się. – Oraz generałem. Ludzie wolą ci schlebiać.

– Jakby mi to się mogło do czegoś przydać – mruknął Talbot. Schylił się i znów otworzył pudełko, po czym sięgnął na jego dno, wyciągając małe urządzenie podobne do klejnotu.

– Kostka danych? – zdziwiła się Daneh. – Nie mogę uwierzyć, że wydaje na to tyle energii! Ludzi mi umierali, bo nie miałam mocy.

– Daneh, jeśli ta misja się nie powiedzie, zginie znacznie więcej ludzi niż przez całe życie mogłoby trafić pod twój nóż – oświadczył Edmund. – I to nie jest tylko kostka danych.

– W takim razie do czego to służy? – zapytała.

– Między innymi do komunikacji – wyjaśnił Edmund. – Oraz... na wypadek bezpośredniego ataku energetycznego przez Paula bądź kogoś z jego frakcji, odciągnie dla nas zasilanie z osłon Sheidy. Aż tak ważna jest dla niej ta misja. Ale nie wolno nam tego używać, o ile naprawdę nie będzie to konieczne.

– To znacznie więcej niż tylko inwazja – powiedziała Daneh. – Znaczy, chodzi o coś więcej.

– W tej chwili żongluje się tyloma piłkami, że nie jestem nawet pewien, które aktualnie znajdują się w powietrzu – przyznał Edmund. – Ale skupmy się po prostu na naszym zadaniu, a wszystko pójdzie dobrze.

– Nie znoszę, kiedy robisz się taki zagadkowy. – Daneh westchnęła. – A przy okazji, jestem zainteresowana losem Herzera. Czemu naprawdę go ze sobą zabrałeś?

– Kiedy Jerry i jego przyjaciele ścigali się na wywernach, Herzer walczył z orkami we wzbogaconej rzeczywistości – powiedział Edmund, marszcząc czoło. – Z włączonymi protokołami bólu. Jako wojownik jest twardym, wyrachowanym i myślącym sukinsynem. Harry próbował skłonić tych chłopaczków od latania do skupienia się na misji, która ma zniechęcić przeciwnika do ataku. Nie udało mu się. Mam nadzieję, że Herzer będzie miał więcej szczęścia.

– I?

– I... – Edmund uśmiechnął się. – Po pracy, jaką wykonał w Harzburgu, potrzebował miłych wakacji na Południowych Wyspach. Przyjemna

wycieczka, piękna kobieta w pokoju, kto wie, co się może stać?

– Edmund, czy ty się bawisz w swatkę? – zapytała zaskoczona Daneh.

– Dla Herzera? Zawsze.

– Własną córkę?!

– Czemu nie? Są młodzi, pasują do siebie...

– I Rachel traktuje go jak brata – dokończyła Daneh, podnosząc rękę. – Herzer to ogier, Rachel, o ile wiem, wciąż jest dziewicą. I najwyraźniej nie interesuje ją zmiana tego stanu. To się nie uda.

– Warto spróbować. – Talbot wzruszył ramionami. – Szczerze mówiąc, Rachel potrzebuje go bardziej niż on jej. Po prostu nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Wiedzie całkiem dobre życie – zaoponowała Daneh. Ale nawet ona zdawała sobie sprawę, że zabrzmiało to nieprzekonująco.

– Z pewnością – zgodził się Edmund ze skinięciem. – Jeśli chce je przeżyć sama.

– To zależy od niej – odpowiedziała Daneh. – Ja tego próbowałam.

– Jak było? – zapytał Edmund. – Bo dla mnie to było piekło.

– Nie za dobrze – przyznała z uśmiechem. – A skoro o tym mowa, to ile masz czasu, zanim będziesz musiał się pojawić u kapitana?

– Dostatecznie dużo.

* * *

Obowiązki Joela były dość proste, choć zabierały sporo czasu. Przydzielono mu środkową wachtę, od północy do ósmej rano. Miał pomagać kucharzom karmiącym wachtę i nosić kawę oficerom pokładowym oraz tym, którzy przebywali w mesie oficerskiej. Był też stewardem dla pierwszego oficera – kapitan miał swojego stewarda, pracującego według innego harmonogramu. Praktycznie oznaczało to jednak, że musiał odwiedzać kwatery oficerskie i mesę, a jeśli między oficerami znajdowała się wtyczka, miał spore szansę ją wytropić. Dodatkowo przydzielono mu stanowisko bojowe w lazarecie w charakterze noszowego, był członkiem załogi kabestanów do podnoszenia kotwicy i uczestniczył w opuszczaniu welbotów przy operacjach powietrznych. Zdecydowanie nie zanosilo się na to, żeby miał wiele czasu na wypoczynek.

Po zapoznaniu go z obowiązkami mat Singhisen pozwoliła mu się przespać, jako że o północy miał zgłosić się na służbę.

W zatłoczonej kabinie próbował zignorować odgłosy gry w karty

odbywającej się w kącie, nie wspominając o cichych rozmowach innych mieszkańców kabiny. W końcu pogrzebał w swoim worku i wyciągnął kupioną książczynę, otwierając ją na założonej stronie i znajdując błąd gramatyczny w pierwszym zdaniu. Reeety, facet był beznadziejny. Ale przynajmniej czas szybciej mijał.

* * *

– Myślę, że dość już czekaliśmy – powiedział Shedol.

– Nie, jeszcze nie. – Shanol machnął na niego płetwą.

Shanol Etool spędził mnóstwo czasu, zastanawiając się, czy nie popełnił potężnego błędu, przemieniając się w formę orki. Musiał przyznać, że po Upadku łatwiej było przeżyć pod postacią orki, a umiejętność ostrożnego wyczołgania się z wody i równie ostrożnego powrotu zapewniła mu niejedną porcję z fok. Z drugiej jednak strony niemal niezmienna dieta z surowych ryb i morskich ssaków szybko mu się znudziła. Gdyby się nie Przemienił, mógł zginąć z głodu w Czasie Umierania, ale choć polowanie na delfiny dla sportu było jedną sprawą, to jedzenie ich na surowo zupełnie inną. A te na dodatek potrafiły być brutalne, jeśli oddzieliło się któregoś od stada.

Sojusz z Nowym Przeznaczeniem oznaczał, że nie musiał już polować, a służący na łodzi szykowali jedzenie i zajmowali się okazjonalnymi pasożytami, zyskał też wygodną strzeżoną zatokę do odpoczynku. Ale nawet wtedy wiedział, że przyjdzie mu kiedyś spłacić długi.

Stado Przemienionych orek czuło się głodne i zmęczone. Otrzymały sformułowany w ostrych słowach rozkaz przeniesienia się z zajmowanych dotąd terenów w pobliżu wysp Asur i dotarcia do głębokich wód w pobliżu Bamudów. Problem polegał na tym, że otwarty ocean oddzielający te rejony prawie pozbawiony był życia. Udało im się trafić na stado naturalnych delfinów, ale piekielne bestie nie dawały się łatwo złapać. Poza tym nie jedli od opuszczenia wysp. A droga okazała się ciężka.

Jednak żaglowiec, z którym mieli się spotkać, miał dostarczyć im nie tylko zlecenia, ale i żywność. Nie wspominając już o fakcie, że wcześniejszy rozkaz zawierał dość ostrych słów, by nie zostawić cienia wątpliwości, że to nie prośba. A więc, musieli czekać.

– Słyszysz? – zapulsował Sikursuit. – Brzmi na łódź.

– Tak – potwierdził Shedol. Jego zastępca był prawie równie duży, jak Shanol, a obaj przekraczali rozmiarami normalne orki. Przemienili się w tym samym czasie, kiedy znudziły się im różne formy podwodnych polowań i

uznali, że czas spróbować podejścia naturalnego. To ich połączone wysiłki doprowadziły do zebrania stada. Oddzielili samice, które pozostały w zagrodach w zatoce, dostępne do godów tylko dla Shedola i Shanola, chyba że łaskawie zezwoliliby na to któremuś z innych samców stada. – Fale uderzają o kadłub.

Sikursuit uniósł się na powierzchnię i spojrzał w kierunku, z którego dobiegał dźwięk, ale kiedy się z powrotem zanurzył, potrząsnął głową z boku na bok.

– Wciąż za horyzontem – oznajmił z uniesionymi płetwami piersiowymi. Podobnie jak wszyscy Przemienieni, na ich końcu miał niezgrabne palce, które od biedy potrafiły chwycić różne przyrządy.

– Mam już dość czekania – oświadczył Shanol. – Popłyniemy do nich.

* * *

Spóźniliście się – zapiszczał Shanol z nozdrzy, wpatrując się w postać nachyloną nad burtą.

– Wiały okropne wiatry, a ta balia nie jest zbyt szybka – odparł Martin. Założył na głowę membranę i zanurzył się w wodzie.

– No proszę, tak lepiej – powiedział. Membrana oddzielała z wody tlen i przenosiła go w sposób, który nadawał iluzję oddychania powietrzem. Równocześnie, kiedy mówił, zmieniała jego słowa w impulsy sonarowe zrozumiałe dla orek. – O ile się nie mylę, wcale nie jesteście w miejscu wyznaczonym na spotkanie.

– Usłyszeliśmy, że nadpływacie, a byliśmy głodni – wyjaśnił Shanol, podczas gdy stado zaczęło krążyć wokół nie-Przemienionego człowieka.

Jeśli Marin zauważył nacisk na słowo „głodni” albo krążące orki, nie dał tego po sobie poznać.

– Rzecz w tym, że to punkt ogólnego spotkania – zauważył Martin. – Jak to mówią starzy i nowi przyjaciele. Jestem Martin St. John. Ty jesteś Shanol Etool.

– Wiem, kim jestem – z irytacją zapulsował Shanol. – Gdzie jedzenie?

Wszystko w swoim czasie – przystopował go Martin. – Od tej pory to ja dowodzę. Mamy do rozwiązania skomplikowany problem i macie robić to, co wam każę.

– Bo? – zapytał Shedol, kłapiąc zębami. – Jesteś w wodzie z nami, mały człowieczku, i jeśli o mnie chodzi, to jesteś tylko wolniejszą przekąską.

– Rozumiem twój punkt widzenia – powiedział Martin. – W morzu musi

być wiele stworzeń, które go dzielają. – Machnął rękami i z głębin wynurzył się kraken, człowiek przemieniony w olbrzymią bestię przypominającą kałamarnicę. Kraken wystrzelił trzydziestometrową macką i owinął ją wokół Sikursuita, ściągając go w głąbiny przy akompaniamencie pisków bólu i strachu.

– Myślę, że nie powinno być wątpliwości – mówił Martin, gdy piski orki przeszły w ciągłe wycie. – Ja tu dowodzę. Istnieją różnorakie teorie dotyczące przywództwa i zarządzania. Ale tak naprawdę wszystkie prowadzą się do „Ja wydaję polecenia, a wy je wypełniacie”. Nie macie honoru, na który mógłbym liczyć. Nie jesteście patriotami, więc nie mogę apelować do waszego patriotyzmu. Brak wam moralności, więc i na niej nie mogę polegać. Ale strach i głód oraz odwołanie się do nich stanowią uniwersalnie akceptowane metody sprawowania władzy. Czego dowiedliście ty, Shanol, i ty, Shedol – dodał, gdy nagle ustały piski z dołu.

Rozejrzył się po orkach, które wysyłały impulsy w głąbiny. Kraken zniknął z pola widzenia, ale najwyraźniej wciąż znajdował się w zasięgu sonaru.

– Och, to tylko brat Rob – dodał Martin. – Był... moim współnikiem w pewnym... przedsięwzięciu przed Upadkiem. Popelnił kilka drobnych błędów w, jakby to ująć, „grach seksualnych” i uznał, że czas na bardzo długie wakacje w jakimś bardzo odludnym miejscu. I choć w głąbinach morskich mogła go znaleźć Matka, policjanci Rady już nie. On również zdecydował się pomóc nam w naszym przedsięwzięciu. Oczywiście z własnej woli.

– Oczywiście – zapulsował Shanol. – Ale teraz brak mi jednej orki.

– Cóż, nie możemy pozwolić, by brakowało ci personelu – zgodził się Martin, znów machając ręką. Z mroku głębin wynurzyła się grupa czegoś, co z początku wyglądało na manty. Kiedy jednak stwory się zbliżyły, pionowo osadzone paszcze pełne kłów jasno zdradziły, że nimi nie są.

– Co to u diabła jest? – zapytał Shedol. – Jezu.

– Wręcz przeciwnie – zachichotał Martin. – To ixchitl, świeży twór lady Celine. Będą wspomagać wasze starania. Oczywiście nie mają sonaru ani aparatu mowy. Ale słyszą was dość wyraźnie. Radziłbym uważać, żeby nie powiedzieć niczego, co by je rozzłościło.

– Ani mi się śni – stwierdził Shedol.

– Na czym polega zadanie? – wydusił z siebie Shanol.

– Syreny spotykają się z ZWS. Ci drudzy chcą zawarcia sojuszu. Główna grupa syren zlokalizowana jest na wyspach. Mamy dopilnować, żeby do sojuszu nie doszło. Będziecie w tej sprawie naszymi... ambasadorami.

– A ixchitle? – zapytał Shanol.

– One są na wypadek, gdyby się nie sprawdziła dyplomacja.

* * *

– Bosmanie – odezwał się Herzer.

Po dwukrotnym zgubieniu się odnalazł podoficera nadzorującego pracę przy pracujących w przedziale dziobowym przy olbrzymim kłębie liny. Zwijaj; ją starannie i Herzer rozumiał dlaczego. Lina miała przynajmniej dwadzieścia centymetrów grubości i Bóg jeden wie, jaką długość. Dziesięciu ludzi trzeba było na jej poruszenie i kolejnych pięciu na poprawne zwinięcie.

– Poruczniku Herrick – odpowiedział chief Brooks. Był przeciętny pod każdym względem. Przeciętny wzrost, brązowe włosy, brązowe oczy i średnio ciemna skóra, typowa po tysiącletniach krzyżówek genetycznych. Jeśli kiedykolwiek przeszedł jakąś modyfikację ciała, to tylko w celu nadania sobie jeszcze bardziej przeciętnego wyglądu. Jednak emanowała z niego ewidentna aura władzy.

– Zastanawiałem się, czy nie ma pan minutki? – zapytał Herzer.

– Jasne, poruczniku, sytuacja jest pod kontrolą – odparł chief, oddalając się od pracującej grupy. – O co chodzi?

– Cóż, kiedy byłem jeszcze młodym szczawiem, mój gunny powiedział mi, że jeśli będę miał problem, z którym sobie nie poradzę, powinienem porozmawiać właśnie z gunnym. – Herzer uśmiechnął się.

– Nie mamy takiego na pokładzie – odrzekł Brooks.

– Tak, ale pan jest jego odpowiednikiem. Potrzebuję pewnych materiałów, i niektóre z nich są rzadkie, a inne niebezpieczne. A założę się, że wie pan, gdzie je zdobyć i jak sprowadzić na pokład, zanim podniesiemy kotwicę.

– I nic takiego nie trafi na pokład bez pozwolenia kapitana – poinformował go chief. – Nie, jeśli są niebezpieczne.

– Zdobędę pozwolenie, jeśli pan zdobędzie materiały – zapewnił Herzer, wręczając bosmanowi listę.

Tamten zerknął na nią i zaklął.

– Do czego u diaska pan tego potrzebuje, sir?

– Do małego eksperymentu. Ale jeśli zdoła pan tego zdobyć więcej, może to być dobrym pomysłem. Jeśli eksperyment się uda, będziemy tego potrzebować całkiem sporo.

– Zobaczę, co się da zrobić, sir – obiecał chief. – Ale muszę mieć

pozwolenie.

– Zrobi się.

* * *

Przed drzwiami księcia postawiono strażnika, ale Herzer zignorował go i wyciągnął rękę, by zapukać do drzwi.

– Sir – odezwał się strażnik. – Radziłbym się nad tym zastanowić.

– Czemu? – zapytał Herzer, a potem usłyszał dobiegający przez grube dębowe drzwi jęk. – Och. – Znieruchomiał na chwilę, po czym potrząsnął głową. – Niestety, nie mamy czasu. – Zapukał i czekał.

Z wnętrza dobiegły przytłumione przekleństwa, po czym rozległ się głos księcia Edmunda.

– Czego?

– Tu Herzer, sir. Proszę po prostu powiedzieć „zatwierdzam”.

Ze środka zabrzmiało coś przypominającego chichot.

– Co zatwierdzam, Herzer?

– Chce pan usłyszeć długą historię czy po prostu powie pan „zatwierdzam”, a ja sobie pójdę?

– Zatwierdzam, Herzer.

– Dziękuję, sir.

– Zobaczymy się na kolacji. Nie wcześniej.

– Tak jest, sir – odpowiedział Herzer i kiwnął głową strażnikowi. – No dobrze, gdzie teraz znajdę kapitana?

– Zasadniczo będzie w swoim gabinecie, sir. – Strażnik wskazał głową w stronę schodków.

Tym razem Herzer zgubił się tylko raz. Zapukał do drzwi i wszedł do środka, usłyszawszy pozwolenie.

– Sir, za zgodą księcia Edmunda planuję przeprowadzenie paru eksperymentów – zaczął Herzer, od razu przechodząc do rzeczy. – Potrzebuję pańskiej zgody na sprowadzenie na pokład niebezpiecznych materiałów. Chief Brooks zajmie się ich zmagazynowaniem.

– Jakich materiałów? – zapytał kapitan. Herzer powiedział.

– Do czego u diabła chcesz tego użyć, synu? – zapytał Chang.

– Powiedział pan, że chce, by ten okręt stał się bronią ofensywną, sir. Kapitan przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, po czym kiwnął głową.

– Zatwierdzam.

Rozdział 12

– Martin.

Kiedy pojawiła się projekcja Connera, Martin drzemał w swojej kabinie. Na początku podróży cierpiał na chorobę morską, nie wspominając o obijaniu się o ściany ciasnej jednostki. Ale z czasem przyzwyczyił się do falowania i teraz cieszył się z kołysania, żałując, że nie miał dość rozumu, by dla zabicia czasu zabrać ze sobą jakąś kobietę.

Otworzył oczy i przetoczył się, siadając na brzegu łóżka, ale nie wstał, bo wciąż miał skłonność do uderzania się głową w niskie belki sufitu.

Naturalnych wymiarów projekcja Connera „stała” z głową tuż pod belkami i stopami zanurzonymi do połowy ud w deskach podłogi.

– Skontaktowałem się z orkami i ixchitlami – zgłosił Martin. – Dzięki za ściągnięcie Roba. Przydał się w ustalaniu struktury władzy.

– Już słyszałem – stwierdził Conner z cierpkim uśmiechem. – Shanol nie będzie z tego powodu zadowolony.

– Shanol uważa się za największą rybę w morzu. – Martin wzruszył ramionami. – Odarcie go z tego złudzenia dobrze mu zrobi. O co chodzi?

– Mamy nowe źródło na okręcie ZWS – powiedział Conner. – Oczywiście nie powiem kogo, tylko do wiadomości i tak dalej. Ale mogę ci teraz podawać ich pozycję i plany prawie w czasie rzeczywistym.

– Bardzo przydatne.

– Owszem. Wciąż nie mają zdolności bojowych, nie są pewni, czy smoki w ogóle będą w stanie startować i lądować na pokładzie. Jest tam tylko parę tuzinów piechoty morskiej, a załoga nie ma praktycznie żadnego szkolenia w walce. Powinieneś móc zdobyć ich okręt, a przynajmniej go zatopić, używając tylko jednej z twoich jednostek, nie mówiąc o szczęściu.

– Dobrze wiedzieć – ucieszył się Martin. – W ten sposób mogę je rozdzielić. Rozmawiałem z kapitanem i nawet znając ich plany i pozycję, znalezienie jakiegoś statku na morzu najwyraźniej nie jest prostym zadaniem.

– Nie wątpię, że sobie z tym poradzisz – uciął Conner. – Zużywam tu energię, której potrzebuję do innych przydzielonych mi zadań. Jeśli będziesz mnie potrzebował, użyj kryształu. Trzymaj go przy sobie, w ten sposób wiem, gdzie cię znaleźć.

* * *

Herzer wstał przed świtem obudzony bosmańskimi gwizdkami i krzykiem: „Wszyscy do wyciągania kotwicy”.

Zajął miejsce, w którym, jak uznał, nikomu nie stanie na drodze i przyglądał się, jak załoga stawia żagle. Większość czynności była mu całkowicie obca, ale fascynował go sposób podnoszenia ogromnych płócien.

Spora część załogi wyszła na olinowanie, co z poziomu pokładu wyglądało na akt czystego szaleństwa, inna grupa zajmowała się podnoszeniem kotwicy. Ponieważ żagle wymagały naciągnięcia, do tego zadania została już stosunkowo niewielka grupa. Niezależnie od liczby bloczków zaangażowanych do zadania, a przestał liczyć przy pięćdziesięciu, wydawało mu się, że nie ma takiej możliwości, aby koło tuzina ludzi zdołało naciągnąć żagle.

Jednak większość lin przymocowanych do żagli prowadziła do miejsca przy ostatnim z masztów. Tam też znalazł odpowiedź – mały, niskociśnieniowy silnik parowy. Silnik wyposażono w przekładnię generującą ruch obrotowy. Koniec każdej lin zaczepiany był do koła pasowego, które napinało je z wymaganą siłą. W stosunkowo krótkim czasie i przy niewielkim nakładzie pracy żagle zostały postawione, kotwica podniesiona i Bonhomme Richard zaczął wypływać z portu. Kiedy okręt ruszał, Herzer zobaczył pierwsze wywerny startujące z plaży w towarzystwie Joanny.

Wrócił na rufę i wspiął się po drabince na pokład rufowy. Zastał tam kapitana wykrzykującego rozkazy ustawienia okrętu „na wiatr”, cokolwiek to znaczyło, więc Herzer uznał, że lepiej trzymać się z dala od niego i koła sterowego. Jednak na samym końcu pokładu znajdowało się kolejne stanowisko z zamocowanym do pokładu krzesłem i szerokim stołem. Na krześle siedział pierwszy oficer, Owen Mbeki, popijając w towarzystwie księcia Edmunda i Evana Mayerle sasafrasową herbatę. Wszyscy przyglądali się nadlatującemu smokowi.

– Witam na pokładzie operacji lotniczych, poruczniku – przywitał go pierwszy oficer. – Spróbujemy przyjąć je w zatoce. Jeśli nie zdołają wylądować na pokładzie w tej kałuży, nie ma mowy, żeby dały radę zrobić to na morzu.

Joanna ustawiła się, żeby spróbować pierwsza, a rząd smoków unoszących się na lekkim wietrze stanowił widok wart obejrzenia. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak to zacznie wyglądać, gdy okręt dostanie pełny wiatr. Herzer przyglądał się, jak smoczyca nadlatuje ślizgiem, ale instynktownie zrozumiał, że leci zbyt szybko i za nisko. Kiedy zbliżyła się na

sto metrów do żaglowca, też zdała sobie z tego sprawę i próbowała poprawić, ale nadal była za nisko i prawie wpadła do wody, zanim udało się jej gwałtownymi wymachami skrzydeł wzbić w górę i odlecieć po spirali w prawo.

Jerry próbował jako drugi, ale on z kolei leciał za wysoko. Próbował w ostatniej chwili poprawki, ale zszedł z właściwej trasy podejścia i też prawie wylądował w wodzie. Herzer pomyślał, że jeździec leci na Chaunceyu, ale nie potrafił rozróżnić wywernów.

– To się nie uda – burknął Mbeki.

– Nie wydaje mi się, żeby mogli ocenić właściwe parametry ze swojego miejsca – zauważył Edmund.

– Zgadza się, sir – powiedział Herzer. – Sir, właśnie pomyślałem, że musi to przypominać polowanie na uciekającą zdobycz, a nie sądzę, żeby wywerny robiły coś takiego. Być może, jak na pierwszy raz, płyniemy za szybko. Gdybyśmy mogli zwolnić, może obrócić się pod wiatr...

– Kapitanie – zawołał pierwszy oficer. – Prośba o wyjście pod wiatr i pozostawienie minimalnej powierzchni żagla, wyłącznie do sterowania.

– Wszyscy na pokład! Wszyscy na pokład!

Żeglarze znów się wspięli po sznurowych drabinkach i tym razem zwinęli wszystkie żagle, oprócz trójkątnych na dziobie. Okręt znacząco zwolnił, a wiatr zdawał się teraz wiać prosto od dziobu jednostki.

– Nie możemy skręcić prosto na wiatr, prawda? – zapytał Edmund.

– Nie, ale i tak robimy tylko około czterech klików – wyjaśnił Mbeki. – Dzisiaj nie ma zbyt silnego wiatru, więc wydaje się, jakby wiał z przodu, trochę od prawej. Ale wywerny i tak będą przy nalocie spychane na bok.

Herzer przyjrzał się, jak Jerry znów się zaczyna ustawiać do podejścia i cicho wycofał się z grupy. Szybko wspiął się po prowadzącej na lądowisko drabinie. Drabinę zamocowano na zewnątrz pokładu i wspinając się, znalazł się bezpośrednio nad powierzchnią wody trzy piętra niżej.

Kiedy dotarł na platformę lądowiska, przekonał się, że jest całkowicie otwarta, bez żadnych zagłębień i przeszkód. Stał z tyłu i zamachał rękami nad głową, patrząc w górę na zbliżającego się wywerna. Po chwili zauważył, że Jerry obraca głowę i uznał, że tamten patrzy na niego. Wtedy opuścił ręce tak, że trzymał je wyciągnięte w poziomie i machnął nimi do góry. Wywern był zdecydowanie poniżej właściwego kąta zejścia, żeby wylądować. Przez chwilę nic się nie działo, potem Jerry poderwał smoka w górę, ale zszedł przy tym na bok i Herzer skierował go w lewo, po czym wyciągnął ręce prosto. Kiedy wywern się zbliżył, ponownie opadł za nisko, więc Herzer

kazał mu się wznieść. Jerry spełnił polecenie i po chwili nadleciał nad Herzera, który padł na pokład i osłonił głowę – Sekundę później usłyszał potężne tompnięcie i platforma pod nim się zatrzęsła.

Herzer przetoczył się na bok i spojrzał w górę na wywerna, który gapił się na niego jak na posilek.

– Tam, z góry, nie da się określić, jak poprawnie wylądować – krzyknął Jerry. – Za nic.

– Już się domyśliliśmy – odpowiedział Herzer, a tymczasem po drabinie wspięła się na lądowisko reszta grupy.

– Świetne lądowanie, panie Riadou – oznajmił z uśmiechem pierwszy oficer.

– Myślałem, że się to panu nie uda.

– I nie udałoby się, gdyby nie Herzer – odparł Jerry. W tym czasie podeszli pomocnicy, przyczepiając do wywerna postronki. Środkowa część platformy przechyliła się i smok został sprowadzony w dół pochyłości i do szerokiego wjazdu wiodącego pod pokład.

– Co zrobił Herzer? – zapytał Mbeki, patrząc na porucznika.

– Machając rękami, sprowadził mnie na dół – wyjaśnił Jerry spokojnie, po czym spojrzał na grupę wpatrzoną w Herzera. – To zadziałało, sir.

– Faktycznie, zadziałało. Myśli pan, że zdoła to zrobić ponownie?

– Jeśli tylko jeźdźcy zechcą wypełniać polecenia, sir – odpowiedział Herzer.

– Może lepiej, jeśli wydawać je będzie Riadou, jest większe prawdopodobieństwo, że go posłuchają.

– Ale on nie widział tego od strony okrętu – zauważył kapitan. – Prawda?

– Następna w kolejce jest Vickie – wtrącił Jerry. – To jest, sierżant Toweeoo. Myślę, że posłucha poleceń Herzera, a ja się temu dokładnie przyjrzę. Tylko jeden problem.

– Tak?

– Trudno mi było dostrzec jego ręce, bardziej zauważałem błyski na haku niż dłonie. Moglibyśmy dać mu jakieś chorągiewki, czy coś takiego?

– Zaraz każę je przynieść – zgodził się pierwszy oficer po chwili namysłu. Spojrzał na krążące wywerny i potrząsnął głową. – Musimy stworzyć jakiś system sygnalizacji. Czemu wcześniej o tym nie pomyśleliśmy?

– Nie przyszło nam do głowy, że to takie skomplikowane – przyznał Evan z oczami błyszczącymi od nowego pomysłu. – Pracujemy nad systemem sygnalizacji chorągiewkami dla floty, sygnały dla smoków można

oprzeć na tym.

– Zajmiemy się tym później – zgodził się Chang. – Każę tu przynieść jakieś chorągiewki, a potem proszę sprowadzić resztę smoków.

Pozostali zeszli, a Herzer został na górnym pokładzie z Jerrym. Herzer zauważył, że chociaż nastał już październik i wiał lekki wiatr, na górze panowała dość wysoka temperatura. Naprowadzanie lądowań w lecie będzie bardzo nieprzyjemne.

W końcu usłyszeli skrzypienie drabiny i nad brzegiem lądowiska wyłoniła się głowa chiefa Brooksa. W prawej ręce trzymał dwie flagi.

– Proszę bardzo, panowie – powiedział, wyciągając je. – Dobrej zabawy.

– Zrobi się – odparł Herzer ze śmiechem, biorąc chorągiewki od bosmana, który wyraźnie nie zamierzał wchodzić na lądowisko. Nie miał problemu z ujęciem chorągiewki prawą dłonią ale zaokrąglona rączka drugiej okazała się jedną z tych powierzchni, z którymi nie radziły sobie jego kleszcze. W końcu wsunął ją do wnętrza szczypiec i przyłożył do niej lekki nacisk ostrzy do cięcia. Nie było to zgrabne, ale powinno się sprawdzić.

Wreszcie ustawił się na miejscu i skierował wzrok na grupę krążących smoków, aż zauważył tego, na którym jego zdaniem powinna siedzieć Vickie.

– Czy, to właśnie Vickie tam skręca? – zapytał Jerry’ego.

– Tak mi się wydaje – potwierdził jeździec. – Kolejna rzecz do listy: lornetka.

Herzer wskazał flagami w stronę Vickie, śledząc jej ruch po niebie aż do chwili, kiedy zobaczył, że dziewczyna macha ręką, po czym pokazał na pokład i rozłożył ramiona w poziomie.

Natychmiast zobaczył, że źle ustawiła się do podejścia, więc skierował ją w prawo. Potem znalazła się za bardzo na zewnątrz, więc skierował ją z powrotem na lewo.

Dalej prowadził ją do lądowania, ale dziewczyna latała po całym niebie. Za nisko, za wysoko. Kiedy w końcu podeszła do lądowania, stało się jasne, że jest zdecydowanie za nisko i gwałtownie kazał się jej poderwać, ale Vickie kontynuowała zejście, aż wyvern z bełkotliwym krzykiem wykręcił tuż przy rufie, prawie uderzając o pokład. Zwierzę nie miało już dość prędkości do wzbicia się, więc z potwornym pluskiem wylądowało w zatoce.

Jerry i Herzer pobiegli do tyłu, bojąc się najgorszego, ale sądząc po przekleństwach dobiegających z dołu, Vickie nic się nie stało. Kiedy dobiegli do burty, okazało się nawet, że wyvern zdaje się świetnie bawić, pływając w wodzie.

– I co mam teraz zrobić? – krzyknęła Vickie. – Ta woda jest cholernie zimna! A swoją drogą, dzięki za naprowadzanie, Herzer!

– Prowadził cię całkiem dobrze – odpowiedział gniewnie Jerry. – To ty latałaś po całym niebie!

– Wszystko jedno – warknęła Vickie. – Co teraz!

– Spuścić szalupę! – krzyknął kapitan Chang, po czym przechylił się nad relingiem, przyglądając się szybko oddalającemu się smokowi. – Mówiono mi, że te stworzenia potrafią pływać!

– Potrafią – potwierdził Jerry. – Vickie, podpłyn Yazovem do burty!

Okręt odwrócił się jeszcze bardziej pod wiatr, tak że praktycznie stał nieruchomo, ale Herzer zauważył, że lekko dryfował w bok. Wywern jednak płynął bez wysiłku, chwilami całkowicie zanurzając się pod wodę i płynąc w taki sposób, że do poruszania się wykorzystywał skrzydła, jak przy lataniu. Pod wodą posuwał się na tyle szybko, że ostatni etap pokonał w całkowitym zanurzeniu i kiedy w końcu wynurzył się przy nich, wydał z siebie radosny gulgot, jakby to wszystko sprawiało mu prawdziwą frajdę.

– Jasne, to ty tak mówisz – wykrztusiła Vickie. Przez cały czas musiała powstrzymywać oddychanie. – Wyciągnijcie mnie stąd! Ta woda jest lodowata!

Wiosłując skrzydłami po powierzchni, smok bez problemu nadązał za wolno dryfującym żaglowcem i łódź, którą spuszczone zaraz po wodowaniu z łatwością wyciągnęła jeźdźca. Smok był odrębną kwestią.

– Drużyna odzyskowa za burtę!

Ze stojącej w bezruchu łodzi za burtę wyskoczyło czworo żeglarzy, trzech mężczyzn i kobieta, ubranych w przylegające do ciała pełne ubrania. Za nimi zrzucono dużą sieć towarową, którą z pewnymi trudnościami wsunęto pod smoka. Przez cały czas Yazov był dość spokojny, szturchając lekko nurków jakby byli jakimiś przedstawicielami morskiego życia mającymi dostarczyć mu rozrywki. Kiedy jednak zacisnęły się na nim liny, przestraszył się. Na szczęście sieć unieruchomiła mu skrzydła, przyciskając je do ciała, więc mógł jedynie głośno protestować, gdy uniesiono go z wody za pomocą żurawia i spuszczone do ładowni. Tylko dureń wypuściłby rozłożzonego wywerna na pokład statku.

– Zdecydowanie musimy nad tym popracować – stwierdził w zadumie Jerry.

– Chcesz sprowadzić na dół następnego smoka? – zapytał Herzer przerażony wysiłkiem koniecznym do wyciągnięcia zwodowanego smoka.

– Nie, świetnie sobie radzisz – odmówił Jerry. – To była wyłącznie wina

Vickie.

– To ty tak twierdzisz – warknęła Vickie, która właśnie weszła na lądowisko. Wysyłał mnie po całym niebie!

– To dlatego, że robiłaś za duże poprawki – ostro odpowiedział Jerry. – A kiedy kazał ci przerwać lądowanie i tak go próbowałaś. Byłem tu, Vickie, i nie próbuj mnie bajerować.

– Zostałaś dowódcą i uderzyło ci to do głowy! – warknęła kobieta. – Nie muszę znosić tych bzdur!

– Jeśli chcesz, możesz odejść – wycedził lodowatym głosem Jerry. – Zorganizuję ci łódź na brzeg. Ale Yazov zostaje i nigdy więcej nie będziesz już latać na smoku.

– Nie możesz mi tego zrobić – powiedziała cicho Vickie. – Wiesz, co to dla nas znaczy!

– I o to właśnie chodzi, Vickie – odrzekł Jerry, znacznie spokojniej. – Potrzebujemy cię. Nie chcę, żebyś została uziemiona. Ale musisz się nauczyć, że są rzeczy, które musisz robić w zamian za zachowanie tego, co teraz jest przywilejem, a mianowicie latania na smokach. A jeśli masz latać ze smokowców, bez wykonywania poleceń naprowadzającego nic z tego nie będzie. Albo każę ci odwieźć do smoczego domu i tam będziesz latać z miłych zбочy, które się nie ruszają po morzu.

– Skończyliśmy? – zapytał Herzer. – Bo nie zostało nam już tak wiele godzin dnia, a naprawdę nie chciałbym wymachiwać pochodniami.

– Skończyliśmy – oświadczył Jerry. – Vickie, zostań tu i przyglądaj się.

– Którego chcesz? – zapytał Herzer.

– Weź Koo, tego, który właśnie tu skręca – odpowiedział Jerry.

Herzer znów wskazał na wyznaczonego jeźdźca, aż tamten pomachał do niego, po czym gestem kazał mu ustawić się do lądowania. Tym razem jeździec Dobrze reagował na wskazówki. Okręt dopiero co wrócił na kurs, więc mogła pomóc mniejsza prędkość, ale najważniejsze, że jeździec natychmiast spełniał polecenia Herzera. Na końcowym podejściu Herzer kazał mu wylądować, po czym cała trójka rozpląszczyła się na pokładzie. To było błyskawiczne! – zawołał radośnie Koo.

– Rozumiem, o czym mówiłeś – powiedziała nieszczęśliwym głosem Vickie.

– Tam, w górze nie można zaufać instynktowi. Ani własnemu, ani bestii.

– Zgadza się, nie można. – Jerry pokiwał głową. – A to oznacza, że musisz oddać się pod kontrolę faceta z chorągiewkami.

– Do bani – odpowiedziała Vickie. – Nikomu nie ufam aż do tego

stopnia.

– Nie masz wyjścia – zauważył Herzer.

– Ale założę się, że jest ktoś, kto będzie miał z tym jeszcze większe problemy – powiedziała nagle Vickie ze złośliwą satysfakcją w głosie.

– Myślę, że Joanna wyląduje jako ostatnia – skomentował cierpko Jerry. Ostatni wywern, Donal, kierowany przez Vida Treviano, miał prawie takie same problemy jak Vickie, ale Vid lepiej zareagował na polecenie ponownego podejścia, prawdopodobnie dlatego, że widział, czym się to skończyło w przypadku dziewczyny. Próbował jeszcze dwukrotnie, ale za każdym razem nie trafiał na właściwy korytarz i musiał odlatywać.

– Donal zaczyna być zmęczony – zauważyła Vickie. – Nie sądzę, żeby potrafili to zrobić. Nie wiem, czy ja potrafię.

– Herzer, spróbuj powiedzieć mu, żeby wylądował na plaży – zdecydował Jerry. – Będę musiał tam popłynąć i wziąć Shepa. Nie wiem, czy do tamtej pory Donal będzie gotów do kolejnej próby lądowania. Do diabła, chyba musimy zabrać na brzeg tych, którzy potrafią lądować na pokładzie i sprowadzić wywerny.

Herzer skierował chorągiewki na Donala, a potem zamachał nimi w stronę lądu. Musiał to zrobić dwukrotnie, zanim Treviano albo zrozumiał, albo zgodził się posłuchać. W końcu Donal skręcił na południe i ustawił się do lądowania na plaży.

– A co się stanie, jeśli w zasięgu wzroku nie będzie lądu? – zaczęła się głośno zastanawiać Vickie.

– Wodowanie – odpowiedział Jerry. – I tak, jeśli temperatura wody się obniży, będziemy mieć problem. Potrzebujemy lepszego sposobu na wyciąganie smoków. Herzer, czas na Joannę.

– Dobra. Ale zejście z pokładu. Jeśli faktycznie uda się jej tu wylądować, to nie jestem pewien, czy starczy miejsca dla mnie, a co dopiero dla was.

Herzer skierował chorągiewki na Joannę, aż machnęła w jego stronę szponem, po czym podeszła do lądowania. Dobrze uwzględniła poprawkę na dryf klipra, ale miała trudności z zachowaniem właściwej wysokości i wciąż opadała poniżej korytarza podejścia. Kiedy była już w pół drogi na dół, Herzer uświadomił sobie, że okręt płynie za wolno, żeby smoczyca mogła łatwo wylądować. Musiała albo podchodzić, kierując się przed okręt, i opaść na lądowisko, lecąc nad nim, albo zagłowiec musiał przyspieszyć, żeby mogła zwiększyć kąt ślizgu bez utraty sterowności. W tej chwili nie mógł nic z tym zrobić, ale męczyło go, że smoczyca musi machać skrzydłami, żeby

utrzymać się na podejściu.

Mimo wszystko na końcu ustawiła się pod dobrym kątem. Patrząc na potężny i gwałtownie zbliżający się kształt, Herzer uświadomił sobie, że ma dużą szansę zostać rozgnieciony jak pluskwa. Platforma nie była wiele większa niż ciało smoka i jeśli Joanna choć odrobinę miniecie ze środkiem, może wylądować wprost na nim. Wyrzucił tę myśl z umysłu i podał jej końcowe poprawki. Kiedy zaczęła opadać, zamachał w dół i rozpląszczył się na deskach.

Powietrze wypełniło się podmuchami wiatru, ale te trwały znacznie dłużej, niż powinny. Poderwał się na nogi akurat na czas, by zobaczyć, jak Joanna, dziko machając skrzydłami na lewym skraju platformy, zahacza czubkiem skrzydła o powierzchnię wody i wpada do morza.

– Joanna!

Herzer nie był jedynym, który wydał z siebie okrzyk, ale smoczycy szybko wyłoniła głowę nad fale i pomachała nią z boku na bok.

– Przepraszam, Herzer! – krzyknął smok. – Szczerze mówiąc, w ostatniej chwili poniosły mnie nerwy. Leciałam szybciej niż wy i pomyślałam, że nie dam rady zatrzymać się na tak małej platformie. Oooh, ale ta woda jest zimna.

Ciało smoczycy pozostawało zanurzone, ale jej głowa utrzymywała się nad powierzchnią. Zamiast używać do pływania skrzydeł, jak robiły to wywerny, wyginała na boki całe ciało jak wąż. Kiedy dotarła do szalupy, przyjrzała się ekipie ratunkowej i zignorowała ją, wyciągając zakończone szponami skrzydło i chwytając za burtę. Korzystając z tego podparcia, zaczepiła przednimi szponami o drewno nadburcia i podciągnęła się w górę.

Herzer prawie zleciał z pokładu lądowiska, gdy kliper ostro przechylił się na bok. Smok szybko wciągnął się na górę, zostawiając po sobie szlak z uszkodzonego drewna.

– Przepraszam za to, kapitanie. – Joanna wsunęła głowę na pokład rufowy. – Myślę, że trzeba popracować nad projektem tego miejsca, jeśli częściej mam wychodzić z wody.

– Mam nadzieję, że nie będzie to konieczne, pani komandor – wycedził wściekły kapitan. – Za naprawienie tych uszkodzeń zapłacimy kilka tysięcy kredytów!

– Przeróbcie reling tak, żeby dało się go zdejmować – rozsądnie zasugerowała Joanna. – Wzmocnijcie drewno. Może dorzucicie jakieś uchwyty na łapy. Albo opuszczaną rampę. Jeśli okaże się dość dobra, może nada się też do wyciągania wywernów.

– Zobaczymy – zgodził się Chang.

– To nie moja wina, że pański okręt jest taki delikatny – burknęła smoczyca, po czym energicznie się otrząsnęła, rozkładając przy tym skrzydła, tak że cały żaglowiec spowiła mgiełka wodnego pyłu. – Och, tak lepiej.

Herzer zszedł z pokładu lądowiska i rozejrzał się po zebranych na pokładzie rufowym oficerach.

– Co teraz, panowie? – zapytał.

– Muszę wrócić na brzeg – powiedział Jerry. – Zobaczyć, czy Vid zdoła wylądować z Donalem. Jeśli nie, to albo będziemy wodować, albo zostawię go na plaży i sam sprowadzę Donalę. Jeśli to zrobię, ktoś inny musi przylecieć Shepem.

– Popłynę z tobą – zaoferowała się Vickie. – Muszę się nauczyć, jak to dobrze zrobić.

– Nie – zdecydował po chwili Jerry. – Lepiej znasz Yazova, a lądowanie jeszcze ci nie wychodzi. Zabiorę Koo. On wylądował lepiej niż ja.

– Ale... – jęknęła Vickie, czerwieniąc się.

– Sierżant (sierżancie) Toweeoo? – odezwał się Edmund.

– Tak, księżę Edmundzie? – odpowiedziała lodowato Vickie.

– Zaczyna pani pojmować, co to znaczy podlegać wojskowej dyscyplinie i czemu czasem jest to konieczne. Nie mamy całego dnia na omawianie tego. Jerry w towarzystwie Koo popłyną na brzeg i przylecą tu dwoma wywernami. Pani w tym czasie będzie obserwować ich lądowanie i spróbuje ustalić, jak poprawić swoje działania. Zrozumiano?

– Tak jest, sir – odpowiedziała Vickie.

– Koo, możesz polecieć na Shepie – mówił dalej Jerry. – Ja wezmę Donalę. Jeśli będę musiał, zwołużę go. Nie wydają się na tym cierpieć, poza częścią z wyciąganiem.

– Możecie także popłynąć szalupą – odezwał się kapitan. – Albo jolką. Obie mają żagle. Jeśli nie postawimy pełnych żagli, dogonią nas. Ale dopiero późnym popołudniem.

– Nie, ja ich wezmę – zaproponowała Joanna. – Chcę się przekonać, czy potrafię wystartować z przygotowanej przez was rampy. Nie zwiększą zbyt wiele mojej masy.

Po tych słowach wszyscy zamilkli, gdy dotarł do nich obraz smoka startującego z platformy na boku statku. Herzer przypomniał sobie termin „wywracanie żółwia” i uznał, że świetnie opisuje to, co mogłoby się stać z kliprem,

- Nie... jestem pewien, czy to dobry pomysł – odezwał się Mbeki.
- Cóż... – powiedział kapitan. – Wykręcimy tak, żeby wiatr wiał z bakburty. To da jej więcej wiatru i przechyli okręt na sterburtę. Będzie ciekawie, ale przeżyjemy.
- No i jest jeszcze katapulta – radośnie stwierdził Evan.
- Jaka katapulta? – warknęła Joanna.

Rozdział 13

Na platformie lądowiska znajdował się drewniany blok, a jej środkiem biegła szczelina.

– Silnik parowy można wykorzystać do sprężenia powietrza – wyjaśnił Evan. – Pod spodem znajduje się tłok. Ponieważ jesteś tak duża, zamocujemy ruchomą platformę. Przyspieszy cię przy starcie i nada ci prędkość początkową do lotu.

– Mogę pobiec platformą i sama ją sobie dać – stwierdziła Joanna. – Jak dużą prędkość?

– Około czterdziestu klików – bąknął Evan. – Dość, żebyś natychmiast podjęła lot. Bez potrzeby rozbiegu czy skakania ze skraju przepaści!

– Przyspieszenie do czterdziestu klików w ile, dwadzieścia metrów? – warknęła Joanna. – Pieprzę!

– Naprawdę, po prostu się przytrzymaj, nachyl do przodu i skocz w górę mniej więcej w połowie drogi.

– Łatwo ci mówić – wtrącił się Jerry. – Nie bardzo wiem, jak wytłumaczyć to wywernom.

– Myśleliśmy o zastosowaniu jakiegoś automatycznego zwolnienia, czy czegoś w tym stylu – odpowiedział Evan. – Ale wywerny powinny móc wystartować z jednym jeźdźcami bez tego. Problemy będą miały większe smoki.

– Cholerna racja – zgodziła się Joanna. – Jeden z nich właśnie ma tego spróbować.

– Moim zdaniem wygląda to na świetną zabawę – wtrącił się Herzer, ale to nie ja mam tego używać.

– Zabawę? Raz już się walnęłam do wody, Herzer!

– Zastanów się chwilę – poprosił chłopak. – Możesz nachylić się do przodu i prawie natychmiast wyskoczyć. I już lecisz z prędkością trzydziestu, czterdziestu klików. Dla mnie brzmi to fajnie. Zdziwiłbym się, jeśli przed końcem podróży ludzie nie zaczną tego używać dla przyjemności.

– I pewnie jeszcze chcesz, żebym piszczła przy skoku, czy coś w tym stylu? – zamarudziła Joanna.

– Cóż, tylko jeśli będziesz miała na to ochotę – odpowiedział Herzer. – Czas ucieka.

– Zanim tego spróbuję, muszę coś zjeść – zdecydowała Joanna. – Sama czuję, że większość mojego marudzenia bierze się z niskiego poziomu cukru

we krwi.

– I tak już czas na posiłek – zgodził się Jerry.

Herzer zdziwił się, stwierdzając, że jeździec ma rację, jako że minęło południe. Od świtu czas przemknął błyskawicznie.

Obiad był... ciekawy. Żeby Joanna nie czuła się wykluczona, kapitan kazał ustawić stół na pokładzie startowym i grupa Edmunda jadła obiad razem z nią. Wciąż dysponowali świeżym mięsem i warzywami, ale żeby dać im przedsmak reszty podróży, kapitan oprócz tego zamówił „jedzenie pokładowe”.

To okazało się ani w połowie tak złe, jak spodziewał się Herzer. Czytał o wczesnych jednostkach morskich i niskiej jakości jedzenia, ale na przykład podane im suchary były dość lekkie i trochę słodkawe.

– To wcale nie suchar – skomentował, próbując marynarskiego przysmaku.

– Jadłem prawdziwe suchary.

– Zgadza się – potwierdził kapitan. – Wiemy o przechowywaniu żywności trochę więcej niż na wczesnych statkach. To coś, co kiedyś nazywano „kapitańskimi herbatnikami”. Psują się gdzieś po miesiącu przechowywania w workach, ale my trzymamy je w pakowanych próżniowo stalowych beczkach. Krasnoludy potrafią wytwarzać je w dużych ilościach.

– Musimy uzyskać dostęp do tej technologii – wtrącił Edmund. – Na racje polowe. Aktualne nie są zbyt dobre.

– Pracujemy nad przepisami służby żywieniowej – skomentował pierwszy oficer. – Dopilnuję, żeby dostał pan kopie.

– Statki miały kiedyś problemy z wodą... – chciał wiedzieć Herzer.

– Tu znów pomogły nam krasnoludy – odpowiedział z uśmiechem kapitan. – Okręt zaopatrywany jest z dwóch dość dużych zbiorników umieszczonych w zęzie. Woda pitna pompowana jest w obie strony. Co jakiś czas trzeba je czyścić, co jest koszmarnym zajęciem, ale mieszczą dość wody na całą podróż i łatwo je napełniać. Chlorujemy wodę, żeby się nie zepsuła. Mamy też dużo suszonej kukurydzy, fasoli, pszenicy i ryżu w stalowych beczkach pakowanych próżniowo. Są też puszkowane buraki, rzepa, pomidory, co tylko chcecie. Suszone owoce, również pakowane próżniowo. Oczywiście przechowywanie tego wszystkiego jest trudne, ale najgorzej nam idzie z mięsem. Pracujemy nad procesem puszkowania go w wielkich porcjach, ale chwilowo jesteśmy zmuszeni trzymać się solenia.

Herzer próbował solonej wołowiny i nie był nią zachwycony.

– Lepsze to od małpy na patyku – ocenił.

– Czyli? – zapytał Mbeki.

– Racje polowe – wtrącił się Edmund. – Rodzaj wysuszonego i startego mięsa zmieszanego z owocami. W połączeniu z prażoną kukurydzą to standardowe racje polowe w przemarszu.

– Nie wie pan, co to życie, dopóki nie przeżył pan miesiąca na pieczonej małpie na patyku – wyszczerzył się Herzer.

– Wierzę panu na słowo. – Kapitan wstał. – Cóż, to była miła przerwa, ale myślę, że powinniśmy wrócić do pracy. Komandorze Gramlich, podjęła pani decyzję, czy zaryzykuje pani wykorzystanie katapulty? Raczej nie jesteśmy gotowi na wydawanie pani w tej sprawie rozkazów.

– Zrobię to – oświadczyła Joanna. Podczas gdy pozostali jedli nieco mniejszy posiłek, pożarła pół krowy i wyraźnie poprawił się jej nastrój. – Jak powiedział Herzer, może być ciekawie.

– Bardzo dobrze – zakończył rozmowę kapitan. – Chief Brooks!

– Sir – odpowiedział podoficer, wspinając się na platformę startową.

– Proszę to opuścić i przygotować drużyny startowe i odzyskowe. Komandor Gramlich dokona pierwszej próby katapulty startowej.

Stół złożono, smokowi założono uprząż do lotu, na wodę spuszczone drużynę odzyskową i przygotowano katapultę. To ostatnie polegało głównie na upewnieniu się, że jest dostateczne ciśnienie, odciążeniu platformy startowej i zaczepieniu jej.

– Wszyscy do żagli – rozkazał Chang, co powtórzono na całym żaglowcu przy akompaniamencie gwizdków. – Ster zero trzynaście.

– Aye, zero trzynaście.

– Przygotować się do startu.

Okręt ustawił się tak, że wiatr wiał wprost na platformę startową, a jednostka płynęła w jego stronę, by zmaksymalizować skuteczność. Gdy rozwinięto i ustawiono żagle, Bonhomme Richard nabrał prędkości, aż zdał się polatywać nad niewielkimi falami, nawet pomimo łagodności bryzy.

– To zgrabny żaglowiec – skomentował Chang, uśmiechając się po raz pierwszy od dłuższego czasu. – Pierwszy! Start po osiągnięciu gotowości!

* * *

Platformę katapulty zmodyfikowano dla smoka. Teraz składała się z dwóch osobnych belek na jej łapy. Stała na nich ostrożnie i mocno się chwyciła.

– Komandorze – powiedział chief Brooks. – Kiedy pierwsza z belek

dotrze do krawędzi, oderwie się i spadnie. Chcielibyśmy, żeby wcześniej ją pani puściła, ale jeśli nie, proszę puścić obydwie zaraz potem, bo inaczej będzie je pani dźwigać razem z jeźdźcami.

– Rozumiem – przytaknęła smoczyca. – No to zobaczmy, czy to zadziała.

– Poruczniku Herrick? – odezwał się Brooks, wskazując na dużą dźwignię z boku platformy. – Jeśli zechce pan czynić honory.

– Wszyscy gotowi? – zapytał Herzer, ujmując dźwignię.

Jerry i Koo wystawili kciuki w górę, a Joanna po prostu warknęła.

– Dobra na trzy...

– Czekaj! – krzyknął Jerry. – Czy to znaczy...?

– To znaczy, że wystrzelę was, kiedy powiem „trzy” – uściślił Herzer. – Przy, gotować się. Jeden, dwa, TRZY!

Herzer mocno nacisnął dźwignię, czego pierwszym efektem był wysoki, świszczący odgłos. Potem katapulta zaskoczyła i smok poleciał do przodu z głośnym – Maaaaaac!

Katapulta przyspieszała szybko, ale nie przesadnie, i Herzer wyraźnie zobaczył, że Joanna puściła się przed końcem trasy wyrzutni. Odbiła się z całej siły, otwierając skrzydła i wystrzeliła w niebo od razu w pełnym locie.

– To było EKSTRA! – ryknęła. – Zróbmy to JESZCZE RAZ!

– Najpierw musi pani zawieźć ludzi na brzeg – krzyknął Mbeki. – Potem wylądować. A potem znów możemy użyć katapulty.

Joanna pokiwała głową na zgodę, po czym skierowała się w stronę szybko oddalającego się brzegu.

– Przygotować się do zwrotu – rozkazał kapitan. – Równie dobrze możemy podpłynąć bliżej, kiedy będziemy próbować ich odebrać.

* * *

Po niecałych trzydziestu minutach na niebie pojawiły się dwa zbliżające się wywerny i smok.

– Poruczniku Herzer – odezwał się Mbeki. – Proszę wyjść na górę i przygotować się do sprowadzenia na dół smoków. Kapitanie, sugerowałbym wyjście na wiatr i zmniejszenie szybkości.

– Sir – wtrącił się Herzer. – Ostatnim razem Joanna miała problemy wynikające z tego, że płynęliśmy za wolno. Sugerowałbym... cóż, właściwie nie jestem pewien, co bym sugerował, ale Joanna potrzebuje większej prędkości.

– A co z wywernami? – zapytał cierpko kapitan.

– Sir, albo zwiększymy prędkość tylko dla Joanny, albo przekonamy się, czy i one potrafią lądować w nowych warunkach.

– Przygotować się do zwrotu!

Okręt wyostrzył z powrotem na wiatr, póki wszystkie sztaksle nie wpadły w łopot.

– Prędkość dwanaście klików, sir – poinformował oficer pokładowy. Prędkość jednostki mierzona była przez małą śrubę na rufie, która przenosiła odczyt do prędkościomierza za pomocą skomplikowanego zestawu linek i bloczków.

– Cóż, zobaczymy, jak poradzą sobie przy tej szybkości – Mbeki zasepił się – Wcześniej nie robiliśmy nawet sześciu. Twoja kolej, Herzer.

Porucznik wspiął się na platformę, wziął do rąk chorągiewki i wskazał na Jerry'ego. Tym razem jeździec utrzymał się w korytarzu i kiedy wywern wylądował, łomot uderzenia o pokład był prawie niesłyszalny.

Zszedł ze zwierzęcia i otrząsając się, podszedł do Herzera.

– Kiedy zobaczyłem, jak szybko płyniecie, pomyślałem, że wam odbiło – powiedział Riadou. – Ale tak chyba jest prościej. Większa prędkość oznacza lepszą kontrolę przy schodzeniu.

– Ma sens – przytaknął Herzer, wskazując na Koo. Jego lądowanie też było znacznie sprawniejsze. W końcu przyszła kolej na Joannę.

Smoczyca również łatwiej schodziła się do lądowania, ale miała większą tendencję do dryfu na bok. Okręt nie mógł płynąć prosto pod wiatr, a boczna składowa wiatru mocno spychała większego smoka z trasy. Kiedy zbliżyła się do platformy, turbulencja powietrza pochodząca z żagli jednostki zepchnęła Joannę z trasy i stało się jasne, że nie trafi na platformę, więc Herzer ją odesłał. Miała dość prędkości, by wykręcić i machając intensywnie skrzydłami wzbić się na odpowiednią wysokość. Przy drugim podejściu udało się jej znaleźć sposób na korygowanie dryfu i podeszła prosto jak strzała. W ostatniej chwili wyhamowała i opadła ciężko na platformę w chwili, gdy stojący na niej ludzie padli na deski. Cały żaglowiec zadygotał od uderzenia smoka, ale platforma wytrzymała.

– To było... ciekawe – powiedziała Joanna. – Ale zrobiłam to! – dodała z uśmiechem.

– Spotkanie w mesie oficerskiej – oświadczył ze schodów książę Edmund. – Jest tam świetlik, więc Joanna może wsadzić nos.

* * *

Wszyscy mieli jakieś sugestie odnośnie poprawy systemu lądowania i startów smoków. A nie przetestowali jeszcze startów wywernów ani nie sprawdzili, czy będą skłonne wylądować na pokładzie po raz drugi.

– Na to będzie czas jutro – oświadczył kapitan Chang. – Generale Talbot, za pańskim pozwoleniem chciałbym spędzić jeszcze jeden dzień w doku na poprawkach. Wiem, że zepsuje to panu harmonogram, ale...

– Lepiej mieć działający smokowiec, kiedy już dotrzemy do wysp – westchnął Edmund. – Zgoda. Ale tylko jeden dzień.

– Większość zmian nie jest krytyczna – powiedział Evan, podnosząc wzrok znad swoich notatek. – Największa polega na zrobieniu jakiegoś miejsca, gdzie mógłby się kryć człowiek z chorągiewkami.

– Będziemy potrzebować też lepszego terminu niż „człowiek z chorągiewkami” – zauważył Mbeki.

– Co powiecie na oficera rozkazów lądowania? – zaproponował Jerry.

– „Uważaj na orła!” zachichotała Joanna. – „Słuchaj orła!” Nie, to nie brzmi.

– Dobra, w takim razie oficer sygnałowy lądowania – zgodził się Jerry. – Mamy też problem pięciu smoków i trzech jeźdźców.

– Myślisz, że zdołałbyś wyszkolić Herzera na pokładzie? – zapytał księżę.

– Nie wiem, sir – odpowiedział poważnie chorąży. – Szkolenie zazwyczaj zajmuje kilkaset godzin, nie kilka. I dochodzi do tego lądowanie. Wolałbym raczej uczyć na lądzie, jeśli to możliwe.

– I proszę pamiętać, że kiedy wypłyniemy na morze, zrobi się ciężiej – uprzedził pierwszy oficer. – To spokojna sadzawka. Na Atlantyku nawet bez sztormu są solidne fale.

– Nie będziemy wypuszczać smoków przy złej pogodzie – ocenił kapitan. – Ale sztormy potrafią się pojawić dość nieoczekiwanie. Pomyślcie o dobrym systemie odzyskiwania w złej pogodzie.

– Innym niż wodowanie? – zapytał Herzer.

– Na północnym Atlantyku, gdzie przyjdzie nam walczyć z flotą inwazyjną, to nie będzie możliwe – zauważył Mbeki. – Woda zabije człowieka, zanim zdążymy go wyciągnąć. Lądowanie musi się dokonać na pokładzie.

– Myślę, że to już wszystko – powiedział kapitan, stukając kostkami palców w stół. – Chyba że ma pan coś do dodania, generale?

– Nie, nic – odparł Edmund. – Myślę, że dzisiaj poszło nam całkiem dobrze.

- Szczerze mówiąc, to lepiej, niż się spodziewałem – przyznał Chang. – Generale, zobaczę pańską grupę na kolacji?
- Oczywiście, kapitanie.
- Świetnie. Do wszystkich: dobra robota. Operacje lotnicze podejmiemy na nowo jutro o świcie.

Rozdział 14

– A co wy dzisiaj robiliście? – zapytał Edmund po wejściu do swojej kabiny z Herzerem. Rachel i Daneh siedziały przy stole, patrząc na rozłożone na nim papiery.

– Głównie sprawdzaliśmy wyposażenie medyczne statku i rozważaliśmy ogólne kwestie zdrowotne – odpowiedziała Daneh. – Mają tu doskonałą izbę chorych i dwóch medyków, dość bystrych, ale niezbyt dobrze wyszkolonych. Sprawdziłyśmy też kuchnię. Kucharze dobrze znają przepisy sanitarne, co bardzo mnie ucieszyło. Ogólnie rzecz biorąc, to dobrze zaprojektowana jednostka i świetnie wyszkolona załoga.

– Dobrze wiedzieć – rzekł Edmund zmęczonym głosem. – Szczerze mówiąc, dla misji to ważniejsze niż działania smoków. Mogą pomóc na wyspach. Z drugiej strony może nie. Nie bardzo wyobrażam je sobie w roli broni ofensywnej.

– Mam w związku z tym pewne pomysły, sir – odezwał się nieśmiało Herzer. – Ale chciałbym, żeby przyzwyczaiły się do operowania z okrętu, zanim zaproponuję coś nowego. Jeśli się uda, będzie to oznaczało obarczenie wywern znaczną dodatkową masą, co znaczy, że będą musiały używać katapulty.

– Przyglądałyśmy się jednemu z lądowań – wtrąciła się Rachel. – Wyglądało ekstra.

– Z mojego miejsca jeżyło włosy na głowie – skomentował Herzer. Czuł się tak wyczerpany, jakby tuzin razy wbiegł na Wzgórze. – Myślę, że spora część jeźdźców nie będzie umiała sobie z tym poradzić. Trzeba mieć duże zaufanie „swoich umiejętności i wierzyć, że OSL podaje właściwe wskazówki. Przy lądowaniu to wywern wykonuje większość pracy. Tutaj... jeździec musi nim naprawdę sterować. To nie jest proste.

– Nic z tego nie jest proste – zauważył Edmund. – System przygotowany do transportowania ich po okręcie, karmienia, wystrzeliwania. System, który Evan przygotował do wprowadzania ich i wyprowadzania z ich zagród jest bardziej skomplikowany, niż zdajesz sobie sprawę. I to chyba dobrze.

– Dobrze? – zdziwiła się Daneh. – Czemu?

– Jak dotąd Nowe Przeznaczenie było świetne w zbieraniu i nawet karmieniu bardzo dużych mas wojska – wyjaśnił Edmund. – Dziwi mnie to, bo nie są zbyt dobrzy w ich wykorzystywaniu. Grupa Paula ma skłonności do przesadnej kontroli, nie uznają pomysłu za w porządku, jeśli to nie któryś z

nich go wymyślił. Nie pozwoliliby komuś takiemu jak Evan tego wszystkiego po prostu wymyślić. Zatrzymaliby Herzera, kiedy wychodził na pokład i próbował sterować wyvernami podczas lądowania. Myślę, że zabroniliby tego nawet już po tym, kiedy stało się jasne, że to działa. Znów, jeśli to nie oni wpadli na pomysł, to z definicji jest zły.

– I co chcesz przez to powiedzieć? – spytała Daneh.

– To dość oczywiste. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek potrafili dorównać nam w pomysłowości. Mogą mieć i pewnie mają wyverny i smoki. Ale nie sądzę, żeby umieli wymyślić wszystkie systemy konieczne do wykorzystania smokowców. I nawet po tym, jak użyjemy ich przeciw nim, jeśli to zrobimy, nie będą w stanie dorównać naszej jakości. To na swój sposób coś jak Panowie Krwi. Posiadanie umiejętności, której nie może dorównać przeciwnik jest na wojnie niesamowitym atutem.

– Jeśli nie będą mogli jej dorównać, sir – zauważył Herzer. – Nie bardzo rozumiem, czemu nie mieliby tego zrobić.

– Och, mogą wykombinować sposób na lądowanie i start – przyznał Edmund. – Ale nie sądzę, żeby byli w tym tak dobrzy, jak my się staniemy. I będziemy coraz lepsi. Ponieważ pozwalamy ludziom takim jak ty, Jerry, Evan i nawet Mbeki po prostu wymyślać, co można zrobić. Zamiast wydawać im polecenia.

– Mówisz o inicjatywie – wtrąciła się Rachel.

– Oczywiście. To coś, co wspieramy, nawet kładziemy na to nacisk, a Nowe Przeznaczenie tłumi. Z czasem mam nadzieję dowieść im, jak bardzo się mylą.

* * *

Herzer polecił Koo lądować i schował się w swoim stanowisku w chwili, gdy skrzydła Nebki prawie otarły się o jego głowę.

– Koo wylądował w samym środku – zawołał na dół do stanowiska kontroli lotów ze swojego kosza przed platformą. Kosz zawiesiła tam drużyna pod kierownictwem bosmana Brooksa w taki sposób, że nad platformą wystawała tylko jego głowa i ramiona.

– Generale – odezwał się kapitan. – Myślę, że lotnicy opanowali już technikę. Wystrzeliliśmy wyverny, lądowaliśmy nimi, wystrzeliliśmy też i lądowaliśmy panią komandor Gramlich. Uważam, że możemy wypływać na morze.

– Zgadzam się – przytaknął książę Edmund.

– Pierwszy oficer! Proszę przerwać działania powietrzne. Ster siedemdziesiąt pięć. Postawić wszystkie żagle.

– Aye, siedemdziesiąt pięć.

– Teraz pokażemy panu, generale, jak wygląda żeglowanie.

– Nie mogę się doczekać, kapitanie.

* * *

W chwili, gdy okręt wyszedł z zatoki na otwarty ocean, Herzer przebywał na stanowisku kontroli lotów. Gdy tylko opuścili ochronne ramiona zatoki, trafili na potężne fale Atlantyku i okręt pod pełnymi żaglami zaczął się przez nie przebijać.

– O Boże – jęknął Jerry, chwytając za reling na końcu stanowiska kontroli lotów. – I my mamy w czymś takim lądować? – Z dołu rozległy się piski i skrzeki wywernów.

– To wcale nie jest takie straszne – zaprotestował Mbeki. – Fale mają tylko dwa i pół, może trzy metry.

Kiedy to powiedział, jedna z pierwszych fal uniosła, a potem opuściła rufę okrętu i Herzer zatoczył się, wpadając na księcia Edmunda.

– Opanuj się, Herzer – powiedział księżę dziwnym głosem.

Herzer zerknął na niego i pierwszy raz, od kiedy go znał, zobaczył napięcie na twarzy Edmunda Talbota.

– Idę do toalety pod pokład – oznajmił Talbot. – Ja po prostu... idę do toalety.

– No cóż, generale – odparł Mbeki. – Proszę bardzo. Edmund kiwnął mu głową i skierował się do schodni.

– Pójdę sprawdzić wywerny – odezwał się Jerry, zataczając się przez pokład. Zjechał na bok w chwili, gdy jakaś fala przechyliła okręt na burtę i został złapany przez jednego z oficerów stojących w gotowości do przejścia steru. Potrząsnął głową i wytyczył na nowo kurs do schodków, a następnie po kilku falstartach trafił na nie i zszedł w dół.

Do tego czasu Herzer poczuł już ukłucia mdłości i spojrzał błagalnie na pierwszego oficera.

– Z początku łapie wszystkich – powiedział Mbeki łagodnym głosem. – Najmniej kołysze w środku. A jeśli musi pan sobie ulżyć, proszę spróbować zrobić to po zawietrznej. To ta strona, na którą nie wieje wiatr. I nie zapaskudzić pokładu.

To, co jeszcze przed chwilą było lekką bryzą, nagle zaczęło sprawiać

wrażenie sztormu i Herzer, zataczając się, skierował się na główny pokład. Trzymając się relingu na sterburcie, czyli po prawej stronie, zdołał przejść pół długości jednostki. Wiatr, do tej pory przyjemnie ciepły, zaczął nagle sprawiać wrażenie, jakby jego temperatura spadła o dwadzieścia stopni i zrobiło mu się zdecydowanie zimno. Ale w tym miejscu falowanie faktycznie odczuwało się słabiej. Jego żołądek poczuł się trochę lepiej. Z drugiej strony zaczął dygotać, bo wiatr zdawał się mrozić do kości. Miał tylko jedno wyjście. Zejść na dół, wziąć płaszcz i wrócić tu z nim. Może po prostu się tu prześpi, chyba nikomu nie będzie przeszkadzał.

Podjąwszy decyzję, ruszył ostrożnie przez pokład, okazjonalnie trochę się zataczając, i dotarł do schodów wiodących w dół. Zaczął schodzić po nich przodem, ale po chwili odwrócił się ostrożnie i zszedł, trzymając się obiema rękami za poręcz. Pomimo to walnął w ścianę, gdy kliper podskoczył na jakiejś zbłąkanej fali. Objijając się o ściany korytarza, dotarł do swojej kajuty wziął kurtkę, zauważając przy okazji, że Rachel leży na swojej koi, jęcząc głośno, z wiadrzem ustawionym obok. Wracając, przechodził właśnie obok oficerskich ubikacji, kiedy zdał sobie sprawę, że za trzy sekundy zwymiotuje.

Wpadł do środka, pochylił się nad ubikacją i zaczął zwracać posiłek, który jeszcze niedawno pochłonął z wielkim apetytem.

Był to jeden z najżałośniejszych okresów jego życia. Miał wrażenie, że zwraca dużo więcej, niż zjadł. Kucharz kapitana przyrzadził na obiad niezwykle smakowitego kurczaka mocno przyprawionego tymiankiem i Herzer zjadł bardzo przyzwoitą porcję. A teraz to wszystko wracało.

Toaletę uruchamiało się przez naciśnięcie stopą pedału, a następnie przesunięcie dźwigni. Ta otwierała klapę z dołu miski, a pedał pompował słoną wodę do jej spłukania. Kiedy Herzer opadł na kolana, dokonał zdumiewającego odkrycia, że w takich warunkach pedał na stopę mógł zmienić się w pedał na kolano i dawało się go obsługiwać również w tej pozycji.

W ciągu paru następnych godzin dokonał jeszcze kilku odkryć.

Trudno otwierać drzwi toalety, ślizgając się po jej podłodze.

Pedał nożny/kolanowy można było uruchamiać również dłonią, jeśli nie miało się nawet tyle energii, żeby użyć do tego kolana.

Dolna część zlewu była pozbawiona graffiti. Czuł, że powinien napisać instrukcję dla przyszłych podróżników. Drobne truizmy, które można by rozważać i doceniać w tych szczególnych i prywatnych chwilach, gdy umywalkę ogląda się od spodu.

Choroba morska to jedno z najnieprzyjemniejszych doświadczeń na

świecie.

Człowiek, który skonstruował splukiwaną ubikację, był jedną z najważniejszych osób, jakie kiedykolwiek chodziły po ziemi.

Wyściółki na kolana i łokcie: nie służą już wyłącznie do treningu walki na miecze.

Niezależnie od tego, ile razy pociągnie się za dźwignię, nie pojawią się siódemki.

Po jakimś czasie i tak wszystko smakuje jak ryba.

Kiedy pozbył się już całego jedzenia, tymianek wciąż wracał i wracał, I wracał.

Zaczęło się od czegoś, co nazwał w końcu „zasadą trzech sekund”. Nachodziło go nagła, gwałtowna wiedza, że za trzy sekundy zobaczy zawartość swojego żołądka. Przez te trzy sekundy można było spisać testament, modlić się do bogów, obiecując, że jeśli tego człowiekowi oszczędzą, będzie już wiódł prawe życie, płynąć do brzegu lub pobiec do ubikacji.

Po trzech sekundach zaczynały się wymioty. Niezależnie od tego, czy miało się coś w żołądku, trwały, zdawało się, w nieskończoność.

Po ich końcu ogarniała człowieka chwila błogosławionej euforii. Już nie wymiotował. I czuł się prawie istotą ludzką. Można było wytrzeć twarz, posprzątać, spróbować otworzyć drzwi i zająć się tymi wszystkimi rzeczami, którymi zajmują się istoty ludzkie, w rodzaju rozważań, czy się umrze albo czy statek zatoni.

Potem nadchodziła apatia. Nagle ogarniało człowieka wrażenie, że nie działa żaden z jego mięśni. Wszystko, co dało się robić, to siedzieć na podłodze i czekać, aż minie. Po jakimś czasie mijało. Czasem zajmowało to prawie wieczność, ale mijało. Kilka razy uczucie było tak silne, że Herzer czuł, jak przestaje oddychać i musiał zmuszać się do oddychania całą pozostałą mu siłą woli. Potem nadchodziła krótka chwila, kiedy myślał, że może wszystko już się kończyło, może parę sekund, kiedy czuł się naprawdę człowiekiem. A potem... znów odzywała się zasada trzech sekund.

Herzer nie miał pewności, jak długo to trwało, ale przynajmniej kilka godzin. W końcu, gdy wyszedł z fazy letargu, jego żołądek, choć protestował, zdawał się wrócić pod kontrolę i „dobry” okres wydłużył się bardziej niż poprzednio. Zmusił się do wstania, korzystając przy tym z umywalki i dobrego przyjaciela klozetu, rozpracował niesamowicie skomplikowany mechanizm zamknięcia drzwi i ruszył chwiejnie korytarzem do swojej kajuty.

Wiadro na podłodze w którymś momencie się przepełniło, ale Rachel większość posprzątała. Mimo wszystko w kabinie śmierdziało. Po chwili namysłu wziął przydzielony mu przez Flotę płaszcz zrobiony z grubej wełny i ruszył chwiejnie korytarzem z powrotem na pokład pod główny maszt. Kiedy tam dotarł, owinał się sukniem i zasnął.

* * *

Joel jeszcze nigdy w życiu nie cieszył się tak z wyjścia na służbę. Było ewidentne, że większość załogi nie miała dużego doświadczenia w życiu na morzu i uległa chorobie morskiej, gdy tylko wypłynęli z zatoki. Spał wtedy i właściwie nie zwrócił uwagi na zmianę kołysania okrętu, dopóki ktoś nie wpadł na jego koję. Szeroko otworzył oczy i zaczął staczać się z posłania, spodziewając się ataku, ale wtedy usłyszał odgłosy wymiotowania.

– Na miłość Boską, idź z tym poza kajutę – wymamrotał, kładąc się z powrotem. Ale w zatłoczonym pomieszczeniu panował intensywny smród i inni zaczęli reagować na połączenie falowania i zapachu. Poczł nawet, że i jemu zaczyna się robić niedobrze. W końcu zsunął się z koi, wziął swój płaszcz marynarski i wyszedł na pokład.

Wiatr był orzeźwiający i rześki, co stanowiło miłą odmianę po zapachach na dole, ale na głównym pokładzie też dojrzał mnóstwo wymiotujących marynarzy. Skierował się na dziób, do bukszprytu, gdzie stanął i spojrzął na fale rozgarniane dziobem okrętu. Czasami statkom towarzyszyły delfiny, ale w tej chwili w dole kłębiła się tylko spieniona woda, ledwie widoczna w zapadającej ciemności. Miał jeszcze kilka godzin, zanim zacznie się jego wachta i najchętniej by się przespał. Ale biorąc pod uwagę warunki w kajucie, większą szansę na sen miał tutaj. Zwinął się więc w linach u podstawy bukszprytu, postawił kołnierz płaszcza i zapadł w niespokojny sen.

Obudził go dzwon i ruch wachty, pospiesznie udał się więc do małego kambuza na rufie, który służył głównie do utrzymania gorącego cydru dla załogi i oficerów pokładu rufowego. Kiedy przechodził głównym pokładem w stronę swojego stanowiska, otworzyły się drzwi prowadzące na schody, które wiodły do kwater oficerskich i na pokład wyszła niepewnie duża postać. Był to jeden z członków grupy generała Edmunda, chyba jego adiutant, i najwyraźniej nie cieszył się podróżą.

Właściwie, skoro się nad tym zastanowić, Edmund był znaczącą postacią tej „prawdziwej” opowieści, którą czytał. Jeśli książka miała w sobie coś z prawdy, ten facet prawdopodobnie znał część z opisanych w niej ludzi, a

może nawet samego pisarza. Będzie musiał kiedyś spróbować wyciągnąć z niego jakieś informacje. Ale nie, kiedy do tego stopnia opanowała go choroba morska, że nawet nie zauważył w ciemności stewarda. Mężczyzna zataczając się, dotarł do masztu i opadł pod nim. Jeśli to był Pan Krwi, książka musiała być czystym wymysłem.

* * *

Gdzieś w środku nocy Herzer wrócił do kabiny, a kiedy się obudził, Rachel już nie było. Posprzątała pozostałości poprzedniej nocy i w powietrzu unosił się tylko lekki ślad smrodu. Sturlał się z koi, włożył ostatni czysty mundur i ruszył korytarzem do mesy oficerskiej.

Oprócz Rachel siedzieli tam książę Edmund i Mbeki, patrząc na kubki z herbatą. Tylko patrząc.

– Dobry – wymamrotał Herzer, padając na twardą ławę, pchnięty na nią przez falę.

– Dzień dobry, poruczniku – zgodził się pierwszy oficer. – Dobrze się pan bawi?

– Było świetnie do chwili, gdy wyszliśmy z zatoki – odpowiedział Herzer. – Później połączone wysiłki tego drania Neptuna i mojego żołądka sprawiły, że zrobiło się mniej przyjemnie.

Do pomieszczenia wsadził głowę steward i rozejrzał się.

– Jedzenie? – zapytał.

– Dla mnie plasterek bekonu – zamówił Mbeki. – I trzy jajka. Smażone. Więcej herbaty i kubek dla Herzera.

– Myślę, że poradzę sobie z miską kaszki – wymamrotał Herzer. – Jeśli ją macie.

– Zaraz będzie. Książę? Panienko?

– Dla mnie nic – skrzywiła się Rachel.

– Ja też wezmę trochę kaszki – odpowiedział książę. – Myślę, że zdołam ją zatrzymać. A jeśli nie, przynajmniej będzie miękka, wracając.

– Czy pańskie gardło jest równie obolałe jak moje? – zapytał Herzer ochryple.

– Tak podejrzewam – potwierdził Edmund. – Właśnie uświadomiłem sobie, że całą swoją długą i urozmaiconą karierę spędziłem na łądzie. Nie miałem pojęcia, że jestem podatny na chorobę morską.

– Dotyczy to praktycznie wszystkich – wtrącił się pierwszy oficer. – Większość przyzwyczaja się do tego najdalej po paru dniach. Choć zdarzają

się i tacy którym to nigdy nie przechodzi. A także ludzie, którzy twierdza, że pomaga zachowanie pełnego żołądka. Osobiście uważam ich za idiotów. Och, i gdyby pływał pan przed Upadkiem, i tak by pan nie wiedział. Nanity skorygowałyby problemy przed wystąpieniem pierwszych objawów.

– Chciałabym, żeby zrobiły to teraz – jęknęła Rachel. – Nie sądzę, żebym miała ochotę być w tym samym pokoju co jedzenie.

– Idź na środek łodzi – zasugerował Herzer.

– Okrętu, poruczniku – poprawił pierwszy oficer. – Richard to okręt, nie łódź.

– Przepraszam, idź na środek okrętu – powtórzył poprawnie Herzer. – Tam mniej kołysze.

– Na razie – dorzucił Mbeki. – A jeszcze spokojniej będzie w kabinie. Ale... wyglądaliście na zewnątrz?

– Nie – odparł Herzer. – Czemu?

– Myślę, że nadciąga silniejszy wiatr. Jest takie bardzo stare przysłowie, że po złotej jesieni przychodzi najgorszy wiatr w sezonie. Niezbyt się sprawdzało przy Matce kontrolującej pogodę, ale myślę, że warunki mogły wrócić do stanu naturalnego. Niebo na zachodzie jest prawie czarne.

– Och – powiedział Edmund. – Świetnie.

– Właściwie – zauważył Mbeki – może być. Nie będziemy pracować z wywernami, zresztą z tego, co mi mówiono, i tak się chwilowo do tego nie nadają. A wiatr niezłe pchnie nas na południe. Zakładając, że zdołamy utrzymać tę balię w pionie. Przy tym, jak mamy ustawione żagle, walka ze sztormem może być... ciekawą.

– Czy jest jakaś dobra wiadomość? – zapytał Herzer.

– Cóż, dotarło do mnie, że aktualne zakłady oferują trzy do jednego, że nie zanurkuje pan smokiem przy pierwszej próbie lądowania. – pierwszy oficer uśmiechnął się.

– Bosko.

* * *

Sztorm uderzył tuż po południu.

Rozdział 15

Herzer usłyszał okrzyk: „Wszyscy do skracania żagli!”, co skłoniło go do wyjścia na pokład. Do czasu, gdy tam dotarł, marynarze wspięli się już na olinowanie w swoim podniebnym tańcu, któremu przyglądał się z podziwem. Praca z żaglami wymagała od nich najpierw wdrapania się prawie na szczyt masztu, a potem przejścia wzdłuż rej po cienkich linach. Wszystko to przy kołysaniu, przy którym on miał problemy z utrzymaniem się w pionie, i to stojąc na solidnym podłożu. Tym razem zauważył jednak, że nosili coś w rodzaju upręży zaczepionej do linek zabezpieczających. Gdyby któryś z nich spadł, uprząż prawdopodobnie nie pozwoliłaby mu na zabicie się.

Na całym okręcie zauważył wiele tego rodzaju szczegółów. Niebezpieczne miejsca oznaczone czarną i żółtą farbą. Ostrzeżenia w miejscach przechowywania niebezpiecznych materiałów. Przestrogi przy dźwiganiu dużych ciężarów. Okręt odpowiadał części z jego oczekiwań, naruszając inne. Czytywał historie z czasów dawnych żaglowców i wtedy rany i śmierć uważane były wśród żeglarzy za chleb powszedni, jak fatalne jedzenie, hamaki i brak przyzwoitej łazienki.

Jednostka była wyposażona w prysznice, nawet dla załogi, działające ubicacje i umywalki. Marynarze spali na posłaniach, co prawda w czteropiętrowych łózkach. Jedzenie było dobrze przygotowywane i na tyle urozmaicone, na ile to możliwe w świecie po Upadku. Właściwie, skoro się nad tym zastanowić, żyli w lepszych warunkach niż Courtney i Mike. Lepiej niż Panowie Krwi w trakcie kampanii. Ale kiedy się przyglądał, jak załoga chwije się na zawieszonych wysoko linach, musiał przyznać, że ci ludzie zasługują na lepsze warunki.

Pierwsze podmuchy silnego wiatru uderzyły w chwili, gdy ostatni marynarze schodzili z olinowania i pomimo że większość żagli zwinięto, podmuch przechylił okręt tak mocno, iż na pokład wdarło się trochę wody. Żaglowiec zareagował jednak dość ociężale. Wiatr wył w olinowaniu, ale Richard raczej przedzierał się przez fale, a nie leciał na nich, i w regularnych odstępach nad dziobem wytryskiwały fontanny wody. Przebijał się przez nie, ale dla Herzera nie wyglądało to dobrze.

I kiedy zaczął padać deszcz, uznał, że woli mieć jakąś osłonę i skierował się na pokład rafowy. Przy kole sterowym stało teraz dwóch ludzi i jasne było, że obaj są potrzebni. Koło szarpało się w ich rękach jak coś żywego.

– Fale uderzają w ster i próbują nas zepchnąć na bok – krzyknął do

Herzera kapitan, kiedy zauważył jego spojrzenie.

– Nie uda mu się ze mną przy sterze, sir – zawołał jeden z marynarzy. – Choć nieźle nas pcha, nie da się ukryć.

– Siła wiatru wciska nam dziób w dół – wyjaśnił kapitan. – Będziemy musieli przenieść część zapasów na rufę, żeby go odciążyć. – Odwrócił się i wydał serię szybkich poleceń, między innymi wzywając pierwszego oficera.

– Chwilę to potrwa – dodał. – Byłoby dobrze, gdyby zszedł pan na dół, poruczniku. To może wygląda na proste, ale tak nie jest.

– Oczywiście, sir – odpowiedział Herzer, kierując się do zejścia. Prawdę mówiąc, wcale to nie wyglądało na łatwe.

Zamiast udać się prosto do swojej kabiny, Herzer ruszył do włazu prowadzącego do obszaru wyvernów. Główny właz został zamknięty i solidnie zabezpieczony od wewnątrz. Obok mieścił się jednak drugi, mniejszy właz dla personelu, otworzył go więc i zszedł, ostrożnie zamykając za sobą podwójne zapadki przed zsunieniem się w dół drabiny.

Scena w dole przedstawiała istne piekło. Wywerny nie były uszczęśliwione zmianą ruchów żaglowca i bardzo dobitnie to wyrażały. Uznały też, że skoro nie zostaną wypuszczone na załatwienie swoich potrzeb, pora zrobić to w środku. Ich wrzaski i smród prawie sprawiły, że się cofnął, ale uznał, że i on jest w części odpowiedzialny za te stworzenia.

Zobaczył Jerry'ego sunącego po śliskiej podłodze i chwytającego się poręczy, więc ruszył w jego stronę.

– Mogę w czymś pomóc? – spróbował przekrzyczeć smoki.

– Nie wiem – odkrzyknął Jerry. – Możesz zatrzymać falowanie statku albo znaleźć mi środek uspokajający dla smoków?

– Nie – odpowiedział ze śmiechem Herzer. – Zostały nakarmione?

– Oczywiście, że tak – burknął Jerry. – I wszystko wyrzygały. I choć trudno było mi w to uwierzyć, to faktycznie wyglądało potem jeszcze gorzej niż przed jedzeniem. Zaczynam się martwić, że nie dostają dość wody.

– Ten sztorm nie skończy się za szybko – oznajmił Herzer. Zbliżył się już dostatecznie, by mogli rozmawiać, nie uciekając się do krzyku. – Co zrobimy?

– Nie jestem pewien – powiedział Jerry. – Wszystko, co możemy. Mam nadzieję, że po paru dniach przyzwyczają się do tego. Mnie już jest lepiej. Co z tobą?

– Mnie też – przytaknął Herzer. – Przynajmniej było, zanim tu zszedłem. Jest jakiś sposób na posprzątanie tu?

– Jeszcze nie miałem czasu się dowiedzieć – przyznał Jerry.

– Ja to zrobię.

Herzer wspiął się z powrotem po drabinie, po czym zatrzymał się po dotarciu na pokład. Kliper wciąż się przechylał i kiwał, a wiatr wył jak banshee. Ale opierając się na doświadczeniach z burz na łądzie, wiedział, że początek jest zazwyczaj najgorszy. Kiedy już minie, jeśli to w ogóle nastąpi, sytuacja powinna się poprawić.

Złapał przechodzącego marynarza i został skierowany na dziób, gdzie chief Brooks kierował grupą mocującą szalupę.

– Bosmanie, musi mi pan powiedzieć, komu zawracać głowę, kiedy sam pan chce mieć spokój – krzyknął Herzer przez sztorm. Kliper wybrał tę chwilę na zanurzenie dziobu w fali i przez burtę wlała się potężna porcja wody. Herzer odruchowo sięgnął ręką do liny, hakiem łapiąc przechodzącego obok młodego marynarza. Gdy tylko woda odpłynęła, postawił go na nogi, zauważając, że to właściwie ona, i pchnął dziewczynę z powrotem w stronę szalupy. – Wracaj do pracy, marynarzu.

– Dobra, już tu jesteś – odkrzyknął chief z szerokim uśmiechem. – Nieźle, jak na cholernego szczura lądowego. Czego potrzeba, poruczniku?

– Pokład wywernów wygląda koszmarnie.

– Tak słyszałem. Ale nie mam ludzi, którzy mogliby panu pomóc.

– To nie problem. Potrzebujemy po prostu jakiegoś pomysłu, co zrobić z tymi wszystkimi... rzeczami.

– Jest tam system spłukiwania. Nikt go nie pokazał jeźdźcom?

– Najwyraźniej nie.

– Szlag! – warknął chief. – Mat! Pani tu dowodzi.

– Tak jest – odkrzyknęła przez wiatr i deszcz muskularna kobieta.

– Chodźmy, sir – powiedział Brooks, ruszając w stronę rufy.

Kiedy przeszli przez właz, aż stęknął z powodu smrodu, po czym rozejrzał się za jeźdźcami.

– Chorąży, nie powiedziano panu o sprzęcie czyszczącym? – krzyknął przez wrzaski wywernów.

– Nie, nie powiedziano – odkrzyknął Jerry. – Jaki sprzęt czyszczący?

Jak się okazało, pomieszczenia wyposażono w pompę na słoną wodę i system ściekowy. Bosman pokazał im oba, po czym poinstruował, jak się tego używa. Pompa mogła być napędzana przez dwóch ludzi, ale lepiej radziło sobie z nią czterech. Woda spływała do jednej z czterech kratek zainstalowanych na podłodze pomieszczenia, skąd rurą wypływała na zewnątrz okrętu.

– Na końcu jest jednokierunkowy zawór – wyjaśnił Brooks. – Ale przy

takim stanie morza, musicie ją też wypompowywać. – Pokazał im drugą pompę. – Mając tylko dwóch szeregowych jeźdźców, nie ma mowy, żebyście to wszystko posprzątał.

– Mogę pomóc – wtrącił się Herzer.

– Nie, przyślę tu ludzi – oświadczył chief. – Czy mogę z panami porozmawiać?

Poprowadził Herzera i Jerry'ego w kąt pomieszczenia, po czym stanął z rękoma na biodrach.

– Tak jak wszyscy doceniam, gdy oficerowie gotowi są pobrudzić sobie dłonie – powiedział, patrząc im w oczy. – Mieliśmy już na tym okręcie paru młodzieńców uważających, że są zbyt dobrzy na robienie czegokolwiek poza chodzeniem z wysoko zadartym nosem. Ale panowie jesteście oficerami i wasza praca polega na nadzorowaniu. I wcale nie jest to inne słowo na siedzenie na tyłkach. Znaczy to dokładnie to, co powinno. I szczerze mówiąc, właściwie nadzorowanie tego zadania nie jest pracą dla oficerów, raczej dla podoficerów. Wasze zadanie, panowie, polega na wymyśleniu, co będzie dalej, podczas gdy moja praca polega na radzeniu sobie z tym, co dzieje się teraz.

– Zrozumiano – powiedział Herzer z uśmiechem, w końcu znów czując się wojskowym. – Dziękuję za kopa w tyłek.

– Ja także rozumiem – dodał z westchnieniem Jerry. – Zbyt przyzwyczaiłem się do osobistego wykonywania pracy.

– Cóż, jest pan chorąży, sir – stwierdził chief, marszcząc czoło. – Chorążowie też właściwie sami wykonują pracę. Ale nie polegającą na sprzątaniu odchodów i wymiocin. Do tego są szeregowi – dodał ze śmiechem. – Ci panowie zostali nakarmieni?

– Wszystko zwróciły – wyjaśnił Jerry. – I tak, to mnie martwi. – I robią się złe, kiedy są głodne? – zapytał Brooks.

– W tej chwili są zbyt chore i zdenerwowane, żeby się złościć – odparł Jerry.

– Ale kiedy już przejdzie im nerwowość i mdłości? – dopytywał się bosman.

– Nie wsadzałbym ręki przez kraty – przyznał Jerry.

– Z całym szacunkiem, sir, sugerowałbym nakarmienie ich. Nawet jeśli to zwymiotują. Jak pan teraz widzi, dość łatwo to potem posprzątać.

– Zgadza się – powiedział jeździec i uśmiechnął się. – Myślał pan kiedyś o zostaniu jeźdźcem, bosmanie?

– Nigdy w życiu, sir – zachnął się podoficer. – Prawdę mówiąc, nie lubię

nawet wspinania się na olinowanie. Mam taki lęk wysokości, że to już nie jest śmieszne. Wolałbym raczej przez resztę życia nie wychodzić na morze. Jak się ma komandor?

– Ma pan na myśli Joannę? – zapytał Jerry. – Nie ma mdłości, poza tymi od smrodu. Ucieszy się z posprzątania tu.

Chief patrzył przez chwilę na pokład w górze, po czym się uśmiechnął.

– Tak się zastanawiam, czy nie miałyby nic przeciwko deszczowi? Podeszli do miejsca, gdzie zwinęła się smoczyca, świdrującym wzrokiem przyglądając się rozgardiaszowi.

– Komandorze Gramlich, zamierzamy tu posprzątać – odezwał się bosman. – Ale chwilę to potrwa, i będzie dość nieprzyjemne. Zastanawiałem się, czy nie miałyby pani nic przeciwko przejściu się na platformę lądowiska.

Joanna przyglądała mu się przez chwilę, po czym poruszyła skrzydłami.

– Ważę prawie dwie tony – odpowiedziała po chwili namysłu. – Zauważyłam, że okręt ma tendencję do... poruszania się wraz ze mną. Dlatego właśnie umieszczono mnie tak blisko środka statku. Czy kapitan nie będzie miał nic przeciwko temu?

– Cóż, madam, tak się składa, że właśnie przenosimy część ładunku na rufę.

– A ja stanowią miłą, ruchomą masę? – zapytała z syczącym śmiechem.

– Nie ująłbym tego w ten sposób, madam – powiedział z uśmiechem bosman. – Ale nawet przy takim stanie morza możemy bez problemu opuścić rampę. Najtrudniejsze będzie otwarcie i zamknięcie wjazdu. Ale gdyby chciała się pani odświeżyć na powietrzu...

– Proszę nie zapomnieć poinformować kapitana, i tak, wyjdę – oświadczyła Joanna. – Zrobię wszystko, żeby wydostać się z tego piekielnego zamknięcia.

* * *

– Annibale, Bodman – zawołała mat Singhisen. – Idziecie do pracy.

Joel miał wrażenie, jakby dopiero zamknął oczy. W trakcie sztormu pracował w kambuzie, gasząc ognie i upewniając się, że wszystko jest zabezpieczone. Zresztą tak samo jak Bodman, który był jednym z kucharzy środkowej wachty.

– Dopiero się położyłem! – zaprotestował Bodman, próbując obrócić się na drugi bok i spać dalej.

– Wstawać – ostro rozkazała podoficer. – Już!

Joel stoczył się ze swojej koi i wciągnął na siebie ubranie. Wiatr wciąż był silny, ale okręt zdawał się lepiej płynąć.

– Co robimy? – zapytał.

– Cholerne smoki miały zeszłej nocy takie same problemy, jak reszta załogi – wyjaśniła Singhisen, krzywiąc się. – Będziemy sprzątać ich pomieszczenie.

– Och, sama radość – jęknął Bodman. – Czemu nie mogą tego zrobić jeźdźcy?

– Bo jest tylko dwóch, którzy nie są oficerami – wyjaśniła podoficer, jakby rozmawiała z dzieckiem. – A oficerowie nie sprzątają gówna i sików. To nie ich robota.

– Wstąp do floty – marudził Bodman w drodze. – Zaznasz przygód.

Na szczęście nie musieli wychodzić na górny pokład, a pomieszczenia smoków były aż przesadnie ciepłe.

Singhisen sprowadziła więcej ludzi niż tylko ich dwóch i kiedy przyszli, czekała już na nich spora grupa marynarzy.

– Dobra, McKerlie. Weź swoją grupę i obsadźcie pompę węża. Mbonu, twoi ludzie będą wypompowywać. Wiedzą, jak się tym posługiwać?

– Tak – odpowiedział marynarz, gestem zbierając swoją grupę do pompy ustawionej z przodu przedziału.

– Annibale, Bodman, wy zajmiecie się splukiwaniem – mówiła dalej, wskazując na pomieszczenie. – Musimy zmyć cały ten pokład. Potem wytrzymamy wszędzie, poza zajętymi klatkami. A potem spluczemy jeszcze raz.

– Dzięki, pani podoficer – powiedział jeden z jeźdźców, ruszając w stronę rufy. – Zabieram tam moich jeźdźców, spróbujemy dopilnować, żeby wywerny nie odgryzły nikomu ręki.

– Czy to poważny problem? – zapytała Singhisen.

– Sam nie wiem. – Jeździec uniósł wysoko brwi. – Nie są w najlepszym nastroju.

Joel odwinął wąż i zabrał się do pracy, splukując pomieszczenie wodą pod ciśnieniem. Materiał na podłodze był nieprzyjemnie lity i rozpryskiwał się trafiany strumieniem słonej wody, rozrzucając kawałki po całym przedziale. Musiał ustawić strumień pod niskim kątem i poruszać nim, czego efektem była większa ilość rozbryzgów na niego. Zaczął się zastanawiać, czemu właściwie stewardzi dostali stosunkowo lżejszą działkę przy obsłudze węża, ale szybko zdecydował, że praca ta stanowiła gorszą alternatywę. Punkt dla załogi pokładowej.

Materiał jednak dawał się poruszać, spływając i tworząc nieprzyjemną

stertę na dziobowym końcu przedziału. Jeźdźcy cały czas się w nim ślizgali, przechodząc od klatki do klatki i uspokajając syczące wywerny. Jedno ze zwierząt wystawiło nos przez kraty i zamierzyło się na niego, gdy splukiwał brzeg klatki, próbując złapać kawałek... czegoś żółtawozielonego, co oderwało się od podłoża. Kobieta jeździec z paskami sierżanta strzeliła go w nos i zwierzę wycofało się do swojej klatki. Kiwnął jej głową, splukał kawał... tego czegoś, i mył dalej.

W końcu, kiedy razem z Bodmanem mniej więcej uporali się z całym przedziałem, podoficer zagoniła marynarzy pokładowych do pracy z mopami. Wyczyszczenie wszystkiego oprócz klatek nie trwało długo, a dzięki splukaniu ich nawet tam większość udało się doprowadzić do jako takiego stanu.

Była to nieprzyjemna, paskudna praca i zdecydowanie nie chciałby jej powtarzać w najbliższej przyszłości. Jego zdaniem miejsce smoków było na ładzie, a nie na cholernym okręcie.

Kiedy ta misja się zakończy, musi odbyć naprawę długą i poważną rozmowę z Sheidą.

* * *

Po niecałych dwudziestu minutach Joanna ulokowała się na platformie startowej. Chief zarządził nawet rozciągnięcie grubych lin, żeby mogła się ich przytrzymać, ponieważ rufa żaglowca wciąż skakała w górę i w dół. Po paru chwilach zaczęła o liny kilkoma pazurami, zwinęła się w kulkę, zamknęła oczy i zdała się usnąć.

– Smoki, a i wywerny, mają skłonność do dużej ilości snu – krzyknął Jerry, kiedy wracali z powrotem na pokład rufowy. – Kiedy muszą, zużywają mnóstwo energii i resztę czasu w zasadzie przesypiają.

Zgodnie z przewidywaniami Herzera wiatr trochę się uspokoił, a wraz z nim i morze. A po przeniesieniu masy Joanny na rufę, co wspomogło przemieszczanie zapasów, dziób klipra przeskakiwał teraz nad falami, zamiast się w nich zanurzać.

Zeszli z powrotem do ładowni, gdzie grupa marynarzy pod kierunkiem podoficera z załogi i Vickie sprzątała zagrody wywernów. Przy dostępnych materiałach czyszczenie nie zajęło dużo czasu i Jerry zarządził karmienie zaraz po tym, gdy robotnicy – większość zgarnięta po czasie służby – odeszli, narzekając. Dwa wywerny praktycznie nie ruszyły swojego jedzenia, ale pozostałe trzy rzuciły się na nie, jakby umierały z głodu. Część ich

zdenerwowania musiała faktycznie wynikać z głodu, ponieważ kiedy skończyły jeść, uspokoiły się. I tak jak przewidział Jerry, nakarmione smoki wsadziły głowy pod skrzydła i chwiejąc się wraz ze statkiem zapadły w sen.

– Dobrze – ucieszył się Jerry. – To ich pierwszy przyzwoity odpoczynek od dwóch dni. – Zmarszczył się na Chaunceya i Yazova, które ignorowały jedzenie. Wciąż miauczały żałośnie, choć przestały już przeraźliwie skrzeczeć.

– Może zjadłyby, gdybyśmy znaleźli dla nich coś smaczniejszego – zasugerował Herzer.

– Tak, a potem, następnym razem, kiedy nie spodoba im się jedzenie, będą czekać, aż dostaną coś lepszego – odpowiedział Jerry. – Nie, będą po prostu musiały to zjeść albo nie.

Chauncey spojrział przez kraty swojej zagrody i zamiauczał żałośnie na Herzera.

– Jestem pewien, że kucharzowi zostały jakieś resztki – powiedział Herzer. – Może po prostu dalibyśmy im parę? To może dostatecznie pobudzić ich głód, żeby zjadły swoją papkę.

– No nie wiem – odpowiedział Jerry. – Niezbyt mi się to podoba.

– Gdybym to ja wymiotował – stwierdził Herzer, dodając w duchu, co robiłem, i wciąż bolało go od tego gardło – nie chciałbym czegoś, co wygląda jak już jedzone.

– Coś w tym jest.

Gubiąc się po drodze tylko raz, Herzer dotarł do głównej kuchni, nazywanej przez marynarzy kambuzem, i zaczął jednego z podoficerów.

– Parę smoków jest mocno wytrąconych z równowagi – powiedział. – Mam nadzieję, że jakieś resztki skłoniłyby je do jedzenia.

– Wszystkie jadalne śmieci lądują w tych kubłach – odpowiedział podoficer, wskazując na rząd pojemników przymocowanych do ściany. – Może pan wziąć, co tylko chce, wyrzucamy to po prostu za burtę.

Herzer podszedł i zajrzał do środka. Większość zawierała resztki chleba i warzyw, ale w jednym była spora ilość gulaszu z wieczornego posiłku. Odwiązał go i zaczął nieść do smoków.

– Proszę poczekać, sir – odezwał się podoficer. – Johnson, zanieś to dla porucznika, a potem wracaj tu. I przynieś wiadro.

Herzer nie był pewien, czy dostał właśnie kolejną lekcję w podziale pracy na oficerów i załogę, czy podoficer po prostu chciał odzyskać wiadro, ale poszedł za marynarzem, który znał drogę z powrotem do pomieszczeń smoków.

Resztki dodane do papki zdecydowanie ją uatrakcyjniły obu smokom. Dostały dość mięsa, żeby zaraz potem wessać całą podaną im porcję.

– Sir, jeśli można – odezwał się Johnson. – Możemy spróbować segregować wyrzucane mięso. I są też kości i skrawki, których się nie używa.

– Jeśli tylko przełożony wyrazi na to zgodę, byłoby świetnie – ucieszył się Herzer. – Johnson, tak?

– Tak jest, sir.

– Dziękuję za pomoc – powiedział Jerry. – Gdybyś kiedyś chciał się przelecieć, zakładając, że uda się nam jeszcze wystartować...

– Byłoby świetnie, sir. – Żeglarz rozpromienił się. – Lepiej już wróć.

– Jeszcze raz dziękuję – rzucił Herzer. Kiedy marynarz wyszedł, Herzer uśmiechnął się do jeźdźca. – Chyba masz neofitę.

– Och, mnóstwo ludzi pyta nas o możliwość lotu – zauważył Jerry. – Albo nawet stania się jeźdźcem. Ale to dobrze, zwłaszcza że dwóch nam brakuje.

– A jednym z nich jestem ja – zauważył Herzer. – Przepraszam.

– Żaden problem – odpowiedział Jerry. – Książę Edmund był w tej kwestii dość stanowczy. Jak tylko pogoda się uspokoi, i zakładając, jak już mówiłem, że będziemy potrafili startować i lądować w takich warunkach, zajmiemy się szkoleniem cię. Ale ostrzegam, lądowanie na tym czymś nie jest łatwe.

– Potrzebujesz przynajmniej jednego więcej jeźdźca niż masz smoków – zauważył Herzer. – A przynajmniej smoków w powietrzu.

– Czemu?

– Na OSL. Nie wiem, czy byłbym w stanie sterować lądowaniem, gdybym nie miał tego krótkiego doświadczenia w lataniu. Dało mi pojęcie na temat tego, na czym to polega.

– Racja – zgodził się Jerry. – Cóż, skoro udało się nam uspokoić wywerny i nic się nie dzieje, równie dobrze mogę zacząć przekazywać ci porcję szkoły naziemnej.

– Szkoły naziemnej? – zdziwił się Herzer.

– A żebyś wiedział.

Rozdział 16

W ciągu następnych dwóch dni, przy nieustannie fatalnej pogodzie, Jerry i Vickie próbowali wbić w pulsującą głowę Herzera wszystkie teoretyczne aspekty latania na smokach. W nocy szedł do łóżka z krążącymi po głowie terminami w rodzaju „przechyłu”, a rano wszystko zaczynało się od początku.

Dowiedział się, co się działo w trakcie jego krótkiego lotu, kiedy próbował sterować smokiem w powietrzu. Poznał optymalne trajektorie szybowania, sposoby wyszukiwania prądów termicznych i anatomie wywernów. Wbrew jego przypuszczeniom, skrzydła nie składały się wyłącznie z ciała, krwi, skóry i kości, a stanowiły złożoną sieć znacznie bardziej zaawansowanych materiałów, włącznie z wydzielanymi biologicznie nanorurkami węglowymi.

– To jedyny sposób, by kości mogły utrzymać ich masę i umożliwić aktywny lot – wyjaśniła Vickie. – Nie ma mowy, żeby mogły to zapewnić same kości i skóra. Najwięksi naturalni lotnicy mieli ledwie ułamek ich rozmiarów. A pewne dane sugerują, że w jurze panowało wyższe ciśnienie atmosferyczne.

– Czyli Joanna też ma takie coś w swoich skrzydłach? – zapytał Herzer, przyglądając się schematowi. – To muszą być jedne z najwytrzymalszych naturalnych materiałów na ziemi.

– To prawda – potwierdziła Vickie, marszcząc brwi. – Staramy się tego nie rozgłaszać.

– Mogę sobie wyobrazić powody – zgodził się Herzer, również marszcząc czoło. – Sam widzę mnóstwo zastosowań dla skrzydeł wywernów. Z kości można by zrobić doskonałą broń, a skóra skrzydeł byłaby idealnym materiałem na zbroję. Zakładając, że istnieje jakiś sposób na jej cięcie.

– A co do Joanny, to owszem – wróciła do zadanego wcześniej pytania Vickie. – A nawet bardziej. Jak myślisz, w jaki sposób utrzymuje w locie głowę w górze?

– A niech to – skomentował Herzer. – To... mnóstwo nanorurek.

– To jeden z powodów, dla których tak wolno rosną – wyjaśniła Vickie. – I to są włókna monomolekularne. Jedna z najwytrzymalszych substancji, jaką udało się stworzyć.

– Cięcie tego byłoby piekielnie trudne – zauważył Herzer. – A to oznacza, że ich skrzydła nie są podatne na przebicie w walce.

– No tak, tylko ty mogłeś od razu pomyśleć o czymś takim – zachichotała Vickie. – Ale kości mogą wyskoczyć ze stawów. To jedna z ich dużych słabości. Za to, owszem, nie łamią kości skrzydeł ani nie rozdzierają powłok lotnych.

– Gdyby miały walczyć na ziemi, podstawą byłoby owinięcie ich własnymi skrzydłami – myślał na głos Herzer. – Nic by się przez to nie przebiło.

– Mogą zostać powierzchownie zadrapane – zauważyła Vickie. – To się potem bardzo wolno goi. Ale skrzydła są praktycznie niezniszczalne. Z drugiej strony wymagają mnóstwa opieki i karmienia. O czym sam się już przekonałeś.

W dni lotów smoki wymagały kilku posiłków dziennie, o łącznej masie prawie równej ciężarowi ich ciała. W dni bezczynności jadły znacznie mniej, ale codziennie wydalają resztki.

– Na szczęście mają skłonność do wypróżniania się w powietrzu – powiedział Jerry, omawiając tę kwestię. – Ale skoro siedzą w zamknięciu...

– Robi się nieprzyjemnie. – Herzer uśmiechnął się krzywo.

– To najwyraźniej zostało tu przekazane i Zawsze Sprawny Evan wziął to pod uwagę przy planowaniu – stwierdził Jerry. – Okręt naprawdę ma dość zapasów, by utrzymać je przez sto dni, ale odbywa się to kosztem załogi. Tak naprawdę, jak na okręt tej wielkości, załoga jest minimalna.

– Zauważyłem – przyznał Herzer.

A minimalna załoga wciąż była zajęta. Kiedy Herzer nabijał sobie głowę informacjami na temat smoków, załoga walczyła ze sztormem. Wciąż na nowo trzeba było trzymać żagle, w miarę jak wracały silniejsze podmuchy wiatru, uspokajały się i znów budziły.

Było to ciężkie, nieprzyjemne i najwyraźniej typowe dla życia we Flocie. Herzer uznał, że jemu dobrze w piechocie.

* * *

Praca na nocną zmianę nie pomagała w misji Joela. Usłyszał plotkę, że główny kuk dopuszcza się defraudacji, prawdopodobnie korzystając z pomocy części dostawców żywności zaopatrujących okręt. Ale to nie robiło z niego szpiega, choć Joel zamierzał umieścić ten fakt w swoim raporcie.

Problem z pracą na środkowej wachtce polegał na minimalnych interakcjach z oficerami. Jeśli na pokładzie znajdował się agent Nowego Przeznaczenia, najgorzej byłoby, gdyby był jednym z oficerów. I choć

zmieniali wachty, tak że stykał się ze wszystkimi, nie miał pojęcia, czy któryś komunikował się z Przeznaczeniem.

Przyszedł na kolejną wachtę, wziął dzbanek ziołowej herbaty oraz kilka kubków i po drodze na pokład rufowy wsadził głowę do mesy oficerskiej. Przy dalszym końcu stołu stał Mbeki, odwracając się właśnie, jakby kontemplował przed chwilą przednią ścianę pomieszczenia.

– „Życzy pan sobie czegoś, sir? – zapytał Joel, wyciągając dzbanek i kubki Porcja ciepłej ziołowej herbaty na zimną noc?

– Dziękuję, Joel, poproszę – odpowiedział pierwszy oficer z kamienną twarzą.

– Nic panu nie jest, sir? – zaniepokoił się steward, marszcząc brwi. – Wygląda pan dość smętnie.

– Nic mi nie jest, marynarzu – odparł, przyjmując napęczniony dla niego kubek. – Po prostu chciałbym, żeby sztorm już minął.

– Cóż, gdyby takie życzenia się spełniały, sir – westchnął Joel z wymalowanym na twarzy nieco głupawym uśmiechem. – Z mojego doświadczenia wynika, że sztormy nie bardzo chcą słuchać życzeń. Albo się płynie z nimi, albo wpływa w nie i daje się im ponosić.

– Żeglowałeś wcześniej? – zdziwił się Mbeki.

– Żeglowałem na małych łodziach rybackich na Florydzie, sir – odpowiedział Joel. – Potem ruszyłem wzdłuż wybrzeża i wstąpiłem do Floty. Wydawało mi się to słusznym posunięciem.

– A co robiłeś wcześniej? – Nie musiał dodawać „przed Upadkiem”, „wcześniej” zawsze znaczyło to samo, zanim świat rozpadł się na strzępy.

– Głównie żeglowałem – odparł Joel, wzruszając ramionami.

– Rodzina?

Joel przez chwilę milczał, potem kiwnął głową.

– Żona i córka, sir. Miriam, cóż, przypuszczam, że była w domu, w Brytanii. Mieliśmy dom na wybrzeżu. Moja córka... odwiedzała przyjaciół w Ropazji. W rejonie Lory. – Znów wzruszył ramionami. – Próbuję o tym nie myśleć. A w każdym razie nie częściej niż jakieś sto razy dziennie.

Mbeki smutno pokiwał głową.

– Przyjmij moją radę i nikomu o tym nie mów.

– Że o tym myślę? – zapytał Joel.

– Gdzie były – wyjaśnił Mbeki z kamienną twarzą. – Naprawdę nie chcesz, żeby dowiedziało się o nich Nowe Przeznaczenie. Możesz mi wierzyć.

– Wierzę, sir – odpowiedział steward, dodając dwa do dwóch. Postawa.

Wyraz twarzy. Emanujący z niego gniew. – Z pewnością zapamiętam.

* * *

W końcu, czwartego dnia po opuszczeniu zatoki, Herzer wyszedł o poranku na pokład, zastając silny i zimny wiatr z północy oraz piękne, czyste niebo. Morze było pofalowane, ale nauczył się już trochę poruszać na chwiejnym pokładzie i dotarł do smoczego pokładu, zbierając po drodze nie więcej niż dwa nowe siniaki.

– To dobry dzień na latanie – przywitała go Vickie, gdy zszedł po drabinie. Razem z Koo karmiła wywerny, które również zdawały się tak sądzić, ponieważ wciąż podnosiły wzrok znad jedzenia i spoglądały w górę.

– Jeśli będziecie potrafili wystartować – zauważył Herzer. – A potem tu wrócić. Jeśli wcześniej uważałaś, że woda jest zimna...

– Jak tam jest? – zapytał Jerry. – Jeszcze nie wychodziłem na pokład.

– Zimno. – Herzer rozpiął płaszcz w ciepłe stajni. – I wieje bardzo silny wiatr.

– Jestem gotowa spróbować – zagrzmiała Joanna z przodu pomieszczenia. Zeszła na dół po pierwszej nocy, kiedy przeniesiono na rufę wszelkie możliwe zapasy i wyczyszczono przedział smoków. Teraz rozciągnęła się najbardziej jak się jej to udało w ciasnym dla niej pomieszczeniu i z irytacją otrząsnęła skrzydła. – A jeśli wyląduję w wodzie, poradzę sobie z zimnem.

– Pójdę porozmawiać z pierwszym oficerem – zaproponował Jerry, zakładając obszytą futrem kurtkę.

– Zobacz, czy pozwolą chociaż na otwarcie klapy – poprosiła Joanna. – Mam już dość siedzenia tu w zamknięciu.

Herzer wraz z Jerryem poszli na pokład rufowy, po którym chodził Mbeki, ciesząc się bryzą.

– Dzień dobry, sir – przywitał go Jerry.

– Witam, panie Riadou. Przypuszczam, że chce pan spróbować wystartować z okrętu?

– Chciałaby tego komandor Gramlich – wyjaśnił chorąży. – Twierdzi, że nawet jeśli nie zdoła wylądować, może dokonać wodowania i wciągnąć się na pokład.

– I cóż to będzie za radosna chwila – skomentował z uśmiechem pierwszy oficer. – Kapitan w tej chwili śpi, bardzo tego potrzebuje, bo był na nogach przez cały sztorm. Chwilowo ja dowodzę, ale zasadniczo ewolucje w

rodzaju operacji lotniczych wymagają jego obecności.

– Rozumiem, sir – odpowiedział Jerry. – Komandor poprosiła, żeby przynajmniej otworzyć luk, żeby mogła wyjść na pokład i rozprostować skrzydła.

– Na to mogę się zgodzić – ocenił po chwili Mbeki. – I podejrzewam, że po południu wiatr się trochę uspokoi, a kapitan się obudzi. Możemy wtedy wznowić operacje lotnicze.

– Dziękuję, sir – odparł chorąży. – Pójdę dopilnować otwarcia luku.

* * *

Pierwszy oficer dotrzymał słowa. Kiedy Herzer kończył obiad, usłyszał powtarzany przez podoficerów rozkaz „Przygotować się do zwrotu!”, a niedługo po nim „Przygotować się do operacji lotniczych!”.

Kiedy dotarł na pokład startowy, Joanna usadowiła się już na katapultcie. Okręt płynął teraz tak, że wiatr wiał od lewej, czyli jak określali to marynarze, od bakburty. Jerry stał przy dźwigni katapulty, a Evan grzebał coś przy mechanizmie startowym. Usunięto odpadającą drewnianą belkę, zastępując ją jakimś przymocowanym na stałe urządzeniem. Joanna zademonstrowała już, że potrafi wybić się na czas i próbowali mniej uciążliwego sposobu na starty.

– Jest pan wreszcie gotów, panie Mayerle? – zawołał niecierpliwie Mbeki. Podstawowa kontrola lotów została przeniesiona na nowe stanowisko na tylnym maszcie, dostatecznie wysoko, żeby widać było rufę, ale nie na tyle, żeby przeszkadzać żaglom. Z platformy pierwszy oficer mógł widzieć zarówno nadlatujące smoki, jak i katapultę startową.

– Gotów, sir – odpowiedział Evan, machając przy tym ręką.

– Rozpocząć operację startu – zawołał pierwszy oficer.

Jerry spojrział na Joannę, a potem napał na dźwignię. Połączenie zimnego powietrza – które, jak dowiedział się Herzer, było również gęstsze – silny wiatr i duża prędkość żaglowca sprawiły, że smok praktycznie wyskoczył w powietrze.

Joanna szybko się wzniosła i Herzer pospiesznie udał się na stanowisko sterowania lądowaniem. Ale kiedy tam dotarł, na miejscu była już Vickie.

– Spóźniłeś się – oznajmiła z uśmiechem. – Wyciągnęła chorągiewki i skierowała je na smoka, a Joanna wykręciła i zaczęła podchodzić do lądowania.

Było jasne, że smoczyca ma duże problemy z bocznym wiatrem. Prawie

się jej udało za pierwszym razem, ale została zdmuchnięta z kursu przez połączone działanie żagli i w ostatniej chwili wykręciła, posłuszna sygnałowi wydanemu przez Vickie. Herzer widział, że martwi to też jeźdźczynię i poklepał Vickie po ramieniu.

– Świetnie sobie radzisz – powiedział, uświadamiając sobie, że ma znacznie więcej doświadczenia niż ona.

– Chcesz przejąć? – zapytała niepewnie. – To dość trudne warunki. – Tego, że sprowadzenie na pokład większego smoka było dużo bardziej skomplikowane niż wywernów nie musiała dodawać.

– Nie, naprawdę dobrze sobie radzisz – odpowiedział Herzer. – Albo potrafi wylądować, albo nie. Jeśli nie, będzie musiała zanurkować.

Za drugim razem smoczyca prawie się udało, ale na podejściu zeszła zbyt nisko. Polecenie skrętu przyszło trochę późno i nerwowo, a smok prawie znów zahaczył czubkiem skrzydła o wodę, ale zdołał wyrównać i wzbic się w niebo.

– Tym razem to ty się spóźniłaś – powiedział neutralnym tonem Herzer. – I było jasne, że nie uda się jej odzyskać potrzebnej wysokości. Nie bój się ich odsyłać, nawet Joanny. Lepiej odesłać, niż rozbić o deski. Pamiętaj, teraz ty jesteś jej oczami.

– Będę pamiętać – powiedziała żałośnie Vickie i znów wskazała na smoka. Za trzecim razem smoczyca była za wysoko, ale Vickie w końcu udało się naprowadzić ją na właściwą trajektorię. Kiedy Joanna była już przy samym okręcie, fala uniosła rufę w górę i smoczyca musiała gorączkowo zamachać skrzydłami, żeby się o nią nie rozbić. Udało się jej jednak wylądować na platformie, prawie przy samym jej końcu od strony dziobu.

– Hm, to było dość paskudne – warknęła.

Do tego czasu do stanowiska podszedł Jerry i dotknął Vickie w ramię.

– Vickie, pozwól Herzerowi kierować lądowaniami – powiedział Jerry. – Wszyscy musimy się tego nauczyć, ale myślę, że w tej chwili Herzer jest najlepszy.

– Zgadza się – odpowiedziała Vickie, masując ramiona. – Po jakimś czasie te chorągiewki nabierają sporej wagi. Jak ty to robisz, Herzer?

Herzer zmarszczył brwi i spojrzał na nią zdziwiony, a potem się roześmiał.

– Vickie, kiedy ćwiczysz, by trzymać w górze tarczę i miecz przez cztery godziny, to jest nic – powiedział, napinając lekko ramiona. Widać było, że całe pokryte są mięśniami.

– Czas zacząć ćwiczyć – roześmiał się Jerry. – Dobra, zamierzam zabrać

Shepa w górę. Ty zostań tu i przyglądaj się lądowaniu. Kiedy wystartuje Koo, ty weź Yazova i też polec. I każdy z nas będzie przyglądał się lądowaniu następnego.

* * *

Do wieczora wszyscy jeźdźcy pokryci byli potem, a smoki zaczęły tracić zainteresowanie zabawą. Kiedy Koo trzeba było dwukrotnie odsyłać, a Nebka prawie wodował przy drugim odesłaniu, Jerry zarządził koniec ćwiczeń.

– Kapitanie – Jerry zszedł po drabinie na pokład rufowy. – Zamierzamy skończyć. Myślę, że odpracowaliśmy już cały trening, do jakiego zdolne były dzisiaj smoki.

– Zgadzam się, chorąży – powiedział Chang. – Dobra robota.

– Dziękuję, sir – odparł Jerry ze zmęczonym uśmiechem. Ściągnął swój hełm i pomimo zimnego wiatru z pomocy z włosów ściekał mu pot. – Za pańskim pozwoleniem jutro o świcie wypuścimy smoka z zadaniem osłony z góry i zaczniemy wypracowywać metody misji zwiadowczych. Musimy też pomyśleć nad systemem sygnalizacji.

– Jest wiele rzeczy, które wymagają opracowania – odpowiedział kapitan z zamyślonym wyrazem twarzy. – Chciałbym, żeby udało się wymyślić coś, co umożliwiłoby smokom lądowanie w nocy, i wciąż potrzeba nam sposobu, w jaki mogłyby skutecznie atakować statki. Dziś wieczorem porozmawiamy przy kolacji. A na razie proszę się odświeżyć i trochę odpocząć.

– Tak jest, sir. – Chorąży zasalutował. – Proszę o pozwolenie na opuszczenie mostka.

– Udzielam – odpowiedział kapitan.

– Smok wraca od dziobu na sterburcie – zawołał wachtowy na oku.

– Sygnalizuje – dodał aspirant komunikacji, patrząc przez lornetkę. – Dwa kreska osiem na dole. – Zajrzał do tabeli, i kiwnął do siebie głową. – Grupa delfinów.

– Kierunek wydaje się być około sto siedemdziesiąt – dodał Mbeki, kiedy smok podleciał bliżej. – Jest ich osiem.

– Cóż, to tylko delfiny – stwierdził kapitan. – Ale przynajmniej sygnalizacja działa.

– Herzer szykuje się do startu z chorążym Riadou – powiedział Mbeki. – Idę na stanowisko kontroli lotów.

– To może być ciekawe. – Kapitan uśmiechnął się w reakcji na wywołane

uwagą chichoty.

* * *

Herzer nie siedział na smoku od czasu swego pierwszego lotu, ale bez problemu odnalazł właściwą pozycję na grzbiecie Shepa. Rozbudowany system wodzy z początku wydawał mu się złożony, ale szybko go opanował. Wodze przedłużono, żeby Jerry miał za Herzerem drugi zestaw i mógł w razie potrzeby przejąć kontrolę.

– Daj mi tylko pilnować startu – powiedział Riadou. – Przetestowaliśmy to z Vickie i nie powinniśmy mieć problemów. I niczego nie ruszaj do czasu, aż będziemy w powietrzu i powiem ci, że możesz przejąć stery.

– Dobrze. – Herzer kiwnął głową.

Wywern wskoczył na platformę startową i automatycznie chwycił belkę. Wywernom podobały się starty, przynajmniej pierwsze kilka każdego dnia. Dopóki się nie zmęczyły, traktowały to jako świetną zabawę.

Herzer złapał taśmy i spojrzał na oficera startowego. Pozycja obsadzona została przez jednego z podoficerów okrętu, bo nie było do tego dość jeźdźców. Podoficer zauważył ich spojrzenie i uniesione w górę kciuki, więc nacisnął dzwignię.

Herzer zwrócił się do przodu i stęknął, gdy wywern został wyrzucony i nagle znaleźli się w powietrzu.

– Ale kop! – krzyknął ze śmiechem.

– To prawda – zgodził się Jerry. – Prawie rekompensuje lądowanie.

Jerry wprowadził wywerna na pułap około siedmuset metrów i oddał stery Herzerowi.

– Teraz po prostu wypełniaj moje polecenia – rozkazał. – Wiem, że mniej więcej potrafisz kontrolować smoka, ale następnym razem nikt ci nie pomoże i będziesz musiał sam wrócić na okręt. A to wymaga lepszej kontroli, niż wykazałeś za pierwszym razem.

– Tak jest.

Przećwiczyli różne profile lotu. Lot poziomy, powolne spirale w górę, spirale w dół. W końcu Jerry zasygnalizował lądowanie i odczekał, aż okręt zacznie płynąć pod wiatr.

– Spróbuj ustawić się w osi żaglowca – polecił Jerry, sygnalizując do OSL i otrzymując machnięcie w potwierdzeniu.

– Dobra – odparł Herzer, sygnalizując. Przyjrzał się sygnałom OSL i skrzywił się. – Mam wrażenie, że przelecę górą.

– Patrz na OSL – przypomniał Jerry. – Nie myśl. Niech on myśli za ciebie. Herzer próbował kontrolować smoka, ale zdał sobie sprawę, że lata po całym niebie.

– Nie poradzę sobie z tym. Jeszcze.

– Prawda – zgodził się Jerry. – Przejmuję stery.

Herzer puścił wodze i przyglądał się lądowaniu. Jerry znacznie delikatniej kontrolował Shepa i bardzo szybko wylądowali na pokładzie.

– Potrzebuję znacznie więcej czasu w powietrzu – powiedział Herzer, kiedy zsiadli ze smoka i stajenni zabrali go pod pokład. Uzmysłowił sobie, że jest cały spocony, choć przecież prawie nic nie robił. Lądowanie bardzo go fizycznie wyczerpało.

– Zgadza się, potrzebujesz – potwierdził Jerry. – I trudno będzie to zaaranżować przy wszystkim, co się tu dzieje. Mam nadzieję, że nauczysz się samodzielnie latać do czasu, gdy dopłyniemy do wysp.

W miarę jak płynęli na południe, stawało się cieplej i tego dnia zrobiło się gorąco. Herzer pomyślał o tym, dosiadając Chaunceya i spojrzął w bok, głęboka i błękitna woda wyglądała jak ciekły tlen. Dobra wiadomość była taka, że jeśli wyląduje w wodzie, ocean przynajmniej przyjmie go ciepło.

Jednak przestał o tym myśleć i przesłał sygnał gotowości, pokazując oficerowi startowemu kciuki do góry.

Przyzwyczał się już do startów i znacznie większą uwagę zwracał na smoka niż na katapultę. Chauncey swobodnie wyskoczył w powietrze i skierował się po spirali w prawo do góry.

– Po prostu wzbij się na odpowiedni pułap i przejdź do lądowania – polecił Jerry, tak więc Herzer wzleciał ze smokiem na odpowiednią wysokość i skierował się do podejścia.

Z misji patrolowej wracała właśnie Vickie, musiał więc odczekać, aż dziewczyna wyląduje. Chauncey unosił się w lekkim wietrze z bliską zeru prędkością. Uświadomił sobie, że smoki coraz bardziej przyzwyczajają się do lądowań i zastanawiał się właśnie nad tym, kiedy zauważył, że przyszła jego kolej. Wyszedł z ostatniego okrążenia i zamachał do OSL, otrzymując potwierdzenie. Sprawdził chorągiewkę na maszcie i przygotował się na skorygowanie wiatru wiejącego słabo od sterburty. Joanna wyskoczyła popływać i leżała teraz na plecach w pobliżu Richarda, przypatrując się jego lotowi. Z drugiej strony wyglądało na to, że wszyscy na okręcie przerwali pracę, by zobaczyć, jak sobie radzi Pan Krwi. Załoga przyzwyczała się do lotów smoków, ale Herzer domyślił się, że pierwsze samodzielne lądowanie nowicjusza musiało być wydarzeniem.

Wyrzucił to z głowy i skupił się na obserwacji wskazówek OSL. Chauncey zdawał się przewidywać niektóre z jego poleceń, jakby do nich też się przyzwyczaił. Ale choć trochę to pomagało, lądowanie i tak nie było proste.

Zobaczył, że do tyłu i boków platformy startowej zamocowano sieci, a w gotowości czeka już ekipa odzyskowa. Choć wiedział, że to standardowa procedura, roześmiał się lekko. Jeśli nie trafi, będzie to bardzo zawstydzające.

Automatycznie skorygował lot, wchodząc w martwą strefę za żaglami i znalazł się na ostatecznym podejściu. OSL zamachał na lądowanie – zdawało się, że dużo za późno – i Herzer pociągnął równocześnie wszystkie cztery wodze, opuszczając Chaunceya na pokład niczym kamień.

Chwilę potem siedział na nim, dysząc i ignorując wiwaty, po prostu dygocząc po przeżytych stresie.

– Czteropunktowo – ocenił Jerry, klepiąc go po nodze. – Ale nieźle. Przeskocz nim na katapultę.

– Chcesz powiedzieć, że mam to zrobić jeszcze raz? – Herzer jęknął, gdy podciągnięto sieci towarowe.

– Witamy w lotnictwie morskim – odpowiedział Jerry ze śmiechem.

Rozdział 17

Nowo upieczony jeździec smoków przeprowadził jeszcze trzy lądowania, a potem przesiadł się z Chaunceya na Donala. Kiedy wywerna wyprowadzono z dołu, ściągnął skórzany hełm przygotowany przez żaglomistrza i przyjrzał się schodzącemu do lądowania Koo.

– Herzer – zawołał Jerry, kiedy wywern wspinał się po rampie. – Vickie leci na patrol. Chcę, żebyś z nią poleciał. Musisz nabrać trochę doświadczenia w szybowaniu.

Herzer wołał nie wspominać, że miał już go trochę po drodze, bo wiedział, o czym mówi chorąży. Znalezienie sposobu, aby w minimalnym stopniu męczyć smoki, było na swój sposób równie ważne, jak nauka lądowania na pokładzie.

Podszedł ostrożnie do nowego wierzchowca i pozwolił się obwąchać. Smoki, podobnie jak konie, miały skłonność do przyzwyczajania się do jeźdźca, ale od kiedy Treviano uznał, że nie da rady lądować na smokowcu, Donal często zmieniał jeźdźców i dość flegmatycznie przyjął kolejnego. Herzer dosiadł, podskokami doprowadził wywerna do platformy katapulty i znów poczuł niesamowite przyspieszenie startu. Skierował potem smoka w wolną spiralę do góry, w stronę odległej plamki Yazova tkwiącej gdzieś wysoko w górze.

Dotarcie do tej wysokości zabrało mu prawie trzydzieści minut, a kiedy tam doleciał, odkrył, że Vickie znalazła prąd termiczny i krążyła nim po kole. Donal zdołał ustawić się w jej wirze i prawie automatycznie podążył śladem drugiego wywerna.

Jeźdźcy smoków dysponowali złożonym zestawem ręcznych sygnałów, które powstały z języka migowego wykonywanego jedną dłonią i zamiast krzyczeć przez dzielącą ich przestrzeń, Vickie wykonała gest znaku zapytania.

Herzer myślał dość długo, ale w końcu przypomniał sobie znak na „ćwiczenie”, który Vickie potwierdziła zgodą. Wskazała na dół i na wschód od klipra, W oddali, gdzie dostrzegł grupę wielorybów płynących na południe. Rozglądając się, zauważył, że morze jest pełne życia. Na południowy zachód widać było dużą ławicę drobnych ryb, na których zerowały ptaki i jakieś większe ryby. Wskazał w tamtą stronę, a następnie na wywerna ze znakiem oznaczającym jedzenie, ale Vickie tylko wzruszyła ramionami. Okręt wyposażono w sprzęt do łapania ryb, dużą sieć okrężnicę,

którą mogły rozstawić okrętowe szalupy, podobnie jak harpuny na większą zwierzynę, ale wyraźnie uważała to za stratę czasu.

Bardzo daleko w lewo widać było smugę lądu, prawdopodobnie wybrzeża. Herzer pierwszy raz pomyślał, że chociaż płynęli równolegle do kontynentu, nie trzymali się blisko brzegu i nie wiedział dlaczego. Był pewien, że po wylądowaniu mógłby mu to wyjaśnić Mbeki, zakładając, że będzie pamiętał, by spytać. W tym samym kierunku co ląd zobaczył też pas wody o kolorze nieco innym niż ta, po której płynął ich okręt.

W końcu skupił się po prostu na locie. Donal świetnie szybował, utrzymując wysokość za pomocą jedynie okazjonalnych machnięć skrzydłami i oddychając równomiernie i bez wysiłku. Herzer zauważył już, że zmęczone wywerny mocno się rozgrzewały i znacznie intensywniej oddychały. Donal wciąż był chłodny w dotyku i nie wykazywał żadnych niepokojących oznak.

Lecąc po kole, przelecieli nad żaglowcem i Vickie wskazała na południe, więc wylecieli z prądu termicznego i poszybowali śladem żaglowca. Dziewczyna rozglądała się na boki i w końcu znalazła to, czego szukała w postaci grupy skrzydlatych padlinożerców unoszących się w górze. Komin termiczny nie znajdował się na trasie ich okrętu, na południowy wschód od ich aktualnej pozycji, ale niezbyt daleko od miejsca, gdzie i tak będą płynąć. Skręcili łagodnie w stronę ptaków i zanim stracili jakieś pięćset metrów wysokości, wkroczyli w nowy prąd termiczny i polecili spiralą w górę, przy akompaniamencie swobodnych wymachów skrzydeł smoków.

Wzór ten powtarzał się, wedle szacunków Herzera przez jakieś trzy godziny, aż flaga na głównym maszcie okrętu wezwała ich do powrotu. Żaglowiec płynął z wiatrem wiejącym od północnego zachodu i wylądowali bez żadnych problemów, Herzer jako pierwszy.

– No cóż, ciekawe przeżycie – skomentował, kiedy zsiadł z Donala i pozwolił go odprowadzić pod pokład. Słońce zaczynało opadać na zachodzie i pokład pokrywały już cienie, co było powodem wezwania patrolu.

– Widzieliście coś interesującego? – zapytał pierwszy oficer.

– Tylko ryby i walenie – odpowiedziała Vickie.

– Duża ławica od strony lądu – dorzucił Herzer. – Mogę zadać pytanie?

– Śmiało – zachęcił Mbeki.

– Czemu jesteśmy tak daleko od brzegu?

– Koło Flory zaczyna się duży prąd, zwany zatokowym, który płynie dalej w górę wybrzeża. To coś jakby rzeka w oceanie. Gdybyśmy w nim zostali, podróż na południe zajęłaby nam dwa razy więcej czasu, więc warto

przesunąć się na wschód, żeby go ominąć. Kiedy dotrzemy do wysp, będziemy musieli z powrotem w niego wpłynąć, ponieważ ostatnia znana pozycja syren znajduje się na zachodnim skraju wysp, gdzie prąd zatokowy przepływa między nimi a Florą.

– Chyba go widziałem – stwierdził Herzer. – Woda miała inny wygląd.

– Zapewne w tamtej okolicy kręciła się ta ławica ryb – domyślił się oficer. – Ryby migrujące wzdłuż wybrzeża mają skłonność trzymania się skraju Gólsztromu. Z prądem płynie plankton, na granicy wody o różnych temperaturach jest większy potencjał wzrostu i rosną tam wodorosty zapewniające schronienie.

– Ile jeszcze potrzebujemy czasu na dotarcie do wysp? – zapytał Jerry.

– Cóż, jeśli nie będziemy musieli ciągle schodzić z kursu, żeby umożliwić start smokom, to za dzień lub dwa – odpowiedział z uśmiechem Mbeki. – Spojrzał na niebo, gdzie słońce zaczynało kryć się za pasami chmur. – Oczywiście zakładając, że pogoda się utrzyma i nie trzeba będzie odbić w bok.

Herzer opadł na krzesło w mesie oficerskiej i ściągnął hełm, ocierając spocone czoło. Pomyślał o pójściu pod prysznic, ale w tej chwili był na to zbyt zmęczony.

Otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich głowa nowego stewarda. Był to wysoki i chudy mężczyzna, który wyglądał równocześnie młodo i staro. Herzer zdawał sobie sprawę, że nie byłby w stanie określić jego wieku nawet z dokładnością do stulecia.

– Podać coś panu, sir? – zapytał steward.

– Boże, mógłby pan? – Herzer się uśmiechnął. – Myślałem, że walka na miecze jest ciężka, ale to cholera jest trudniejsze, niż się wydaje. Wody? Może trochę herbaty?

– Zaraz przyniosę. Może coś do jedzenia? Jest trochę zimnej wieprzowiny i mógłbym zgarnąć jakieś krakersy.

– Byłoby świetnie – ucieszył się Herzer, opadając na oparcie krzesła po wyjściu mężczyzny.

Steward wrócił bardzo szybko i faktycznie przyniósł zarówno wodę i ziołową herbatę, jak i tacę mięsa i krakersów.

– Dzięki – powiedział Herzer, po czym wypił dużą porcję nieco metalicznej w smaku wody i zagryzł krakersa. – Przyłączysz się?

– Jeszcze nie skończyłem, sir – podziękował steward, ale po tym wziął krakersa i odgryzł kawałek.

Herzer zachichotał i znów napił się wody.

– Jesteś nowy.

– Tamten facet skręcił kostkę na schodach, sir. – Steward zmarszczył czoło – Jestem marynarz Annibale.

– Masz jakieś imię, marynarzu Annibale? – zapytał Herzer.

– Joel, sir.

– Leciałeś kiedyś na smoku?

– Nie, sir. Przed Upadkiem byłem żeglarzem. I potem też, ale już jako rybak.

– Więc co u diabła robisz tu jako steward? – zdziwił się Herzer.

– Wie pan, sir, wszyscy mnie o to pytają – Joel wyszczerzył zęby. – Przypuszczam, że powinienem odszukać durnia, który mnie tu przydzielił i podziękować mu w jakieś mrocznej uliczce. – Umilkł na chwilę, a potem wzruszył ramionami. – Pan jest z grupą generała, prawda, sir?

– Tak – odpowiedział Herzer, a potem wyciągnął rękę. – Herzer Herrick.

– Naprawdę? – Joel uśmiechnął się. – Ten Herzer Herrick?

– O, bogowie – jęknął Herzer.

– No wie pan, czytałem tę książkę...

– O, bogowie... – znów jęknął Herzer. – Ty też?

– To znaczy, facet nie jest szczególnie dobrym pisarzem...

– Tak słyszałem – odpowiedział Herzer. – I jeśli kiedyś uda mi się go znaleźć...

– Naprawdę zabił pan piętnastu ludzi? – zapytał Joel, siadając.

– Nie tam – wyjaśnił Herzer i skrzywił się. – Słuchaj, książka jest przesadzona, dobra? Ja po prostu robiłem, co musiałem.

– Ale tak właśnie zdobył pan swój hak, prawda? – zapytał Joel.

– Owszem, tak zdobyłem hak. Ale tych jeźdźców było sześciu, dobra? Nie piętnastu. I większość z nich załatwiła Bast. I tak, ich było więcej, ale Przemienieni nie zajęli całej doliny „jak wzburzone fale”. Było ich... parę setek. Słuchaj, brałeś kiedyś udział w walce, tak żeby inni ludzie chcieli cię zabić?

– Tak – odpowiedział poważnie Joel. – I widziałem już w swoim czasie parę trupów.

– A zdarzyło ci się, że na twoich oczach zabito ci przyjaciela? – zapytał Herzer, nie czekając na odpowiedź. – Słuchaj, to tylko rzeźnia, wiesz? Tak się składa, że w tym rodzaju rzeźni jestem dobry. Nie wiem, co to mówi o mnie poza tym... że jestem dobry w utrzymywaniu się przy życiu. Tamtego dnia i podczas wielu następnych farmę kupiło mnóstwo ludzi, którzy byli w tym równie dobrzy jak ja. Czasem mam wrażenie, że to po prostu szczęście.

Ale jeśli brałeś udział w czymś takim, wiesz, o czym mówię.

– Tak, chyba wiem – zgodził się Joel, podnosząc kubek. – Muszę iść dalej, sir. Ale dziękuję za rozmowę. Sporo pan mi wyjaśnił.

– Proszę bardzo – odparł Herzer, a potem się uśmiechnął. – Ale jeśli kiedyś znajdziesz drania, który napisał tę książkę...

– Na pewno wyślę panu jego adres – wyszczerzył się Joel.

* * *

Następnego dnia nie było mowy o startach smoków, ponieważ od rana okrętem rzucał silny wiatr. Wał widocznych od północy chmur sprawił, że załoga Wspięła się na maszty refować żagle. Przez następne dwa dni okręt miotany był przez wyjący wiatr i gęsty deszcz atakującego ich bezwzględnie, drugiego już w ciągu paru dni burzowego frontu. I choć wiatr okazał się na tyle uprzejmy, że pchał ich we właściwą stronę, drugiego dnia kapitan kazał zrobić zwrot, żeglując prosto w serce sztormu. Wiatr pchał ich bowiem prosto na cmentarzysko niezliczonych jednostek, które zatoniły tam przez tysiąclecia i Chang nie zamierzał wpłynąć na nie, nie znając dokładnej pozycji i pozwalając nieść się pędowi sztormu.

Trzeciego dnia wiatr się trochę uspokoił i przestał padać deszcz. Kapitan ustawił żaglowiec na prawym halsie i popłynął na zachód, wyglądając za śladem Flory lub czegokolwiek, co pozwoliłoby im ustalić pozycję. Joanna zgłosiła się na ochotnika do próby startu i wypatrzenia lądu. Nie była w stanie wylądować przy wzburzonych falach, ale burtę przy rufie przeprojektowano i wzmocniono tak, że bez wysiłku mogła się wspiąć na pokład.

– Flora jest na zachód – powiedziała, kiedy już strząsnęła z siebie wodę. – Zauważyłam tam ujście rzeki, ale wzdłuż wybrzeża w obie strony jest ich więcej. Nic nam to nie mówi. Na południowy wschód są jakieś wyspy, dzieli nas od nich jakieś sześćdziesiąt klików. Na wschodzie nie ma więcej nic, jak daleko sięgnęłam wzrokiem. Och, i dobrze za horyzontem na północnym wschodzie jest czyste niebo. Myślę, że do wieczora pozbędziemy się chmur, a przynajmniej ta gęsta pokrywa nad nami nieco się przetrze.

Kapitan wraz z pierwszym oficerem sprawdzili mapy i doszli do wniosku, że są zbyt blisko wysp, by żeglować spokojnie bez lepszych warunków lub czystego nieba, co umożliwiłoby im ściślejsze ustalenie pozycji. Obrali kurs na Florę, stwarzało to mniejsze ryzyko, i skierowali się w stronę Gofsztrumu.

Zgodnie z przewidywaniami Joanny do wieczora niebo zaczęło się oczyszczać, a wiatr i fale osłabły. Te ostatnie uderzały dość mocno, ale były niewielkie i okręt żeglował po nich w przechyle, który nie trudno było skompensować.

Następnego ranka ujrzeli czyste niebo, ale wiatr przybrał na sile i morze wokół nich pełne było spienionych szczytów fal. Poprzedniej nocy kapitanowi udało się dokonać odczytu pozycji z gwiazd, więc jednostka płynęła teraz ze zrefowanymi żaglami, sunąc na południe po wzburzonym morzu. Kiedy Herzer wyszedł po śniadaniu na pokład, jęknął, pewien, że kapitan zechce wysłać smoki w powietrze.

– Możemy startować, sir – mówił właśnie Jerry, kiedy Herzer dotarł na pokład rufowy. Wiejący od północy silny i zimny wiatr porywał jego słowa tak, że prawie musiał krzyżeć. – Ale nie jestem pewien, co z lądowaniem. I wcale nie wiem, czy potrafimy oceniać głębokość tak, jak by pan chciał. Widzimy mielizny i możemy je sygnalizować, ale nie jesteśmy tak naprawdę w stanie ocenić głębokości.

– Proszę nas po prostu trzymać z dala od mielizn – odpowiedział kapitan. – A co do lądowania... woda jest ciepła – dodał, szczerząc zęby.

– Powietrze z pewnością nie jest – burknął Jerry, ale też się uśmiechał. – Zrobimy to, sir. Ale przypuszczalnie będziemy musieli wodować, bo nie podoba mi się sposób, w jaki okręt się porusza.

– Niech pan robi, co może, Jerry – powiedział łagodnie kapitan. – Wiem, że martwi się pan o smoki i jeźdźców, ale jeśli wpadniemy na jakieś nie oznaczone na mapie rafy, wszyscy utoną.

– Zrozumiano, sir – odpowiedział chorąży. – Cóż, polecę jako pierwszy.

Szybko znalazł się w powietrzu i zanim jeszcze dotarł na wysokość patrolową, smok zaczął wykręcać pętle sygnalizujące płyciznę. Skręcił na wschód, aż potarł do punktu na oko znajdującego się jakieś piętnaście klików od dziobu na sterburcie, zatoczył koło i skierował się na południe.

– To znaczy, że wpłynęliśmy głęboko w Golsztrom – stwierdził Mbeki. – Mamy przed sobą przyzwoitą głęboką wodę, na całe kliki, sir. Gdybyśmy mieli sonar, patrzylibyśmy na dwieście do pięciuset metrów głębi.

– Tak – zgodził się kapitan. – Ale płycizny tworzą się tu szybko. Proszę przekazać mu, żeby trzymał się przed nami i wypatrywał płycizn do czasu, aż zostanie zmieniony. I niech wypatruje też syren oraz zasygnalizuje, jeśli zauważy jakiegokolwiek oznaki inteligentnego życia.

– Tak jest, sir.

– Przygotować wywerna do lotu i zostawić go w gotowości. Jeśli zobaczy

coś ważnego, będę chciał ściągnąć go, jak tylko się dobrze przyjrzy.

W niecałą godzinę później Jerry zawisł w powietrzu, wykorzystując północny wiatr. Po potwierdzeniu z okrętu zasygnalizował, że ma pod sobą osadę. Potem doniósł o obecności kilku małych łodzi.

– Ściągnijcie go i wypuście drugiego wywerna – rozkazał kapitan. – Powiedzcie jeźdźcowi, żeby zignorował osadę i skierował się na południe. Syreny powinny znajdować się gdzieś tam. Och, i wyślijcie posłańca do generała Talbota i powiedzcie mu, że zbliżamy się do ostatniej znanej pozycji syren.

* * *

Mężczyzna, który wspiał się na burtę okrętu był spalony przez słońce na czarno, a dłonie miał stwardniałe i powykęcane od sieci rybackich. Ale kiedy aspirant prowadził go na pokład rufowy, rozejrzał się wokół z żywym zainteresowaniem.

– Dowódca tego okrętu Shar Chang – przedstawił się kapitan, wyciągając rękę. – Flota Zjednoczonych Wolnych Stanów.

– Bill Mapel – odpowiedział rybak. – Ma pan tu piekielnie wielki statek.

– Tak, to prawda – zgodził się kapitan z uśmiechem. – Nie mamy za wielu informacji z tych okolic. Jak tu jest?

– Cóż, nie tak dobrze jak kiedyś. – Rybak zmarszczył czoło. – Przed Upadkiem wynajmowałem łodzie rybackie na wyspach Bimi i Upadek złapał mnie tutaj. Nie głodujemy, ale pogoda nie jest tu łatwa i odnalezienie się w okolicy bez autowskaźników nie jest najłatwiejszą rzeczą na świecie. Nigdy nie nauczyłem się nawigacji według gwiazd, żaden z nas tego nie umie, więc jeśli stracimy z oczu ląd, to wszystko jest kwestią dotarcia do miejsca, które uda się nam rozpoznać. Sztormy, rafy, podarte żagle, rzeczy, o których nawet nie myśleliśmy przed Upadkiem – teraz to wszystko katastrofy. I wszystkie biorą swoje myto. Mieliśmy trochę kłopotów z niedoborami witamin, ale od kiedy zaczęliśmy dostawać trochę owoców z Flory, przestało to być problemem.

– Czym handlujecie? – wtrącił się Talbot. – Przepraszam, jestem generał Talbot, siły lądowe ZWS.

– Generał jest również księciem Overjay – dorzucił kapitan.

– Księciem? – powtórzył wyspiarz, krzywiąc się.

– Wbrew moim stanowczym protestom – przyznał Talbot. – Przywrócono dziedziczną arystokrację. Przynajmniej zmusiłem ich do

uwzględnienia możliwości przemian.

– Jak idzie wojna? – zapytał Mapel. – Nie często docierają do nas wieści.

– W Ropazji jest źle – powiedział Mbeki. – Nowe Przeznaczenie Przemienia wielu ludzi wbrew ich woli. Ale... daje im to pewną przewagę.

– Na krótką metę – warknął Talbot. – Musieliśmy z nimi walczyć i nawet trochę schwytaliśmy. Są brutalni, agresywni, silni i głupi. Osobiście dziękuję.

– Ale z pewnością można ich Przemienić z powrotem – zaprotestował Mapel. – To znaczy, nie chciałbym się Przemienić, ale właściwie wcale nie musieliśmy. Mogę sobie wyobrazić, że w Ropazji, jeśli mają dość rolników...

– Ich Przemiana dokonywana jest pod blokadą członka Rady – wyjaśnił Talbot. – Potrzeba by jej albo kworum posiadaczy Kluczy, żeby odwrócić Przemianę. Nawet oni nie mogą tego zrobić.

– A to czyste zło – warknął wyspiarz. – Jest pan tego pewien?

– Moja żona jest lekarzem, w pełni przeszkolonym – odpowiedział Talbot. – Dano jej dość energii, by zbadać Przemienionych. Większość z nich związana jest protokołami bezpieczeństwa Celine. Związana jej imieniem, w bardzo starym znaczeniu tego słowa. Nie ma sposobu na uwolnienie ich, poza wygraniem wojny. A więc, ponieważ wielu z nich to ludzie, którzy opierali się im, walcząc o Ropazję, jeśli wpadniesz w ręce Nowego Przeznaczenia... cóż, poznasz swoje „nowe przeznaczenie”.

– Cholera.

– Jednak przechodząc do celu naszego tu pobytu – mówił dalej Talbot – widziałeś jakieś ślady syren?

– Nie ma ich tu teraz – odparł Mapel po chwili namysłu. – Z powodu pogody przeniosły się na wyspy Ber, prowadzą na wpół koczowniczy styl życia. Powiedziały nam, że odchodzą i bardzo tego żalowaliśmy, bo razem z delfinami były bardzo pomocne przy znajdowaniu ryb.

– Jak stoicie z sieciami? – wtrącił się Mbeki.

– Nie za dobrze – przyznał wyspiarz. – Większość z tego, co mamy, to sieci zarzutowe sprzed Upadku. Nie mamy dobrych materiałów na robienie nowych.

– Generale? – zapytał kapitan.

Talbot skrzywił się, ale potem wzruszył ramionami.

– Mamy ze sobą trochę, ale są przeznaczone do handlu z syrenami. Mogę wam oddać parę sieci skrzelowych. To powinno pomóc. Ale doceniłbym, gdybyś mógł pokazać kapitanowi miejsce, do którego twoim zdaniem przeniosły się syreny.

– Bez problemu – odpowiedział Mapel. – I naprawdę to doceniam.

– Myślę, że niedługo zobaczysz płynących tą trasą handlarzy – wtrącił pierwszy oficer. – Możesz zacząć myśleć, co moglibyście im zaoferować na wymianę. Powiemy im, że potrzeba wam sieci i tym podobnych.

– Jeszcze raz dziękuję – ucieszył się Mapel. – No dobrze, jeśli macie jakąś mapę okolicy, pokażę wam, gdzie popłynęły syreny.

* * *

Kiedy wyspiarz opuścił pokład, przyjrzeni się mapom i kapitan prychnął ze złością.

– To po drugiej stronie Banków. – Wskazał na sondowania oznaczone na mapie. – Wszędzie tam są płycizny, chyba że poześlujemy dookoła wysp. Obszar, na którym się znajdują, jest na skraju głębin, ale wszystko na północ, zachód i południe od nich to płycizny. Tworzą coś w rodzaju półksiężycy. Nawet przy dobrej pogodzie dopłynięcie tam, gdzie są, zajmie nam jeszcze dwa lub trzy dni. Jest przejście przez płycizny, ale zbyt płytkie i wąskie, żebym odważył się go spróbować z tym okrętem.

– Przypuszczam, że ma to sens, jeśli próbują wyjść z wody – zauważył Talbot, krzywiąc się. – Jerry, jak myślisz, czy wywerny mogłyby żywić się rybami?

– O czym pan myśli?

– Może to głupie z mojej strony, że niecierpliwie się po tak długim czasie czekania – przyznał Talbot – ale nie chcę spędzić kolejnych dwóch lub trzech dni, zakładając, że wiatr się utrzyma, opływając archipelag. Na smokach bylibyśmy tam dziś po południu.

– Możemy – przyznał Jerry. – Ale kiedy tam dotrzemy, zwierzęta będą bardzo głodne.

– Możemy zabrać ze sobą ładunek? – zapytał Herzer. – Moglibyśmy wziąć soloną wołowinę i wieprzowinę ugotowaną przed odlotem. Zapakować je w torby i będziemy mieć jedzenie. Nie wystarczy na wiele więcej niż posiłek zaraz po przylocie, ale przestaną być głodne. A kiedy tam dolecimy, na pewno coś się nam uda znaleźć.

– A co z wodą? – chciał wiedzieć Jerry.

– Na głównej wyspie zaznaczone jest źródło, i tam właśnie się wybieramy – odpowiedział Edmund.

– Wyspy są prawie opuszczone – zauważył Jerry. – Jeśli chodzi o karmienie wywernów, raczej nie chce pan zdawać się na przypuszczenia.

– Ściągnijcie tu Joannę – zażądał Talbot. – Chcę poznać jej zdanie.

Kiedy smoczyca przedstawiono problem, była raczej niezadowolona.

– Nie jestem pewna, czy możemy złapać dość ryb, by miało to jakieś znaczenie – przyznała. – Mówicie o dużej ich ilości. – Obejrzała się przez ramię, a potem obróciła się do relingu. Otworzyła go i zsunęła się do wody.

– Zluzować żagle – krzyknął kapitan. – Okręt na wiatr.

Herzer wszedł po drabinie do stanowiska kontroli lotów, a kiedy okazało się, że jest jeszcze za nisko, wspiął się na bocianie gniazdo na grotmaszcie. W czystej wodzie widział sylwetkę smoczycy. Zanurzyła się i krążyła teraz Wzdłuż raf widocznych głęboko pod klipem. Nagle wykręciła w bok i kłapnęła na coś szczękami, płynąc szybko węzowymi ruchami. Zdawała się złapać to, na co polowała, i popłynęła dalej. Uświadomił sobie, że smoczyca od bardzo dawna wstrzymuje oddech i zaczął się zastanawiać, czy to normalna funkcja u smoków. W końcu wynurzyła się na powierzchnię i podpłynęła do burty.

– Jeśli wyspy Ber choć trochę przypominają tę okolicę, żaden problem – oświadczyła radośnie, wydłubując językiem kęs, który utkwiał jej między zębami. – Za pańskim pozwoleniem, kapitanie, zamierzam się jeszcze trochę pożywić. Sushi nie jest takie złe, jeśli ma się dość słonej wody i soloną wołowinę jako alternatywę.

Talbot spojrział na niebo i pokiwał głową.

– Jerry, wyprowadź wywerny. Zobaczmy, czy mogą zrobić to samo. Jeśli będą potrafiły znaleźć tu dość jedzenia na drugie śniadanie, obładujemy się maksymalnie prowiantem, paroma sieciami i częścią przywiezionych rzeczy po czym polecimy na Ber.

– Już się robi, sir – odpowiedział chorąży. – Choć nie jestem pewien, jak wprowadzić je do wody.

Okazało się to całkiem proste. Kiedy jeźdźcy skoczyli przez burtę, walcząc z silnym prądem, smoki poszły w ich ślady. Obserwując Joannę, szybko nauczyły się też techniki polowania na ryby i po niedługim czasie śmigwały pośród raf, chwytając co większe ryby.

– Jesteśmy na terenach łowieckich wyspiarzy – zauważył Herzer, wyglądając przez burtę na czystą wodę. – Nie jestem pewien, czy ucieszą się, jeśli wyłapiemy im wszystkie duże ryby.

– Dostali sieci, będą jeść lepiej. – Talbot wzruszył ramionami. – Nie pożałują nam paru graników.

– To właśnie jedzą smoki?

– Przypuszczalnie, z tego, co widzę. Graniki to duże bodiany, a te są smaczne. Szkoda, że nie możemy poprosić ich i przyniesienie paru dla nas.

– Sir? Proszę o zgodę na skok za burtę – poprosił Herzer. – Przepraszam, ale woda wygląda bardzo zachęcająco.

Rozdział 18

Po chwili krążenia okrętem kapitan kazał spuścić kotwicę i Richard unosił się teraz na falach w miejscu. Większość jeźdźców wróciła na pokład. Ci, którzy tego nie zrobili, trzymali się liny przerzuconej przez rufę.

– Chodź na dół – powiedział Talbot po chwili namysłu. – Myślisz, że zdołasz się utrzymać smoka pod wodą?

– Nie jestem pewien – przyznał Herzer. – I zdecydowanie nie wstrzymam oddechu tak długo jak one.

– Cóż, ten problem akurat jestem w stanie rozwiązać.

Talbot zaprowadził go do swojej kabiny i otworzył pudełko od Sheidy. Wyciągnął z niego zwinięty plastikowy worek i rozwinął go.

– To maska do nurkowania – oświadczył, zakładając ją sobie na twarz. Plastik natychmiast przywarł do skóry, tak że powinien zacząć się dusić, ale mówił i oddychał dalej, choć głos był trochę przytłumiony. – Wyciąga tlen z wody i przekazuje go tobie oraz odfiltruje wydychany dwutlenek węgla. Kiedy jesteś pod wodą, zmienia słowa na mowę kodową syren i przetłumaczy ją dla ciebie, podobnie jak język delfinów. Najważniejsze, co musisz wiedzieć, to to, że masz nie wstrzymywać oddechu – kontynuował, ściągając maskę.

– Kiedy będziesz wypływał, twoje płuca zwiększą objętość z powodu spadku ciśnienia i jeśli będziesz wstrzymywał oddech, możesz je sobie uszkodzić. Po prostu oddychaj naturalnie.

Herzer nieco niechętnie przyjął woreczek i założył go sobie na głowę. Dziwnie się poczuł, kiedy maska zaczęła się zaciskać, ale natychmiast zauważył, że może normalnie oddychać.

– Jak długo to działa? – zapytał, ściągając ją.

– Jest naładowana na szesnaście godzin – wyjaśnił Edmund, wskazując na prawie niewidoczną plamkę czarnego plastiku przy brzegu maski. – Ale powoli może uzupełniać ładunek z Sieci. A jeśli będziesz pod wodą, kiedy zasilanie się wyczerpie, ma wysoki priorytet dostępu do energii. Nie zabraknie ci jej. A gdyby jednak coś było nie tak, po prostu płyn na powierzchnię i kieruj się w stronę łądu. Syreny mają skłonność do pozostawania w pobliżu brzegu. Inny powód, dla którego to ważne, to fakt, że będziesz oddychał prawie czystym tlenem. Jeśli zanurkujesz za głęboko, tlen robi się toksyczny. Nie schodź bardzo nisko.

– Dobrze – odpowiedział Herzer. – Spróbujmy tego.

– I jeszcze jeden drobiazg – dodał Edmund, wyciągając z dna pudełka mały biały plastikowy sześciąt. – Przycisnął go kciukiem i kostka rozłożyła się w parę płetw.

– Niektórzy puryści wciąż używali ich przed Upadkiem, to płetwy do nurkowania. Machaj na zmianę wyprostowanymi nogami. Pomagają przy prądach.

Herzer poszedł do swojej kabiny i przebrał się, zdając sobie sprawę, że przez ostatnie kilka dni prawie nie widywał Rachel, po czym wrócił na pokład, trzymając w dłoni maskę i płetwy. Założył jedno i drugie, po czym skoczył przez burtę.

Zgodnie z zapowiedzią nie miał większych problemów z oddychaniem w zdumiewająco ciepłej wodzie niż w powietrzu. Kilka razy szybko odetchnął i stwierdził, że maska praktycznie w niczym nie przeszkadza. Biorąc pod uwagę, że stężenie tlenu w wodzie było zdecydowanie za niskie, by po prostu pobierać go z okolicy, nie był pewien, co maska właściwie robiła, ale to działało. Odplłynął nieco unoszony prądem, ale machając nogami szybko wrócił do ciągnącej się za okrętem liny. Dość wyraźnie widział polujące w głębi smoki i wyłowił kształt Chaunceya.

Wynurzył się na powierzchnię i uśmiechnął się szeroko do Vickie, która przyglądała mu się nieufnie.

– Panowie Krwi zawsze są przygotowani – powiedział. – Tak, właśnie widzę – odburknęła.

– Zamierzam zanurkować i spróbować złapać Chaunceya. Jakies sugestie?

– Tak, nie próbuj jechać na smoku na oklep – odpowiedział Koo. – Ale jeśli już musisz, lepiej trzymaj się go za szyję. To chyba najlepsze miejsce.

Herzer znów spojrzał w dół i przez chwilę przyglądał się smokom, po czym zanurzył się pod wodę. Wywerny złożyły częściowo skrzydła, układając je na kształt litery V, i poruszały się dość szybko za pomocą krótkich, silnych uderzeń. Były też dostatecznie zwinne, by żyjące w okolicy rafy ryby nie miały żadnych szans, chyba że uciekły na płyciznę. Smoki polowały przez kilka minut, po czym wynurzały się na powierzchnię i intensywnie oddychały.

Odczekał, aż za rufą żaglowca wynurzył się Chauncey i popłynął w jego stronę.

– Hej, Chance – powiedział, zbliżając się do smoka. Chciał, żeby wywern zdawał sobie sprawę, że zbliża się do niego jeździec, a nie posiłek. Obu unosił prąd i dość łatwo było podplłynąć do zwierzęcia od przodu. Złapał

podstawę skrzydła, żeby nie zostać uniesionym, a potem wciągnął się na grzbiet bestii.

Chauncey zdawał się nie mieć nic przeciwko temu, ale Herzer szybko odkrył, że po zmoczeniu skóra smoków jest bardzo śliska. Zdołał właśnie objąć ramionami smoczą szyję, kiedy stworzenie zanurkowało.

Smok popłynął prawie pionowo w dół przez przejrzystą wodę, kierując się w stronę cienia kryjącego się pod nawisem skalnym.

Herzer poczuł nagle ostry ból w uszach. Prawie instynktownie zacisnął palcami nos i mocno w niego dmuchnął, aby wyrównać ciśnienie. Dmuchał jeszcze raz na wszelki wypadek, a potem rozejrzał się po zbliżającym się błyskawicznie dnie morza.

Pokrywał je głównie piasek i kawałki koralu, a jedna z dużych ryb, być może z tych graników, o których wspomniał książę Edmund, ukrywała się pod kawałkiem koralu. Kiedy przesunął się nad nią cień wywerna, wypłynęła z ukrycia, sunąc nad piaskiem w poszukiwaniu innego nawisu.

Chauncey skręcił jej śladem i Herzer prawie został wyrzucony ze swojego miejsca, gdy smok zamachnął się skrzydłami w gęstej wodzie. Rafowa ryba okazała się wyraźnie szybsza, ale nagle spadł na nią Donal, więc desperacko rzuciła się w bok. Chauncey dokonał kolejnego gwałtownego skrętu w prawo i granik znów spróbował zmiany kierunku, ale tym razem zabrakło mu prędkości, jako że głowa wywerna wystrzeliła i zamknęła paszczę na rybie wielkości człowieka.

Woda była czysta i słońce wysoko w górze świeciło na tyle mocno, że piasek na dnie błyszczał w jego promieniach, ale Herzera zaskoczyło, że krew wypływająca z ryby miała kolor jasnego szmaragdu, jak nowe listki czy młoda trawa po wiosennym deszczu. Było jej też całkiem dużo. Zawsze zdumiewała go ilość krwi, jaką mogły pomieścić żywe stworzenia.

Ryba płynęła w stronę prądu i przez krótką chwilę całe morze wokół niego przybrało tę samą jasną, szmaragdową barwę. Tak go to zaskoczyło, że prawie znów stracił chwyt. Ale wywern łąpczywie dokończył rybę i skierował się na poszukiwanie następnej, a z rafy wypłynęły chmarą jaskrawo ubarwieni drobni padlinożercy zając się resztkami po wielkim drapieży.

Herzer nigdy nie interesował się sportami podwodnymi, więc zdumiała go roztaczające się wokół widoki. Cień okrętu w górze był niebieski jak głęboka woda na zachodzie. Śmigające we wszystkie strony smoki – „latając” z podwiniętymi skrzydłami, wbrew prądowi, i polując wzdłuż rafy – miały w sobie coś zdumiewająco nierealnego. Woda była tak przejrzysta,

że miał wrażenie, jakby sięgał wzrokiem na całe mile, choć zdawał sobie sprawę, że widoczność nie przekraczała jakichś siedemdziesięciu metrów, a Shep wciąż znikał w oddali z pola widzenia.

Gorączka polowania smoków zaczęła przyciągać rekiny i trochę go to martwiło. Wywerny mogły bez trudu przeżyć atak znacznie mniejszych od nich rekinów, ale jeśli tamte uznają go za ciekawą zdobycz, mogłyby go czekać niemiłe chwile. Rekiny unikały jednak smoków, być może rozpoznając w nich, przez jakieś zakodowane genetycznie, niesamowicie odwieczne informacje, że podobne dinozaurom latające stworzenia też są drapieżnikami. A smoki ze swej strony ignorowały rekiny.

Wyjątkiem była Joanna. Chauncey znów gonił dziko za jedną z żyjących Przy rafie ryb, tym razem znacznie mniejszą niż poprzednia, kiedy Herzer zobaczył, jak z mroku na wschodzie wylania się większy smok i zamyka szczęki na jednym ze średniej wielkości rekinów. Wystarczyło jedno kłapięcie szczęk, by zwierzę zostało przecięte na pół, i po chwili w stronę dna opadały osobno ogromny łeb i ogon, wciąż szarpiąc się w drgawkach. Wokół szczątków zgromadziły się inne rekiny i głowa smoka wystrzeliła jeszcze raz, zamykając się w całości na jednym z mniejszych natrętów. Któryś z drapieżników spróbował ją ugryźć, ale jego zęby odbiły się od złożonych skrzydeł, a głowa Joanny znów wykręciła się na długiej szyi i odplaciła mu tym, czego on nie był w stanie zrobić jej. Najwyraźniej usatysfakcjonowana, ruszyła z powrotem w kierunku okrętu, na odchodnym pogardliwie machając ogonem w stronę szczątków czegoś, co jeszcze przed chwilą było jednym z najniebezpieczniejszych drapieżników morza.

Herzer zostawił Chaunceya, by przyglądać się zabawie Joanny i nagle, gdy w jego stronę ruszyła grupa rekinów, uświadomił sobie, że on nie jest jednym z najniebezpieczniejszych morskich drapieżników. Nie był pewny jakiego są rodzaju, po za tym, że były duże, szare i o najbardziej klasycznym kształcie, jaki kiedykolwiek widział. I wyraźnie uważały go za potencjalny posiłek. Z wyjątkiem wsadzonego za pas noża Herzer był kompletnie nieuzbrojony i nie bardzo wiedział, czy powinien uciekać na powierzchnię czy w stronę dna. Rekiny znalazły się między nim a żaglowcem, odcinając mu możliwość wycofania się na bezpieczny pokład.

Skręcił w bok i zanurkował w stronę dna dokładnie w chwili, gdy jeden z większych rekinów wystrzelił naprzód. Zdołał zepchnąć go na bok dobrze odmierzoną ciosem w nos, na który rekin zareagował odwróceniem się i szybkim odpłynięciem, dołączając do pozostałych, pływających w koło. Jednak cios zaszkodził również Herzerowi, który na bardzo szorstkiej skórze

rekiną zdarł sobie skórę z kostek. Kopnął nogą w stronę innego, który wyraźnie uznał zdarzenie za dobrą okazję schwytania go za płetwę.

Płetwa zrobiona była z prawie niezniszczalnego plastiku, ale nie dało się tego powiedzieć o Herzerze. Rekin zareagował na uderzenie próbą oderwania kawałka ciała człowieka, gwałtownie potrząsając głową i wykręcając całe cielsko. Herzer poczuł się jak szczur trzymany w paszczy przez teriera i niewyraźnie usłyszał, jak coś mu strzela w kostce. Kiedy rekin zrozumiał, że niczego nie oderwie, puścił płetwę, ale do tego czasu pierwszy opłynął go w koło i spróbował zaatakować bardziej wrażliwe części ciała.

Właśnie w chwili, gdy rekin miał go dopaść, pojawił się nad nim niebieski cień i Chauncey wgrzył się w atakującego Herzera drapieznika tuż za głową. Nie był tak wielki jak Joanna, ale jego szczęki mogły rozszerzać się prawie jak u węża, a potężne mięśnie umożliwiły przebicie się przez skórę, chrząstki i ciało, zostawiając głowę połączoną z ogonem wyłącznie wąskim paskiem skóry.

Woda wokół Herzera wypełniła się nagle skrzydłami i zieloną krwią, gdy wywerny zareagowały na zagrożenie i posiłek w postaci zebranych rekinów, kłapiąc paszczami we wszystkie strony. Rekiny próbowały oddawać tym samym, gryząc skrzydła, ale ku ich rozczarowaniu, tych po prostu nie dało się przebić, a wywerny reagowały błyskawicznie, podciągając skrzydła do ciała, gryząc natrętów.

Herzer uznał, że najlepsze, co może zrobić, to uciec do dna, jak wiele z mieszkających na rafie ryb, i przyglądać się bitwie z bezpiecznego miejsca pod jakimś nawisem. Siedem rekinów oceniło smoki za ofiarę wartą walki, ale pięć wywernów zabiło cztery z nich, zanim na scenie ponownie pojawiła się Joanna.

Ona z kolei zabiła jeszcze dwa, a ostatni został wykończony przez Donała, który prawie połknął w całości stosunkowo niedużego gałacza.

Gdy tylko ostatni z drapieźców zmienił się w resztki dryfujące w stronę dna, Herzer wypłynął ze swojej kryjówki i popłynął w stronę grupy, oszczędzając nogę i machając głównie prawą ręką. Smoki jednak jeszcze szybciej skierowały się w stronę powierzchni i nie było mowy, żeby mógł za nimi nadążyć. Wypływając, przypomniał sobie słowa Edmunda i zaczął normalnie oddychać. Już wcześniej zauważył, że miał skłonność do wydychania większej ilości powietrza, niż wciągnął i zastanawiał się, co powinien z tym zrobić. Zauważył też, że w wodzie nie pojawiały się żadne bańki gazu, co bardzo go zaskoczyło, ale domyślił się, że wydychane gazy rozprowadzane są przez ten sam mechanizm, który zbierał je do oddychania.

Kiedy zbliżył się do powierzchni, znów zaczęły go boleć uszy, więc zatrzymał się na chwilę, by wyrównać ciśnienie, poruszając przy tym intensywnie szczęką. Płynąc w górę, zauważył, że ciągle ma wrażenie znajdowania się tuż pod powierzchnią, która jednak faktycznie była znacznie dalej, niż się spodziewał. Doznał w końcu lekkiego zaskoczenia, kiedy najpierw jego wyciągnięta lewa ręka, a potem głowa wynurzyły się na powierzchnię.

Znalazł się dość daleko od żaglowca i smoków, ale Joanna płynęła już w jego stronę wężowatymi ruchami.

– Prawie stałeś się tam częścią łańcucha pokarmowego, poruczniku – powiedziała, uśmiechając się odciągniętymi wargami. Między zębami wciąż tkwił jej kawałek białego mięsa z jednej strony pokrytego rekinią skórą.

– Pomyśl o mnie jak o przynęcie – odparł z uśmiechem Herzer.

– Całkiem dobrze to zniosłeś – zauważyła Joanna, zatrzymując się koło niego. – Właż na mnie.

– Jestem przyzwyczajony do ludzi i różnych rzeczy, które nieustannie próbują mnie zabić – przyznał Herzer. – Strasznie dziwnie mi się to mówi, ale zaatakowanie przez rekiny to pierwsza normalna rzecz, jaka przydarzyła mi się w trakcie tej podróży.

– Musisz prowadzić piekielne życie.

– A żebyś wiedziała.

* * *

– Skręciłeś sobie kostkę – oznajmiła Daneh, kończąc ją owijając. – Nic bardzo poważnego, ale przez następny dzień czy dwa będziesz musiał bardzo na nią uważać.

Smoki i jeźdźcy zostali wyciągnięci z wody i przygotowywali się właśnie do wystartowania na poszukiwanie syren. Zaraz po unieruchomieniu kostki Herzera.

– Nie ma na to wielkich szans – powiedział Edmund, podchodząc zza jej pleców i podając coś Herzerowi. – Pamiętka.

Herzer obejrzał uważnie ząb rekina i potrząsnął głową.

– Skąd go pan ma?

– Z twojej płetwy – wyjaśnił książę. – Utkwił w szczelinie. Choć na płetwach nie ma żadnych śladów. Całkiem niezłe, biorąc pod uwagę, że zrobiono je z pamiętającego grafitu.

– Wiesz, że o mało tam nie zginąłeś? – spytała Daneh.

– Wiem, proszę pani – odpowiedział Herzer z lekkim uśmiechem. – Byłem tam.

– Jesteś zdolny do lotu? – zapytał Edmund.

– Jeśli będę mógł włożyć na to buty. – Herzer wskazał na swoją nogę.

– Coś wymyślimy – pocieszył go Talbot, kiwając głową. – Chcę, żebyś wyruszył jak tylko...

– Łódź na sterburcie! – krzyknął marynarz z bocianiego gniazda.

– Łódź? – powtórzył zdziwiony Edmund, patrząc na zachód. Gdzieś tam kryła się odległa Flora, ale była po drugiej stronie Gofsztrumu. A marynarz wyraźnie zapowiedział „łódź”, nie „statek”, co jak wszyscy dość dobitnie się przekonali, oznaczało małą łódź. Nikt o zdrowych zmysłach nie przekraczał prądu zatokowego w małej łodzi.

– Co tam widać? – zawołał kapitan. Przy oczach trzymał lornetkę, ale na razie łódź znajdowała się dla niego poniżej horyzontu.

– Wygląda jak jakieś małe canoe, sir, może kajak – zawołał marynarz z bocianiego gniazda. – W środku jedna osoba. Płynie z południowego zachodu.

Połowa załogi zebrała się przy burcie, próbując przyjrzeć się samobójcy, który zdawał się przepłynąć Gofsztrum w czymś, co faktycznie było canoe, a nie morskim kajakiem. Kiedy łódka się zbliżyła, opis stał się bardziej szczegółowy.

– W łodzi siedzi kobieta – zawołał. – Ciemne włosy... ubrana... w strój kąpielowy?

Herzer jęknął nagle i usiadł na kłębie liny, trzymając się za głowę.

– To nie strój kąpielowy – wymamrotał. – Dwa plus dwa to cztery, to skórzane bikini. A to znaczy, że w łodzi nie płynie człowiek.

– Nie – zgodził się Edmund, wzdychając. – To elf.

– Bast! – jęknęła Daneh. – Jak? No wiesz...

– Bast? – zapytała Rachel, wyłaniając się właśnie spod pokładu. Osloniła oczy i spojrzała na sterburtę, gdzie widać już było na horyzoncie canoe. – Jesteś pewna?

– Kto inny przepłynąłby przez prąd zatokowy w dłubanym canoe? – zapytał Herzer.

– A na dziobie siedzi królik! – wrzasnął marynarz z góry.

– Cóż, oto odpowiedź na jedno z retorycznych pytań – stwierdził ze śmiechem Edmund. – Odpowiedź brzmi: „Ten cholerny królik”.

* * *

– Bast – przywitał ją Herzer i objął ciepło, gdy wspięła się na burtę. Wspinając się dalej, aż owinęła go w talii nogami i przycisnęła usta do jego warg.

Kobieta, do której mówił, nie miała więcej niż sto dwadzieścia pięć centymetrów wzrostu i ledwie sięgała mu do pasa. Oczy miała zielone, z pionowymi źrenicami, a uszy kończyły się lekko wzniesionym ku górze szpicem. Miała wysokie, małe piersi i ubrana była w bikini z miękkiej, wyblakłej skóry. Na plecach nosiła łuk i strzały, a przy skórzanym pasie wisiała lekka szabla z wykładaną klejnotami rękojeścią. Na lewym ramieniu nosiła naramiennik, zakrzywiony element zbroi chroniący ramię, na prawej nodze nagolenicę, kolejny element zbroi, na lewej futrzaną nogawicę, a na obu przedramionach kamasze z grubej skóry. Poza tym była naga, bo chyba najbardziej niepraktyczny zestaw, jaki ktokolwiek mógł sobie wyobrazić, ale taka właśnie była Bast.

– Cześć kochasiu – powiedziała, kiedy w końcu oderwała się od jego ust. Przechyliła się i mrugnęła do Rachel. – Jeszcze ci go nie kradnę, prawda?

– Nie – odpowiedziała z szerokim uśmiechem Rachel. – Prawdę mówiąc, możesz wziąć moją koję. On chrapie.

– Zwłaszcza kiedy bardzo się zmęczy – zgodziła się Bast, opadając na pokład w chwili, gdy wspiął się na niego królik. Nie powinno mu się udać tego zrobić, ale jego pazurki bez problemu wbijały się w drewno.

– Bast... – odezwał się Edmund, po czym urwał. – Nie, żebym się nie cieszył z twojego widoku, ale...

– Ale jesteś na tej tajnej i superważnej misji dyplomatycznej – dokończyła Bast, a Herzer delikatnie uwolnił się z jej uchwytu – i nie chcesz, żeby zepsuł ci ją duch chaosu.

– Zapewne tak właśnie bym to ujął – przyznał ze śmiechem Edmund. – Przynajmniej w duchu. Czemu tu jesteś?

– Cóż, zabrałam ze sobą mojego kochasia – odparła, chwytając ramię Herzera i owijając się nim. Wyraźnie jednak uznała, że to zbyt mało, bo wspięła się na niego z powrotem, tym razem z lewego boku, i owinęła go nogami w talii, nabierając przy tym wyglądu misia koala na ulubionym drzewie. – Nie mogłam pozwolić, żeby całkiem sam pozęglował w niebezpieczeństwa czyhające na Południowych Wyspach!

– Dobrze, a o co chodzi z królikiem? – zapytał Edmund, wzdychając. Wspomniany królik był brązowo-białą miniaturką o klapniętych uszach, wyglądając z pozoru jak najśliczniejszy, choć i najgłupszy zwierzak domowy

świata. Oczywiście zakładając, że zignorowało się czarną skórzaną uprzęż pełną noży i pistoletowych kusz. Oraz czerwone, pełne szaleństwa oczy.

– Hej! Wakacje na wyspach! – krzyknął królik – Cysate blondyny, ciepłe plaże, słońce, surfowanie i najważniejsze, margarita z koniczyną!

– Na pokładzie nie ma tequili – westchnął Edmund. – A już na pewno koniczyny.

– Co?! – jęknął królik wysokim, tenorowym głosem. – Żadnej tequili? Na wyspach?

– Tequila pochodzi z Chiary – wyjaśnił Edmund. – Tam rosną guavy. Z wysp pochodzi rum.

– Cóż, też prawda. Okręty floty zawsze wydawały porcję rumu na dzień. Wezmę rum. Rum jest dobry.

– Niestety, na okrętach ZWS obowiązuje abstynencja – stwierdziła cierpko Daneh. – To znaczy „żadnego alkoholu”.

– ABSTYNNENCJA?! – zaskrzeczał królik. Wyciągnął nóż sprężynowy i wskoczył na ramię Herzera, wymachując ostrzem w stronę Bast. – Powiedziałaś, że będzie alkohol! Przyjemna wycieczka na wyspy, mówiłaś! Alkoholu, ile tylko zechcę! Może nawet telemarketerzy! Zrobię z ciebie elfie kotlety!

– Możesz próbować, czarnosercy – warknęła Bast, zeskakując z Herzera w dość nieprawdopodobnym przewrocie w tył i lądując na pokładzie z wyciągniętą szablą. – Kiedy zechcesz, ty kłapouchy potworze!

– Bast, czemu nakłoniłaś podstępem to... to... – Edmund zamachał ręką na królika. – Tę zaprogramowaną w szalony sposób SI na ten okręt?

– Cóż, nie mogłam zostawić go w Raven's Mill bez kontroli któregoś z nas prawda? – Bast wzruszyła ramionami, chowając szablę. – I jestem pewna, że gdzieś na tych wyspach znajdziemy dość rumu, żeby go uszczęśliwić.

– Bast... – zaczął Edmund, ale zamilkł, gdy uniosła na niego palec.

– Uch – och – powiedziała, przechylając głowę na bok.

– Bast... – powtórzył, tym razem z nutą pochlebstwa w głosie. – E-e.

– Och, szlag – westchnął Edmund. – Właśnie szykujemy się do odlotu i potrzebujemy zabrać na smokach mnóstwo dodatkowego jedzenia i rzeczy dla nas.

– Jestem lekka – stwierdziła Bast. – Polecę na Joannie.

– Poddaję się – oświadczył Edmund. – A co z królikiem?

– Chcecie odwiedzać syreny, prawda? – zapytał królik. – A to oznacza pływanie, tak? Ja nie pływam.

– Króliku, jeśli zaczniesz stwarzać na tym okręcie choćby najmniejsze problemy, zmuszą cię do spaceru po desce – warknął Edmund. – W betonowych butach.

– A mają jakieś wsparcie? – zapytał buńczucznie królik, zeskakując z ramienia Herzera i lądując na pokładzie z solidnym hukiem. Wciąż wywijał przy tym ostrzem sprężynowego noża.

– Na pokładzie jest dwustu dwudziestu członków załogi i tuzin piechoty morskiej – oświadczył Edmund. – Gdyby przyszło co do czego, zawiną cię w zapasowy żagiel i wyrzucą za burtę z balastem. Jak długo potrafisz wstrzymać oddech?

– Bardzo długo – odpowiedział królik, patrząc mu w oczy. Po chwili przestał i podrapał się po ramieniu, jakby groźby w ogóle go nie obchodziły. – Będę grzeczny. Ale lepiej znajdźcie mi jakiś alkohol. Robię się bardzo nerwowy, kiedy go nie mam.

– W pobliżu są ludzkie osiedla – stwierdził Edmund. – Zobaczymy, co się da zrobić.

– Generale – odezwał się Mbeki. – Nie chciałbym przerywać tego spektaklu, ale wywerny są już osiodłane i gotowe do lotu. Mamy też zapasy, a przy tym wietrze i prądzie powinniście być w stanie wystartować, jeśli zrobicie to szybko.

– Jesteśmy gotowi – odpowiedział Edmund. – Lepiej niech ktoś powie Joannie, że ma dodatkowego pasażera, a kiedy będziecie lądować, muszę porozmawiać z kapitanem.

Rozdział 19

– Czym... jest ta rzecz? – zapytał Chang.

– Powiedziałbym, że duchem pierwotnego chaosu – zaczął, krzywiąc się Edmund. – Ale to byłoby nieco przesądne. On jest cyborgiem SI, nie żadnym prawdziwym królikiem. Został stworzony dawno temu. I jestem zmuszony zostawić go na pańskim okręcie.

– Bardzo serdecznie panu dziękuję, generale – powiedział kapitan zdeprymowanym głosem. – Co się stanie, jeśli zacznie szaleć?

– Cóż... – odpowiedział niepewnie Edmund. – Jego program jest niemal niewyobrażalnie chaotyczny. Ale ma tendencję, żeby nie szkodzić własnej stronie w naprawdę nieodwracalny sposób. Płata sztuczki, czasem dość bolesne. I ogólnie jest mocno buńczuczny, dopóki sprawy nie ułożą się zgodnie z jego zamysłami. Przy pierwszej możliwej okazji zdradzi pana także za pieniądze, towary lub usługi. Ale nigdy w sposób, który doprowadzi do prawdziwych, nieodwracalnych szkód.

– To...

– Dziwne – westchnął Edmund. – Wierzę, że dwudzieste drugie stulecie było najbardziej... złożonym i barokowym w całej historii ludzkości. To jeden z jego wyników.

– Czemu ktokolwiek stworzył coś takiego? – spytał kapitan. – Przecież prawie natychmiast zdradziłoby swoich twórców, prawda?

– Och tak – zgodził się Edmund. – I z tego, co słyszałem, tak się właśnie stało. Coś związanego z dużą bombą. Najwyraźniej stworzono go na podstawie komiksu z dwudziestego pierwszego wieku.

– Komiksu?

– Zobacz pan. W sumie jest dość zabawny, jeśli lubi pan czarny humor. W każdym razie ma trzy albo cztery główne założenia programowe. Mniej więcej w odwrotnej kolejności to: dobrze się bawić i wieść wygodne życie, tłuc wyznaczonego „nerda”, odszukać obsadę serialu o nazwie Słoneczny patrol i być czułym w stosunku do kobiet...

– Być czułym?

– Jego słowa – Edmund błysnął zębami. – Spędzać dużo czasu w towarzystwie blondynek o dużych piersiach i zabijać telemarketerów. To ostatnie to główny cel programu.

– Co to telemarketer? – zapytał kapitan.

– Rodzaj ludzkiego gza – westchnął Edmund, myśląc, jak wiele ludzkiej

historii przepadło w związku z brakiem zainteresowania. – Coś jak spamer, ale używali telefonów, które...

– Och, słyszałem o nich – przypomniał sobie nagle Shar. – Czy nie wyginęli wszyscy w... och.

– Zgadza się – potwierdził Edmund. – I ma pan na pokładzie ich zagładę.

– I zostawia go pan na moim okręcie?

– Dobrej zabawy. Czasem działa ciągle upijanie go.

* * *

Smoki były mocno obciążone, ale kombinacja katapulty i silnego wiatru umożliwiła im start i grupa skierowała się na wschód, podążając kursem wyznaczonym przez Edmunda i Joannę.

Pod sobą mieli mozaikę raf, szerokich, białych płyczn i małych, niezamieszkałych wysepek. W wodzie zdarzały się okazjonalne plamy zieleni, które, jak powiedziano Herzerowi, były morską trawą. Od czasu do czasu widywali łodzie rybackie, ale to jedyny ślad obecności ludzi. W wodzie przemykało mnóstwo pojedynczych ryb i małych ławic skręcających w słońcu w różne strony i błyskających łuskami. Kiedy wyruszali, był już prawie szczyt przyływu i w miarę lotu odsłaniało się coraz więcej płyczn.

Słońce odbijające się od ich białego piasku było prawie oślepiające i po jakimś czasie Herzer przestał się w nie wpatrywać, zamiast tego zaczął patrzeć przed siebie. Po około godzinie zauważył, że woda w oddali zmienia kolor z zielonego na niebieski i domyślił się, że zbliżają się do końca płyczn i do głębin za nimi.

Kiedy dotarli do skraju płyczn, Joanna skręciła na północ, lecąc wzdłuż łańcucha niewielkich wysepek. Za wąskim pasem wysp dalej na północ rozciągały się kolejne mielizny, ale od południa woda szybko zmieniała kolor z zieleni płyczn na ciemnoniebieską barwę głębokiego morza. Herzer przyjrzał się wcześniej mapom i wiedział, że dno schodziło w tych okolicach na ponad tysiąc metrów. Choć w pięciu metrach wody utopić się równie łatwo jak w tysiącu, to jednak świadomość takiej głębi wzbudzała w nim szczególne odczucia.

W końcu, na skraju jednej z wysp, zobaczyli dwupiętrowy budynek z betonu, stanowiący punkt rozpoznawczy ich celu. Była to starożytna, ale do Upadku dobrze utrzymywana latarnia morska. Wokół niej nie dostrzegli jednak żadnych aktualnych śladów zamieszkania. Krzaki w okolicy mocno się rozrosły, a ścieżki porastało zielsko.

– Syreny! – Krzyknął Koo, wskazując na dół po prawej. Faktycznie, pośród stadka delfinów przewijały się charakterystyczne kształty syren. Kiedy przemknęły nad nimi cienie smoków, syreny wynurzyły się na powierzchnię, by się przyjrzeć, a potem zanurkowały i skierowały się na południowy wschód.

– Łądujemy i płyniemy do nich? – spytała Joanna.

– Łądujemy – zdecydował Edmund. – Potem zajmiemy się nakarmieniem smoków.

Zeszli do lądowania przy starej latarni i kiedy zsiadli z wyvernów, zobaczyli rząd wyłaniających się z wody głów.

– Herzer – powiedział tylko Edmund i zaczął ściągać z siebie strój jeździecki. Wiatr wciąż wiał z północy, dość zimny i wzbijający drobny piaskowy pył.

Zanim Herzer się rozebrał i założył maskę, zdążył solidnie zmarznąć i z chęcią ruszył w stronę wody, która powinna być zdecydowanie cieplejsza.

Nie była. Kiedy wszedł do morza, zanurzając się do pasa, a potem zakładając płetwy, woda okazała się lodowata. Edmund zdążył już zanurkować, płynąc w stronę syren i rozpryskując przy tym wodę jak mors.

Herzer szybko zanurkował i popłynął w ślad za księciem, trzymając się poniżej niewielkich fal. Dno prawie w całości pokrywał piasek, ale zanim przebyli pół drogi do syren, zaczęły się też pojawiać rafy.

Kiedy tak płynęli, syreny ruszyły w ich stronę, najpierw powoli, potem trochę szybciej, z przodu rząd trytonów uzbrojonych we włócznie o kościanych grotach, a za nimi reszta, przeważnie z pustymi torbami z wodorostów. Kiedy zbliżyli się na kilka metrów, Edmund znieruchomiał w wodzie i uniósł dłonie.

– Przybyliśmy tu ze Zjednoczonych Wolnych Stanów i szukamy Bruce’a Czarnobrodego.

Herzer przyjrzał się zbliżającemu się szeregowi trytonów. Przed Upadkiem widywał syreny, ale nigdy w grupie i nie w ich naturalnym środowisku. Uznał, że wyglądały nie mniej wdzięcznie niż delfiny pływające obok, w niewielkich stadkach. Były jednak zdecydowanie bardziej jaskrawo ubarwione, z ogonami błyskającymi na niebiesko, zielono, czerwono i wszystkie pozostałe kolory tęczy. Włosy również miały w pełnym zakresie barw, zazwyczaj w kolorze pasującym do ogona. Poza oczywistymi różnicami w stosunku do ludzi miały też powiększone klatki piersiowe, z otwierającymi się i zamykającymi szczelinami między żebrami. Wyraźnie mieściły się tam skrzela. Ciało miały bardziej krępe niż większości ludzi, ale

o gładkiej, nie pobrużdżonej mięśniami skórze. Wydawały się być otłuszczone.

Rząd trytonów z włóczynami zatrzymał się i mieszkańcy morza patrzyli na nich w zaskoczeniu.

– Bruce jest w mieście – odezwał się jeden z nich. – Chyba się was spodziewa.

– Jestem Edmund Talbot – przedstawił się generał. – Daleko to?

– Nie, tylko na skraju głębi – odpowiedział tryton. – Jestem Jason Ranger.

– Herzer zastanawiał się chwilę, co w jego głosie brzmi tak dziwnie, po czym uświadomił sobie, że przecież wcale nie słyszy głosu, tylko jego interpretację w wykonaniu komputera maski. Nie miał żadnego konkretnego brzmienia. Usta trytona właściwie pozostawały nieruchome, może poza drobnymi poruszeniami, które mogły wynikać z subwokalizacji.

– To porucznik Herrick, mój adiutant – Edmund wskazał na chłopaka. – Chcielibyśmy odwiedzić wasze miasto. Są ze mną też moja żona i córka.

– Oraz wywerny – zauważył Jason.

– Tak, i płynię w tę stronę statek. Spodziewaliśmy się znaleźć was przy wyspach Bimi. Wywerny będą potrzebować ryb do jedzenia. Jest gdzieś miejsce, gdzie mogą zapolować?

Słyszając to tryton potrząsnął głową.

– Wywerny jedzą ryby?

– Uczą się – odpowiedział Herzer. – Ryby przy rafach łapały bez problemu. I rekiny – dodał.

– Tereny rybackie w okolicy należą do nas – uprzedził Jason. – Wołałbym, żeby nie zostały przetrzebione. I nie pozwólcie Bruce’owi dowiedzieć się, że polowaliście przy rafach, bo stracie wszelkie nadzieje na dobre przyjęcie. Ale jeśli nie przeszkadza wam przeniesienie się kilka klików w górę lub w dół wybrzeża, nie ma problemu.

– Mogę im pokazać – wtrącił się jeden z włóczników. Miał prawie całkowicie białe włosy i jasnobrązowy ogon.

– To Pete. Kiedy nie poluje, jest jednym z najlepszych kucharzy wśród syren.

– Kiedy mam przyprawy, jestem najlepszym kucharzem wśród syren – poprawił Pete. – Ale jeśli posadzicie mnie na jednego z tych wywernów, mogę wam pokazać, gdzie będą mogły polować. Na wschodzie jest głębia. Dużo graników i większych bodianów, ale to za daleko, żeby opłacało się nam tam płynąć.

– Herzer? – zapytał Edmund.
– Będziemy musieli w zasadzie cię przywiązać – zauważył Herzer. – Nie masz nóg, żeby usiąść na grzbiecie.
– Rozumiem – zgodził się Pete.
– Będzie mnie pan potrzebował w mieście? – zapytał Herzer.
– Nie, ale sprowadź Daneh i Rachel. I powiedz chorążemu Riadou, że chciałbym, aby wrócił nie później niż o zachodzie słońca i gdyby udało mu się skłonić wywerny, żeby złapały trochę ryb, nie jedząc ich, to byłby to bardzo ciekawy i pożyteczny eksperyment.
– Zrobi się, sir. Jedno pytanie, co z Bast?
– Co z nią? – powtórzył Edmund po krótkim namyśle. – Nie mam dla niej maski ani zestawu płetw. Niech Rachel zabierze sieć – dodał Edmund, gdy Herzer i Pete zaczęli już odpływać.
– Macie sieci? – zainteresował się Jason.
– Ze sobą tylko jedną – wyjaśnił Edmund. – Więcej nie mogliśmy zabrać. Ale na statku jest więcej.

* * *

Evan podniósł wzrok, gdy na jego stole roboczym z głośnym stukiem wylądował królik.

– W czym grzebiesz? – zapytał, unosząc tylną łapę, żeby energicznie podrapać się za uchem.

Evan patrzył na niego przez chwilę pustym wzrokiem, po czym odpowiedział wyniośle.

– Pracuję nad urządzeniem.

Królik podkicał bliżej i obejrzał je, po czym wzruszył ramionami.

– Znaczą robisz miotacz ognia. Też mi coś.

– Wiesz, co to jest? – zdziwił się Evan.

– Oczywiście, że wiem – prychnął królik. – Dostatecznie często kierowano je przeciw mnie. Zresztą mnie też zdarzyło się ich użyć raz czy dwa.

Evan zauważył nagle, że zamiast normalnych króliczych stóp, królik miał łapy podobne do dłoni, z przeciwstawnym kciukiem.

– Cóż, może mógłbyś mi w takim razie powiedzieć, co jest nie tak – zaproponował Evan. – Nie zależnie od tego, co robię, nie mogę sprawić, żeby tryskał strumieniem. Oczywiście pracowałem z wodą, ale ta rozpryskuje się na wszystkie strony. Nie chcę ściany ognia.

Królik podkicał po kolei do wszystkich rozłożonych części, po czym potrząsnął głową.

– Dobra robota.

– Dziękuję.

– I wiem, na czym polega problem – dodał królik. – Ale jeśli ci powiem, chcę coś za to dostać.

– Czemu? – zapytał inżynier ze zdziwionym wyrazem twarzy.

– Cholerne programowanie, taki już jestem – westchnął królik. – Nie mogę tak po prostu powiedzieć ludziom rzeczy, których chcieliby się dowiedzieć, nawet jeśli sam tego chcę. A chciałbym, żebyś zrobił mi miotacz ognia. Lubię miotacze ognia.

– Dobrze, jeśli tylko nie narobi to okrętowi kłopotu – zgodził się Evan.

– Właściwie, jak się zastanowić, to chcę dwóch rzeczy – powiedział królik, znów drapiąc się za uchem.

– Ale ty mówisz mi tylko jedną – zauważył Evan.

– No dobra, masz rację – przyznał królik. – Co byś chciał za dwie rzeczy?

– Hm, a co chcesz za informację na temat budowy miotacza ognia?

– Mniejszy model – odpowiedział królik. – Dość mały, żeby móc go używać. A zdziwisz się, ile masy mogą udźwignąć.

Evan zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym zmarszczył brwi.

– Ma nie zostać wykorzystany przeciw temu okrętowi ani żadnemu, należącemu do floty Wolnych Stanów. Ani przeciw żadnemu członkowi Wolnych Stanów. Ani sojusznikowi.

– Reeety, ale się targujesz – powiedział z westchnieniem królik. – Pewnie oznacza to, że nie mogę go użyć przeciw tej cholernej elfce.

– Zgadza się.

– Dobra, ale mi go zrobisz?

– Tak.

– W takim razie – powiedział królik, podnosząc kawałek rury. – Potrzeba ci trzech otworów, tu, tu i tutaj – wskazał odpowiednie miejsca. – Jakies dwa milimetry średnicy.

– To wszystko?

– To wszystko. Ale i tak jesteś mi winien zminiaturyzowany miotacz ognia.

– Żaden problem.

– A co z drugą rzeczą, której chcę?

Evan zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Co takiego?

– Destylator.

– Destylator?

– Wiesz, że nie byłem w stanie znaleźć na tej balii ani kropli alkoholu? – powiedział gniewnie królik, błyskając czerwonymi oczami. – A kiedy go nie mam, robię się okropnie nerwowy.

– Destylarnie mają bardzo charakterystyczny zapach – zauważył Evan. – Ale to możliwe. Do twojego użytku, nie na sprzedaż załodze, tak?

– Człowieku, wiecznie do wszystkiego stawiasz warunki – warknął królik. – Dobra!

– A co ja dostanę? – zapytał Evan.

– Co? Pozwoliłem ci żyć, choć stawiasz mi warunki, prawda? – warknął królik. – Mógłbym cię po prostu trochę obić. To jeden z moich programów, bicie nerdów!

– Ale w takim przypadku nie dostałbyś swojej destylarni – zauważył Evan. – I nie jestem nerdem, a inżynierem.

– To jest jakaś różnica? – zapytał królik. – Dobra, dobra, będziesz mógł mnie poprosić o przysługę. Jeśli okaże się kompletnie bez sensu, mogę kazać ci skoczyć do morza. Ale nie wolno mi nie oddawać przysług, jeśli nie są totalnie bez sensu.

– Dobra – odpowiedział Evan po chwili namysłu.

– I żadnych „życzę sobie jeszcze trzech życzeń” ani pytania o moje hasła, czy czegoś w tym stylu.

– Zgoda – oświadczył Evan. – Zrobię ci destylator. Nawet wiem, gdzie go umieścić.

– Super, idę wypalić tego skręta – powiedział gorzko królik. – Też mi wycieczka po morzach południowych.

Wywerny złościły się startem bez jedzenia – czuły soloną wołowinę w torbach – a jeszcze bardziej powrotem, także na głodniaka. Ale po jakimś czasie ograniczyły się tylko do równomiernego gruchania i pojękiwania, co – jak wiedział Herzer – stanowiło ich sposób narzekania.

Pete leciał z nim na Chaunceyu. Po dotarciu na ląd tryton zrobił coś, co wyglądało jak kaszlnięcie z zamkniętymi ustami i ze szczelin na jego żebrach wyleciała woda. Potem mógł już normalnie oddychać powietrzem, jak nieprzemienieni ludzie. Kiedy lecieli, Herzer wskazał na widok z góry, w tym na jedną z dużych ławic rybnej drobnicy.

– Wielka ławica – powiedział Pete, osłaniając oczy przed zachodzącym słońcem – – Możemy nad nią przelecieć?

Herzer wykręcił w stronę ryb i usłyszał ostry komentarz od Joanny, który zignorował. Ławica miała około pięćdziesięciu metrów długości, wyglądając z góry jak srebrna fala, z wodą na brzegach spienioną od atakujących ją drapieżników.

– To chyba menhadeny – krzyknął Pete. – Ale spójrz na te cholerne tuńczyki. Tam jest mnóstwo pysznego jedzenia, zwłaszcza z odrobiną wasabi.

Herzer widział, jak duże ryby uderzają w ławicę jak armatnie kule. Kiedy się przyglądał, jeden z większych drapieżników wyskoczył z rozpędu z wody. Bez odpowiedniej skali porównawczej trudno było dobrze ocenić wielkość, ale ryba musiała mieć koło dwóch metrów długości.

– Nie jesteście właściwie w stanie śledzić takich skupisk – powiedział Pete z irytacją w głosie. – Pływają zbyt szybko. Delfiny za nimi nadążają, ale za każdym razem, kiedy próbujemy się podpiąć, zdążą się już wynieść, a gonienie ich jest z góry skazane na niepowodzenie.

– Herzer! – ryknęła Joanna, zlatując niżej. – Musimy szybko nakarmić te smoki.

– Już lecę – odpowiedział porucznik, skręcając smokiem w stronę wybrzeża. Ale nie mógł przestać myśleć o problemie. Pod nimi znajdowało się dość jedzenia dla setki smoków, i to wyłącznie w samych tuńczykach. Ryby z raf były smaczne, ale dopiero dobranie się do jednej z tych dużych ławic stanowiło sposób, na utrzymanie ich sytych.

Przez wzgląd na swego gościa po dotarciu do wskazanego im przez niego miejsca dokonał wodowania. Wiązało się to z luźnymi wodzami w trakcie powrotnego lotu i intensywnym oliwieniem, by przywrócić je do właściwego stanu, ale niesienie trytona do smoka było dostatecznie pozbawione godności i mógł przynajmniej pozwolić mu zsiąść w stosunkowo wygodny sposób.

Poluzował taśmy utrzymujące dodatkowego pasażera na smoku, a potem założył sprzęt i zanurkował w wodę. Lot wyłącznie w stroju kąpielowym bardzo go wychłodził, a woda była zimna i wcale go nie rozgrzała. Poluzował taśmy jedną ręką, co wymagało zmagania się z chłodem i hakiem, chwycił je i skierował się do brzegu, ciągnąc uprząż z pomocą trytona.

Na brzegu rozłożył rzemienie na kamieniach i przyjrzał się smokom przecinającym fale.

– Wyglądają, jakby się dobrze bawiły – zauważył Pete. Wyciągnął się częściowo na brzeg i siedział teraz, opierając się na jednej ręce, patrząc na morze i pochlapując ogonem w morzu, jak człowiek machający nogami.

– Bo tak jest – odpowiedział Herzer. – Gdyby nie było tak cholernie

zimno, byłbym tam z nimi. Nie wiem, co gorsze, woda czy ten piekielnie zimny wiatr.

– Rozpalimy ognisko – poinformował go Jerry, otwierając kieszeń kurtki.

– Powinieneś być zabrać rzeczy.

– Planowałem lądowanie w wodzie – wyjaśnił Herzer, wytrzepując rękami wodę z włosów. – Lepiej marznąć, niż mieć mokre rzeczy. Choć przydałaby mi się ciepła kąpiel.

– Ja tu nie pomogę – powiedział Pete. – Wszystkie te wyspy zbudowane są z koralowego wapienia, najbliższy aktywny wulkan jest prawie tysiąc klików stąd.

– Też dobrze – zauważył Herzer. – Wolę marznąć, niż trafić na tsunami.

– Przychodzi mi na myśl sposób na rozgrzanie cię – odezwała się Bast.

– Nie wątpię – odpowiedział z uśmiechem Herzer.

– Ale idę się pobawić ze smokami – oświadczyła Bast, sięgając do sakiewki przy pasie i wyciągając z niej maskę do nurkowania i parę płetw.

– A to skąd się wzięło? – zapytał Herzer. Wiedział, że Edmund miał tylko cztery zestawy i wszystkie były wykorzystywane. Własny komplet zwinął i schował do kieszeni szortów.

– Z mojej sakiewki – odpowiedziała Bast. – Wybierałam się na wyspy. Nie potrafię oddychać wodą. Oczywiście, że wzięłam ze sobą sprzęt. Po tych słowach ściągnęła z siebie ubranie, założyła maskę, wzięła płetwy i weszła do wody.

– Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, kim ona jest? – zapytał Jerry.

– Ona jest... Bast – wymamrotał Herzer.

– Niezbyt wyczerpująca odpowiedź – stwierdziła cierpko Vickie. – To elf? Myślałam, że są... no wiesz, wysokie, szczupłe i przystojne. Nie małe, ładne i ubrane jak postać z jakiejś kreskówki anime.

– Ona jest leśnym elfem – wyjaśnił Herzer. – Stworzono je mniej więcej w czasie wojen w 51. Ona została wtedy stworzona.

– Rety – jęknął Jerry. – Ile ona ma lat?

– Fizycznie? Około dwóch tysięcy. Duchowo? Gdzieś między dwanaście a dwa tysiące. Powiedziała mi kiedyś, że elfy są za szczęśliwe, żeby zbyt dużo czasu spędzać na żalach. Biorąc pod uwagę, że przez wieki widziała śmierć tysięcy ludzkich przyjaciół, przypuszczam, że nie jest to zły sposób na radzenie sobie z tym. A co do przejmowania się jakimiś tam przyjętymi zwyczajami, w rodzaju nierozbierania się przed grupą ludzi, ona i tak będzie żyła dłużej niż oni i ich konwenanse. Ona jest... sami widzieliście. Zresztą jeszcze poczekać, zobaczycie swoje.

– Nie mogę się doczekać jej spotkania z Bruce'em – zachichotał Pete.

– Czemu?

– Bruce... nie jest złym człowiekiem – powiedział Pete. – Utrzymał nas razem i nikt nie umarł z głodu, nawet dzieci i starzy. Naprawdę nieźle sobie poradził, biorąc pod uwagę wszystko, co się działo. Ale... może być trochę... sztywny.

Rozdział 20

Edmund w towarzystwie Daneh i Rachel podążył za syrenami głębiej w ocean i na wschód. Utrzymywali się około siedmiu metrów pod powierzchnią, za to dno opadło stromo w dół.

W połowie drogi do „wioski” Jason wydał z siebie jakiś odgłos i skierował się w dół. Podłubał swoją włócznią w szczelinie, a potem wyciągnął langustę prawie wielkości własnego uda. Wykręcił jej głowę i upuścił ją na dno, po czym popłynął z powrotem do grupy i przekazał zdobycz jednej z syren z koszami.

– To był zły dzień na połowy – poskarżył się. – Byliśmy niedawno w tej okolicy i większość łatwej zdobyczy została już wylapana. Za każdym razem musimy wyprawiać się coraz dalej, żeby zdobyć coś jadalnego.

– Czemu nie przeniesiecie się po prostu gdzieś indziej? – zapytał Edmund.

– Nie jesteśmy całkiem pozbawieni dobytku – wyjaśnił Jason. – Proste zebranie się i przeniesienie nie wchodzi w grę i robimy to tylko, gdy musimy. A ta okolica ma pewne cechy, które uznajemy za konieczne do przeżycia w tych czasach.

– Jakie? – zapytał Talbot, ale nie uzyskał odpowiedzi.

– Mam ze sobą sieć – zauważył Edmund, kiedy uzyskał pewność, że pytanie zostanie przemilczane.

– Poczekaj, pokażesz ją Bruce’owi – powiedział Jason. Odwrócił się do Talbota i przyciszył głos. – Prawdopodobnie zostaniecie chłodno przyjęci, Bruce nie dba o nic oprócz Dzieła. – Wielka litera była ewidentna.

– Naprawa raf? – zapytał Edmund, rozglądając się. Dla niego wyglądały całkiem dobrze. Wszędzie pływały miliardy ryb i ze wszystkich stron w rytm fal chwiały się ukwiały. – Myślałem, że jego głównym obowiązkiem jest dopilnowanie, by ludzie nie głodowali.

– Przeważnie się z tym zgadza – przyznał Jason. – Ale nie chce, żeby wtrącał się do nas ktoś z zewnątrz. Uważa, że jeśli nie będziemy się wychylać, wojna przetoczy się nad nami i uda się nam po prostu kontynuować Dzieło.

– A co ty myślisz? – zapytał Edmund.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, w końcu Jason wzruszył ramionami.

– Jest wybranym przywódcą naszego ludu i nie zamierzam go

krytykować, a już na pewno nie przy obcych.

– A co z Nowym Przeznaczeniem? – zapytał Edmund.

– Nowe Przeznaczenie uważa syreny za obrzydlistwa – powiedział gorzko Jason. – Powiedzmy po prostu, że się nie zgadzam.

– Tak jak ja – potwierdził Talbot, kiwając głową. – Ale, opierając się na doświadczeniu, chciałbym zauważyć, że Nowe Przeznaczenie ma tendencję do dobitnej ekspresji swoich uczuć.

– Cóż, sądząc po docierających do nas wieściach, Nowe Przeznaczenie wygrywa – zauważył Jason.

– Doniesienia często są błędne – odpowiedział książę. – Nigdy nie wygrali tam, gdzie mogłem przyłożyć do tego rękę.

– Jest pan tylko jednym człowiekiem.

– To prawda, ale powiedziałem „przyłożyć rękę”. Bardzo często jest nią Herzer.

Jason wydobył z siebie odgłos, który komputer przełożył na chichot.

– Podejrzewam, że właśnie w roli pańskiej ręki stracił swoją. Cóż, Edmundzie Talbot, który nigdy nie przegrywa, witam w syrenim mieście Whale Point Drop.

Rozciągające się przed nimi osiedle okazało się większe, niż Edmund się spodziewał. Okoliczna rafa pełna była podłużnych szczelin, przeważnie ciągnących się od brzegu do głębin. W środku zagłębienia schodziły się w otwarty piaszczysty obszar z dużym koralowcem na środku. A w okolicy kręciło się pełno syren.

Były tam syreny i trytony oraz dzieci, choć na oko żadne z nich nie miało mniej niż dwa lata. Edmund zauważył, że w górnych rejonach ciała syren były równie nagie jak trytonów i musiał się pilnować, żeby nie gapić się na przeważnie idealnie ukształtowane piersi.

Najwięcej syren kręciło się na otwartym terenie, który uznał za wioskowy plac. Część z nich miała jedzenie na wymianę, inni proponowali wyroby własnych rąk. Ale wybór był niewielki, więcej odbywało się rozmów niż handlu. Na widok grupy myśliwych wielu ludzi popłynęło w górę, ale niewielka ilość przyniesionej przez nich żywności wywołała wyraźne niezadowolenie. Dużym zaskoczenie byli też goście. Komputer wyłowił słowa „Koalicja Wolności”, ale reszta była niezrozumiałym jazgotem.

Jason przeciągnął Edmunda przez tłum i w dół, blisko dna, gdzie unosiła się niewielka, sprzecząc się o coś grupka. Kłótnia ustała, gdy rozmawiający dostrzegli, że Jason prowadzi gościa.

– Generał Edmund Talbot – przedstawił przybyłego Jason, wskazując na

jednego z trytonów. – Bruce Czarny.

Edmund uklonił się trytonowi i uśmiechnął się.

– Przebyłem długą drogę, żeby się z tobą spotkać – powiedział.

– Zupełnie niepotrzebnie – odparł szorstko Bruce. – Nie będziemy stawać po niczyjej stronie. Mamy już dość problemów i bez ściągania na siebie cudzych.

– Cóż, są takie problemy, na które mogę pomóc. – Edmund otworzył ciężki pakunek i wyciągnął z niego skraj sieci. – To tkana sieć monomolekularna. Na ziemi nie ma nic, co potrafiłoby ją zerwać i przetrwać dłużej, niż będziecie żyć. Wysyłam też inne, płyną na naszym żaglowcu, nie monomolekularne, ale zrobione z dobrego, mocnego badwabiu. Wytrzymają prawie pokolenie i, muszę przyznać, łatwiej je naprawić.

– Sieć monomolekularna – odezwał się Bruce. Komputer nie nadał słowom tonacji, ale wyraźnie wyglądało to na prychnięcie. – Świetna do losowego wyławiania niewinnych, często niejadalnych ryb. Zdecydowanie coś, czego nam trzeba.

– Bruce – wtrącił się Jason. – Nie byliśmy w stanie złowić nic poza paroma bodianami i garstką cholernych langust. Głodujemy. Sieć monomolekularna to coś, czego nam potrzeba.

– Po co? Żeby znów obedrzeć rafy z życia? – ostro odpowiedział przywódca. – Tkanie monomolekuły! Co się stanie, jeśli się zaczepi? Nie będziesz w stanie jej przeciąć, będziesz musiał rozerwać samą rafę! A co, jeśli złapie się w nią delfin? Utonie, podczas gdy ty będziesz balował!

– Balowanie, tak? – oburzył się Jason. – Nie widzę, żebyś ty przyniósł jakieś ryby!

– Są morskie śliwki – warknął przywódca.

– Zawsze są cholerne morskie śliwki – rzucił ktoś z grupy za nim.

– Przybyłeś tu na próżno – powtórzył przywódca. – Możesz spokojnie od razu wracać. Nie mamy nic dla ciebie, a ty nic dla nas.

– Cóż, zostawię wam sieć – zdecydował Edmund. – I musimy zostać w okolicy przynajmniej kilka dni, nasz transport płynie wokół mielizn.

– W takim razie jak się tu dostaliście? – zapytał ktoś z grupy.

– Na grzbietach smoków – odpowiedział Jason serią niby cmoknięć. – Pete poleciał z nimi, pokazać im łowisko.

– Smoki polują na ryby? – zapytał Bruce. – Potrafią pływać – wyjaśnił Edmund.

– Panie Czarny – wtrąciła się Daneh. – Jestem doktor Daneh Ghorbani, a to moja córka, Rachel. Czy mogłabym przynajmniej zobaczyć, jak żyjecie i

jak sobie radzicie. My też mieliśmy spore trudności i chciałabym się przekonać, czy moglibyśmy się czegoś od was nauczyć. Może podzielilibyśmy się też paroma pomysłami.

Bruce zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Właściwie nie mogę was wyrzucić – powiedział w końcu. – Ale nie zamierzam przystępować do żadnych sojuszy. Ani z wami, ani z Nowym Przeznaczeniem.

– Zwłaszcza z Nowym Przeznaczeniem – rzucił ktoś zza Edmunda.

– Nowe Przeznaczenie nie jest takie złe – odezwał się czarnowłosy tryton przepychając się na czoło tłumowi. Był jednym z największych trytonów, nawet masywnym w porównaniu z innymi.

– Nowe Przeznaczenie uważa wszystkich Przemienionych za obrzydlistwa – odpowiedział Edmund. – Jak mogą nie być źli dla syren?

– Jeśli wszystkie Przemiany uważają za obrzydlistwo – zapytał tryton – to czemu Przemieniają własnych ludzi?

– Edmundzie Talbot – odezwał się z westchnieniem Bruce – to Mosur.

– Cóż, Mosur – odparł Edmund spokojnie. – Jest bardzo duża różnica, pojmowana przez większość ludzi, między dobrowolnym poddaniem się Przemianie w cokolwiek się wybierze, a przymusowym przeobrażeniem w orka. Większość populacji Ropazji przemienili wbrew ich woli. Widziałem wyniki i, wierzcie mi, nie chcielibyście, żeby się to wam przydarzyło.

– Skąd wiesz, że stało się to wbrew ich woli? – odpowiedział gniewnie tryton. – Znałeś kogoś, kto został Przemieniony w sposób, jaki opisujesz? I pozwól, że przedstawię dokładniejszy opis, mniej przesycony wrogością. Przemieniani są tak, żeby stali się wytrzymalsi i bardziej zdolni do znoszenia obciążeń świata po Upadku. Silniejsi, wytrzymalsi i z wiedzą, jak przeżyć. Myślę, że to coś warte. Większość populacji Ropazji przeżyła. I nie żyją na skraju śmierci głodowej.

– Dla mnie nie wyglądasz na głodującego – powiedział Edmund, wywołując salwę śmiechu.

– Jedni niczym się nie różnią od drugich – powiedział głośno Bruce. – Będą z sobą walczyć i przegrają, jedni i drudzy.

– Lepiej dla was, żeby tak było – powiedział ze smutkiem Edmund. – Żeby obie strony przegrały. Ponieważ choć nie mamy nic przeciwko temu, żebyście całą sytuację przeczekali, Nowe Przeznaczenie raczej na to nie pozwoli. A jeśli przegramy, przyjdą was odszukać.

Rozległy się ciche potwierdzenia, a Edmund pierwszy raz zauważył, że

na skraju tłumu kręcą się delfiny. Nie brały udziału w rozmowie, przysłuchiwały się tylko i najwyraźniej wymieniały między sobą starannie wycelowane impulsy sonarowe.

– Czyli mamy twoje pozwolenie na rozejrzenie się po okolicy? – zapytał Edmund.

– To wolny ocean – powiedział Bruce. – I wolne miasto. W tym rzecz. Oglądajcie, co chcecie. Ale nie zmienicie mojej decyzji.

– Rozumiem – odparł ze smutkiem Edmund.

– Gdzie będziecie nocować? – zapytał nagle Bruce. – Nie tu, pod wodą, jest dla was za zimno.

– Zdziwiłbyś się, co potrafimy – odpowiedział Edmund. – Ale zamieszkamy na lądzie. Wylądowaliśmy w pobliżu latarni. Inni tam się z nami spotkają.

– Latarni? – powtórzył Bruce. – Czemu właśnie tom?

– Ponieważ to punkt orientacyjny – wyjaśnił Edmund. – Słuchaj, czy mogę chwilę z tobą porozmawiać? – Rozejrzał się wokół. – W cztery oczy?

Bruce kiwnął głową na zgodę i popłynęli przez plac do mieszczącej się na uboczu jaskini, podczas gdy reszta syren zebrała się wokół Daneh i Rachel, Jason rozciągnął przy dnie sieć.

– Co znajduje się przy latarni? – zapytał Edmund.

– Nic – gorąco zaprzeczył Bruce. – Czemu pytasz?

– Ponieważ dość spokojnie i na luzie podchodziłeś do wszystkiego innego, a to naprawdę cię poruszyło i zastanawiam się czemu. – Wyciągnął ręce, żeby powstrzymać odpowiedź i potrząsnął głową. – Słuchaj, wyglądasz na człowieka, który nienawidzi dyplomacji i polityków. Jeśli w ogóle pamiętasz, czym są...

– Pamiętam – odpowiedział napiętym głosem Bruce. – Studiowałem historię. To dlatego próbuję nie mieszać nas do tej wojny.

– Dobrze – zgodził się Edmund. – Ale chodzi o to, że oni przez cały czas utrzymywali twarze pokerzystów, bo mieli rzeczy, których nie chcieli zdradzić. Ty też masz coś, coś ważnego, gdzieś koło latarni. Nie zamierzam dociekać, co to takiego. Mam nadzieję, że nawet przypadkiem się na to nie natknę. Ale jeśli dowiedzą się o tym ludzie z Nowego Przeznaczenia, będą tak długo drążyć, aż przekonają się, co to jest. I jeśli będą mogli, użyją tego przeciw tobie.

– Ale ty byś tego nie zrobił? – zapytał Bruce. – Koalicja Wolności nie zrobiła w tej wojnie nic, czego musiałaby się wstydzić?

– Nie, pewnie zrobiliśmy – przyznał Edmund. – Ale jest olbrzymia

różnica między tym, co robimy my, a tym, co robi Nowe Przeznaczenie. Tak jak między przypadkową śmiercią w walce czy paroma żołnierzami wyrrywającymi się spod kontroli, których można szybko ukarać, a świadomymi zbrodniami i Przemienionymi, którzy wyłącznie „wyrwiają się spod kontroli”. Jest różnica między przypadkiem, a świadomym działaniem. I usiłuję cię przekonać, żebyś nie popełnił przy nich tego samego błędu, co ze mną. Cokolwiek próbujesz ukryć, jeśli się dowiedzą o tajemnicy, zrobią wszystko, żeby ją z ciebie wydusić.

– Będę pamiętał – powiedział Bruce. – Ale ty pamiętaj o tym. Nie wysłamy syren na wojnę. Mamy ważne zadanie tutaj. I będziemy je kontynuować.

– Och, nie martw się – stwierdził Edmund. – Dotarło. Co do literki.

* * *

Edmund wdał się w rozmowę z lokalnym wytwórcą narzędzi, podczas gdy Daneh odciągnięto, żeby obejrzała jedną z rannych syren. Rachel w związku z tym została sam na sam z Jasonem.

Popłynęli w dół jedną z wąskich szczelin, która po chwili zmieniła się w tunel. Po przepłynięciu jeszcze kilku metrów w tunelu pokazał się otwór, a za nim w świetle słońca zobaczyła młodą syrenę splatającą linę.

– Antja, to Rachel Ghorbani – powiedział Jason.

Syrena puściła splatane włókna i z uśmiechem podpłynęła do wejścia.

– Witaj. Nie mogę ci za wiele zaoferować, ale może masz ochotę na morskie śliwki?

– Nie wiem – odparła Rachel. – Nigdy jeszcze tego nie jadłam. – Zaburczało jej w żołądku i uświadomiła sobie, że od czasu ostatniego posiłku upłynęło całkiem sporo czasu.

Antja podpłynęła do jednego z zagłębień w ścianie i wyciągnęła trochę owoców wielkości śliwki o podejrzanie znajomym wyglądzie. Rachel wzięła jeden i znieruchomiła, uświadamiając sobie, że ma na sobie maskę osłaniającą całą głowę. Zmarszczyła się, potem zdjęła maskę, pozwalając wodzie na zmoczenie twarzy. Ugryzła owoc i rozpoznała jego smak. Ostrożnie założyła z powrotem maskę, uszczelniając ją i odetchnęła zadowolona, że nie wyrządziła jej żadnej szkody.

– Nigdy nie słyszałam, żeby nazywano je morskimi śliwkami – powiedziała Rachel. – Ale znam je, to kudzi.

– Co to kudzi? – zapytała Antja.

– Był kiedyś taki szkodliwy powój, nazywany kudzu, rosnący na różnych terenach w Norau – wyjaśniła Rachel. – Dawno, dawno temu ktoś wypuścił retrowirusa, który zmusił je do produkcji owoców. Stanowią coś między kiwi a truskawką ze skórką śliwki. Smaczne, ale smak może się znudzić. Gdzie wy je zbieracie?

– Wszędzie, gdzie wpływa słodka woda – odpowiedział Jason. – Na przykład przy źródle na wyspie. W słonawej wodzie wokół ujścia rośnie mnóstwo morskich śliwek. Ma parę dobrych stron, ryby lubią tam żerować i właściwie nie wypycha niczego z naturalnych nisz. Oraz daje morskie śliwki. Ale tak, można ich mieć dość.

– Niestety, to w zasadzie wszystko, co w tej chwili mamy – powiedziała Antja. – Chyba że...?

– Niewiele złapaliśmy – przyznał ze smutkiem Jason.

– Cóż, może Herzer i jego grupa coś przywiozą? – westchnęła Rachel.

– Kim jest Herzer? – spytała Antja.

* * *

Po około godzinie polowania smoki wyszły z wody, wyraźnie dygocząc z zimna, ale piszcząc do siebie z zadowoleniem. Dwa z nich trzymały w paszczach duże ryby. Zniosły je na brzeg i rzuciły, trzepoczące, u stóp jeźdźców. Później wszystkie zebrały się wokół ogniska, rozstawiając skrzydła i szczęśliwie wchłaniały ciepło, podczas gdy jeźdźcy drapali je po wrażliwych miejscach.

Kiedy Pete dostał do rąk przyzwoity nóż, okazało się, że potrafi świetnie filetować ryby, i po paru minutach kawałki mięsa syczały już nad ogniem.

– Co ja bym mógł zrobić, mając odrobinę sosu pomarańczowego – zamarudził, jedząc rybę z szerokiego liścia. Podciągnął się na brzeg, by kierować gotowaniem i potrząsał głową z niezadowoleniem na niewprawne próby grillowania podejmowane przez jeźdźców. Kiedy wszystko było gotowe, spróbował i wrzucił ramionami. – Cóż, pewnie to lepsze niż to, co jedliśmy dotąd, czyli morskie śliwki i sushi bez wasabi.

– Co to morskie śliwki? – zapytał Herzer z ustami pełnymi gorącej ryby.

– Zobaczysz – zapewnił go ponuro Pete. – Z początku są smaczne, ale po jakimś czasie ma się ich dość.

Pomimo narzekań kucharza grillowane ryby, dwa graniki i bodian, były pyszne. Mocno dymiący ogień dodał socystemu mięsu nieco posmaku wędzenia. – Mięso ryb było na tyle spoiste, że zniosło pieczenie po prostu

nabite na patyki.

– Pyszne – skomentowała Joanna. – No wiecie, dla mnie to ledwie przekąska, ale jest o niebo smaczniejsze od surowych, bez dwóch zdań. I miło jest nie rozgryzać ości.

– Widzę, że postanowiliście zacząć beze mnie – zawołała z ciemności Bast. Weszła w światło ogniska całkowicie naga, niosąc dwa wielkie tuńczyki i zawieszony na szyi sznur przynajmniej dwóch tuzinów odwłoków homarów.

– Jak u diabła...? – zapytał Pete.

– Usłyszałam coś na temat tego, że miasto nie ma dość jedzenia – stwierdziła Bast. – Możemy je ze sobą zabrać.

– Nie czemu – uściślił Pete. – Jak?

– Ach, to – stwierdziła Bast, wzruszając ramionami. W świetle ogniska, z mokrymi włosami przylegającymi płasko do głowy i bez zbroi wyglądała jak młoda, bardzo młoda nastolatka. Tuńczyki, które trzymała tak swobodnie, musiały ważyć przynajmniej tyle co ona. – Wiesz, jak złapać wyjątkowego królika?

– Nie? – odpowiedział Pete.

– Zrobić tak, żeby zawył – powiedziała Bast. – Te ryby świetnie pachną – dodała, upuszczając na ziemię tuńczyki i homary.

Rozdział 21

Kiedy skończyli, oddawszy resztki wywernom, słońce prawie dotykało już horyzontu i Herzer z niechęcią myślał o drodze powrotnej.

– Myślałam, że Panowie Krwi są zawsze gotowi – rzuciła złośliwie Vickie.

– Ból to słabość, która opuszcza ciało – skomentował Herzer. – Mogę trochę zmarznąć.

– Lepiej, żebyś się nie przechłodził – skomentował Pete. – Nie bez powodu trzymamy się miejsc, gdzie woda jest stosunkowo ciepła. A i tak potrzebujemy mnóstwa tłuszczu. – Zmarszczył czoło, po czym wzruszył ramionami. – Te tuńczyki były dobre. – Wypatroszone już ryby i homary załadowano na Joannę celem przetransportowania do syren.

– Mam pewien pomysł – przyznał Herzer, ładując trytona na grzbiet wywerna. Zgodnie z wcześniejszymi przewidywaniami, skórzane taśmy zrobiły się za luźne.

– Znaczy inny niż nasłanie na nie twojej dziewczyny? – zapytał Pete.

Wywerny były rozgrzane, nakarmione i niechętnie lataniu. Co więcej, na wyspie nie było żadnych skarp, a potężny wcześniej wiatr osłabł do lekkiego zefirku. Smoki musiały więc wystartować w tradycyjny sposób.

Odwróciły się do wiatru i zaczęły skakać do przodu na potężnych nogach, przy każdym skoku machając skrzydłami. Przy każdym kolejnym nabierały odrobinę więcej prędkości i wysokości, aż w końcu udało im się wzbić w powietrze.

Był to pierwszy tego rodzaju start Herzera i nie podobało mu się to ani trochę bardziej niż trytonowi, który głośno wyrażał swoje niezadowolenie. Herzer musiał mocno przycisnąć głowę do grzbietu smoka, żeby przy skokach nie obić jej sobie i zrozumiał teraz, czemu jeźdźcy smoków tak bardzo nie lubili startować z miejsc, gdzie nie ma dobrego urwiska, silnego wiatru lub najlepiej obu naraz.

– To jak to jest – zapytał Pete, gdy lecieli już z powrotem do miejsca spotkania. – Chcecie, żebyśmy dla was walczyli, czy jak?

– Tak, i nie tylko – odpowiedział szczerze Herzer. – Nowe Przeznaczenie buduje flotę do inwazji na ZWS. Zamierzamy z nimi walczyć, ale jest sporo problemów. Szukamy pomocy syren w zwiadzie i, w miarę możliwości, w ataku na flotę.

– Nie za wiele możemy zrobić statkom – zauważył Pete.

– Na okręcie, który tu płynie, jest człowiek, który prawdopodobnie będzie miał jakieś pomysły w tej sprawie – wyjaśnił Herzer. – Ale Nowe Przeznaczenie ma po swojej stronie trochę ludu morza. W szczególności orek.

– Muszę przyznać, że nie spotkałem ani jednej przyzwoitej osoby, która zmieniłaby się w orkę – mruknął Pete.

– I jesteśmy gotowi zrobić znacznie więcej, niż tylko poprosić – ciągnął Herzer. – statek wiezie trochę materiałów, rzeczy, które mogą być wam potrzebne. Noże i groty włócznie z berylowego brązu. Ten rodzaj brązu jest bardziej odporny na korozję niż zwykły. Są nawet rzeczy zrobione ze stali nierdzewnej, z metalu wykopanego przez krasnoludy i przez nas zahartowanego. To niezła robota.

– To by się przydało – przyznał Pete. – Ale nie moglibyśmy dostać tego samego od Nowego Przeznaczenia? Albo choćby drogą handlu?

– Od karłów jest bardzo daleko – zauważył Herzer. – Czego nie mogą dostać od innych, do których mają bliżej? A Raven's Mill ma najlepszy przemysł tekstylny i powroźniczy na wschodnim wybrzeżu, to u nas robi się liny na wasze sieci. To też możemy sprzedawać bliżej. Nie powiem, że potrzebujecie nas bardziej, niż my was. Ale zbliżamy się do równości.

Pete na to nie odpowiedział, po prostu wskazał na ziemię, pokrytą już mrokiem, choć smoki leciały jeszcze w ostatnich promieniach słońca.

– Czy smoki będą potrafiły w tym wylądować? – zapytał.

– O ile tylko nie jest to smokowiec – odpowiedział Herzer ze śmiechem.

– Smokowiec?

– A jak myślisz, jak tu dotarliśmy? – zapytał Herzer. – Sam zobaczysz. Za kilka dni, jak tylko opłynie wyspy.

Wylądowali przy latarni bez wypadków, ściągnęli ze smoków uprzęż i rozładowali połów Bast. Wywerny natychmiast oddaliły się pod urwisko, które osłoniło je przed wiatrem i wsadziły głowy pod skrzydła, zapadając w sen.

– Pójdę znaleźć Edmunda – zapowiedziała Joanna, wchodząc do wody.

– A ja wracam do miasta – oświadczył Pete, po czym wskazał na ryby i homary. – Mogę to zabrać?

– No, a niby po co je złapałam, trytonie? – roześmiała się Bast. Podniosła jedną z ryb i ruszyła ku falom, zostawiając po drodze części stroju i sprzęt.

Pete chwycił sznur homarów i spojrzał na drugiego tuńczyka.

– Herzer?

– Biorę – odpowiedział, z wysiłkiem dźwigając rybę. Już dawno temu

zdał sobie sprawę, że Bast jest silniejsza od niego, ale trochę zawstydzające było zmaganie się z jednym tuńczykiem, podczas gdy ona bez wysiłku niosła dwa.

Pete, podciągając się na rękach, dotarł do wody i zanurzył się, nie wzbudzając żadnych fal, a Herzer szybko podążył za nim, walcząc z rybą, maską i płetwami.

Kiedy wchodził do wody, wokół jego nóg pojawiła się zielona fosforescencja. Szybko zanurzył się i popłynął, kierując się delikatnym zielonym śladem pozostawionym przez Pete i Bast. Dziewczyna prowadziła i zdawała się świetnie wiedzieć, gdzie się kieruje.

– Bast? – zawołał Herzer. – Dwie sprawy. Po pierwsze, zwolnij. Po drugie skąd wiesz, gdzie płynąć?

– Byłam tu lata temu – odparła Bast, zwalniając, by mógł ją dogonić. – Nie jestem pewna, jak dawno, ale rozpoznaję okolicę. I jest tu tylko jedna miejsce nadające się na kolonię.

– Nigdy o tobie nie słyszałem – zauważył Pete. Wyraźnie uważał, że powinien.

– Kiedy tu byłam, nie urodzili się jeszcze dziadkowie dzisiejszych syren, młody trytonie – roześmiała się Bast.

– To było... dawno temu – stwierdził Pete.

– Na tych wyspach żyła kolonia syren jeszcze przed wojnami SI – powiedziała cicho Bast. – Nawet wtedy zajmowali się już naprawianiem uszkodzeń. Pamiętam, kiedy zrobiono krater Port. I dlaczego – dodała prawie szeptem.

W odpowiedzi Pete wydał z siebie nieprzetłumaczalny gwizd.

Kiedy dopłynęli do miasta, to oświetlone było bajkowym blaskiem. Nad całym centralnym placem pływało mnóstwo luminescencyjnych ryb, a wejścia do kanionów obwieszono świecącymi kulami.

– Ryby przyciągane są tu przez karmienie – wyjaśnił Pete. – Bardzo o to dbamy. A świecące kule to rodzaj gąbek. Wydaje mi się, że modyfikowanych genetycznie.

– Tak było – potwierdziła Bast. – Zrobiła je korporacja Bettel jako rodzaj podwodnej zabawki. Tak samo jak wywerny zostały stworzonej przez korporację Disneya.

– Byłaś przy tym? – zapytał Herzer.

– Nie, ale w czasach, kiedy ja powstałam, ich pochodzenie było powszechnie znane – wyjaśniła Bast. – Później... ludzie zapomnieli większości swojej historii. Ogniste jaszczurki, wywerny, nawet większe

smoki zostały stworzone przez inżynierów genetycznych Disneya. Grzebano w nich jeszcze później, ale takie jest ich pochodzenie. Disney zrobił nawet pierwsze projekty syren, młody trytonie. A więc zawdzięczasz swoje powstanie twórcom smoków.

Dostarczenie ryb i homarów zostało przyjęte entuzjastycznie, a Jason przepchał się na czoło tłumu stłoczonego wokół przybyłych.

– Świetna robota – powiedział.

– To nie ja – wyjaśnił Pete, wskazując na unoszącą się obok nagą elfkę. – Podziękujcie Bast.

– Bast – odezwała się Daneh, przepływając przez tłum. – Chyba musimy ci znaleźć strój kąpielowy.

– Czemu? – zdziwiła się Bast. – Nie jestem bardziej naga niż syreny. Te szczeliny, które są widoczne z przodu na ich ciałach, mają swój cel, Daneh Ghorbani.

Daneh zachichotała i potrząsnęła głową. – Wszystko jedno.

– Ten dar... to dar, prawda? Ten dar będzie głęboko doceniony, panno...? – powiedział Bruce.

– Bast – odpowiedziała elfka, wyciągając rękę. – Miło cię poznać. – W jakiś sposób udało się jej utrzymać w miejscu w wodzie w trakcie potrząsania ręki przywódcy syren.

– Jak ci się udało...? – zapytał Bruce, wskazując na olbrzymiego tuńczyka, którego trzymała za skrzela.

– O nie – jęknął Pete, czekając na jej żart.

– W czym problem? – spytała z uśmiechem Bast. – Ryby są ciekawskie. Po prostu pozwoliłam, by przywiodło je to do zguby. To stara sztuczka.

– Cóż, jakkolwiek to osiągnęłaś, bardzo to doceniamy – podsumował Bruce. – Pete, możesz je podzielić?

– Proszę – odezwał się Edmund, podpływając do grupy. – Spróbuj tego – dodał, wyciągając nóż.

– Ciężki – powiedział Pete, używając go do rozcięcia rybiej skóry. – I ostry.

– Brząz berylowy – wyjaśnił Edmund, gdy Bast wyjmowała homary. Jason dopilnował, żeby zostały sprawiedliwie rozdane. Większość syren po prostu otworzyła pancerze i łapczywie wgrzyła się w mięso.

– Chcesz trochę? – zapytał Bruce, gdy Pete zaczął rozdzielać dzwonka tuńczyka.

– Jedliśmy – podziękował Herzer. – Graniki i bodiany złapane przez smoki. Pete odłożył na bok duży filet pierwszej ryby i zabrał się za następną.

– Mógłbyś to podzielić, Herzer? – poprosił. – To dla delfinów.

– Jasne – odpowiedział chłopak. Jego nóż zrobiony był z nierdzewnej stali, wydano mu go specjalnie na misję i był mniejszy od tego, który Pete dostał od Edmunda. Ale wystarczył do podzielenia tuńczyka, nawet jeśli niezbyt elegancko. Kiedy pociął już mięso, przyjrzał mu się i stwierdził, że nie ma go jak przenieść.

– Poczekaj, pomogę ci – zaoferowała się młoda syrena. Miała długie ciemne włosy, prawie czarne w bladym świetle fosforescencji i była szczuplejsza niż przeciętnie w ogólnie dość otyłej grupie, z wysokimi jędrnymi piersiami, miłym uśmiechem i jasnoniebieskim ogonem. Najdziwniejsze było to, że wokół szyi niczym kołnierz nosiła owiniętą murenę. Wyciągnęła siatkową torbę, do której mógł załadować kawałki tuńczyka. – Jestem Elayna.

– Herzer Herrick – przedstawił się chłopak, świadom jej piersi niewinnie ocierającej się o jego ramię i komentarza Bast na temat nagości. Nie wspominając o fakcie, że Bast, która była jedną z najniebezpieczniejszych osób, jakie kiedykolwiek spotkał, unosiła się nie dalej niż na wyciągnięcie ręki. Ale od strasznie dawna zachowywał celibat.

– Chodź – powiedziała dziewczyna, podnosząc siatkę. – Delfiny zazwyczaj trzymają się szczytu rafy.

Popłynął za nią w mrok i kiedy wpłynęli na głębszą wodę, zobaczył w górze blisko powierzchni grupę cieni.

– To one – powiedziała Elayna. – Delfiny są naprawdę dziwne, to najbardziej obce istoty, z jakimi jesteśmy w stanie się komunikować. Pracujemy razem, ale nie integrują się z naszym społeczeństwem.

– W jaki sposób pracujecie razem? – spytał Herzer, gdy zbliżyli się do grupy.

– Naganiają nam ryby, które my próbujemy złapać w sieci – wyjaśniła syrena. – A próbujemy, bo nasze sieci są fatalnej jakości.

– Zapach ryby – wyemitował jeden z delfinów. Unosił się na powierzchni, ale teraz zanurkował, a za nim reszta grupy.

Herzer bardziej poczuł, niż usłyszał przewalającą się przez; niego falę dźwięku i zrozumiał, że jest badany przez delfina. Choć zdarzało mu się już widzieć te stworzenia z daleka, ten był pierwszy, jakiego spotkał bezpośrednio i zaskoczyła go jego wielkość.

– Herzer, to Herman, przywódca stada – przedstawiła go Elayna. – Herman, Herzer Herrick. Razem z przyjaciółmi przynieśli trochę tuńczyka.

– Dobrze jest – powiedział Herman. – Dużo jest. Dobrze polowanie, my

trochę wziąć. Większość zabrać, nie potrzebować.

– Dziękuję, Herman – odpowiedziała Elayna. – Jason nie złapał dziś wiele, więc potrzebujemy tego.

– Wiem – powiedział Herman. Kiedy dziewczyna otworzyła siatkę, wyciągnął z niej kawałki i rozrzucił paszczą do członków stada zgodnie z jakimś niezrozumiałym dla Herzera wzorem. Przestał to robić po opróżnieniu około połowy torby i machnął nosem na Elaynę. – Zabrać. Polować jutro.

– Herman – odezwał się nieśmiało Herzer. – Myślę, że możemy być w stanie złapać duże ryby pelagiczne, gdyby delfiny mogły pracować razem ze smokami. Z początku może się nie udać, ale wydaje mi się, że moglibyśmy to dopracować.

Herman zawisł w bezruchu i Herzer poczuł, jak przenika go kolejna fala sonaru. Zaczął się zastanawiać, jak by to było, jakby sam wyglądał, gdyby zmienił się w delfina.

– Dobrze – zgodził się Herman. – Spróbujemy. Jutro?

– Zobaczymy – powiedział Herzer. – Mam nadzieję.

– Jason zobaczy – wyemitował Herman. – Musieć oddychać. Jutro.

– Jutro – potwierdził Herzer, gdy delfin skierował się z powrotem na powierzchnię, aby odetchnąć.

– Co to za pomysł? – zapytała Elayna, gdy skierowali się z powrotem do miasta.

– Nie jestem pewien szczegółów. Muszę porozmawiać z Pete i Jasonem. – Urwał, gdy jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Zimno? – zapytała Elayna.

– Bardzo – przyznał Herzer. – Ale nic mi nie będzie.

– Może tak, może nie – odpowiedziała dziewczyna przejętym głosem. – Z hipotermią nie ma żartów, a tu nie ma gdzie się rozgrzać. Mnie też się to czasem zdarza. A mamy lepszy system regulacji ciepła niż łądowncy. – Sięgnęła do torby i wyciągnęła kawałek tuńczyka, wgrzając się w niego. – Oczywiście wymaga to też więcej energii, więc musimy jeść więcej niż wy. A tuńczyk jest najlepszy, ma mnóstwo tłuszczu.

– Zauważyłem, że jesteście... ciężsi od większości łądownców.

– Możesz powiedzieć „tłści” – roześmiała się Elayna, karmiąc małymi kawałkami murenę. – Ale tłuszcz jest dla nas tylko zapasem. I ostatnio sporo go straciliśmy, w każdym razie ja na pewno. Przy tym, w jaki sposób przepychamy wodę przez skrzel, tłuszcz nie pomaga na zimno. Choć pomaga jedzenie tłuszczu – dodała, gryząc kolejny kawałek. – Chcesz trochę?

– Nie, jadłem na powierzchni – podziękował. Nie dodał, że zimny, doprawiony słoną wodą tuńczyk nie był dla niego najapetyczniejszym posiłkiem.

Dotarli do placu miejskiego i rozdali pozostałe kawałki tuńczyka wciąż głodnej grupie, zatrzymując kilka kawałków dla siebie.

– Dobrze się bawicie? – spytała, podpływając do nich Bast.

– Uch – błyskotliwie odpowiedział Herzer.

– Tak, dobrze – odezwała się Elayna. – I nie podziękowałam ci jeszcze za tuńczyka.

– Proszę bardzo. – Bast uśmiechnęła się do niej. – Zastanawiałam się, czy zamierzałaś zaoferować Herzerowi pokazanie punktów karmienia?

– Uch – znów wydusił z siebie Herzer.

– Prawdę mówiąc, tak. – Elayna odsłoniła w uśmiechu zęby. – Czy to jakiś problem?

– Nie – odparła rzeczowo Bast. – Od bardzo dawna zachowuje celibat, idź i go ułagodź. Potrafi trochę więcej, niż raz na noc. – Uśmiechnęła się do dziewczyny i odpłynęła w mrok.

– Ummm... – powiedział Herzer.

Elayna spojrzała tylko na niego i zatrzepotała rzęsami.

– Zechciałby pan obejrzeć punkty karmienia, poruczniku Herrick? – zapytała. Bez słowa wziął ją za rękę i popłynął w mrok rafy.

* * *

– Proszę, proszę, co to morze wyrzuciło – odezwała się Rachel, gdy Herzer zszedł ze zbocza pod latarnią. Siedziała przy resztkach ogniska, dorzucając do żarzących się węgli wyrzucone przez morze drewno. – Miłą miałaś noc?

W ciągu nocy wiatr się uspokoił i skręcił, wiejąc teraz od wschodu. Niebo było czyste, a poranne słońce zaczynało właśnie przeganiać pozostałości mgiełki z przedświt. Wywerny już się obudziły i zaczynały miauczeć z głodu.

– Dziękuję, przyjemną. – Herzer postawił wiadro z wodą przyniesioną ze źródła po drugiej stronie wyspy. – Jest jakieś śniadanie? Umieram z głodu.

– Cóż, masz do wyboru ryby i śliwki wodne albo śliwki wodne i ryby – odpowiedziała Rachel. – I nie dziwi mnie, że jesteś głodny. Bardziej to, że potrafisz utrzymać się na nogach.

– Herzer ma siłę byka – odezwała się Bast, schodząc za nim ze zbocza. –

I inne rzeczy jak byk, skoro o tym mowa.

– O Boże – wymamrotał Herzer. – To będzie jeden z tych poranków, prawda?

– Możesz winić tylko siebie – rzuciła Rachel, pociągając nosem.

– Nie byłoby tak, gdybyś uczyniła mnie uczciwym mężczyzną – odpowiedział, po czym wzruszył ramionami. – No i się bawię. Nie przeszkadza to misji.

– Obmacywanie się po kątach z wnuczką Bruce’a nie przeszkadza w misji? – zapytała Rachel.

– Jego wnuczką! – jęknął Herzer. – O, cholera.

– Tak, jego wnuczką – potwierdził Edmund, podchodząc i siadając przy ogniu.

– Dzisiaj będzie gorąco – dodał, patrząc na niebo. – Ale nie martw się, Herzer, mamy znacznie poważniejsze problemy. Bruce dostał wiadomość, że Nowe Przeznaczenie również wysłało misję dyplomatyczną.

– Szlag – skomentował Herzer, rozglądając się, jakby spodziewał się zobaczyć na horyzoncie czarne żagle.

– Poradzimy sobie z tym – oświadczył Edmund. – Poradzimy sobie... dyplomatycznie.

– Kogo wysyłają? – zapytała Rachel. – Wiesz może?

– Nie. Wiem tylko tyle, ile usłyszałem w mieście.

– Większość ludzi nie lubi tam Nowego Przeznaczenia – zauważył Herzer. – To wiem na pewno. Ale z drugiej strony nie jestem pewien, czy zdecydują się do nas przyłączyć.

– Cóż, będziemy musieli znaleźć sposób na przekonanie ich, by dostrzegli błędy swojego rozumowania – odpowiedział Edmund. – Jakoś. Chciałbym, żeby ten piekielny kliper już tu dotarł, ale przy tych wiatrach to może potrwać nawet tydzień.

– Co się stanie, jeśli natkną się na „misję dyplomatyczną” Nowego Przeznaczenia? – zapytał Herzer.

– Mam nadzieję, że poradzą sobie z nią... dyplomatycznie – odpowiedział Edmund.

Rozdział 22

– Wspaniały dzień na żeglugę – odezwał się pierwszy oficer, wchodząc na pokład rufowy.

– Jasne, gdybyśmy tylko płynęli we właściwą stronę – odpowiedział kwaśno kapitan. Od samego świtu żaglowiec parł na północ, halsując uparcie. Żeglowanie we właściwym kierunku wymagało najpierw płynięcia w jedną stronę, a potem zwrotu i płynięcia w przeciwną, tak żeby cały czas łapać wiatr w żagle. Halsując, wypływali daleko w morze, aby upewnić się, że unikną płycizn wzdłuż północnych wybrzeży wysp, i podróż trwała znacznie dłużej, niż przewidywano. – Przy tej prędkości minie tydzień, zanim dotrzemy do Whale Point. A co się stanie, jeśli do tamtej pory przeniosą się gdzieś indziej?

– Jakoś sobie z tym poradzimy – uznał pierwszy oficer.

– Żagle od sterburty!

Byli daleko od wysp, więc wydawało się mało prawdopodobne, żeby był to jakiś zbłąkany rybak. Chang i Mbeki niemal równocześnie wzruszyli ramionami.

– Zostaniemy na tym halsie – zdecydował kapitan. – Dopłyniemy do niego.

– Jeśli jest wrogi, będzie miał korzystniejszy wiatr – zauważył Mbeki.

– Przekonamy się już niedługo. Poślij Donahue z lornetką na maszt, chcę jak najszybciej dowiedzieć się, z kim mamy do czynienia.

Aspirant zawołał na dół po niecałych trzydziestu minutach.

– Ożaglowanie skośne – krzyknął. – Wygląda trochę jak karawela. Nie widzę żadnej bandery. Wydaje mi się, jakby pływały wokół niego jakieś delfiny.

– Jeśli to karawela, możemy kręcić wokół niej ósemki – stwierdził Mbeki.

– Jasne, ale nie mamy też na pokładzie zbyt wielu łuczników – odpowiedział kapitan. – Przyślijcie tu Evana.

Kiedy inżynier wszedł na pokład, usłyszawszy wieści, pokiwał głową i zmarszczył brwi.

– Pracowałem nad czymś, ale nie wiem, czy chciałby pan tego użyć na pokładzie – przyznał.

– Co to takiego? – zapytał niecierpliwie Mbeki.

– Właściwie to pomysł porucznika Herzera – dodał inżynier.

– Te materiały, o które poprosił po wejściu na pokład? – zapytał kapitan.

– Tak jest, sir – odpowiedział inżynier. – Chciał sposobu na uczynienie ze smoków broni ofensywnej. Pracował nad tym, ale pomyślałem, że zrobię coś innego.

– Człowieku, co to jest? – warknął Mbeki.

– Miotacz ognia – wyjaśnił nerwowo Evan.

– Cholera – mruknął kapitan, rozglądając się po suchym jak pieprz drewnie zagłowca. – Miałeś rację, nie chcę tego używać na moim okręcie.

– Sir! – zawołał aspirant. – Sir! Wciągnęli teraz banderę, nie widzę szczygółów, ale jest czerwono-niebieska! I zmienili kurs w naszą stronę! – Nowe Przeznaczenie miało niebieską flagę z czerwonymi literami NP.

– To wyjaśnia sprawę – skomentował kapitan. – Przygotować się do walki z abordażem.

– Mam pewien pomysł, sir – odezwał się po chwili inżynier. – Ale musielibyśmy pozwolić im podpłynąć.

– Później – odpowiedział kapitan. – Zajmij się tym. I nie waż się odpalić tego cholerstwa na moim okręcie.

– Tak jest, sir. To znaczy, nie, sir! – odpowiedział inżynier, pospiesznie schodząc pod pokład.

Dwie jednostki płynęły dalej na zbieżnych kursach i karawela z każdą chwilą zbliżała się do klipra. Normalnie nie miałyby żadnych szans, jako że kliper był zdecydowanie szybszą jednostką. Ale kapitan trzymał go na kursie, płynąc w stronę drugiego statku. Po kilku minutach wspiął się na olinowanie, żeby osobiście przyjrzeć się karaweli i po zejściu potrząsnął głową.

– Mają balistę – powiedział. – A te delfiny wokół nich to orki.

– Przemienione? – zapytał Mbeki.

– Prawdopodobnie. – Kapitan stał chwilę z rękami założonymi na plecach i nogami rozstawionymi, żeby zapewnić stabilność na chwiejnym pokładzie.

– Powinniśmy pokazać im rufę. Z czasem moglibyśmy uciec, nawet orkom.

– Z całym szacunkiem, sir. W raporcie wyglądałoby to fatalnie.

– Jeszcze gorzej wyglądałoby, gdybyśmy stracili smokowiec – odparł kapitan. – Mówiłem, powinniśmy byli zabrać ze sobą uzbrojone słupy.

– Tak jest, sir – odpowiedział pierwszy oficer.

– Ale masz całkowitą rację, że wyglądałoby to fatalnie. – Kapitan zmarszczył brwi. – Zastanawiam się, czy nasz geniusz coś wymyślił.

* * *

- Chciałbyś, żebym co zrobił? – zapytał królik. – Nigdy w życiu.
- Powiedziałeś, jedna przysługa – odpowiedział Evan. – To właśnie ona.
- I powiedziałem też „nic nierozsądnego” – zareplikował królik. – To bardzo nierozsądne.
- Nie, wcale nie – upierał się Evan. – Jest bardziej niż prawdopodobne, że przeżyjesz. Zwłaszcza jeśli będziesz miał miotacz ognia.
- Mogę zrobić mnóstwo niemożliwych rzeczy – oświadczył królik. – Ale nie potrafię płynąć z miotaczem ognia na plecach!
- Wcale nie będziesz musiał płynąć.

* * *

- Na tym polega twój plan? – zapytał kapitan, patrząc na królika u stóp Evana.
- Tak jest, sir – nerwowo odpowiedział inżynier. – To wszystko, co mogłem w tej chwili wymyślić.
- Królik ubrany był w czarny strój z hełmem o przyciemnionym wizjerze. Do uprząży, zamiast pistoletowej kuszy, przymocowany miał mały okrągły zbiornik z dyszą odpowiedniej wielkości dla królika. Ale oprócz tego w szelkach kryły się wszystkie jego noże.
- To szaleństwo – skomentował pierwszy oficer.
- Szaleństwo, zgadza się – potwierdził królik, kicając w stronę schodków. – To szaleństwo. Nie powinienem tego robić.
- Wracaj tu – krzyknął Evan. – Nie wiem, co się stanie, jeśli złamiesz słowo, ale jestem gotów się przekonać.
- Szlag – warknął królik. – Czy ktoś tutaj uważa, że to kwalifikuje się nie tylko jako szalone, ale i nierozsądne? – zapytał z nadzieją.
- Nieee – odpowiedział z namysłem kapitan. – Szalone, owszem. Nierozsądne, nie.
- Ale szaleństwo definiowane jest brakiem rozsądku – zauważył królik.
- Niezupełnie – zaprzeczył Mbeki. – Psychotycy są z definicji szaleni. Ale mogą być dość rozsądnymi ludźmi.
- Naprawdę zamierzacie mnie do tego zmusić? – zapytał królik. – To nierozsądne.
- Kiedy to nie ma znaczenia, czy zadanie takie jest. Jeśli jest głupie, ale działa, to nie jest głupie – odpowiedział Evan z logiką inżyniera.
- Naprawdę nie mamy czasu na takie rozważania – oświadczył kapitan. – Albo to zrobisz, albo nie. Z drugiej strony, jesteś SI. Nie wydaje mi się,

żebym był w stanie zmusić cię do czegoś, co ewidentnie jest szalone.

– Szlag – burknął królik, próbując podrapać się przez kombinezon. – Nie mogę się nawet podrapać w cholerne ucho. Dobra, wsadźcie mnie na katapultę.

Evan przygotował małe siedzenie – wyrzutnię.

– Od jak dawna to planowałeś? – zapytał królik.

– A kiedy wszedłeś na pokład? – odpowiedział pytaniem Evan, gdy kliper wykręcił na sterburtę. W powietrzu świsnął pocisk balisty wystrzelony z wrogiego okrętu, przebijając dziurę w grotzagli.

– I w tym czasie zrobiłeś ten hełm, strój i fotelik? – zapytał królik. – Jestem pod wrażeniem.

– Nie, wtedy zrobiłem fotelik – wyjaśnił Evan, podchodząc do dźwigni katapulty. Strój i hełm zrobiłem wtedy, kiedy zabrałem się do miotacza ognia. Dobrej zabawy.

– Nawet jeśli wyląduję w wodzie, wrócę po ciebie, Evanie Mayerle – wysyczał królik, gdy Evan odczekał na odpowiedni przechył i nacisnął dźwignię.

Czarna plama została wystrzelona w powietrze i kiedy leciała, w jej łapach pojawiły się dwa noże. Trafiła w grotzagiel nadpływającej karaweli pyskiem, ale noże przebiły się przez płótno jak przez masło i królik zjechał na dół, zostawiając w czarnym żaglu dwa rozcięcia. Potem zeskoczył z rei tłum zebrany na pokładzie. Kiedy wylądował, rozległ się nieludzki wrzask.

– Biedny królik – skomentował Mbeki. – Nie wytrzymał zbyt długo.

– Wydaje mi się, że krzyczał ten, na kim wylądował – sprostował Evan i w tej chwili na wrogim pokładzie pojawił się język ognia, docierając do żagla. Płótno błyskawicznie zajęło się i w parę sekund zmieniło w popiół. – Może pan poprosić kapitana, żeby na jakiś czas odsunął nas poza zasięg płomieni?

Wiatr wiał od strony karaweli, niosąc ze sobą okazjonalne krzyki i błagania o pomoc, a od czasu do czasu ktoś wyskakiwał za burtę, zdecydowanie wołąc głębiny od tego, co szalało na pokładzie. Statek niemal natychmiast utracił stery i przechylał się teraz bezładnie na falach, wyraźnie bez obsadzonego steru.

Kapitan dołączył do nich i potrząsnął głową, gdy ze spływników zaczęła płynąć krew.

– Cieszę się, że jest po naszej stronie – skomentował kapitan.

– Nie sądzę, żeby tak było – odpowiedział Evan. – Ale był mi winien przysługę.

– Mam wysłać grupę abordażową? – zapytał Mbeki. Ostatni, źle wymierzony pocisk z balisty poleciał w przestrzeń już jakiś czas temu.

– Nie... – odpowiedział kapitan po chwili namysłu. – Nie jestem pewien, czy jakikolwiek zdrowy na umyśle człowiek powinien zobaczyć, jak wygląda pokład tego okrętu. – Przyjrzał się orkom i pojawiającym się czasem tuż pod powierzchnią istotom podobnym do płaszczyk, zerkającym na żaglowiec, za którym miały płynąć. – Ale nie wydaje mi się, żeby królik powinien płynąć do nas z powrotem. – Rufę wrogiej jednostki zaczęły lizać płomienie. – Ustawmy się obok, przy dziobie, i ściągnijmy naszego... przyjaciela.

Ostrożnie podpłynęli i rzucili haki na dziób karaweli, aby ją przyholować. W gotowości stały drużyny przeciwpożarowe, ponieważ ogień na rufie płonął coraz mocniej, choć dzięki ustawieniu się po nawietrznej kliprowi chwilowo raczej nic z jego strony nie groziło.

Kiedy podciągnęli się burta w burtę, z pokładu przeskoczył do nich królik, przesadzając jednym skokiem szczelinę szerokości około trzech metrów, co powinno być dla niego niemożliwe.

– No – powiedział radośnie po ściągnięciu hełmu – to była świetna zabawa. – Popłynmy poszukać mi jeszcze trochę orków do zabawy!

– Jego załogę stanowili orkowie? – zapytał pierwszy oficer, gdy drużyna pod komendą chiefa Brooksa odepchnęła karawelę i kliper ruszył w dalszą drogę.

Część z załogi spalonego okrętu przeszła na ich pokład i byli teraz trzymani pod strażą przy sterburtowym relingu.

– Nie, oni byli ich piechotą morską – odpowiedział królik, ściągając przypalony w paru miejscach czarny kostium. – Po prostu powtarzałem sobie, że to wycieczka telemarketerów i wciąż miałem ich za mało. Nie bawiłem się tak od czasu, gdy ostatni prawdziwy telemarketer umarł ze starości. Nie wyśledziłem drania, zanim nie umarł na atak serca. Mówili, że zobaczył królika i to był jego koniec. Drań.

Ze karaweli pozostawionej za rufą, nie dobiegał żaden dźwięk, a wokół niego krążyły zmieszane orki.

* * *

Joel przyglądał się całej bitwie, czy też raczej masakrze, ze swojego stanowiska bojowego na pokładzie rufowym. Uznał za interesujący i pouczający fakt, że przeciwnik ich znalazł. Odnalezienie drugiego statku na morzu nie było łatwe, jak mawiali żeglarze: „Panie, morze jest tak wielkie, a

moja łódź taka mała”.

Natrafienie na jednostkę Nowego Przeznaczenia płynącą dokładnie im na spotkanie było mało prawdopodobnym przypadkiem. Równie mało, jak dostanie pełnego koloru w jednym rozdaniu.

Co oznaczało, że zapewne nie było to przypadkiem. A więc niewielkie do tej pory prawdopodobieństwo, że na pokładzie znajduje się agent, zmieniło się na „wysokie prawdopodobieństwo”.

Co więcej, przeciwnik znał dokładnie ich pozycję i plany. To oznaczało, że agent musiał być jednym z oficerów, prawdopodobnie jednym z głównych oficerów nawigacyjnych, czyli mógł być nim kapitan, pierwszy oficer Mbeki, nawigator Freund lub jeden z trzech poruczników.

Dodatkowo można było wziąć pod uwagę królika. Jako SI mógł dysponować wewnętrznym systemem nawigacyjnym i komunikacją. Żałował, że nie wie nic więcej na jego temat, ale wszyscy, którzy znali go wcześniej, odlecieli ze smokami.

Przecucie wciąż obciążało pierwszego oficera. Ale było to tylko przecucie i choć zazwyczaj traktował je poważnie, nie zamierzał się na nim skupiać.

Potrzebował więcej informacji.

* * *

– Od dziobu zbliżają się orki – zawołał marynarz z bocianiego gniazda. Martin spacerował w kółko po pokładzie rufowym, czekając na informację o ataku na okręt ZWS. Rozesłał swoje jednostki w długą linię w poprzek spodziewanego kursu smokowca i przez ostatnie trzy dni karawele tylko okazjonalnie wchodziły ze sobą w kontakt wizualny. Obserwator zgłaszał wcześniejszego ranka prawdopodobny dym, ale nie dało się określić jego pochodzenia.

Z drugiej strony każdy z żaglowców miał przydzieloną małą grupkę orek. Ich sonar miał spory zasięg i Martin używał ich do komunikacji ze swoją rozproszoną flotą. Jednak dlaczego właśnie jakieś wracały do jego jednostki, musiał się dopiero przekonać.

Przeszedł na dziób i spojrzał na orki, które płynęły na fali dziobowej. Nagle zobaczył, jak Shanol skręca i rusza w stronę nadpływających stworzeń.

Czekał niecierpliwie na powrót przywódcy waleni, a potem przeszedł z powrotem na główny pokład, gdy Shanol i mniejsza orka podpłynęli do burty

płynącej jednostki.

– Co się dzieje, Shanol? – zapytał, wychylając się za burtę łagodnie kołyszącej się karaweli.

– Twój „nieuzbrojony smokowiec” zniszczył właśnie statek, który stanął na jego drodze tak, jakby go w ogóle tam nie było – odpowiedział Shanol.

– Jak to możliwe? – zapytał Martin. – Nawet nie mieli na pokładzie smoków!

– Cóż, dość trudno to stwierdzić z tej perspektywy – powiedział sarkastycznie przywódca orek. – Kazałem Maniillatowi zgłosić się osobiście.

– Nie weszli na pokład ani nic takiego – zaskrzeczał Maniillat. – Smokowiec nawet się do nich nie zbliżył do czasu, aż karawela już znieruchomiła. Niektórzy marynarze wyskoczyli przez burtę, ale krzyczeli tylko coś o ziejącym ogniem impie.

– Nie mogli niczego przywołać – warknął Martin. – Nie mają do tego mocy. Jedyne, który mógłby zrobić coś takiego, to Talbot, a on jest już w mieście syren.

– Cóż, cokolwiek to było, zniszczyło twoją jednostkę i smokowiec przebił się przez nasz szereg – odpowiedział Shanol. – Co teraz, nieustraszony przywódco?

– Płyniemy do miasta syren – zdecydował po chwili namysłu Martin. – Czas zacząć drugą fazę.

– Cóż, mam nadzieję, że faza druga sprawdzi się lepiej niż pierwsza – rzucił Shanol.

– Tak – zaskrzeczał Maniillat. – I żadnych ziejących ogniem impów.

* * *

Kapitan szedł właśnie korytarzem pod dolnym pokładem, kiedy zobaczył, jak marynarze ustawiają się przed nim pod ścianą. Był jeszcze za daleko, żeby wywołać taką reakcję i nie rozumiał potu, który pojawił się na ich twarzach, dopóki nie dostrzegł wylaniającego się zza zakrętu korytarza królika.

– Mister królik – powiedział Chang. – Właśnie pana szukałem.

– Czego pan chce, kapitanie? – zapytało zwierzę.

– Chciałem ci coś pokazać – rzekł kapitan, zapraszając go gestem. Poprowadził królika korytarzem do zamkniętego magazynku i otworzył go jednym z posiadanych kluczy.

– Na okrętach ZWS obowiązuje abstynencja...

– Tego nie musisz mi mówić – zauważył gorzko królik. – I nie ma też koniczyny. A wasze kobiety w większości są paskudne.

– Cóż, na to nic nie mogę poradzić – odparł kapitan, otwierając drzwi. Wewnątrz stała duża beczka z wbitym kranikiem. Ściągnął z półki półlitrowy kubek i podstawił go pod kranik, napełniając po brzegi. – Ale flota rozumie, że zdarzają się sytuacje, kiedy rozsądek nakazuje zaaplikować małą dawkę lekarstwa. Na takie właśnie okazje przeznaczone są odpowiednie środki.

Schylił się i podał kubek królikowi, który podejrzliwie zerknął w jego głębinę, a potem skosztował.

– Na Boga, rum! – wykrzyknął uszczęśliwiony, wypijając pół kubka jednym haustem.

– Wysokoprocentowy rum – zauważył kapitan. – A dokładniej grog królewskiej marynarki. Nie mogę zostawić pomieszczenia otwartego, ale jeśli wejdiesz do środka, wrócę za kilka godzin i zaniosę cię na twoją pryczę. Wybacz mi ale biorąc pod uwagę dzisiejsze wydarzenia nie chcę, żebyś wędrował po okręcie pod wpływem alkoholu.

– Ależ, może mi pan uwierzyć, po pijanemu jestem bardzo przyjacielski – oświadczył królik. – Proszę mi po prostu pozwolić napełnić jeszcze jeden z tych kubków, a może pan z powrotem zamknąć. – Uśmiechnął się promiennie do kapitana i pociągnął kolejny łyk. – Wie pan, jak na sztywnego sukinsyna nie jest pan nawet taki zły.

– Sam też myślałem coś podobnego – powiedział kapitan.

– Nie oszukuj się – zaprzeczył królik przy kolejnym łyku. – Jestem całkiem zły.

* * *

– Lady Sheido – odezwał się Joel do awatara. Wybrał na spotkanie przedział liny kotwicznej po pierwsze dlatego, że było tam kilka wejść, po drugie, na morzu rzadko ktoś tam zaglądał.

– Jak idzie twoja misja, mistrzu Travante? – zapytała Sheida. Jej awatar wyglądał na zmęczonego, co oznaczało, że dokonuje projekcji jej aktualnego stanu.

– Nie powiem, że dobrze się bawię, ale nie to jest w tej chwili ważne – odparł Joel. – Zostaliśmy dzisiaj zaatakowani. Wrogi okręt najwyraźniej znał nasz szacunkowy kurs, położenie i prędkość.

– Rozumiem – westchnęła Sheida. – A więc wysłanie cię nie okazało się tylko marnotrawieniem twego czasu, prawda?

– Tak jest, madam – odpowiedział inspektor. – Mam podejrzenia odnośnie natury agenta i nawet możliwych motywacji. Czy mogłabyś dostarczyć mi jakichś informacji na temat rodziny Owena Mbeki?

Awatar Sheidy przez chwilę przybrał nieobecny wyraz twarzy, potem wzruszył ramionami.

– Bardzo typowa historia. Żona Sharon, córka Sara. Nieznane ostatnie położenie, ale ich główna siedziba mieściła się w Ropazji. Myślisz, że pojmało ich Nowe Przeznaczenie?

– Na podstawie jednego luźnego komentarza – powiedział Joel, kiwając głową. – Powiedziałbym, że mają obie i używają ich jako zakładników.

– Co zamierzasz zrobić?

– Potrzebuję bardziej konkretnych dowodów, choćby dla siebie niż jedna uwaga – przyznał Joel. – I muszę też dowiedzieć się więcej o SI w formie królika, który dotarł do nas w towarzystwie elfa. Atak miał miejsce po jego przybyciu. I choć odegrał on kluczową rolę w zniszczeniu jednostki Nowego Przeznaczenia, nie wykluczam, że może być agentem.

– Ten królik to niezłe ziółko, co? – Sheida uśmiechnęła się lekko. – Chętnie Posłuchałabym kiedyś szczegółów tej historii. Faktycznie, istnieje prawdopodobieństwo, że jest szpiegiem – dodała, marszcząc brwi. – Dam ci dwie rzeczy – mówiła dalej, wyciągając rękę, a przez pomieszczenie w jego stronę poszybowały dwa dyski. – Mogę je przenieść, używając bardzo małej mocy. Umieść je w kluczowych pozycjach. Jeśli w ich pobliżu, ale nie w tym samym pomieszczeniu, pojawi się awatar, po dotknięciu wskażą kierunek. Jeśli awatar pojawi się w tym samym pomieszczeniu, zarejestrują rozmowę. To wystarczy?

– Idealnie – odpowiedział Joel, chowając dyski.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała Sheida. – Przekazać informację księciu Edmundowi?

– Księżę aktualnie przebywa w mieście syren – poinformował ją Joel. – Żeglujemy tam w tej chwili. Ale nie, nie zamierzam tego robić. Za twoim pozwoleniem, jak tylko będę miał pewność, kto jest szpiegiem, podejmę działanie. Jeśli to królik, będziemy musieli działać szybko i zdecydowanie, jest bardzo szybki i ma niebezpieczną SI. Jeśli to Mbeki, zamierzam go skonwertować.

– Co przez to rozumiesz? – zapytała zmęczonym głosem Sheida.

– Często przydatne jest pozwolić przeciwnikowi myśleć, że dysponuje doskonałym wywiadem – wyjaśnił Joel. – Sugerowałbym, żeby przenieść go na bardzo ważne stanowisko na brzegu, gdzie będzie mógł zdobywać różne

przydatne informacje. Większość z nich będzie stosunkowo mało ważna, w rodzaju tras naszych jednostek. Ale od czasu do czasu przekaże ważne informacje o kluczowym znaczeniu. Niektóre z nich będą prawdziwe, takie, na których posiadanie możemy przeciwnikowi pozwolić. Jestem pewien, że są takie rzeczy, które chciałabyś, żeby Nowe Przeznaczenie na pewno wiedziało.

– Faktycznie – przyznała Sheida, patrząc z uwagą.

– Inne informacje będą starannie przygotowanymi fałszywkami. Starannie przygotowanymi, ponieważ nie chcemy zbyt szybko spalić dobrego agenta.

Sheida zmarszczyła brwi.

– I z pewnością nie chcę „spalić” jego żony i córki.

Joel umilkł na chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Może przyjąć taka chwila, że konieczne będzie dokonanie wyboru. Preferowane jest zapewnienie bezpieczeństwa agentowi i jego rodzinie. Na przykład, jeśli złapiemy kogoś, kogo nie chcieliby utracić, i jeśli Owen Mbeki przestanie być przydatny, moglibyśmy podjąć próbę wymiany ich człowieka na naszego. Ale czasami trzeba zaakceptować straty. Jeśli na przykład oznaczałoby to poświęcenie jego rodziny, by zapobiec, och, wygraniu przez Paula wojny, zrobiłabyś to?

Sheida zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

– Nie znoszę takich pytań.

– Musisz o nich myśleć, pani. – Joel z kamienną twarzą wzruszył ramionami. – Ja tak robię. Kilka razy dziennie.

– Wciąż żadnych wieści o twojej żonie i córce – powiedziała smutno Sheida. – Zakładam, że ty niczego nie słyszałeś?

– Nie, pani. Ale jeśli tak będzie, dowiesz się o tym jako druga.

Rozdział 23

Książę Edmundzie – powiedział Bruce, przepływając na rodzaj polanki wśród raf oddanej do użytku grupie księcia. – Zechciałbyś towarzyszyć mi w krótkim spacerze?

– Bardzo chętnie, sir – zgodził się Talbot, odkładając kawałek kości wieloryba, w której właśnie rzeźbił.

Bruce nie powiedział, gdzie się wybierają, a Talbot nie zapytał. Po prostu popłynął za przywódcą syren, który wzniósł się nad brzeg rafy i skierował w dół, w stronę otwartego oceanu.

Rafa kończyła się około dwudziestu metrów dalej, ustępując miejsca piaszczystemu dnu. Natężenie światła osłabło, ale w krystalicznie czystej wodzie wciąż było dość jasno. Skręcili w prawo i popłynęli wzdłuż skraju rafy, a Edmund rozglądał się wokół z zainteresowaniem. Uświadomił sobie, że choć podziwiał piękno raf, nie miał czasu i, bądźmy szczerzy, ochoty, żeby naprawdę je zbadać.

Rafy pełne były ryb. Wszędzie kręciły się grupki osobników wielkości jego dłoni i prawie okrągłym ciele z niebieskimi pionowymi pasami. Były tam ławice innych, bardziej „rybich”, stosunkowo długich, z jaskrawożółtymi ogonami. W zagłębieniach i szczelinach pływały jeszcze mniejsze rybki, we wszystkich kolorach tęczy. Dopiero kiedy bardzo się skupił, zauważył, że pływają tam i bezbarwne ryby. W końcu dostrzegł i takie, które idealnie zakamuflowały się w otoczeniu. Na przykład przybierając wygląd kawałka rafy, który w całości połykał podpływające za blisko mniejsze ryby. Edmund nigdy by tego nie zauważył, gdyby drapieżnik nie poruszył się, by pochwycić ofiarę, a potem znów prawie zniknął.

Teraz, kiedy naprawdę się przyglądał, uświadomił sobie, że w rafie jest wiele niezrozumiałych rzeczy. Na przykład niektóre jej miejsca przypominały kamień, wiedział, że są to kawałki skały kredowej stworzonej przez polipy koralowców.

Ale inne miejsca zdawały się pokryte futrem. Te miejsca były rzadkie, ale interesujące. Pokrycie nie wyglądało jak śluz ani pleśń i nie był pewien, co to takiego i czemu były tu przerwy w rafie? Nasuwały na myśl wyżłobione kaniony, ale nie widział nic, co mogło by je stworzyć. Czy otworzyły je strumienie słodkiej wody? Czy woda lub piasek spływające z płycizn na głębiny?

Co więcej, rafy nie były ciągle. Obszar ze szczelinami, gdzie mieściło się

miasto rozciągał się na kilkaset metrów nad piaszczystym dnem. Ale dalej wzdłuż wybrzeża ustępował porzucanym małym skałom ledwie wystającym nad poziom dna.

Jednak nawet te pełne były życia. Chwiały się na nich delikatne ukwiały, wymachując mackami w słabych podwodnych prądach. Na piasku leżał żółw wielkości kuca, obgryzając gąbkę porastającą jeden z kamieni. Wszędzie pływały jaskrawo ubarwione rafowe ryby. Spostrzegł nawet trochę większych, przypominających ryby oceaniczne. Ale zbierały się w okolicy kamieni, po jednej czy dwie. Z początku pomyślał, że na coś polują. Ale tylko wisiały w miejscu, zdając się w ogóle nie poruszać. Kiedy prąd odsuwał je od skał, podpływały do nich z powrotem i znów zawisały, jakby używały ich jako czegoś w rodzaju stacji lokacyjnych.

Zaintrygowany przestał płynąć za Brace'em i zatrzymał się, by uważnie się przyjrzeć.

Większe ryby przypominały kształtem tuńczyki, ale miały bardziej zaokrąglone głowy, niebieskawy poblask łusek i poziomy pas wzdłuż środka ciała. Kiedy zbliżył się dostatecznie, zrozumiał wreszcie, co robią przy kamieniach. Z ukrycia przy skałach wypływały mniejsze rybki, o jasnoniebieskiej barwie, i zbliżały się tych większych. Czekał cierpliwie, żeby zobaczyć, jak większe je zjadają, ale nic takiego nie nastąpiło. Zamiast tego mniejsze podpływały do większych ryb, skubiąc je, jakby zjadały ich skórę. Wpływały nawet do wolno otwierających się i zamykających skrzeli, i ze zdumieniem zauważył, jak jakiś maluch wpływa do paszczy większej ryby, kręci się w niej przez chwilę i wypływa.

– Stacja czyszcząca – wyjaśnił Bruce i Edmund uświadomił sobie, że się zatrzymał, zamiast podążać za gospodarzem.

– Przepraszam, chciałem się tylko przyjrzeć – wytłumaczył się.

– To dobrze – odparł Bruce, wyraźnie nie mając nic przeciw opóźnieniu.

– Miałem nadzieję, że faktycznie choć raz spojrzysz na to, co cię otacza.

– Czy to było aż tak oczywiste? – roześmiał się Edmund.

– Jesteś bardzo skupioną osobą, Edmundzie Talbot – odpowiedział Bruce. – A na rafach można się skupić na wielu rzeczach. Tutaj na przykład te małe ryby, wargaczyki – powiedział, wskazując na jasnoniebieską – zbierają pasożyty z tej dużej. Czyli serioli.

– Czemu serirole nie zjadają tych małych? – zapytał Edmund. – Zdają się być łatwą zdobyczą.

– Czasem to robią. Ale generalnie nie. Małe ryby zdobywają łatwo pożywienie. Duże pozbywają się pasożytów. Gdyby nie miały tych małych,

gdyby wszystkie zjadły, skończyłyby całe pokryte pasożytami. Obie strony zyskują, coś takiego nazywa się komensalizmem.

– Chwilę wcześniej widziałem żółwia, jedzącego coś, co wyglądało na gąbkę – powiedział Edmund. – Co ona z tego dostaje?

– Nic. – Bruce wzruszył ramionami. – Jedzenie to jedzenie. Ale... jeśli ten rodzaj gąbki wyrośnie na koralowcu, to równie dobrze mógłby być już martwy, jeśli nie zostałaby zjedzona, rozprzestrzeniłaby się po całej rafie, zabijając ją. Przyływy i prądy oraz sztormy z czasem zniszczyłyby całą rafę. Zginąłby więc cały ekosystem. Gdybyś pozabijał wszystkie żółwie, mogłoby jeszcze do tego nie dojść, bo nie tylko one żywią się gąbkami i wzrosła by liczebność innych drapieżników, ponieważ przybyłoby im jedzenia, ale zaczynasz rozumieć mały fragment złożoności ekosystemu, jakim jest rafa koralowa. Zabrać stadniki, a w niekontrolowany sposób namnożą się algi. Papugoryby jedzą żywy koral, ale ich odchody stanowią prawie czysty piasek z powodu skały, którą muszą przetrawić, żeby dostać się do polipów i to, co widzisz jako krystaliczny piasek, to właśnie ich odchody. Ale chciałbym ci pokazać coś szczególnego, to niedaleko.

– Płynmy – rzucił Edmund, odwracając się od stacji czyszczącej.

Nieco dalej wzdłuż rafy, pośrodku skupiska niskich skał, wznosiła się koralowa głowa. Miała około trzech metrów wysokości i dwa średnicy, przypominała nieco kształtem kroplę i była zielonkawa, jakby porastały ją algi. Niektóre jej fragmenty pokrywał wyglądający jak mech porost, który widywał już wcześniej.

– To Wielki Zieleniak – oznajmił Bruce, zatrzymując się i pozwalając prądowi donieść się do koralowca. – To gatunek zielonego koralu i stanowi najstarszy żyjący organizm na ziemi.

– Myślałem, że jest nim pewne drzewo rosnące w zachodnim Norau – powiedział Talbot, przyglądając się skale. – To jest żywe?

– Och tak – zapewnił go Bruce. – Widzisz te miękkie plamy?

– Zauważyłem je już wcześniej – przyznał Edmund. – Wygląda to tak, jakby porastał go mech.

– To żywe polipy – wyjaśnił Bruce. – Właściwie spokrewnione są z meduzami. Możesz myśleć o nich jak o odwróconych meduzach otoczonych kamienną skorupą. Żywią się, filtrując wodę – łapią w wyciągnięte czułki przepływający plankton. Raz do roku się rozmnażają, uwalniając chmurę spermy i jajeczek dryfujących z prądem. Ale Wielki Zieleniak robi to od siedmiu milionów lat.

– Rety – powiedział Edmund pod wrażeniem.

– Kiedyś był już bardzo bliski śmierci – mówił dalej tryton. – Warunki wodne w połowie dwudziestego pierwszego wieku były fatalne. Jak się później okazało, nastąpiła wtedy kolejna, normalna, zmiana klimatyczna, podniosła się temperatura, później cykl się odwrócił i średnie temperatury spadły, doszło do mini epoki lodowcowej. Wszystko to stworzyło bardzo trudne warunki. Do tego toksyny uwalniane przez przemysł do wody, nurkowie dotykający rafy, przemysłowy połów ryb, który doprowadził do eliminacji kluczowych gatunków, wszystko to prawie zabiło istotę, która żyje od milionów lat. Niektóre sekcje rafy miały mniej niż dziesięć procent żywych polipów, a to była prosta recepta na katastrofę.

– I co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał sucho książę.

– Jak już wspomniałem, jesteś bardzo skoncentrowanym człowiekiem, Edmundzie Talbot. Ale choć ważne jest skupianie się na drzewach, czasem konieczne jest pozwolenie, by przemówił za siebie las. Pokazuję ci najstarsze drzewo w lesie, ponieważ pomyślałem, że to coś, na czym mógłbyś się skupić. O to właśnie chodzi w Dziele – zapewnienie, by rafa, łącznie z Wielkim Zieleniakiem, nigdy nie wróciła do takich warunków.

Edmund zastanowił się nad tym chwilę, machając nogami, by wbrew prądowi podpłynąć do koralowca. Opadł do dna i przyjrzał mu się z bliska, potem cofnął się, gdy zobaczył głowę bardzo dużej mureny wystającej z otworu u podstawy koralowca.

W końcu wrócił z powrotem do miejsca, gdzie cierpliwie czekał przywódca syren.

– Rozumiem, o co ci chodzi – powiedział Talbot.

– Jest w tym jakieś „ale” – zauważył Bruce.

– Jest tu bardzo dużo „ale” – przyznał Edmund. – Pierwsze jest takie, że nie mają miejsca warunki, o jakich mówisz. Nie grożą nam. Tego rodzaju warunki wymagałyby przemysłu, i to rozbudowanego. Który nie może istnieć przy obecnie obowiązujących protokołach przeciwko materiałom wybuchowym.

– Toksyny można tworzyć bez silników spalinowych. – Tryton zmarszczył czoło.

– Nie w dużej skali, nie da się tego robić bez silników spalinowych albo energii elektrycznej. Na pierwsze nie pozwoli Matka z powodu ograniczeń protokołów. A wszelka energia elektryczna wchłaniana jest przez piekielną Sieć. Czyli nie można stworzyć przemysłu na dużą skalę. Nie masz pojęcia, ile dałbym w tej chwili na przykład za kilka ton kwasu siarkowego, ale wyprodukowanie go w środowisku pozbawionym zaawansowanego

przemysłu jest piekielnie trudne.

Bruce otworzył usta, ale Edmund uniósł dłoń.

– Poczekaj chwilę. – Księżę uśmiechnął się. – Powiedziałeś, co chciałeś. Jeśli wygramy tę wojnę, cały system wróci do poprzedniego stanu i utrzymają się warunki sprzed Upadku. Będziesz w stanie znów odtwarzać wszystko, co chcesz. Nie będzie żadnego przemysłu, nie więcej, niż było przed Upadkiem – Nie będzie też wielu odwiedzających, ponieważ nie ma tak wielu ludzi i nawet przy zwiększeniu przyrostu naturalnego, w ciągu najbliższych stu lat populacja nie osiągnie więcej niż półtora, góra dwa miliardy ludzi. A w obecnej sytuacji też istnieje pewne maksimum, ponieważ przy zastosowaniu rolnictwa przedindustrialnego da się wyżywić tylko określoną liczbę ludzi. Zresztą zapomniałeś w swojej litanii o zużyciu substancji odżywczych.

– To też było – powiedział ponuro Bruce. – Zatoka Flory prawie została przez to zabita. A ona stanowi źródło pożywienia dla połowy ekosystemu w okolicy.

– Ale nie stanie się to, ponieważ nie da się transportować nawozów z miejsca, gdzie są tworzone tam, gdzie ich potrzeba – warknął Edmund. – Bóg wie, że ciągle z tym walczymy w Raven's Mill. Chodzi mi o to, że w trakcie trwania wojny rafom nie grozi niebezpieczeństwo. Ale wam tak.

– Już mówiłeś. – Bruce wzruszył ramionami. – Ale Nowe Przeznaczenie ma powód nas atakować.

– Nie mówię o Nowym Przeznaczeniu – odpowiedział Edmund. Prąd odsunął ich od koralowca i dryfowali teraz mniej więcej w stronę miasta. – Twoi ludzie są wyjątkowo wrażliwi. I są wartościowi nie tylko dla nas i Nowego Przebaczenia. Po drodze na wyspach Bimi przepłynęliśmy koło osiedla. Z waszą zdolnością do oddychania pod wodą jesteście bezcenną pomocą dla tego rodzaju grup – Ile jeszcze potrwa, zanim ktoś dojdzie do wniosku, że skoro nie chcecie mu pomóc, powinien was do tego zmusić?

– Jak mieliby to zrobić? – zapytał gniewnie Bruce.

– Nie wiem – odpowiedział Edmund, wzruszając ramionami. – Ale niektórzy z nich, może nie teraz, ale niedługo, wymyślą sposób. „Czemu to my mamy nurkować po langusty, skoro oni mogą je nam przynieść?”

– Moglibyśmy po prostu sprzymierzyć się z nimi – zauważył Bruce.

– Nie ochronią was przed Nowym Przeznaczeniem – odpowiedział Edmund. – A mają do stracenia znacznie mniej niż my. Bylibyście jak te ryby czyszciciele. Oczywiście, to komensalizm, ale gdybym miał wybór, wolałbym być w tym związku dużą rybą. Czyszciciele czasem są połykani.

– I nie bylibyście nią?

– Potrzebujemy sojuszników, którzy decydują się na współpracę z własnej woli – odpowiedział rozsądnie Edmund. – Chcemy, żebyście prowadzili dla nas zwiad i walczyli, jeśli znajdziemy na to sposób. Komunikowali się z delfinami i innymi waleniami. Odnajdywali okręty Nowego Przeznaczenia tak, żebyśmy mogli je zniszczyć, zanim oni zniszczą nas. Zanim wylądują na mojej ziemi i będziemy musieli walczyć na murach. To nie jest duża i mała ryba. Nie możemy was zmusić do takich rzeczy. Skąd mielibyśmy wiedzieć, czy świadomie nie przeoczylibyście jakiejś floty? Powoli zaczynam rozumieć, że to cholernie wielki ocean. Ale mogę cię zapewnić, że rybacy mocno się ziryтую, jeśli nie przyniesiecie im dość homarów.

– Tworzysz problemy, które nie istnieją – warknął Bruce, wciąż zły.

– Może, ale jeden już macie – zagładzacie się na śmierć. – Jakoś sobie radzimy – powiedział obronnie Bruce.

– Ledwie, jako prymitywni zbieracze i myśliwi, zależni od tego, co jesteście w stanie zebrać każdego dnia – rzucił Edmund, rozpalając się własnym gniewem. – Cholera, Bruce, jesteś odpowiedzialny za swoich ludzi, nie tylko za tę rafę! Mam pod swoją ochroną ludzi, którzy byli członkami projektu terraformacji Wolfa. A pracują teraz nad tym? Nie, pracują nad odbudową cywilizacji, a nie zbierania jedzenia z lasów. A wy nie jesteście nawet w tym dobrzy. Chudniecie, Daneh może tego dowieść. Mielście już ludzi, którzy umarli z powodu braków witamin. Możemy pomóc. Nie chcesz sieci monomolekularnych, dobrze, wyłapują zbyt wiele ryb i nie chcesz szkodzić rafom. Dobra. Możemy zamiast tego dostarczyć wam sieci skrzelowych. W ten sposób możecie wybierać zdobycz. Są i inne rzeczy, o które prosili twoi ludzie. Kosze na homary, długie liny...

– Żadnych długich lin – warknął Bruce. – Są prawie równie fatalne, jak sieci dryfowe.

– Wszystko jedno – odpowiedział Edmund. – Powiedz mi, czego chcecie a my to dostarczymy. W rozsądnych granicach. Nie jesteście jedyną grupą, którą musimy wspierać bronią i materiałami.

– A co mieści się w rozsądnych granicach? – zapytał przywódca syren. – Hmm. Będziemy musieli to ustalić. Możemy dostarczyć wojowników z bronią. Dla waszych celów lepszy jest brąz, w przeciwieństwie do stali nierdzewnej, łatwo go przekuć. Ale trudno go wyprodukować i nie ma źródeł gotowego materiału, podczas gdy możemy zdobyć, a właściwie mamy, duże ilości stali. Ale piekielnie trudno się na niej pracuje, to pochłania dużo czasu,

a tym samym pieniędzy Możemy przygotować system kredytowy do wsparcia i zapewnienia trwałej i uczciwej wymiany w ramach praw ZWS. Nie zamierzamy was okradać, a przy naszej pomocy będziecie mieli materiały, które możecie wymieniać na towary luksusowe co uczyni was częściowo niezależnymi. Jak już powiedziałem, szczegóły wymagają wypracowania, ale to tylko szczegóły. Jako dobrowolni sojusznicy w pakcie wzajemnej ochrony, jako absolutne minimum nie pozwolimy wam umrzeć z głodu. Twój lud nie będą musieli uganiać się za każdą drobną rybką, jaką zdołają złapać. I może nawet nie będziecie zmuszeni jeść sushi do końca życia.

Bruce rozmyślał nad tym przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Przyszedłem przekonać ciebie, a tymczasem to ty prawie przekonałeś mnie – stwierdził.

– Rafa przeżyje, z wami czy bez was – powiedział Edmund. – Ale tu i teraz kluczowa jest wojna z Nowym Przeznaczeniem. Wygraj wojnę, a rafa będzie na ciebie czekać. Jak sam powiedziałeś, Wielki Zieleniak przeżył najgorsze, co mogli mu zrobić ludzie. Przeżywał naturalne i nienaturalne katastrofy od siedmiu milionów lat. Przeżyje i tę. Zakładając, że Nowe Przeznaczenie nie strzeli w niego olbrzymim ładunkiem energii. Ale to kolejna rzecz, do której możemy nie dopuścić.

Bruce znów wzruszył ramionami i ruszył w stronę miasta. Edmund doszedł do wniosku, że chwilowo nic więcej nie uzyska. Chwilowo.

Rachel grzebała pośród liści i łodyg, machając płetwami przy samej powierzchni wody, a czasami nawet nad nią, żeby utrzymać się w miejscu. Głównie znajdowała twarde, niedojrzałe śliwki morskie.

– Śliwki morskie to jedna z tych rzeczy, które są równocześnie dobre i złe – powiedziała Elayna, szukając w nieco głębszej wodzie. – W wodach wokół Flory to bardziej chwast, ale ma naprawdę wyjątkowe wymagania co do wzrostu.

Pole pnączy ulokowało się blisko źródła na Whale Point Drop, ale same łodygi rozciągały się na wiele metrów w każdą stronę.

– Trochę przeszkadza wzrostowi morskiej trawy – dodała Antja, siadając tak, że jej głowa wystawała z płytkiej wody, rozglądając się, po czym z powrotem nurkując, by dalej zbierać owoce. – Korzenie muszą mieć słodką wodę, ale owoce dojrzewają tylko w słonej. A więc znajduje się je tylko w miejscach, gdzie jest silny strumień słodkiej wody wpadającej do słonej. To znaczy tuż obok ujść źródeł czy rzek. I nie rośnie wiele dalej. Czyli nie jest bardzo uciążliwym chwastem – I daje schronienie większości gatunków,

które korzystają z morskiej trawy.

– Jest tu pełno różnego rodzaju małych rybek i... rzeczy – zaczęła Rachel.

– Ale nie wiele, jeśli chodzi o dojrzałe śliwki. Elayna, mogę cię o coś zapytać?

– Jasne. – Dziewczyna wystawiła jasnoniebieski ogon nad wodę.

– Gdzie masz murenę?

– Och, Ahaszę biorę ze sobą tylko przy szczególnych okazjach – wyjaśniła Elayna. – I zasadniczo tylko w nocy. W dzień ukrywa się w swojej jaskini. Myślę, że to pole zostało już przebrane – dodała, wzdychając. – Musimy popłynąć poszukać czegoś innego. Małże? Homary?

– Małże zazwyczaj znajduje się w okolicy morskiej trawy – powiedziała Antja, patrząc na Rachel. – Ale najbliższe pole jest kilka klików stąd. Myślę, że musimy iść krabie.

– Krabie? – zapytała Rachel.

– Szukać langust – wyjaśniła Elayna, po czym dodała: – Krabów. – Och.

– Przeważnie robimy to tak, że płyniemy pod prąd, żebyśmy wracając, mogły odpocząć – powiedziała Antja, wpływając głębiej w ujście. – Ale jesteśmy tu już na tyle długo, że większość rzeczy w górę strumienia została już wybrana, jak te śliwki morskie. Homary się przenoszą, przychodzą zapełniać nisze, w których się kryją, ale to wymaga czasu. A więc sugerowałabym popłynięcie na wschód, jeśli masz siły na trudny powrót?

– Tak myślę – odpowiedziała Rachel, podnosząc siatkę z kilkoma owocami. – Z czego to jest zrobione? – spytała, płynąc za dwoma syrenami głębiej w morze. Pływały powoli, ponieważ w porównaniu z nimi dziewczyna była praktycznie kaleką, ale i tak za szybko dla niej i ucieszyła się, kiedy dotarły do prądu, który zaczął znosić je na wschód.

– Głównie z łądyg wodorostów – wyjaśniła Antja. – Niektóre z nich robimy też z łądyg morskich śliwek, ale jeśli przetnie się pnącze, nie ma owoców. Trudny wybór.

– A jedno i drugie szybko gniją – stwierdziła niezadowolona Elayna. – I w ogóle nie są zbyt silne. Nie są zbyt dobre.

– To coś, w czym możemy pomóc – oświadczyła Rachel. – Nie wiem, czy lepszy byłby badwab czy konopie, ale mamy jedno i drugie. Na razie niezbyt dużo, ale z roku na rok coraz więcej, w miarę jak orzemy ziemię.

– Tak naprawdę chciałabym mieć górę stroju kąpielowego – powiedziała Antja, patrząc na bikini Rachel. – Naprawdę mam już dość nieustannego pokazywania piersi. Są sytuacje, kiedy wcale mi się nie podoba, kiedy ktoś się tak na mnie patrzy, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Już nic nie powiem o

przypadkowych dotknięciach.

– Mów za siebie – wtrąciła się Elayna radośnie. – Ja lubię spojrzenia. Nawet nie mam nic przeciwko dotknięciom, jeśli to właściwe ręce.

– To dlatego, że jesteś zdzirą, Elayna – powiedziała Antja bez jadu.

– Wcale nią nie jest – zaprotestowała Rachel. – Ona po prostu... lubi pokazywać swoje ciało. Ale wiem, o co ci chodzi, Antja. Nawet to, co mam na sobie Jest dla mnie za kuse. Nigdy tak naprawdę się nie popisywałam, nie za dużo, Przed Upadkiem. Tylko, wiecie, kiedy byłam młodsza...

– Zakładanie najmniej, jak pozwoliła mama, i ucieczka z domu, żeby popisywać się przed ludźmi? – spytała z szerokim uśmiechem Antja.

– Och, wstyd mi tego – roześmiała się Rachel. – Ale... niektóre spojrzenia wiecie, czasem robiło mi się od nich zimno. I zaczęłam się z powrotem ubierać Po Upadku... z... niektórymi rzeczami, które przedtem miały miejsce, nigdy mnie już tak nie złapiecie, chodzę wyłącznie w długich spódnicach i wysoko zapiętych bluzkach. Nie chcę spojrzeń. W ogóle.

– Cóż, ja nie mam nic przeciwko nim, dziękuję bardzo – oświadczyła Elay, na. – I nie jestem zdzirą. Zdzira to dziewczyna, która śpi z każdym chłopakiem, jaki tylko na nią mrugnie. Ja jestem znacznie bardziej wybredna. Za to taka Bast, to dopiero zdzira.

– Nie według twojej definicji – rzuciła Rachel ze śmiechem. – Według niej jest idealna. Ale nie miałyby nic przeciwko nazwaniu jej tak, pewnie uznałyby to za komplement. Tylko że Bast jest bardzo wybredna, na ile mogę stwierdzić... właściwie nawet monogamiczna. Z początku nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale naprawdę tak jest. Nigdy nawet nie spojrzała na innego faceta, od kiedy zaczęła się spotykać z Herzerem, a przynajmniej nie w okolicach Raven's Mill. A Bóg wie, że Herzer nie przejmuje się skakaniem z łóżka do łóżka. Jeśli chcesz zdziry, to Herzer idealnie pasuje do męskiej odmiany tej definicji. Ale nie Bast. Do diaska, ona wybrała mojego ojca, gdy nie był wiele starszy od Herzera i najwyraźniej byli razem przez prawie dekadę.

– Naprawdę? – jęknęła Elayna. – Twój tato!

– Och tak – potwierdziła Rachel z niecnym uśmiechem. – Najwyraźniej w tamtych czasach był naprawdę przystojny. Cóż, zanim spotkał moją mamę, żył z Sheidą i to musiało być albo po Bast albo równolegle, nigdy nie byłam pewna, i nie zamierzam o to pytać. A potem rzucił obie dla mamy. To musiało być spektakularne zerwanie.

– Ciocia Sheida? – zapytała Antja, wylapując imię. – Nie członkini Rady?

– Tak, teraz królowa Sheida Zjednoczonych Wolnych Stanów. Nawet wtedy była numerem dwa lub trzy na liście do Klucza, a nie dają ich byle komu. Ale tato przeskoczył od Bast do Sheidy, a potem w końcu ze wszystkich kobiet wybrał mamę.

– Czyli nigdy więcej nie spał już z Bast? – spytała Elayna. – Trudno mi w to uwierzyć. Ona jest taka...

– Zmysłowa – dokończyła Rachel. – Po tym, jak mama go zostawiła, zabierając mnie ze sobą, chyba spędził trochę czasu z Bast. Ale... nie jestem pewna, co się tam działo. Powiedziałabym, że potrzebował towarzystwa. Naprawdę go zabolalo, gdy mama odeszła.

– Kiedy to było? – zapytała Antja.

– Kiedy miałam jakieś cztery lata – powiedziała smutno Rachel, przypominając sobie niejasno sprzeczki jako niezbyt szczęśliwe chwile. – Mój tata przed Upadkiem był poważnym rekreacionistą. Mieszkał w kamiennym domu, gotował własne jedzenie albo kazał to robić nanitowemu słudze, wszystko. Jak jakiś feudalny władca. No wiecie, to nie było dzikie życie, miał ciepłą wodę i kanalizację. Ale woda pochodziła ze zbiornika na wzgórzu, a ten napełniany był przez źródło. A kiedy mówię o zimnej wodzie, to mam na myśli lodowatą. W każdym je, na ile udało mi się to poskładać, mama nie chciała mnie wychowywać w takich warunkach, a on nie chciał tego zostawić. Więc został przy swoim życiu, a mama... stworzyła sobie nowe. Przez jakiś czas mieszkał z nami, ale nie potrafił tego znieść. Technika zdaje się naprawdę doprowadzać go do szaleństwa, jeśli żyje z nią na co dzień. I tak odwiedzałam go czasami, zwłaszcza w Jarmarki. Kiedy byłam dzieckiem, było wspaniale. Tata był lokalnym lordem, a mnie przebierano i wszyscy się zachwycali. Ale kiedy zaczęłam dorastać, wszystko to zrobiło się takie... stare. A więc przestałam go odwiedzać.

– Co się stało? – spytała Elayna. – Czemu wróciłaś?

– Uch, przez Upadek, głuptasie – zaśmiała się ponuro Antja.

– Faktycznie, Upadek – potwierdziła Rachel. – Razem z mamą mieszkaliśmy – szlag, nie tak daleko od Raven's Mill. Nie więcej niż sto klików. Wiecie, jak trudno jest przejść taki dystans, niosąc jedzenie pośród burz, jakie szalały po Upadku?

– Uch – wydobyła z siebie Elayna.

– Właśnie. Ale nie było lepszego miejsca, gdzie mogłybyśmy pójść. Przed Upadkiem było „Ta woda jest zimna jak lód i czemu muszę używać tego staromodnego klozetu? Czemu się po prostu nie teleportujesz, jak normalni ludzie, tato?”. Kiedy dotarłam tam i zobaczyłam klozet i wannę

napełnianą gorącą wodą, rozplakałam się jak dziecko. Żadnego więcej kucania w krzakach! Koniec z szorstką szmatką i wodą z rzeki! Mama... – Urwała i przez chwilę intensywnie oddychała. – Mama pękła przy wannie. W każdym razie tak mama i tata znów zaczęli być razem. A... po jakimś czasie znów stali się... przyjaciółmi. Przez chwilę było to naprawdę obrzydliwe, jak para chichoczących nastolatków. Teraz są po prostu... no cóż, najdoskonalszą parą, jaką kiedykolwiek widziałam. Omawiają problemy, rzadko tracą nerwy i pomagają sobie we wszystkim, co robią. A Bast, wracając do tematu dyskusji, miała dość rozumu, żeby się nie wtrącać. Czemu miałyby to robić? Ma Herzera!

– A co z tobą i Herzerem? – zapytała Elayna. – Słyszałam, że dzieliliście na statku kajutę? Podzielił się jakimiś uwagami?

– Chrapie – powiedziała słodko Rachel. – A co do reszty, Herzer jest dla mnie jak brat. Ja... my nigdy. I raczej nie będziemy tego robić.

– Czemu? – zapytała rozsądnie Antja. – No wiesz, mam Jasona, a Herzer nie ma przyzwoitego ogona, ale to nie znaczy, że nie dostrzegam jego atrakcyjności. Szlag, wystarczy rzucić okiem na jego kąpielówki, żeby dostrzec pozytywne cechy.

– Widziałam! – zachichotała Elayna.

– Cóż... – mruknęła Rachel, czerwieniąc się lekko. – Jeśli... jest coś takiego, jak „antydzira”, to właśnie ja. To nie znaczy, że mam coś przeciw dziewczynom, które lubią zmieniać łożka; Marguerite przed Upadkiem była jedną z moich najlepszych przyjaciółek, a straciła dziewictwo mniej więcej wtedy, kiedy zaczęły jej rosnąć piersi. I nigdy się nie oglądała za siebie. Ale ja... po prostu nie byłam zainteresowana.

– To znaczy, chłopcami? – zapytała Elayna.

– To znaczy seksem – poprawiła Rachel. – Ani chłopcami, ani dziewczynami. Po prostu mnie to nie pociąga. Lubię chłopców i dziewczyny jako przyjaciół. Ale nie jestem zainteresowana... wszystkimi tymi okropnościami. Prawdę mówiąc, robi mi się od tego trochę niedobrze.

– To dziwne – uznała Elayna. – Właściwie nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– To dlatego, że masz pociąg do seksu – odpowiedziała Rachel, mrużąc oczy – Ja nie. To jak brak słuchu muzycznego. Można słuchać muzyki, ale wszystko co słyszysz, to hałas. Na dodatek nieprzyjemny. Myśl o... prąciu Herzera we mnie jest... oooo! – Otrząsnęła się z obrzydzeniem.

– Dobra – wtrąciła się Antja. – Muszę się zgodzić, to dziwne.

– Cóż, jeśli normalne potrzeby seksualne uznać za pięć – zastanowiła się

Rachel, wruszając ramionami – a Elayna miałaby, powiedzmy osiem, to ja coś koło minus jeden.

– A Bast? – spytała Elayna.

– Trzy tysiące sto piętnaście – roześmiała się Rachel. – Mniej więcej. Przedryfowały do obszaru porozrzucanych skupisk rafy, przeważnie wysokich na około metr i Antja nagle wystrzeliła w dół, sięgając w szczelinę.

– Mam cię – zawołała, wyciągając z otworu langustę. Zdobycz wywijala na nią wściekle czułkami i ostro wymachiwała ogonem, ale ruch ustał, gdy dziewczyna wykręciła jej ciało, odrywając głowę od ogona, po czym wrzuciła zdobycz do torby.

– Przeważnie trzymają się pod nawisami i w szczelinach – wyjaśniła Antja, opadając na piaszczyste dno i płynąc wzdłuż sekcji rafy. Zaglądała pod nawisy skalne, po czym szybko sięgnęła do jednej ręką. Tym razem wyciągnęła ją z wyrazem zdegustowania.

– Tak naprawdę potrzebujemy do tego włóczni – powiedziała. – Nie jest to zbyt sportowe, ale nie jesteśmy tu dla zabawy.

Rachel popłynęła trochę dalej i wybrała sobie własny kawałek skał. Opadła na piaszczyste dno i zaczęła zaglądać pod rafę, ale dla jej oczu było tam prawie czarno. Słońce stało wysoko i świeciło przez jakieś dziesięć metrów wody, jakby w ogóle jej tam nie było, ale cienie pod skałą zrobiły się prawie nieprzeniknione. Widziała jednak brzegi grot, małe ryby wpływające do środka i wypływające na zewnątrz. Potem dostrzegła cień jakiegoś ruchu pod skałą i wycofała się pospiesznie, gdy spod nawisu wypłynął leniwie mały rekin. Przynajmniej pomyślała, że to rekin. To coś wyglądało na niego, tylko że paszczę miało ściągniętą, jakby zjadło cytrynę.

– Rekin rafowy – odezwała się Elayna, zbliżając się. – Są nieszkodliwe, jeśli się ich nie zaczepia. Z drugiej strony, jeśli to zrobisz, mogą być dość nieprzyjemne. Jakiś facet przed Upadkiem, choć jako tryton powinien mieć więcej rozumu, próbował na takim jednym się przejechać. Na szczęście nanity zaraz go naprawiły. Ale Przemienił się potem z powrotem w normalnego człowieka i nigdy więcej nie wchodził do wody.

– Jak wy tam coś widzicie? – zapytała Rachel. Zmieniła miejsce i szukała teraz ostrożnie bliżej obu syren.

– Przyzwyczaisz się – stwierdziła Antja, oddryfowując. Miała już w swojej torbie trzy ogony langust, z tego jedna bardzo duża. – Ale musisz uważać, mają jad. Trzeba chwycić mocno, ale nie za bardzo. Dość pewnie, żeby nie mogły się wyrwać, bo inaczej rozszarpią ci dłoń, rzucając się. Ale z drugiej strony nie za mocno, żebyś się sama nie nadziała na kolce.

– Świetnie – rzuciła Rachel, widząc kątem oka ruch czułka w dole rafy. Odepchnęła się palcami od dna i rzuciła się na langustę. Ta najwyraźniej nie bała się jej, zaczęła tylko bardziej agresywnie wywijać czułkami. Dziewczyna podsunęła bliżej rękę, a potem spróbowała ją złapać. Nie była dość szybka, ale udało się jej chwycić u podstawy czułka, zaskoczona siłą, z jaką skorupiak się jej wyrywał. Zdołała złapać go drugą ręką i szybko wykręcić tułów.

– Mam jedną – powiedziała uszczęśliwiona. Potem zauważyła drobne rozcięcia na palcach, którymi chwyciła za czułka. Słona woda mocno w nich piekła, ale nie bardzo mogła cokolwiek z tym zrobić.

– Rękawiczki – odezwała się Elayna, odpływając od sekcji rafy jakieś dziesięć metrów dalej. – Tego nam tak naprawdę potrzeba. Rękawiczek.

– Niekoniecznie, jeśli użyje się włóczni – odparła Antja. Znikła z pola widzenia, wystawiając z rafy tylko złotoczerwony ogon. Barwy widoczne były tylko wtedy, gdy podpływała bardzo blisko do powierzchni.

– Czemu właściwie macie takie kolorowe ogony, skoro woda sprawia, że trochę głębiej wszystkie wyglądają na brązowe albo zielone? – zapytała Rachel, wracając do polowania.

– Nasze oczy widzą niebieskie światło – wyjaśniła Antja, po czym urwała, łapiąc następnego skorupiaką. – Jeśli nie schodzimy bardzo głęboko, gdzie nie ma już nic. Ale jeśli trzymamy się, powiedzmy, dwudziestu metrów, widzimy wszystko równie kolorowo, jak ty tutaj. Dopiero jak zejdziemy na jakieś trzydzieści – czterdzieści metrów, wtedy znika praktycznie wszystko oprócz niebieskiego.

– Trudniej jest wam widzieć? – spytała Rachel. – No wiecie, w dole w mieście i reszta. Wszystko tam jest niebieskie.

– Nie – odpowiedziała Elayna. – Mamy też znacznie lepsze widzenie nocne. Prawdopodobnie lepsze od ciebie. Coś jak koty. To może wyjaśniać też, czemu lepiej widzimy pod skałami.

– Tę widzę – zawołała Rachel, rzucając się i łapiąc langustę za tułów. Udało się jej poprawnie chwycić i tym razem nie została pocięta, za to zadrapała rękę o skałę przy wyciąganiu rzucającego się skorupiaką. Zdała sobie również sprawę z tego, że jest zmęczona. A czekało ją długie płynięcie i walka z prądem. – To nie jest łatwe.

– Owszem, nie jest – zgodziła się Antja. – Nie jestem pewna, czy zbierzemy więcej kalorii, niż spalimy, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że będziemy musiały wracając, płynąć pod prąd z tymi ogonami.

Rachel zastanowiła się przez chwilę i roześmiała się.

– Ja je zaniosę – oświadczyła, wypatrując kolejnego homara. – Mogę iść po brzegu. W ten sposób nie będziecie musiały na mnie czekać.

– Może być – zaakceptowała pomysł Elayna. – Ale możemy się trzymać Płycizn, więc będziesz miała towarzystwo. I będziesz mogła opowiedzieć mi o wszystkich mrocznych sekretach Herzera.

– Myślę, że to powinien zrobić Herzer – zaprotestowała Rachel, przerywając polowanie.

– Och, to nie będzie zabawne – rzuciła Elayna.

– Cóż, większość życia Herzera przed Upadkiem nie zawiera zbyt wielu mrocznych sekretów – powiedziała Rachel, sięgając i nie trafiając w bardziej ostrożną langustę. Ta też była duża. – Miał chorobę genetyczną, którą wyleczyła moja mama, na szczęście tuż przed Upadkiem. Jego stan pogarszał się w miarę, jak dorastał. On... nie miał wielu przyjaciół i żadnych dziewczyn.

– Trudno mi w to uwierzyć – stwierdziła Antja. Jej torba była już prawie pełna i syrena odpoczywała teraz na szczycie rafy. Rachel uświadomiła sobie nagle, że łuski na ich ogonach służyły nie tylko ozdobie. Gdyby sama czegoś takiego spróbowała, przy lekkich prądach omywających wierzch rafy zesła by z niej z odrapanymi nogami.

– On... się trząśł. – Powiedziała Rachel, mając trudności z wyjaśnieniem. – Wciąż ćwiczył, ale nie był w stanie zachować mięśni, cały czas dygotał jak gałązka. I miał problemy z mową. Czasami się ślinił, a któraś z jego kończyn zaczynała spazmatyczne ruchy. To było... okropne. Jako dzieciak był fajny, bawiliśmy się razem, a potem ta... choroba całkiem go pochłonęła. Muszę przyznać, że go unikałam. Dość się tego wstydzę, ale to po prostu było zbyt dziwaczne. W każdym razie mama wymyśliła sposób na uleczenie go tuż przed Upadkiem. Zasadniczo polegało to na zabiciu go i ponownym ożywieniu. – Rachel stłumiła kolejną myśl, której nie chciała wypowiadać na głos. – Co sprawiło... że są w jakiś dziwny sposób związani. W każdym razie, to dlatego wcześniej nie miał żadnych dziewczyn. Za to po Upadku – kontynuowała z lekkim jadem w głosie – to już zupełnie inna historia.

– Czyli jestem po prostu ostatnia? – zapytała Elayna. – Właściwie się domyśliłam. Był... dość dobry. Właściwie to cholernie dobry.

– Dużo z tego jest zasługą Bast – wyjaśniła Rachel. Podpłynęła nad rafę i zobaczyła, jak Antja pożywia się jednym z ogonów. – Nie powinniśmy podzielić się tym z miastem?

– Mam zbyt dużo, żeby donieść z powrotem – rozsądnie odpowiedziała Antja. – Jeśli trochę zjem, będę je nieść w żołądku.

– Możemy się wymienić torbami – zauważyła Rachel. – Mnie nigdy nie uda się tej wypełnić.

– Może być – zgodziła się Antja, kończąc odwłok langusty i wycierając dłonie o łuski. – Choć te rzeczy o wiele lepiej smakują ugotowane.

– No dobrze, czemu to Bast? – Elayna wróciła do Herzera. Zamaszyście machała ogonem, grzebiąc rękami głęboko w jakiejś szczelinie. – Ha, mam cię, draniu.

– Bast uznaje za swój obowiązek wyszkolenie aktualnego kochanka – odpowiedziała rzeczowo Rachel. – A Herzera szkolili bardzo intensywnie.

– To widać – roześmiała się Elayna. – Choć potrzebował kilku minut na rozpracowanie różnic w anatomii. Później było już świetnie.

– Herzer ma w życiu dwa wielkie talenty – stwierdziła Rachel. – Walkę i.. to drugie. Chciałabym móc docenić któryś z nich.

Złapała kolejną langustę i zniosła ją do Antji, która ciągnęła za sobą torbę należącą wcześniej do Rachel. Była już w połowie napełniona.

– Jak ty to robisz tak szybko? – zapytała Rachel.

– Zajmuję się tym od dziecka. Moi rodzice byli syrenami i taką mnie urodzili, zajmuję się krabowaniem, odkąd sięgam pamięcią. Zresztą polowałam już na tej rafie i wiem, gdzie lubią przesiadywać. Spróbuj tam – wskazała na skupisko rafy wyglądające dokładnie tak samo jak puste, przy którym pracowała właśnie Rachel.

Kiedy dziewczyna zbliżyła się do rafy, zrozumiała połowę sukcesów Antji. Nawis pod skałą był pełen skorupiaków gniewnie wymachujących na nią czułkami – Sięgnęła w dół i wybrała jednego, podczas gdy pozostałe rozbiegły się na boki, uwięzione przez brzegi szczeliny i jej ciało. Najszybciej jak mogła wyciągała langusty i odrywała ich odwłoki. Kilka się jej wymknęło, używając potężnych ogonów do przepłynięcia nad niebezpiecznym, odsłoniętym piaskiem, ale usłyszała jak Elayna podpływa z okrzykiem i wyłapuje je co do jednego.

Po kilku chwilach miała już tuzin odwłoków leżących na piasku.

– A więc to sztuczka – powiedziała z uśmiechem, zbierając ogony.

– Jasne, chyba jak wszystko inne, prawda? – zgodziła się Antja. – Myślę, że już wystarczy. Jak to mówią, trzy pełne torby.

– Czyli urodziłaś się jako syrena – wróciła do tematu Rachel. – Jak to jest? Uwolnili cię pod wodą? Jakiś rodzaj podwodnego replikatora macicznego? Hm?

– Nie – odpowiedziała Antja tonem, który jasno sugerował, że nie chce o tym rozmawiać.

– Przepraszam. – Rachel poczuła się dotknięta. Biorąc pod uwagę wcześniejsze tematy, ten zdawał się dostatecznie niewinny.

– Ja również – powiedziała Antja. – Po prostu nie chcę o tym rozmawiać, dobrze?

– Dobrze – zgodziła się Rachel. Potem zatrzymała się ze zmarszczonym czołem. – Antja, po Upadku wszystkie mechanizmy kontrolne ludzi na łądzie, a właściwie kobiet, przestały działać, włączając systemy reprodukcyjne. Mieliśmy potężne problemy z pierwszą... menstruacją. Wy też? – zapytała delikatnie.

– Tak – mruknęła szorstko Antja. – Z drugiej strony syreny są lepiej zaprojektowane niż normalni ludzie i Bogu dzięki nie mamy miesiączki.

– Ale jesteście płodne? – spytała Rachel, uświadamiając sobie, że weszła właśnie na pole minowe, gdy Elayna wypłynęła zza skały z determinacją na twarzy. – Ty i Jason moglibyście mieć dziecko? Albo Elayna mogłaby nosić dziecko Herzera? – Obejrzała się na Elaynę i zauważyła, że gdy do syreny dotarła ta myśl na jej twarzy pojawiło się skonsternowanie.

– Tak, jesteśmy – potwierdziła Antja. – Wolałabym, żebyś przestała zadawać pytania na ten temat.

– Przepraszam – powtórzyła Rachel. – Po prostu jestem bardzo zaciekawiona. Już tylko jedno: Antja, co się stało z dziećmi?

Rozdział 24

Daneh spędziła większość dnia, pracując z syrenimi uzdrowiaczami. Nie mieli przeszkolonych lekarzy, ale paru z nich znało się na pierwszej pomocy i przypadło im w udziale leczenie. Niestety, w słonej wodzie nie można było zbyt wiele zrobić. Plusem było to, że nie groziło im wiele ze standardowych infekcji.

Przeważnie musieli sobie radzić z trucizną pochodzącą od różnych mieszkańców głębin, stłuczeń od wpadnięcia na niewłaściwy rodzaj koralu i okazjonalnymi ugryzieniami rekinów. Pokazano jej jedno z takich, paskudne rozcięcie na ogonie trytona, które zostało niezgrabnie zszyte. Udzieliła krótkiej lekcji poprawnego szycia ran, czego sama nauczyła się dopiero po Upadku i zasugerowała okłady na stłuczenia. Prawie już skończyli, kiedy odciągnęła ją na bok Germaine, jedna z uzdrowicielek.

– Pani Daneh – powiedziała nerwowo syrena. – Jest coś, co chciałabym ci pokazać, przypadek, przy którym potrzebujemy pomocy. Ale Bruce zakazał nam mówić ci o tym. Nie możesz się zdradzić, że to zrobiłam.

– Nie powiem – zapewniła. – Gdzie to?

– Trzeba trochę popłynąć – przyznała syrena. – Zobaczę, czy nie uda mi się znaleźć jakiegoś delfina, który by cię podwiózł.

Wróciła chwilę później z jednym z delfinów.

– To jest Buttaro – przedstawiła go Germaine.

– Daneh, pani – zaświergotał delfin. – Pomóc dziecku?

– Tak, pomogę – powiedziała Daneh. – Jeśli będę mogła.

– Trzymać płetwa – wyemitował delfin, obracając się tak, że mogła złapać go za płetwę grzbietową. – Płynąć.

Delfin trzymał się nisko przy rafie. Skierowali się w stronę zatoki przy latarni morskiej, a potem skręcili ku ujściu źródła. Po drugiej stronie wypłynął na powierzchnię, odetchnął przez otwór grzbietowy i zanurkował w stronę dna, gdzie między skałami widać było szczelinę.

Droga prowadziła przez serię krętych korytarzy, po czym Daneh zobaczyła przed sobą światło. Wynurzyli się w jaskini.

Zauważyła już wcześniej, że niektóre z syren były w ciąży, ale nie dostrzegła żadnych dzieci. Kiedy wyłoniła się z wody w jaskini, w jej uszy uderzył płacz chyba tuzina. W sklepionej, choć zatłoczonej jaskini małuchów było znacznie więcej. Wokół skalnych półek pływały syreny, prowadząc niektóre starsze dzieci do wodnych zabaw.

Germaine wynurzyła się obok niej i spojrzała na nią błagalnie.

– Syreny po urodzeniu nie mogą oddychać wodą – powiedziała po opróżnieniu płuc z wody. – Nie mają dość masy, by wytrzymać zimno, a ich płuca nie są dostatecznie mocne. Muszą się urodzić na powierzchni. I muszą na niej zostać przez rok, zanim będą mogły żyć w wodzie.

– To cholernie wielka pięta achillesowa – powiedziała cicho Daneh. – Rozumiem, czemu nie chcieliście, żebyśmy się o tym dowiedzieli. Lepiej miejcie nadzieję, że nie dowie się Nowe Przeznaczenie.

Została poprowadzona do jednej z półek, ale tam napotkała rozłoszczoną syrenę.

– Germaine, nie mogę uwierzyć, że przyprowadziłaś tu tę kobietę! – warknęła syrena.

– Rema, Daneh jest lekarzem – odpowiedziała równie ostro Germaine. – Wolisz, żeby dziecko Maturi umarło?

– Nie, ale...

– Nie wiem, czy będę w stanie pomóc – odezwała się uspokajająco Daneh. – Ale spróbuję. I obiecuję, że nie zrobię nic, co naraziłoby wasze dzieci na niebezpieczeństwo.

Kobieta popatrzyła na nią badawczo, po czym wzruszyła ramionami.

– Zrób, co możesz – powiedziała. – Na ile to warte.

Germaine zaprowadziła ją do półki i wspięła się na nią niezgrabnie, podpełzając na tył, gdzie bardzo młoda syrena trzymała na rękach niemowlaka.

Daneh przyjrzała się dziecku i dokonała prawdopodobnej diagnozy, ale chciała się upewnić. Spojrzała na syrenę i wyciągnęła rękę po dziecko.

– Ona jest lekarzem – wyjaśniła Germaine. – Prawdziwym. Może będzie mogła pomóc.

Dziewczyna spojrzała na nią błagalnie i podała jej malucha.

Daneh ruszyła ostrożnie przez gęsty tłum syren leżących na półce prawie ramię w ramię do miejsca, gdzie miała więcej światła i uważnie obejrzała dziecko. Z powodu schowanych genitaliów nie była pewna jego płci, ale wyraźnie był to noworodek, tyle że zdecydowanie mniejszy niż normalnie i miał żółto zabarwioną skórę. Spał, ale kiedy odciągnęła mu jedną powiekę obudził się i zapłakał żałośnie. Białka jego oczu też były zażółcone.

– To nic poważnego – odetchnęła lekarka, oddając dziecko matce. – Tak sądzę. Jeśli da się je wydostać z jaskini. To on czy ona? Nie potrafię stwierdzić.

– On – wyjaśniła Germaine. – Co mu jest?

– Żółtaczka dziecięca – wyjaśniła Daneh. – Jestem dość pewna. To zdecydowanie żółtaczka. U dorosłych bierze się z uszkodzonej wątroby, ale u dzieci może pojawić się zaraz po urodzeniu.

– Nigdy nie był silny – powiedziała dziewczyna płaczliwie. – I miał taki kolor.

– Potrzeba mu słońca – wyjaśniła Daneh, rozglądając się po ciemnej jaskini. W jej stropie było tylko kilka szczelin, przez które wpadało światło. – Którego tu wyraźnie brakuje. Pomogłoby, gdyby można było mu dać olej z rybich wątrób, jeśli dobrze pamiętam. Ale do wyleczenia go może wystarczyć samo światło słoneczne.

– Samo światło słońca? – powtórzyła zaskoczona Germaine. – Jesteś pewna?

– Nie – warknęła Daneh. – Nie mam medycznych nanitów do diagnozy ani nie mam żadnej mocy, by leczyć. Ale widziałam to już wcześniej i mieliśmy w Raven's Mill książki, w których znalazłam informacje o podobnych przypadkach. I wtedy wystarczyło samo światło słońca.

– On może bardzo dobrze powstrzymać oddech – powiedziała dziewczyna. – Ale jeśli napije się wody, nie będzie w stanie jej wykaszleć, jest na to za słaby.

– Przekonałyśmy się – wyjaśniła Germaine – że syrenie dzieci mają znacznie silniejszą niż normalne ludzkie reakcję wstrzymywania oddechu. Ale to długie nurkowanie.

– Gdzie zabrałybyście go na powierzchnię? – spytała Daneh.

– Jest taka osłonięta zatoka, której używamy do przyzwyczajania dzieci do morza – odpowiedziała Germaine.

– Zakładam, że niedaleko stąd?

– Tak.

Daneh ściągnęła swoją maskę i założyła dziecku, a ta po chwili przylgnęła do jego głowy równie ściśle, jak do dorosłego. Maluchowi nie spodobało się związane z tym odczucie i zaczął głośno płakać, kręcąc energicznie głową.

– Wszystko w porządku – zapewniła Daneh, wyciągając rękę. – Dzięki niej będzie mógł oddychać pod wodą. Ale proszę, przynieście mi ją z powrotem. – Wskazała na błękitną wodę. – Nie ma mowy, żebym sama zdołała stąd wypłynąć.

– Dziękuję – powiedziała matka dziecka, podpełzając i dotykając jej w nogę. – Bardzo dziękuję.

– Podziękujesz mi, gdy wyzdrowieje – odparła Daneh, nachylając się, by

podać dziecko Germaine, która tymczasem wróciła do wody. – Prawdopodobnie będzie na to potrzebował około tygodnia. I mógł doznać trwałych uszkodzeń wątroby. Przy dziecięcej żółtaczce istnieje też ryzyko uszkodzeń mózgu – Ale jeśli złapałyśmy to na czas, powinien całkowicie dojść do siebie.

– Dziękuję – powtórzyła jeszcze raz dziewczyna, zsuwając się z brzegu skały do wody i kierując się do wyjścia.

– Może jednak nie jesteś taka zła – rzuciła z brzegu wody Rema.

Daneh podeszła do niej i zanurzyła nogi w wodzie, rozglądając się po pełnej dźwięków jaskini.

– Jak powiedziałam, kiedy się tu wynurzyłam – westchnęła – to cholernie wielka pięta achillesowa.

– Opowiem ci historię ze starych, złych czasów – powiedziała Rema, siadając obok Daneh na brzegu wody i machając w niej niedbale ogonem. – Foki rodzą raz do roku. Zbierają się do tego w koloniach na Antarktyce. Kiedy rodzą się młode, ich futro jest śnieżnobiałe, żeby nie były widoczne na śniegu i lodzie, na którym przychodzą na świat. Jest też bardzo miękkie.

– Ta historia chyba mi się nie spodoba, prawda? – spytała Daneh.

– Tak, nie spodoba ci się – potwierdziła syrena. – Cóż, przyszła taka chwila, że odkrył je człowiek. I ludzie przyplływali do tych wylęgarni, po czym używając maczug, zabijali maluchy. Na łodzi matki nie mogły z tym nic zrobić.

– Miałam rację, bardzo mi się to nie podoba. – Daneh rozejrzała się po jaskini. Syrenie dzieci najwyraźniej rodziły się z prawie szarymi ogonami, ale z czasem przybierały kolory, które miały jako dorosłe. Mogła sobie wyobrazić genetyczne kodowanie procesu. Potrząsnęła głową i znów westchnęła. – Potrzebujecie strażników. Ochroniarzy z nogami.

– I oddać nasze serca w ręce strażników? – spytała Rema. – Zaczynasz rozumieć problem. Kto pilnuje strażnika?

– Jest jedna grupa, której przynajmniej w tym pokoleniu zaufałam i powierzyła ten skarb – powiedziała Daneh. – Ale tylko jedna. I tylko w tym pokoleniu.

– I czym mielibyśmy im zapłacić? – spytała Rema. – Seksem z syrenami?

Daneh roześmiała się i machnęła ręką, widząc wyraz wściekłości na twarzy syreny.

– Nie, nie o to chodzi – powiedziała, wciąż chichocząc. – Rzecz w tym, że jedyny tutaj przedstawiciel tej grupy został już, jeśli się nie mylę, opłacony tą monetą.

* * *

Elayna też się zaprosiła, w drogę wybrała się więc całkiem duża grupa składająca się z lecących na trzech smokach: Herzera, Bast, Jerry'ego, Elayni, Jasona i Pete oraz Joanny.

– Delfiny sygnalizowały, że gdzieś na południowym zachodzie żeruje duża grupa tuńczyków – zawołał Jason, gdy wywerny dotarły na pułap przelotowy. Nie jadły zbyt wiele i były głodne.

Grupa poleciała we wskazanym kierunku i wkrótce zobaczyła ławicę, dostrzegając ją z daleka dzięki dużemu stadu ptaków kołujących w górze.

– Tam w dole są nie tylko tuńczyki – zawołał Herzer, gdy przelecieli nisko nad wodą. Ławica ryb, w której płynęły tym razem całkiem spore osobniki, zdecydowanie nadające się na żywność dla ludzi, była olbrzymia i rozciągała się prawie na klik w jedną stronę i pół klika w drugą. Ryby kłębiły się pod powierzchnią, tworząc koliste fale, podczas gdy na skraju ławicy powierzchnię wody burzyli drapieżcy.

– Makrele – zawołał Pete. – I wszystko się przy nich zebrało. Marliny, tuńczyki, ryby żaglowe. Do diaska, w tej mieszance są pewnie nawet wachy i barakudy!

– Możemy napęłnić sieci po prostu makrelami – powiedział Jason. – To bardzo dobre jedzenie. Problemem będzie przewiezienie ich z powrotem.

– Delfiny – zawołał Koo. – Płyną z północnego wschodu.

– Jak chcesz to zrobić, Jason? – zawołała Joanna.

– To pomysł Herzera – zauważył tryton. – Jeźdźcy będą musieli zostać na powierzchni. I Bóg jeden wie, co jest tam w dole. Czy potrafią płynąć tak długo? Jak wrócimy? Czy nic ich nie zje?

– Joanna, czy możesz wstrzymać się chwilę ze śniadaniem? – zawołał Herzer.

– Niechętnie – odpowiedziała. – Ale jeśli chcesz, żebym pilnowała was przed rekinami, zrobię to.

– I masz dodatkia pływalność – zauważył. – Jeśli się zmęczą, jeźdźcy mogą się ciebie przytrzymać.

– Moja wyporność też ma granice – burknęła. – Ale rozumiem twoją logikę. Wywerny mogą się najeść pierwsze.

– Wtedy będziemy mogli wziąć jednego lub więcej z powrotem, żeby jeźdźcy mogli się ich trzymać – powiedział Herzer. – Jeśli delfiny nam pozwolą, popłyniemy z nimi, a smoki naszym śladem. Może to one będą w

stanie pociągnąć sieć, może delfiny. Przepłoszymy im trochę makreli, ułatwiając polowanie.

– Zazwyczaj tak właśnie to robimy – odezwał się Jason. – Ale na znacznie mniejszych ławicach.

– No to wodujmy, odczepmy syreny, porozmawiajmy z delfinami i rozstawmy sieć.

* * *

Pod wodą panowało istne pandemonium. Odgłosy kawitacji dosłownie milionów ryb wypełniały wodę głosem gromu, W dół w błyszczącym srebrem deszczu opadały łuski uszkodzonych i martwych ryb. Oprócz dźwięku i ruchu do zamieszania dokładały się barwy ryb. Przepływające szybciej niż smoki ryby żaglowe błyskały barwą, falując w przelocie żółtymi i niebieskimi pasami. Podobnie ubarwione były wąskie, torpedokształtne ryby, które Pete zidentyfikował jako wacho. Same makrele też nieustannie zmieniały barwy, prawdopodobnie by utrudnić drapieżnikom skupienie się na poszczególnych rybach. Chaotyczne wzory, dźwięk, wszechogarniające poczucie ruchu miały dziwnie przerażający efekt.

Herzer oderwał w końcu wzrok od tego spektaklu i chwycił się rozłożonych skrzydeł Joanny. Delfiny zebrały się w jej cieniu i zobaczył, jak z głębin wyłania się więcej kształtów. Kiedy się przyglądał, z ławicy wyrwała się duża makrela i wystrzeliła w stronę cienia i przypuszczalnego bezpieczeństwa. Jeden z kształtów wynurzył się w sposób, który z początku zdawał się powolny i leniwy, po czym nagle przyspieszył, uderzając w ogłupiałą rybę. Kształt okazał się być potężnym marlinem, który szybko zanurkował z powrotem w głębinę z ogonem makreli wciąż wystającym z pyska.

– Nie wiem, od czego zacząć – przyznał Jason.

– Spróbuj na nie patrzeć. Przestań się skupiać. – Zasugerował Herzer. Niech wszystko stanie się nieostrą plamą.

Smoki wyraźnie miały taki sam problem, ale nie zwolniło ich to znacząco. Wpłynęły w gęstwinię, po prostu jeszcze kilka dużych drapieżników uczujących w obfitości, i zaczęły pożerać ryby z brzegów, przeważnie drapieżniki, które połazczyły się na makrele.

Herzer pierwotnie chciał zapolować na tuńczyki, ale pływały tak szybko, że trudno było za nimi nadążyć. Nawet gdy obracał głowę, widział je tylko w postaci rozmazanych smug. Ich ogony były rozmazanymi plamami, zdawały

się poruszać szybciej niż skrzydła kolibrów.

Stwierdził, że znów daje się pochłonać, i postąpił zgodnie z własną radą, chwytając róg rozciąganej przez Jasona sieci.

– Dobra – powiedział w końcu tryton. – Płyniemy w ławicę. Kiedy dam znak, Herzer i Elayna niech po prostu zostaną w miejscu i trzymają, a ja i Pete spróbujemy ją zawinąć. – Spojrzał na ścianę ryb wszelkich możliwych rozmiarów i przełknął trochę wody. – Za mną.

Pete i Jason ruszyli prosto w ławicę ryb, przez ścianę drapieżników. Herzer zobaczył żółtopłetwego tuńczyka większego od Bast uderzającego w Pete przy samych makrelach, ale Pete został tylko na chwilę zepchnięty z kursu i płynął dalej. Jason trzymał górny brzeg sieci i Herzer wyraźnie widział jego wpłynięcie w ławicę, bo tamten po prostu zniknął.

Ciągnięta przez nich sieć natychmiast wpłynęła na makrele i duża ich grupa, długa na jakieś dziesięć metrów i głęboka na kilka, skręciła, tworząc własną ławicę pod wpływem ataku drapieżników. Herzer próbował zatrzymać sieć na skraju głównej ławicy, ale ta szarpała się dziko w jego rękach. Tuńczyk walnął go w bok i oboje odskoczyli, wstrząśnięci uderzeniem. Herzer wyciągnął rękę i wbił ją w chwilowo nieruchome skrzela tuńczyka, wywołując tym szaleńcze szarpanie się ryby. Tuńczyk, który nie był wiele mniejszy od Herzera i zapewne ważył więcej od niego, zaczął go walić w bok, odciągając po spirali w górę. Chłopak uwolnił rękę i chwycił sieć ręką i metalowym hakiem, próbując odpłynąć na otwarte wody. Do tego czasu został wciągnięty w ławicę makreli i ich błyskające ciała były wszystkim, co widział. Tłoczyły się wszędzie wokół niego, uderzając go w boki, twarz, nogi, jak tysiące oszalałych kotów. Nagle jego głowa wynurzyła się nad powierzchnię i choć starał się ze wszystkich sił, nie był w stanie pociągnąć sieci. Masa wypełniających ją ryb, ich szarpanie się i ciągnący ją Pete z Jasonem po prostu przeciwstawiały się zbyt mocno.

Nagle z wody wynurzył się szpon i zaczepił o sieć przy jego ręce. Puścił, Pozwalając Joannie przejąć sieć wypełnioną po brzegi rybami z głównej ławicy. Z wdzięcznością wypłynął z masy ryb na stosunkowo spokojne wody obok.

Sieć należała do typu skrzelowego, była długa i stosunkowo płytka, nie okrężająca, która byłaby do tego celu najlepsza. Ale przechylając jej dno i końce tak, by unosiła się na powierzchni, zebrali olbrzymią ilość makreli oraz parę stosunkowo niewielkich i ogłupiałych tuńczyków.

– Wiecie – powiedziała Joanna – ależ by się nam przydał ten cholerny okręt.

Jason ręcznie wyciągał makrele, głównie te, które utkwily w oczkach sieci, i podawał je delfinom. Jedną wyjął dla siebie i z wprawą obrał ją ze skóry, po czym wgryzł się w ciało. Joanna wsadziła do sieci głowę i złapała kilka, razem z małym tuńczykiem.

– Tuńczyk – powiedziała po połknięciu. – Smakuje jak kurczak.

– Pytanie brzmi – odezwał się Herzer, unosząc się na powierzchni – czy wyglądało to lepiej niż, powiedzmy, nurkowanie i wyłapywanie ich rękami i paszczą?

– O tak – zapewnił Jason. Zanurkował pod wodę i zapiszczał do delfinów.

– Lepiej – odpowiedział Herman. – Mniej wysiłku. Lepiej.

– Ale musimy dociągnąć sieć z powrotem do miasta – zauważył Herzer.

– Jeść ryby, napełnić sieć, płynąć miasto – odpowiedział Herman. – Ryby świeże.

– Tak – zgodził się Jason. – Będą żywe w sieci, więc kiedy dotrzemy z powrotem, wciąż pozostaną świeże. I mogą zostać w sieci przez dzień lub dwa jeśli tylko nie porwie ich przyływ.

Herzer przyglądał się Chaunceyowi, który starał się wyłapywać duże tuńczyki. Próbował chwycić je w przelocie, ale były zbyt szybkie. W końcu uderzył na wpół złożonym skrzydłem i zdołał chwilowo jednego ogłuszyć, szybko go pożerając. Inne wywerny poszły za jego przykładem i szybko się najadły.

– Uczą się – mruknął Herzer.

– O tak – potwierdził Jerry. Wraz z innymi podpłynęli do unoszącej się sieci, obieranej teraz przez delfiny z wystających ryb. – Nigdy by się niczego nie nauczyły, gdyby nie obserwacja. Jeśli któryś zobaczy coś, co działa, naśladuje to. To połowa sposobu na ich szkolenie.

– To dość niezwykle w przyrodzie – zauważył Herzer.

– One nie są naturalne – odpowiedział Jerry, wzruszając ramionami. – Całe to pływanie jest fajne, ale dno jest tak strasznie daleko i nie czuję się pewnie. Jak długo jeszcze tu zostaniemy?

Skupiając się na problemie, Herzer właściwie nie zauważył głębokości, ale uświadomił sobie, że faktycznie tak jest. Ocean był przepastny, intensywnie niebieski i światło słońca tworzyło nienaturalny w głębinach stożek z jego cieniem pośrodku.

– Smoki się najadły, tak samo jak delfiny i syreny – zastanowił się Herzer, odrywając oczy od przyciągającego wzrok widoku. – Powiedziałbym, że powinniśmy zarzucić ponownie sieć i wrócić do domu.

- Jestem za – zgodził się Jerry. – Mam już dość machania nogami.
- Spróbuj ściągnąć do siebie smoki – poprosił Herzer. – One się unoszą.
- A na razie musimy znów napęłnić sieć.

Za drugim razem zostawili związany dół i wpłynęli obiema końcami sieci w ławicę. Sieć szybko napęłniła się makrelami i kilkoma bardzo dużymi, bardzo rozzłoszczonymi tuńczykami. Na wszelki wypadek dobrze związali oba końce sieci, a potem zaczęli ciągnąć ją w stronę miasta.

Smoki chętnie popłynęły na powierzchni, wiosłując skrzydłami, a jeźdźcy łącznie z Bast i Herzerem, podczepili się do ich grzbietów. Syreny na zmianę z delfinami ciągnęły sieć w stronę miasta. O zachodzie słońca grupa bardzo zmęczonych, ale radosnych łowców dotarła do celu z dostateczną ilością białka, – karmić miasto przez kilka dni.

Rozdział 25

Jason, Pete, Antja, Elayna i wytwórca broni, Jackson, wyciągnęli się na brzeg, by przyłączyć się do łowców w pieczeniu ryb. Filety z makreli owinięto wodorostami i położono do upieczenia na węglach w czasie, gdy ucztowali na ogonach langust, pociętych na kawałki i podgrzanych na ogniu. Był to ich przydział, może z małym nadmiarem, z tego, co dziewczyny przyniosły w torbach.

– Pytanie brzmi – powiedział Jason z ustami pełnymi gorącej langusty – czy możemy robić to bez smoków?

– Gdyby ławica była bliżej miasta – odparł Herzer, przerzucając filet z ręki do ręki, żeby go ochłodzić. – Jeśli sami nie potraficie płynąć dostatecznie szybko, moglibyście dostać się tam na grzbietach delfinów.

– Problemem zawsze było sprowadzenie dostatecznej ilości z powrotem do miasta – zauważył Jackson. Był niskim, krępy trytonem z czarnymi włosami i ogonem oraz jedynym, u którego Herzer widział brodę. – Skoro mamy sieci, to problem rozwiązany.

– Sieci rozwiązują wiele problemów – stwierdził Pete. – Sieci, kosze na langusty, pułapki na graniki, drugie liny. Wszystko się nam przyda.

– Tylko jeśli przekonamy Bruce'a do współpracy – przypomniał Jason. – Jest śmiertelnym wrogiem połowów na większą skalę.

Będzie miał problemy z wygraniami tej bitwy – oświadczyła Antja, wrzucając sobie mięso do ust. – To pierwszy raz, kiedy się dobrze najedliśmy od czasu Upadku. I choć zbieranie langust po jednej może być fajną zabawą, wolę raczej opróżniać pełne pułapki. Zebranie tych ogonów zajęło nam większość dnia.

– Możecie handlować, żeby zdobyć wszystkie te rzeczy – zauważył Edmund. – Może nawet uda się znaleźć źródło stali nierdzewnej. Choć wątpię, żeby powiodło się wam z brązem. Ale bez jakiegoś wsparcia będzie to dość powolny proces.

– Słyszmy cię – powiedział Jason. – Dotarło do nas. Problem w tym, że jeśli się z wami sprzymierzymy, staniemy się wrogami Nowego Przeznaczenia I musimy to starannie rozważyć.

– Już jesteście ich wrogami – odparł Herzer. – Nienawidzą Przemiany. Może sprzymierzili się z orkami, ale to małżeństwo z konieczności. Jeśli wygrają mogą się założyć, że pierwszym ich działaniem będzie zebranie tak zwanych sojuszników i poddanie ich Przemianie przez nich zaprojektowanej.

- Ocean jest wielki – rzuciła Antja.
- Ale nie tak łatwo znaleźć miejsca, gdzie możecie rodzić wasze dzieci – wtrąciła się Daneh.
- Co? – zapytał Herzer.
- Co? – zapytały unisono syreny i trytony.
- Kto ci to powiedział? – warknął Jason.
- Ktoś, kto potrzebował diagnozy – odparła spokojnie Daneh. – Takiej, której brak doprowadziłby do nieuniknionej śmierci wspomnianego dziecka.
- Żółty chłopiec – powiedziała Antja.
- Zgadza się – odparła Daneh. – Prosty przypadek żółtaczk, który łatwo dało się wyleczyć. Ale na świecie jest cholernie mało wyszkolonych lekarzy i wy z pewnością nie macie do nich dostępu. To kolejna rzecz, jaką możemy wam dać tylko my, nikt inny. A jest więcej.
- Tak? – spytał Jason. – Co takiego?
- Wiecie, jak jesteście cholernie wrażliwi – odpowiedział Edmund. Najwyraźniej rozmawiał ze swoją żoną. – Możemy dostarczyć wam strażników, którzy zapewnią wam bezpieczeństwo.
- Mamy więc po prostu oddać opiekę nad naszymi dziećmi w wasze ręce? – zapytał Jackson. – To wymagałoby cholernie wielkiego zaufania.
- To nie tak, żebyście mieli jakiś bardzo duży wybór – stwierdził Edmund. – Nie będziemy ostatnimi ludźmi, którzy się o tym dowiedzą. Musicie mieć jakąś ochronę.
- Czemu mielibyśmy wam ufać? – spytał Jason. – Czemu wam, a nie komuś innemu?
- Zaufałbyś mnie? – zapytał Herzer.
- Jason zastanawiał się przez chwilę, po czym kiwnął głową.
- Tak, tobie bym zaufał.
- A co z kimś, o kim powiedziałbym, że można mu zaufać jeszcze bardziej niż mnie? – spytał Herzer. – Ktoś, kto szkoliłby strażników i dowodził nimi? Wybieralibyśmy ich spośród naszych żołnierzy, każdy z dużym doświadczeniem.
- Gunny? – spytał Edmund.
- Robi się trochę za stary nawet dla Akademii – zauważył Herzer. – Ale może być właściwą osobą do pilnowania tego, o czym mówicie, cokolwiek to jest. Nie mogę sobie wyobrazić lepszego miejsca na emeryturę niż tutaj. Moglibyśmy przysyłać Panów Krwi rotacyjnie. Myślę, że większość zabijałaby się o przydział.
- Można by tu ulokować też grupę jeźdźców smoków – zaproponował

Jason – Mamy na to dość wyvernów, ale musiałyby zostać przeniesione na wschód i przywiezione na smokowcu. I potrzeba nam więcej wyszkolonych jeźdźców.

– Jeśli się z nami sprzymierzycie, urządzimy tu bazę – oświadczył Edmund... Stałą. Będzie tu stała załoga strażnicza, która może pilnować waszych jaskiń lęgowych. Szlag, moglibyśmy zbudować coś mniej prowizorycznego. Z tego, co mówiła mi Daneh, tamto miejsce to prawdziwa pułapka. Pewnie nie tu, wolałbym jakieś miejsce z łatwiejszym dostępem. Ale możemy to zrobić.

– Czemu? – zapytał Jason. – Co warte jest całego kłopotu i wydatków?

– Potrzebujemy was, a delfinów jeszcze bardziej, w walce przeciw siłom Nowego Przeznaczenia – wyjaśnił Edmund. – I, do diaska, Herzer ma rację. Strażnicy dadzą się pokroić za taki przydział. Zwłaszcza w zimie.

– Bimi nie jest w zimie najprzyjemniejszym miejscem na ziemi – zauważył Pete. – Wiatry z północy robią tu czasem prawdziwą lodownię.

– I tak jest o niebo lepiej niż w Raven's Mill – odpowiedziała z uśmiechem Rachel.

– Czy musielibyście nam zaufać? – wrócił do sedna Edmund. – Tak. Ale my z kolei musielibyśmy zaufać wam, że dacie nam rzetelne informacje na temat sił Nowego Przeznaczenia. I że będziecie gotowi je zaatakować, jeśli do tego dojdzie.

– Cóż, muszę przyznać, że mi się to podoba – mruknął Jason. – Ale to Bruce'a musisz przekonać.

– Nie – zaprzeczył Edmund. – Muszę po prostu przekonać dość syren, że to ja mam rację, a on się myli.

– Nie wiem, czy chcę się w to zagłębiać – wtrącił się Jackson. – Bruce'a popiera wielu ludzi, którzy pójdą za nim nawet wtedy, jeśli to zły pomysł i będą o tym wiedzieć. Ale przeżyliśmy, bo trzymaliśmy się razem.

– To właśnie mówiły makrele – odparł Edmund, wyciągając jedną z ryb i odwijając ją z wodorostów. – Aż do chwili, gdy zostały zjedzone.

* * *

Kiedy Bruce w końcu się dowiedział – co było nieuniknione – wpadł we wściekłość.

– Nie mogę uwierzyć, że ktoś ci pokazał jaskinię porodową!

– Jestem lekarką – wycedziła chłodno Daneh. – Tam było chore dziecko. Teraz prawdopodobnie wyzdrowieje. Nie byłoby tak, gdyby mi go nie

pokazano.

– A więc by ocalić jedno życie, narazili nas wszystkich!

– Jakie ryzyko? – spytał Edmund. – Poważnie. Wciąż mówisz o studiowanej Przez siebie historii, ale gwarantuję, że znam ją lepiej od ciebie. Wiem doskonale, Jakimi zakładnikami mogłyby się stać te kobiety i dzieci, ale one już nimi są!

– Co? – odezwało się kilka osób w grupie.

Dyskusja odbywała się na środku rynku. Choć raz, dzięki sieci pełnej makreli i graników przyciągniętej do miasta przez wracające smoki było dość jedzenia by wszyscy mogli zebrać się i spokojnie przedyskutować ostatni kryzys.

– Wasze problemy rozrodowe zawsze pozostaną waszą największą słabością wyjaśnił Edmund. – Słabością, której nie jesteście w stanie kontrolować bez sojuszników na powierzchni, sojuszników, którym moglibyście w pełni zaufać. Nie ma na przykład sposobu na wymianę zakładników. Ludzie bez masek do oddychania nie przeżyją pod wodą. Nie potrafią tego dzieci. A więc nie możecie zmusić kogoś, kto by was pilnował, żeby oddał wam zakładników ze swojej strony. Czyli prędzej czy później będziecie musieli znaleźć sojuszników do ochrony waszych dzieci, sprzymierzeńców, którym zaufacie. Pozwólcie, że zapytam, czy odważylibyście się, choćby hipotetycznie, powierzyć ich ochronę Nowemu Przeznaczeniu?

Sądząc po pomrukach wśród tłumu odpowiedź była oczywista, ale Mosuj musiał się wtrącić.

– A więc mówicie, że powinniśmy zaufać wam?

– Tak – potwierdził Edmund. – I to znacznie bardziej. Zbudujemy bazę gdzieś na wyspach, prawdopodobnie blisko archipelagu Bimi. Będziemy do niej przysyłać naszych najlepszych żołnierzy, Panów Krwi, których przedstawicielem jest Herzer, żeby strzegli waszych dzieci. Stworzymy tarczę energetyczną na wypadek, gdyby Nowe Przeznaczenie chciało uderzyć w ten sposób. Zrozumcie, to my jesteśmy tymi dobrymi. Doskonale wiem, jakie okropności zdarzają się na wojnie. Ale chronimy przed nimi. Wszystko, w co wierzymy, cała nasza filozofia zmusza nas do tego, żeby w przypadku obdarzenia nas zaufaniem chronić was własnym życiem, losem i uświęconym honorem. A możecie wybierać tylko między nami a Nowym Przeznaczeniem.

Kiedy to powiedział, nad rafą pojawiły się cienie i nad rynkiem przepłynęła grupa orek. Zaczęły następnie krążyć, a największa z nich

opuściła się do zebranych.

– A więc, łądku, twierdzisz, że nasi bracia powinni zaufać wam, pozbawionym ogona łądownikom, tak? – powiedziała orka, zatrzymując się. Urwała i obejrzała się na Bruce’a Czarnego. – Etool Shanol – przedstawiła się, kłaniając się lekko. – Ambasador Nowego Przeznaczenia.

– O, cholera – mruknął Herzer.

* * *

– Mieliśmy ze sobą statek wiozący zaopatrzenie, żeby pomóc wam w potrzebie – kontynuowała orka. – Ale został brutalnie zaatakowany przez okręt tak zwanej Koalicji Wolności i spalony, po zabiciu wszystkich na pokładzie.

– Jestem pewien, że zbliżyli się do praktycznie bezbronnego smokowca z białą flagą i dobrymi zamiarami – odpowiedział cierpko Edmund. – I na pewno nie otworzyli ognia, gdy tylko znaleźli się w zasięgu.

– Jesteśmy w pokojowej misji – odpowiedział Shanol. – Czemu mielibyśmy was atakować? Widzicie więc, jakie kłamstwa rozsiewa Koalicja Wolności – powiedział, głośno pulsując sonarem. – Chcą, żebyście im zaufali i przypuszczam, że prosili o wasze wsparcie. Podczas gdy wszystko, o co prosi Nowe Przeznaczenie, to o zachowanie neutralności. Nie potrzeba nam waszej pomocy. My, orki, wraz z innymi myślącymi mieszkańcami oceanów popieramy Nowe Przeznaczenie. Jak sugeruje nazwa, przeznaczeniem świata jest wzrost i dobrobyt. W miarę możliwości pokojowy. Ale tak zwana Koalicja Wolności jak dotąd na to nie pozwalała, atakując naszych przywódców na ostatnim pokojowym zebraniu Rady, uciekając się do przemocy ze strachu przed nieuniknionym nastaniem Nowego Przeznaczenia. Zawsze uciekają się do przemocy.

– Gdyby triumf Nowego Przeznaczenia miał być tak nieunikniony – odpowiedział Edmund. – Celine nie musiałaby się uciekać do wprowadzania na spotkanie trujących insektów. Ani Paul nie musiałby atakować nas na każdym kroku, tworząc flotę inwazyjną i zbierając na wybrzeżu armię. Moglibyście po prostu poczekać i pozwolić działać siłom historii.

– Ludzie Norau cierpią pod tyrańskimi rządami dziedzicznej arystokracji, księżę Edmundzie – syknęła jadowicie orka. – Obowiązkiem Nowego Przeznaczenia jest uwolnić ich z feudalnych okowów.

– Ludzie Norau głosowali nad swoją konstytucją – odpowiedział zmęczonym głosem Edmund. – Grupy, które od tamtej pory się do nas

przyłączyły zrobiły to po referendum. Nie wcielamy ludzi na siłę do armii i nie poddajemy ich przymusowym Przemianom. I my nie nazywamy Przemienionych obrzydlistwem.

– Tak twierdzisz, książę Edmundzie, ale nie widzę tutaj tych ludzi. Widzę księcia i jego rodzinę.

– Ja jestem jednym z tych ludzi – odezwał się ogniście Herzer. – Wybrałem to życie, a nie wasze, bo widziałem zło, które pojawia się wszędzie tam, gdzie Nowe Przeznaczenie! Będę walczył z wami ze wszystkich sił. I przeklnę was ostatnim tchem!

– Ach, tak. – Etool Shanol uśmiechnął się, jak tylko orki potrafią. – Jego rodzina i pies łańcuchowy. Wierzę, że pani Daneh doszła do siebie po przejściach.

Herzer przemknął pół placu, zanim poczuł powstrzymującą go rękę. Przez chwilę się szarpał, po czym znieruchomiał, dysząc.

– Ty pletwiasty draniu – syknął w końcu. – Choćby miałyby to być ostatnia rzecz w moim życiu, dopilnuję, by twego trup rozdziobały padlinożerne ptaki.

– Widzicie więc to głęboko pokojowe nastawienie Koalicji Wolności. – Shanol zwrócił się do widzów. – Wysłaliśmy pokojowe orki, mieszkańców wody, jak wy. I nieuzbrojony transportowiec, który został brutalnie zaatakowany i zatopiony. Koalicja wystawiła przeciw nam uzbrojony smokowiec, generała i jego gorącokrwistego młodego porucznika, który brał udział w zbrodniach przeciw swojemu własnemu ludowi.

Tym razem Herzer był w stanie zignorować przytyk.

– Moje demony należą do mnie, rybiogęby – powiedział. – Ale ja przynajmniej je kontroluję, a nie pozwalam im wybiegać przed horde.

– Stado, młodzieńcze, stado – westchnęła orka. – A więc widzicie, jak prawdziwy dają wam wybór. Brutalni filozofowie Koalicji Wolności, których celem jest przejęcie władzy nad światem i rządzenie nim tak, jak uznają za stosowne. Albo prosta neutralność i ochrona przed nimi z pomocą Nowego Przeznaczenia.

– Tak, widzimy to bardzo wyraźnie – odpowiedział Jason. – Staranne kłamstwa w ustach drapieżników żywiących się delfinami i waleniami lub proste prawdy ze strony ludzi, którzy udowodnili, że są nam przyjaźni.

– Możesz sobie wierzyć, w co tylko chcesz, Jasonie Rangerze – odpowiedziała spokojnie orka. – Ale my po prostu zjadamy ryby, tak jak wy. Może nie jesteśmy w stanie przeżyć na morskich śliwkach, ale z drugiej strony, kto mógłby, mając jakiś wybór?

W tłumie rozległy się śmiechy, a Edmund rozejrzał się i potrząsnął głową.

– Dyskutowaliśmy z Bruce'em na temat historii – powiedział. – Pamiętam inne grupy, i on też powinien, które w swoim czasie głosiły „nieuchronność”. Dziwna rzecz we wszystkich tych grupach – nazistach, komunistach, wahabbistach, SI Melcona – że w każdym z przypadków żyjący pod ich rządami musieli znosić niewysłowiony ucisk. Nazistom nie podobały się różne społeczności podlegające ich władzy i zmuszali je do niewolniczej pracy lub wybijali w komorach gazowych, zabijając łącznie prawie milion dusz. Komuniści wierzyli, że gospodarka powinna działać w określony sposób, że wszystko należy robić tak, jak oni każą, i w swoim zaślepieniu doprowadzili do śmierci prawie sto milionów ludzi, zanim prawdziwe procesy nieuniknionej historii pozbawiły ich władzy. I wszyscy znają historię wojen SI, zbyt ponurą, by ją powtarzać. A jednak w każdym z tych przypadków strona, która głosiła nieuniknioność historii stawała się tą pokonaną. Przez wolnych ludzi, którzy dobrowolnie szli na śmierć, świadomi, że robią to, by ich dzieci i wnuki – dodał patrząc na Bruce'a – nie cierpiały losu tych szczęśliwych osobników schwytanych w szpony „nieuchronności historycznej”.

– A jednak, mówisz o niewysłowionym losie – odpowiedziała orka. – Ilu ludzi zginęło w Norau, książę? W Czasie Umierania znacznie więcej niż w Ropazji. Ponieważ przywódcy Ropazji dostrzegli potrzebę silnej ręki i dopilnowali, by ich ludzie byli w stanie przetrwać. Mieszkańcy Ropazji nie umierali przy drogach, desperacko szukając ratunku.

– Może cię to zdziwi – odpowiedział sucho Edmund – ale pamiętam te dni. I zdaję się przypominać sobie, że Nowe Przeznaczenie dysponowało znacznie większym budżetem energetycznym niż Koalicja Wolności. Co wiązało się z nielegalnym dostępem do zasobów energetycznych projektu terraformacji. I pozwolę sobie dodać, że razem z Herzerem przerwaliśmy ten dostęp, zapobiegając całkowitemu wyczerpaniu jego energii. Ale zanim się nam to udało, odciągnęli z rdzenia ponad połowę zapasów, cofając projekt o ponad dwieście lat.

To wywołało wśród słuchaczy gniewne szepty. Nawet w czasach przed Upadkiem, projekt terraformacji Wolfa 359 traktowany był jak iskierka nadziei pośród nocy. Jeśli ludzie o czymś marzyli, to o tym, by po zakończeniu wojny oni, ich dzieci lub wnuki mogły kontynuować trwający od stuleci projekt tworzenia nowej, nadającej się do życia planety.

– Kłamstwa i bezczelne kłamstwa – gładko powiedział Shanol. – Pokaż

mi jakiś dowód. Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby jakiś istniał.

– Cóż, do tego musiałbym mieć dostęp do Matki, prawda? – odpowiedział Edmund. – A gdyby tak było, ty byś go zakwestionował. Ale byłem tam, gdy Dionys McCanoc wysadził się w eksplozji energii. To ja umieściłem go w więzieniu z pól siłowych, więzieniu, które zostało zniszczone przez uwolnienie energii w ilości odpowiadającej wybuchowi jądrowemu. Oczywiście zapomniał osłonić siebie, więc więzienie stało się jego grobowcem. Zastanawiam się tylko, skąd miał dostęp do całej tej energii? On, narzędzie Nowego Przeznaczenia, jedyny ocalały członek rady Projektu. Wszyscy pozostali jej członkowie zginęli tajemniczą – lub nie – śmiercią tuż przed i zaraz po Upadku.

– Nazywasz dowodem insynuację i supozycję? – zapytał Shanol z beczelnym śmiechem. – Ale odchodzimy od tematu. Chcesz, żeby ci dobrzy ludzie narażali życie w przegranej sprawie. A my chcemy tylko, żeby zachowali neutralność. Jako dowód naszej dobrej woli mieliśmy dla nich towary: sieci, haczyki, pułapki i harpuny. Niestety, wszystko to zostało zniszczone przez Koalicję Wolności. To dowód, nie insynuacja.

– I, jak już powiedziałem, jestem pewien, że było to tylko pokojowe spotkanie na morzu – odpowiedział Edmund. – Że wasz statek w żaden sposób nie zaatakował nieuzbrojonego klipra.

– Jeśli był nieuzbrojony – warknęła orka – to jak zatopił naszą karawelę?

– To, muszę przyznać, jest dla mnie całkowitą zagadką – powiedział Edmund. – Szczerze.

– Wszystko, co wiem, to fakt, że z klipra wystrzelili jakieś urządzenie. Czarne i małe jak żółty lucjan. Ale statek zatrzymał się i z jego pokładu zaczęła spływać krew.

Edmund odwrócił się, słysząc cichy śmiech i spojrzał na Bast, która patrzyła na niego z rozbawieniem w oczach.

– Nie cieszysz się, książę Edmundzie – powiedziała – że zabrałam ze sobą tego piekielnego królika?

Edmund zaczął chichotać, ale po chwili roześmiał się w głos.

– Tak myślisz?

– Aye, dokładnie. Mały obiekt? Spływiki pełne krwi?

– Biedni dranie bez szans – dorzucił Herzer, też ze śmiechem. Obrócił się do Jasona i szeroko się uśmiechnął. – Powiedzmy po prostu, że mamy tajną broń. Zazwyczaj nie działa, ale kiedy już odpali...

– Spływiki pełne krwi? – powiedział Jason, głośno przetykając. – No, nie wiem.

– Nie widziałeś terenów, przez które przeszły siły Nowego Przeznaczenia – odparł Herzer. – Nie stałeś przed ich Przemienionymi orkami, nie stawałeś na ruinach domów i wśród trupów ludzi, których zostawili za sobą – mówił dalej Herzer, próbując się opanować, ale zdając sobie nagle sprawę, że przepelniająca go furia wyrwała się spod kontroli. – Nie widziałeś ich kotłów z jedzeniem, gdzie z gotującej się wody wystawały nogi dzieci.

– Kłamstwa, wszystko to kłamstwa! – ryknęła orka, podpływając do nieprzemienionego człowieka. – Odwołaj te oszczerstwa!

– Kiedy ty odwołasz swoje, ty... ty... czuję w twoim oddechu zapach delfiniego mięsa, niczym smród rozsiewanych przez ciebie kłamstw!

Orka posłała w niego falę dźwięku i machnęła mocno ogonem do przodu, uderzając porucznika falą wody z siłą młota. Herzer został odrzucony do tyłu i na wpół ogłuszony. Ale przywykł do walki w takim stanie i zanim przestał się wywracać w wodzie, w jego dłoni już pojawił się nóż i wystartował w górę i prawo, próbując dostać się do orki od boku.

Orka nagle stwierdziła, że dwa silne palce wbiły się w jej otwór oddechowy, a w oko celuje długi, wąski sztylet.

– Spróbuj tylko ugryźć mojego chłopaka – warknęła Bast – a wsadzę ci go aż do mózgu.

– Nie odważyłabyś się – powiedziała orka.

– Zabijałam lepsze orki od ciebie – wyszeptwała, patrząc mu w oko. – Ach, jesteś psychopatycznym potworem. Ale z drugiej strony, ja też – dodała, po czym wciągnęła głęboko powietrze i wyemitowała długi, niezmiernie krzyk ultradźwiękowy, który odbił się echem od ścian placu.

Herzer przesunął się i znieruchomiał, gdy jego ciało zalały odbicia niezmiernie głośnego, multitonowego skrzeku. Był to najbardziej wykrcający wnętrzości dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszał, włącznie ze śmiertelnym jękiem koni.

– Dość! – krzyknął Bruce. – Herzer, Bast, nie odwiedzajcie więcej tego miasta! Ambasadorze Shanol, jestem zmuszony zezwolić na twoją dalszą obecność, ale jeszcze jeden taki wybuch i tobie również zakazę tu wstępu, włącznie z twoim stadem. Czy to jasne?

– Tak – odpowiedział ambasador, wypuszczając bańki w odruchu przypominającym odchrząknięcie. – Ja... żałuję swojego wybuchu. Ale stwierdzenie, że mógłbym jeść ciało moich dobrych przyjaciół, delfinów... sam rozumiesz.

– Nie będę tolerował żadnej walki – oświadczył Bruce. – Tyle rozumiem. Książę Edmundzie?

– Herzer jest członkiem mojej grupy – rzekł Edmund. – I, muszę dodać, bardzo przysłużył się tej społeczności. Ale przyjmuję, że nie wolno mu zbliżać się bardziej niż, powiedzmy, sto metrów do centralnego placu. To oznacza, że jeśli zechcemy się spotkać, każdy z nas będzie miał taką samą drogę do przebycia. A co do Bast – westchnął – ona udaje się tam, gdzie sama zechce.

– Nie wrócę do tego miasta, o ile nie zostaną zaproszona – oświadczyła elfka. – Ale lepiej, żeby te stworzenia trzymały się z dala ode mnie albo nauczę je, co naprawdę oznacza mit o łańcuchu pokarmowym.

– Zgoda – powiedział Bruce. – I, ambasadorze Shanol, ty i twoje stado macie się trzymać z daleka od naszych gości z kontynentu. Na pierwszy znak dalszego konfliktu zamierzam przegnać obie grupy.

Herzer zdążył już schować nóż i teraz uklonił się Edmundowi, po czym odwrócił się i popłynął w stronę brzegu w towarzystwie Bast. Kiedy przepływał nad jednym z kanionów, wypłynęły z niego Antja i Elayna, a obok pojawili się Pete i Jason.

– To niesprawiedliwe – powiedział ze złością Pete. – Ten cholerny zjadacz delfinów cię atakuje, a ty zostajesz wyrzucony. Przecież to nie ty pierwszy go uderzyłeś, tylko on ciebie.

– Właśnie – dodał Jason. – Nic ci nie jest?

– Bywało gorzej – stwierdził Herzer.

– Zauważyłam blizny – powiedziała Antja. – Ale nie chciałam pytać cię o rękę.

– Cóż, myślę, że już czas o nich opowiedzieć – oświadczył Herzer. – Ale nie tutaj. Na brzegu, gdzie nie przyjdą rybiogębi.

Rozdział 26

Herzer właściwie ucieszył się, że mógł wyjść z wody. On też tracił na wadze na wysokobiałkowej diecie i w ciągłym chłodzie. Miło było znów poczuć na plecach ciepłe słońce wosp.

– Po Upadku przyłączyłem się do grupy faceta o nazwisku Dionys McCanoc – zaczął Herzer, gdy grupa ulokowała się na brzegu.

– Spotkałam go – wtrąciła się Bast. – Drań. – Usiadła za plecami Herzera i zaczęła masować mu kark. – Pozwól, że ja zajmę się orkami, kochany. Ale jeśli będziesz musiał z którąś walczyć, pamiętaj, że są naprawdę wrażliwe na punkcie otworów wydechowych. Chwyć którąś za nią, a będzie tak, jakbyś chwycił faceta za jaja. No wiesz, w walce, a nie...

– Wiem – odpowiedział Herzer, uśmiechając się. Bast wszystko potrafiła zmienić w żart, co chyba było jedynym sposobem, na życie tak długie jak jej. – W każdym razie, McCanoc.

– Nie wspominał o nim Edmund? – zapytał Pete, gdy z wody wyciągnął się Jason.

– Beznadzieja – oświadczył Jason, wypelzając z wody i podczołgując się do grupy. – Miałem ochotę poczęstować włócznią tego aroganckiego drania z Nowego Przeznaczenia.

– Jak my wszyscy – zapewnił go Jackson. – Bast, to było niewiarygodne, nawet nie widziałem jak się ruszasz, po prostu nagle się tam znalazłaś.

– Bast jest elfem – powiedziała Bast, po czym uniosła rękę, żeby powstrzymać komentarze. – Wszyscy zdają się myśleć, że elfy to ludzie. Nie. Elfy zostały zaprojektowane od podstaw. Nie stworzyła nas żadna przypadkowa ewolucja. Wyglądamy trochę jak ludzie, ale nimi nie jesteśmy. Lepsi, silniejsi, szybsi, co jest bardzo starym żartem. Ale też... szczęśliwsi. Mniej... poważni od ludzi.

Ludzie, ze swoimi krótkim życiem zawsze żyją chwilą obecną, co na swój sposób jest dobre. Ale elfy połowę czasu spędzają we śnie, co jest jedynym sposobem na przeżycie tysiącleci. Ja mam skłonność do spędzania większości czasu w teraz. Czasem to bolesne. Będę żyć dalej, gdy Herzer osiwieje, penis mu zwiotczeje, a potem umrze. I będę go pamiętać, tak jak pamiętam dziesiąty – i setki innych. I wszystkich kochać. Jak długo żyje Bast, żyją w jej sercu – powiedziała, uderzając się w pierś. Ale Bast nie jest człowiekiem, nawet Przemienionym. Bast jest elfem. I co niemożliwe jest nawet dla większości Przemienionych, jest normalne dla elfów. Ciescie się,

że elfy są tak szczęśliwe. Gdyby tak nie było, na ziemi szybko przestaliby występować ludzie.

– Czyli nie jesteście rasą Przemienionych? – zapytała Antja. – Jak syreny czy delfiny?

– Nie. – Bast potrząsnęła głową. – Nasza rasa została stworzona, jak smoki I jak większe smoki dysponujemy możliwościami, które zostały w końcu uznane za zbyt niebezpieczne, żeby pozwolić nam swobodnie się mnożyć. Większość z nas wycofała się do Elfheimu i żyje we Śnie.

– Jakimi możliwościami? – spytał Jason.

– Ta wiedza ograniczona jest dla elfów, Matki i Rady – odrzekła z uśmiechem Bast. – Ale wiedz, że mogę pokonać dowolną orkę i to zapewne więcej niż jedną, z maską czy bez. I tyle mogę ci powiedzieć – potrafię wstrzymać oddech tak długo, jak delfin. Jak dotąd, maska nie była mi potrzebna.

– Szlag – wymamrotał Jason.

– I jestem w wodzie równie szybka, jak syreny – dodała. – A także mogę to tempo utrzymać równie długo, jeśli nie dłużej. Wskazała na kamień leżący na piasku obok Jasona. – Rzuć kamieniem.

– Tym? – spytał Jason, podnosząc go.

– Rzuć. Mocno. Żeby uderzyć.

– Nie chcę cię uderzyć – zaprotestował Jason.

– Nie zrobisz tego – zapewniła go Bast. Czekwała, opierając się na ramieniu, z drugą ręką na boku Herzera, aż Jason rzucił. Złapała mocno ciśnięty kamień w powietrzu i cisnęła nim w urwisko tak mocno, że pękł przy spotkaniu ze skałą, przy czym połowa wbiła się w miękkie wapienie.

Wstała i wskazała na dość odległy kawałek plaży.

– Widzicie ten duży kamień? – spytała i wystartowała.

Pędziła niesamowicie szybko, a przecież biegła po piasku. Jego ziarenka unosiły się za nią w powietrzu niczym ogon, a pod koniec biegu pokonywała za każdym susem dobre pięć metrów, sunąc bardziej jak gazela niż człowiek. Ale na końcu zatrzymała się niemal w miejscu i zaczęła wracać, wykonując gwiazdy do tyłu prawie równie szybko, jak przy biegu w tamtą stronę. Cała grupa siedziała z otwartymi ustami. Zakończyła wyrzutem i saltem w powietrzu, przy którym najniższy element jej ciała wyleciał ponad dwa metry nad ziemię – W skoczyła w powietrze na prawie dwie wysokości swojego ciała.

– Nie człowiek – oświadczyła Bast, siadając z powrotem w pozycji lotosu nie mając nawet przyspieszonego oddechu. – Wygląda trochę jak człowiek,

ale mniej ludzka od szympansów. – Uśmiechnęła się do Herzera. – Nie skomentuję jakie są tego moralne konsekwencje przy parzeniu się.

– Elfy zostały stworzone jako superżołnierze przez Unię Północnoamerykańską – dodał Herzer. – Bast...

– Bast została stworzona przez korporację Nissei w trakcie wojen SI – posiedziała Bast. – „Tania japońska podróba”, co nawet wtedy było bardzo starym dowcipem. – Szeroko wyszczerzyła zęby. – Ale nie taka zła ta podróba, co?

– Zdecydowanie niezła – potwierdził Jason. – Rety.

– Bast, mam pytanie – wtrącił Herzer. – Co to był za... okropny dźwięk, który wydałaś z siebie, trzymając Shanola?

– To był krzyk myśliwski orek – wyjaśnił Jason z drżeniem. – Słyszałem go już wcześniej.

– Są dwa rodzaje orek – dorzuciła Antja. – Istnieją stada, które zasadniczo trzymają się jednego rejonu i polują na ryby. Drugi rodzaj to stada wędrowne, które polują na morskie ssaki. Są praktycznie identyczne, ale nomadzi używają tego... dźwięku przy polowaniu. I choć wyglądają tak samo, to stanowią w zasadzie dwa podgatunki. A ten dźwięk... jest upiorny jak diabli.

– Faktycznie jest – zgodziła się Bast. – Kiedyś uważano, że to z niego wziął się okrzyk banshee. Ale wracając do rzeczy, Herzer już tłumaczył niektóre ze spraw, o których mówił zjadacz delfinów i Edmund.

– Właśnie, Herzer – znów włączyła się Antja. – Chciałabym wiedzieć, co takiego powiedział, że tak się wkurzyłeś za pierwszym razem. Coś o doktor Daneh.

– Jak już mówiłem, przyłączyłem się do Dionysa McCanoca – zaczął ponownie Herzer, na chwilę znów wspominając tamte dni i widząc szerokiego jak dom McCanoca, jakby wciąż żył. – To... przepraszam, muszę najpierw powiedzieć parę słów wprowadzenia. Ja... wiedziałem, że nie jest najlepszym człowiekiem na świecie. Nie, będę bardziej szczerzy. Tuż przed Upadkiem odkryłem, że jest ześwirowanym draniem. Ale... kiedy dorastałem, miałem chorobę genetyczną, która niszczyła mi nerwy. Przez cały czas się trząsałem i miałem problemy z mówieniem. I robiło się to coraz gorsze i gorsze. Nie miałem wielu przyjaciół. A kiedy bardzo mi się pogorszyło, zostałem praktycznie sam. McCanoc... wykorzystał to i wciągnął mnie do swojego kręgu. Zasadniczo jako obiekt żartów. Ale kiedy mi się poprawiło, kiedy doktor Daneh w końcu mnie wyleczyła, wciąż się go trzymałem. Aż do tuż przed Upadkiem, kiedy postanowiłem się od niego

zdystansować.

– Co się stało? – zapytała Elayna, przechylając głowę na bok.

– Drań Dionys przygotował gwałt na homunkulusie – wyjaśniła Bast. – Małej dziewczynce, zaprogramowanej na strach przed seksem.

– I... zaprosił mnie – kontynuował Herzer. – Problem polegał na tym, że jak zdawał sobie z tego sprawę... bardzo mnie to kusilo. – Podniósł wzrok na grupę i zobaczył reakcje od niedowierzania do oburzenia. – Jak powiedziałem, mam swoje demony.

– I to bardzo potężne – odezwała się Bast, klepiąc go po nodze. – Uwielbiam, kiedy spuszczasz je ze smyczy.

– Bast! – obruszyła się Antja.

– Hej, czasem fajnie jest pobawić się ostro – odpowiedziała Bast. – Herzer jest bardzo delikatnym kochankiem, kiedy tego chce, prawda, Elayna?

Dziewczyna mocno się zaczerwieniła, ale kiwnęła głową.

– Bardzo miłym – wydusiła z siebie.

– Wszyscy mają swoje demony – rzekła Bast, patrząc na morze. – Pytanie brzmi, czy to my rządzą nimi, czy one nami?

– Nie złość się zbytnio na Herzera – powiedział Jason, patrząc na Antję. – Chyba, że nigdy nie myślałaś o niektórych z zabaw, w jakie się czasami bawimy. „Kto jest moją dziewczynką?” z włosami związanymi w ogonki?

Tym razem to Antja się zaczerwieniła, ale kiwnęła tylko głową Herzerowi żeby mówił dalej.

– W każdym razie, od tamtej pory zacząłem unikać McCanoca. Aż do Upadku – Herzer westchnął. – Znalazłem go, albo on mnie, krótko potem. I... trzymałem się z jego grupą. Nawet nigdzie nie szliśmy, czekaliśmy na... niewiadomo na co. McCanoc ciągle mówił o tym, że przyjdą po niego przyjaciele. A potem skończyło się nam jedzenie i McCanoc uznał, że musimy... zabierać je przechodzącym.

– Bandyci – rzucił Jason.

– Och tak – potwierdził Herzer. – W jego ustach brzmiało to prawie romantycznie. Gdyby nie ciągły deszcz i głód. Myślałem raczej o proszeniu o jedzenie u przechodzących do czasu, aż z nieba spadnie oczekiwana przez McCanoca manna. Albo o opuszczeniu grupy, choć McCanoc powiedział, że uznałby to za dezercję. Ale zanim zdążyłem się zdecydować, jeden z nich złapał pierwszego przechodnia. Którym okazała się doktor Daneh.

– O, cholera – rzucił Pete. – Co zrobiłeś?

– Cóż, McCanoc, ponieważ był bardzo dla mnie życzliwy, zaoferował

mi, żebym zgwałcił ją jako pierwszy – powiedział Herzer z kamienną twarzą. – Było ich ośmiu, McCanoc miał miecz, pozostali noże. Ja byłem nieuzbrojony. A więc zrobiłem jedyną rzecz, jaką zrobiłby w takiej sytuacji prawdziwy bohater – uciekłem.

– Szlag – powiedział Jason, potrząsając głową. – Nie bardzo mogłeś cokolwiek zrobić. Poza bezsensownym zginieniem.

– Nie mówiłaś nam o tym – odezwała się Antja, oglądając się na Rachel. – Czy to było wtedy, gdy szłyście do miasta, Raven’s Mill?

– Tak – potwierdziła Rachel ze ściśniętym gardłem. – Nie mówiłam. Nie jest to coś, o czym opowiadam wszystkim, których spotkam. Nawet ludziom, których lubię. I... potrzebowałam długiego czasu, żeby to zrozumieć, ale Jason ma rację, Herzer nie mógł nic zrobić, może poza zginieniem, i może doprowadzeniem przy okazji do śmierci mamy. W pewien sposób wymagało to więcej odwagi, więcej rozsądnej odwagi: ucieczka i poszukanie broni, zamiast zostania i śmierci.

– Cóż, pewnie wszyscy mamy swoje tajemnice – powiedziała Elayna, dziwnie patrząc na Herzera.

– Tak, ale noce wcale przez to nie są łatwiejsze – szepnął Herzer, zaciskając szczęki. – Rzeczywiście szukałem broni, czegokolwiek solidnego, ale wróciłem, kiedy już... skończyli. Pomogłem doktor Daneh i Rachel w drodze do Raven’s Mill, a potem przy pierwszej okazji wstąpiłem tam do wojska. Od zawsze interesowały mnie gry wojenne, przed Upadkiem bawiłem się rozszerzoną rzeczywistością. Ale... nie powiem, że i tu nie pognały mnie moje demony. Wtedy byłem już bardzo dobry w gniewie. Chciałem coś zabić, coś wypatroszyć, najchętniej McCanoca, ale nadałby się ktokolwiek.

– Kilka miesięcy później miałem to szczęście, że McCanoc pojawił się na czele małej armii. Bardzo intensywnie trenowaliśmy, ale i tak było ich dziesięć razy więcej niż nas, a większość jego armii stanowili Przemienieni. Są bardzo silni, agresywni i trudno ich zabić. Jednak pokonaliśmy najeźdźców, głównie dzięki wymanewrowaniu ich na umocnione pozycje i wyrzneliśmy. McCanoc był dobrym taktykiem. W końcu jednak zaatakował osobiście, a miał zbroję energetyczną i jakiś rodzaj pola nanitowego. Próbowałem go zatrzymać i zarobiłem to – powiedział, wyciągając protezę.

– Ja też próbowałam go zatrzymać – wtrąciła się Bast. – Zbroja była zbyt mocna. Miecze i moja szabla po prostu odbijały się od pola. Nienawidzę zbroi energetycznych. Chyba że sama ją noszę.

– W każdym razie Edmund go pokonał – podsumował Herzer.

– Jak? – zapytał Jason. – Zbroja energetyczna, pole nanitowe? Co takiego u diaska zrobił, utopił go?

– Słyszałeś kiedyś o Karolu Wielkim z Anarchii? – zapytał Herzer z chytrym uśmieszkiem.

– Przejął władzę nad Anarchią jakieś, uch, sto lat temu? – odparł Jason. – Rządził tam w pokoju przez dziesięć lat, ustawił rząd i zniknął?

– Nie zniknął – wyjaśnił Herzer. – Przybrał imię swojego nieżyjącego brata. Edmunda.

– O cholera – skomentował Jason. – Żartujesz!

– Nie, codziennie się z nim spotykacie – roześmiał się Herzer. – Powiedzmy po prostu, że największy płatnerz świata nie zamierzał walczyć bez zbroi energetycznej i odpowiedniej broni. Bast, jak mogłabyś pokonać księcia Edmunda?

– Silna kusza – odpowiedziała poważnie Bast. – Minimum dwieście metrów. W plecy. To jedyny sposób dający szansę na przeżycie.

* * *

– No proszę, znów wpakowałeś nas w paskudną sytuację – powiedziała Daneh.

– Zgadza się, kochanie – wymamrotał Edmund – zgadza się. Zatrzymali się w jednym z przepływów w rafie i przyglądali się pływającym nad placem syrenom, nagle znacznie bardziej nerwowym. Ze szczeliny zbyt głębokiej, by do niej sięgnąć nerwowo wymachiwała na nich czułkami langusta. – Statek się spóźnia – zauważyła Daneh.

– Nie to mnie martwi – odpowiedział Edmund.

– A walka z orkami w wodzie nie będzie łatwa – dodała Daneh. Ale nie to mnie martwi – powtórzył Edmund.

– No dobrze, Salomonie – spytała Daneh zirytowanym głosem. – W takim co cię martwi?

– Kiedy tu dotarłem, znałem imię Bruce Czarny, ale nie wiedziałem nawet jak wygląda – wyjaśnił Edmund. – Nie znałem z imienia żadnego innego trytona czy syreny. I nie wiedziałem, że Nowe Przeznaczenie wysyła swoją misję.

– Szlag, nie zwróciłam na to uwagi – przyznała Daneh. – Wiedział, jak wygląda Bruce. Znał nazwisko Jasona. Wiedział o mnie i Herzerze.

– A to wskazuje na cholernie skuteczną siatkę wywiadowczą – powiedział Edmund. – A wywiad to połowa bitwy. Pozwoliłem Sheidzie

zająć się tą stroną zakładając, że poradzi sobie równie dobrze jak wróg. Nic z tego. Szlag!

– Co zamierzasz z tym zrobić? – spytała Daneh.

– Stąd nie jestem w stanie, praktycznie, nic zrobić – odpowiedział książę.

– Poza dowiedzeniem, że to tylko połowa bitwy. Ale kiedy wrócimy, zacznę zadawać trochę trudnych pytań i nie będę przyjmował odpowiedzi na słowo. Wiedzieli o smokowcu. Byli w stanie go przechwycić. Z drugiej strony, jak dotąd bardzo kiepsko wykorzystali swoje informacje wywiadowcze. Zdradzenie się z tym, że wiedzą tak dużo, było głupie.

– Może wiedzą nawet jeszcze więcej – zauważyła Daneh.

– Jestem pewien, że tak – zgodził się Edmund. – Ale nie o to chodzi. Skąd wiedzieli, że smokowiec płynie północną trasą? Skąd wiedzieli, gdzie jest? Przechwycenie statku na morzu nie jest łatwe, nawet jeśli wiadomo, gdzie mniej więcej powinien być.

– Myślisz, że ktoś ze statku przekazuje im te informacje?

– Musi – potwierdził Edmund. – A także źródła na lądzie. Oraz kogoś, kto składa je w spójne informacje i podaje dalej te istotne kawałki.

– Możesz dwa razy zgadywać, kto robi to na statku – powiedziała cierpko Daneh. – Ale tylko jeden raz się liczy.

– Jeśli masz na myśli królika – odpowiedział Edmund – możesz mieć rację. Ale nie spieszyłbym się tak. Muszę przyznać, że to pasuje do jego programu. Ale nie jestem pewien sposobu. Czy ma jakieś wewnętrzne czujniki? Jeśli nie, to skąd wiedział, gdzie byli? Jak się komunikuje? Czemu niszczy karawelę, jeśli ją sam sprowadził?

– W takim razie kto? – zapytała Daneh.

– Nie potrafię czytać myśli – odparł Edmund. – Ale kiedy smokowiec tu dotrze, przeprowadzimy dyskretne śledztwo. Wiemy już, że jest blisko, skoro orki były przy tamtej walce. Z drugiej strony, mogły świadomie udzielać fałszywych informacji. Ale biorąc pod uwagę sposób, w jaki robiły to wcześniej, wątpię. Nie zawsze można liczyć na to, że przeciwnik jest głupi, ale miło jest, kiedy tak się dzieje.

* * *

Shanol zatrzymał się nad jedną ze szczelin i rozejrzał się, jakby kontemplował podmorski krajobraz.

– Zabrali smoki – zapulsował głos z ciemności w dole.

– Poinformowano nas, że mogą to zrobić – Odparła orka. – To nie

próbujcie.

– To ty tak myślisz. One potrafią pływać i polować pod wodą. Ten duży zasmakował w rekinach, przegryza je na pół.

– Nic, co wyhodowano do lotu nie może nam dorównać w wodzie.

– Nic nie może się stać Elayni – powiedział głos.

– Jak obiecano, kiedy skończymy, będziesz mógł sobie wybierać syreny. Choć muszę przyznać, że to smaczny kąsek.

– W takim razie Elayna i Antja – zabrzmiał głos. – Choć Elayna nie ma najlepszego gustu na świecie. Pływała z tym palantem Herzerem.

– Niewątpliwie tworzyli ciekawą parę – zachichotał Shanol.

– Gdzie są płaszczki?

– W pobliżu, czekają na mój sygnał. Jeśli uda się nam rozwiązać ten problem pokojowo, ograniczymy się do tego. Jeśli nie... trzeba będzie podjąć inne kroki. Dość się im podlizywałem. Bądź gotów, gdy przyjdzie czas.

– Tylko upewnij się, że płaszczki wiedzą, którzy są ci dobrzy – powiedział głos. – Nie chcę zostać w to schwytyany.

– Och, one to doskonale wiedzą – wyemitowała z humorem orka. – To właśnie w nich będą mierzyć.

* * *

– Bruce wezwał obu ambasadorów na spotkanie na miejskim rynku. Spojrzał na obu i potrząsnął głową.

– Wyglądacie jak para dzieci, klóćca się na szkolnym podwórku – zaczął. – Ze wszystkich stron otacza was piękno, a jednak wszystko, co widzicie, to wasz konflikt. Cóż, nie pozwolę, żeby dotarł i do nas. Wybadałem nastroje społeczności i niniejszym przedstawiam wam moją decyzję: syreny nie opowiedzą się po żadnej stronie. Nie potrzebujemy niczego od żadnego z was, przynajmniej nie na tyle, by warte to było związanych z tym kłopotów. Taka jest moja decyzja, ostateczna i nieodwołalna. Proszę, żeby obie grupy opuściły nas i więcej nie wracały.

– Jeśli o mnie chodzi – odezwał się Shanol – wasza neutralność to wszystko, czego chciałem. Moje zadanie tutaj jest zakończone i wraz z moim stadem niezwłocznie odpłyniemy.

– Cóż – stwierdził Edmund. – Czekamy na żaglowiec. Prosimy o pozwolenie zostania do jego przybycia. Zresztą i tak mam jeszcze do dopracowania pewne szczegóły z Jacksonem. Wciąż uważam, że potrzebujecie większej ilości materiałów i pracuję nad listą, którą przekażę

handlarzom. Ale odpłyniemy niezwłocznie po przybyciu naszego żaglowca.

– Dobrze – zgodził się Bruce. – Możecie zostać do jego przybycia. Mam nadzieję, że nastąpi to niedługo?

– Myślę, że w ciągu dnia lub dwóch. Już jest spóźniony.

– Musiał się zatrzymać, żeby spalić niewinny transportowiec – wtrąciła złośliwie orka.

– Dość – uciął Bruce. – Zdecydowanie tu tego nie chcemy. Shanol, odpłynij już. Edmundzie, ty najszybciej jak to możliwe.

– Bardzo dobrze – odpowiedział Shanol. – Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze w lepszych czasach. – Po tych słowach machnął ogonem tak, że woda mocno uderzyła w Edmunda i odpłynął w stronę otwartego morza, gwizdząc do swojego stada.

Rozdział 27

Następnego dnia świt znów wstał pogodny i zanim całkiem rozwiały się poranne mgły, smoki wystartowały, szukając ławic większych ryb.

Koo i Vickie zostali na łądzie, więc z jeźdźców Herzerowi towarzyszył tylko Jerry, który był najlepszym pływakiem. W śmieciach sprzed Upadku Jackson wygrzebał parę płetw i maskę z rurką, pasującą na jeźdźca, który zamierzał w jak największym stopniu uczestniczyć w polowaniu. Elayna została w obozie, ale w grupie znaleźli się Jason, Pete, Jackson i starszy tryton imieniem Bill. Bast także postanowiła zostać w mieście.

Wlecieli do góry spiralą – z braku prądów termicznych i wiatru smoki musiały użyć do wzbicia się wyłącznie swojej siły – i zaczęli rozglądać się za jakimkolwiek ruchem. Ale powierzchnia oceanu na ogromnej przestrzeni była gładka jak lustro i nigdzie nie było widać śladu migrujących ryb.

– Obawiam się, że dzisiaj musimy się ograniczyć do ryb z raf – zmartwił się Jerry.

– Wszystko jedno – warknęła Joanna. – Jestem piekielnie głodna.

– Gdybyśmy mogli się jeszcze chwilę wstrzymać – odezwał się Bill. – Czasami ławice czekają na odpływ przy przesmyku Roberta. To nie jest daleko stąd.

– Mniej więcej tam, gdzie poleciliśmy na polowanie pierwszego dnia – wyjaśnił Pete.

– Możemy spróbować – burknęła Joanna. – A jeśli nic tam nie będzie, zjemy albo ryby rafowe, albo trytony, które wysyłają nas na bezsensowne wyprawy.

Herzer obejrzał się i skierował wzrok na wschód, mrużąc oczy z powodu wschodzącego słońca i dostrzegł błysk na powierzchni.

– Czekajcie – powiedział, wykręcając Chaunceya na ogonie. – Coś tam jest.

– Delfiny – rzucił Jason, gdy Nebka wykręcił za Joanną. – Przynajmniej tak myślę.

– Delfiny – potwierdziła Joanna. – Widzę zaokrąglone czoła.

– Stąd? – zapytał Pete. Jechał zamocowany za Jerrym i z wysiłkiem próbował dostrzec to, o czym mówią.

– Mogę dostosować swoje oczy do widzenia na duże odległości – wyjaśniła smoczyca. – To delfiny. Ale...

– Czemu stoją na ogonach? – zapytał Herzer. Było ewidentne, że stado

nie płynie, tylko rzuca się przy powierzchni. Jakby próbowały ściągnąć na siebie uwagę?

– Nie wiem – stwierdziła Joanna. – Ale coś płynie na nie od strony miasta. Coś podwodnego.

– Komandorze – odezwał się Herzer. – Z całym należnym szacunkiem, sugerowałbym, natychmiastowy powrót do miasta.

– To orki – warknęła Joanna. Cała grupa szybowała już w stronę delfinów, a teraz większy smok zaczął machać skrzydłami, przyspieszając. – Polują na nie.

Weszła w stromy lot ślizgowy, z którego wyszła, przelatując nad delfinami. Została w locie poziomym z czubkami skrzydeł tuż nad powierzchnią wody, aż znalazła się nad orką. Niezależnie od tego, czy było to efektem szczęścia czy idealnego wymierzenia, zrobiła to akurat w chwili, gdy niczego niespodziewająca się orka wynurzyła się na powierzchnię. Kiedy to zrobiła, wszystkie cztery szpony wystrzeliły w dół i zatopiły się w jej skórze.

Chwilę po uderzeniu wykręciła w górę, a ponieważ leciała z prędkością prawie czterdziestu klików, potężny ssak morski został wyrwany z wody równie zgrabnie, jak ryba upolowana przez rybołowa.

Jednak masywna orka ważyła spory procent wagi smoczycy i Joanna szybko odkryła, że utrzymanie jej nad wodą nie było tym samym, co wyciągnięcie z niej. Po kilku desperackich wymachach skrzydeł uwolniła walenia i pozwoliła krwawiącemu spaść z powrotem do oceanu.

Orka jednak zdała się dojść do wniosku, że ma już dość i zanurkowała w stronę rafy przy dnie, uciekając na otwartą wodę i z dala od delfinów.

– Tylko pokojowi dyplomaci, co – warknęła Joanna, ponownie nabierając wysokości. Wykręciła w stronę wioski, ale obejrzała się na krwawy ślad, pozostawiany za sobą przez orkę. – Pa, pa, robaczku.

– Musimy zejść na dół! – krzyknął Jason.

– Zajmę się tym razem ze smokami – odpowiedziała Joanna. – Herzer, jaskinia porodowa.

– Szlag! – krzyknął, wykręcając Chaunceya w stronę lądu, podczas gdy reszta smoków zaczęła wodować na płycznach. – Wróć!

* * *

Rachel czekała na ojca, który rozmawiał właśnie z jednym ze starszych trytonów w cieniu skalnego nawisu. Tryton kiwał głową, słuchając Edmunda,

wyraźnie zgadzając się ze słowami generała. Edmund krążył po okolicy, od kiedy tylko Bruce rozkazał im odejść aż do późna wczorajszej nocy i teraz, jeszcze przed śniadaniem, zajął się tym znów. Wydawało się, że osiągnął jakieś poroży mienie i właśnie zaczynał odpływać, gdy z odległości rozległ się przenikliwy pisk.

Dziewczyna przyzwyczaiła się już do ciągłego tła dźwiękowego w morzu. Nieustannie docierały do niej trzaski, które podobno wydawały krewetki, choć rzadko je widywała. Co chwila słyszała też sonarowe sygnały delfinów kręcących się na obrzeżach miasta. To jednak było inne, dźwięk sprawił, że zaswędziały ją zęby i miała ochotę zerwać się i uciekać.

Kiedy dźwięk dotarł do Edmunda, zdało się, że go rozpoznał i skierował się ponad poziom koralu, a Rachel popłynęła za nim.

Kiedy wypłynęli ponad koral, wykręciła się, szukając źródła dźwięku, ale zamiast tego zobaczyła szereg płaszczkowatych kształtów nadpływających od strony wschodzącego słońca.

– Atak! – krzyknął Edmund w chwili, gdy płaszczki opadły na zatłoczony rynek.

Stworzenia, Przemienieni ludzie, o rozmiarze mant i ze skrzydłami o prawie trzy metrowej rozpiętości, zamiast miękkich ust do filtrowania planktonu miały pionowe paszcze pełne rekinich zębów. Rachel zobaczyła, jak spod brzucha jednego z wiodących ixchitli wystrzeliwuje lina z kościanym grotem, uderzając w trytona, z którym rozmawiał Edmund. Tryton szarpał się przez chwilę, po czym opadł bezwładnie, gdy lina zaczęła zwijać się z powrotem do płaszczki. Kiedy wciąż drgający tryton dotarł do brzucha ixchitla, stworzenie rozerwało jego ciało, odrywając wielkie kawały, a płytka woda wokół niego zabarwiła się na czerwono. Kolejne strzałki padały pośród syren, gdy te próbowały uciekać we względne bezpieczeństwo skalnych półek i przesmyków.

Z jednego z nich wyłonił się nagle Czarny Bruce, trzymając w dłoniach włócznię z kościanym grotem, i rzucił się na ixchitle. Trafił jedną z bestii w paszczę i mocno pchnięta włócznia przebiła się przez nie, wychodząc grzbietem w fontannie krwi. Ale w chwili gdy zabijał jednego, inny ixchitl trafił go strzałką i przywódca syren zadygotał, gdy jego żyłami zaczęła krążyć neurotoksyna.

– Schowaj się! – krzyknął na Rachel Edmund, wyciągając nóż.

Dziewczyna ukryła się pod korałem, ale nie przestała przyglądać się ojcu z przekonaniem, że czeka go los podobny do Bruce'a. Edmund jednak zdawał się unikać strzałek ixchitli, jakby walczył z nimi całe życie.

Zobaczyła, jak przecina jedną lecącą w jego stronę i chwytą cofający się pod brzuch bestii organ. Kiedy dotarł do ixchitla, wprowadził nóż w jego odbył i ciął do góry, wypruwając mu flaki. Kiedy stworzenie zaczęło się miotać w agonii, generał wsadził ramię w szczelinę i chwycił coś w środku, przesuując ixchitla i blokując nim całą chmarę sunących w jego stronę strzałek. Wykorzystał ciało przeciwnika w charakterze olbrzymiej tarczy.

Tarcza była maksymalnie nieporęczna, ale Edmund nie zamierzał ograniczyć się do obrony. Wolną ręką sięgnął i złapał linkę wbity w Bruce'a, pozwalając się podciągnąć wraz z tarczą do ixchitla, który przygotowywał się do rozszarpania przywódcy syren. Potwór najwyraźniej domyślił się jego planów, bo zaczął się dziko szarpać, ale z powodu obciążenia utrzymaną przez ixchitla martwą płaszczką nie był w stanie nabrać prędkości. Najwyraźniej nie miał świadomej kontroli nad cofającym się harpunem. Edmund został w końcu podciągnięty do brzucha bestii. Wypatroszył ją kolejnym potężnym ciosem, po czym odciął linkę, zostawiając Bruce'a, który powoli opadał w stronę dna.

Teraz jednak zaczęło się gromadzić wokół niego więcej płaszczyk, a wszystkie pozostałe syreny uciekły do kryjówek. Zdołał zabić kolejne ze stworzeń, które najwyraźniej mogły wystrzeliwać swoje strzałki wyłącznie w dół, ale otaczający go tłum musiał w końcu wypuścić jakąś strzałkę, która przebija się przez jego osłony. Zdawało się, że śmierć generała jest już tylko kwestią czasu, gdy nad rynkiem przemknął cień i z nieba w sam środek płaszczyk wleciał Nebka, a tuż obok niego niczym anioł zagłady do wody wpadła Bast.

Smok wykręcił głowę jak wąż i złapał jedno z płaszczkowształtnych stworzeń za skrzydło. Szeroka, krokodyla głowa potrząsnęła płaszczką jak rekin i oderwała większość skrzydła, zostawiając śmiertelnie rannego stwora, by opadł w agonii na dno w dole.

Ale wywern i tak niewiele znaczył w porównaniu z Bast. Elfka poruszała się z nienaturalnym wdziękiem i oszałamiającą prędkością niczym jakiś uzbrojony w nóż demon. Wzgardziła techniką wypruwania flaków stosowaną przez Edmunda, zamiast tego atakując z góry i tnąc wzdłuż grzbietów, bez wysiłku przecinała nożem mięśnie poruszające wielkimi skrzydłami, jakby chronił je papier. Zabiła dwie płaszczki, zanim pojawiła się reszta smoków, wypływając zza krawędzi rafy niczym wielkie drapieżne ptaki i spadając na ixchitle, które nagle znalazły się w znacznie gorszym położeniu.

Na widok smoków płaszczki skrzyły w stronę głębszej wody i przyspieszyły, niknąc za skrajem rafy, gonione przez wywerny, a Joanna

zatrzymała się, zawisając nad rynkiem.

– Komandorze Gramlich – zawołał Edmund, odrzucając swoją prowizoryczną tarczę. – Ściągnij smoki z powrotem. Te cholerne płaszczki mogą je pokonać, jeśli zdołają się przegrupować. I gdzieś tu muszą się kręcić orki. Daneh! – krzyknął, spływając na dół, do miotanego drgawkami przywódcy syren.

Rachel wyrzwała ze swojego ukrycia i podpłynęła do Bruce'a, który leżał na piasku przy koralu wyrastającym ze środka centralnego placu. Przywódca wciąż żył, miotany drgawkami neurotoksyny, ale dziewczyna nie wiedziała, co mogłaby dla niego zrobić. Nagle tuż obok znalazła się jej matka.

– To trucizna paraliżująca – oceniła lekarka. – Prawdopodobnie unieruchamia tylko mięśnie podległe woli, co oznacza, że nie może oddychać. Jeśli uda się nam wymusić przepływ wody przez jego skrzela, przeżyje. Ale nie mam Pojęcia, jak to zrobić.

– Weźmy go na powierzchnię – zasugerował Edmund. – Usta usta.

– Nie zdołamy opróżnić jego płuc – powiedziała z desperacją Daneh. – Nie mamy dość powietrza w naszych płucach, żeby opróżnić jego.

– On próbuje coś powiedzieć – zauważyła Elayna, opadając na piasek i dziadku i chwytając go za rękę. – Nie rozumiem. Ale... – Nachyliła się bliżej chwytając jego głowę i przytulając ją do siebie. – Dziadku?

– Jaskinia – wyszeptał Bruce. – Jaskinia... – a potem jego oczy przewróciły się do tyłu, ukazując białka.

– Jaskinia porodowa – wycedził lodowato Edmund, odwracając się w stronę łądu. – Zastanawiałem się, gdzie są te cholerne orki.

* * *

Po tym jak Daneh powiedziała mu o jaskini porodowej, Herzer przeszedł przez wyspę, aż udało mu się znaleźć otwory stanowiące jej źródło światła. Znajdowały się blisko szczytu wyspy, powyżej źródła, którego istnienie umożliwiło niegdyś powstanie latarni morskiej. Teraz skierował Chaunceya do twardego łądowania i zeskoczył z niego natychmiast po dotknięciu przez smoka ziemi. Klepnął go potem w bok.

– Idź do pozostałych smoków, Chance – krzyknął, zbiegając z boczem do szczelin w skale.

Kiedy do nich dotarł, z dołu dobiegły go krzyki i poczuł rozpacz, ale położył się na brzuchu i zajrzał w głąb skalnego otworu.

Upłynęła chwila, zanim przyzwyczaił się do panującej w dole ciemności,

ale dość szybko zdołał zobaczyć, co się dzieje w dole. Nieduża orka pływała w koło w wodzie przed główną półką, gdzie stłoczyła się większość syren z dziećmi. Od czasu do czasu drapieżnik nabierał prędkości i wyskakiwał z wody na półkę, sięgając paszczą i próbując złapać którąś z syren. Po chwili spadał jednak z powrotem do wody, znów krążąc w kółko i przygotowując się do kolejnego wypadu.

Szczelina była wąska, a odległość do dna wynosiła przynajmniej piętnaście metrów. Nie byłoby to problemem, gdyby spadł do wody, zakładając, że ta była dostatecznie głęboka, ale dobrze zdawał sobie sprawę, że nie jest. Gdyby wpadł do wody, orka zaatakowałaby go, zanim zdążyłby zareagować i stałby się błyskawicznie elementem łańcucha pokarmowego. Odwrócił się i opuścił w szczelinę, a potem zaczepił się zdrową ręką o skałę, zawisając nad przepaścią w dole.

* * *

Orka wróciła po kolejnym okrążeniu i wyskoczyła z wody prawie sięgając ogona jednej z syren. Kłapała paszczą i wykręcała się, ale nie była w stanie złapać wywijającego się ogona. W końcu zaczęła się cofać i już miała spaść z powrotem do wody, gdy z góry opadł na nią potężny cios.

* * *

Herzer został na wpół ogłuszony przez siłę uderzenia i wiedział, że będzie czuł je jeszcze przez wiele dni. Uderzył orkę obiema stopami tuż przed płetwą grzbietową, ale natychmiast zjechał po śliskiej skórze zwierzęcia i uderzył o nie jeszcze biodrem i bokiem, z głośnym pluskiem wpadając do wody.

Uderzenie ogłuszyło jednak także orkę i to Herzer pierwszy w miarę do siebie doszedł. Mocnymi machnięciami kończyn wynurzył się z głębi, w której dążył się pogрузić i pamiętając o radzie Bast, wsunął swoją protezę w szczelinę oddechową orki, chwytając nią elastyczne ciało z jej boku. Potem ścisnął. Impuls sonarowy wyemitowany przez orkę nie przypominał niczego, co Herzer kiedykolwiek słyszał, choć najbliższym, co mógł sobie wyobrazić, był krzyk umierającego dziecka o rozmiarach wieloryba. Zwierzę gorączkowymi rzutami ciała wypłynęło na powierzchnię i wydymuchało powietrze, machając ogonem pływając w koło, aż uderzyło nosem o jedną z kamiennych ścian.

– Dość tego – krzyknął Herzer. Przystawił nóż do oka stworzenia, aby przestało się rzucać.

– Puść mój odwór! – zażądała orka najwyraźniej, jak potrafiła. Do komunikacji powierzchniowej służył mu właśnie otwór oddechowy, wciąż trzymany przez Herzera, choć już nie tak mocno.

– Ani mi się śni – odpowiedział Herzer. – Mam w tym czymś tnącą krawędź. Mogę rozciąć ci wszystkie mięśnie. Przez całe tygodnie nie będziesz w stanie się zanurzyć, zanim to się zagoi. Prędeż umrzesz z głodu.

– Chobełny dłań – pisnęła orka. – Płosze?

– Nie – odparł Herzer. Nagle uświadomił sobie, że orka, sądząc po pletwie grzbietowej, rozmiarach, a nawet zachowaniu musiała być dość młoda, najwyżej nastoletnia. – Gdzie jest reszta orek?

– Nie bowiem – rzuciła orka. – Buść.

– Pieprz się – warknął Herzer, napinając mięśnie ręki i angażując wspomaganie protezy.

Rozległ się kolejny wrzask orki, który przeszedł w łkanie. – Gdzie jest reszta?

– Z przodu – wyłkała orka. – Czują.

– Żebyś przyniósł im małe syrenie przekąski? – zapytał ostro Herzer. – Nie wydaje mi się. Skręć i połóż ogon na półce. I żadnych sztuczek, mogę ścisnąć mocniej, niż już to zrobiłem. Nie wspominając o wsadzeniu tego noża prosto w twój mózg.

Wmanewrował ogon orki na skalną półkę i kazał jednej z syren przywiązać go swoim paskiem do sterczącej skały. Potem puścił otwór oddechowy stworzenia, przepłynął do miejsca, z którego mógł spojrzeć mu w oko, i zanurkował pod wodę w celu odbycia rozmowy.

– Wiem, jak to jest, kiedy się wpadnie w złe towarzystwo – zaczął. – Co jest jedynym powodem, dla którego wciąż jeszcze żyjesz. Zamierzam poprosić syreny, żeby cię nie zabijały. Z drugiej strony złapałeś któreś z dzieci?

– Nie – odpowiedziała orka. – Nie chciałem tego robić, ale Shanol...

– Wiem – uciął Herzer. – I wiem też, że władza nad słabszymi może uderzyć do głowy. Wiem, że było ci przyjemnie, nawet kiedy sam się za to nienawidziłeś. Mam rację?

– Tak – wyszeptała orka.

– Nie mam na to czasu, ale skoro jesteś tu uwięzany, przemyśl sobie jedno. Po której stronie tak naprawdę chcesz być? Kim jesteś wewnątrz? Jesteś dobry czy zły? Pomyśl o tym jako o szansie naprawienia swoich

błędów. I wykorzystaj ją.

Wypląnął na powierzchnię wody i spojrział na syreny, wciąż stłoczone w głębi jaskini.

– Drogie panie, ten młody człowiek bardzo przeprasza za zdenerwowanie którego stał się przyczyną – powiedział. – Z tego powodu, a także ponieważ stanowi źródło informacji, bardzo doceniłbym, gdyby były panie tak uprzejme i nie zatłukły go na śmierć kamieniami.

Jego mowa wywołała kilka histerycznych chichotów, ale jedna z syren podczołgała się na przód z wściekłym sykiem.

– On prawie zjadł mojego Grama! – krzyknęła. – Chcę jego śmierci!

– Tak, cóż, jak już powiedziałem, bardzo tego żałuje – ciągnął serdecznie Herzer. – I wszyscy mamy jakieś wady. Na przykład ja złoścuję się, gdy nie spełnia się mojej uprzejmej prośby. Czy wyrażam się dość jasno, proszę pani?

– Tak – powiedziała, głośno przełykając.

– Cieszę się, że sobie to wyjaśniliśmy – stwierdził Herzer. – No dobrze, chyba muszę teraz popłynąć i sprawdzić, co czeka przy wyjściu.

– Jesteś szalony – powiedziała syrena. – Będą tam wszystkie pozostałe orki!

– Cóż, lepiej, żeby tam niż tu – zauważył Herzer. – A jeśli ten młodzieniec nie przyniesie im syrenich przekąsek, mogą spróbować się tu przepchnąć. Chyba muszę się upewnić, że do tego nie dojdzie.

– Czemu? – zapytała syrena. – Czemu to robisz?

– Jak już powiedziałem – rzekł smutno Herzer – wszyscy mamy swoje wady. – Potem zanurzył się pod wodę i skierował w mrok tunelu.

* * *

W tunelu było absolutnie czarno, lita ciemność, która zdawała się przesączać do jego duszy. Miejscami było również ciasno i nie miał pojęcia, jak orce udało się wcisnąć do środka. Prawdopodobnie kryły się tu również lepsze korytarze, łatwo widoczne dla istoty z sonarem. Ale Herzer mógł tylko wymacywać sobie drogę w nadziei, że nie ma tam żadnych bocznych odnóg, z których nigdy nie znajdzie wyjścia. Co chwila wpadał na wystające skały, raz uderzył się solidnie w głowę i ocierał się o rzeczy, których raczej wolałby nie widzieć. Zanurzył też ręce w jakąś miękką masę, która oparzyła mu skórę tak, że zaczął dziko wymachiwać dłońią, czując na niej okropne pieczenie.

W końcu, gdy uznał, że kompletnie się zgubił i będzie do śmierci krążył

po tym wodnym grobowcu, dostrzegł blade światło. Jego oczy dostosowały się do ciemności, zaczął więc dostrzegać zarys ścian wokół siebie i przyspieszył, kierując się ku światłu i nadziei. Do chwili, gdy światło zgasło, zastąpione przez wsuwający się do otworu łeb orki, która poczęstowała go impulsem sonaru.

– Proszę, co my tu mamy? – ucieszył się Shanol. – Czy nie jest to przypadkiem ten mały porucznik? Co się stało z Tomaszem?

– Zrozumiał, że pobił na drodze życia – odpowiedział Herzer, nagle zmęczony. Widział krążące za Shanolem orki i wyglądało to tak, jakby zebrała się tu większa część stada. Był pewien, że zdoła obronić przed nimi wejście, ale całe jego szkolenie sprzeciwiało się prostemu pozostaniu w defensywie.

– Lepiej dla ciebie, żeby wciąż żył – warknął Shanol.

– A co cię to obchodzi? – zapytał Herzer. – To ty wysłałeś go do tunelu, w którym łatwo mógł zginąć.

– Wiedziałem, że zdoła przepłynąć – rzucił Shanol. – Wiem mnóstwo rzeczy – Na przykład to, co stało się z tobą i Daneh. Śniesz o niej po nocach, Herzer?

– Rety, człowieku, naczytałeś się za dużo taniej psychologii – roześmiał się chłopak. – Wiąże się z tym odrobina złości. Ale złość jest przydatną emocją, jeśli nauczyć się ją odpowiednio skupiać. – Kończąc mówić, wybił się mocno i wsadził nóż w oko orki.

Shanol otworzył paszczę, żeby skoczyć do przodu i pochwycić człowieka, ale wąskie wejście do tunelu nie pozwoliło mu na ruch, a nagły atak Herzera złapał go nieprzygotowanego. Wrzasnął sonarem, wypuszczając bąble powietrza z otworu oddechowego i umknął, dziko machając ogonem.

Herzer nie zdołał utrzymać shtyletu i został rzucony o sufit tunelu, po czym wycofał się w głąb, gdy orka odpłynęła od wejścia, z krwią płynącą strumieniem z oka i rękojeścią noża sterczącą z niego niczym jakaś dziwaczna ozdoba.

– Zabiję cię! – wrzasnęła orka, kierując się na powierzchnię i nabierając powietrza. Ale krzyk tonem bardziej przypominał łkanie niż groźbę.

– No to chodź tu i zrób to – odkrzyknął Herzer. – Chodź do tunelu! Mogę tu zostać, jak długo będę chciał. A ty musisz oddychać. Choć tu do mnie, muszko!

– Zabiję cię – załkała orka. – Zabiję i zjem! Zjem cię żywcem, od nóg w górę. Nittaatsua! – rozkazał, wychylając się nożem w stronę jednej z orek.

Podobnie jak delfinoidy Przemienione orki dysponowały niezgrabnymi

paluchami i wskazane stworzenie wyciągnęło nóż z oka ostrym szarpnięciem, któremu towarzyszył głośny krzyk przywódcy. Potem Nittaatsua wpadł na jego zdaniem genialny pomysł i podpłynął do wąskiego otworu, trzymając niezgrabnie nóż palcami. Herzer tylko się roześmiał i chwycił ostrze protezą, wyrywając je z uchwytu orki doświadczonym szarpnięciem.

– Dzięki za oddanie mi noża. A byłem już pewien, że straciłem go na dobre.

– DRĄŃ! – zaskowytał Shanol, rzucając się na wejście, po czym skręcił, zostawiając za sobą w wodzie smugę krwi.

– Hej – powiedział Herzer z namysłem w głosie – Czy rekinów nie przyciąga czasem zapach krwi?

– I tak cię zabiję – warknęła orka.

– Wciąż to mówisz – parsknął Herzer. – Nie wydaje mi się, żebyś w dostatecznym stopniu był orką. Znacznie lepsi od ciebie ludzie próbowali mnie już zabić, ale wszyscy zawiedli. A przy okazji, ta orka, która zaatakowała delfiny, Przekonała się, że bardzo nie lubi smoków. A gdy tylko te skończą z ixchitlami, Wrócą po mnie. Sugerowałbym ucieczkę, zanim się tu dostaną.

– Zrobimy to – oświadczył Shanol po chwili. – Ale wrócimy. Tylko poczekaj.

– Ojej – jęknął Herzer. – Już nie mogę się doczekać.

Kiedy orki odpłynęły, odetchnął głęboko, pierwszy raz zauważając lekkie ograniczenie oddechu związane z maską. Uległ panice i zaczął oddychać coraz szybciej i szybciej z wrażeniem, że nie jest w stanie wprowadzić do płuc dość powietrza. W końcu się opanował, wbijając sztylet w poręczną szczelinę i trzymając się ścian, spróbował równocześnie uspokoić oddech. Kiedy przestał wreszcie wciągać zbyt dużo tlenu, z wolna się uspokoił, a maska miała dość czasu, by usunąć zebrany w trakcie dyszenia dwutlenek węgla. W końcu zawisł bezwładnie, trzymając się tylko skały, aż w wejściu do korytarza pojawił się Chauncey i grupa zatroskanych trytonów z włóczniami i wreszcie mógł opuścić swój posterunek i wypłynąć na powierzchnię, napełniając płuca czystym, morskim powietrzem.

* * *

– Ostrzegałem cię przed smokami! – powiedział Mosur.

– Nie mam na ciebie nastroju – warknął ze złością Shanol. Słona woda

przeraźliwie piekła go w oku.

– Musimy się stąd wynieść – wtrącił się Shedol. Zastępca dowódcy wrócił cały pokryty ranami po ataku Joanny. – Nie możemy zostać pod wodą dość długo, by ukryć się przed tymi piekielnymi smokami.

– Nie możemy po prostu wrócić – nerwowo wyemitował jeden z członków stada. – Jest ich zbyt wiele.

– Faktycznie – zgodził się Shanol.

– Ixchitle nawołują do zastawienia z nimi pułapki – zauważył Shedol. – Mają plan.

– DO DIABŁA Z PLANAMI IXCHITLI! – ryknął przywódca. – Nie. To ja mam plan. – Odwrócił się do Mosura i wysłał w jego stronę falę dźwięków. – Nie jesteś już nam potrzebny.

– To dobrze – mruknął Mosur. – Kończę z tym.

– Ale nas czeka długa droga – mówiła dalej orka, znów posyłając w niego falę sonaru. – A ja jestem głodny.

Mała kość, którą syreny używały do komunikacji pod wodą, praktycznie nie umożliwiała trytonom krzyku.

Rozdział 28

Wiał silny wiatr z północnego wschodu i smokowiec sunął przez niewielkie fale w stronę archipelagu wysp na północy.

– Jeśli wiatr się utrzyma, o zmierzchu dotrzemy do osiedla syren – odezwał się pierwszy oficer.

– O trzy dni za późno – burknął kapitan. Opłynięcie skraju archipelagu było powolne, zwłaszcza że musieli przepływać przez bardzo niebezpieczne płycizny.

– Nie ma pan kontroli nad wiatrami, sir.

– Tak, i nie mogę też kontrolować Nowego Przeznaczenia – przyznał Chang. – Straciliśmy w tamtym spotkaniu pół dnia.

– Jak na razie nic się nam nie stało – powiedział Mbeki.

– Coś jest w wodzie od sterburty – zawołał marynarz z oka.

– Chyba należało odpukać w jakieś drewno – zmartwił się pierwszy oficer. – Mógłbyś podać więcej szczegółów niż tylko „coś”?

– Nie, to... wypływa z głębin. Wygląda jak...

Zanim marynarz dokończył zdanie, obok burty z wody wyłoniła się olbrzymia macka, roztrzaskując reling i wkręcając się w sznurowe drabinki grotmasztu – Okręt mocno przechylił się na sterburtę i zadygotał obciążony masą olbrzymiej kałamarnicy.

– KRAKEN! – krzyknął kapitan. – Chief Brooks! Topornicy! Dzwonić na alarm!

Przez burtę wsuwało się coraz więcej macek, a z wody wynurzył się dziób olbrzymiego kalmara. Tuż pod powierzchnią wody widać było jedno z inteligentnych oczu rozglądające się w poszukiwaniu ofiar. Znalazło pierwszą – w postaci żeglarza, który próbował atakować mackę i został schwytyany w talii i przerzucony przez burtę. Jego krzyki gwałtownie się urwały, gdy głowa żeglarza znalazła się w półmetrowej szerokości papuzim dziobie potwora, który zamknął, się z ostatecznym trzaskiem.

Mbeki wylądował na dolnym pokładzie, chwytając porzucony topór żeglarza i rąbiąc mackę owiniętą wokół grotmasztu. Bestia próbowała wyrzucić kliper na burtę, a przy jej olbrzymiej masie, mogło się to udać. Ciało potwora w połowie wynurzyło się już z wody, a macki swobodnie operowały po głównym pokładzie. Złapały kolejnego członka załogi, jednego z żołnierzy piechoty morskiej, którzy atakowali macki włóczniami, i żołnierz został ściągnięty za burtę, choć nie przestawał dźgać owiniętej wokół pasa

macki.

Mbeki i Brooks rąbali mackę trzymającą grotmaszt, uderzając w nią na zmianę, gdy jedna z rzucających się na ślepo chwytnych kończyn oplotła się wokół kostki pierwszego oficera i zaczęła ciągnąć go w stronę burty. Złapał się słupka i ręce prawie wyskoczyły mu z barków, gdy bestia szarpnęła nim, próbując wsadzić go do paszczy.

Brooks przeskoczył nad w połowie przerąbaną macką uczepioną głównego masztu i rąbnął z góry w tę, która trzymała nogę Owena Mbeki. Pierwszy oficer schwytyany został samym końcem macki i potężny cios rozrąbał ją, zostawiając końcówkę dygoczącą bezwładnie na pokładzie. Ale kiedy chief wykręcił, kierując się z powrotem do masztu, kałamamica na wpeł wciągnęła się na pokład i Richard przechylił się mocniej na burtę, a do środka zaczęła się wlewać woda. Teraz kraken był już w stanie widzieć, co robi, i jego macki zaatakowały ludzi z toporami. Brooks został nagle owinięty oślizłą masą.

Próbował rąbać otaczającą go wokół talii grubą jak udo kończynę, ale nic nie wskórał i został uniesiony w powietrze, a po chwili opuszczony w stronę dzioba bestii. Zobaczył, jak ten otwiera się nad jego głową i właśnie wtedy obok niego przemknął strumień ognia, uderzając prosto w paszczę krakena.

Macka trzymająca go w pasie zacisnęła się konwulsyjnie i poczuł, jak oczy dosłownie wyskakują mu z oczodołów, a płuca opuszczają całe powietrze. Chwilę później leciał bezwładnie w powietrzu.

* * *

Evan usłyszał krzyki dobiegające z pokładu i poczuł przechył okrętu niemal w tej samej chwili, gdy duży bęben na pokładzie rozpoczął ogłaszanie alarmu bojowego. Nie namyślając się, chwycił miotacz ognia i zaczął przedzierać się na pokład. Kliper znów się przechylił i mężczyzna został rzucony na ścianę, a miotacz boleśnie uderzył go w ramię. Zobaczył w korytarzu cholernego królika i odwrócił się do niego.

– Co u diabła robisz, obijając się tu? – wrzasnął, zakładając na ramię długi pas miotacza. – Mamy problem!

– I czemu miałbym się tym przejmować? – Królik, zatrzymując się i drapiąc po ramieniu, wzruszył ramionami. – Ja kieruję się do szalup ratunkowych. Z tym co się dzieje, możecie sobie poradzić sami.

– Niech cię cholera – warknął Evan, przeskakując nad królikiem i kierując się do schodków.

Królik popatrzył za inżynierem, a potem wskazał na siebie palcem.

– Przeklinam cię – wymamrotał. – Szlag, nie działa.

* * *

Evan zataczając się, wypadł na pokład i zastał scenę z piekła rodem. Wszędzie szalały macki, a niektóre owinęły się już wokół różnych elementów żaglowca. Kiedy zatrzymał się w wyjściu, oceniając sytuację, okręt przechylił się jeszcze mocniej, a na brzeg pokładu wciągał się kraken. Zobaczył, jak chief Prooks odrąbuje mackę trzymającą pierwszego oficera, a potem sam zostaje złapany przez kolejną i uniesiony w powietrze.

Evan zaczął z krzykiem biec przez gąszcz wymachujących ramion, desperacko próbując uruchomić zapalniczkę miotacza. W końcu ogień zaskoczył, a on wsunął się w sięgającą kolan wodę, wycelował w bestię i oddał pierwszy strzał z miotacza ognia.

Strumień, jak zauważył w dziwnym odrętwieniu, które nadało całemu doświadczeniu charakter snu, był prawie idealnie skupiony, z ledwie pojedynczymi kropelkami odpryskującymi na boki, i zdecydowana jego większość wylądowała tam, gdzie powinna. Kiedy zagęszczona benzyna trafiła kalmara tuż nad paszczą – celował dokładnie w nią, ale przy miotaczu ognia dokładność nie musiała być stuprocentowa – kalmar szarpnął się, wystrzeliwując strumienie wody w odruchu ucieczki. Macki zamachały dziko, a potem w kolejnym potężnym impulsie kraken zsunął się do wody i zniknął w głębinach tak szybko, że przepadł, zanim okręt zdołał wyprostować się na stępce.

Evan rozglądał się po pokładzie z miotaczem ognia, z którego lufy kapąły krople zagęszczonej benzyny, padając na mokry na szczęście pokład. Z wysiłkiem podniósł się na nogi i zamknął zawory, a wokół niego zaczęli gromadzić się marynarze, klepiąc go po plecach pomimo umieszczonego tam metalowego zbiornika.

– Panie Mayerle! – krzyknął z rufowego pokładu kapitan.

– Sir. – Evan obrócił się w miejscu i zsalutował kapitanowi, czego jako cywil w zasadzie nie musiał robić.

Kapitan Chang mimo wszystko oddał salut, po czym szeroko się uśmiechnął.

– Cholernie dobra robota. Dziękuję. Ale zanim znów użyje pan tej rzeczy na moim okręcie, proszę uprzejmie znaleźć coś, czym można będzie ugasić te ognie, które zostawił pan za sobą.

– Tak jest, sir! – odpowiedział Evan. Na niewielkie płomyki wysypano już wiadra piasku, a wyrznięcie za burtę ujawniło, że Richard oddryfował daleko od płonącego paliwa pozostawionego za sobą przez nurkującego kalmara.

– Pierwszy oficer! – zawołał kapitan.

– Sir? – zgłosił się Mbeki, podnosząc się na nogi.

– Mamy trochę uszkodzonego olinowania. – Kapitan odwrócił się by spojrzeć na żagle, z których część łopotała bezsilnie na wietrze. Na szczęście wiatr nie był silny, bo w innym wypadku mógłby rozszarpać je na strzępy. – Proszę wysłać do pracy grupy naprawcze. Co z bosmanem?

– Przeżyję, kapitanie – odezwał się Brooks, wstając niepewnie z desek pokładu.

– Mostek! – zawołał marynarz z oka. – Smok od dziobu! Sygnalizuje. Numer dwadzieścia trzy, czterdzieści siedem, czternaście!

– „Wróg w okolicy – powiedział aspirant Donahue. – Jesteśmy atakowali Postawić żagle”.

– Trochę za późno – zauważył kapitan. – Załoga! Do roboty!

* * *

– Poczekaj – zawołał Joel, gdy jeden z marynarzy zaczął przerzucać za burtę odciętą mackę.

– Co? – zapytał marynarz zmęczony i roztrzęsiony bitwą i sprzątaniami jej efektów. Zdecydowanie nie miał ochoty, żeby przeszkadzał mu w pracy jeden ze stewardów.

– Musimy wziąć sobie kawałek na pamiątkę – powiedział Joel, podnosząc mackę. – Wsadzimy to w alkohol i ustawimy w mesie, czy gdzieś.

– Wszystko jedno – zgodził się marynarz. – Mam robotę do zrobienia.

– Ja też – rzucił steward, oddalając się z macką na rufę.

Gdyby jeszcze udało mu się wydusić z Sheidy skan genetyczny, może mógłby zamknąć przynajmniej jedną sprawę.

Znalazł w kambuzie słój i trochę spirytusu, a potem starannie ukrył odcięty kawałek w swoim worku. Później poszedł sprawdzić czujniki notujące pojawienia się awatara.

Królik uganiał się po całym okręcie, przeważnie uprzykrzając się załodze i denerwując ludzi. Ale kiedy Joel dotknął zewnętrznego czujnika, ten wskazał w stronę rufy, ruszył więc zebrać dane z tego, który został ukryty w mesie oficerskiej.

Ta jednak zajęta była przez pierwszego oficera, który siedział przy stercie rozłożonych na stole dokumentów. Zajmował odległy koniec stołu, trzymając wieczne pióro z nieobecny wyrazem twarzy.

– Przepraszam, sir – odezwał się Joel. – Coś panu przynieść?

– Nie w tej chwili, Joel – mruknął Mbeki, patrząc na niego ciemnymi oczami.

– Wygląda pan na zmęczonego, sir – zauważył Joel. – Może kubek herbaty? Coś do jedzenia?

– Nie, Joel, dziękuję. – Mężczyzna potrząsnął głową.

– Sir, widzę, że jest pan zajęty – ciągnął nerwowo Joel. – Ale czy mógłbym zamienić z panem kilka słów?

– No nie wiem – odparł mężczyzna, przybierając poważny wyraz twarzy. – O czym?

Joel zamknął drzwi, a potem wzruszył ramionami.

– Właściwie, to... muszę wyjść poza strukturę dowodzenia, sir. Chodzi o coś, o czym pan wspominał. I dużo o tym myślałem.

– Co to takiego? I wiedz, że nie lubię marynarzy wychodzących poza kanały regulaminowe.

– Tak, sir, ale chodzi o moją rodzinę. – Marynarz wstrzymał na chwilę powietrze. – To, co mówił pan o Nowym Przeznaczeniu, sir. Tuż przed tym, jak wypłynęliśmy, jeden z cywilnych robotników zapytał mnie, czy wiem, gdzie jest moja rodzina.

– I co mu powiedziałeś? – zapytał Mbeki.

– Byłem dość mocno zaskoczony, wcale z nim nie rozmawiałem ani nic – mówił Joel. – Po prostu podszedł i mnie zapytał. Potem dał mi do zrozumienia, że jeśli są w Ropazji, zna pewne osoby, które szmuglują stamtąd ludzi, jakich uda im się odszukać...

– Rzeczywiście. Zdajesz sobie sprawę, że w grę wchodzi kilka możliwości.

– Wtedy o tym nie pomyślałem, sir. – Joel wzruszył ramionami. – Ale później tak. To może być uczciwe. Z drugiej strony...

– Mógł to być agent Nowego Przeznaczenia szukający źródeł – rzekł Mbeki z kamienną twarzą.

– Tak jest, sir – zgodził się Joel, głośno przełykając śliną. – Chodzi o to, że powiedziałem mu, jak nazywa się moja żona i córka. Skąd miałem wiedzieć? Czuję się takim strasznym durniem.

Owen Mbeki potarł kciukiem i palcem wskazującym podstawę nosa i skrzywił się.

– Cóż, nie wydaje mi się, żebyś był jedynym, który popełnił ten błąd – wymamrotał. – Joel, jak na razie wiem o tym. Pomyślę, co z tym zrobić. Powinienem poinformować wydział śledczy. Ale ci durnie nie znaleźliby nawet własnego tyłka. Na razie nikomu o tym nie powiem. Jeśli ktoś jeszcze się z tobą skontaktuje, ktokolwiek, powiedz mi. Zrozumiano?

– Tak jest, sir – potwierdził Joel. – A co powinienem zrobić jeśli, no wie pan, jeśli są z Nowego Przeznaczenia i ich znaleźli? Co, jeśli każą mi...

– W takim razie zdecydowanie skontaktuj się ze mną, a nie z wydziałem śledczym.

– Dobrze, sir.

– Trzymaj się, Joel – powiedział pierwszy oficer, podnosząc pióro i otwierając je. – I nie odbyliśmy tej rozmowy.

* * *

Edmund wspinał się po sznurowej drabince zwieszanej ze sterburty, gdy żaglowiec zwracał się do wiatru. Okręt przyjmował z powrotem smoki.

– Odwołać to – powiedział, machając ręką na grupę powitalną. – Nie ma czasu. – Przyjrzał się w słabym świetle grupie marynarzy naprawiających uszkodzone olinowanie. – Co się stało?

– Zostaliśmy zaatakowani przez krakena, generale – wyjaśnił kapitan. – To już drugi atak na okręt. I wątpię, żeby był to jakiś przypadkowy mieszkaniec głębin, zdecydowanie zamierzał się na nas.

– Szlag, szlag i jeszcze raz szlag – warknął Edmund. – Mamy tu piekielną sytuację, kapitanie. Zejdźmy pod pokład.

* * *

Edmund przedstawił w zarysie atak na miasto syren i wysłuchał relacji kapitana z dwóch ataków na okręt.

– Cóż, nieźle się tu urządziliśmy – przyznał Edmund. – Syreny muszą znaleźć inne lokum. Mówią, że przy wyspach Bimi jest miejsce znacznie lepiej nadające się do obrony i chcą się tam przeprowadzić. Szybko. Zazwyczaj to nie problem, ale nie mogą ochraniać ani nawet przenieść swoich dzieci, w każdym razie nie w przypadku ataku. A przypuszczam, że gdy tylko ixchitle i orki wyliżą się z ran, wrócą tu.

– Chce pan, żebyśmy przewieźli dzieci? – zapytał kapitan, marszcząc czoło – Możemy to zrobić, ale nie gwarantuję, że nie zostaniemy znów

napadnięci Ten kraken był... przerażający. I przychodzą mi na myśl sposoby, w jakie mógłby nas zaatakować, nie narażając się na miotacz ognia Evana. Na przykład chwycić od dołu i przegryźć się przez kadłub.

– To nasza największa szansa – powiedział Edmund, doskonale zdając sobie sprawę, że szpieg na pokładzie jest znacznie niebezpieczniejszy, niż wcześniej przypuszczał. – Bruce nie żyje. Jason nie został formalnie wybrany ich przywódcą, choć i tak przejął rządy, a on jest po naszej stronie. Do diabła, po naszej stronie stanęły wszystkie syreny z wyjątkiem paru, które na ślepo popierają Nowe Przeznaczenie, ale te od czasu ataku starają się nie odzywać. Mamy syreny po naszej stronie, zresztą delfiny też. Ale musimy pomóc im dostać się do tej zatoki Key, czy gdzie tam chcą, i ochronić ich dzieci. A jedyny sposób na dostarczenie tam tych maluchów to ten okręt. Czy mogę panu zaufać? – Edmund doskonale zdawał sobie sprawę, że może właśnie umieszcza je w rękach agenta Nowego Przeznaczenia, ale patrząc kapitanowi w oczy nie dostrzegł nawet cienia wątpliwości.

– Prędeż zginę w ich obronie, niż pozwolę, by stała im się krzywda, sir – odpowiedział kapitan. – Podobnie jak wszyscy członkowie mojej załogi.

– Będę potrzebował części smoków – zażądał Edmund. – Zabiorę Joannę, Chaunceya i Donalę. Pan weźmie resztę i zwykłych jeźdźców. Pokazali, że są w stanie poradzić sobie ze wszystkim, co może rzucić na nich Nowe Przeznaczenie. Zdziwiłbym się, gdyby cała trójka, współpracując, nie była w stanie pokonać nawet krakena.

Kapitan poważnie kiwnął głową, po czym lekko się uśmiechnął. Chwilę później przyłożył dłonie do twarzy, próbując powstrzymać się od śmiechu. Edmund dostrzegał, że przynajmniej częściowo jest to śmiech historyczny.

– Widzi pan w tym coś humorystycznego, pułkowniku? – zapytał lodowato.

– Po prostu... – wydusił z siebie kapitan, głęboko wciągając powietrze i przecierając oczy. – Generale, proszę na chwilę stanąć z boku i pomyśleć. Dowodzę lotniskowcem dla smoków. I walczę z krakenem i karawelami o czarnych żaglach. Co jakiś czas... dopada mnie to po prostu i nie mogę powstrzymać się od śmiechu. Dostałem tę pracę, ponieważ pływałem na żaglowcach. Brałem barkentyny, żeby grupy ludzi mogły doświadczyć tego, czym było prawdziwe żeglowanie. A teraz wymyślam sposoby na używanie smoków do ochrony mojego okrętu wojennego – To po prostu... czasem mnie dopada. Nie zrobiłbym tego przy załodze, ale...

Edmund patrzył na niego przez chwilę lodowato, potem prychnął. Zanim się obejrzał, też śmiał się w głos.

– Dobrze, pokonał mnie pan, ale właśnie wypatroszyłem Przemienionego człowieka i wsadziłem rękę w jego tors, żeby wykorzystać go jako tarczą – działo z ponurym uśmiechem. – Nie sądzi pan, że to on miał dziwny dzień?

* * *

– Daneh – odezwał się Edmund, wychodząc zza pleców lekarki, gdy podwiązywała ostatni szew na zranionym trytonie.

Plac po bitwie wyglądał okropnie, ale większość śmieci, martwych ixchitli i kawałków nieżywych syren została już uprzątnięta. Ixchitlami nakarmiono po prostu smoki.

Niektóre z syren czy trytonów dostały mniejsze dawki neurotoksyn niż Bruce, który został trafiony przynajmniej przez dwa harpuni. Ci byli w stanie utrzymać oddychanie, a Daneh wymyśliła formę reanimacji ogonowopiersiowej, która pozwoliła im przeżyć wystarczająco długo, by szybko rozkładająca się toksyna opuściła ciało. Inni zostali ugryzieni przez ixchitle lub po prostu zranili się w trakcie ucieczki. Kończyła teraz pracę nad jednym z tej ostatniej grupy, młodym trytonem, który głęboko rozharatał sobie ramię o korał, wciskając się w szczelinę.

– Poczekaj, Edmundzie – odpowiedziała Daneh i zwróciła się do rannego. – Będziesz musiał oszczędzać to ramię przez kilka dni, inaczej szwy mogą puścić. Gdybyśmy byli na powierzchni, umieściłabym na tym bandaż, ale tu w wodzie nic się nie utrzyma. Po prostu bądź ostrożny.

– Będę, proszę pani – odpowiedział chłopak, krzywiąc się z powodu bólu w ranie.

– Daneh, chcę, żebyś razem z Rachel wróciła na statek – oznajmił Edmund, gdy tryton odpłynął.

– Jestem potrzebna syrenom – zauważyła Daneh. – Nie skończy się na tej jednej walce. Nie zamierzam po prostu uciec.

– Daneh – powiedział książę, podpływając bliżej i ścisząc głos. – Ty i Rachel to jedyne osoby, które mogę wysłać, wiedząc, że nie są zdrajcami. Będziesz musiała znaleźć jakiś sposób na odkrycie, kto nim jest.

– Wiesz, że to ten cholerny królik – odpowiedziała cicho. Wokół pływały syreny i nie pomogłyby im, gdyby wiedziały, że ich kobiety i dzieci wysyłane są statkiem, który może mieć na pokładzie wrogiego agenta.

– Nie, wcale nie wiem, że to ten królik – zaprzeczył Edmund. – Tak samo jak ty Nie zakładaj tego. Choć osobą, której odmawiam wzięcia pod uwagę, jest Evan.

– Czemu? – spytała Daneh, po czym zmarszczyła brwi. – Co prawda, ja też.

– Ponieważ jest tak doskonałym inżynierem – wyjaśnił Edmund. – Można odgadnąć, o czym myśli przez samo spojrzenie na niego. Nie wydaje mi się, żeby był w stanie to udawać. Mogę się mylić, ale sądzę również, że on może mieć pomysł, jak wykurzyć kreta. Ktokolwiek to jest, musi się jakoś komunikować. Nawet jeśli odwiedza go awatar, to pozostawia po sobie ślady. Evan powinien być w stanie coś wymyślić. Jeśli on nie zdoła, ja nie mam pomysłu. Dobrze – odpowiedziała Daneh. – Rozumiem. Ale mogłaby popłynąć.

Chcę, żebyście popłynęły obie z tego samego powodu, dla którego obie tu mną jesteście. Ufam ci bardziej niż Rachel, i tak naprawdę obie będziecie mi potrzebne. Po prostu popłyn, dobrze?

– Dobrze – westchnęła, wyciągając rękę, by pogłaskać go po twarzy. – Uważaj na siebie.

– Będę – zapewnił Edmund. – To o ciebie się martwię.

* * *

Wydostanie z jaskini dorosłych syren było znacznie łatwiejsze od wyprowadzenia stamtąd ich dzieci. Te ostatnie zostały ostatecznie ewakuowane górą przez otwór wpuszczający do jaskini światło słońca, po czym obie grupy podpłynęły do żaglowca i wciągnięto je na pokład za pomocą dźwigu.

Równocześnie okręt wyładował przewożone towary. Ponieważ ilość brązowych grotów włócznie przywiezionych w charakterze podarunku okazała się zbyt mała dla wszystkich, dorzucono do nich piki okrętowe. Te wykonano ze stali niskowęglowej i groziło im szybkie zardzewienie w słonej wodzie, ale to było wszystko, czym dysponowali. W trakcie przeładunku Edmund odszedł na bok z Herzerem i Jasonem.

– Macie – powiedział, kiedy w końcu znalazł ich omawiających plany przenosin. Wręczył im dwa krótkie miecze w pochwach, owinięte w ciężkie pasy z syntetycznej tkaniny.

Herzer wyciągnął swój i spróbował zagwizdać. Klinga błyszczała srebrem i była zdumiewająco lekka. Miała identyczny kształt, jak broń Panów Krwi, na której się szkolił, ale choć tamte miecze były lekkie i łatwe do użycia, ta klinga ważyła tyle co piórko.

– Co to? – zapytał. – Tytan?

– Nie, to wysokiej klasy stop z dwudziestego trzeciego wieku – wyjaśnił Edmund. – Angus pokazał mi to tuż przed Upadkiem. Do jego początkowej obróbki potrzebna jest energia, ale miałem kilka gotowych, zanim nadszedł Upadek. Zrobiłem te dwa tuż przed przybyciem tu na łapówkę dla Bruce’a. To znacznie lepsze od tytanu, między innymi można je naostrzyć prawie do monomolekuły. Nie próbujcie przesuwac palcem wzdłuż ostrza, żeby sprawdzać naostrzenie.

– Nie będę – obiecał Herzer, przypinając swój miecz. Pas miał odpowiednią dla niego długość.

– Dziękuję – powiedział Jason zmęczonym głosem.

– Bierzemy Donala, Chaunceya i komandor Gramlich – poinformował ich Edmund. – Uwzględnijcie to w planowaniu.

– Jeszcze raz dziękuję – powtórzył Jason. – Myślałem, że pan popłynie na żaglowcu.

– Nie, wysyłam na nim Daneh i Rachel – przyznał. – Ale będę się trzymał Joanny, żeby nadążyć.

– Taśmy nie zdołają wytrzymać obciążenia – zauważył Herzer. – To będzie długa jazda. A są tylko w połowie skuteczne, jeśli cały czas będą zanurzone w wodzie.

– Wiem – przyznał Edmund z uśmiechem. – Myślę, że czas przekonać się czy potrafisz jechać na smoku na oklep.

Rozdział 29

– Evan, mamy problem – zaczęła Daneh, wchodząc z Rachel do zatłoczonej pracowni inżyniera.

– Na pokładzie są inne kobiety – powiedział niepewnie. – Ambulatorium dysponuje wszystkim, co potrzebne...

– Nie taki problem. – Daneh westchnęła. Inżynier, choć genialny w tym, co robił, miał wrażliwość towarzyską nosorożca. Co mogło zdecydowanie utrudnić ich zadanie. – Edmund jest przekonany, że na pokładzie mamy szpiega Nowego Przeznaczenia.

Evan otworzył usta, by zaprotestować, po czym zamknął je bezgłośnie, kiwając głową.

– Zdają się zdumiewająco łatwo nas odnajdować – przyznał.

– I za dużo wiedzieli o naszej grupie, kiedy dotarliśmy do wysp. Może to być ktokolwiek...

– Mógłbym to być ja. – Spojrzał na nią podejrzliwie. – Albo ty. Nie, ty nie. Nie było cię na pokładzie, kiedy wcześniej nas zaatakowano.

– I, przykro mi, Evan – wtrąciła się z uśmiechem Rachel – nie sądzę, żebyś był do tego zdolny.

– Tak, pewnie nie – przyznał z uśmiechem inżynier.

– Ale możesz dać radę odkryć, kto to – oświadczyła Daneh. – Edmund kazał mi przekazać ci hasło „ślady awatarów”. Nie mam pojęcia, o czym mówił.

– Hmm. – Inżynier zmarszczył brwi i pokiwał głową. – Kiedy tworzone są awatary, czy dowolne inne manifestacje energii Sieci emitują niewielkie pole elektromagnetyczne. Generowany jest przez nie do końca idealny przekaz danych między nanitami i tworzonymi przez nie polami. A w przypadku prostych projekcji energia z tym związana jest stosunkowo duża, ponieważ to projekcje pola kwantowego. W przypadku, gdy przechodzą przez metal lub inne materiały przewodzące, tworzą na nich ładunek statyczny podobny pod pewnymi względami do ogni świętego Elma...

– Dobrze, dobrze – przerwała mu Daneh. – Nie ucz mnie fizyki, a oszczędzę ci szczegółów interakcji DNA.

– Jesteś inżynierem? – zapytał zachwycony Evan.

– Nie – odpowiedziała Daneh. – Przed Upadkiem naprawiałam to, co zepsuli. Ale chodzi o to, że jeśli on, znaczy szpieg, używa transmitera lub odwiedza go awatar, powinny powstawać ślady.

– Cóż... tak – przyznał Evan. – Ale bardzo słabe. Nie wiem, jak... – Urwał i zaczął mruzczyć coś do siebie. – Może gdybym...

– Zostawię cię z tym – oświadczyła Daneh, klepiąc go po kolanie. – Ale to musi zostać między nami. Jeśli cokolwiek znajdziesz, powiedz o tym Rachel albo mnie. Ale nikomu innemu. Jasne?

– Nawet kapitanowi? – zapytał Evan.

– Nawet kapitanowi – potwierdziła Daneh, po czym wzruszyła ramionami. – Ktokolwiek to jest, oni zawsze zdają się znać nasze dokładne położenie. Jeśli nie używają jakiegoś lokalizatora, a nie bardzo wiem, skąd mieliby go mieć, to musi to być ktoś, kto ma dostęp do aktualnych map nawigacyjnych. Ilu to daje ludzi na pokładzie?

– Och.

* * *

Była już prawie północ, kiedy ukończono prace i wszystkie rzeczy syren zostały załadowane na okręt. Grupa na powierzchni pomachała na pożegnanie kobietom i dzieciom. Młodsze syreny, nawet te zdolne do samodzielnego pływania również zabrano, choć większość ogniście protestowała. W końcu wszystkie przygotowania zakończono i jednostka podniosła kotwicę, napełniając żagle słabym wiatrem od lądu i wypłynęła na morze.

– Twarze kobiet nie są czymś, co powinno zabierać się na statek – wymamrotał Herzer.

– Co? – zapytał Jason, słysząc niespodziewany tekst. – Przecież to one właśnie są na pokładzie.

– To z „Marsza drapieżnego ptaka” – wyjaśnił Herzer. – Wiesz, muszę cię nauczyć trochę Kiplinga. – Urwał i chwilę się zastanowił, płynąc z powrotem do smoków. – Właściwie jest jedna piosenka, która bardziej pasuje.

*O Danny mój, to kobzy dźwięk na pewno
Rozlega się wśród dolin, zboczy gór
Już lata kres i wszystkie kwiaty więdną –
Ty musisz iść, ja muszę zostać tu.
Lecz wrócisz, wiem, z zielenią łąk pachnących
Lub kiedy znów przyprószy biały śnieg
Wciąż czekam tu, czy w cieniu czy też w słońcu*

O Danny mój, o, Danny wciąż Kocham cię!

[Danny boy, tłum. Bogusława Mitruczuk]

Kiedy śpiewał, zebrane delfiny powtórzyły pieśń w dziwnej harmonii, a syrenia pieśń podryfowała nad ciemnymi wodami, aż w końcu umilkła w oddali.

– To cholernie smutna piosenka na początek podróży – zauważył Jason.

– To cholernie smutna podróż – odpowiedział Herzer, zajmując swoje miejsce w ochronnej półkuli. Plan polegał na umieszczeniu Joanny z pozostałymi smokami przy powierzchni, a uzbrojone trytony tworzyły półkulę wokół nieuzbrojonych syren i kilku starszych trytonów w środku. Te ostatnie nie stanowiły tylko obiektu do ochrony, ponieważ holowały baryłki potrzebnej lądowcom i smokom słodkiej wody. Słodka woda miała mniejszą gęstość od morskiej, więc baryłki płynęły na powierzchni, ale i tak była to ciężka praca. Delfiny zajmowały się zwiadem, ale przykazano im, by na pierwsze oznaki zagrożenia schowały się wewnątrz półkuli, ponieważ nie miały żadnych możliwości walki z orkami i ixchitlami. A jeszcze mniej z krakenem.

– Dużo znasz tego rodzaju pieśni? – zapytał Jason, gdy grupa ruszyła.

– Kocham wojnę – przyznał Herzer. – To cholernie smutne, ale to jedyna rzecz, w której jestem naprawdę dobry. A jeśli kocha się wojnę, trzeba ją znać, od dobrej i od tej paskudnej strony, które tak naprawdę są jednym. Wojna ma w sobie piękno, prawie uzależniające, bez względu na to, czy w wygranej, czy w porażce. Pewien starożytny generał powiedział kiedyś: „To dobrze, że wojna jest tak okropna, bo moglibyśmy ją polubić”. A muzyka jest dla wojny tym, czym jedzenie dla seksu, bardzo przyjemnym dodatkiem. A więc tak, znam dużo piosenek i poematów o wojnie. Zresztą jestem też całkiem dobrym kucharzem – dodał ze śmiechem.

– Dziwny jesteś, Herzer.

– Owszem, mówiono mi to – przyznał porucznik. – Z drugiej strony znam i takie, które nie są tak ponure. Stara Irlandia była nazywana ojczyzną smutnych pieśni wojennych i szczęśliwych wojen. Ale Norau było ojczyzną smutnych, a w każdym razie nie dobrowolnych wojen i radosnych piosenek wojennych. Nauczę cię jednej z nich.

I tak, z delfinami powtarzającymi melodię w nocnym morzu, nauczył grupę trytonich wojowników słów pieśni „Marsz Cambreath”.

Ixchitle zaatakowały o świcie.

* * *

Dzień wstawał czysty, z wiatrem wiejącym od północy. Kliper sunął z nim na południe pod pełnymi żaglami z prędkością prawie czterdziestu klików.

– Wspaniały dzień na żeglugę, sir – odezwał się Jerry po wejściu na mostek. Chce pan wypuścić smoki?

– Tak – odpowiedział kapitan, wydając rozkaz ustawienia okrętu na wiatr. Kiedy załoga zajęła się żaglami, zwrócił się do jeźdźca. – Chcę stałej osłony od góry. Uważajcie na tego piekielnego krakena. I, oczywiście, na okręty Nowego Przeznaczenia. Nie będziemy sobie zawracać głowy układami. Przy tym ładunku wolę być raczej ostrożny.

– Aye, aye, sir – odpowiedział chorąży, salutując. Shep został już wyprowadzony na pokład, więc Jerry zdjął rękawiczki, po raz pierwszy od tygodnia ciesząc się, że ma pełne wyposażenie, i umieścił wywerna na katapulcie. Gdy tylko wiatr zaczął wiać z odpowiedniej strony, wystartował na poranny patrol.

* * *

Jerry wylądował, a jego miejsce w powietrzu zajął Koo, gdy rozległ się okrzyk marynarza na oku.

– Smok sygnalizuje, sir – zawołał marynarz. – Numer dwadzieścia cztery i cztery kreski.

– Wróg w polu widzenia – odczytał aspirant sygnałowy. – Pięć jednostek.

– Cholerny świat – warknął kapitan. Miał wiatr po swojej stronie i dysponował większą prędkością niż przeciwnik, niezależnie, czy płynąłby z wiatrem czy pod wiatr. Ale wróg zajął pozycję w wąskim przesmyku i miał do wyboru albo przebicie się przez niego, albo opłynięcie go, co wiązało się z utratą dwóch lub trzech dni, nawet do tygodnia. I był jeszcze jeden problem.

– Cholera, pierwszy, oni na nas czekają – warknął kapitan.

– Możliwe, sir. Ale to logiczna trasa, skoro płyniemy na południe. Mogą mieć kolejną flotyllę czekającą na północy.

– Nie kupuję tego. – Kapitan potrząsnął głową. – Raz może się zdarzyć, dwa to przypadek, ale trzy to świadome działanie przeciwnika.

– Tak jest, sir, natychmiast zbombardować Marsa – odezwał się, kończąc żartem tak starym, że jego pochodzenie utonęło w pomroce dziejów. – Ale to

dopiero drugi raz.

– Nie, trzeba pamiętać też o tym piekielnym krakenie – przypomniał kapitan. – Cóż, w tej chwili to nie ma znaczenia. Musimy jakoś przepłynąć. Ale dla nich wciąż jesteśmy poniżej horyzontu. Ustawić okręt na wiatr, muszę porozmawiać z chorążym Riadou.

* * *

Evan zapukał do drzwi mesy oficerskiej i wszedł, nie czekając na pozwolenie, co wywołało gniewne zmarszczki na czole kapitana.

– Czego? – warknął Chang.

– Usłyszałem, że przed nami są wrogie okręty. – Inżynier zdawał się nie zauważać przygany. – Szukałem Jerry’ego. Herzer poprosił mnie, żeby coś dla niego zrobić, ale przy tym, co się działo, nie było kiedy przeprowadzić testów.

– Co takiego? – zapytał Jerry.

– Cóż, mówił pan, kapitanie, że chce uczynić z okrętu broń ofensywną.

* * *

Kiedy wyszli na pokład, do piersi protestującego Shepa przymocowano już urządzenie z drewna i skóry. Wyglądało jak drewniane pudło z trzema komorami i skórzanymi taśmami oraz drewnianymi dźwigniami do ich otwierania.

– Obawiam się, że to trochę... niebezpieczne dla statku, sir – powiedział Evan. – Najgorsze jest ładowanie. Widzi pan, każda komora mieści ceramiczny dzban zawierający żelowaną benzynę.

– Au – stęknął Jerry. – Ale...

– Och, ma też zapalnik – dodał Evan. – Dlatego zresztą tyle trwało, zanim je zrobiłem. Pierwszych kilka projektów miało skłonność do przedwczesnego wybuchu.

Jerry doznał nagle wizji lotu na płonącym wywernie i zdecydowanie odepchnął od siebie ten obraz.

– Lepiej, żeby nie wybuchły przedwcześnie na moim okręcie, panie Mayerle – powiedział groźnie kapitan.

– Cóż, mam dość duże zaufanie do tego projektu – odpowiedział inżynier z nieobecny wyrazem twarzy. – U podstawy dzbana znajdują się fiołki z wodą i sodem. Kiedy dzban uderzy w coś twardego i się rozbije, sól się

zapala i podpala benzynę. O ile tylko się go nie upuści... dlatego właśnie tak martwi mnie ładowanie.

– Będziemy musieli wymyślić jakąś bardzo ostrożną procedurę – oświadczył kapitan ostatecznym tonem.

– Tak jest, sir – odpowiedział Evan. – Ale, proszę, są.

– Mam po prostu pociągnąć taśmy? – spytał Jerry, przyglądając się urządzeniu. Miało trzy komory i trzy taśmy. Zauważył, że w pokrywach komór umieszczone są zatyczki i dopóki nie zostaną one usunięte, komór nie da się otworzyć. Zatyczki wyposażone były w białe kawałki tkaniny powiewające na wietrze. Pozostając na miejscu, informowały o stanie gotowości do użycia.

– Cóż, podejrzewam, że trafienie w statek będzie trudniejsze, niż się spodziewasz – odpowiedział Evan. – Znoszenie przez wiatr, różnice prędkości. Ale... tak.

– Kapitanie – odezwał się jeździec smoków z ponurym uśmiechem, zakładając rękawiczki. – Myślę, że mamy wreszcie smokowiec uderzeniowy.

– O ile tylko będziemy mieć jakiś wiatr do żeglugi – zauważył kapitan, patrząc na północ, gdzie skierowany był teraz dziób okrętu. – Dobrze, zamierzam zostać poniżej horyzontu. Reszta zależy od jeźdźców. Pokażcie im, że nie należy zadzierać z ZWS.

* * *

Ixchitle rozłożyły się płasko na piasku, ale jeden z delfinów płynący przed Joanną zauważył je i podniósł alarm. Jednak zanim zdążył wrócić w obronny krąg, jeden z ixchitli poderwał się z dna i przepłynął nad nim, wystrzeliwując swoje nematocyty.

Joanna zareagowała błyskawicznie, ale nawet gdy zamykała szczęki na Płaszczce, dla ofiary było już za późno. Harpun trafił i delfin przetoczył się na grzbiet, gdy jego ciało wypełniła trucizna.

Grupa została natychmiast otoczona przez białą chmurę, wzburzoną przez Podrywające się z piasku zaczajone w pułapce płaszczki. Bestie zaatakowały kolczastą półkulę, ale nie mogły ani przebić ściany włóczni, ani wpłynąć nad nie, żeby strzelać w dół.

W tym czasie smoki zaatakowały płaszczki, rozrywając je na kawałki. Kierowane przez Bast, Edmunda i Herzera utrzymywały się blisko powierzchni, gdzie Ixchitle nie potrafiły ich dostać, same zaś mogły gryźć w dół. Ixchitle znalazły się tym samym w pułapce między smokami w górze a

półkulą włóczni.

W końcu się wycofały i jeden z większych stworów obrócił się na bok, błyskając różnymi kolorami z normalnie białego brzucha. Wyraźnie na komendę dwie płaszczki z drugiej strony odpłynęły, po czym wróciły, płynąc z dużą prędkością, wyskoczyły w powietrze i wylądowały pośrodku stłoczonych syren i delfinów.

Uderzenie na krótką chwilę rozerwało ścianę włóczni. Natychmiast też wystrzeliły swoje harpuny, najwyraźniej na ślepo, trafiając jedną z młodszych syren i delfina.

Nawet to nie dało im wiele. Ściana grotów ustawiła się z powrotem, zanim ixchitle na zewnątrz zdążyły zrobić cokolwiek, by pomóc swoim towarzyszom a na wyskrzeczany rozkaz Hermana dwa delfiny chwyciły w paszcze liny nematocytów, jeszcze zanim płaszczki zaczęły pompować przez nie truciznę i zaczęły się obracać niczym wielkie krokodyle, wyrrywając liny z brzuchów bestii.

Co więcej, syreny również były przynajmniej częściowo uzbrojone i zaatakowały ixchitle z furią wynikłą z desperacji. Dwie zostały ciężko pogryzione, ale stalowe i kościane noże szybko uporały się z wrogiem i trupy potworów opadły w dół niesione lekkim prądem.

Widząc to, przywódca ixchitli znów błysnął brzuchem i cała grupa przerwała atak, kierując się w stronę głębszej wody.

Herzer kolanami skierował Chaunceya na powierzchnię i ściągnął maskę, żeby odetchnąć prawdziwym powietrzem. Wszystkie smoki, nawet Joanna, miały założone na szyjach kołnierze z materiału i jeźdźcy płynąc, trzymali się ich. Ale smoki, podobnie jak delfiny, większość czasu spędzały pod wodą, a to oznaczało oddychanie przez maskę. Od czasu walki z orkami nabrał do niej niechęci, choć zdawał sobie sprawę, że była czysto psychiczna. Korzystał więc z każdej okazji, by odetchnąć prawdziwym powietrzem.

Za Herzerem na powierzchni pokazał się Jason, podciągając się na skrzydło Chaunceya, żeby opróżnić płuca z wody. Chwilę później wynurzyli się też Joanna, Bast i Edmund.

– Cóż, śniadanie dla smoków dostarczono na czas – odezwała się Joanna, przełykając resztki ixchitla.

– Lepiej dla ciebie byłoby, żeby ta neurotoksyna rozkładała się w żołądku – zauważył Herzer, rozglądając się po spokojnej powierzchni morza. Wiatr wiał od północy, a przy wyspach blokujących bryzę, w miejscu, gdzie ich zaatakowano, woda ledwie się marszczyła.

– Musimy odpocząć – powiedział Jason. – I mamy rannych.

– Cóż, nie możemy odpoczywać pośrodku wody – zauważył Edmund. – Prędzej czy później wrócą te cholerne orki, a one łatwo przełamają ścianę włócznie jeśli będą gotowe na ofiary. A jeśli przełamają półkulę, jesteśmy załatwieni.

– Syreny mogą wyciągnąć się na plażę – zauważył Herzer. – Ale delfiny nie.

– Zatoka – odezwała się Bast. – Z wąskim wejściem, ale dostatecznie duża żeby pomieścić delfiny...

– Jest jedna taka dalej wzdłuż wybrzeża – przypomniał sobie Jason po chwili namysłu. – Ale... to kawałek.

– Na to nic nie poradzimy – oświadczył Edmund, z powrotem zakładając maskę. – Orki i ixchitle też będą zmęczone.

– Zmęczone! – obruszył się Jason. – Walczymy albo płyniemy od wczorajszego popołudnia! I nie mamy jedzenia.

– Po prostu musimy płynąć dalej – powiedział Edmund. – To wszystko, co możemy zrobić.

– Walcz, aż zginiesz i padniesz – dodał Herzer, patrząc na Jasona i nakładając maskę. – Teraz już wiesz, co to naprawdę znaczy.

– A ty co? Żelazo? – warknął Jason. Choć Herzer większość drogi przebył na smoku, Jason wiedział, że ładowiec brał bardzo aktywny udział w walce.

– Nie – odparł Herzer. – Jestem Panem Krwi. Choć w sumie sprowadza się to do tego samego. Krew do krwi, stal do stali.

* * *

Jerry sygnalizacją ściągnął Koo z powrotem na okręt i wspiał się na pułap umożliwiający dostrzeżenie karaweli z czarnymi żaglami. Koo jednak podleciał do niego i gestem zapytał o urządzenie podwieszane pod Shepem. Jerry zastanowił się nad tym, zdał sobie sprawę, że będą musieli wymyślić znak na „komorę bombową” i wykonał znak na „broń”. Potem dodał „Yazov broń. Przyślij Yazova” i odesłał Koo.

Czekając na drugiego smoka, który musiał zostać odpowiednio wyposażony, a potem wzlecieć na jego pułap, przyglądał się wrogim jednostkom. Halsowały w poprzek wąskiego przesmyku w nierównym szeregu, wyraźnie planując zablokowanie przejścia. Ponieważ jedyne łodzie, jakie widzieli w okolicy, były małymi jednostkami rybackimi, z których żadnej nie dało się dostrzec w pobliżu, wyraźnie czekali na kliper. A wojna

między Nowym Przeznaczeniem i ZWS już się rozpoczęła. Mimo wszystko wciąż nie czuł się dobrze z tym, co miał za chwilę zrobić.

Do czasu, gdy dotarła do niego Vickie z Yazovem, udało mu się stworzyć wstępny plan. Przyglądał się karawelom i zauważył, że oprócz płynięcia do przodu miały nieprzyjemną skłonność do bocznego dryfu z wiatrem. Z rozmów z załogą na myśl przychodził mu termin „na zawietrzną”. Musiał więc wziąć to pod uwagę przy zrzucaniu swoich... bomb. Technicznie rzecz biorąc, bomb zapalających. Kiedy Vickie podleciała do niego, gestem kazał jej się zbliżyć na tyle, by mogli rozmawiać.

– Polecę pierwszy – zdecydował. – Przyglądaj mi się i spróbuj wymyślić najlepszy sposób na zrobienie tego.

– Dobrze – odkrzyknęła. – Słuchaj, to tylko ja, czy coś w tym jest nie w porządku?

– To nie tylko ty – odpowiedział jej. – Ale dlatego właśnie nazywają to wojną. Ustawił się tak, by nadlecieć od dziobu, dostatecznie wysoko, by wywerna nie sięgnęły strzały. Musiał wciąż brać poprawkę na dryf jednostki i smoka, po czym wypuścił pierwszą bombę w miejscu, gdzie jego zdaniem mogła uderzyć w karawelę. Ustawił się na osi żaglowca, bo czyniło to z niego większy cel, ale „bomba spadła sporo po nawietrznej – wziął zbyt dużą poprawkę. Okręt zbliżał się też za szybko, więc za drugim razem ustawił się od rufy i spróbował jeszcze raz. Tym razem bomba spadła po zawietrznej. W końcu doszedł do wniosku, że musi bardziej zbliżyć się do celu. Wykręcił, znów wspiął się na odpowiednią wysokość i podleciał, tym razem jednak czekając, aż znajdzie się prawie nad nim, po czym pchnął Shepa w ostre pikowanie, celując nim w grotmaszt.

Wyraźnie widział na pokładzie postacie w czarnych zbrojach, mierzące do smoka z kusz. Jednak większość z nich wystrzeliła zdecydowanie za szybko i bełty spadły do morza. Zszedł dobrze poniżej poprzedniego pułapu, wycelował tuż przed grotmasztem i poderwał.

Smok nie potrafił natychmiast wyjść z pikowania i musiał w końcu wykręcić na bok, prawie już na poziomie czubków masztów. Poleciała za nim chmara bełtów, ale większość trafiła w prawie nieprzebijalne skrzydła. Jerry słyszał niewyraźne krzyki załogi i wściekłe wrzaski orków, ale odczekał ze sprawdzeniem skutków akcji, aż udało mu się wprowadzić smoka z powrotem na większą wysokość. Shep zaskomlał, ale Jerry wykręcając się nie dostrzegł żadnych ran.

– Ma bełt w nodze – zawołała Vickie, podlatując do niego. – Ledwie się wbił, ale możesz mieć problemy przy lądowaniu.

– Nie schodź tak nisko jak ja – zawołał Jerry.

– Nie będę. Ale zobacz, drań się nieźle pali.

Jerry wykręcił i spojrział w dół. Bomba najwyraźniej trafiła przed grotmasztem i cały pokład już płonął. Widział desperackie wysiłki ugaszenia płomieni, ale zagęszczona benzyna po prostu rozpływała się po większej powierzchni, gdy polewano ją wodą. Kiedy patrzył, płomieniami zajął się grotzagiel i w parę sekund zmienił się w popiół. Maszt też się zapalił i po chwili załoga zrezygnowała z prób gaszenia pożaru, wyskakując za burtę. Orkowie w zbrojach tonęli jak kamienie, ale marynarze opuszczali łodzie i część z nieprzemienionych ludzi miała szansę przeżyć. Część.

– Płytkie nurkowanie nie załatwia sprawy – zawołał Jerry. – Podlec od rufy i zrzucaj na środkowy maszt. Uważaj na to, jak znosi je na zawietrzną, ale bomby też. I nie schodź tak nisko jak ja.

– Dobra – odpowiedziała Vickie.

– Wracam do bazy – zawołał jeszcze Jerry, zwracając smoka w stronę smokowca.

Wrogie okręty ustawiły się na wiatr i płynęły na północ. Najwyraźniej domyśliły się, że przeciwnik jest gdzieś niedaleko w okolicy. Jerry pomyślał, że musi o tym poinformować kapitana.

* * *

Martin z zaciekawieniem przyglądał się spadającemu ze smoka obiektowi aż do chwili, gdy ten po trafieniu wybuchł płomieniami.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o smoki, które w żaden sposób nie mogą nam zaszkodzić – powiedział kapitan. Był niskim mężczyzną, nazywał się Gebshe i cynicznie podchodził do życia. Uniósł brew, patrząc na Martina, i wzruszył ramionami. – Mamy tam bardzo ładne barbecue. Co teraz? Najwyraźniej nie potrafimy ich zestrzelić.

– Nadleciały z północy – zauważył Martin. – Skręć w tamtą stronę i płyn najszybciej, jak potrafisz. Spróbuj znaleźć smokowiec. Jeśli zdołamy się do niego zbliżyć, zniszczymy go. Jeśli nie... – Martin wzruszył ramionami.

– Zrobimy tak – zgodził się kapitan. – Ale myślę, że na wszelki wypadek każę przygotować szalupy.

Martin umieścił karawelę, na której przebywał, na skraju formacji. Jeździec smoka, przypuszczając, że przywódca płynie w środku skupił się właśnie na tamtej jednostce, która znajdowała się teraz na najlepszej drodze do całkowitego spalenia się. Kapitan karaweli w pośpiechu nie pomyślał, co

oznaczać będą flagi sygnałowe i gdy tylko pojawiły się one na maszcie, drugi jeździec smoków, który przygotowywał się do bombardowania jednego z pozostałych żaglowców, wykręcił i skierował się na jego okręt.

– Gebshe – odezwał się Martin. – Możesz manewrować samodzielnie. – Ależ bardzo dziękuję, łaskawy panie – odpowiedział kapitan, oceniając kierunek ataku jeźdźca. – Nie mogę sobie wyobrazić, że mógłbym to zrobić samodzielnie.

Martin wyszczerzył zęby w uśmiechu. Przynajmniej pomimo klęski kapitan zachował swoje poczucie humoru. Albowiem była to całkowita klęska. Wiedział, że nie ma mowy, by jego karawele potrafiły dogonić smokowiec, jeśli tamten zdecyduje się na ucieczkę. Co niewątpliwie robi, gdy tylko się dowie, że płyną w jego stronę. A smoki stanowiły niemożliwe do trafienia cele, po prostu trzymały się poza zasięgiem kusz. Równocześnie znaczyło to, że chwilowo mogli unikać ich bomb. Gdyby tylko zdołali utrzymać się na morzu do zmierzchu. W nocy, być może, udałoby się wymknąć i o świcie znaleźć się naprawdę daleko. Nie dbał już o swoje rozkazy. Nie było mowy, żeby siedział tu w charakterze celu ćwiczeń w bombardowaniu.

Smok ustawił się do nurkowania, a on spojrzał na kapitana.

– Czekam, aż będzie zbyt szybko leciał, żeby skorygować – wyjaśnił Gebshe, po czym rozkazał. – Ster na prawą burtę. Stawiać kliwry!

Karawela wykręciła wolno, zbyt wolno, a smok dokonał poprawki, poruszając czubkami skrzydeł, żeby utrzymać okręt o pękatym kadłubie w samym środku pola widzenia. Wypuścił bombę wysoko, ale celnie, i ta rozprysła się tuż za grotmasztem.

Z bliska jej efekty były znacznie paskudniejsze. Grupa marynarzy trzymowała grotżagiel w chwili, gdy spadło na nich wiadro płynnego ognia, przywierając im do skóry, choć uciekali z krzykiem i wskakiwali do wody. Biegając, rozrzucali równocześnie płonące krople i Martin mógł śledzić ich drogę postępowaniem płomieni.

W gotowości czekała ekipa z wiadrami i pompą, ale polewanie wodą tylko rozprowadzało płomienie na większej powierzchni. Kiedy się przyglądał, liny grotżagla zajęły się ogniem, który szybko wspiął się po olinowaniu i podpalił żagiel. Ten zniknął dosłownie w mgnieniu oka. Kiedy znów spojrzał na pokład, cały środek okrętu stanowił płonące inferno.

– To by było na tyle, jeśli chodzi o statki – powiedział filozoficznie Gebshe. spojrzał na zachód, gdzie na horyzoncie rysowała się linia brzegu. – Spory kawałek do przepłynięcia – zauważył, ściągając swój płaszcz i kord. –

Ostatni trzej zostaną zjedzeni. – Po tych słowach wyskoczył za burtę.

Martin przyglądał się pożarowi i zastanawiał, co robić. Do brzegu faktycznie było daleko. Dla niego zbyt daleko – nie był dobrym pływakiem. Ale zawsze istniały inne możliwości.

Wyciągnął z kieszeni kostkę komunikacyjną i powiedział:

– Conner.

Po krótkiej chwili pojawiła się projekcja. Brat Conner najwyraźniej usłyszał trzaskanie ognia i odwrócił się.

– Fascynujące – skomentował.

– Z przykrością muszę ci donieść, że twój raport o braku możliwości bojowych smoków okazał się dość nieścisły – powiedział Martin, wskazując na smoka ustawiającego się do ataku na kolejny z manewrujących zagłowców. W tej samej chwili spod pokładu rozległy się krzyki orków, wskazujące, że ogień dotarł do ich kajut.

– Muszę przyznać, że to raczej smutne – odpowiedział radośnie Conner. – Ale to ważne informacje, które Chansa chętnie pozna, nawet jeśli się z nich nie ucieszy.

– Cóż, ogień objął również szalupy ratunkowe – poinformował go Martin. – Doceniłbym więc zabranie mnie stąd.

– Ach, cóż przyjacielu, przykro mi – odparł Conner, wzruszając ramionami. – Ale mój budżet energetyczny nie udźwignie teleportu. Mam inne projekty na utrzymaniu. Wygląda na to, że jesteś zdany na siebie.

– Co? Ty wredny szczurze! – Martin urwał, przepełniony wściekłością. – Wysłasz mnie na kompletne zadupie, a potem po prostu mnie tu zostawiasz?

– Na to wygląda – zgodził się Conner, znów wzruszając ramionami. – Trzymaj się. – Po tych słowach zniknął.

– Conner? – odezwał się Martin, potrząsając kostką. – Conner. Niech cię diabli! – Przyjrzał się gwałtownie zbliżającym się płomieniom, po czym rzucił za burtę beużyteczną kostkę. Następnie z żalem zdjął koszulę i buty. Zrobiono je specjalnie dla niego i mocno się do nich przyzwyczyił, zwłaszcza do butów. Ale cóż. Potem odciął nogawki swoich spodni z doskonałego jedwabiu, zostawiając sobie tylko krótkie szorty. Mocniej zacisnął pas, przywiązał do niego końce rur z obciążonych nogawek i poszedł w ślady kapitana, wyskakując za burtę.

Rozdział 30

Po wylądowaniu na smokowcu i wyciągnięciu bełtu z uda Shepa Jerry zaczął się nerwowo rozglądać za Vickie. Po jego ostrzeżeniu okręt płynął dalej na wiatr, uciekając na północ i bał się, że odpłyną za daleko. Koo też wyleciał, ale oboje zniknęli za horyzontem, a do tej pory Vickie powinna już powrócić.

W końcu na niebie pojawiły się dwie kropki i żaglowiec przygotował się na przyjęcie smoków.

– Poszło jak po maśle – krzyknęła Vickie, zeskakując z Yazova, gdy smoka prowadzono pod pokład. – Trafiłam trzy na trzy. Tyle że jeden dostał prosto w dziób i jeśli się pospieszyli, mogli to ugasić. Ale zanim odleciałam, spaliły im się przednie żagle. Został tylko jeden nienaruszony okręt, a kiedy wracałam, pozostałe trzy płonęły albo szły już pod wodę.

– Świetna robota – pochwalił kapitan. – Co ze smokami?

Jerry spojrzał na niebo i wzruszył ramionami.

– Shep dzisiaj już nie poleci – powiedział. – Ale jeśli pan chce, możemy wysłać jeszcze jedną wycieczkę.

– Zróbcie to – zdecydował kapitan. – W tej chwili mamy dobre warunki startowe. Gdy tylko znajdą się w powietrzu, zawrócę i popłynę z wiatrem. Upewnijcie się, że nic tam na mnie nie będzie czekać.

Osprzęt bombowy Shepa załadowano na Nebkę i dwa smoki wystartowały, Jeden za drugim, wspinając się szybko w locie na południe.

– Wszyscy do żagli – zawołał kapitan. – Pogońmy parę smoków.

Zrobiło się już późne popołudnie, gdy oko obserwowało smoki machające ciężko skrzydłami pod wiatr. Kapitan przepłynął pod nimi i dopiero potem wykręcił, po czym przyszedł do stanowiska OSL obserwować ich lądowanie. Tym razem Nebka miał wbity w nogę bełt i kiedy wylądował, ta nie utrzymała jego ciężaru. Ale zaraz opuszczono sieć i przeniesiono w niej żałośnie miauczącego smoka na stabilniejsze miejsce.

Koo został zrzucony przy lądowaniu, ale zdołał się podnieść i chwiejnie za salutować kapitanowi.

– Wszystkie spłonęły, sir – zgłosił jeździec. – Przy drugim przelocie zeszliśmy zbyt nisko. Ten, którego zahaczyła Vickie, zgasił ogień i wyraźnie byli w bardzo złym humorze. Na dodatek szybko uczą się manewrować. Ale dostaliśmy oba. Została mi jedna bomba, ale wyrzuciłem ją po drodze.

– Cholernie dobra robota. – Kapitan ścisnął jego dłoń. – Zejdź teraz pod pokład i odpocznij, musimy jeszcze przyjąć Vickie.

Vickie wykonała idealne lądowanie, ale wyraźnie było widać, że jest zmęczona.

– Wiecie co, mam wrażenie, że lądowanie jest gorsze od walki – oświadczyła, zsiadając z wywerna. – Cóż, przynajmniej dostaliśmy wszystkich. Jak tam Koo i Nebka?

– Noga Nebki nie wyglądała za dobrze – powiedział Jerry. – Gorzej niż Shepa. W tej chwili masz jedynego sprawnego smoka.

– Cóż, nie będziemy ich już potrzebować na tamtych facetów – zauważyła Vickie. – Niektórzy przesiedli się do łodzi i płynęli w stronę wysp. Przypuszczam, że mogą stanowić problem dla wyspiarzy, ale zawsze możemy wysłać trochę piechoty morskiej albo Panów Krwi, żeby to załatwili. – Potrząsnęła głową. – To naprawdę wyczerpujące.

– Podobnie jak czekanie – rzekł kapitan. – I zastanawianie się. To bardzo dziwna bitwa morska. Człowiek spodziewa się abordaży, a to wszystko jest... na długość ramienia. Czuję się... niewłaściwie.

– Niezbyt heroiczne – przyznał Jerry. – Ale zastanawiam się...

– Tak?

– Zastanawiam się, kiedy zaczną budować własne smokowce – dokończył, patrząc na południe.

– No, to będzie ciekawe – przyznała Vickie.

– A ja zastanawiam się, jak radzą sobie syreny – dodał kapitan.

* * *

Był już prawie zmierzch, gdy zmęczona grupa syren i smoków dotarła do atolu Charzan. Przez cieśninę u jej ujścia widać było szerokie, płaskie brzegi, a z odpływem do oceanu wypływała ciepła, prawie gorąca woda.

Herzer zanurzył się w niej z rozkoszą. W miarę upływu dnia robiło mu się coraz zimniej, aż późnym popołudniem opanowały go nieustanne, niekontrolowane dreszcze. Ciepła woda atolu była niczym balsam na jego duszę.

Syreny szybko przepłynęły nad piaszczystą łachą przy wejściu do zatoki którą podczas odpływu zakrywał zaledwie niecały metr wody. Potem zebrały się w płytkich wodach, odpoczywając i oddychając ciepłym powietrzem.

– W górę – powiedział zmęczonym głosem Herzer. Zsiadł z Chaunceya i zaczął przeciskać się przez głębszą wodę, szturchając syreny nogami. – I

potrzebują miejsca, wy idźcie na ląd.

– O Boże, Herzer – jęknęła Elayna, siadając i wydmuchując wodę z płuc.
– możemy wyjść na ziemię, ale tam jest niewygodnie.

– Szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodzi – odparł Herzer. – Zabieraj swój uroczy ogonek na ląd i zrób miejsce dla Hermana i jego delfinów.

Wspólnymi wysiłkami Herzera, Edmunda, Jasona – którego Herzer zaczął uznawać za przywódcę syren – Pete, Antji i Billa udało im się przegonić syreny na ląd, robiąc miejsce dla delfinów, które wpłynęły do zwolnionej zatoki.

Miały z tym zresztą znacznie więcej problemów niż syreny. Delfiny były stworzeniami czysto wodnymi, a fale sprawiały, że woda nad grzbietem piaskowej łachy przy ujściu zatoki miała chwilami mniejszą głębokość, niż potrzebowały na utrzymanie się na powierzchni. Ale dzięki pomocy Herzera i Bast wszystkim udało się wpłynąć. Woda w samej zatoce miała dostateczną głębokość, by umożliwić im pływanie, co było najważniejsze. A skoro one miały problemy z dostaniem się przez ujście, to co dopiero mówić o ixchitlach i orkach, jeśli w ogóle by się pojawiły.

Ale nawet po wprowadzeniu wszystkich do zatoki, praca się nie skończyła.

– Jason – odezwał się Edmund – musimy rozstawić strażę, mniej więcej jedną osobę na cztery. Będą się zmieniać co dwie godziny. Przez cały czas powinien też być na nogach ktoś z dowódców.

– Dobrze – zgodził się wyczerpany Jason. – Zacznę szukać ludzi.

– Generale – wtrącił się Herzer. – Chciałbym pójść sprawdzić drugi koniec atolu.

– Tam są dość wysokie brzegi, Herzer – zauważył Pete. – Żaden ixchitl nie przepłynie tamtędy, nawet podczas przyływu. A ten nie zacznie się jeszcze przez kilka godzin.

– Dobrze, Pete – odpowiedział Herzer. – Ale nie robi się takich założeń. Musimy pilnować i tam, a także na lądzie. Nikt nie powiedział, że nie mogą mieć jakiejś pomocy lądowców, a jeśli zostaniemy zaatakowani przez orki, znajdziemy się w łajnie po kolana.

– Zrób to – zarządził Edmund. – Joanna.

– Generale? – zgłosiła się smoczyca. Pierwszy raz, od kiedy Herzer ją widział, wyglądała na wyczerpaną, z lekko obwisłymi skrzydłami.

– Idź zapolować z wyvernami. Uważaj na wrogów. Spróbujcie przynieść coś z powrotem, jeśli uda się wam znaleźć dość, ale przede wszystkim wy się najedzcie.

Kiedy smoki oddaliły się na polowanie, Herzer pomaszerował na drugi koniec zatoki. Ze wzniesienia na jej tyłach mógł w gasnącym świetle dość daleko sięgnąć wzrokiem. Woda na północy była głębsza niż przy ujściu, ale widział, że Szybko przechodziła w płyctzyny, a spore kawałki brzegu odsłonił cofający się odpływ. Ixchitle prawdopodobnie nie zdołałyby się tam precyzyjnie, ale lepiej się ubezpieczyć. Zaczął brnąć przez ciepłe wody zatoki, zauważając, że w miarę jak słońce się chowało, wiatr stawał się coraz zimniejszy, i odszukał Hermana.

Przywódca delfinów unosił się na skraju swojego stada, co jakiś czas zanurzając się pod wodę, aż jego płetwy piersiowe dotykały dna, po czym wynurzał się z powrotem i oddychał.

– Herman – odezwał się Herzer, gdy przywódca wypłynął.

– Herzer człowiek – zaskrzeczał delfin. – Bezpieczni tu?

– Chciałbym, żeby kilka delfinów na zmiany nie spało, czuwając przy ujściu z północy. Prawdopodobnie nic tamtędy nie zdoła wpłynąć, ale w tej chwili ni powinniśmy raczej przyjmować nic na wiarę.

– Dobrze – zgodził się delfin, zanurzając się i uruchamiając sonar. Para samców ruszyła na północ przy akompaniamencie poirytowanych dźwięków i ustawiła się przy ujściu.

– Znajdę kogoś, kto powie, kiedy je zmienić – obiecał Herzer. – Sugerował, bym, żebyś się przespał.

– Głodny – odpowiedział Herman. – Stado głodne.

– Mam nadzieję, że smoki coś przyniosą. – Herzer nie miał do zaferowania nic innego.

Wyszedł w końcu na brzeg i znalazł Bast, której w jakiś sposób udało się rozpać ognisko.

– Napij się trochę wody – odezwał się Edmund, wskazując na otwartą beczkę. – Nie więcej niż litr, większość musimy zachować dla smoków.

Herzer zanurzył w beczce kubek i ostrożnie wypił jego zawartość, unikając rozlewania. Cały dzień spędził na słońcu w słonej wodzie i jego ciało sprawiało wrażenie usychającej rośliny. Woda miała smak najlepszego wina i poczuł się odświeżony już po pierwszym kubku, ale i tak wypił drugi. Wiedział, że go potrzebuje.

– Zostało nieco makreli – poinformował go Edmund. – Ale nie chcę jej ruszać, dopóki nie wrócą smoki.

– Znalazłem trochę małży – odezwał się Pete. Wyciągnął już mięczaki z muszli i rozcinał je teraz na plastry. – Szkoda, że nie ma cytryny. Na kwaśno są całkiem dobre.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, swój kawałek po prostu upiekę – powiedział Herzer, przyjmując porcję i odchodząc w krzaki poszukać patyka. Wrócił z czterema i zdołał wbić jeden w twarde mięso. Następnie potrzymał małża nad ogniem, aż mięczak się upiekł, po czym zaczął podjadać go, jeszcze zanim wystygł.

– Brrr – skomentował, zmagając się z gumiatym mięsem. – Nie sądziłem, że będę jadł cokolwiek gorszego od małpy na patyku.

– Nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć – rzuciła Antja.

– Racje polowe – wyjaśnił Edmund, walcząc z własnym mięczakiem. – W zasadzie suszone i prasowane mięso.

– Ale w tej chwili zabiłbym za garść prażonej kukurydzy – dodał Herzer.

– Sarnina duszona w winie – rzuciła Bast.

– Pieczony wół – dodał ze śmiechem Edmund. – Krwisty przy kości.

– Tygrysia ryba w winie i sosie kremowym – dorzucił Pete. Nie zawracał sobie głowy pieczeniem swojego małża i dawno go już zjadł.

– A co powiedzielibyście na pieczonego granika? – odezwała się z ciemności Joanna. Głos był przytłumiony, bo trzymała w paszczy rybę wielkości torsu Bast.

– Nic tak dużego nie powinno móc poruszać się tak cicho – powiedział Jason gdy Chauncey upuścił mniejszą rybę przy Herzerze.

– Będziemy musieli podzielić się tym z delfinami – przypomniał Herzer, gdy Edmund zaczął patroszyć rybę.

– Donal zaniósł im największą – wyjaśniła Joanna. – A ja mogę już paść.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to połóż się w ujściu – zaproponował Edmund. – Nie będzie ci zbyt zimno?

– Nie, w porządku – odparła smoczyca, a potem potężnie ziewnęła. – Ale jestem gotowa do snu. A kiedy przyjdzie czas, będziesz mi winien jednego z tych pieczonych wołów. Z sosem.

– Zrobi się – roześmiał się Edmund.

– Na razie – rzucił smok, oddalając się w mrok.

Wywerny ułożyły się już przy zboczu i zaczynały usypiać. Herzer uświadomił sobie, że ma problemy z utrzymaniem otwartych oczu, ale odczekał na upieczenie się ryby, od czasu do czasu kiwając głową. Wiele trytonów i syren nie miało dość cierpliwości i zdążyły zasnąć. Wśród nich znalazła się Elayna.

Kiedy ryba się upiekła, podzielił ją na porcje i zaczął krążyć pomiędzy syrenami, budząc je i zmuszając do jedzenia. Wiele protestowało, twierdząc, że nie są głodne, ale upewnił się, że przed uśnięciem każda porcja została

zjedzona.

– Litr wody i ile, dwieście gram ryby? To jak w Czasie Umierania.

– Nie – zaprotestował Edmund. – Wtedy było więcej wody. – Wrzucił do ust swój kawałek fileta i prawie przełknął go w całości. – Idę spać.

– Stanę na pierwszej warcie – zaoferował Herzer.

– Nie, ja to zrobię – oświadczyła Bast. – Ale położysz się tu, obok mnie. Herzer wylądował po chwili w sporej grupie stłoczonych dla ochrony przed zimnym wiatrem i wzajemnego ogrzania się ciał. Byli tam Edmund, Bast, Elayna, Antja, Jason i Pete. Uświadomił sobie, że nie tylko jest tak ciepłej, a całkiem przyjemnie ciepło, lecz była to ostatnia myśl, jaką zapamiętał. Poza dręczącym go przez całą noc głodem.

Obudził się, słysząc ryk i zerwał się na nogi z wyciągniętym mieczem, zanim uświadomił sobie, że jest świt, a słońce zaczyna wynurzać się zza horyzontu. Rozejrzał się w poszukiwaniu niebezpieczeństwa, ale zobaczył tylko przeciągającą się i ziewającą potężnie Joannę.

– Przepraszam – powiedziała smoczyca, znów ziewając, czemu towarzyszyło rozgłośnie burczenie dobiegające z jej brzucha. – Nic na to nie poradzę.

– Cóż, dobra wiadomość jest taka, że wszyscy się obudziliśmy – stwierdził Edmund. On też wstał, ale miecz wciąż miał w pochwie.

– Jak się pani dzisiaj czuje, komandorze? – zapytał Herzer.

– Nieźle – mruknęła smoczyca, znów ziewając. – Tyle że wciąż musiałam się budzić w nocy, żeby przepuszczać wodę.

Widać było, że piach przy wejściu do zatoczki został rozkopany wodą i smoczymi łapami. Przesmyk był też głębszy niż wtedy, gdy wpływali do środka, – woda ponownie wypływała. Przespali przyptyw i znów mieli do czynienia z odpływem.

– Najpierw muszą się najeść smoki – zdecydował Edmund, rozglądając się po syrenach, które przecierały oczy. – Wody napiją się najpierw lądowcy i smoki. Jeśli delfiny chcą wypuścić jakichś zwiadowców, nie mam nic przeciw! Kiedy smoki wrócą i coś ze sobą przyniosą, zjemy. Potem ruszamy.

– Tym razem musimy popłynąć dalej – zauważyła Joanna. – Zeszłej nocy wylapaliśmy tu wszystko, co się dało.

– Płyncie – zgodził się Edmund. – Zużyjcie tyle czasu, ile trzeba, ale nie więcej.

– Tak jest, generale – odpowiedziała smoczyca z uśmiechem. Pogoniła wywerny i wraz z nimi dopiła wodę z beczki. Potem smoki ruszyły w stronę szczyty wyspy, żeby mieć dość miejsca do startu.

– Miałem tej nocy stać na warcie – odezwał się Herzer do Bast, która wyglądała na przytomną.

– Nie potrzebuję tak dużo snu – odparła elfka. – I nie było żadnych zagrożeń. Co do tego możesz mi zaufać, kochany.

– Ufam – przyznał Herzer. – I dziękuję.

– Później będziesz mógł mi odpowiednio podziękować. – Uśmiechnęła się. – Mieliśmy tak mało czasu!

– Gdzie u diabła podziały się orki? – burknął Edmund. Ze zmarszczonym czołem patrzył na morze. – Ixchitle mogą przycząić się w piasku. Ale orki muszą od czasu do czasu się wynurzać. Spodziewałem się po obudzeniu zastać je tuż przed wyjściem.

Jednak ani ixchitle, ani orki nie pojawiły się, nawet gdy smoki wróciły ze sporą porcją ryb.

– Widzieliśmy w oddali jakieś płaszczki – oznajmiła Joanna, rozgłośnie beknąwszy. – Ale nie wiem, czy to ixchitle, nie zbliżyliśmy się na tyle. W dół wybrzeża jest bardzo obficie zamieszкана rafa, przelatując nad nią, dostrzegliśmy mnóstwo ryb.

– To wspaniale, komandorze – odpowiedział Edmund. Wywerny wróciły z wielkimi granikami, było więc dość, by wszyscy dostali solidne porcje. – Ale musimy się ruszyć. Słońce jest już całkiem wysoko. Najpierw wypłyną smoki z jeźdźcami, potem uzbrojone trytony, delfiny i na końcu syreny bez broni. Przygotujemy perymetr do czasu, aż odtworzymy półkulę.

Herzer zachichotał, zapinając sprzączkę na płóciennej taśmie na Chaunceyu, a Bast uśmiechnęła się do niego, wspinając się na grzbiet Joanny.

– Ty też to widzisz – powiedziała.

– Tak – odpowiedział Herzer, prowadząc wywerna do wody. Prawie niemożliwe było dosiadanie smoka bez pełnej uprzęży, o ile nie był zanurzony w wodzie.

– Co? – zapytał Edmund.

– Ty – wyjaśniła Joanna, wchodząc do wody na dostateczną głębokość, by choć częściowo się zanurzyć. – Myślałeś o wyjściu z tej zatoczki całą noc? Czy po prostu oświeciło cię w pełni gotowym planem, jak Atena wychodząca z głowy Zeusa?

– Zastanawiałem się nad tym, zanim opuściliśmy Raven's Mill – wyjaśnił Edmund. – To prosta modyfikacja sposobu, w jaki rzymskie legiony, czy Panowie Krwi, wychodzili ze swoich obozów.

– Tyle że nie musimy go za sobą niszczyć – zauważył Herzer. – Po prostu

nie myślałem tak daleko do przodu.

– Nauczysz się, Herzer – zapewnił go Edmund, wspinając się na Donalę leżącego już w wodzie. – Nauczysz się.

Nie zostali zaatakowani, gdy wypływali z zatoczki ani nawet po odtworzeniu półkuli i wyruszeniu wzdłuż wybrzeża.

– Gdzie oni są? – zapytał Herzer.

– Czekają w pułapce – odpowiedział Edmund. – Tak działają.

Herzer wziął sobie do serca komentarz o myśleniu z wyprzedzeniem i wykorzystał posiadany czas. Już od jakiegoś czasu męczyło go coś w związku ze zwężeniem, przez które kanał wchodził między brzegi wysp i wreszcie to zrozumiał.

– Myślę, sir, że zaatakują nas przy wejściu w cieśninę – powiedział. Płynęli pod wodą, ze smokami wynurzającymi się co jakiś czas dla nabrania oddechu niczym wieloryby.

– Też tak przypuszczam – zgodził się Edmund.

– I mogą to zrobić tylko na kilka sposobów – ocenił Herzer. – A... wydaje mi się, że wiem, jak możemy zepsuć im pułapkę. Ale obawiam się, że wymaga to za dużej koordynacji, że będzie zbyt skomplikowane.

– Jeśli plan jest zbyt skomplikowany, sposobem na jego wykorzystanie jest uproszczenie go – odpowiedział Edmund. – A więc na czym on polega?

Herzer zdradził mu szczegóły, a Edmund pokiwał głową.

– Masz rację – uznał po chwili namysłu. – To zbyt skomplikowane. I nie wzięłeś pod uwagę, że coś się może zepsuć. Zobaczmy, czy uda się go nam uprościć i stworzyć opcję na wypadek, gdyby wszystko poszło w diabły.

Rozmawiali o tym przez chwilę, nie będąc atakowani, co tylko podsyciło ich podejrzenia, aż w końcu Edmund kiwnął głową.

– Nie bierzemy tu pod uwagę orek – zauważył. – Ani krakena. Ale to wystarczy. Jeśli jedno z nich się pojawi, mimo wszystko plan może zadziałać. Jeśli Pojawią się oba, skorzystamy z planu ostatecznego.

– A mianowicie? – zapytał Herzer.

– Syreny zwieją na ląd, najdalej jak potrafią, a delfiny będą zdane na siebie – brutalnie wyjaśnił Edmund. – Jeśli pojawi się oddział orek, będziemy musieli po prostu uciec na płycizny i walczyć, aż wszystkie zginą. To dlatego nazywam go planem ostatecznym. I tak nie ma szans na wygraną, więc można przynajmniej zabrać ze sobą jak najwięcej przeciwników. Idź, poinstruuuj syreny, ja porozmawiam z delfinami.

Rozdział 31

Ponieważ trzymanie się brzegu przez cały czas wymagałoby sporego nadłożenia drogi, zamiast tego popłynęli przez głębszą wodę. Herzer sądził, że był to jeden z możliwych punktów napaści, bardzo więc uważnie obserwował głębiny. Jednak także i tutaj nie doszło do żadnego ataku, odprężył się więc, tylko by uświadomić sobie po chwili, że zbliżają się właśnie do przesmyku.

Długi, wąski korytarz prowadził od strony głębin na drugą stronę wysp, gdzie płynął prąd zatokowy i gdzie chcieli dotrzeć. Większość przesmyku miała około klika szerokości i do trzydziestu metrów głębokości, ale na skraju głębin zwężał się i spłycał, tworząc pas wody nie szerszy niż pięćdziesiąt metrów i głęboki ledwie na kilka. Przy czym niecały klik dalej dno oceanu schodziło na dwa tysiące metrów.

Grupa dotarła na jakieś sto metrów od wejścia, gdy łacha piasku na północny wschód wybuchła ixchitlami.

Było ich więcej, niż przeżyło pierwszą pułapkę, przynajmniej czterdzieści, i zaczęły opływać formację, rezygnując ze strzelania nematocytami na rzecz bezpośredniego ataku na uzbrojonych we włócznie trytonów.

Właściwie z użycia nematocytów zrezygnowała większość, reszta natomiast skupiła się na smokach i Chauncey ryknął wściekle, gdy jeden z harpunów wbił się w jego plecy. Oderwał się od zabitego właśnie przeciwnika, a trucizna zdawała się nie mieć na niego tak dużego wpływu jak na ludzi. Obrócił się na bok, przytulając skrzydła do ciała i używając techniki delfinów do owinięcia przewodu harpuna wokół ciała i ściągnięcia przeciwnika w zasięg swoich zębów zabarwiając wodę wokół siebie na czerwono krwią wroga.

Inne jednak dalej atakowały wywerny i mniejsze smoki musiały odskoczyć na południe, gonione przez przynajmniej dwadzieścia wielkich płaszczyk.

Reszta ixchitli zebrała się wokół syren, próbując przebić się do wnętrza formacji poza włócznie.

Gdy tylko rozpoczął się atak, Herzer, Bast i Edmund uwolnili smoki i teraz stworzyli silną grupę w centrum półkuli. Formacja nie potrafiła się jednak przebić przez ixchitle bez zejścia pod nie i wystawienia się na atak ich nematocytów – Z drugiej strony płaszczyki nie były w stanie przedostać się

przez barierę trzymanyh przez trytony włóczni. Zdawało się, że doszło do pata, gdy nagle jeden z delfinów wydał z siebie krzyk przestrachu, bijąc sygnałami z sonaru na południowy wschód, w stronę głębin. Wynurzał się z nich potwór z mnóstwem macek i olbrzymim dziobem. Wrócił kraken.

– Jason! – krzyknął Edmund. – Musimy złamać szyk i przejść do drugiej fazy. JUŻ!

Dolna część półkuli otworzyła się jak kwiat, wystrzeliwując w górę i przemykając pod ixchitlami na zachód, ryzykując ich harpuny wobec większego zagrożenia. Delfiny ruszyły w formacji, robiąc, co się da, by wylapać nematocyty, choć większość trzymała się z tyłu.

Syreny i starsze trytony porzuciły swój ładunek i ruszyły za uzbrojonymi trytonami, płynąc najszybciej, jak potrafiły w stronę przesmyku, z delfinami osłaniającymi ich z przodu i przegrzebującymi piasek w celu sprawdzenia, czy nie kryje się tam kolejna pułapka.

Herzer chwycił przepływającego Hermana, trzymając się płetwy grzbietowej delfina protezą, ponieważ nie było mowy, żeby lądowiec był w stanie nadążyć w tej błyskawicznie rozgrywającej się podwodnej bitwie. Gdzieś z boku usłyszał krzyk i obejrzał się, widząc harpun wpompowujący truciznę do ramienia Elayny.

Błyskawicznie machnął mieczem i przeciął przewód, po czym chwycił ramię, którym dziewczyna rzucała w sposób niekontrolowany i trzymała. Duży delfin wyczuł jego ruch i zwolnił, dając mu chwilę na przechwycenie syreny, ale teraz znów wystrzelił do przodu, płynąc z pełną prędkością w stronę płycizn. Herzer miał wrażenie, jakby oba ramiona miały mu wyskoczyć ze stawów, ale w jakiś sposób zdołał równocześnie utrzymać miecz, Elaynę i delfina.

Gdy delfin podpłynął do płycizn przy wejściu do cieśniny, ostro wykręcił w bok, rzucając Herzera i jego obciążenie na piaszczystą płyciznę. Następnie bez słowa skręcił na zachód i pomknął za swoim stadem.

Trytony, w pozornej panice, tłoczyły się teraz przez wąską cieśninę, by uciec przed połączonymi siłami ixchitli i krakena. Na pozór z powodu tej samej paniki popełnili ten sam błąd co syreny, skręcając w niewłaściwym miejscu zdradzieckich płycizn i znaleźli się w małej zatoczce osłoniętej ładem po południowo-zachodniej stronie cieśniny.

Nie było z niej ucieczki. Miała dość strome brzegi i choć mogli wydostać się na ląd, nie było mowy, żeby wspięli się gdzieś dalej. A ixchitle kontrolowały jedyne wyjście na morze. O ile ktoś nie przyszedłby im na ratunek, kraken mógłby bez problemu dostać się do stosunkowo płytkiej

wody i wybrać wszystkich z brzegów.

Wszystkie ixchitle popłynęły za trytonami do zatoki, nawet grupa, która ścigała smoki, a kraken czekał przy wejściu do zwężenia, wyraźnie preferując głębiny nad płycizny, które mogły być niebezpieczne dla jego przystosowany do dużych głębi ciała.

Herzer wyciągnął Elaynę wyżej na brzeg, dostatecznie wysoko, żeby kraken nie był w stanie jej ściągnąć i spojrzał nad wąskim przesmykiem prowadzącym do zatoczki. Było tu prawie dokładnie tak, jak zapamiętał ze studiowanych map i zamachał do Edmunda znajdującego się po drugiej stronie wejścia, po czym ściągnął z pleców ciężki pakunek.

– Straciliśmy zbyt wielu – zawołał.

– Żaden plan nie wytrzymuje kontaktu z wrogiem – odpowiedział Talbot – Ten i tak prawie się udał. A przynajmniej uda się, jeśli się pospieszysz.

Herzer rozwinął wyciągniętą z plecaka monomolekularną sieć, chwycił jej część, po czym zawirował nią nad głową, nadając jej większą prędkość, i rzucił w poprzek wejścia.

Słyszając plusk, część ixchitli odwróciła się w stronę jedyne ujścia zatoczki ale Edmund wbiegł już w głęboką do pasa wodę i wychodził z powrotem na brzeg.

Mocno obciążony brzeg sieci szybko opadł do dna, a Herzer i Edmund zamocowali jej końce do ziemi za pomocą niesionych ze sobą palików.

Ixchitle zaczęły pływać dziko po zatoczce, błyskając do siebie brzuchami. Jeden wyskoczył w powietrze, by przelecieć nad siecią, ale woda po drugiej stronie była bardzo płytka i Herzer, brodząc zanurzony do ud, bez wysiłku dotarł do niego z wyciągniętym mieczem. Adamantytowe ostrze rozcięło ciało i chrząstki, zostawiając śmiertelnie okaleczonego ixchitla w drgawkach.

Kolejny rozpędził się i przeskoczył nad siecią, lądując w odrobinę głębszej wodzie, w tej samej chwili nad wodą przemknął cień i na śmiałku wylądował Chauncey, łapiąc go szponami. Jedno ugryzienie oderwało głowę płaszczki i ta też została porzucona w bezładnych drgawkach. Tuż obok wylądował Donal. Ostatni z przybyłych odwrócił się w stronę zablokowanej zatoki i rozłożył skrzydła, sycząc z głodu i kłapiąc szczękami, jakby chciał złapać przekąskę w powietrzu.

Na widok smoków w wodzie dostatecznie głębokiej, by mógł w niej manewrować, kraken wystrzelił do przodu, ale zatrzymał się, gdy w przesmyku wylądowała Joanna, zanurzając się po grzbiet.

– Cześć – powiedziała smoczyca. – Chcesz się pobawić? Lubię kalmary.

Kraken zdawał się zastanawiać nad tym przez chwilę, po czym rzucił się do tyłu w chmurze czarnego atramentu.

– O nie, nic z tego – krzyknęła Joanna, skacząc na brzeg, a potem rozpędzając się, żeby wzbić się w powietrze. – Do diaska, jestem głodna! – ryknęła.

Zamachała skrzydłami, wzbijając się w górę jak winda ekspresowa, a potem wykręciła i wycelowała w krakena, którego najwyraźniej wciąż widziała. Złożyć skrzydła do tyłu i wciąż przyspieszając, przebiła powierzchnię wody jak strzała.

– Komandorze! – krzyknął Edmund, ale smok już się zanurzył.

– Cóż – mruknął Herzer, schylając się nad Elayną, – przypuszczam, że poznamy wreszcie odpowiedź na odwieczne pytanie.

– Jakie? – zapytała Elayna, krzywiąc się.

– Kto wygra w walce węża morskiego z krakenem – poważnie odpowiedział Herzer.

* * *

Joanna idealnie wymierzyła nurkowanie i w chwili, gdy zaczęła zwalniać w wodzie, jej paszcza zamknęła się na ciele kalmara.

Był to najpaskudniejszy smak, jakiego kiedykolwiek doświadczyła, połączenie amoniaku z nutą dawno zdechłej ryby. Ale zagryzła mocno i poczuła, jak pęka coś ważnego.

Nie był to jednak morderczy cios i olbrzymi kraken zaczął szarpać się w jej uścisku, owijając ją mackami wokół szyi i skrzydeł, atakując dziobem i szukając czegoś, co nie było tak niewrażliwe jak skrzydła.

Oczy Joanny wylazły na wierzch od nacisku macki, przesunęła więc chwyt paszczy na jej podstawę, odrywając ją po długich zmaganiach z gumiąstą tkanką – Wypluła wciąż wijącą się mackę i znów się wgryzła, szukając czegoś wrażliwego i drapiąc pazurami, podczas gdy jej wróg wystrzeliwał strumienie wody i zanurzał się coraz głębiej. Czuła, jak woda robi się coraz zimniejsza, a światło zmienia barwę z jasno na ciemnoniebieską, a potem prawie całkowicie gaśnie. Ciśnienie w jej płucach wzrosło do niemożliwych wartości, gdy wciąż szarpała wroga z wysiłkiem szponami i paszczą.

Komandorze Gramlich, pomyślała, czując, jak jej mózg powoli ogarnia chłód, to nie była najmądrzejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłaś.

* * *

– Nie czuję ręki – powiedziała Elayna.

– Daneż mówiła, że to tylko środek paralizujący – rzekł Herzer. Z drugiej strony kościany harpun był głęboko wbity w ciało. – Myślę, że powinniśmy poczekać, zanim spróbujemy to wyciągnąć. – Za pomocą miecza odciął zwisający kawałek tkankowego przewodu.

– Dobrze – zgodziła się dziewczyna. – Dziękuję.

– Nie dziękuj. Oboje zginęlibyśmy, gdyby nie Herman.

– Gdzie one popłynęły? – zapytała Elayna, siadając.

– W głąb przesmyku – wyjaśnił Herzer. – One są, szybsze od ixchitli. Martwiły się tylko orkami, ale te nie mogły pojawić się na płycznach. Jeśli wciąż czekają, to zaczęły się gdzieś na głębinach.

– I co teraz? – zapytała dziewczyna.

– Teraz czekamy na przypływ, żeby się stąd zabrać – odpowiedział Herzer, patrząc na morze. – I podliczymy straty.

Te były ciężkie. Jackson, wytwórca narzędzi, zginął wraz z pół tuzinem trytonów, które poświęciły życie w osłonie wycofujących się sił. Zginęły też dwie syreny. Zostawiając Donalę na straży wyjścia z zatoki, Herzer zabrał Chaunceya na Głębszą wodę, próbując odszukać Joannę, która do tej pory nie powróciła.

Znalazł jedno poszarpane ciało syreny, której nie dało się zidentyfikować, a inne odnalezione zostało przez bardzo odważnego delfiniego zwiadowcę, który wypłynął z przesmyku. Innych śladów syren i Joanny nie było.

– Nie mogę uwierzyć, że zginęła – powiedziała Elayna po powrocie Herzera.

– Może być niewrażliwa na większość ciosów – zauważył Herzer – ale nie potrafi bez końca wstrzymać oddechu.

– Powiedziała, że może go wstrzymać na bardzo długo – przypomniał Edmund.

– Uplynęła już prawie godzina – ocenił Herzer.

– Mamy czas. – Generał popatrzył na słońce. – Jeszcze kilka godzin do odpływu. Ixchitle najwyraźniej przewidziały ich plan i próbowały przebić się przez wyjście. Jednak część uzbrojonych trytonów przeczołgała się po skałach do ujścia zatoki, gdzie zgromadziły się też delfiny. Jeden ixchitl, któremu udało się precyzyjnie pod siecią został rozszarpany przez rozwścieczone ssaki, jeszcze zanim dopchały się do niego smoki. Później Herzer wyciął kolejne pale i sieć została zakotwiczona w dnie przez całą

szerokość wejścia.

Wciąż jednak wyglądali na morze, mając nadzieję na dostrzeżenie jakiegoś śladu węzowej głowy. Słońce chyliło się już ku zachodowi i w zasadzie stracili wszelką nadzieję, gdy Chauncey skrzeknął radośnie i zamachał skrzydłami.

Herzer podbiegł do brzegu skarpy zamykającej zatokę i spojrzał na ciemniejące morze. Faktycznie, w stronę brzegu wolno posuwała się smocza głowa.

Trzydzieści minut później Joanna wypęzła na piach. Jej brzuch był w wielu miejscach poszarpany, a plecy pokryte miała szerokimi czerwonymi plamami. Ale żyła.

– Cristo – wymamrotała, padając bezwładnie. – Przypomnij mi, żebym więcej tego nie robiła.

– To jak, uciekłaś! – zapytał Edmund. – Czy jadłaś?

– Ani, ani – odpowiedziała zmęczonym głosem. – Przysięgłabym, że zginęłam. Ale wiem, że on zginął. I nic nie jadłam. Zaczęliście już podawać ixchitle?

– Nie. – Edmund rzucił okiem na szybko opadający poziom wody. – Wkrótce.

– Dobrze. Obudźcie mnie, kiedy będą gotowe. Moje proszę średnio wysmażone.

– Kraken na pewno jest martwy? – nie dawał spokoju Edmund.

– Przegryzłam mu się do mózgu – zapewniła Joanna z zamkniętymi oczami. – Nie myślisz chyba, że kłamię.

– I nie zjadłaś go? – zapytał zdumiony Herzer.

– Najpaskudniejsze mięso, jakiego kiedykolwiek próbowałam – wyjaśniła. – A teraz bardzo proszę, dajcie mi spokój. – Po paru sekundach zaczęła głośnie chrapać.

Było już po zmroku, gdy odpływ osiągnął maksimum, ale Herzer z Bast zebrali duże ilości opału i woda w zatoczce rozświetlona była płomieniami, gdy razem z Edmundem ruszyli po piaszczystym dnie.

Ixchitle zebrały się w wąskim pasku pozostałej wody, machając rozpaczliwie skrzydłami w walce o resztki nadającego się do oddychania płynu, a płomienie ognisk dziko odbijały się od ich oczu, grzbietów i skrzydeł.

Herzer zatrzymał się z uniesioną w powietrzu włócznią i spojrzał na generała.

– Jedno pytanie, sir – odezwał się, opuszczając włócznię, gdy jeden z

ixchitli spojrział na niego, nerwowo wachlując skrzydłami. – Czy to naruszenie praw wojny lądowej?

– Dobre pytanie. – Edmund oparł się na własnej włóczni. – Mamy przed sobą istoty myślące, więc nie możemy traktować ich jak zwierząt. Z drugiej strony rzecz biorąc, nie podpisały z nami żadnych porozumień i wszystkie uczestniczyły w nielegalnych działaniach. Z kolejnej zaś zamyślamy nakarmić nimi smoki. I szczerze mówiąc, sam planuję parę steków ze skrzydeł. Jak ty się zapatrujesz na tę sprawę?

Herzer spojrział w dół na trzepoczące bezradnie płaszczki i uniósł włócznię, pomyślał o ogonie trytoniego dziecka leżącym na piasku obok Whale Pointprop. Zobaczył Bruce'a, Jacksona i wszystkich innych, sparaliżowanych i umierających bez tchu w wodzie. Zjedzonych żywcem.

– Zabijmy wszystkie, sir – warknął porucznik, uderzając w dół i wyciągając nabitą na włócznię płaszczkę na twardy piach, gdzie miała zginąć jak wyciągnięta z wody ryba. – Niewątpliwie Bóg rozpozna swoich.

* * *

– Smakuje jak... muszle świętego Jakuba – mruknął Herzer znad olbrzymiej wielkości steku.

Stado płaszczek zapewniło dość jedzenia, by wszyscy mogli najeść się do syta. Rozcięcie wzdłuż kręgosłupa i oddarcie skóry skrzydeł odsłaniało olbrzymie kawały białego mięsa w płatach porozielianych chrząstkami. Smoki rozszarpały po prostu dane im ixchitle, ale Pete pokazał ludziom, jak wypreparować steki i te upieczono na ogniskach, wykorzystując monomolekularną sieć do utrzymania ich z dala od płomieni. Upieczone mięso było smaczne i soczyste, z dużą ilością tłuszczu i Herzer uświadomił sobie, że zjadł swój stek, nawet na chwilę się od niego nie odrywając.

– Jeszcze w epoce przed replikatorami – rzekł Edmund – łapano płaszczki i siekano je na kawałki, sprzedając mięso jako przegrzebki, czyli właśnie muszle świętego Jakuba. Kiedy wprowadzono replikatory, to właśnie one zostały wykorzystane jako wzór smakowy, zamiast prawdziwych przegrzebków. Tamte mają trochę inny smak i są mniej gumiate.

– I tak jest dobre – stwierdził Herzer.

– Zdajecie sobie sprawę z tego, że to w zasadzie kanibalizm? – odezwał się Pete, żując powoli.

– Dla was – rzuciła Bast. Ze swojej nieskończenie pojemnej torby wyciągnęła widelec i elegancko odcinała plasterki steku. – Ja jestem elfem.

To się nie liczy.

– Mimo wszystko to istoty myślące – zauważył Jason.

– Nikt nie zmusza cię do jedzenia – odpowiedziała Bast. – Właściwie, jeśli masz dość...

– Nie – zaprzeczył Jason, wrzucając sobie kawałek do ust. – Po prostu chciałem zwrócić na to uwagę.

– Jeśli o mnie chodzi, to pomaga – wtrąciła Elayna, żując porcję soczystego mięsa. Ramię miała nabrzmiąle, z wciąż tkwiącym w nim harpunem, ale zostało unieruchomione na temblaku. Drugie jednak zdecydowanie wystarczało do jedzenia.

– Czemu? – zapytał Pete.

– Kiedy następnym razem będę musiała z nimi walczyć, postaram się po prostu, myśleć o grillu po walce – powiedziała ze złowieszczym uśmiechem.

Wody z beczek nie starczyło na długo, ale na wyspie znajdowało się małe źródło i Herzer miał możliwość napić się do woli, splukując też z siebie część soli. W sumie czuł się lepiej, niż zdarzyło mu się to od chwili pierwszego ataku na miasto.

– Strażnicy rozstawieni, generale – zgłosił formalnie. – Ja mam drugą wartę więc idę spać.

Wzbierał przypływ, dzięki któremu w zatoce znów mogła się zmieścić większość delfinów. Pozostałe, głównie młode samce, unosiły się nerwowo w pobliżu osłanianego przez smoki wejścia. Ale dwa wywerny umieszczono przy samym brzegu, i gdyby cokolwiek przypuściło atak, mogłyby go odeprzeć.

– Przyłączyłabym się – powiedziała Elayna – ale na lądzie nie byłoby dobrej zabawy.

– Jeśli Herzer cię zaniesie, proszę bardzo. – Bast się uśmiechnęła. – Nie miałabym nic przeciwko trójkącikowi.

– O Boże, czym sobie na to zasłużyłem? – zapytał Herzer, unosząc rękę.

– Czy to podziękowanie, czy rozpacz? – roześmiała się Elayna. – Nie, idźcie. Ja zamierzam zostać przy ognisku i wykończyć płaszczki.

– Nie trzeba ci przy tym pomocy? – zapytał Pete.

– Tak, prawdę mówiąc, przydałaby się – odparła, uśmiechając się do niego. – Z przyjemnością skorzystam z pomocy.

– Chodź, kochany – zawołała Bast, podciągając Herzera na nogi. – Ostatniej nocy miałeś mnóstwo snu.

Jason przyglądał się, jak odchodzą za wzgórze, po czym mrugnął do Antji.

- Chcesz spróbować na łądzie?
- Nigdy w życiu – odpowiedziała. – Generale, jakie mamy plany na jutro?
- Myślę, że ixchitle, jeśli jakieś jeszcze zostały, nie będą już stanowić problemu – odrzekł Edmund. – Ale wciąż nie wiemy, gdzie są orki.
- Nie będzie ich raczej na płycznach – zauważył Jason. – Za łatwo można je wyrzucić na plażę.
- Czyli nie sądzę, żebyśmy musieli martwić się nimi wcześniej niż po dotarciu na drugą stronę – zgodził się Edmund. – Ale nie powinniśmy rezygnować z czujności. Nie ma mowy o bezpieczeństwie, zanim nie połączymy się z okrętem i nie dotrzemy do waszej zatoki. Może nawet i wtedy nie. Nie odetchnę, dopóki nie znajdzie się tu znacząca siła wojskowa i solidne umocnienia. Wtedy będziemy mogli sami atakować.
- Nie mogę się tego doczekać – odpowiedział Jason. – Ale ja mam trzecią wartę, więc idę spać.
- Przytulę się do ciebie, ale to wszystko – oświadczyła Antja, odczołgując się w mrok. – Zrozumiano?
- Przytulisz – potwierdził Jason z uśmiechem. – Tak jest.

Rozdział 32

– Panie Mayerle – odezwał się pierwszy oficer – co pan tu robi?

Inżynier zajmował się właśnie mocowaniem do grotmasztu małego pudełka.

Miało z przodu mosiężną tarczę, a z boku kluczyk, który właśnie nakręcał.

– Detektor anomalii grawitacyjnych, sir – odpowiedział inżynier. Skończył nakręcanie i skierował się w stronę rufy. – Wykrywa małe zmiany pola grawitacyjnego, nad którymi przepływamy. Przez umieszczenie w nim taśm rejestracyjnych i porównanie ich z kursem myślę, że mogę stworzyć awaryjny system nawigacyjny na wypadek, gdybyśmy znaleźli się pod chmurami. Pomyślałem o tym, kiedy mieliśmy te problemy z odnalezieniem mielizn przy zachmurzonym niebie.

– To nie znalezieniem płycizn byliśmy zainteresowani – rzucił Mbeki ze śmiechem. – Chodziło o ich uniknięcie.

– Jak pan woli – zgodził się poważnie inżynier. – Muszę przymocować jedno przy kabinie kapitana. Umieszczę to po prostu na ścianie przy drzwiach. Można?

– Proszę bardzo, panie Mayerle. Niech pan montuje.

* * *

Joel znów objął nocną wachtę, ponieważ steward pracujący w dzień wrócił do pełnienia swoich obowiązków. Zaskoczył go więc widok dziwnego pudełka la ścianie, które zobaczył, idąc korytarzem w stronę mesy oficerskiej.

– Co to? – zapytał strażnika przy drzwiach generała.

– Ktoś powiedział, że to detektor grawitacyjny. – Żołnierz wzruszył ramionami. – Coś związanego z nawigacją. Spytaj któregoś z oficerów.

Joel podszedł i z zaciekawieniem przyjrzał się urządzeniu. Słyszał dobiegające z niego delikatne tykanie i w pierwszej chwili pomyślał, że może to być jakiś rodzaj bomby lub pułapki. Ale bez środka wybuchowego można by pomieścić tam jedynie niewielką ilość materiału zapalającego. Lub, ewentualnie, trucizny.

– Kto tu to umieścił? – zapytał Joel.

– A skąd u diabła mam wiedzieć? – odpowiedział niechętnie żołnierz.

– Tylko pytam – rzucił Joel i skierował się z powrotem do kambuza. Jeśli to był czujnik grawitacyjny, to on jest Paulem Bowmanem. Pytanie brzmiało, kto to tam umieścił i po co.

Do końca wachty udało mu się dowiedzieć, że zrobił to cywilny inżynier który zainstalował w sumie trzy takie urządzenia, przy czym pozostałe dwa na grotmaszcie i na dziobie okrętu.

Wciąż nie znał prawdziwego celu ich zamontowania. A może po prostu dręczyła go paranoja. Znał jednak dość podstawowej newtonowskiej fizyki, by wątpić w możliwość uzyskania rozsądnych odczytów zmian ciężenia za pomocą tak małego urządzenia. Zwłaszcza bez zaawansowanej techniki. Z drugiej strony oczywiście możliwe było, że urządzenia coś mierzą...

Na przykład emisje awatarów. Szlag, to by znaczyło, że jeszcze ktoś kręci się tu w poszukiwaniu zdrajcy. Przypomnił sobie z goryczą, że Sheida powiedziała coś o „niedeptaniu sobie po piętach”. W tej chwili musiało być już jasne, że ktoś przekazuje informacje Nowemu Przeznaczeniu – trzy ataki, każdy dokładnie na ich kursie, to zbyt dużo jak na przypadek.

Jego jedynym kontaktem był książę Edmund. Musiał przyznać, że jego żona była siostrą królowej Sheidy, ale to nie oznaczało, że mógł się z nią kontaktować. Nie chodził opowiadać o swoich misjach Dedrze i Miriam.

Uznał, że odczeka, aż spotkają się z księciem i musi po prostu mieć nadzieję, że do tej pory nikt nie zrobi nic głupiego. Lepiej, żeby do spotkania doszło jak najszybciej.

* * *

Delfiny musiały opuścić zatokę przed świtem, gdy odpływ zabierał z niej wodę, ale nikt ich nie zaatakował i cała grupa, po dojeździe resztek płaszczyk ruszyła przesmykiem na zachód. Noc spędzili w niewielkim atolu blisko końca płycizn. Wokół nie było żadnych wysp, ale otaczające ich mielizny były dostatecznie płytkie, by nie mógł niepostrzeżenie zbliżyć się do nich żaden ixchitl ani orka. O poranku smoki obudziły się głodne. Podróż przez mielizny nie umożliwiła zdobycia żadnej żywności.

– Zabierz je na polowanie – powiedział Edmund Joannie. – Głębiny są niedaleko na zachód. Rozglądaj się za smokowcem, powinniśmy się spotkać trochę na północ stąd.

– Tak jest – odparła smoczyca, wspinając się na piaskowe łąchy. Przyszedł przyptyw i woda sięgała smokom do kolan, ale wywerny i tak były w stanie wystartować.

– Skąd się bierze cały ten piach? – zapytał Herzer, podnosząc garść i pozwalając mu przesypać się przez palce. – Na brzegu to pozostałości zerodowanego kwarcu. Ale to nie jest kwarc.

– To głównie zerodowany koral – wyjaśnił Jerry. – Składający się z węglanu wapnia. Mówię „zerodowany”, choć tak naprawdę większość tego – wierz lub nie – pochodzi ze... zrzutów papugoryb. Ale to też czysty węglan. Te mielizny to jedno z niewielu miejsc na ziemi, gdzie panuje odpowiednia temperatura umożliwiająca tworzenie się węglanu wapnia. Dwutlenek węgla reaguje z wapnem rozpuszczonym w morskiej wodzie. Nie tak bardzo w tej okolicy, ale po drugiej stronie głębin jest olbrzymia, ciągle tworząca się łacha.

– Co czyni z tego miejsca dobrą pułapkę na dwutlenek węgla – zauważył Edmund. – Dawno temu, w czasach, gdy panowała ogólnoświatowa histeria na tle „efektu cieplarnianego” i ogólnoświatowego ocieplenia ludzie wciąż mówili o tym, że nic nie da się z tym zrobić. Trzeba przyznać, że wycięcie dziewięćdziesięciu procent lasów tropikalnych było głupie, ale ludzie histerycznie reagujący na efekty tego procesu byli kiepskimi znawcami atmosfery. Lasy tropikalne wcale nie wiążą dwutlenku węgla, zbyt szybko podlega tam przemianom. I w sumie netto zużywają tlen. Produkcja tlenu i wiązanie dwutlenku węgla zachodziło głównie w strefach umiarkowanych. Natomiast wiązanie węgla zachodziło wszędzie tam, gdzie histerycy w ogóle nie zaglądali. Na mieliznach, farmach przemysłowych, w potężnym prądzie u wybrzeży Anarchii. Prawdę mówiąc Norau, która wtedy uważana była w swoich czasach za państwo najbardziej marnotrawiące zasoby naturalne było dzięki swoim plantacjom de facto konsumentem węgla, pomimo że emitowało olbrzymie ilości dwutlenku węgla i metanu. Ale prawda w zasadzie nikogo nie obchodziła. Chcieli po prostu, żeby Norau przestało emitować węgiel, nie zdając sobie sprawy, że gdyby do tego doszło, przepadłaby połowa jego wiązania. Zresztą fakt ocieplenia stanowił element naturalnego cyklu, którego istnienie dowiedziono na podstawie badań historycznych. Ludzie nie wpłynęli aż tak znacząco na globalne warunki, bo nie mielibyśmy wtedy tej wojny.

– Ale faktycznie doszło do powstania wygenerowanego przez człowieka ocieplenia – zauważył Herzer.

– W dwudziestym trzecim wieku – podkreślił Edmund. – Kiedy produkuje się szesnaście do trzydziestu terawatów energii, wydajność ciepła idzie w diabły. Ale histeria na temat dwutlenku węgla była wyłącznie histerią. Równie realną, co szaleństwo holenderskich tulipanów czy recesja

fasolkowych dzieci, gdy nagły spadek sprzedaży tylko wywołał giełdową panikę. Mówiło wtedy o tym mnóstwo naukowców, głównie zajmujących się badaniami atmosfery, wskazując przy tym sposoby na zwiększenie składowania węgla. Ale nikt nie chce słuchać głosu rozsądku, gdy można rozdmuchiwać histerię. Ludzie tacy już są.

– Ludzie powstali w wyniku ewolucji – rzuciła Bast, siadając w płytkiej wodzie. – Histeria w małych grupach musiała mieć pozytywne skutki ewolucyjne. Może na przykład skłaniała całe plemię do ataku na panterę.

– Może – odpowiedział z uśmiechem Edmund. – Historia tamtego okresu z tej perspektywy jest taka śmieszna. Na swój sposób równie groźna, jak aktualna wojna. Świat znajdował się w złotym wieku, a nikt nie zwracał na to uwagi. To denerwujące, jak przyglądanie się historiom z czasów Inkwizycji z podejściem: „Cóż, czemu nie próbowałeś po prostu płynąć na fali?”. Nauka i technika rozwijały się w szaleńczym tempie. Coraz więcej ludzi prowadziło dostatnie i długie życie, przynajmniej na terenach, gdzie panowały przyzwoite rządy. A wszyscy biadolili, że świat chyli się ku upadkowi.

– Czemu? – zapytał Herzer.

– A czemu Paul rozpoczął tę wojnę? – odpowiedział, wzdychając Edmund – Dostrzegł aktualny trend, spadającą liczbę urodzin, i uznał, że rasie ludzkiej grozi zagłada. Ludzie tamtych czasów widzieli tylko współczesne trendy, współczesne im metody produkcji, zasoby, aktualne współczynniki przyrostu ludności, emisji dwutlenku węgla, wzrostu temperatury, i tworzyli modele liniowe ignorując fakt, że dane historyczne kompletnie ich do tego nie upoważniały. I za każdym razem, gdy dowodzono błędów w ich przepowiedniach zagłady po prostu krzyczeli głośniejsze o nadchodzącej katastrofie. W ciągu zaledwie trzydziestu lat ta sama grupa tak zwanych naukowców najpierw przewidywała nadejście epoki lodowcowej, później stopienie lodów polarnych, a potem znów zlodowacenie! Zamiast tego spadł przyrost ludności. Przemysł stał się bardziej wydajny. Odkryto nowe źródła energii, czemu za każdym razem towarzyszyły krzyki, że dojdzie do wyczerpania kolejnych zasobów. Ludzie po prostu zdają się woleć, żeby świat był złym miejscem, nawet kiedy wyraźnie nim nie jest. Dla małego kurczaka niebo zawsze spada na głowę.

– Cóż, chętnie złapałbym paru i ściągnął do tego świata – burknął Herzer. – Pokazałbym im, co naprawdę znaczy zły.

– Nie – odpowiedział z uśmiechem Edmund. – Zły był Czas Umierania. Wojna jest po prostu wyzwaniem. Herzer, siedzisz po pas w ciepłej wodzie. Obok ciebie piękna elfka. Świeci słońce. Wieje przyjemny wiatr. Rozejrzyj

się wokół siebie i powiedz mi, że nie jesteś w raju.

– Jestem głodny i muszę iść do ubikacji – burknął Herzer, ale uśmiechnął się. – Dobrze, punkt dla pana.

– Wojna na nas zaczeka – westchnął Edmund. – Czekaj nawet teraz, jeśli się nie mylę, tuż za brzegiem. Ale tymczasem po prostu cieszymy się słońcem i wodą, co? I nie szukajmy powodów do hysterii.

* * *

– Niestety, panno Rachel, pani ojciec miał rację. – Evan westchnął. – Na rufie okrętu znajduje się stałe źródło energii, a drugie pojawia się i znika. Choć wydaje mi się, że jedno z nich zlokalizowałem w kajucie twojego ojca.

– O tym wiem – odpowiedziała Rachel. – Trzyma tam kostkę danych. Ma też na celu ochronić okręt przed bezpośrednim atakiem energetycznym na wypadek, gdyby Paul uwolnił jej dość, by nas zaatakować.

– Uff, to przynajmniej jedna troska mniej – westchnął. – Niestety, drugie pojawia się w mesie oficerskiej. I nie występuje stale. Wczoraj doszło do dwóch emisji. Ale nie byłem w stanie ustalić, kto się tam znajdował w trakcie ich pojawiania się.

– Szlag – skomentowała Rachel. To ograniczało krąg podejrzanych do oficerów i stewardów, nikt inny tam nie wchodził. I jeszcze jedno. – Nigdy nie widziałam tam królika.

– Ja też nie – przyznał Evan. – Możliwe, że tworzy raporty, a potem przekazuje je stewardowi. Ale ci nie wchodzi do mesy jeśli nie ma tam oficera, który czegoś chce. Albo okazjonalnie, żeby tam posprzątać.

– Myślę, że muszą zadać więcej pytań – powiedziała, marszcząc brwi. – Wróć. Nie przerywaj monitorowania.

– Tak jest – odpowiedział inżynier. – Bądź ostrożna.

– Postaram się.

* * *

Rachel poznała większość okrętu, ale z różnych powodów nie była jeszcze w kwaterach marynarzy. Właściwie nie zwracała też zbyt wielkiej uwagi na żołnierzy piechoty morskiej, jeśli o nią chodzi, stanowili po prostu dekorację. Ale w tej chwili to właśnie oni dysponowali niezbędnymi jej informacjami.

Otworzyła drzwi do ich kajuty i pospiesznie cofnęła się, zamykając oczy.

– Przepraszam, panienko – rzucił marynarz. – Już założyłem spodnie. – Nie twoja wina – zapewniła Rachel, otwierając oczy. W wąskim pokoju przebywało około tuzina żołnierzy, w większości siedząc na kojach, ponieważ nie byli na służbie. Na wpół ubrany żołnierz dokończył wycieranie się i spojrzał na nią pytająco.

– Muszę porozmawiać z waszym oficerem albo najstarszym podoficerem – oznajmiła dziewczyna.

– Sierżant zszedł ze służby – poinformował ją marynarz. – Był na nogach przez większość nocy. Oficer jest u siebie. – Marynarz kiwnął głową w stronę drzwi na końcu korytarza.

Rachel przeszła nim i tym razem zapukała do drzwi, czekając na pozwolenie wejścia.

– Tak, panienko? – zapytał kapitan marines. Siedział przy małym biurku, pracując nad jakimiś dokumentami.

– Muszę wypytać niektórych pańskich ludzi – powiedziała, wyciągając arkusz papieru i podając mu go. – To moje upoważnienie.

Mężczyzna zmarszczył brwi i spojrzał na dokument, po czym przeczytał go uważnie.

– To dość ogólne upoważnienie, panno Ghorbani – odparł, zagryzając wargi.

– Tak, to prawda – zgodziła się dziewczyna. – I będzie jeszcze gorzej. Muszę ich wypytać i to bez świadków. Nie może pan pytać ich o temat rozmowy i nie może pan zgłosić tego przepytывania nikomu na tym okręcie. Zrozumiano?

– Całkowicie – powiedział oficer z kamienną twarzą. – Co oznacza, że ma pani problem z czymś na pokładzie i nie może pani tego powiedzieć nawet kapitanowi.

– Ani kapitanowi, ani żadnemu oficerowi okrętu – potwierdziła Rachel. – Zrozumiano?

– Zrozumiano. Z kim chce pani rozmawiać?

– Z żołnierzami, którzy stali na warcie w korytarzu oficerskim podczas ostatniej wachty – wyjaśniła. – Pojedynczo. Gdzie mogę to zrobić?

– Tutaj. – Oficer wstał, wygładzając tunikę. – Może pani skorzystać z mojego krzesła. – Zapytam tylko o jedno – czy mam postawić tu strażnika?

– Jeszcze nie – odparła Rachel. – Mam nadzieję, że nie będzie to potrzebne. Mam nadzieję, że to nic takiego.

* * *

– Nic – oświadczyła Joanna po wylądowaniu. – Ryby tak. Orek, ixchitli ani smokowca nie.

– Orki mogły po prostu zrezygnować – zasugerował Jason.

– Nie Shanol – zaprzeczył Herzer. – Nie po utracie oka. Ostro się na mnie zawziął.

– Mogą nie wiedzieć, gdzie się wybieramy – wtrąciła się Elayna. – No wiecie, jest mnóstwo miejsc, gdzie mogliśmy popłynąć.

– Jak dotąd mieli aż zbyt dobry wywiad – stwierdził Edmund. – Przez cały czas znali nasze posunięcia i plany. Wątpię, żeby ten, kto im dostarczał te informacje, nie znał naszego celu, trasy i punktu spotkania.

– Myśli pan, że mamy szpiega? – zdziwił się Jason. – Kogo?

– Tego nie wiem – odpowiedział Edmund. – Podejrzewam, że jest więcej niż jeden. Ale zauważyłem, że po pierwszym ataku zniknął Mosur. A nie widziałem go na placu w trakcie napadu ixchitli.

– Ale był tam przez chwilę niedługo po nim – zauważyła Antja z nieszczęśliwym wyrazem twarzy. – Rozmawiał ze mną. Chciał, żebym z nim odeszła.

– Czemu mi o tym nie powiedziałaś? – zapytał gniewnie Jason.

– A jak myślisz? – odpowiedziała Antja. – Ostatnio sporo się przy mnie kręcił. Nie powiedziałam ci, bo nie mogłam sobie z tym poradzić.

– Do mnie też coś takiego mówił – przyznała Elayna. – Ale to jeszcze przed atakiem. Stwierdził, że jego zdaniem wy – wskazała na Herzera i Edmunda – ściągniecie na nas kłopoty, a on zna dobrą kryjówkę. Roześmiałam się tylko i kazałam mu spadać. Po ataku pewnie zbyt mocno trzymałam się innych. Pewnie nie uważał, żeby bezpiecznie było się do mnie zbliżać.

– Ale on mógł wiedzieć, gdzie się wybieramy – zauważył Jason. – Wszystkim o tym powiedzieliśmy.

– Czyli myślę, że możemy założyć, iż orki są dobrze poinformowane – stwierdził Edmund. – Nie rezygnujcie z czujności.

* * *

– Proszę, usiądź na szafce. – Rachel zwróciła się do młodego żołnierza. Rozpoznawała w nim jednego ze strażników stojących czasem na służbie przed drzwiami do kajuty jej ojca. – Muszę zadać ci parę pytań. Nikomu nie wolno ci ich powtarzać. Nikomu, rozumiano?

– Tak, proszę pani – Żołnierz nerwowo przełknął ślinę. – Już mi to powiedziano.

– Nawet innym żołnierzom, których będę przesłuchiwać – dodała. – Nie próbujcie porównywać notatek. Zrozumiano?

– Tak, proszę pani.

* * *

Tym razem to Rachel siedziała na szafce, a jej matka spacerowała nerwowo po oficerskim biurze, z jego właścicielem siedzącym z powrotem za swoim biurkiem.

– Wszyscy trzej stojący na warcie niezależnie potwierdzili, że jedyną osobą, która w trakcie ostatniej wachty pozostawała sama w mesie oficerskiej był pierwszy oficer Mbeki – powiedziała Rachel, zaglądając do swoich notatek. – kapitan przez większość czasu siedział w swoim biurze. Wychodził, ale tylko na pokład rufowy. Nawigator ani żaden z trzech poruczników w ogóle się tam nie pojawili. Był tam jeden steward, ale tylko w obecności pierwszego oficera.

– Dobrze – westchnęła Daneh. – Szlag. Mbeki?

– Czy mogę teraz zapytać, co się tu dzieje? – odezwał się oficer.

– Jeszcze nie – odrzekła Daneh. – Ale na odpowiedzialność mojego męża proszę przygotować i uzbroić swoich ludzi. Razem z Rachel musimy odwiedzić kapitana.

* * *

Dowódca rzucił list na swoje biurko i spojrzał na nie gniewnie.

– Nie jest normalne ani mądre przekazywanie pełnej władzy wojskowej cywilowi, pani Daneh – oświadczył kapitan, mocno zaciskając usta. – Czy mogę zapytać o powód przedstawienia mi tego niezwykłego dokumentu?

– Pozwoli pan, że najpierw o coś zapytam – odrzekła Daneh. – Czy zauważył pan coś niezwykłego w atakach Nowego Przeznaczenia?

– Poza tym, że były nieudolne? – rzucił sarkastycznie kapitan.

– Doprawdy? – odpowiedziała pytaniem Daneh, znów chodząc po biurze. – Pierwszy atak odparty został dzięki wykorzystaniu królika, czego nie potrafił przewidzieć nikt, kto nie znał pełni jego możliwości, nie wspominając o umowie zawartej przez niego z Evanem, prawda?

– Przypuszczam, że tak – zgodził się Chang.

– Karawela mogła przewozić pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu Przemienionych wojowników. Pomimo przymiotów pańskiej załogi, ich liczba w połączeniu z wykorzystaniem balisty sprawiała, że najprawdopodobniej byliby w stanie przechwycić lub zniszczyć pański okręt, chyba że zdecydowałby się pan na ucieczkę. Czego tak naprawdę nie mógł pan zrobić, prawda?

– Nie bez utraty całych dni podróży – przyznał kapitan. – Faktycznie musieliśmy sobie wywalczyć możliwość przepłynięcia. Co do tego zgodziliśmy się z Mbeki.

– Drugiego ataku miało dokonać pięć karaweli. Nawet gdyby królika znów dało się namówić do pomocy, niewiele byłby w stanie zrobić, prawda?

– Zgadza się – przyznał kapitan. – Dziękuję za pokazanie mi tego.

– Ale znów Evan dysponował czymś, co stworzył, w zasadzie nikomu o tym nie mówiąc.

– Ja wiedziałem – zauważył Chang. – Nikt nie wejdzie bez mojej wiedzy na pokład z sodem, benzyną i całą resztą.

– Kolejnym przykładem jest kraken – odezwała się Rachel.

– Rzecz w tym, że w przypadku każdego ataku wróg znał nasze dokładne położenie i myślał, że zna nasze możliwości – powiedziała Daneh, zatrzymując się przed dowódcą.

– Podejrzewa pani obecność szpiega. – Kapitan westchnął.

– Edmund podejrzewał, że Nowe Przeznaczenie umieściło na pokładzie agenta – odpowiedziała Daneh. – Ale nie miał pojęcia, kto to. Istniały jednak pewne poszlaki.

– Musiał to być ktoś, kto zna nasz kurs i plany – odezwał się kapitan, znów wzdychając. – Co znaczyło, że mogłem to być ja. Nie jestem, wiedziałbym o tym – dodał, krzywiąc się.

– Ale to wyjaśnia rozkaz. – Daneh wskazała na dokument. – Agent musiał się komunikować. Zdołaliśmy odkryć, że komunikacja odbywała się w mesie oficerskiej.

– Jak? – warknął Chang.

– Ja... nie odpowiem na to pytanie. Nie jestem pewna, czy chcę, żeby sposób stał się znany. Przykro mi.

– Nie szkodzi – mruknął kapitan. – I kto używał mesy w trakcie tej komunikacji? Przypuszczam, że nie ja, bo nie odbywalibyśmy tej niezwyklej rozmowy.

– Ze smutkiem muszę przyznać, że tylko Owen Mbeki – wyjawiała Daneh.

– Owen? – zapytał Chang. – Znam Owena od lat. Jest najbardziej

godnym zaufania człowiekiem, jakiego znam. Nie ma mowy, żeby szpiegował dla Nowego Przeznaczenia!

– Niestety, panie kapitanie, na niego wskazują dowody – potwierdziła Daneh. – I choć w tej chwili nie są zbyt mocne, wystarczą dla Edmunda.

– Nie będzie tak w przypadku sądu wojennego – zaprotestował kapitan z kamienną twarzą. – A do tego właśnie dojdzie. Będzie pani musiała przynajmniej ujawnić na nim swoje metody.

– Nie, jeśli złapiemy go na gorącym uczynku – odparła Rachel, marszcząc brwi.

– Jak mamy to zrobić? – zapytał kapitan.

– Nie uda się to, jeśli nie będziemy się zachowywać naturalnie – stwierdziła Rachel. – To będzie musiała być niespodzianka...

Rozdział 33

Pisk delfina był jedynym ostrzeżeniem, jakie usłyszeli, zanim spadły na nich orki, atakując od tyłu, gdzie nie było smoczej straży.

Grupa prawie dotarła już do Zatoki Nadziei. Było późne popołudnie i formacja zaczęła się rozsypywać. Herzer już nieraz musiał przepychać trytonich wojowników z powrotem do półkuli, gdy z dyscypliną zaczynała wygrywać nerwowość i podniecenie. Wszyscy się martwili, ponieważ spodziewali się zastać czekający na nich w zatoce smokowiec, a tymczasem nie było żadnego śladu ani po nim, ani po przewożonych na jego pokładzie syrenach i dzieciach. Trytony co chwila wystawiały głowy z wody, mając nadzieję dostrzec upragniony żaglowiec.

Tak więc w chwili, gdy zostali zaatakowani przez orki odrywające się od dna, tworzyli bardziej luźną grupę niż zdyscyplinowaną formację.

Czarne ciała drapieźników stopiły się z cieniami rafy i najwyraźniej wróg stworzył obraz sonarowy, który ukrył je przed nadpływającymi delfinami. Co więcej, zdawały się nie bać pierścienia włócznie, przebijając się przez niego, by dostać się do wnętrza.

Herzer został wyrzucony z miejsca na grzbiecie Chaunceya, gdy ten wykrcił, by zaatakować przeciwnika. Gdy dwa wywerny wpadły w grupę, ta eksplodowała na zewnątrz falą orek, syren i włóczników. Herzer zanurkował głęboko i wypłynął pod formacją, rozcinając mieczem brzuch orki, która właśnie złapała młodą syrenę. Cięcie przyszło jednak za późno, orka zmiażdżyła dziewczynę, jeszcze zanim zdała sobie sprawę, że jej wnętrzności ciągną się za nią w wodzie.

– Otoczcie ich – krzyknął Edmund. – Kobiety na zewnątrz.

Jednak choć trytony błyskawicznie podjęły próbę przegrupowania, orki były Jeszcze szybsze. Ich potężne uderzenia niweczyły wszelkie próby stworzenia formacji, a po pierwszym ataku na kobiety i starców zwróciły się przeciwko przełamanej formacji włóczników i zaatakowały ich.

Herzer zobaczył schwytanego w ten sposób Pete, którego jedna z orek złapała za ogon i wyrzuciła z wody jak zabawkę. Jason walczył desperacko z inną, dźgając mieczem, by utrzymać przeciwników na dystans.

Tym razem sytuacja została uratowana przez smoki i Bast.

Herzer myślał, że orki są szybkie do chwili, gdy zobaczył elfkę w akcji. Jej płetwy rozmyły się jak ogon tuńczyka, gdy płynęła przez wodę niczym rekin. Jej ulubiona szabla nie była najlepszą bronią do zabijania dużych

waleni, ale po przemknięciu Bast orki krwawiły z olbrzymich cięć na bokach, plecach i brzuchach, z których wylewały się wnętrzności, a odcięte płetwy sprawiały, że drapieżniki miały problemy z płynięciem do przodu.

Donal został paskudnie ugryziony w bok, ale i tak zanurkował w stado orek jak maszyna do zabijania, wrywając olbrzymie płaty mięsa z ich boków, chwytając płetwy i odrywając je, zabarwiając wodę czerwienią.

Chauncey był bardziej metodyczny. Złapał jedną z orek obiema łapami i rozerwał ją praktycznie na pół. Nie puścił, dopóki orka nie zwisała bezwładnie i podryfowała ku powierzchni martwa lub tak ranna, że nie była już w stanie się ruszać.

Joanna zachowywała się bardziej jak Donal, wysyłając węzową głowę przez formację i uderzając każdą orkę dostatecznie głupią, by wejść w jej zasięg. Jedna zdołała wgryźć się w jej ogon, ale przekonała się tylko o jego sile – dwutonowa orka została pchnięta przez wodę, trafiając po chwili w zasięg morderczych zębów, a kiedy się zamknęły, orka przestała walczyć.

Równie szybko, jak się zaczął, atak zakończył się i woda wypełniła się martwymi i umierającymi orkami i syrenami.

– O Boże – jęknął Jason, rozglądając się.

Zginął Bill, i jeszcze trzy inne trytony, patrzyli na ciała unosząc się w wodzie z okropnymi śladami po zębach na piersiach i ogonach, z wnętrznościami dryfującymi w prądzie. Pete unosił się przy powierzchni z na wpół odgryzionym ogonem. Herzer nie był pewien, czy przeżyje, nawet gdyby była tu Daneh. Zginęło też kilka syren, inne były ciężko ranne.

– Płyniemy do brzegu – zdecydował Edmund. – Trzeba ich umieścić na płycznach. Ci, którzy są cali, muszą wyjść z wody. Zobaczmy, co da się zrobić dla reszty.

– W większości wypadków możemy im tylko skrócić cierpienia – powiedziała Bast, wycierając szablę o bok jednej z wciąż drgających orek.

– Zobaczmy – odpowiedział Edmund.

Herzer podpłynął do najbliższego z rannych trytonów i chwycił go za rękę, po czym zaczął holować w stronę brzegu. Wszyscy zostali wyciągnięci na brzeg, łącznie z rannymi i martwymi. Nie zostawiono ich na żer dla rekinów, w przeciwieństwie do ciał orek.

Rekinów i smoków. Chauncey chwycił zabita przez siebie bestię, a Donal inną i wyciągnęły je na brzeg. Joanna przyciągnęła dwie.

– Nie zamierzasz chyba ich jeść, prawda? – zapytał Jason.

– Dlaczego nie? – odpowiedziała Joanna. – One by mnie zjadły, gdyby miały szansę.

– Nie zjadły żadnego z nas – zauważył Herzer. – Wszyscy tu jesteśmy.
– Jesteśmy? – powtórzył Edmund. – To cholernie dobre pytanie. Jason?
– Czy ktoś zauważył, żeby kogoś brakowało? – odezwał się Jason. –
Właściwie nigdy nie stworzyłem listy. – Rozejrzał się wokół i zbladł. –
Antja?
– Elayna – wysyczała Bast. – Gdzie jest Elayna?
Kiedy dotarli do brzegu było jasne, że obie dziewczyny zniknęły.
– Co mogło się z nimi stać? – zapytał Herzer. – Gdyby ukryły się w rafie,
do tej pory już by wyszły.
– To dlatego najpierw zaatakowali kobiety – stwierdził Edmund. –
Uznałem to za błyskotliwą taktykę. Ale założę się, że uciekli z nimi, gdy
wciąż jeszcze walczyliśmy, wymknąwszy się zupełnie niezauważeni.
– Herman – odezwał się Herzer, nurkując pod wodę. – Widziałeś
porywane Antję lub Elaynę?
– Nie – odpowiedział delfin. – Za szybko. Nikt z naszych nie ranny.
– Zignorowali delfiny – skomentował Edmund, potrząsając głową. –
Rzucili się na dziewczyny i zignorowali delfiny.
– Czemu? – krzyknął Jason. – Czemu one?
– Miękkie syrenie przekąski? – rzuciła Joanna, wykręcając szyję, żeby się
obejrzeć. – Idę ich poszukać.
– Ja też – zawołał Herzer, wspinając się na Chaunceya, który zaczął
właśnie wgryzać się w swój obiad. Wywern warknął niezadowolony, że
odrywa się go od posiłku, ale wykręcił głowę w stronę Joanny.
– Ja również – oświadczyła Bast, wspinając się na Joannę. –
Przynajmniej siedem waleni. Dwa smoki – Donal jest zbyt mocno zraniony,
by lecieć. Poradzimy sobie.
– Herzer? – odezwał się Jason, patrząc na niego do góry.
– Zaopiekuj się swoimi ludźmi – warknął Herzer. – To ja muszę to
skończyć.
– Och, skończymy z tym – zapewniła Joanna. – Tym razem mi nie
uciekną.

* * *

Żołnierz stojący na straży przy drzwiach kapitana drgnął, gdy z pudełka
obok niego wyskoczył wskaźnik.

Nie zwracał sobie głowy odwracaniem się, po prostu zapukał cicho do
pilnowanych drzwi.

– Tak – powiedział kapitan, wystawiając przez nie głowę.

Wartownik wskazał na wskaźnik, a potem gestem na drzwi kajuty generała. Stojący tam żołnierz patrzył na nich z uniesionymi brwiami.

Kapitan kiwnął głową i ruszył szybko i cicho korytarzem, a z kajuty Talbota wymaszerowała grupa żołnierzy w zbrojach. Umieszczenie ich tam bez zwracania czyjejkolwiek uwagi było trudne, ale warte ryzyka.

Na końcu grupy pojawiły się Daneh i Rachel. Znały swoje miejsce i nie był i pierwszy szereg w starciu, gdyby miało do niego dojść.

Shar Chang wyciągnął rękę do drzwi mesy oficerskiej po czym cofnął się pozwalając wejść jako pierwszemu kapralowi dowodzącemu żołnierzami.

Kapral cicho wyciągnął miecz i gwałtownie otworzył drzwi, wbiegając do środka i uskakując na bok, by umożliwić wejście pozostałym żołnierzom.

Pierwszy oficer Owen Mbeki stał na drugim końcu pokoju, patrząc na projekcję wysokiego, przystojnego mężczyzny o czarnych włosach. Projekcja obróciła się, by spojrzeć na grupę i warknęła, wyciągając rękę i strzelając czerwoną kulą energii w stronę stojącego w drzwiach kapitana.

Pocisk jednak nie dotarł do celu, zatrzymując się w powietrzu i gasnąc, gdy aktywowała się kostka chroniąca okręt.

– Cóż – odezwała się projekcja, odwracając się z powrotem do swego rozmówcy. – Wygląda na to, że więcej do niczego się nie przydasz. – Sięgnął ręką i wsunął ją w pierś pierwszego oficera.

Kapitan warknął z wściekłością i rzucił się do przodu, przewracając pierwszego oficera na ziemię, podczas gdy jeden z żołnierzy skoczył na projekcję. Ale ta była tylko hologramem, który ze śmiechem rozplynął się w powietrzu.

Owen Mbeki zaczął już sinieć, jasne było, że w efekcie tego, co zrobiła projekcja. Chwytał ramię kapitana i potrząsnął głową.

– Czemu? – wydusił z siebie Chang. – Byłeś moim przyjacielem. – Żona – odpowiedział Mbeki. – Sharon. Ropazja. Dranie... – Jego oczy otworzyły się szerzej w ataku bólu, a potem głowa mu opadła.

– Przypuszczam, że ta projekcja zmiążdżyła mu tętnicę – oceniła z klinicznego punktu widzenia Daneh. – Siny język i czubki palców. Może wprowadziła cyjanek, ale po co się męczyć, skoro można po prostu wywołać atak serca.

– Zawsze zastanawiał się, co po Upadku stało się z Sharon – powiedział Chang, opuszczając na podłogę ciało pierwszego oficera. – Była we Włoszech, odwiedzając muzea. Miał nadzieję... niech ich diabli.

– Tak – zgodziła się Daneh, wspominając własne przemyślenia i budząc

wspomnienia. I koszmary. – Niech wszyscy diabli porwą ich do piekła.

– Co teraz? – zapytała Rachel.

– Musimy znaleźć syreny – odpowiedział Chang. – I walczyć dalej. Dopóki nie zniszczymy Nowego Przeznaczenia lub sami nie padniemy.

* * *

Antja odkryła, że bicie orki kompletnie nic nie daje i że nie sposób było się wyrwać z uchwytu jej płetw piersiowych. Spędziła więc całą dziką jazdę na zmianę wściekając się i bojąc.

Shanol i jedna z pozostałych orok opuścili pole walki niemal natychmiast. Antja nie mogła uwierzyć, że cała grupa została zaatakowana tylko po to, żeby porwać dwie syreny, ale zaczynało wyglądać na to, że dokładnie tak było.

– Dobra, poddam się – odezwała się Elayna. – Czemu tu jesteśmy?

– Nie odpowiadam na pytania egzystencjalne. – Shanol prychnął złośliwym śmiechem.

– Dobrze, będę bardziej precyzyjna, czemu nas porwałś? – warknęła Antja.

– Nie sądziłem, żebyśmy mogli wygrać – odpowiedział szczerze Shanol.

– Musiałem więc zadać sobie pytanie, co najgorszego mógłbym zrobić Herzerowi i Jasonowi, którzy stali się dla mnie najbardziej nienawidzonymi ludźmi na ziemi.

– I odpowiedzią jest porwanie nas? – zapytała Antja.

– Och, to trochę bardziej złożone – odpowiedział orka. – Jesteś dziewczyną Jasona, a Elayna Herzera.

– Nie jestem dziewczyną Herzera, świrze – odcięła się Elayna. – Jestem nią najwyżej w lokalnym porcie. Jego prawdziwą dziewczyną jest Bast. A kiedy ona z tobą skończy, nie zostanie dość kawałków, żeby zainteresować rekiny!

– Z początku myślałem, żeby was po prostu zjeść – mówił dalej Shanol – i wysłać im z powrotem wasze głowy. Albo ogony, mózgi są dość smaczne.

– Jesteś chory – rzuciła Elayna z drżeniem w głosie.

– Ale potem pomyślałem sobie: „czy nie ma nic lepszego?” – ciągnął niezrażony, ignorując ją. – A słyszałem, że na łądzie powstają bardzo ciekawe krzyżówki Przemienionych.

– Ty chyba żartujesz – śmiertelnie poważnie rzuciła Antja.

– Czemu? Zacząłem się zastanawiać, co powstanie ze skrzyżowania orki

z syreną – odpowiedział wolno. – I myślę, że jesteśmy już dość daleko, żeby się przekonać.

– Inteligentna orka? – rzuciła Antja, waląc w niego ogonem. – Niemoralna syrena? Nie wydaje mi się. Puszczaj mnie!

– Wiesz, delfiny i orki tak właśnie się parzą – powiedział Shanol, znów uderzając w nią falą śmiechu. – A u nas trudno zauważyć różnicę między dobrowolnym spółkowaniem, a gwałtem. Ty dla mnie, Elayna dla Shedola.

Antja zaczęła walić w niego ogonem i wrywać się z jego uścisku, ale nawet robiąc to, czuła, jak jego członek wysuwa się z chroniącej go szczeliny w ciele. Większość samców waleni stworzona była z myślą o przymusowym seksie i właśnie odkrywała, do jakiego stopnia były do tego przystosowane.

Elayna walczyła w uścisku swojego prześladowcy, a Antja już prawie zrezygnowała z wyczerpania, gdy woda nad orką eksplodowała.

* * *

– Nigdy nie jeźdź na smoku na oklep – jęknął Herzer, gdy Chauncey w końcu wzbił się w powietrze. Utrzymanie się na smoczym grzbiecie przy starcie z płaskiej powierzchni było trudne nawet przy pełnej uprzęży. Przy siedzeniu na oklep udało mu się pozostać na smoczym grzbiecie jedynie dzięki swojej protezie. Połowę ciała pokrywały mu siniaki. I nie chciał nawet myśleć o tym.

I co czuł w okolicy jąder.

– Przestań narzekać – rzuciła Bast. – Rozejrzyj się.

– Na morze ucieka stadko pięciu sztuk – powiedziała Joanna. – To te z potyczki, zostawiają za sobą sporo krwi. I mają na ogonach rekiny.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek, kto je porwał, został na całą walkę – zauważył Herzer, podnosząc się lekko i natychmiast tego żałując. Bez pasów siedzenie na smoku nie było stabilne, a upadek trwałby bez końca. Nie wspominając już o... niewygodzie. – Bast, przez najbliższe parę dni mogę się do niczego nie nadawać.

– Bast posiada zdumiewające zdolności leczenia – roześmiała się. – Tam, na południe. Dwie plamki!

– Orki – oświadczyła Joanna, przestawiając wzrok. – Za którą grupą lecimy?

– Południową – równocześnie odpowiedzieli Bast i Herzer.

– Shanol? – zapytał Herzer.

– Elayna i Antja – dodała Bast. – Dobrze, że nie było z nami Rachel.

– Tak – warknął Herzer, kopiąc Chaunceya w grzbiet. – Leć!

Smok machał skrzydłami najszybciej, jak mógł, i błyskawicznie dogonili orki które zwolniły. Zdawały się zmagać z dwiema syrenami.

– Czy naprawdę patrzę na to, co myślę? – powiedziała Joanna, okrążając parę. – Bo jeśli nie, to widzę coś bardzo dziwnego.

– Tak – krzyknął Herzer, ściągając wodze wywerna i pchając go do nurkowania.

Chauncey obserwował Joannę, ustawił więc skrzydła w literę V i wycelował w orkę po prawej, korygując lot drobnymi poruszeniami czubków skrzydeł.

Lot nurkowy rozpoczął się prawie tysiąc metrów nad poziomem morza i Herzer uświadomił sobie właśnie, że zrobił coś bardzo głupiego. Jak się kiedyś przekonał, skacząc z wysokiego urwiska, jeśli uderzało się w wodę z dużą prędkością, ta robi się bardzo twarda.

– O cholera! – wrzasnął, zeskakując ze smoka i celując stopami w pędzący ku niemu ocean. Kiedy woda się zbliżyła, wyprostował stopy, zatkał nos i w duchu pożegnał się z życiem.

* * *

Antja została mocno pchnięta w dół przez orkę i nie rozumiała, co Shanol zrobił, że udało mu się coś takiego. Ale równocześnie puścił ją, a jego członek się cofnął, więc ucieszyła się z drobnych łask. Wywinęła się z uchwytu jego płetw piersiowych i szybko popłynęła w stronę brzegu. W jego okolicy zawsze były rafy, a kiedy już uda się jej schować w jakąś szczelinę, za nic stamtąd nie wyjdzie.

Jednak zatrzymała się i obejrzała, przypominając sobie o Elaynie. Młodsza syrena była jednak tuż za nią. A za ogonem dziewczyny toczyła się krwawa bitwa.

Chauncey chwycił Shedola za plecy i rozrywał teraz orkę ze wszystkich sił. Obok podpływała co chwila Bast, która niczym piorunem uderzała swoją błyszczącą szablą.

Shanol, krwawiący z tuzina ran, w jakiś sposób zdołał wyrwać się z uścisku Joanny i uciekał w stronę głębin z goniącą go smoczycą. Herzer trzymał się ogona Joanny i kawałek po kawałku podciągał się w stronę jej głowy.

– Herzer, gdzie ty się do diabła wybierasz? – krzyknęła Antja najgłośniej, jak pozwalała jej kość w czole.

– W dół – odpowiedział chłopak, chwytając jeden z kolców grzbietowych Joanny. Po chwili oboje zniknęli w mroku.

* * *

Shanol słyszał za sobą smoka. Powinien być w wodzie szybszy od cholernej jaszczurki, ale pomimo wszelkich wysiłków ta doganiała go.

– Shanol... – usłyszał za sobą krzyk Herzera. – Ona popłynęła w głębiny za krakenem i zabiła go. Nie uciekniesz. I może też nad tobą przelecieć, więc się nie ukryjesz. Poddaj się. – Głos był niewyraźny, zniekształcony przez głębinę. Magle przetoczyła się przez niego fala dźwięku, od której zadygotał. Nie był to myśliwski krzyk orki, a coś dziwniejszego, głębokiego i groźnego. Uświadomił sobie, że to smok. Nie wiedział, że potrafi coś takiego.

Czego jeszcze o nim nie wiedział? Desperacko zanurkował jeszcze głębiej.

* * *

– Joanna – zaskrzeczał Herzer. – Nie potrafię oddychać.

Poczuł pod sobą jakiś warkot i uświadomił sobie, że pomimo wyemitowanego przez smoczycę podwodnego ryku, Joanna nie potrafiła tu normalnie mówić.

– Myślę, że to maska – powiedział Herzer. Z jego wizją działo się coś dziwnego. Z drugiej strony, robiło się coraz ciemniej, więc może chodziło po prostu o to. Ale czerwone plamki nie stanowiły elementu zmiany oświetlenia, tego był pewien. – Może ty jesteś w stanie to zrobić, ale ja chyba nie potrafię – wymamrotał.

Z jakiegoś powodu jednak nie puszczał grzbietu smoczycy. Wyżej na jej kręgosłupie kolce robiły się mniejsze i zdołał dotrzeć tylko do wysokości jej tylnych nóg. To musiało mu wystarczyć. Ale robił się bardzo zmęczony. I było naprawdę zimno. Maska nie dostarczała mu dość powietrza. Nie wiedział czemu i nie był pewien, czy nawet gdyby puścił, udałoby mu się dotrzeć na powierzchnię. Zdał sobie sprawę, że właśnie popełnił samobójstwo, ale w tej chwili zdawało się to niewielką ceną za obejrzenie końca Shanola. Zawsze był świadom, że ma skłonność do mściwości, ale nie miał pojęcia, że doprowadzi to do jego śmierci.

Tlen, musiało o to chodzić. Zbyt duża ilość tlenu była zabójcza. Maska próbowała nie dopuścić do jego śmierci przez podawanie mu zbyt dużej

ilości tlenu. A w wodzie nie było dość gazów neutralnych, żeby domieszać coś jeszcze. Na tym poziomie zawodziła jego ograniczona wiedza. I wcale go to już nie obchodziło. Widział przed sobą orkę, która w chwili, gdy już był pewien, że zemdleje, skręciła ku powierzchni. Prawdopodobnie ona też potrzebowała powietrza, bo nie oddychała od czasu walki. Potem Herzer zobaczył przemykające obok dno oceanu. Nie miał pojęcia, na jakiej znajdowali się głębokości, ale był pewien, że jego maska nie została zaprojektowana do pracy w takich warunkach.

Z drugiej strony Joanna zdawała się mieć nieograniczoną pojemność płuc. Trzymała się śladu orki, sunąc wężowymi ruchami ciała coraz bliżej i bliżej z każdą mijającą sekundą.

Shanol zdawał się już o to nie dbać. Próbował po prostu dotrzeć na powierzchnię.

Kiedy wypłynęli na mniejszą głębokość, a światło zmieniło się ze słabego ciemnoniebieskiego w jaśniejsze i intensywniejsze, maska znów dostarczała Herzerowi powietrza. Poziome ruchy Joanny były szczególnie nieprzyjemne na wysokości jej nóg, zaczął więc ponownie wdrapywać się wzdłuż grzbietu smoka, zbierając po drodze siniaki od uderzeń jej wielkich łusek. Szczególnie przydawała mu się do wspinaczki proteza, i choć się trochę bał, że skaleczy smoczyce, nie zamierzał cały czas jechać na jej zadzie.

– Poddaj się, Shanol – zawołał, gdy tylko znów miał płuca pełne powietrza – Ona tego nie zrobi.

– Pieprz się, lądowcu – wyemitowała orka. Ale brzmiało to mizernie, jakby mówiła na skraju wyczerpania. – Jestem największym drapieźnikiem tego oceanu. Nie zamierzam przegrać z cholerną latającą jaszczurką.

– Ta latająca jaszczurka pożera rekiny – rzucił Herzer. Prawie udało mu się dotrzeć do kołnierza przy karku Joanny. W końcu złapał go ręką, potem protezą i chwycił się ze wszystkich sił. – I zje cię.

– Nie, jeśli uda mi się dotrzeć do powierzchni – wydyszała orka.

– Mam cie – wydobyła z siebie Joanna, wgrzyzając się w jego płetwę ogonową.

Orka wrzasnęła, odległa nie więcej niż dziesięć metrów od tak bardzo potrzebnego jej powietrza, ale Joanna nie zamierzała jej puścić. Pociągnęła wrywające się ciało do tyłu i wbiła w niego pazur, po czym wypłynęła na powierzchnię, ciągnąc Shanola za sobą. Wystawiła głowę z wody i szybko, i głęboko odetchnęła, trzymając rzucającą się orkę pod sobą.

– Puść mnie! – zapulsowała orka gorączkowo. – Daj mi odetchnąć! – Nie wydaje mi się – odpowiedziała Joanna, skręcając w stronę brzegu i ciągnąc

go za sobą. – Czasem jesz. Czasem jesteś jedzony.

Orka dalej rzucała się dziko i emitowała rozpaczliwe wrzaski, aż w końcu znieruchomiła.

Rozdział 34

– To nie jest w porządku – stwierdziła Antja.

Herzer wyciągnął się z wody i zerwał z twarzy maskę, zaklinając się, że już nigdy, przenigdy nie założy więcej jednej z tych piekielnych rzeczy. Bast, Elayna i Antja czekały na niego na brzegu, siedząc na kawałku rafy, który wystawał nad powierzchnię wody.

Nieco z boku Chauncey wyszarpywał olbrzymie kawały mięsa z Shanola, trzymając ciało orki szponami jednej z łap, po czym przełykał je, unosząc wysoko głowę.

– Ixchitle też były Przemienionymi ludźmi – zauważyła Bast.

– Wiem, ale to po prostu nie jest normalne – powtórzyła Antja.

– Cóż, może jest, może nie – odpowiedział Herzer. Leżał z głową na kolanach Bast, ale podniósł się, żeby spojrzeć na Chaunceya, a potem nieco dalej, gdzie Joanna zaczynała pożywiać się Shanolem.

– Ale jeśli naprawdę tak myślisz, to ty spróbuj je powstrzymać. I zemdłał, wywołując radosny chichot Bast.

* * *

– Cześć, Daneh – powiedział zmęczonym głosem Edmund po wspięciu się na burtę smokowca. – Czekam cię trochę pracy.

Ranne trytony i syreny wciągnęte były na pokład i znoszone do lazaretu, ale Daneh chciała najpierw porozmawiać z ukochanym.

– Wyglądasz... na zmęczonego – powiedziała. – I jestem – przyznał Edmund. – Udało się?

– Mbeki – odparła, potrząsając głową. – Długa i smutna historia. Później.

– Mamy dość dowodów, żeby go skazać? – zapytał.

– Nie żyje – wyjaśniła, kręcąc głową. – Porozmawiaj z kapitanem, musimy iść do pracy.

* * *

Joel poważnie zastanawiał się nad ujawnieniem się, żeby przedyskutować z Edmundem niektóre konsekwencje sposobu, w jaki jego rodzina „poradziła sobie” ze szpiegiem. Nie tylko fakt, że zginął potencjalny podwójny agent. Nie tylko wystawianie swojej rodziny na niepotrzebne ryzyko. Ale fakt, że w

przyszłości znacznie trudniejsze będzie uzyskanie podwójnego agenta.

Podsumować by to można tak, że choć książę Edmund był dobrym żołnierzem, kompletnie nie znał się na problematyce wywiadu. Zdenerwował się, uświadamiając sobie, że dotyczyło to praktycznie wszystkich ludzi otaczających Sheidę. Trudno byłoby znaleźć większą grupę harcerzy.

Kiedy wróci, będzie musiał odbyć poważną rozmowę z Sheidą.

Tymczasem jeden z oficerów przesłuchujących rozbitków z wrogich jednostek dowiedział się, że niektórzy z dowódców próbowali dotrzeć do najbliższej wyspy. Zgarnięcie ich było zadaniem o wysokim priorytecie. Mimo wszystko może uda mu się zdobyć jakieś informacje.

Czas odrzucić kolejną maskę. I może przyszła pora, żeby Joel Annibale zdezerterował.

* * *

– Nie spieszyl się pan z powrotem, poruczniku – odezwał się Edmund, gdy Herzer wspiął się na pokład okrętu. Generał miał czas się umyć i przebrać w mundur, było też już dobrze po zmroku. – Myślałem, że zdezerterowałaś.

– Wróciłem na powierzchnię – przyznał Herzer. – Jeśli za sto lat znów założę jedną z tych piekielnych masek lub zobaczę szmaragdowe morze i tak będzie to za szybko. Miejsce smoków jest w powietrzu.

– Mów za siebie – rzuciła Joanna, podciągając się na pokład zagłowca. – Mnie się tam nawet podoba. Jakies szansę na stały przydział?

– Może czasowy – odpowiedział Edmund. – Skoro zbudujemy tu bazę floty, nie ma powodu, żeby nie powstał też weyr dla smoków. Ale nie przyzwyczajaj się za bardzo. Główna bitwa rozegra się na północy, nie tutaj.

– Zrozumiano, generale. – Smoczyca uśmiechnęła się.

– Antja i Elayna? – zapytał Edmund.

– Wróciły do trytonów – wyjaśnił Herzer. – I bardzo się z tego cieszą. Shanol i jego zastępca zginęli i już nie wstaną z martwych.

– Vickie widziała – potwierdził Edmund. – I najwyraźniej zwymiotowała na swojego smoka.

– A ostatnie pięć pozostałych przy życiu orek widziano ostatnio, jak uciekały na otwarte morze, krwawiąc i ciągnąc za sobą rekiny – dodał Herzer. – Powiedziałbym, szefie, że wygraliśmy.

– Tak – zgodził się poważnie Edmund. – Płacąc piekielnie wysoką cenę. Ale z drugiej strony, z tego, co słyszałem w raportach, płyną tu grupy syren z

całych wysp. Najwyraźniej dowiedziawszy się o atakach od delfinów, uznały, że to muszą wybrać, po której stoją stronie. I większość wybiera naszą.

– Misja wypełniona – powiedział Herzer, patrząc na niebieskie wody prądu zatokowego. – A co do strat, sir, to dlatego właśnie nazywają to wojną.

– Herzer, czasami jesteś zbyt krwawy, nawet dla mnie – odparł Edmund. – Na pokładzie jest trochę rumu o przeznaczeniu medycznym. Zamierzam iść i zmniejszyć jego zapasy. Może byś się wykąpał i dołączył do mnie w kabinie na sesję leczniczą.

– Brzmi nieźle – zgodził się Herzer. – Ale muszę też się dowiedzieć, gdzie trzymają kapitańskie krakersy. Potrzebuję czegoś z węglowodanami. Mam już dość tej cholernej diety z ryb i owoców.

– Nie mów – roześmiał się Edmund. – Tak naprawdę zabiłbyś za cheesburgera.

– Brzmi nieźle – stwierdził Herzer, unosząc brew. – Czemu?

– Kolejna piosenka, której muszę cię nauczyć – wyjaśnił Edmund. – Pewnie przy piątym czy szóstym kieliszku. Choć mam też złe wieści.

– Co? – zapytał Herzer. – Ixchitle i orki pokonane, a syreny są bezpieczne i przystąpiły do Koalicji. Coś się stało Rachel?

– Nic jej nie jest – odpowiedział generał. – Ale przybył slup z pocztą. Złe wieści z domu. Harzburg przeszedł na stronę Nowego Przeznaczenia. Ta wyszkolona przez ciebie armia stanęła po drugiej stronie.

– Sukinsyny – wymamrotał Herzer. – Pieprzone sukinsyny. Co za dranie.

– Owszem. – Edmund wzruszył ramionami. – Myślę, że zasłużyli na bolesną lekcję pod tytułem „czemu nie należy wkurzać Panów Krwi”. Zwłaszcza ze wspierającymi ich smokami, zrzucającymi bomby zapalające. Tym bardziej że naciskają też zbrojnie Balmoran, żeby się do nich przyłączyło. A Balmoran oficjalnie poprosiło o pomoc federalną. Więc... pakuj się.

– Cóż – westchnął Herzer, rzucając maskę na pokład, rozglądając się po okręcie i myśląc o kilku ostatnich dniach. – Przynajmniej miałem swoje karaibskie wakacje. Słońce, surfing, kobiety. I, dobra, trochę szmaragdowych mórz. Będzie musiało wystarczyć. No dobrze, wspominał pan coś o rumie?

Epilog

Martin wymachiwał przywiązanymi do kija pozostałościami po swoich spodniach, próbując zwrócić uwagę przepływającej łodzi. Była niewielka, nie więcej niż trzy albo cztery metry długości, z brudnym, połatanym trójkątnym żaglem. Mężczyzna przy sterze popatrzył w kierunku brzegu i wykręcił żaglówkę w jego stronę, przerzucając bom na drugą burtę i wypełniając żagiel północnym wiatrem.

Martin przez ostatnie dwa tygodnie utrzymywał się przy życiu dzięki nieświeżej wodzie stojącej w kałużach i wszystkim, co znajdował wzdłuż wybrzeża i co choć trochę wyglądało na jadalne. Zdołał dotrzeć do brzegu z nożem, mocno przerzedzoną sakiewką, pudełkiem zapalek i ubraniem. Z czasem najpierw przypalił się, a potem opalił promieniami słońca.

Wyspiarz był jeszcze ciemniejszy od niego, stanowiąc niemal przykład prawdziwego Murzyna, co było rzadkie w czasach powszechnego zlania cech rasowych. Był wysoki i miał długą brodę, choć wyglądała na stosunkowo świeżą.

– Witaj – zawołał Martin, gdy skif dopłynął do brzegu. Chwycił jego dziób i wciągnął go głębiej na ląd, podczas gdy mężczyzna siedział na rufie i przyglądał mu się.

– Nie trzeba było tego robić – zawołał. – Zepchnij mnie z powrotem. Pewnie chcesz się dostać gdzieś indziej, a ja mam ryby do złowienia.

– Dobra – powiedział Martin, spychając łódź na głębszą wodę i wspinając się do środka. Rybak sprawnie wykręcił, postawił żagiel i niewielka jednostka pomknęła w stronę odległej rafy.

– Człowieku, tak się cieszę, że tu przyplłynąłeś – odezwał się Martin. – Masz jakąś wodę?

Masz tykwy pod nogami, stary – rzucił wyspiarz. – Ta okrągła z wodą z rumem. Ale Thomas nie będzie się dzielił swoim rumem z żadnymi rozbitkami.

Dno łodzi pełne było pustych koszyków zrobionych z tkanych włókien palcowych. Ale przy maszcie stały dwie zatkane tykwy, jedna wyraźnie okrągła od drugiej.

– Cóż, dziękuję za wodę, Thomas. – Martin solidnie pociągnął z dzbana, ale zostawił w nim jeszcze sporo. – Statek pocztowy, na którym podróżowałem, zatonął niedaleko brzegu cztery tygodnie temu. Od tamtej pory próbowałem sygnalizować, żeby ktoś się tam zatrzymał.

– Niewielu pływa tak daleko na południe – odpowiedział gładko Thomas.
– Mnóstwo ryb wzdłuż wybrzeży. Ale Thomas lubi te okolice. Wiele dużych, dobrych ryb, mnóstwo bodianów na rafie. Thomas lubi bodiany.

– Nigdy nie jadłem. – Martin opierał się o burtę łodzi. Słońce stało dość wysoko i było bardzo gorąco. Oczywiście parę razy w ciągu ostatnich tygodni wiatr w nocy potrafił przemrozić go do kości. Niezbyt sobie poradził ze spleceniem włókien palmowych na osłonę, nie chroniła go więc przed wiatrem. Wolał już upaść.

– Złap się za ten hak, stary – odezwał się Thomas po jakiejś pół godzinie.
– Bendziem wyławiać tykwy z wody.

Martin znalazł to, co zapewne pełniło funkcję haka, czyli solidny kij zakończony wygiętą boczną gałęzią. Łódź szybko zbliżała się do unoszącej się na wodzie tykwy i Martin już w drugiej próbie wciągnął ją na pokład. Do tykwy przymocowana była lina, a Thomas przeszedł do przodu, opuszczając żagiel doświadczonego zlurowaniem fału, po czym chwycił za linę.

– Thomas bendzie ciungnął – oznajmił, wybierając linę ręką za ręką. – Ty bendziesz wyciungać ryby.

W miarę wyciągania liny stało się jasne, że przymocowano do niej sieć. Gdy tylko ta zaczęła przechodzić przez burtę, Martin dostrzegł w niej pierwszą rybę. Miała długość dwóch jego dłoni, białawe ciało z niebieskim pasem i jaskrawo żółty ogon. Jej głowa ugrzęzła w otworze sieci zaczepiona skrzelami. Marjin złapał ją i próbował wyjąć do tyłu, ale skrzela nie chciały puścić. Przez cały czas, kiedy się z nią zmagał, Thomas dalej wyciągał sieć.

– Przepchnij jom – rzucił Thomas gniewnie. – Jest mała.

W ciągu następnej godziny, a przynajmniej takie miał wrażenie, Martin wyjmował z sieci rybę za rybą. Thomas wolno mówił mu, jak się nazywają. Te z żółtymi ogonami to lucjany, podobnie jak ubarwione na czerwono. Bodiany miały na grzbiecie trzy kolce. Były tam też przynajmniej trzy rodzaje graników. Z początku próbował zapamiętać wszystkie nazwy, ale po jakimś czasie dał sobie z tym spokój.

W końcu wybrali całą sieć, zwijając ją byle jak na dnie łodzi, a ryby wylądowały w jednym z koszy.

– Thomas zrobiłby to prawie tak samo szybko bez żadnej pomocy – zamarudził rybak, stawiając żagiel i wprawiając łódź w ruch.

– Hej – odezwał się Marin, padając na dno łodzi i patrząc na kierunek ich żeglugi. – Czy północ nie jest w tamtą stronę? – zapytał, wskazując do tyłu.

– Thomas nie ma tylko jednej sieci – roześmiał się tamten.

Jak się okazało, Thomas miał ich łącznie pięć i było już prawie ciemno,

kiedy skręcili na północ. Martin był wyczerpany, choć wszystko, co robił, to wybierał ryby z sieci. Ręce oblepione miał rybim śluzem i niezależnie od tego, ile razy je mył za burtą, nie mógł go się pozbyć. Zresztą praktycznie całe jego ciało pokrywały najróżniejsze rodzaje brudu. I został paskudnie oparzony przez jakiś rodzaj meduzy.

To nie dla niego. Kochał pracę, mógł się jej przyglądać cały dzień, ale to było niedorzeczne.

Słońce zaszło szybko i zapadła całkiem ciemna tropikalna noc. Gwiazdy w górze świeciły dość jasno, ale przy powierzchni miało się podobne wrażenie do przebywania w jaskini. Jednak ślad pozostawiony przez łódź na wodzie wypełniała fosforescencja na tyle jasna, że Martin prawie mógłby przy niej czytać.

Rybak stanowił ledwie widoczną sylwetkę na rufie łódki i Martin nie miał pojęcia, jak tamten steruje.

– Wiesz, gdzie płyniesz? – zapytał Martin.

– O tak – odpowiedział Thomas. – Ty się połóż. Thomas bezpiecznie zawiezie nas do domu.

Miał w sakiewce dość, by opłacić przewóz na kontynent. Kiedy już się tam znajdzie, cóż, coś się trafi. Zawsze się trafiało. Z tą myślą Martin położył się na plecach i patrzył w gwiazdy, aż ogarnął go sen.

Obudziła go zmiana w kołysaniu łodzi, przetoczył się więc i podniósł, zeszywniały od leżenia na dnie żaglówki. Wpływali do zatoki oświetlonej niewyraźnie przez sporadyczne lampy i pochodnie. Wznosił się tam kamienny dok, ale łódź kierowała się w stronę niskiego brzegu. Kiedy osiadła na piasku, Martin wysiadł sztywno i chwycił za burtę, wciągając łódź na brzeg tak wysoko, jak potrafił.

– Jak ci poszło? – rozległ się głos z ciemności.

– Całkiem dobrze – odpowiedział Thomas, znacznie kulturalniejszym głosem. – Książę Edmundzie Talbot, poznaj proszę Johna Jamesa Trzeciego, aka Martina Johnsa, aka Martina St. Johna, aka... cóż, nie podam pełnej listy.

Martin zerwał się do biegu w mrok, z dala od głosu. Zdołał przebiec trzy kroki, zanim wpadł na osłoniętą metalem masę, która chwyciła go za włosy i podniosła w górę tak, że nogi zwisły mu w powietrzu. Oczy natychmiast wypełniły mu łzy bólu, ale i tak próbował dalej biec w miejscu. To był naprawdę zły dzień.

– Co mam z nim zrobić, szefie? – zapytała złowieszczo odziana w stal postać. Napakowany mięśniami dureń najwyraźniej trzymał pełną masę Martina w jednej, wyciągniętej ręce. Bez wysiłku. Kiedy Martin to

zrozumiał, przestał się wyrywać. Walka od początku nie miała sensu.

– Och, nie krzywdź go, Herzer – zaśmiał się z ciemności Talbot. – Jest tyle rzeczy, o które chcemy go zapytać.

Posłowie autora

Nabrałem zwyczaju pisania posłowi, naprawdę muszę się tego oduczyć. Ale uznałem, że powinienem zwrócić uwagę na kilka spraw.

Na wypadek, gdyby nie było to oczywiste, świetnie się bawiłem przy pisaniu tej powieści. Moja przeciętna „wydajność” wynosi około tysiąca słów dziennie. Przy pisaniu tej książki zdarzało mi się czasami pisać dziesięć, a w jednym wypadku nawet osiemnaście tysięcy słów. Zwłaszcza sceny podwodne praktycznie napisały się same. Osiemset godzin „czasu na dole” (kiedy ostatnim razem zwracałem sobie głowę aktualizacją dziennika, gdzieś we wczesnych latach dziewięćdziesiątych) robi coś takiego dla człowieka. Na głębokości jakichś dwudziestu metrów krew naprawdę staje się szmaragdowa i czernieje na większych głębokościach. Nie zaszkodziła też podróż Czarnobrodym na Bahamy zeszłej zimy. Prawdę mówiąc, to na pokładzie tamtego jachtu powstał zarys tej książki. Potem pojawiły się smoki.

Nigdy tak naprawdę smoki mnie nie interesowały, a już z pewnością nie jestem jedną z tych osób, które kultywują smoczą postać w Internecie. Prawdę mówiąc, jeśli już można mówić o jakiejś mojej postaci online, to byłby to DaGiN, rozwijane do Da Guy in Nomex (Facet w Nomeksie). Muszę go nosić, ponieważ lubię drażnić internetowe smoki. (I tak, w to właśnie ubrany był królik. A właściwie w azbest).

Rozwinąłem jednak pomysł czegoś, co pierwotnie miało się nazywać Jaskinie syren, i w miarę jak ten ewoluował w głębi mojego umysłu, smoki stawały się coraz bardziej istotnym elementem tej historii. Przez lata miałem problemy z fantastycznymi smokami i książka dała mi okazję zwrócić uwagę na pewne nieprawdopodobieństwa. Równocześnie jestem zdania, że prawie nic z tego, co ludzie potrafią sobie wyobrazić, nie jest niemożliwe. I ktoś kiedyś naprawdę stworzy smoka. Możecie na to liczyć. I prawdopodobnie będzie to Disney, jeśli mi nie wierzycie, przyjrzyjcie się uważniej rysunkom wokół ich parku Safar – Disney myśli w wielkiej skali.

Jednak mimo wszystko smoki ograniczone będą prawami aerodynamiki i biologii. Aktualnie najbliższymi analogami smoków są drapieżne ptaki i faktycznie mogą zostać wykorzystane jako podstawa do tworzenia smoków, jak w przypadku wyvernów w tej książce), a te muszą jeść olbrzymie ilości jedzenia w stosunku do własnej masy ciała. Biorąc pod uwagę znacznie większe rozmiary latających smoków, będą one stanowić logistyczny

koszmar w przypadku wykorzystania wojskowego i bardzo wątpię, żeby były w stanie przeżyć na własną rękę. Nie wspominając o fakcie, że mięśnie i kości nie mogą wytrzymać naprężeń związanych z lotem tak potężnych skrzydeł. Zbyt grube kości staną się za ciężkie itd. Tak więc w ich tworzeniu będą musiały brać udział jakieś superwytrzymałe materiały, w rodzaju „biologicznie wydzielanych nanorurek węglowych”. A jeśli jesteście w stanie wymyślić, jak to działa, zadzwońcie do Duponta, a zrobią z was miliarderów.

Mimo wszystko doznałem wspaniałej i przerażającej wizji smoków walczących z orkami (obejrzyjcie sobie Błękitną planetę: Oceany, a zrozumiecie, skąd je wzięłem) i musiałem dostarczyć je tam, gdzie rozgrywała się akcja książki. Świat nie pozwalał na bazę na południu Florydy (tak, to wszystko rozgrywa się na ziemi w odległej przyszłości), musiały więc zostać tam dowieszone na pokładzie statku. Ale... czemu nie miałyby to być okręt, z którego mogłyby startować i lądować?

Zaczynacie dostrzegać brzydką prawdę sposobu, w jaki tworzone są powieści, przynajmniej przeze mnie. Coś jak ustawodawstwo i parówki.

Tak więc powstał smokowiec. I wtedy naprawdę dałem się ponieść.

Dorastałem, słuchając opowieści o lotnictwie morskim. Mój nieżyjący wuj był pilotem myśliwców morskich w drugiej wojnie światowej. I choć nigdy sam nie byłem w załodze lotniskowca, nie mówiąc już o pilotowaniu (trudno znaleźć większą bandę uzależnionych od adrenaliny samobójców), lotniskowce mnie fascynują.

Lotniskowce stanowią najbardziej złożony system stworzony kiedykolwiek przez człowieka i działają z olbrzymimi trudnościami (o czym ku własnemu rozczarowaniu przekonali się Francuzi, Chińczycy i Rosjanie). Opanowanie sposobów na upchnięcie na okręcie wszystkich samolotów, ludzi, paliwa i części potrzebnych samolotom – nie wspominając już o równoczesnym dostarczeniu tego wszystkiego w odpowiednie miejsce w starannie wyreżyserowanym tańcu – zabrało flocie Stanów Zjednoczonych całe pokolenia. Na przykład fakt, że samoloty wielkości bombowców z czasów drugiej wojny mogą startować w powietrzu i lądować na pokładzie niewiele większym niż za tamtych czasów. To zdumiewające osiągnięcie, które sprawia, że jestem dumny z mojego kraju i współobywateli. Tak, nawet z Airedalesów. (Slangowy termin na pilotów floty).

Tak więc właśnie przy smokowcu popuściłem wodze wyobraźni. Wiele z rzeczy opisanych w powieści wynaleziono dopiero na późnym etapie rozwoju lotniskowców. Jednak wszystkie zostały wyobrażone i stworzone przez inteligentnych bohaterów mojej książki w ciągu zaledwie paru tygodni.

Brałem nawet pod uwagę ubranie personelu związanego z różnymi aspektami pracy smokowca w stroje różnego koloru, ale uznałem, że byłaby to przesada.

Pozwoliłem sobie też na dość swobodną grę z opisywanymi okolicami. Nie ma dokładnie takich zatoczek, choć istnieją bardzo do nich podobne na wyspach Berry. Wielki Zieleniak jest prawdziwy, ale znajduje się w okolicach wysp Bimini, nie Berry. Podobnie jak wejście do mielizn Bahamów od wschodu nie wygląda dokładnie tak, jak opisałem, choć różnice nie są duże. A kto wie, za parę tysięcy lat może się stanie właśnie takie. Huragany, erozja i ciągle nagromadzanie się mielizn potrafią drastycznie zmienić krajobraz w ciągu paru dekad, a co dopiero tysiącleci. Whale Drop Point jest prawdziwy i przedstawia się dokładnie tak, jak go namalowałem, minus źródło i jaskinia. Jeśli mi nie wierzycie, sprawdźcie sami. Niestety, latarnia morska jest własnością prywatną. Żałuję, że nie moją, ale jeszcze nie sprzedałem aż tylu książek.

Wybaczcie mi więc popuszczone wodze fantazji i mam nadzieję, że książka się wam podobała. Tak naprawdę tylko to się liczy.

Jak zwykle chciałbym podziękować ludziom, którzy pomogli mi przy jej pisaniu albo dostarczając mi informacji, albo pierwowzorów postaci, które uczyniły ją tak bogatą.

Evanowi Mayerle, który faktycznie jest bardzo twórczym inżynierem lotnictwa.

Bast, która choć nie do końca odpowiada postaci z książki, trochę jednak ją przypomina.

Hankowi Reinhardtowi za tak artystyczne siekanie wieprzowiny.

Chiefowi Robinowi Brooksowi za bycie najlepszym chiefem we flocie.

Elaynie za heroiczną opiekę nad dziećmi przekraczającą jej obowiązki.

Pete Abramsowi za królika. Jeśli chcecie wiedzieć, skąd wziął się królik, wrzucicie google „Bunbun” i przygotujcie się na utratę dwóch tygodni. Zaczniście od początku, przeczytajcie pierwszy miesiąc, a potem liczcie się z popłakaniem ze śmiechu, prawdopodobnie na oczach waszego szefa.

Szczególnie chciałbym podziękować załodze Czarnobrodego: Antji, królowej pokładu, Jasonowi nadzorującemu nurkowanie, kucharzowi Pete, matowi Billowi i oczywiście kapitanowi Bruce’owi, właścicielowi „Blackbeard Cruises”. Wszyscy oni wytrzymywali naprawdę niedorzeczne pytania w rodzaju „gdymyś był trytonem, gdzie byś mieszkał?”.

Jeśli jesteś nurkiem i nie brak ci ducha, polecam „Blackbeard Cruises” z powodu zabawy, ceny i ponczu rumowego. Zwłaszcza jeśli to mój brat ustala

proporcje ponczu. Choć, przykro mi, Bruce, nie w styczniu. Tak, hipotermię opisałem z własnego doświadczenia. Podobnie jak chorobę morską. Włącznie z tymiankiem. Z drugiej strony, jeśli jesteś Kanadyjczykiem, Proszę bardzo. Podobno bez problemu można tam dostać plastry ze skopolaminą, a woda o temperaturze siedemnastu stopni jest dla nich bardzo przyjemna.

Dziękuję za przeczytanie mojej książki i mam nadzieję dostarczyć wam w przyszłości kolejnych przygód Herzera, Edmunda, Bast i Daneh. Kto wie, może nawet morderczego królika.

John Ringo,
Commerce, Georgia
Lipiec 2003
bnl508@mindspring.com

OSTRZEŻENIE:

PORZUĆCIE WSZELKĄ NADZIEJĘ, KTÓRZY TU WCHODZICIE

Poniższa historia, choć nie pornograficzna, zawiera elementy erotyki. Gdyby był to film, prawdopodobnie dostałby kategorię od lat 17, możliwe że nawet X. Ponieważ jako autor znany jestem głównie z fantastyki batalistycznej i „zamykania drzwi sypialni” uznałem, że powinienem zamieścić ostrzeżenie. Z powodów, które w trakcie czytania staną się jasne, erotyka jest konieczna i kluczowa dla rozwoju obu postaci oraz intrygi. Wysłałem wcześniej Opowieść Megan (Historię dziewczyny z haremu) w miejsce, gdzie mogło ją przeczytać i skomentować duże grono fanów. (W „Baen Bar”, do którego można wejść ze stron wydawnictwa Baen, www.baen.com. Praktycznie codziennie zaglądam tam do „Ringo’s Tavern”. Trolle wyrzucane są na wysokości pasa). Przesłane komentarze zawierały pełen zakres uczuć, od „to dla mnie za dużo”, do „więcej szczegółów”.

Megan to ważna postać, której doświadczenia w tej historii ukształtują zarówno ją, jak i świat Rady występujący w następnych częściach. Myślę, że większość moich czytelników jest dostatecznie dojrzała, żeby nie mieć problemów z poniższą historią. Nie czytam tych rzeczy na dobranoc moim dzieciom. Jeśli ktoś tak robi, przepraszam, i niech ucieszy się z ostrzeżenia.

W CZASACH MROKU

(OPOWIEŚĆ MEGAN)

PROLOG

Dziewczyna piorąca ubrania na brzegu szumiącego strumienia mogła kiedyś być ładna. Teraz, poza rękami, była brudna i chuda, z długimi brązowymi włosami zwisającymi w strąkach wokół twarzy. Ubrana w pozostałości eleganckiej tuniki z badwabiu, podwiązanej z powodu panującego upału, i pasujące do niej spodnie ucięte w połowie ud. Stopy miała bose, z mocno stwardniałymi podeszwami.

Niecały rok wcześniej Megan Samanta Travante, jak wszyscy ludzie jej czasów prowadziła życie prawie równe bogom. Przed Upadkiem, z wszechobecną Siecią dbającą o wszystkie potrzeby, ludzie pławili się w prawie niewyczerpanym luksusie. Można było żyć gdziekolwiek, nawet pod powierzchnią morza czy w fotosferze słońca, Przemieniać się w niemal dowolny kształt. Jedzenie dostępne było na każde życzenie, i replikowane w dowolnej postaci. Bezpieczeństwo gwarantowane przez osobiste pola ochronne zdolne wytrzymać wszelkie możliwe warunki.

Życie Megan nieco odbiegało od normy. Jej ojciec, jeden z niewielu pozostałych policjantów epoki, człowiek polujący na kryminalistów, nielicznych już, ale jednak pojawiających się nawet w panującym luksusie, był bardzo dobry w swojej pracy. Dostatecznie dobry, żeby skłonić jedyną córkę do studiowania czegoś więcej niż przeciętnie i rozwinięcia w niej wysokiego poziomu paranoi, nie wspominając już o zdolnościach obronnych, co wyobcowywało ją wśród przyjaciół. Joel Travante wiedział, że nawet w raju w ludzkich piersiach czaił się wąż i upewnił się, że wiedziała o tym również jego córka.

Dzięki naciskom ojca i matki, która była ekspertem sztuki przedindustrialnej Megan wykorzystwała zasoby Sieci do rozwinięcia się w sposób obcy wielu jej rówieśnikom. Brała udział w niewielkiej tylko liczbie nieustannie odbywających się imprez i prawdę mówiąc prowadziła bardzo ograniczone życie towarzyskie.

Od młodych lat poświęciła się intensywnemu treningowi umysłowemu i fizycznemu. Techniki nauczania rozwinęły się w równym stopniu co wszystkie inne dziedziny nauki. Poza systemami audiowizualnymi, które praktycznie wbijały wiedzę w młode umysły, istniały metody bezpośredniego nauczania. Dzięki ich połączeniu każda dziedzina wiedzy stała otworem nawet dla najmłodszych. Z początku pod wpływem presji rodziców, później kierowana już własnym pragnieniem – albowiem niedaleko pada jabłko od

jabłoni – Megan wykorzystała je do zdobycia edukacji, która zdumiałaby większość profesorów wcześniejszych epok.

Upadek jednak niemal wszystkich zaskoczył. Sieć nadzorowała kilkunastoosobowa Rada posiadaczy Kluczy, osób, które dysponowały Kluczami do programu zarządzającego Siecią. Podjęli oni między sobą walkę, prawdziwą wojnę domową, która odciągnęła z Sieci całą energię i z miejsca rzuciła świat w stan absolutnego barbarzyństwa.

Megan miała w chwili Upadku siedemnaście lat i nie była jeszcze oficjalnie „uwolniona” przez rodziców, ale mogła poruszać się całkiem swobodnie. W chwili Upadku odwiedzała koleżankę w Ropazji, podczas gdy jej matka pozostawała prawdopodobnie w domu, na Wyspach Brytyjskich, a ojciec na misji „gdzieś” w świecie. Musiała więc radzić sobie całkiem sama. Dzięki własnej inteligencji i wygenerowanej przez ojca paranoi zdołała uniknąć najgorszych skutków Upadku. W przeciwieństwie do części jej koleżanek nikt jej nie zgwałcił i nie została jedną z kobiet wybranych na „żony” Przemienionych legionów Nowego Przeznaczenia. A uniknięcie tego losu graniczyło z cudem. W końcu znalazła pracę jako dziewczyna do prania i służąca u jednego ze starszych lokalnego miasta. Nie była to wspaniała praca, ale dziewczyna miała plany. Dysponowała umiejętnościami rzadkimi w świecie po Upadku. Większość z nich wymagała jednak przemysłu, którego brakowało w małym miasteczku, w którym wylądowała. Czekala więc na okazję i starała się nie wychylać. Z czasem zamierzała wydostać się z nędzy.

A chwilowo miała ubrania do wyprania.

– Przepraszam, młoda damo – rozbrzmiał za jej plecami niepewny męski głos. Pod jego wpływem dziewczyna wyprostowała się, mocno chwytając kij służący jej jako kijanka do prania.

Głos należał jednak do starca, który ze zmęczeniem opierał się na lasce. Nawet ze swoim kijem nie stanowił zagrożenia.

– Przepraszam za przestraszenie cię – powiedział starzec. Ubrany był w łachmany, a ręce miał równie spracowane jak jej własne. – Miałem nadzieję, że mogłabyś pomóc mi przejść przez bród.

Dziewczyna przechyliła głowę, po czym, nie puszczając kija, podeszła przytrzymać go za ramię.

– To bardzo uprzejme z twojej strony – podziękował staruszek. – Niewiele uprzejmości pozostało w tym Upadłym świecie.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziała dziewczyna, gdy weszli do strumienia. Dziwił się, że zdołał przeżyć.

– Cóż, potrafię sobie radzić – rzekł staruszek. Był chudy, a jego włosy zwisały w tłustych strąkach i potykał się na kamieniach głębokiego po kolana brodu. – Jedzenie można znaleźć prawie wszędzie, a ja czasem mogę pracować. Staremu Paulowi niewiele można ukraść, więc nie kłopotczą mnie bandyci. Choć żałuję, że ta przeklęta Sheida doprowadziła do tego wszystkiego.

– A ja żałuję, że cała Rada nie poszła w diabły – warknęła Megan. – Chciałabym... Och, tyle bym chciała.

– Czasem mam wrażenie, że już nas to spotkało – wymamrotał starzec. – Powiedz mi, o czym marzysz, młoda damo.

– O tym, co wszyscy – roześmiała się gorzko. – Wrócić do domu. Nie być głodna. Nie musieć się martwić i uciekać przed gangami mężczyzn.

– Gdzie mieszkasz? – zapytał starzec, gdy dotarli do drugiego brzegu strumienia. Zatoczył się na lekkim wzniesieniu i usiadł ze stopami zanurzonymi w wodzie.

– Z parą małżeńską w mieście. – Dziewczyna usiadła obok niego. – Przyjęli mnie po Upadku. Ja... cóż, sprzątam dla nich, piorę i tym podobne. Mężczyzna jest jednym ze starszych miasta i to całkiem niezłe życie. Przynajmniej mnie chromą.

– Czy ty... usługujesz mu też na inne sposoby? – zapytał delikatnie staruszek.

– Nie, nigdy nawet o to nie poprosił – przyznała. – Choć staram się przy nim nie stroić. Ja... nie wiem, co by było, gdyby uzależnił od tego pozostanie pod jego dachem. Ale myślę, że miałyby na ten temat coś do powiedzenia żona mistrza Jeana, gdyby spróbował. Żyje w strachu przed nią.

– Tak, tak. – Staruszek zerknął na nią kątem oka. – Choć nie jest to najbardziej idylliczne życie. – Spojrzał na nią jeszcze raz i kiwnął głową. – Dobre geny, dobry fenotyp. Myślę, że da się ciebie odczyścić. Tak, nadasz się. Zdecydowanie się nadasz.

– Co? – zapytała podejrzliwie Megan, wstając. Obronnym gestem wysunęła przed siebie kij i rozejrzała się wokół, obawiając się, że staruszek był tylko zwiadowcą dla bandy zbirów. – Do czego się nadam?

– Tak się składa, że mogę spełnić twoje marzenia – oświadczył mężczyzna, wstając nagle bez podpierania się i wyciągając rękę. – Mogę sprawić, że wszystko będzie lepsze.

Dziewczyna poczuła, jak świat zaczyna wirować wokół niej i straciła przytomność.

Po chwili oboje zniknęli.

Rozdział 1

Kiedy się obudziła, znajdowała się w kamiennym pomieszczeniu. Leżała na miękkim łóżku pokrytym narzutą z delikatnego badwabiu. Jej łachmany zniknęły i miała na sobie szlafrok z jasnożółtego jedwabiu lub czegoś tak podobnego, że nie potrafiła stwierdzić różnicy. W pokoju stało biurko ze srebrnym dzbanem i miską do mycia. Były tu tylko jedne drzwi i zakratowane okno wysoko na ścianie.

Wstała i podeszła do drzwi, spodziewając się, że będą zamknięte, ale otworzyły się bez problemu. Za nimi ujrzała korytarz pełen innych drzwi. Z jednej strony kończył się ślepa ściana, ale z drugiej dostrzegła światło i otwartą przestrzeń. I usłyszała kobiece głosy.

Niepewnie ruszyła przed siebie, ale zdziwił ją widok, który zobaczyła. Korytarz kończył się w dużej i wysokiej sali z wpuszczającymi słoneczne światło szczelinami pod dachem i prowadzącymi do niej kilkoma innymi korytarzami. W pomieszczeniu znajdowało się kilkanaście kobiet, siedzących na porozrzucanych po podłodze poduszkach. Niektóre zajmowały się szyciem, ale większość po prostu siedziała, rozmawiając ściszymi głosami lub grając w gry planszowe. Jedna – tylko siedziała. Przez cały czas się uśmiechała, ale nie odzywała się ani w nic nie grała. Po prostu siedziała i patrzyła pusto w przestrzeń, jakby fascynowały ją ściany.

Wszystkie kobiety wyglądały... skromnie. Większość miała na sobie szlafroki podobne do jej, część zaś ubrana była w kamizelki i szorty lub nawet cieńszą bieliznę. Wszystkie były lepiej odżywione i zdrowsze niż znane jej kobiety po Upadku, nawet te, którym powiodło się najlepiej. Wszystkie też, nawet wedle standardów tych czasów, należało określić jak bardzo ładne.

– O, obudziła się nasza śpiąca królewna – odezwała się jedna z kobiet, wstając z miejsca. Była wysoką, szczupłą brunetką ubraną w halkę i sandałki na wysokich obcasach.

– Gdzie ja jestem? – zapytała dziewczyna. – Co... co to za miejsce? – Miała nieprzyjemne wrażenie, że odpowiedź jest oczywista.

– No cóż, najpierw jedzenie i kąpiel – zdecydowała kobieta. – A przy okazji, jestem Christel Meazel. A ty?

– Megan – przedstawiła się dziewczyna. – I chcę odpowiedzi.

– Jak powiedziałam – Christel uśmiechnęła się szeroko, choć wyraźnie nie była w nastroju do rozmów – najpierw jedzenie i kąpiel. Podejrzewam, że

umierasz z głodu i zdecydowanie potrzebujesz kąpieli.

Zaprowadziła ją jednym z korytarzy do długiego pomieszczenia ze stołem zajmującym prawie całą jego długość. Zaklaskała głośno i nie więcej niż po dziesięciu sekundach do sali weszła służąca, niosąc tacę zastawioną jedzeniem. Kobieta, znacznie starsza od siedzących w poprzedniej sali i nie wyglądająca tak dobrze, sprawnie postawiła tacę na stole i rozstawiła przyniesione na niej talerze i kubki.

Była tam pieczona wieprzowina, jeszcze gorąca. Puree ziemniaczane. Gorące kromki chleba. Masło. Olbrzymia misa dymiących brokułów. Sos. Marchewki. Megan ślina napłynęła do ust.

– Siadaj – poleciła Christel. – Jedz.

Megan zaczęła siadać, a potem spojrzała na wciąż brudne ręce.

– Nie znoszę jeść z tak brudnymi rękami – przyznała.

– Najpierw zjedz, potem się wykąpiesz – powtórzyła Christel. – Wrócę tu za kilka minut. Nie przejeżdż się, bo wszystko zwymiotujesz.

– Nie zrobię tego – obiecała Megan i obie kobiety wyszły z sali. Ostrożnie nałożyła sobie niewielkie porcje wszystkiego. Chleb był pyszny.

Marchewki niebiańskie. Brokuły smakowały jak ambrozja.

Jedzenie nie przeszkadzało jej w uważnym obserwowaniu otoczenia. Drzwi na końcu sali wyraźnie wychodziły do kuchni. Przynajmniej jeden z pozostałych korytarzy musiał prowadzić do więzienia. Z drugiej strony nakarmiono ją i obiecano kąpiel. Podejrzewała też, że w przypadku ucieczki musiałaby spenetrować więcej niż jeden poziom ochrony. I nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. „Starzec” wyraźnie użył energii do pozbawienia jej przytomności, a potem przeteleportowania tutaj. Gdziekolwiek to „tutaj” się znajdowało, bo mogło to być dowolne miejsce na ziemi. Kimkolwiek ten staruszek był, dysponował energią. Co oznaczało, że albo jest członkiem Rady, albo dla któregoś pracuje. A z tego wynikało, że jeśli ucieczka była w ogóle możliwa, to w najlepszym wypadku trudna.

Lepiej rozpoznać otoczenie, niż próbować się szarpać i odnieść porażkę. Zebrać informacje. Ostrożnie wypytać wszystkich w okolicy. Wyczuć teren.

Wyczuć teren. Miało to w sobie nieprzyjemne konotacje, bo wszystko wskazywało na to, że wylądowała w haremie. Jak dotąd, nawet pomimo Upadku, zdołała uniknąć rozsuwania nóg dla kogokolwiek, nie wspominając już o robieniu tego pod przymusem. Wyglądało na to, że jej szczęście się skończyło.

Choć ledwie tknęła wszystkich zaoferowanych jej potraw, zdawała sobie sprawę, że w przypadku zjedzenia większych ilości prawdopodobnie

faktycznie by wszystko zwróciła. Zwłaszcza biorąc pod uwagę ostatnią myśl. Napila się więc odrobinę dostarczonego wraz z jedzeniem wina i wróciła do głównej sali szukań Christel.

– Teraz kąpiel – powiedziała Megan. – Potem odpowiesz na moje pytania.

– Dobrze się tu wpasujesz – uznała Christel, wstając. Poprowadziła dziewczynę tym samym korytarzem i otworzyła drzwi naprzeciw tych, które prowadziły do jadalni.

Łaźnia urządzona była z przepychem i zajmowała większość skrzydła. Znajdował się tam długi, głęboki basen z wodą wpadającą do niego z wodospadu i wylewającą się z drugiej strony. Pod ścianami zamocowano prysznice. Stosy ręczników. Miękkie mydła. Mnóstwo różnych maści i kosmetyków. I jeszcze więcej powiewnych, jedwabnych szlafroków w różnych kolorach.

– Najpierw prysznic, potem basen. Starannie się wyszoruj – poleciła Christel – A co z... kobiecymi potrzebami? – zapytała dotknięta Megan. Czy tamta naprawdę myślała, że wymyje sobie tylko tyłek, czy co? Zaraz jednak zdała sobie sprawę, że starsza kobieta rozpoznała w jej słowach maskę i ostrzegła ją przed używaniem jej tutaj.

– To nie jest twój czas w miesiącu. Sprawdziłam.

– Sprawdziłaś! – warknęła gniewnie Megan.

– To moja praca – odpowiedziała chłodno Christel. – A teraz wykąp się, resztę przedyskutujemy później.

Gdy tylko kobieta wyszła, Megan ściągnęła z siebie strój, zrzucając go w nieładzie i podeszła do pryszniców. Z sitka popłynęła gorąca woda i dziewczyna z przyjemnością zmyła z siebie wielomiesięczny brud. Trzy razy umyła włosy, zanim uznała wreszcie, że są czyste. Kiedy skończyła, spojrzała na basen, po czym wzruszyła ramionami. Po prysznicu nie czuła potrzeby skorzystania z niego, a pragnęła odpowiedzi. Wiedziała jednak, że powinna o siebie zadbać, usiadła więc przy toaletce. Od czasu Upadku urosły jej całkiem długie włosy – łatwiej było po prostu pozwolić im rosnąć – sięgające teraz prawie do pośladków. Pierwszy raz od bardzo dawna miała okazję zobaczyć się w lustrze i prawie zszokowało ją to, jak bardzo schudła. Nawet piersi jej zmalowały.

Nigdy nie zdecydowała się na standardowy przed Upadkiem wygląd pozbawionego piersi i bioder chudzielca, bardziej przypominającego chłopca niż kobietę. Miała naturalną figurę klepsydry z szerokimi biodrami i wysokimi, jędrnymi piersiami. Co, najwyraźniej, właśnie przyczyniło się do

jej kłopotów.

– Dobre wieści – wymamrotała w stronę obcej twarzy w lustrze. – Nakarmiono cię, wykąpano i masz czyste ubranie. Złe wieści. To dlatego, że właśnie zostaniesz zgwałcona. – Zacisnęła szczęki i przez chwilę dostrzegła w niebieskich oczach cień ojca.

– Co w tej sytuacji zrobiłby tata? – zapytała, po czym zamilkła. Przede wszystkim nie powiedziałaby czegoś takiego na głos, bo istniało duże prawdopodobieństwo, że harem był przynajmniej pobieżnie monitorowany. I zajęłby się zbieraniem informacji, a następnie ucieczką, gdy dysponowałby już dobrym planem – Zostałby przy życiu, niezależnie od ceny. Na chwilę jej oczy wypełniły się łza mi, ale zaraz potrząsnęła głową. Na pewno nie zaczęłyby płakać ze strachu, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Po prostu żyłyby dalej. I miał nadzieję na najlepsze, licząc się z najgorszym.

Znów potrząsnęła głową, po czym wstała, zakładając jedwabną szatę i zastanawiając się, czy istniała jakaś możliwość dostania choćby majtek.

– Czas na wprowadzenie – powiedziała. – Chodźmy i zrobmy z nich miazgę.

* * *

– Całkiem dobrze się umyłaś – pochwaliła Christel.

Zabrała Megan do małego pokoiku obok głównej sali. Stało tam niskie biurko, zaprojektowane dla osoby siedzącej na podłodze, tak jak teraz Christel na poduszce. Było tu więcej wszechobecnych poduszek, których tyle leżało w głównej sali. Megan wzięła sobie jedną z nich i usiadła ze skrzyżowanymi nogami, plecami opierając się o ścianę.

– Dziękuję – odpowiedziała chłodno. – Dobrze, gdzie jestem? Sama domyślałam się, co to jest. Biorąc pod uwagę aktualną sytuację na świecie, nie zapytam, jakim prawem, tylko „który członek Rady utrzymuje ten harem”?

– Ładna i bystra – rzuciła Christel, uśmiechając się krzywo. – Dla twojego własnego dobra radzę, żebyś nie była zbyt bystra. Zauważyłaś w sali młodą damę, która zdaje się zupełnie nie interesować światem?

– Tak.

– Ona była... zbyt inteligentna – powiedziała Christel, znów uśmiechając się bez humoru. – Znajdujesz się w... seraju Paula Bowmana.

– „Czujemy to samo” – powiedziała Megan, kiwając głową. – I nawet przedstawił się jako Paul.

– Nie służy on tylko jego przyjemności – dodała Christel. – Przed

Upadkiem byłam jedną z... biologicznych partnerek Paula. Stworzyliśmy razem dziecko, oczywiście za pomocą replikatora. Po Upadku zatroszczył się o mnie i Jeana, który jest już dorosłym mężczyzną. Podobnie postąpił z pozostałymi czterema partnerkami. – Urwała i spojrzała w górę, jakby przypominając sobie przygotowaną wcześniej przemowę. – Paul kieruje się słusznymi motywami, próbując wprowadzić ten upadły świat w nową erę – mówiła sztywno Christel. – Przerazało go, że przy panujących trendach świat stacza się w hedonizm i że rasie ludzkiej grozi wymarcie. Od czasu Upadku niesamowicie ciężko pracuje, by złagodzić cierpienia swoich ludzi, uważa jednak, że ważne jest nie tylko rozmnażanie, ale dobre rozmnażanie. W związku z tym stworzył ten przybytek w celu rozmnażania wyższej jakości ludzi. Jesteś tu, by zostać jedną z jego partnerek. Z jego punktu widzenia twoim celem jest urodzenie dobrych dzieci. Kiedy zajdziesz w ciążę, przejdiesz w inne miejsce, gdzie niczego ci nie zabraknie aż do porodu. Następnie na dwa lata zostaniesz przeniesiona do żłobka, by twoje dziecko dobrze się rozwinęło pod opieką matki. Po zakończeniu tego okresu wrócisz tutaj.

– I nigdy więcej nie zobaczę dziecka? – zapytała Megan, przerażona tą perspektywą bardziej niż całą resztą litanii.

– Nie, będziesz je czasami odwiedzać i mogę zapewnić, że otoczy je troskliwa opieka. A kiedy osiągną wiek, w którym będą już posłuszne, będą mogły odwiedzać cię czasem w seraju. Kiedy nie będzie tu Paula. On... wierzy w znaczenie dzieci, ale... nie obchodzą go jako dzieci.

– Och, cudownie – warknęła Megan. – Chce rodzenia dzieci, ale nie chce żeby zwracały mu głowę. Wielki przywódca. Wspaniały wizjoner. Co za hipokryta.

– Uważaj na język – ostrzegła ją groźnie Christel. – Jesteśmy tu dla zaspokajania potrzeb i przyjemności Paula, nie odwrotnie. Jest bardzo ważnym człowiekiem, dla świata i dla nas. Pamiętaj o tym. Dodam, że Paul pracuje bardzo ciężko. A drugim celem naszej grupy jest uszczęśliwianie go, kiedy przychodzi nas odwiedzać. Jeśli nie będziesz tego potrafiła, zostaną podjęte pewne kroki.

– Na przykład kasacja umysłu? – zapytała zimno Megan.

– Możliwe są kroki wstępne. – Christel gwałtownie wyciągnęła rękę i wypowiedziała serię sylab.

Całe ciało Megan ogarnął nagły ból tak silny, że nie była w stanie nawet jęknąć, nie mówiąc już o krzyku w agonii. Po chwili ból zniknął, zostawiając ją dyszącą i oblaną potem. Nie zostały żadne efekty uboczne poza

wspomnieniem, ale miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje swój posiłek.

– Paul dał mi dostęp do małej ilości energii i kilku programów – poinformowała ją Christel z krzywym uśmiechem. – Używam jej dość oszczędnie. Nie zmuszaj mnie, żebym użyła jej na tobie.

– Nie będę – zapewniła Megan, próbując brzmieć potulnie.

– Czemu mam wrażenie, że kłamiesz? – dodała Christel. – Megan, która patrzy na wszystko, jakby była drapieżnikiem, a nie ofiarą. Ale poznasz swoje miejsce. Z czasem wszyscy je poznają. W taki czy inny sposób.

* * *

Megan wyszła chwiejnie do głównej sali, czując rozdygotanie po uderzeniu bólu. Większość dziewczyn dość wyraźnie ją zignorowała, ale jedna, siedząca przy tej ze skasowanym umysłem, uśmiechnęła się i poklepała poduszkę obok siebie.

– Wredna jest, prawda? – wyszeptała, gdy Megan opadła na poduszkę.

– Nie było to przyjemne – przyznała Megan.

– Jestem Shanea – przedstawiła się dziewczyna. Była niską blondynką o dużych piersiach, z radosnym choć pustym wyrazem twarzy. – Shanea Burgey.

– Megan Sung – odpowiedziała Megan, wyciągając rękę. – Naprawdę masz na imię Shanea? – zapytała.

– Tak – odpowiedziała dziewczyna, patrząc na nią z ukosa. – Czemu?

– Rodzice nadali ci takie imię? – zapytała Megan z lekkim uśmiechem. – Zabiłaś ich za to we śnie?

– Nie, głupia. – Shanea uśmiechnęła się. – Ono mi się podoba. To Amber – dodała po chwili, wskazując na siedzącą obok dziewczynę. – Amber, powiedz cześć.

– Cześć – powiedziała cicho tamta.

Amber była wysoką, niespotykane piękną brunetką o szczupłej talii, ale bardzo jędrnych, dużych piersiach. Megan zauważyła już, że Paul był dość eklektyczny w wyborze kobiet, wymagając od nich jedynie dużych piersi. Amber wciąż patrzyła w przestrzeń, natomiast jej dłonie zajmowały się poruszaniem drutami. Wyglądało na to, że nie robiła nic konkretnego, splatała po prostu bardzo długi pas mniej więcej szerokości drutu. Wełna była bardzo ładna, jasnoszara i miękka jak jedwab. Od czasu do czasu dziewczyna przerywała robótkę i głaskała materiał, a na jej pięknej twarzy pojawiał się wyraz przyjemności.

– Tak naprawdę ma na imię Meredith – dodała Shanea. – Ale lubi, kiedy mówi się na nią Amber. Nie mówi za dużo. Ona... miała problemy z dopasowaniem się.

– Wyobrażam sobie – mruknęła Megan. Zastanawiała się, jaka była wcześniej. Właściwie chyba wolałaby śmierć od kasacji umysłu. Choć większość kasacji nie pozostawiała osoby w stanie prawie warzywa, w jakim zdawała się przebywać Amber.

– Naprawdę, nie jest tu tak źle – odezwała się szczerze Shanea. – Paul jest nawet na swój sposób dość uroczy i nie musimy się martwić... innymi mężczyznami. Na zewnątrz jest znacznie gorzej.

– Z rozkoszą założyłabym jakieś grubsze ubranie – odpowiedziała Megan. – Albo choć majtki, na litość.

– Możesz je sobie zrobić – zaproponowała Shanea. – Chodź.

Poprowadziła nową koleżankę jednym z korytarzy do bocznych drzwi i otworzyła je, ukazując mały magazyn prawie po sufit zastawiony półkami z tkaninami. Leżały tam bele koronek i jedwabiu, niektóre tak cienkiego, że praktycznie przezroczystego.

– Zobacz. – Shanea otworzyła koszyk. – Są tu wszelkie rodzaje igieł i przyborów.

– Ja nigdy... niczego nie szylam – przyznała się Megan, patrząc na pokój i oceniając go pod kątem lin i drabinek. Jedwab mógł być bardzo mocny, zwłaszcza jeśli się go splotło. Nie wiedziała też za dużo o splataniu, ale ktoś w haremie prawdopodobnie się na tym znał. Nie, żeby lina miała jej wiele pomóc, jeśli nie potrafiłaby znaleźć okna, przez które mogłaby ją spuścić.

– Ja też nie jestem zbyt dobra, ale się uczę – powiedziała radośnie Shanea. – Chodź, zrobimy ci jakieś szorty.

– Nie spodnie? – zapytała Megan. – Koszula? Może sukienka?

– Nie, żadnych spodni – oświadczyła Shanea, po raz pierwszy całkowicie poważnie. – Megan, proszę, nie mów rzeczy, które nie mają sensu, dobrze widziałas tu kogokolwiek noszącego spodnie!

– Nie – przyznała wolno. – Przypuszczam, że to dość głupie, co? A co powiedziałabyś na top ze stanikiem? Krótkie szorty? Jak się nazywa ta rzecz, którą się kiedyś nosiło, czasami ją widywałam. A, tak, minispódniczka!

– Co to takiego?

– Pomyśl o wyglądzie uczennicy.

– Och, to nosiło się do szkoły? – Shanea szeroko otworzyła oczy. – To one też były haremami?

– Czasem sama się zastanawiam. – Megan zmarszczyła brwi. – szycie.

Uch.

Rozdział 2

W magazynie do półki przymocowano łańcuchem parę dużych nożyczek krawieckich. Poza nimi do cięcia materiału dysponowały jedynie małymi nożykami wielkości mniej więcej kciuka Megan. Dziewczyna uświadomiła sobie, że jak dotąd nie dostrzegła w całym haremie żadnego noża ani nic, co dałoby się wykorzystać jako broń. Odcięły kawałki materiału i wróciły do sali usiąść przy Amber.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała Shanea.

Megan rozejrzała się po innych dziewczynach. Większość nosiła po prostu dostarczone im przejrzyste peniuary, ale kilka miało inne rzeczy. Jedna ubrana była w urocze niebieskie majtki i stanik z koronką na brzegach. Ale Megan zdawała sobie sprawę, że uszycie czegoś takiego przekracza jej możliwości, nawet gdyby dobrze się czuła ubrana przy ludziach tylko w majtki i biustonosz.

Naprawdę potrzebowała jednak jakiegoś wsparcia dla piersi. I przydałoby się też coś na dół.

– Myślę... że coś do osłonięcia się u góry i na dole – powiedziała, po czym widząc zmarszczone czoło Shanei, dodała – nic zbyt... zasłaniającego, do diaska. Po prostu coś do osłonięcia piersi, może zapinanego. Kilka guzików. I mniej więcej to samo na dół. Jeśli uda mi się przy tym nauczyć, jak szyć, pomyślę o zrobieniu czegoś w rodzaju stanika i majtek.

– Och, to jest trudne – stwierdziła smutno Shanea. – Moje zawsze wyglądają okropnie. Tylko Mirta jest w tym dobra. Jest tak dobra, że nikt się jej nie czepia, pomimo że nie jest przyjaciółką Ashly.

– Ashly? – zapytała Megan, podnosząc dłuższy kawałek gęstego niebieskiego jedwabiu, który zafalował w jej dłoniach jak woda. – Co sądzisz o tym? – zapytała, owijając piersi materiałem przez peniuar.

– Krótsze – oświadczyła ponuro Shanea. – Czy węższe, wszystko jedno.

– Świetnie – prychnęła Megan, składając materiał na pół. – Jeśli to będzie za wąskie, będą mi wystawać z dołu.

– Zaufaj mi, lepiej zrób wąskie – doradziła Shanea. – Jeśli Christel uzna, że próbujesz za dużo zasłonić, nie będzie ci się to podobało.

– Rozumiem – Megan zmarszczyła brwi. – Krótsze. Wracając do Ashly – powiedziała, odkładając materiał i próbując dojść, w których miejscach go pociąć. I jak. Sposób użycia małych nożyków nie był oczywisty.

– To ta grająca w tryktraka – wyszeptła Shanea, wskazując ostrożnie w

stronę drugiego końca sali, gdzie wysoka, dobrze zbudowana blondynka leżała na brzuchu, przyglądając się planszy z leniwie uniesioną do góry jedną stopą.

– Co z nią? – zapytała Megan. Próbowwała uciąć prosty kawałek materiału i zupełnie jej to nie wychodziło, choć starała się trzymać splotu. Nożyki składały się z dwóch ostrzy umieszczonych pod kątem w drewnianym uchwycie. Po przyłożeniu do brzegu tkaniny nacinały ją i można było nimi dokonać prostego cięcia, pod warunkiem że materiał pozostawał napięty. Ale kiedy przestała naciągać tkaninę, cięcie przestało być proste. Zresztą od początku nie było idealne. Zaczęła podejrzewać, że jej pierwsze dzieła nie będą się nadawać do noszenia przy ludziach.

– Ona tu jest druga po Christel – wyjaśniła Shanea. – Christel tego nie mówi, ale Ashly jest naprawdę wredna. To ona zdradziła, że Amber myślała o próbie ucieczki. I ma parę przyjaciółek, które jej pomagają. Skrzywdzi cię, ona lubi sprawiać ból.

– Niektórzy ludzie tacy są – odpowiedziała Megan. Sama jestem jednym z nich. Przynajmniej kiedy jestem tak zła. – Ciebie też krzywdzi?

– Już prawie nie – powiedziała ze smutkiem Shanea. – Po prostu próbuję siedzieć cicho i nikomu się nie narzucać. Na ogół dają mi spokój. Zazwyczaj.

Eksperyment z uwięzieniem. Tata mówił jej o nim. Wystarczy wziąć dowolną grupę przypadkowych ludzi. Połowie przydzielić funkcję strażników, pozostałym więźniów. Po paru tygodniach strażnicy robią się sadystyczni, a więźniowie organizują się w grupy dla wzajemnej ochrony.

Jeszcze jedna rzecz o społeczeństwie więźniów. To ludzkie społeczeństwo bez żadnych barier. Musisz pokazać, że nie jesteś na samym dole kolejności dziobania. I zrobić to szybko.

Więzienia były równie odległą przeszłością jak... cóż, na przykład wojna. Ale czasem miała wrażenie, że jej ojciec wie wszystko. I sporo jej z tego przekazał.

– Czasem chcę, żebyś uprawiała z nimi seks – mówiła dalej Shanea. Wycięła trójkąt z materiału i przyglądała mu się bezmyślnie. – To... czasem nie jest tak źle.

– Shanea? – odezwała się łagodnie Megan.

– Tak?

– Pozwól, że sama zajmę się Ashly i jej przyjaciółkami – powiedziała Megan i uśmiechnęła się miło.

– Nie próbuj się z nimi bić – ostrzegła Shanea. – Christel nie lubi walk.

– Jestem pewna, że do tego nie dojdzie – uspokoila ją. – Zostaw to mnie.

– Spojrzała na ucięty kawałek materiału, po czym złożyła go na brzegu i znów się nim owinęła. – Co o tym myślisz?

– Węziej.

– Będzie węższe, kiedy skończę. – Megan westchnęła. – Odmierzyła, gdzie tkanina stykała się z przodu, po czym odcięła ją z lekkim nadmiarem na wypadek, gdyby coś pomyliła. Potem założyła jeden brzeg, który natychmiast się odwinął.

– Szpilki. – Shanea podała jej garść. – Załóż brzegi, a potem je przypnij.

– To uciążliwe – rzuciła ostro Megan.

– Pomaga zając czas. – Shanea wzruszyła ramionami. – Mamy tu szycie, rozmowy, kąpiele i gry planszowe. Poza okazjami, kiedy przybywa Paul.

– A wtedy dochodzi gwałcenie – rzuciła ponuro Megan.

– To naprawdę nie jest takie złe – zaprotestowała Shanea. – Naprawdę. Nie możesz nic zrobić, żeby do tego nie dopuścić, więc próbujesz czerpać z tego jakąś przyjemność. Myśl o swoim chłopaku czy czymś takim. Albo dziewczynie, jeśli wolisz w ten sposób.

– A co ty wolisz? – zapytała Megan.

– Och, nie wiem. – Shanea się uśmiechnęła. – Dla przyjemności wolę facetów. Dla ukojenia raczej dziewczyny.

– A jedynym „facetem” jest Paul – powiedziała Megan.

– Tak.

– Jaki on jest? – zapytała prawie wbrew sobie. Przekonywała się, że po prostu zbiera informacje o wrogu, ale wiedziała, że to kłamstwo. Jeśli miała spędzić resztę życia, „obsługując” jakiegoś faceta, miało sens jak najlepiej rozpoznać teren.

– Na szczęście niezbyt duży. – Shanea znów wzruszyła ramionami. – Właściwie nie mogę się otwierać za mocno. Za szybki. Naprawdę uważa to za zwykły obowiązek.

– Trach, bach, następna proszę – skomentowała Megan, myśląc, że jeśli to „tylko obowiązek”, to próbówka i sztuczne zapłodnienie sprawdziłyby się równie dobrze. Choć skądś przypomniał się jej termin „krycie na żywca”, co podobno działało lepiej. Zadygotała od tego. Jestem klaczą rozplodową,

– Tak jest. „Oj, już muszę iść”. I często nas zmienia. Nie byłam z nim... od jakiegoś czasu. Nie wiem, jak długo. Tutaj nie sposób liczyć czasu.

– On tu... przychodzi, bierze jedną z dziewczyn, a potem odchodzi?

– Zazwyczaj. Czasami zostaje trochę porozmawiać, a potem wybiera inną.

– Po prostu jeden z jego rozlicznych obowiązków – prychnęła Megan.

– Pewnie tak. I coraz gorzej wygląda.

– Co masz na myśli? – Megan udało się podpiąć brzegi i wyciągnęła jedną z cieńszych igieł. Shanea nalegała na użycie do jedwabiu cieńszych igieł i Megan musiała zmrużyć oczy przy próbie umieszczenia niezwykle cienkiej w bardzo wąskim otworze igły.

– Cóż, widziałas go – odpowiedziała Shanea. Pracowała wyraźnie nad elementem biustonosza i jej ruchy były znacznie sprawniejsze od Megan.

– Wyglądał na starego i zmęczonego. Z tego, co widziałam. Ale sądziłam, że to przebranie?

– Może ta część ze starym – zgodziła się Shanea, wybierając jedną z igieł i próbując nawlec w nią nić. Udało się to jej już po paru próbach. – Spróbuj polizać.

– Co? – zdziwiła się Megan poruszona uwagą bez związku.

– Nitkę, głuptasie – wyjaśniła Shanea z szerokim uśmiechem. – Poliz ją. Koniec robi się od tego troszkę mniejszy, lepiej się wsuwa i jest... twardszy.

– Znów się wyszczerzyła.

– Haremowy humor – prychnęła Megan. – Świetnie. – Spróbowała polizać nitkę i to faktycznie pomogło. Mimo wszystko wprowadzenie nici do igły zajęło jej całą wieczność.

– Widzisz? Polizanie ułatwia sprawę – podsumowała z uśmiechem Shanea.

– Shanea?

– Tak?

– Raz jest śmieszne, dwa razy irytujące.

– Dobra.

– Mówiłaś, że Paul wygląda coraz gorzej? – odezwała się Megan po przydługawej ciszy.

– Tak – potwierdziła Shanea po chwili. – Robi się coraz szczuplejszy i bardziej wyczerpany. Jakby był chory, czy coś takiego.

– Albo zastanawia się, czy zniszczenie świata naprawdę było takim dobrym pomysłem – wymamrotała Megan.

– Nie. Choć faktycznie martwi się o ludzi – stwierdziła Shanea. – Tak naprawdę wszystko, o czym mówi to, jak ciężko jest teraz ludziom.

– Może powinien był pomyśleć o tym, zanim spróbował obalić Radę – powiedziała cicho Megan.

– Cóż, gdyby Sheida z nim nie walczyła... – rzuciła ostro Shanea.

– Shanea, może nie kłóćmy się o to, dobrze? – Megan posłała jej uśmiech. – Jesteś tu dla mnie przyjaciółką. Ja nie powiem już nic złego o

Paulu, dobrze?

– Dobrze – zgodziła się Shanea, wzruszając ramionami. – No wiesz, też wolałabym, żeby do tego nie doszło. Ale gdyby Sheida po prostu zrozumiała, co on próbował osiągnąć...

– Jestem pewna, że to zrobiła – zapewniła ją Megan tak spokojnie, jak tylko mogła. – Ale naprawdę, nie kłóćmy się o to, dobrze? Nic nie możemy z tym zrobić. I masz rację, Paul pewnie jest miłym facetem. Na pewno jakoś sobie poradzimy.

– Cóż, rzeczywiście jest miły – potwierdziła Shanea. – Był bardzo miły dla nas wszystkich.

– Oczywiście – prychnęła Megan. Dostaje seks, kiedy tylko ma ochotę, a wszystko, co musi robić, to dać nam trochę materiałów i gier planszowych. Świetny gość.

– Pora na obiad – oznajmiła Christel, otwierając drzwi do swojego gabinetu.

– Nie jestem jeszcze głodna – wyszeptała Megan.

– Jedz, kiedy możesz – poradziła Shanea. – Trzy posiłki dziennie, nic pomiędzy.

– A co z szyciem?

– Po prostu to tu zostaw. – Shanea wstała i dotknęła Amber w ramię. – Ami, pora na obiad.

– Obiad – powtórzyła Amber, wstając i ruszając w stronę jadalni. Szła bardzo elegancko i Megan znów się zaczęła zastanawiać, jaka była wcześniej.

– Wpasowujesz się? – zapytała Christel.

– Tak, proszę pani – odpowiedziała Megan, próbując naśladować pustą radość Shanei.

– Szyłaś już kiedyś? – zapytała Christel, schylając się i podnosząc kawałki tkaniny.

– Nie, proszę pani, ale Shanea mnie uczy. – Megan uśmiechnęła się.

– Co to jest? – Christel przyjrzała się materiałowi i temu, w jaki sposób został upięty. – To nie jest koszula ani nic takiego, prawda?

– Nie, proszę pani – potwierdziła Megan.

– To coś w rodzaju opaski na piersi – wtrąciła się Shanea. – Będzie naprawdę całkiem atrakcyjne. Sama o tym nie pomyślałam, ale sądzę, że Paulowi się spodoba.

– I krótka spódniczka – dodała Megan. – Bardzo krótka.

– Zobaczymy. – Christel obejrzała się na pozostałe dziewczyny, które

stanęły, żeby się przekonać, czy nowa zostanie okrzyczana. – Biegiem do jadalni! – Rzuciła materiał na poduszkę i oparła dłonie na biodrach. – Jesteśmy tu, żeby uszczęśliwić Paula. Uszczęśliwimy go, starając się o ładny wygląd. Nie będzie się tu nosić niczego, co nie jest ładne. Zrozumiano?

– Tak jest – odpowiedziała Megan, a Shanea kiwnęła głową. – Postaram się ze wszystkich sił.

– No dobrze, idźcie jeść – rozkazała Christel. – Tylko się nie opychać, połowa dziewczyn zaczyna wyglądać jak balony.

Kiedy dotarły do stołu, zostały już tylko miejsca na jego końcu. Jedzenie wnoszono przez drzwi do kuchni, a potem serwowano Christel, która następnie przekazywała miski w dół stołu. Do czasu, gdy dotarły do Megan, Shanei i Amber, która w jakiś sposób również została zepchnięta na koniec, nie zostało na nich za dużo. Posiłek składał się z tego samego, co podano jej wcześniej – pieczonej wieprzowiny, brokułów i ziemniaków. Z mięsa zostały już tylko małe, poprzerastane błonami kawałki, znikły wszystkie brokuły, a ziemniaków była odrobinka.

Megan nie miała nic przeciw temu, nie była zbyt głodna i oddała swoją porcję Shanei i Amber. Ale zauważyła, że parę dziewcząt nałożyło sobie olbrzymie porcje, a potem zjadły ledwie połowę, jakby próbowały celowo zagłodzić dziewczyny na dole hierarchii.

– Kim jest ta brunetka przy Ashly? – zapytała Megan, wskazując podbródkiem na brunetkę o śniadej twarzy, która wyraźnie zaczęła nabierać tych balonów, o których mówiła Christel. Siedziała obok Ashly i pożerała potężny talerz jedzenia, choć Megan nie zauważyła, żeby przedtem robiła coś poza przyglądaniem się, jak Ashly gra w tryktraka.

– To Karie, Karie Szymonic – wyszeptała Shanea. – Lubi rozpoczynać różne rzeczy, a potem Ashly i pozostałe się dołączają.

Christel usiadła u szczytu stołu, nakładając znacznie mniejszą porcję i jedząc ją w bardzo elegancki sposób. Po jej prawej siedziała Ashly, a dalej Karie, natomiast naprzeciw nich miejsce zajmowała delikatna dziewczyna o rudych włosach i nieco ptasich rysach twarzy, która również nałożyła sobie niewiele. Megan zauważyła ją wcześniej, jak szyła coś w rogu.

– Ta ruda?

Shanea nachyliła się i spojrzała wzdłuż stołu.

– Och, to Mirta. Ona jest w porządku, a Ashly jej nie zaczepia, bo potrafi pięknie szyć. Jeśli chcesz coś ładnego, prosisz Mirtę. Ale ona zechce coś w zamian.

– Ale ja, niestety, nie mam nic na wymianę – prychnęła Megan.

- Coś znajdziesz – zapewniła ją Shanea.
- Kiedy mogę wstać i wyjść? – zapytała Megan.
- Nie wcześniej, niż zrobi to Christel.

Megan potajemnie obserwowwała pozostałe dziewczyny. Dostrzegła śmiertelnie jadowite spojrzenie posłane jej przez Karie, choć nie miała pojęcia, z jakiego powodu. Ashly zdawała się jak na razie ją ignorować. Z lekcji udzielanych przez ojca wiedziała, że powinna spróbować zapewnić sobie dominującą pozycję, ale miała wrażenie, że nie nadeszła jeszcze odpowiednia chwila. A jeśli zbyt namiesza, była jeszcze Christel z groźbą bicia neuronowego. I kasacja umysłu na dokładkę. Nic z tego jej nie odpowiadało.

Z jakiegoś powodu jej myśli wciąż wracały do nożyczek w magazynku. Przymocowanie ich łańcuchem miało zapewne zapobiec wzajemnemu kaleczeniu się dziewcząt. Maleńkie przecinaki do tkanin byłyby praktycznie bezużyteczne jako broń, nawet w szarpaninie. Wątpiła, by unieruchomiono je tam dla bezpieczeństwa Paula, bo ten musiał prawie cały czas mieć aktywne osobiste pole ochronne.

Prawie. Była taka sytuacja, kiedy pole musiało być wyłączone, mianowicie w trakcie stosunku, a nawet w trakcie każdego intymnego zbliżenia.

Ciekawe.

Ale będzie w stanie przywołać je niemal natychmiast. I praktycznie wszelkie uszkodzenia, jakich dałoby się dokonać gołymi rękoma, mogły zostać naprawione przez nanity medyczne.

Znów prawie. Jej ojciec nie opowiadał za dużo o swoich dochodzeniach, ale czasem potrafiła wyciągnąć z niego informacje. Zdarzało się, że tego żałowała. Kiedyś...

Miała wtedy jakieś... czternaście lat. Był dla niej... niemiły przez prawie tydzień. Ostro rozpytywał ją o jej chłopców i to, co z nimi robiła. Zazwyczaj nie miał nic przeciwko temu, żeby sama o sobie decydowała. Jak to mówił: „Dałem ci umiejętności, żebyś sama sobie radziła i nie mogę zawsze służyć ci pomocą. Muszę ci ufać”. Ale wtedy... mocno ją naciskał. Przeszedł w coś, co określała mianem „pełnego trybu inspektora”. Z kim się bawiła, czy uprawiali seks, jacy byli, ile mieli lat, jak się zachowywali, w jaki sposób ją traktowali... W końcu przestała nad sobą panować i powiedziała mu, żeby pilnował swoich spraw. Wtedy jej powiedział.

Był złoczyńca, który napadał na małe dziewczynki. Większość ledwie po przekroczeniu dojrzałości, tak jak ona wtedy. Miłymi słowami przekonywał

je do odrobiny przytulania, nie seksu, absolutnie. Kiedy opuszczały tarcze, ranił je, pozbawiał przytomności, wyteleportowywał gdzieś i ciągle ranił, nie dając im ani chwili na pomyślenie o przywołaniu osłon. Gwałcił je przy tym i zazwyczaj zabijał. W końcu przy jednej popełnił błąd, a ta miała dość przytomności, by przywołać tarczę i wyteleportować się, dzięki czemu dowiedzieli się wreszcie, co się dzieje.

Opisał jej to dość szczegółowo, prawdopodobnie, by przekonać ją o powadze zagrożenia. Nie podobało się to jej wtedy i właściwie teraz też nie miała ochoty o tym myśleć. Ale to była odpowiedź. Jednak gdyby zdołała zabić Paula, naprawdę go zabić, z pełną śmiercią mózgu, pomimo wysiłków jego nanitów, to co wtedy? I jak to zrobić, jak zranić go tak mocno?

Zdała sobie sprawę, że kiedy rozmyślała, Christel wstała i wyszła bez słowa. Większość dziewczyn również już wychodziła.

– A co z talerzami i tym wszystkim? – zapytała Shaneę, która także się podniosła i ujęła za ramię Amber.

– Służące to zabierają – wyjaśniła Shanea. – Chodź, Ami.

– To głupie – odpowiedziała Megan, ujmując Amber za drugie ramię i podciągając dziewczynę, która wciąż jadła, gryząc bardzo drobne kawałki. – Czemu my nie sprząamy?

– Bo nie wolno nam wejść do kuchni – wyjaśniła Shanea. – Nie możesz przejść przez drzwi i porazi cię prąd, jeśli spróbujesz.

– Och. – Jedna droga ucieczki wyeliminowana.

Rozdział 3

Kiedy doszły do głównej sali, znalazły swoje materiały rozrzucone w nieładzie. Jej taśma na biust i drugi kawałek przygotowany na spódniczkę zostały pocięte na kawałki, podobnie jak trójkątny kawałek, nad którym pracowała Shanea. Nad tym wszystkim stała Karie ze złośliwym uśmiechem na twarzy.

– Ups – powiedziała, patrząc na Megan. – Wygląda na to, że ktoś miał wypadek.

– Och, nic nie szkodzi – zapewniła Shanea, opadając na kolana i wybierając strzępki spośród poduszek. – Ale uważaj na nogi, te szpilki mogłyby wbić ci się w stopę i mocno skaleczyć.

Megan spojrzała na dziewczynę stojącą z jadowitym uśmiechem, a potem poczuła, że ktoś ją obserwuje. Gwałtownie wykręciła głowę, patrząc w bok, i zobaczyła, że Mirta przyglądała się jej znad kawałka skomplikowanej koronki, którą wyszywała. Dziewczyna uniosła brew, jakby mówiąc: „No dobrze, co zamierzasz teraz zrobić?”.

Megan posłała jej krótkie, ostre spojrzenie, którego Karie raczej nie mogła zauważyć, a potem... poddała się.

– Tak, nic się nie stało – powiedziała najbardziej niewinnym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć. – Chyba widzę szpilkę na podłodze przy twojej stopie. – Opadła na dłonie i kolana z głową na dół i podniosła szpilkę. – Musisz na siebie uważać, przecież nie chciałabyś się skaleczyć. – Wszystko to mówiła najbardziej pokornym tonem, do jakiego mogła się zmusić.

– Żałosna suka – skomentowała Karie, kopiąc ją w bok.

Megan przetoczyła się sprawnie i podniosła się z powrotem na kolanie w maksymalnie żalosnej pozie. Tuż pod jej ręką leżał drut Amber, ale zdawała sobie sprawę, że jeśli użyje tego rodzaju broni, nie spodoba ją się jej konsekwencje.

Zbliżyły się do niej jeszcze dwie dziewczyny i wiedziała, że zdradzenie się ze swoimi umiejętnościami uczyniłoby z niej zagrożenie, jeśli nie dla Paula, to przynajmniej dla Christel. Była pewna, że potrafiłaby rozłożyć na łopatki wszystkie trzy, zwłaszcza gdyby wykorzystwała techniki ataku na nerwy. Ale na dłuższą metę raczej by na tym nie zyskała.

– Och, proszę – załkała, podnosząc ręce do góry. – Nie możemy być przyjaciółkami?

– Jakbym chciała się przyjaźnić z taką małą żalosną suką –

odpowiedziała Karie. – Podskoczyła i chwyciła Megan za włosy, dość mocno, by w oczach dziewczyny pojawiły się łzy. – Myślisz, że jesteś lepsza ode mnie?

– Nie, Karie – załkała Megan. Dwie pozostałe trzymały się z tyłu, pozwalając bawić się przywódczyni. – Po prostu chciałabym się z tobą zaprzyjaźnić.

– Będiesz moją dziwką, a nie przyjaciółką – prychnęła Karie. Odsunęła swój peniuar i wysunęła krocze w twarz Megan. – Liż, suko.

– Karie – warknęła Ashly. – Nie tutaj.

– Dobrze – odpowiedziała tamta, podciągając Megan za włosy do góry i ciągnąc ją jednym z korytarzy. Otworzyła pierwsze drzwi i wepchnęła Megan do pokoju.

– Na kolana, dziwko – rozkazała Karie, podchodząc do Megan, która znów przetoczyła się i klękła na jednym kolanie.

– Proszę, nie krzywdź mnie – zajęczała Megan.

– Skrzywdzę cię, jeśli tylko będę miała na to ochotę – oświadczyła tamta, znów łapiąc ją za włosy. – Ale nie za mocno, jeśli dobrze się spiszesz z lizaniem.

Megan jeszcze raz załkała, a potem nachyliła się do przodu, kładąc pieszczotliwie dłoń na biodrze Karie, a potem wyprowadzając cios pięścią od dołu w krocze dziewczyny.

Kobiety są w kroczu prawie równie wrażliwe jak mężczyźni i podobnie jak w ich przypadku mocne uderzenie w to miejsce zazwyczaj pozbawia je oddechu. A już niewątpliwie takie są efekty, jeśli po chwili otrzymają kolejny cios w splot słoneczny.

A potem Megan zabrała się za nią na poważnie.

– Nie mogę zostawiać śladów – wyszeptała do siebie, uderzając w podstawę nosa przeciwniczki, a potem wyprowadzając kolejny cios w jej żołądek. – Nie chcemy, żeby ktoś się zdenerwował – dodała głośno, uderzając podstawą dłoni w prawą nerkę Karie, a chwilę potem w lewą.

Po drugim uderzeniu w nerki Megan zdała sobie sprawę, że odrobinę za mocno daje się ponieść i zamknęła sadystyczną dziwkę w mocnym chwycie z naciskiem na kilka stawów.

– Dobrze się bawisz? – zapytała Karie, która łkała cicho i prawie straciła przytomność z bólu. Ostatnie uderzenie w nerkę prawdopodobnie przepełniło czarę i dziewczyna przez najbliższy tydzień będzie sikać krwią. – Jęcz – rozkazała.

– Co...?

– Jęcz! – wyszeptała ostrym tonem Megan. – Jakbyś się dobrze bawiła ze swoją nową dziewczyną. – Zwiększyła nacisk na łokieć, aż poczuła pot zraszający skórę tamtej. – Świetnie się teraz ze mną bawisz, prawda?

– Ja nie...

– Jęcz! – Docisnęła łokieć jeszcze trochę, co wywołało stęknienie, a zaraz po nim jęk.

– Mogę pokonać was wszystkie, ale nie mam powodu tego robić ani ochoty – powiedziała cicho Megan. – Musisz jednak wiedzieć, że to Megan jest najostrzejszą suką. Powiedz to: Megan jest najostrzejszą suką.

– Oooooooooo – zajęczała Karie. – Nie mogę...

– Powiedz to – warknęła Megan, tym razem naciskając na nadgarstek. – Megan jest najostrzejszą suką.

– Megan jest najostrzejszą suką! – wydyszała Karie.

– A teraz jęcz, jakbyś przeżywała najlepszy orgazm swojego życia.

– Oooooaaaaaooooooooo...

– Kiepska z ciebie aktorka. – Megan wstała i nacisnęła nerw na ramieniu dziewczyny tak mocno, że tamta jęknęła. – Kiedy stąd wyjdziemy, lepiej bardziej się postaraj. Masz mieć na twarzy szeroki, szczęśliwy uśmiech prosto po orgazmie. Jęcz.

– Ooooooch...

– Lepiej. Ja będę szła na czworakach. Niech ci nie przyjdzie do głowy, że możesz się z tego powodu na mnie odegrać. Naprawdę nie chcesz, żebym ci pokazała, jaka mogę się zrobić wredna. Kto jest najostrzejszą suką?

– Megan.

– Jęcz.

– Ooooooch...

– Bardzo dobrze. O wiele lepiej. Myślę, że za bardzo ci się to podoba. Kto jest suką Megan?

– Karie?

– Bingo, suczko. Tym razem chcę usłyszeć niskie, gardłowe.

– Ja... – Głośno!

– Oooooaaaagggaaaa!

– Dobrze. Teraz szybkie dyszenie, jęk, a potem orgazm...

– Och, och, ach, ooooo... ooo... oooooch, AAAACH! O Boże!

– Dobrze. Niezła jesteś w udawaniu tego.

Karie nagle machnęła nogą i spróbowała podciąć Megan. Dziewczyna podskoczyła lekko i przeleciała nad wysuniętą nogą, po czym wylądowała obiema kolanami na plecach Karie, wypychając jej całe powietrze z płuc.

Potem uderzyła kilka razy w nerwy, choć lekko, tyle żeby do przeciwniczki dotarło. Za każdym razem kobieta jęczała z bólu. Dla słuchających na zewnątrz nie różniło się to od jęków przyjemności.

– Nie zdołasz mnie pokonać, nie zdołasz mnie zaskoczyć i nie pokonacie wszystkie razem, nawet gdy będę spać pijana w trupa – wyszeptała Megan morderczym tonem. – A teraz wstawaj i bądź grzeczną suczką, a przestanę, sprawiać ci ból.

Kiedy Karie wstała, Megan kopnęła ją piętą w żołądek.

– A to za nazwanie mnie żałosną. – Megan uśmiechnęła się szeroko. – Teraz możesz już naprawdę wstać. I pamiętaj o szerokim uśmiechu. Och, prawie zapomniałam. – Przez chwilę stała w bezruchu, po czym uderzyła się z całej siły najpierw w lewy, potem w prawy policzek. – Bijesz w twarz? – zapytała.

– Nie – odpowiedziała tamta, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami. – Żadnych siniaków.

– Nic, co mogłoby się nie spodobać Paulowi, tak? – warknęła Megan, poruszając szczęką po uderzeniach. – Kto jest najostrzejszą suką?

– Ty, Megan – powiedziała Karie.

– A kto jest suką Megan?

– Ja – wyszeptała Karie złamanym głosem. Nie potrafiła spojrzeć Megan w oczy. – Będę sikała krwią.

– Fatalnie – wycedziła zimno Megan. – Jestem pewna, że mnie też nie byłoby przyjemnie po tym, co zamierzałaś mi zrobić. I to zostaje tylko między nami, tak?

– Tak.

– I daj spokój Shanei – dodała Megan. – To moja przyjaciółka.

Megan opadła na czworaka i skierowała się do drzwi.

– Szeroki uśmiech. Szeroki, cholernie maślany uśmiech.

– Uśmiecham się – zapewniła Karie. – Ale Ashly zje cię żywcem. – Ashly nie ma pojęcia, z kim zadziera – odpowiedziała Megan, a potem otworzyła drzwi.

* * *

– Nic ci nie jest? – zapytała Shanea, kiedy Megan podeszła do niej na czworakach i usiadła.

– W porządku – szepnęła cicho. Spojrzała na Mirtę, która przyglądała się jej z uwagą. Dziewczyna nie przestała patrzeć, a po chwili uniosła jedną

brew. Ulegając impulsowi, Megan mrugnęła. Mirta spojrzała w stronę Karie, która ewidentnie raczyła pozostałe dziewczyny opowieścią swojego gwałtu na nowej, po czym zmarszczyła czoło i spojrzała z powrotem na Megan. Ta tylko się uśmiechnęła z kamiennym spojrzeniem i odwróciła się.

– Zdołałam trochę z tego odzyskać – powiedziała Shanea.

– Cóż, myślę, że Karie już się odreagowała. – Megan uśmiechnęła się zimno. – Więc może na jakiś czas zostawi nas w spokoju.

– Może – zgodziła się Shanea. – Ale czasem uznaje, że potrzeba nam dodatkowego szkolenia. – Shanea spojrzała ze smutkiem na trzymane na kolanach strzępki. – Nie podoba mi się to.

– Może skupi się na mnie – odparła Megan. – Przeżyję to.

* * *

Przyniosła sobie kolejny kawałek materiału i upięła go, gdy Shanea ją szturchnęła.

– Czas na kąpiel. Robi się już ciemno.

Słońce zaszło już dawno temu i włączyły się lampy. Wyraźnie zasilano je elektrycznie, ale zamiast normalnego przed Upadkiem rozproszonego światła tu pochodziło ono z kul zamocowanych na ściennych kinkietach. Niektóre z kul świeciły na kolorowo. Oświetlały otoczenie, ale niezbyt jasno i Megan zrozumiała, czemu Mirta cały czas siedziała w tym samym miejscu – padało tam światło trzech lamp i był to prawie najjaśniejszy punkt w całej sali. Najjaśniejszy okupowała Ashly i dziewczyna, która rozgrywała jedną za drugą partię tryktraka.

– Już się dzisiaj kąpałam – zauważyła Megan.

– Tu kąpiemy się codziennie wieczorem – poinformowała ją Shanea.

– Myślę, że zaniosę to do swojego pokoju. – Megan wzruszyła ramionami i podniosła swoją robótkę.

– Nie ma zamków, to nic nie pomoże – zauważyła Shanea. – Ale nie sądzę, żeby znów to pocięły. Christel nie lubi marnowania materiałów. Choć nie wiem czemu, jest ich mnóstwo.

Megan zaniosiła kupkę materiałów do swojego pokoju i położyła ją na łóżku, po czym skierowała się do łazienki. Większość dziewcząt już tam była, przeważnie wchodząc do długiego basenu. Ciepła woda wpływała do niego z jednej strony i wypływała z drugiej. I tu nie zapominano o zachowaniu hierarchii. Jedna z dziewcząt myła włosy Ashly i woda płynąca dalej, gdzie mogły wejść Shanea i Amber, pełna była olejków i mydła.

– Chyba zrobię sobie prysznic – mruknęła Megan, krzywiąc się.

– Robię to czasem po wannie – wyszeptała Shanea. – Ale lepiej się nie wyróżniaj.

– Myślę, że tym razem sobie na to pozwolę – odpowiedziała Megan, zerkając na Ashly. Mirta właśnie skończyła mycie jej włosów i posłała jej długie, zamyślane spojrzenie, gdy Megan skierowała się pod prysznic.

Poza korzystaniem z wanny od czasu do czasu dla odprężenia nigdy nie była miłośniczką gorących kąpiel. Wolą prysznic, po których czuła się czystsza. A ponieważ raz się już dzisiaj kąpała, przemyśla się tylko pobieżnie, wytarła, wzięła nowy szlafrok i wyszła z pomieszczenia, zanim większość dziewcząt skończyła staranne namydlenie.

Kiedy dotarła do pokoju, uważnie mu się przyjrzała, po czym przeciągnęła biurko, zastawiając nim drzwi. Nie zdołałoby powstrzymać kilkusobowego ataku, ale przynajmniej taka próba ją obudzi.

Leżała na łóżku i rozważała wydarzenia dnia. To był bardzo długi dzień. A w przyszłości zapewne czeka ją więcej długich dni. W tej chwili jednak czuła się bardzo zmęczona. Zanim zgasły światła, powieki jej opadły i usnęła.

Jednak niedługo potem na powrót otworzyła oczy, gdy biurko zaszurało o podłogę.

Przetoczyła się na nogi w pozycję obronną, ale ruch ustał.

– Megan? – usłyszała szept Shanei.

Światła zgaszono i była przekonana, że dziewczyna nie powinna chodzić po cudzych pokojach.

– Co? – zapytała. Podeszła do drzwi i wyjrzała przez szparę, widząc w świetle przy gaszonych lamp na korytarzu swoją przyjaciółkę.

– Zastanawiałam się... czasem, kiedy dzieją się złe rzeczy, śnią mi się koszmary – powiedziała niepewnie Shanea. – Nie chciałabyś mieć kogoś do łóżka?

– Czy to dozwolone? – zapytała szeptem Megan.

– Christel to nie przeszkadza – odparła Shanea. – O ile tylko to nie...

– ...przeszkadza Paulowi – westchnęła Megan. Naprawdę miała ochotę wyłącznie na solidny sen, a nie było tam do tego dość poduszek. Będą musiały się stale stykać. Z drugiej strony wątpiła, by Shanei chodziło o uspokojenie jej. Po chwili namysłu odciągnęła niskie biurko i wpuściła koleżankę do środka.

– Ale będziemy spać – wymamrotała, ustawiając mebel z powrotem pod drzwiami.

– Wiem – zapewniła ją koleżanka, kładąc się na łóżku plecami do ściany i zostawiając Megan miejsce na zewnątrz. Oparła głowę na ramieniu przyjaciółki i umieściła nogę na jej udach. – Ja... po prostu lubię się do kogoś przytulać w nocy.

– Jeśli kiedyś uda mi się nauczyć szyc, przypomnij mi, żebyś zrobiła ci misia – rzuciła Megan, ziewając.

Po zdumiewająco krótkim czasie Shanea zapadła w sen, delikatnie pochrupując. Dźwięk był nieprzyjemnie regularny, ale Megan wyrzuciła go z głowy i psychicznie przestawiła się na sen.

Muszę się stąd wydostać.

* * *

Po zdarzeniach pierwszego dnia sytuacja się dość unormowała. Ich robótki nie były już niszczone, a klika Ashly zdawała się podjąć decyzję o chwilowym ich ignorowaniu. Megan wolno uczyła się szyc i w miarę upływu dni odkryła prawdziwy horror haremu: nudę.

Nie było nic do roboty i oczywiście nie wolno było nigdzie pójść. Ich dzień stanowił regularną, monotonną rutynę. Poranna pobudka, toaleta i sprzątnięcie pokoi, śniadanie, które zazwyczaj składało się z bardzo smacznego płatków zbożowych z owocami, soku i mleka, później gry, rozmowy i szycie, następnie lekki lunch, znów zabijanie czasu po południu, kolacja, znów wolny czas, kąpiel, gaszenie świateł.

Kiedy opadło już napięcie pierwszych paru dni, zaczęła mieć problemy ze snem. Dość często przychodziła do niej Shanea, drapiąc w drzwi. Z początku spodziewała się, że klika Ashly zaatakuje ją w środku nocy. Potem bała się tego. A później czekała na to z wytęsknieniem jako na wydarzenie, które złamałoby monotonię.

Christel w zasadzie pozwalała haremowi na samodzielność. Cały czas spędzała w swoim gabinecie. Co umożliwiała Ashly sprawowanie władzy.

Megan nabrała zwyczaju opuszczania głównej sali przez większość dnia, choć Shanea na to też reagowała lękiem. Tak Się Nie Robiło. Megan musiała jednak trochę ćwiczyć. Wycofywała się do swojego pokoju i spędzała tam godziny, najpierw się rozciągając, później ćwicząc kata, co rozwijało się w taniec.

Przypominała sobie strzępy melodii i tańczyła do nich, przechodząc z jednej w drugą, w miarę jak się jej przypominały. Nie śpiewała, nie nuciła, po prostu tańczyła, czasem wściekle, przez całe godziny.

Zaczynała być w najlepszej formie w życiu. Ale i tak nudziła się śmiertelnie.

* * *

Od czasu do czasu zdarzały się jej słowne przytyki ze strony dziewcząt zebranych wokół Ashly, ale od chwili incydentu z Karie nic więcej. Na koniec drugiego tygodnia, gdy skończyła swoje szycie, wróciła po południu do pokoju, planując trochę solidnych ćwiczeń, kiedy odkryła, że ktoś położył jej spódnicę na poduszkach, a potem wszystko obsikał.

Była prawie pewna, że to nie Karie. Lubiła się popisywać i wyzywać na słabszych, ale wątpliwe, by chciała drugi raz zaryzykować jej gniew. Oznaczało to jednak, że była to któraś z dziewczyn z kliku Ashly. A jedynym sposobem na załatwienie tego, było wyrwanie chwastu z korzeniami.

Zebrała pościel i zniosła wszystko przez główną salę do łaźni, przybierając minę zbitego psa. W łaźni z pasją zaatakowała materiał, piorąc go najlepiej, jak mogła. Jedwab był jednak zbyt poplamiony, by nadawał się do użytku, i cała jej praca została zmarnowana. Nie była też w stanie pozbyć się z poduszek zapachu moczu. Rozwścieczyło ją, że będzie musiała z tym żyć, nie wiadomo jak długo.

Ktoś jej za to zapłaci.

Rozdział 4

Megan odczekała kilka dni, aż inne dziewczyny uznały, że postanowiła zignorować wydarzenia. Zaczęła pracę nad kolejnym strojem i chciała mieć pewność, że ten będzie się nadawał do noszenia. Wreszcie któregoś dnia zauważyła, że Ashly zaczyna się wiercić, więc od niechcienia wstała z miejsca i skierowała się do toalety.

Ubikacje znajdowały się tuż za łaźnią i były równie dobrze wyposażone. Tam także ustawiono toaletki oraz cztery kabiny z drzwiami zapewniające dziewczynom odrobinę prywatności. Megan czekała w swojej kabynie, aż usłyszała, że ktoś wchodzi do środka, po czym wyszła. Kiedy Ashly wyłoniła się z kabiny, wciąż podciągając majtki, Megan spojrzała na nią wzrokiem pełnym smutku.

– Ashly, wiem, że nie jestem twoją przyjaciółką, ale to, że ktoś obsikał całe moje łóżko, nie było miłe – odezwała się Megan bardzo pokornym głosem.

– Cóż, pewnie są wśród nas takie, które cię nie lubią – rzuciła tamta niedbale. Była o głowę wyższa i nosiła się z ogromną pewnością siebie.

– Miałam po prostu nadzieję, że mogłybyśmy się zaprzyjaźnić – powiedziała Megan. – Chciałabym, żebyśmy były przyjaciółkami.

– Czemu miałabym chcieć się przyjaźnić z takim gnojkiem jak ty? – warknęła Ashly, przepychając się obok niej.

Megan odczekała, aż tamta prawie ją minęła, po czym rąbnęła ją zaciśniętą pięścią w splot słoneczny. Kiedy Ashly się złożyła, Megan dźwignęła ją za ramię i jeszcze dwa razy uderzyła ją pięścią w żołądek.

– Cóż – powiedziała obojętnym tonem, łapiąc dziewczynę za długie blond włosy i wbijając knykię w jej nerkę. – Na przykład dlatego, że wtedy bym ci nie przyłożyła.

Ashly padła na kolana i zakwiliła.

– Christel... – zaczęła mówić, ale wtedy Megan chwyciła ją za podstawę nosa i mocno uszczypnęła. Znajduje się tam bardzo wrażliwy nerw, którego zgniecenie praktycznie uniemożliwiło Ashly wszelkie myślenie.

– Co Christel? – zapytała Megan słodko. – Nie sądzę, żeby Christel miała w ogóle o tym usłyszeć. Bo jeśli do tego dojdzie, przekonasz się, że to wszystko jest zaledwie przyjaznym poklepywaniem. Posłuchaj. Porozmawiasz ze wszystkimi swoimi przyjaciółkami. I wyjaśnisz im, że te zabawy muszą się skończyć, prawda? Bo jeśli nie, będziemy musiały...

porozmawiać jeszcze raz. Możesz sobie pomyśleć, że mogłybyście napaść mnie grupą, ale wtedy sytuacja stałaby się oczywista. I wtedy Christel faktycznie się dowie. Zresztą możesz sobie cicho porozmawiać z Karie, o tym, co się dzieje, kiedy robię się naprawdę zła. A po czymś takim lepiej, żeby skasowała mi umysł. Bo w innym przypadku nie będziesz nadawać się już do niczego, poza sprząaniem w kuchni. Rozumiesz mnie?

Nie czekała na odpowiedź. Nacisnęła tylko nerw tak mocno, że Ashly musiała mieć wrażenie, jakby uderzył ją bicz neuronowy, i wyszła, poprawiając swój szlafrok.

Nie wiedziała, czy tamta przyjmie to, czy spróbuje się buntować. Kiedy jednak wróciła do głównej sali, posłała Karie znaczące skinienie, a potem podeszła do Mirty.

– Cześć. – Usiadła przed szwaczką.

– Cześć – odpowiedziała Mirta neutralnie. – Czy mogłabyś się przesunąć? Zasłaniasz mi światło.

– Oczywiście – zgodziła się Megan, zmieniając miejsce. – Co musiałabym zrobić, żebyś ty zrobiła coś dla mnie?

– Och, myślę, że już to zrobiłaś – odparła lekkim tonem Mirta. Wyszywała skraj stanika zrobionego z tak przejrzystego jedwabiu, że przypominał szkło. – Od miesiący czekałam, żeby ktoś dokopał tej aroganckiej suce.

– Absolutnie nie wiem, o czym mówisz. – Megan obdarzyła ją szerokim uśmiechem.

– Ależ tak, wiesz – Mirta uśmiechnęła się. – Z początku nie byłam pewna, ale Karie za każdym razem schodzi ci z drogi. A ona nigdy nie daje nowym dziewczynom tylko jednej lekcji. Mnie nie dała tylko jednej – dodała kobieta cichym, ale zjadliwym tonem. – I zauważyłam, że Ashly coś długo siedzi w ubikacji. A poszła tam tylko się wysikać. Powinna wrócić przynajmniej dwie minuty temu.

– Spostrzegawcza jesteś – stwierdziła z uznaniem Megan.

– Zauważyłam, że spędzasz dużo czasu w swoim pokoju – ciągnęła Mirta. – I kiedy wychodzisz, zazwyczaj idziesz pod prysznic, bo jest ci potrzebny. Zauważyłam też, że nie chodzisz wcale jak tancerka. Poruszasz się jak jeden znany mi kiedyś mistrz sztuk walki. Chodzisz jak pantera, poza sytuacjami, kiedy grasz rolę małej sierotki. Zauważyłam też, że przez cały czas obserwujesz. – Podniosła wzrok i wbiła spojrzenie w dziewczynę, podwiązując wyszywany element i bez patrzenia podnosząc nowy kolor nitki. – A na dłoniach masz utwardzoną skórę. Ale nie od sycia.

– Ile masz lat? – zapytała Megan.

– Ja? – odpowiedziała pytaniem Mirta. – Jestem taka jak ty, mała dziewczynka, nie mam nawet dwudziestki! I jakiś mężczyzna znalazł mnie na brzegu strumienia, a potem... och, to było takie... straszne. – Całe przedstawienie wykonała przestraszonym głosem dziewczynki, patrząc przy tym zimnym wzrokiem na Megan.

– Tak, to było straszne – zgodziła się neutralnie Megan. – Pomożesz mi?

– Z szyciem? – odparła Mirta, opuszczając wreszcie wzrok. – Z przyjemnością. – Zaczęła wyszywać, jeden drobny ścieg za drugim, nie patrząc na to, co robi. I robiąc to perfekcyjnie.

– Robisz to tak dobrze – naciskała Megan.

– Zajmowałam się tym większość życia. Moi rodzice byli rekreacjonistami. Wiesz, co to znaczy?

– Tak, ludzie, których hobby to robienie dla przyjemności różnych rzeczy tak, jak przed wiekami – powiedziała Megan. – Rada miasta, w którym... byłam... też składała się z takich ludzi. Przynajmniej mieszkali w starym domu i mieli trochę rzeczy, z których czasem korzystali.

– Mama nauczyła mnie szyć bardzo wcześnie – wyjaśniła Mirta. – Robiliśmy różne rzeczy i brałyśmy je na Jarmarki. – Jej twarz wygładziła się, gubiąc na chwilę zmarszczki i uśmiechnęła się. – Bardzo lubiłam Jarmarki.

– Mam nadzieję, że wszyscy będziemy mogli kiedyś jeszcze je lubić – westchnęła Megan.

– Nie mów w ten sposób – ostrzegła ją Mirta. – Jesteśmy służkami Paula. To wszystko, czym kiedykolwiek będziemy.

– Co nie znaczy, że on nie może nas tam zabrać – uśmiechnęła się Megan.

– Hmm – wydobyła z siebie Mirta, ale uśmiechnęła się. – No dobrze, czego chcesz?

– Właściwie sama nie wiem. – Megan zamilkła na chwilę. – Jakieś proste majtki. Sama jestem zbyt niezdarna z igłą, żeby dobrze uszyć.

– To się da łatwo zrobić. – Mirta spojrzała na nią. – Widziałam, co próbowałaś zrobić z tamtym strojem. Mam parę pomysłów. Ale nie wiem, czy ci się spodobają.

– O ile tylko...

– Będzie się to podobać Paulowi. – Mirta uśmiechnęła się dziko. – Tak, myślę, że będzie. Chcesz, żebym to zrobiła?

– Proszę – potwierdziła Megan. – Jak mogę ci się odwdziżyć?

– Och, naprawdę już to zrobiłaś – powtórzyła spokojnie Mirta. – Choć nie miałabym nic przeciwko złamaniu karku tej suki i ugotowaniu jej w oleju.

– Kiedy już złamie się kark, nie czujesz oleju – zauważyła Megan. – Szczegóły. Musisz się zdecydować.

Mirta wzruszyła ramionami.

– No trudno, w takim razie wystarczy opuszczenie do kotła z kwasem.

– Co? – zapytała Megan, nieruchomiejąc.

– Powiedziałam...

– Tak, dobrze. – Megan czuła gonitwę myśli. – W takim razie dostanę je za kilka dni?

– To... może być – potwierdziła Mirta.

– Dziękuję. – Megan spojrzała jej w oczy. – Bardzo mi pomogłaś.

– Miło mi to słyszeć – powiedziała Mirta, patrząc na nią. – Bardzo miło. Megan kiwnęła jej głową i wróciła do swojego pokoju. Z wysiłkiem powstrzymała się przy tym od gwizdania.

* * *

Kiedy tam przysła, zastała w środku Shaneę. Dziewczyna przezwyciężyła strach przed przebywaniem poza główną salą i teraz większość czasu ukrywała się w pokoju Megan, pomimo wciąż dającego się tam wyczuć zapachu moczu. Czasami stała obecność Shanei bardzo Megan przeszkadzała, choć na swój sposób było to też pocieszające. Megan nigdy tak naprawdę nie miała przyjaciółek, a już z pewnością żadnej, która szukałaby u niej ochrony. Było to równocześnie miłe i przesłodzone.

Dziewczyna pracowała nad kolejnym strojem i kiedy do środka weszła Megan, z radością podniosła wzrok.

– Gdzie byłaś? – zapytała.

– Odbylałam... rozmowę z Ashly – odpowiedziała Megan. – A Mirta uszyje mi strój.

– Jak ją do tego przekonałaś? – zapytała mocno zdziwiona Shanea.

– Byłam bardzo miła. – Megan padła na woniejące poduszki. – Shanea, muszę chwilę pomyśleć, dobrze?

– Dobrze – odparła dziewczyna, wracając do szycia.

Po paru chwilach Megan zerwała się z miejsca i zaczęła chodzić po pokoju.

– Shanea, co Christel robi przez cały dzień w swoim gabinecie? –

zapytała. Nie dawało jej spokoju, że kobieta wychodziła stamtąd praktycznie tylko na posiłki. Zresztą nie brała też udziału w wieczornych kąpielach.

– Zajmuje się księgami – wyjaśniła Shanea. – Nie wiedziałaś?

– Nie, nie wiedziałam. – Megan zatrzymała się i popatrzyła na przyjaciółkę. – Cały dzień?

– Jest ich mnóstwo. To dlatego zawsze jest taka zła. Nienawidzi zajmowania się nimi. Widziałam je kiedyś i naprawdę są skomplikowane. Nie miałabym pojęcia, jak się to wszystko liczy.

Megan patrzyła na nią, nie widząc przez dłuższą chwilę, a potem na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Shanea, jesteś najcudowniejszą osobą na całym świecie.

– Dziękuję. – Dziewczyna uśmiechnęła się. – Czemu?

– Tak po prostu – mruknęła Megan. – Albo wrócę tu za chwilę z podwiniętym ogonem, albo nie będzie mnie przez dłuższy czas.

Wyszła ze swojego pokoju, stanęła przed drzwiami biura i zapukała, zdając sobie sprawę, że przyglądają się jej wszystkie pozostałe dziewczęta. Co to za sensorię kiedyś oglądała? Olivier Twist. „Sir, proszę, czy mogę dostać jeszcze?” Tak właśnie się czuła.

– Czego? – zapytała gniewnie Christel zza drzwi.

– Chciałabym z tobą porozmawiać – odpowiedziała Megan najpokorniej, jak potrafiła.

– Wejdz – usłyszała.

Megan weszła do środka, na wpół spodziewając się wylądować na podłodze, zwiijając się w agonii. Starsza kobieta siedziała za biurkiem zasłanym papierami.

– Shanea powiedziała mi właśnie, że siedzisz tu przez cały dzień, bo zajmujesz się księgowością – zaczęła Megan, stając mniej więcej na baczność. – Ja... chyba mogłabym pomóc.

– Ty? – warknęła Christel, rzucając ołówek na biurko. – Co ty o tym wiesz?

– Ja... przed Upadkiem studiowałam liczby – wyjaśniła Megan. – Wiem trochę o księgowości. I... ty zdajesz się naprawdę tego nie lubić. A przez to się złościysz. Jeśli będę mogła pomóc, będziesz dla nas miłsza. I prawdę mówiąc, potwornie się nudzę.

Christel przyglądała się jej dłuższą chwilę z przechyloną na bok głową, po czym wzruszyła ramionami.

– Naprawdę sądzisz, że potrafisz się w tym połapać? – zapytała.

– Tak, proszę pani – zapewniła Megan, podchodząc do stołu i

spoglądając w dół. Papiery pokrywały kolumny cyfr pomieszane z notatkami umieszczanymi zaraz obok. Pełno też było na nich równań, w większości pomazanych, gumowanych i poprawianych. Matematyka nie należała do mocnych stron Christel.

Wyciągnęła jeden z leżących arkuszy, żeby go przestudiować, i zbladła.

– O Boże – jęknęła. – Używasz księgowości pojedynczej?

– Co? – zapytała Christel.

– Pojedynczej – powtórzyła Megan, potrząsając głową. – Zarówno dochody, jak i wydatki wpisujesz w tej samej kolumnie. Nie wspominając o pomieszaniu zakupów i zużycia. Nic dziwnego, że masz z tym problemy.

– Jak inaczej można to zrobić? – zapytała rozzłoszczona Christel.

– Dobrze, oczywiście – powiedziała Megan, siadając ze skrzyżowanymi nogami obok biurka. – Masz tu zakupy jedzenia i nową dostawę tkanin, nie wspominając o towarach do gospodarstwa i sprzątaniam. A przy okazji, czy mogę dostać nowe poduszki?

– A co się stało z tymi, które masz? – zapytała gniewnie Christel.

– Zostały... zniszczone. Zobacz, robi się to tak, że dzielisz wszystko na kategorie...

* * *

Przez następne dwa dni Christel wprowadzała ją w księgi, choć właściwie dość często było dokładnie na odwrót. Okazało się, że kobieta odpowiedzialna jest za zarządzanie wszystkimi potrzebami haremu. Musiała śledzić i rozliczać całe spożyte jedzenie, pościel i surowe materiały zużywane przez dziewczyny do szycia, ich „kobiece” materiały i wszystko, czego tylko wymagał działający harem.

Drugiego dnia Christel miała już pogodniejszy nastrój. Megan nie kłamała, mówiąc, że zna się na księgowości. Stało się jasne, że młodsza dziewczyna jest znacznie lepsza w organizacji ksiąg, niż Christel była kiedykolwiek.

– Najgorsze jest to, że Paul zawsze je sprawdza – przyznała Christel dość wcześnie następnego dnia. – Chce, żebym potrafiła rozliczyć się z każdego przedmiotu i wyjaśnić, do czego został użyty. Najtrudniejszy jest budżet żywnościowy. Zawsze marudzi na to, ile dziewczyny zjadają. Raz więc ograniczyłam im racje, a one nie miały dość i zaczęły narzekać.

– Cóż, sądząc po wyglądzie części z nich, nie zaszkodziłoby, gdyby mniej jadły – zauważyła Megan. – Ale nie wszystkim. Tak naprawdę trzeba

by indywidualnie zarządzać dietą. Ale to oznaczałoby ściślejszą współpracę z kuchnią. Oraz...

– Co? – zapytała Christel patrząc na nią ostro.

– Cóż, nie ma powodu, żebyśmy cały dzień siedziały beczynnie – zauważyła Megan. – Na przykład jestem pewna, że niektóre z nas potrafią tańczyć. I nie zaszkodziłoby trochę ćwiczeń. Zmniejszyć ilość jedzenia, może wprowadzić ważenie, sprawdzać ilość tłuszczu i zacząć zajęcia z, och, na przykład tańca czy śpiewu. Czy któraś z nich potrafi grać na jakimś instrumencie?

– To harem, nie chór – zauważyła Christel.

– Tak, ale sama mówiłaś, że jednym z naszych celów jest uszczęśliwianie Paula – odparła Megan. – Jak myślisz, woli bandę rozpuszczonych niechlujów? Czy grupę dziewczyn, które są zdrowe, szczęśliwie i w dobrej kondycji, a przy okazji może potrafiących dostarczyć mu rozrywki nie tylko leżąc na plecach?

Christel zacisnęła wargi i potrząsnęła głową.

– Pomyśl o tym w ten sposób – powiedziała ostrożnie Megan. – To nic nie kosztuje, ani trochę więcej, może poza jakimiś instrumentami, a będzie dobrze wyglądać. Słuchaj, przynajmniej ja mogę dla Paula zatańczyć. I mogę pouczyć trochę inne dziewczyny, jeśli nie znajdzie się nikt inny.

– Ty – zdziwiła się Christel.

Megan wstała i zdjęła szlafrok, nieprzyjemnie świadoma, że stała się w ten sposób całkowicie naga, po czym wykonała serię prostych kroków tanecznych, unosząc się na palcach, wykręcając i zginając. Nie miała jednak zamiaru pokazywać zaawansowanych ruchów, nie wspominając o kata, które w jej wykonaniu bardzo przypominały taniec.

– Ja – potwierdziła Megan po zakończeniu. Podniosła swój szlafrok i założyła go z powrotem, ciasno zawiązując. – Nie mówiąc o ćwiczeniach rozciągających i gimnastyce. Jestem pewna, że Paul ma już dość pozycji na misjonarza.

– Cóż, będziesz musiała się o tym sama przekonać, prawda? – rzuciła jadownicie Christel, po czym westchnęła. – Choć masz trochę racji. I nie jesteś tu jedyną, która potrafi tańczyć. Prawdę mówiąc wcale nie robisz tego tak dobrze.

– To prawda – pokornie zgodziła się Megan.

– Zastanowię się nad tym – oświadczyła Christel.

Megan pracowała nad uporządkowaniem ksiąg cały dzień, omijając nawet obiad. Większość przedmiotów podzieliła na kategorie i zaczęła

orientować się w zakupach i zużyciu. Część wciąż się nie sumowała, ale nie miała pewności czy był to wynik niezdarnej księgowości Christel, czy czegoś innego. W końcu zdała sobie sprawę, że jest tak zmęczona patrzeniem na kolumny cyfr i głodna, że dalsza praca nie ma już sensu, wstała więc i wyszła do głównej sali.

Od kiedy Megan udowodniła, że wie, co robi, Christel większość czasu spędzała w głównej sali. Ashly została zepchnięta z dominującej pozycji, a Christel rozmawiała z innymi kobietami i grała w warcaby, podczas gdy Ashly ponuro siedziała na uboczu.

Kiedy Megan wyszła z gabinetu, usłyszała, jak ktoś woła ją po imieniu.

– Megan – odezwała się Mirta. – Skończyłam już twój strój.

– Och... zobaczmy go w moim pokoju, jeśli nie masz nic przeciwko – zaproponowała Megan, wskazując na korytarz.

Mirta kiwnęła tylko głową i ruszyła z nią do pokoju, gdzie oczywiście zastały Shaneę. Megan zauważyła, że jej przyjaciółka była jedną z osób, którym przydałoby się przejście na dietę. Od kiedy zaprzyjaźniła się z nią Megan, w dziwny sposób na koniec stołu zaczęły docierać większe porcje jedzenia. Siedziała tam też Amber, tym razem robiąc na drutach coś w kolorze złotym.

– Proszę bardzo. – Mirta wyciągnęła dwa kawałki materiału, które razem może utworzyłyby przyzwoitą spódniczkę.

Na pierwszy rzut oka góra była prostym biustonoszem, z bardzo skromną osłoną piersi – trójkątna tkanina mogła ledwie zasłaniać sutki. Ale zrobiona została z materiału, który zmieniał kolor pod wpływem światła. Choć stanik był mały, równocześnie bardzo spektakularny. Towarzysząca mu „spódniczka”, z tego samego materiału, w każdym innym otoczeniu zostałaby uznana za skandalicznie wręcz krótką. Na dodatek z rozcięciami na bokach.

– Zrobiłam ci też majteczki – dodała Mirta. – Ale pod tym, cóż, będzie widać nawet figi.

– Wygląda na... obcisłe – skomentowała Megan.

– Bo jest. Na rozmiar wzięłam od Shanei ten strój, nad którym pracowałam, i stwierdziłam, że zrobiłaś go trochę za luźny, więc zwęziłam, bo...

– Paulowi się spodoba – dokończyła Megan z wyrazem niesmaku na twarzy. Zrzuciła z siebie szlafrok i założyła spódniczkę wyposażoną z tyłu w dwa guziczki. Przekonała się, że łatwiej jest zapiąć ją po obróceniu do przodu, bo rzeczywiście była ciasna. Zapięcie guzików wymagało od niej

odrobiny wysiłku. Musiała też ściągnąć ją w dół na biodra, żeby zachować choć cień przyzwoitości. Trójkątki równie ciasnego staniczka, jak się obawiała, ledwie zasłaniały jej sutki.

– Och, to... urocze! – skomentowała Shanea.

– Ładne – potwierdziła Amber, patrząc na nią z dziwnym wyrazem twarzy. – Takie ładne.

– Jak należy – oświadczyła Mirta, podciągając jej piersi w staniku. Z dolnej jego części wystawały spore kawałki zaokrąglonego ciała. – Idealny.

– Obawiam się, że wolę nosić szlafrok! – jęknęła Megan.

– Myślę, że Paul wolałby cię raczej w tym – odpowiedziała Mirta. – A Christel zdecydowanie to zaakceptuje. Inne dziewczyny będą się zabijać za coś podobnego.

– Ja też chcę takie – wyskoczyła Shanea. – Ale nie mam nic do zaoferowania w zamian!

– Zobaczą, czy uda mi się wepchnąć cię w mój napięty harmonogram – obiecała Mirta. – Teraz, kiedy opanowałam już wzór, uszycie większej liczby nie będzie takie trudne. Potrzeba tu trochę... drobnych, mocnych szwów, ale nic trudnego.

– Nie mogę tego nosić cały czas – znów jęknęła Megan. – Za każdym razem, gdy usiądę, pokażę wszystko, co mam!

– Wcale nie – zaprzeczyła Mirta, przechodząc na bok. – Po prostu musisz siadać w taki sposób: składasz palce u nóg i przesuwasz uda. – Kobieta zademonstrowała, siadając wdzięcznie, nie rozsuwając nóg i nie pokazując nic, czego nie chciała pokazać widzowi.

– Gdzie się tego nauczyłaś? – zapytała Megan.

– A to już moja słodka tajemnica, skarbie. – Mirta roześmiała się, wstając prawie w dokładnym odwróceniu wcześniejszego ruchu. – Kiedy siedzisz, zostajesz w tej samej pozycji, ze stopami pod pupą. Nikt nie zobaczy nic, czego nie chcesz pokazać. Doprowadza facetów do szaleństwa. Teraz ty spróbuj.

Po kilku próbach Megan udało się usiąść bez wywracania się i rozsuwania nóg i uświadomiła sobie przy okazji, że Mirta zawsze siadała w ten sposób. Było to zarówno eleganckie, jak i, podejrzewała, uwodzicielskie. Elegancki i seksowny ruch. Świetnie.

– A teraz idź się pokazać – rzuciła Mirta.

– Nie zamierzam paradować w tym... tym...

– Idź i pokaż się Christel – powiedziała Mirta stanowczym tonem. – I będziesz też w tym „paradować”. Jesteś moją chodzącą reklamą. Wynosź się i

reklamuj.

– Ty wredna stara...

– Och, och – Mirta się uśmiechnęła. – Ja? – dodała tonem małej dziewczynki. – Jestem tylko... małą dziewczynką...

– Jasne – rzuciła Megan, stając przed drzwiami. – A ja jestem Sheida Ghorbani. Ruszyła korytarzem i weszła do głównej sali, podchodząc do miejsca, gdzie Christel grała w warcaby. Patrzyły na nią wszystkie i sądząc po ich reakcji, musiała przyznać, że w tej chwili była najbardziej znienawidzoną dziewczyną w haremie. Wiele z nich miało jakieś formy bielizny w postaci majtek i staników, ale to, co nosiła na sobie Megan, wydawało się przy nich niczym broń atomowa przy korkowcu. Stanowiło seksualny ekwiwalent broni masowej zagłady. Zatrzymała się przed Christel i okręciła się na palcach.

– Czy to może być? – zapytała ostro.

– Zdecydowanie tak. – Christel pokiwała głową. – Jestem pewna, że Paulowi bardzo się spodoba.

– Ja również – powiedziała Megan cicho.

– Pora kolacji – oświadczyła Christel. – Może zawołasz swoje... koleżanki. I włóż szlafrok, to jest skandaliczne.

Megan wróciła do pokoju i ściągnęła strój, sięgając po szlafrok. W nim czuła się znacznie bardziej ubrana. Bardziej rozebrana nie czuła się nawet nago.

– To był hit – zauważyła cierpko Megan. – Christel też będzie takie chciała.

– Mogę jej zrobić – zgodziła się Mirta ze złośliwym uśmiechem. – I nigdy nie zrozumie, czemu nie wygląda w nim tak dobrze, jak ty. Ale następny strój zamierzam uszyć dla Amber.

– Amber? – zdziwiła się Shanea. – Czemu?

– Bo mam na to ochotę. – Mirta się uśmiechnęła. – Zobaczysz. I oczywiście jeden dla ciebie.

– Taki, który będzie jej pasował? – zapytała Megan. – A przy okazji, pora na kolację.

– Och, tak – potwierdziła Mirta, gdy wychodziły przez drzwi. – Zdecydowanie będzie jej pasował i myślę, że ten Amber prawie w całości ją zakryje. A przy tym sprawi, że Paul będzie miał ochotę rozwalać ściany. Ciało ludzkie jest bardzo ładne, ale prawdziwej urody nabiera dopiero po odpowiednim osłonięciu. Prawdziwą sztuką jest wykorzystanie ubrania do stworzenia tajemnicy.

– W tym, co zrobiłaś dla mnie, wiele ukryć się nie da – cierpko rzuciła Megan.

– Dość. – Mirta się uśmiechnęła. – Dość i ani trochę więcej.

Kiedy dotarły do jadalni, wciąż nie podano jeszcze jedzenia i Megan usiadła ze zdziwionym wyrazem twarzy.

– Dziewczyny, słuchajcie – zaczęła Christel, klaszcząc w dłonie, żeby ściągnąć na siebie uwagę. – Od dziś każda z was dostanie indywidualną porcję. I dzisiaj wszystkie będą takie same. Ale jak tylko uda mi się zdobyć wagę, zostaniecie zważone. Te, które mają nadwagę, a same wiecie, o kogo mi chodzi, zaczną dostawać mniejsze porcje.

– Co? – wykrzyknęła Karie.

– Tak, Karie, jesteś jedną z nich, podobnie jak Shanea i Demetra. Ale będziemy też prowadzić zajęcia z tańca i gimnastykę. Dla większości z was obowiązkowe. – Wywołało to ogólne, niezadowolone szepty, rozejrzała się więc po grupie z twardym uśmiechem.

– Paul utrzymuje harem, nie pałac dla leniwych bab. Chodzi tu o dobry wygląd dla Paula i, szczerze mówiąc, większość z was zaczyna wyglądać trochę grubawo. To się zmieni. – Machnęła w stronę kuchni, i posługaczki zaczęły roznosić talerze z nałożonymi porcjami jedzenia. Megan starannie wbijała wzrok w talerz i bardzo starała się nie uśmiechać. Jedna zmiana wprowadzona.

Rozdział 5

Po kolejnym tygodniu Megan zaprowadziła porządek w księgach, a Paul wciąż się nie pojawił. A po jeszcze jednym utrzymaniu ksiąg stało się na tyle łatwe, że znów zaczęła się nudzić. Ale wciąż nie wychodziła z gabinetu, wykorzystując wymówkę, że „prowadzi księgowość” do zachowania względnej prywatności. Była także zwolniona z regularnych ćwiczeń i tańca, ale utrzymywała się w formie dzięki ćwiczeniom w biurze. Wszystko było już w porządku poza jednym – wciąż nie zgadzały się księgi kuchni. Harem płacił za przynajmniej dwadzieścia procent więcej jedzenia, niż konsumował.

Po kilkukrotnym sprawdzeniu cyfr nabrała w końcu pewności, że nie był to wynik jej błędów. I doskonale wiedziała, jakie są tego implikacje. Problemem było, co zrobić z tą informacją. Mogła powiedzieć Christel, co zapewne sprawiłoby, że kucharka dogłębnie zapoznałaby się z procesem Przemiany. Mogła też rozwiązać sprawę trochę... delikatniej.

Zafascynowały ją także niektóre przedmioty dostępne do zamówienia przez kuchnię. Było tam nie tylko jedzenie i przyprawy, ale i sprzęt kuchenny, materiały do destylacji, rozpuszczalniki do czyszczenia...

Któregoś popołudnia, gdy otworzyły się drzwi i Christel zamachała na nią niecierpliwie, w jej głowie zrodził się pomysł.

– Megan, idź do swojego pokoju i załóż ten uroczy strój, który zrobiła dla ciebie Mirta – rozkazała Christel uśmiechając się jadowniczo. – Jest tu ktoś, kogo musisz spotkać. Znowu.

* * *

– Ach, praczka – powitał ją Paul z uśmiechem. Nie był już starcem, którego wygląd przybrał wcześniej, ale twarz pozostała ta sama. Podobnie jak długie włosy zwisające w niechlujnych strąkach. Ubranie jednak miał czyste i z dobrego materiału. Wyglądał na około dwustu lat, odrobinę poniżej średniego wzrostu. Megan uświadomiła sobie nagle, że kiedyś już się widzieli, lata temu. Miała głęboką nadzieję, że on nigdy sobie nie przypomni tamtego spotkania.

– Ma na imię Megan – powiedziała Christel. – Megan Sung.

Takiego nazwiska używała po Upadku. Nie wiedziała, czemu je zmieniła, przecież jej ojciec wcale nie był powszechnie znany. Ale z drugiej strony, ludzie, którzy zareagowali na nazwisko Travante, należeli do kategorii, z

jaką zdecydowanie nie chciała mieć nic do czynienia.

– Jak sobie radzisz, Megan? – zapytał Paul, wyciągając rękę. – Wyglądasz znacznie lepiej, niż kiedy cię ostatnim razem widziałem.

– Och, znacznie mi lepiej, panie – odparła Megan, nie przyjmując ręki, zamiast tego dygając ze skromnie złożonymi nogami. Została w tej pozycji przez chwilę, a potem wyprostowała się, nie patrząc mu w oczy.

– Cóż za urocza młoda dama – rzucił Paul, oglądając ją niczym jeździec pięknego konia wyścigowego. – Piękna struktura kości. I bardzo podoba mi się twój strój.

– Dziękuję, mój panie – zamizdrzyła się najlepiej, jak umiała. Niech wybierze którąś z pozostałych, niech wybierze którąś z pozostałych...

– Myślę, że powinniśmy się lepiej poznać – oświadczył Paul, biorąc ją za rękę i prowadząc do zarezerwowanego dla siebie pokoju.

– Tak, mój panie. – Megan nie zdradziła głosem rozpacz. Zagryzła wargę i ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, była Ashly przyglądająca się jej z wyrazem złośliwej satysfakcji.

* * *

– Pierwszy raz zawsze jest trudny. – Paul podniósł się z niej i przetoczył na bok. – Później będzie lepiej.

Megan obróciła się na bok, z dala od niego i zwinęła w pozycję embrionalną, tak mocno zaciskając dłonie, że paznokcie wbiły się jej w skórę.

Nie spróbuję go zabić, pomyślała. To niemożliwe. Jest chroniony. Jestem w więzieniu umieszczonym w twierdzy. Jedyne skutkiem będzie moja śmierć.

– To było... cudowne, panie – usłyszała własne słowa.

– To, muszę przyznać, jest kłamstwo – powiedział neutralnie Paul. – Ale doceniam twój wysiłek. – Poklepał ją po pupie. – Wstań. Umyj się. Poczujesz się lepiej. I z czasem będzie ci łatwiej. To, co tu robisz, jest bardzo ważne. Wszystkie stanowicie grupę potencjalnych matek. Dobre geny powinny być utrwalane, a tu jesteście chronione od wszelkich niedoli, zarówno wy, jak i wasze dzieci. Zrozum wagę swojej roli, a życie stanie się dla ciebie znacznie przyjemniejsze.

– Oczywiście, mój panie – wydusiła z siebie Megan. Jeszcze powinnam być wdzięczna za bycie dobrze utrzymaną klaczą rozplodową. Ohyda.

Paul podniósł się z łóżka, założył ubranie, a potem znów poklepał ją po

pośladku.

– Wstawaj – powiedział dość ciepło. – Dam ci jeszcze kilka minut dla siebie, ale potem musisz wyjść z tego pokoju.

Kiedy wyszedł, Megan chwyciła jedną z poduszek i przytuliła ją do brzucha, walcząc ze łzami. Miała ochotę płakać, chciało się jej krzyżeć. Chciała, och, jak bardzo chciała uciec. Jednak ani łzy, ani krzyki niczego by nie dały. Kiedy tak leżała, czując gęstą ciecz spływającą po wewnętrznej stronie uda, dostała wyraźnej wizji swoich rąk wpychających głowę Paula do wiadra. I zdała sobie sprawę, że wiadro nie jest wypełnione wodą, choć ciecz jest przejrzysta.

Z tą myślą podniosła się z łóżka z kamienną twarzą i oczami twardymi jak diamenty. Podeszła do srebrnej misy i starannie się umyła, po czym zapanowała nad twarzą, ubrała swój „strój” i wyszła przez drzwi.

* * *

– Dziękuję, że zechciałaś się ze mną spotkać, Marlene – powiedziała słodko Megan.

Kiedy główna kucharka weszła, dziewczyna siedziała w jadalni, przy drzwiach do kuchni. Kucharka była starszą kobietą ze sporą nadwagą i świńskimi oczkami ukrytymi głęboko w fałdach tłuszczu.

– Czego chcesz? – zapytała kucharka obcesowo. – Mam swoją pracę.

– Ależ wiem, wiem. Okropne musi być spędzanie całego dnia na gotowaniu – stwierdziła Megan. Na liście płac było dość kucharek – jeśli wszystkie faktycznie istniały – by wykonać trzy razy tyle pracy. Wątpiła, żeby gruba stara zdzira choć od roku zbliżyła się do pieca.

– Pracuję na swoje utrzymanie – warknęła kucharka. – I nie robię tego, leżąc na plecach.

– Cóż, wszystkie robimy, co możemy. – Megan westchnęła. – A skoro o tym mowa, mam do ciebie kilka drobnych pytań. Nic wielkiego.

– Och? – zareagowała Marlene, nagle czujna.

– Przyglądałam się po prostu rozliczeniu mięsa za ostatni tydzień – wyjaśniła Megan, unosząc brwi w konsternacji. – Widzisz, w oparciu o to, czego dopracowałyśmy się po wprowadzeniu indywidualnych diet, na ostatni piątkowy posiłek powinno zejść siedem kilo wołowiny. A wygląda na to, że zapłaciliśmy za dziesięć kilogramów...

– No cóż, zawsze są odpadki – warknęła z oburzeniem kucharka. – To znaczy, zamawiamy je z kością. Trzeba potem wyciąć kość, błony. Wy,

panienki, musicie mieć wszystko idealne...

– I wiem, że sama robisz makaron, jest przepyszny. Ale mam tu wpisane zużycie dziesięciu kilogramów mąki. A porcje zdecydowanie powinny dodać się do pięciu kilo. Jestem taka zdumiona!

– Lepiej niech ci to przejdzie, panienko – rzuciła jadownicę kucharka. – Nie masz pojęcia, co może wylądować na twoim talerzu.

– Och, wydaje mi się, że raczej wiem – odparła Megan. – Wydaje mi się, że wiem. I cokolwiek niewłaściwego... byłoby Paulowi bardzo łatwo wykryć, gdyby jedna z jego konkubin nagle umarła. A przecież by się zastanawiał, prawda? Dajmy sobie spokój z tymi bzdurami, dobrze? Sprawdziłam księgi z ostatnich kilku miesięcy. Nie tylko podbierasz, wręcz bezczelnie okradasz członka Rady. Jak myślisz, jak by na to zareagował?

Kucharka tylko na nią patrzyła, wściekle zaciskając szczęki.

– No dobrze, ale przecież nie ma powodu do wrogości, prawda? – powiedziała Megan i dała kucharce chwilę na rozważenie jej pozycji. – Nie widzę powodu, żeby nie przyznać oczu na twoje drobne... grzeszki.

– Co? – zapytała Marlene podejrzliwie.

– Szczerze mówiąc, nic mnie nie obchodzi, czy okradniesz go z ostatniej koszuli – dobitnie wyjaśniła Megan. – Z drugiej strony potrzebuję paru rzeczy. I nie widzę powodu, żebyś nie mogła mi ich dostarczyć.

– Och.

– Jeśli kradniesz, a ja cię na tym przyłapię, zostanę bohaterką. – Megan uśmiechnęła się uroczo. – Z drugiej strony, jeśli kradniesz i równocześnie smuglujesz dla mnie potrzebne mi rzeczy, czyni to z nas... partnerki.

– Czego potrzebujesz? – zapytała po chwili Marlene. – I czy to...

– W żaden sposób nie wpłynie to na twoje dochody – zapewniła ją Megan. – Ale naprawdę musisz to robić bardziej dyskretnie. Mogę ci zasugerować pewne dziedziny, w których łatwiej ukryć takie rzeczy, a przy tym są bardziej dochodowe.

– Dobra – zgodziła się kucharka. – Czego potrzebujesz? I jak zamierzasz przepchnąć to przez Gorgone?

– Z Christel sama sobie poradzę – zapewniła ją Megan, podając kartkę papieru. – Tu masz listę. Sama też rozpiszę je w księgach. Większość z nich potraktujemy po prostu jako... przyprawy.

* * *

– Christel – odezwała się Megan, gdy zdawała starszej kobiecie raport z

zeszłotygodniowych rachunków – wiesz, czego potrzebuje ten harem z rzeczy, których nie ma?

– Sztucznych penisów? – odpowiedziała cierpko Christel. Coraz mniej czasu spędzała nad księgami i bardzo się jej to podobało. Ale nie zamierzała też do końca zaufać nowej dziewczynie.

– Nie, najprościej zdobyć z kuchni ogórki – zauważyła ze śmiechem Megan. – Nie, potrzeba nam perfum.

– Perfum? – zdziwiła się Christel, a potem się uśmiechnęła. – Tak, prawdę mówiąc, faktycznie. Myślę, że Paulowi by się to podobało.

– Perfumy i kosmetyki. Wiem, że wszystkie dziewczyny są wspaniałe, ale odrobina kosmetyków zawsze może poprawić sytuację. Problem w tym, że rozmawiałam z Marlene i nie ma żadnych dostawców takich rzeczy.

– Paul pewnie potrafiłby kogoś znaleźć – odrzekła w zamyśleniu Christel – Albo po prostu stworzyć.

– Zapewne tak – zgodziła się Megan. – Ale czy nie byłoby lepiej zrobić mu niespodziankę?

– Tak – przyznała starsza kobieta. – Ale sama powiedziałaś, że nie ma żadnych dostawców.

– Bo nie ma. Ale są dostępne surowce. Istnieją pewne wskazówki, że większość wczesnych perfum wynaleziono w haremach. Destylarnie były w nich dość powszechne.

– Destylarnie? – z namysłem powiedziała Christel. – Jednym z powodów, dla którego podajemy tak mało wina, jest fakt, że z łatwością mogłybyśmy wszystkie popaść w alkoholizm...

– Destylarnie można wykorzystać do wielu celów, nie tylko produkcji alkoholu – wyjaśniła Megan, wzruszając ramionami. – Bierze się do niej surowe materiały na perfumy i destyluje je, koncentrując. W ten sposób uzyskuje się skoncentrowane zapachy. Przed Upadkiem perfumy w większości oparte były na nanitach, ale to stary sposób robienia tego.

– Skąd to wiesz?

– Powiedziałaś, że studiowałam liczby – wyjaśniła Megan. – To nie było... całkiem dokładne. Tak naprawdę studiowałam chemię. Wczesna produkcja perfum stanowiła element poznawanej przeze mnie historii. Mogę zrobić prostą wodę kolońską z tego, co dostępne jest w kuchni. Ale gdybym miała trochę więcej, nic drogiego i skomplikowanego, mogłabym stworzyć naprawdę przyjemne perfumy. Tak sądzę. W każdym razie znam teorię.

Podniosła wzrok i zobaczyła, jak druga kobieta przygląda się jej uważnie.

– Słuchaj, na początek myślałam o czymś w rodzaju wody różanej –

ciągnęła Megan. – Mogę obiecać, że nie zacznę w wolnym czasie robić brandy. A jeśli zrobię cokolwiek, co nie będzie ci odpowiadało, zawsze możesz mnie strzelić biczem, prawda? Są tu dwa wolne pokoje. Wszystko, czego mi potrzeba, to stół, trochę szkła, odpływ na ścieki i odrobinę przypraw. Perfumy, pachnące świece. Nie potrafię szyć, ale to bym umiała.

– Dobrze – powiedziała z podejrzliwością w głosie Christel. – Ale jeśli czegoś próbujesz...

– Jeszcze raz. – Megan nie zdradziła głosem swojej złości. – Jesteśmy w niezdobytej twierdzy na środku terytorium Paula. Nawet nie wiem, gdzie to jest, poza tym, że w górach. Mieszkam wygodnie i dobrze mnie karmią. Ucieczka byłaby głupia, niemożliwa i bez sensu. Lubię swój mózg w takim stanie, w jakim jest. I pozwól zauważyć, że ty również. W innym przypadku, to ty musiałabyś wrócić do prowadzenia tej cholernej księgowości. W tej sytuacji ostatnią rzeczą, jakiej obie chciałybyśmy jest kasacja mojego mózgu.

– Prawda – zachichotała Christel. – Będziesz miała dość czasu na to i na pozostałe obowiązki?

– Tak, będę – westchnęła Megan. – Na wszystkie. Włącznie z...

– Uszczęśliwianiem Paula.

* * *

Kosmetyki okazały się łatwiejsze od perfum. Byli ludzie, którzy już je produkowali. Kiedy jednak przyszedł rachunek, jego wysokość sprawiła, że dosłownie zbladła. Pomyślała, że z czasem powinna móc znaleźć lepsze, mniej kosztowne źródło. Po tygodniu dysponowała już jednak zapasem róży, tuszów, szminek i pudrów, na które dziewczyny rzuciły się bez opamiętania, stosując je w takich ilościach, że bardzo szybko będzie musiała znaleźć drugie źródło.

Perfumy okazały się sprawą trudniejszą. Wyglądało na to, że nie robi ich nikt w Ropazji. A w każdym razie nie komercyjnie. Poczula irytację na uwięzienie w tym cholernym haremie – gdyby była na zewnątrz, mogłaby zarobić fortunę na perfumach. Musiała się jednak zadowolić tym, czym dysponowała, i zamówiła potrzebne jej materiały, włącznie z dobrym stołem roboczym.

Materiał na stół został przyniesiony do haremu przez Przemienionych. Nie na wpół dzikich orków stanowiących większość legionów Paula, ale masywne, niezbyt bystre istoty w szarych kombinezonach, które nie zwróciły w ogóle uwagi na piszczące na ich widok kobiety, kiedy weszli do haremu,

niosąc drewniane belki i narzędzia.

Za nimi wkroczył kolejny Przemieniony. Niski, z nienaturalnie długimi rękami i nogami. On zauważył kobiety, ale jego jedyną reakcją było mrugnięcie i pokłon, po czym udał się za tragarzami do pokoju przeznaczonego na perfumierię.

– Chcę, żeby stał tam – powiedziała Megan, wskazując na ścianę z przyzwoitym oświetleniem.

– Zbudować, zbudować – odpowiedział niski Przemieniony. – Sammy go zbuduje!

Przemieniony zaczął wyciągać narzędzia, na pozór w zupełnie przypadkowej kolejności, ale pracował niesamowicie szybko, przez cały czas śpiewając coś i nucąc do siebie. W niecałe pół godziny przekształcił surowe belki w solidny stół, nie używając przy tym ani kleju, ani gwoździ.

Megan przyglądała się temu z zainteresowaniem. Przemieniony ani razu niczego nie zmierzył, ale stół zdawał się idealnie poziomy i wyglądał na bardzo solidny. Kiedy polerował blat, dziewczyna spróbowała potrząsnąć meblem, ale ten prawie nie drgnął.

– Zbudować! – krzyknął Sammy. – Solidny. Trwać dłużej niż Sammy żyć! – Wygładził powierzchnię, a tragarze wyszli, wzbudzając kolejną falę pisków, po czym zaczął lakierować konstrukcję.

– Cóż, Sammy, świetnie się tu spisałeś – pochwaliła Megan. – Idę przynieść tu trochę szkła.

– Budować!

Po drodze do jadalni rozważała scenę, której była świadkiem. Paul tworzył nie tylko legiony wojowników, ale też specjalistów innych typów. Nagle doznała wizji, jakby zobaczyła ją na własne oczy, całych szeregów „Samów” wyspecjalizowanych w metalurgii, produkujących broń i zbroje dla legionów. Kolejnych budujących statki i maszyny wojenne.

Zaczęła się zastanawiać, jeśli frakcja Paula wygra tę wojnę, czy taki będzie los ludzkości. Czy, dysponując nieograniczoną mocą i wiedzą Matki, Nowe Przeznaczenie zmieniłoby wszystkich w wyspecjalizowane owady. Jaki los czekałby wtedy Megan Sung? Czy wyspecjalizowano by ją do dostarczania seksu staremu perwersowi, tak dalece pozbawionemu zdrowego rozsądku, że uważał, iż kobiety powinny cieszyć się z przebywania w jego haremie?

Prawdę mówiąc, musiała przyznać, że większość kobiet w haremie faktycznie cieszyła się ze swego losu. Życie było tu znacznie łatwiejsze od wszystkiego, czego zaznały po Upadku. I, jak rozkosznie przypomniała

Marlene, wszystko, co musiały robić, to od czasu do czasu położyć się na plecach i rozłożyć nogi.

Wszystko.

A kim był Sammy? Kim był, zanim został Przemieniony? Co spowodowało, że zmieniono go w tego... goblina-budowniczego? Rozgniewał jakiegoś członka Rady, czy któregoś z jego współpracowników? Czy po prostu został wybrany przypadkowo. „Pięciu orków, następny konstruktor...”.

Zadrzała i gdzieś w głębi siebie przyznała, że istniały gorsze rzeczy niż udawanie przyjemności z gwałtu raz na kilka tygodni. Nawet jeśli osoba, której się to przydarzyło nie zdawała sobie z tego sprawy.

Rozdział 6

Megan przebywała w destylarni, próbując przekonać wodę różaną, by nie wrzała, gdy do środka weszła Shanea.

– Jest tu Paul – wyszeptała.

– W takim razie pewnie powinnam pójść się ubrać. – Megan spojrzała w dół na swój poplamiony szlafrok.

– I zrób coś z włosami – dodała koleżanka, ciągnąc ją za ramię.

Megan zgasila lampkę olejową i wyszła na korytarz. Inne dziewczyny pędziły w przeciwną stronę, ale zignorowała je. Kiedy doszła do pokoju, ściągnęła szlafrok i zaczęła zakładać inny.

– Powinnaś chyba ubrać... no wiesz – odezwała się Shanea, podnosząc kilka decymetrów materiału.

– Pewnie powinnam – jęknęła Megan. – Boże dopomóż.

– Widziałas to, co Mirta uszyła dla Amber? – zapytała Shanea, pomagając jej naciągnąć spódniczkę.

– Nie, równie krótkie jak to?

– Zasłania praktycznie wszystko – odpowiedziała Shanea. – Siateczką. Choć nie wydaje mi się, żeby to dzisiaj założyła. A Mirta jeszcze nie skończyła mojego.

– Muszę porozmawiać z Mirtą o magazynku z tkaninami – uznała Megan, próbując to sobie zapamiętać. – Przypuszczam, że może mieć jakieś sugestie.

– Zapewne – zgodziła się Shanea, uwalniając włosy przyjaciółki z kucyka, w który dziewczyna je ściągnęła, i rozczesując je. – Są przypalone.

– Nie potrafię nie wsadzać ich w ogień i ciągle się przypalają – westchnęła Megan i skrzywiła się, gdy Shanea trafiła na splątane miejsce. – To będzie musiało wystarczyć.

– Wszystkie inne się umalowały – zauważyła Shanea.

– To będzie musiało wystarczyć – powtórzyła Megan.

Przeszły korytarzem do głównej sali. Paul wciąż tam był, rozmawiając z Christel, która robiła wrażenie niezbyt zadowolonej. Paul wyglądał jeszcze gorzej, niż kiedy ostatni raz go widziała, i Megan zauważyła, że dłonie miał spracowane i prawie białe. Choć zdawało się to niemożliwe, wyglądał, jakby ręcznie prał ubrania, do tego ługowym mydłem.

– Ach, Megan – rzucił Paul, gdy weszła do pokoju. – Zastanawiałem się, gdzie jesteś.

– Megan ma w tej chwili sporo zajęć – odezwała się Christel, przesuając się nieznacznie tak, żeby znaleźć się między nimi.

– Z pewnością nic, co wymagałoby w tej chwili jej uwagi – odpowiedział, obchodząc Christel, żeby ująć dłoń Megan. – Wyglądasz uroczo.

Większość z dziewcząt zastosowała spore ilości zdobytych przez Megan kosmetyków i założyła najlepsze stroje. Kiedy Paul prowadził ją do swojego pokoju, posyłały jej wrogie spojrzenia.

Tym razem bardzo się starała, jeśli nie czerpać z aktu przyjemność, albo przynajmniej sprawiać takie wrażenie. Po pierwszej „sesji” przez trzy kolejne noce miała koszmary. Najgorszy był ten, po którym obudziła się, widząc nad sobą twarz ojca. To wzbudziło w niej myśli o samobójstwie. Ale ponieważ nie miała sposobu na uniknięcie tego wszystkiego, próbowała przygotować się duchowo na następny raz, tłumacząc sobie, że im stosunek będzie dla niej lepszy, tym łatwiej go zniesie.

Niestety, nie było żadnej gry wstępnej ani nawet czasu na przygotowanie się. Paul wziął ją praktycznie, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, rzucając ją na podłogę i ostro w nią wchodząc. Próbowала się rozluźnić, zwilżyć, jęcząc nieudolnie, jakby sprawiało jej to przyjemność. Ale on doszedł błyskawicznie i zszedł z niej, szybko podciągając spodnie i w ogóle na nią nie patrząc.

– Chyba faktycznie podoba ci się mój strój – powiedziała Megan. Ściągnął jej stanik z piersi, a jej udało się usunąć spódniczkę z drogi ewentualnych plam. Ale nie było czasu nawet na zdjęcie jej.

– Może nawet za bardzo – odparł Paul, wstając i zaczynając zakładać koszulę. Wycierając się patrzyła na niego kątem oka.

– Paul – odezwała się. – Co się stało?

– Nic – odpowiedział lekceważąco.

– Chodzi o mnie? – zapytała z płaczliwą nutą w głosie.

– Nie, złotko – powiedział, siadając koło niej. – To tylko praca.

– Wyglądasz na spiętego – stwierdziła. – Połóż się.

– Czemu?

– Na brzuchu – poleciła, popychając go. Przetoczyła się i usiadła mu na plecach, podciągając spódniczkę, by nie przeszkadzała. Przez chwilę pomyślała o zmiążdżeniu mu kręgu szyjnego, ale nie była pewna, czy nie wyleczyłyby tego nanioty. A nawet gdyby się udało, ktokolwiek by przejął harem po jego śmierci, na pewno zacząłby od zabicia jej. Zamiast tego wbiła więc w jego plecy kciuki i zaczęła przesuwać nimi w górę długimi, pewnymi

ruchami.

– Boże, jakie to cudowne – jęknął mężczyzna. Oparł głowę na dłoniach i wygiął plecy do góry. – Dziękuję.

– No dobrze, co cię tak kłopotczy w pracy? – zapytała. – I przestań mi się tu spinać – dodała, ugniatając mięsień, który napiął, słysząc jej pytanie.

– Nie sędzę, żeby cię to zainteresowało – odpowiedział.

– Zapewne – zgodziła się Megan. – Ale ujęcie problemu w słowa często ułatwia podświadomości znalezienie rozwiązania. Ty będziesz mówił, ja zajmę się masażem. Możesz to nazwać podziałem pracy.

Paul roześmiał się, po czym przez chwilę milczał, a ona dalej masowała jego plecy.

– Pomocnik Minjie Jiaqui zabił go i przejął jego Klucz – zaczął w końcu Paul. – Jest gotów stanąć po stronie Nowego Przeznaczenia, ale stawia za dużo warunków, żebym mógł mu zaufać. Minjie był od lat moim przyjacielem. Niezbyt odpowiada mi nawet pozwolenie sukinsynowi na puszczenie tego płazem.

– Dobry Boże – skomentowała Megan. – Mam nadzieję, że Koalicja o tym nie wie.

– Nie wiedzą – potwierdził Paul. – Mamy bardzo dobre źródło blisko ich Rady. Ale problem w tym...

– Znow się spinasz – ostrzegła Megan. – Mów, nie napinaj się.

– Problem w tym, że jeśli uzna, że może działać niezależnie, inni mogą pójść w jego ślady – warknął Paul.

– Spokojnie – rzuciła Megan. – Ciiii. Wygadaj to z siebie.

– Trzymam tygrysa za ogon, skarbie – mówił Paul, wyturliwując się spod niej i siadając. – Członkowie Rady, którzy stanęli po mojej stronie nie rozumieją znaczenia tego, co robię. Tak naprawdę rozumiał to tylko Minjie. Celine chciała mieć możliwość tworzenia swoich cholernych pokrak. Chansa... Chansa po prostu pragnie władzy, bezpośredniej władzy. W rodzaju takiej, jaką Rada nie mogła dysponować przed Upadkiem. Reyes ma swoje... dziewczyny. – Paul urwał i spojrzał w bok, potrząsając głową. – Za każdym razem, gdy tu przychodzę, myślę o... horrorze, jaki znoszą i mam od tego ochotę zadusić perwersyjnego drania.

– Potrzebujesz jeszcze trochę masażu, Paul, panie – oświadczyła Megan, chwytając go za ramię i znow pchając twarzą w dół. – Jak więc nad nimi panujesz?

– Subtelnie – wymamrotał Paul. – Po pierwsze, wszyscy ich strażnicy związani są ze mną. Z początku tego nie zauważyli, a od kiedy to zrozumieli,

bardzo stanowczo, choć uprzejmie na to nalegałem. Rzecz w tym, że jeśli jeden z nich postanowi mi się sprzeciwić, mogę ich w każdej chwili zabić. Co więcej, to moi strażnicy utrzymują elektrownie i moje słowo utrzymuje tarcze. I bardzo uważam, żeby samemu pozostawać osłoniętym. Kiedy jestem tutaj, nikt nie może wejść ani wyjść i pilnuje tego tarcza. Ale ten drań Patała zabił wszystkich moich strażników i odmawia przyjęcia nowych. Nie ma dostępu do dużej ilości energii, w każdej chwili mógłbym go zniszczyć. Ale obawiam się, że jeśli to zrobię, skłonię tym innych do reakcji.

– Jak zginął Minjie? – zapytała Megan. Położyła się na jego plecach, przyciskając piersi do jego mięśni i poruszając się powoli. – Czy tak nie jest lepiej?

– Och, zdecydowanie tak – odpowiedział, obracając się.

Dosiadła go, uśmiechając się słodko i bardzo starając się doznać z tego dość przyjemności, by zwilgotnieć, po czym zaczęła poruszać się w górę i w dół. Ku własnemu zdziwieniu faktycznie zaczęła odczuwać przyjemność, przynajmniej w części dlatego, że patrzyła na jego nieosłoniętą szyję. Mocniej objęła go udami i pochyliła się, przesuwając się w górę i w dół, wyobrażając sobie zmiążdżenie jego krtani i przyglądanie się, jak topi się we własnej krwi. Kiedy zdała sobie sprawę, że odczuwa na tę myśl seksualną przyjemność, spróbowała pomyśleć o czymś innym.

– Więc jak zginął Minjie? – zapytała, dysząc.

– Chcesz to wiedzieć teraz – wysapał Paul. – Ta...aaak.

– Trucizna binarna. Część w jedzeniu, część w winie. Zanim naniity zdążyły zareagować, był już praktycznie martwy. – Przetoczył ją na plecy i zaczął poruszać biodrami, aż doszedł i opadł na nią, tuląc twarz do jej szyi.

– Zabij go. – Chwyciła go za włosy i podciągnęła głowę z powrotem tak, żeby mogła spojrzeć mu w oczy. – Każ go zamordować. Cicho. A potem dogadaj się z jego pomocnikiem. Nie zadzieraj ze mną, to przeżyjesz.

– Jak? – zapytał Paul, wychodząc z niej. Znała odpowiedź, ale nie zamierzała mu mówić.

– To nie powinno być zbyt trudne. Niech Celine to zrobi. – Hmm...

– No proszę – powiedziała, używając rogu ręcznika do wytarcia się. – Nie czujesz się lepiej?

– Tak – przyznał, całując ją w usta i wsuwając język między wargi. Potrzebował skorzystać ze szczoteczki do zębów i śmierzdział. – Dziękuję.

– Żyję, by służyć – odparła, przesuwając dłońmi po jego karku. Doskonale wiedziała, jak ona zabiłaby tego bezimiennego uzurpatora. Jedynym problemem była bezpieczna ucieczka później.

* * *

Paul wracał przez następne trzy dni, za każdym razem wyglądając na coraz bardziej wyczerpanego. Wybierał przynajmniej jedną dziewczynę, czasem dwie. Dwukrotnie była to Megan, co przyprawiało ją o dobrze ukrywane obrzydzenie.

Po tych trzech dniach Paul nie pojawiał się przez dwa tygodnie, a potem nastąpiła kolejna przerwa trwająca prawie miesiąc. Podczas ostatniej wizyty wziął do łóżka Ashly i Velwę, dziewczynę należącą do kliku Ashly, dając im tym samym temat do rozmów na długie dni.

Ten schemat powtarzał się przez całe miesiące. Od czasu do czasu któraś z dziewcząt zaczynała zdradzać objawy ciąży i po krótkim badaniu przez Christel wyprowadzano ją z haremu do odrębnych pomieszczeń.

Co miesiąc Megan modliła się potajemnie, by jej nie spotkał taki sam los. Gdyby zabrano ją z haremu, z dała od jej „eksperymentów” i ksiąg, które dawały jej przynajmniej zajęcie na kilka godzin w tygodniu, gdyby po prostu zamknięto ją i karmiono niczym klacz rozrodową, nie miała wątpliwości, że kompletnie by oszalała.

W miarę upływu czasu zaczęła się zastanawiać nad liczbą ciąż. Przebywała na zewnątrz wystarczająco długo, by wiedzieć, że żony rolników większość życia były w ciąży. Ale tu w ciągu sześciu miesięcy w ciążę zaszły tylko dwie dziewczyny. Podobna grupa „po tamtej stronie” byłaby przynajmniej o rząd wielkości skuteczniejsza w rozrodzie.

Biorąc jednak pod uwagę rzadkość wizyt Paula, taki wynik nie powinien nikogo dziwić. Kilka odwiedzin w miesiącu, jedna, może dwie dziewczyny wzięte najwyraźniej zupełnie przypadkowo, więc trudno, aby wskaźnik zapłodnień okazał się większy. A Paul był w coraz gorszym stanie. Zastanawiała się, czyjego nanioty zajmowały się także utrzymaniem odpowiedniego poziomu plemników. Megan uważała, że to jeszcze jeden przykład kompletnej ślepoty Paula. Miał do wykonania „obowiązek”, a i tak spełniał go źle. Fakt, że tym obowiązkiem było uprawianie seksu ze zmysłowymi młodymi kobietami, z których żadna nie miała w tej kwestii nic do powiedzenia, był tu oczywiście nieistotny. Był to kolejny dowód na to, że Paul był całkowicie stuknięty.

Jednak w miarę upływu czasu, pomimo wielu rzeczy, które zajmowały jej czas, Megan zaczęła wyczekiwać jego rzadkich wizyt. Obrzydzenie zaczynało zanikać i to ją przerażało. Po sześciu miesiącach uwięzienia

zaczęła wyczekiwać samego aktu, seksu. Nie odbierała go już jako gwałtu i przerażało ją, że zaczyna lubić towarzystwo Paula. Był inteligentny, nawet bardzo i kiedy chciało mu się rozmawiać, bardzo interesujący. Pociągała ją też okazja usłyszenia czegoś o świecie poza harem. Wysłuchiwania o intrygach toczących się między frakcjami Nowego Przeznaczenia i, od czasu do czasu, dowiedzenia się czegoś o działaniach Koalicji Wolności, która walczyła przeciw nim.

Jeszcze bardziej przerażało ją, że zaczęła lubić go jako partnera w łóżku, a on wyraźnie preferował ją nad inne dziewczęta. Wciąż zdarzały się jej sny, ale stawały się bardziej erotyczne, nie koszmarne. Lub raczej byty koszmarami, ponieważ sny właściwie się nie zmieniły – wciąż widziała w nich jego twarz nad sobą, biorącego ją – ale znikły strach i złość. Wciąż była w niej bezradność, ale coś w niej się zmieniało. Kiedy miała go na swej łasce, przynajmniej względnie, nie patrzyła już na niego jak na cel. Jej plany nie zniknęły, wciąż kryły się gdzieś w tle, czekając na odpowiednią chwilę, ale nie myślała już o zabiciu go. Pragnęła go. I nienawidziła się za to.

* * *

– Oto one – powiedziała Megan, wyciągając małą buteleczkę wypełnioną żółtym płynem.

Destylarnię wypełniały dziwne zapachy, na które składał się odór piżma, woda różana i ślad siarki. Na piecykach bulgotały ceramiczne tygle, a z niewielkiego zestawu destylacyjnego do szklanego pojemnika ściekały krople płynu. Koniec stołu zastawiony był stosem przypraw i kilkoma zamkniętymi butlami.

Christel wzięła buteleczkę i zdjęła korek, wachając płyn.

– Och – wydobyła z siebie westchnienie, wylewając kilka kropli na wewnętrzną stronę nadgarstka i rozcierając je po skórze. – Cudowne! – wykrzyknęła, wachając ponownie.

– Nie są bardzo mocne – zauważyła Megan. – Zapach szybko zwierteje. Potrzebuję drugiego aparatu destylacyjnego, żeby zrobić z tego prawdziwe perfumy, a nie lekką wodę kolońską.

– A potrafisz to zrobić? – zapytała Christel. Znów powąchała nadgarstek i zauważyła, że zapach stracił już na sile.

– O tak. Ale będę musiała zamówić kilka rzeczy u szklarza. Koszt zmieści się w naszym... cóż, umieściłam to w budżecie na luksusy. Materiał na ubrania, gry planszowe, tego rodzaju rzeczy. Właściwie nie ruszyliśmy

jeszcze tego budżetu. A szkło nie jest wcale takie drogie.

– No dobrze – zgodziła się Christel, znów wachając nadgarstek i smarując się wodą kolońską za uszami.

– Uch. Właściwie to miałam nadzieję, że mogłabym... użyć tego do handlu – odezwała się Megan. – Nie potrafię szyć, więc pomyślałam, że mogłabym się tym wymieniać z innymi dziewczętami. Oczywiście pierwsza próbka dla ciebie.

– Oczywiście – prychnęła Christel. – Ale w porządku. Tylko nie wywołaj za dużo bólek, dobrze?

– Dobrze.

Christel rozejrzała się po pokoju, a potem zajrzała pod stół.

– Co jest w tym dużym wiadrze? – zapytała.

– To coś w rodzaju odpadków – wyjaśniła Megan. – Zamierzam to kazać kiedyś wynieść, ale są na to dwie beczki. Zostały wyłożone plastikiem, więc nie będą przeciekać.

– Dobrze – powtórzyła Christel, jeszcze raz się rozglądając i potrząsając głową. – Naprawdę mnie zaskakujesz, Megan.

– Dziękuję pani – powiedziała dziewczyna, gdy starsza kobieta opuściła pokój. – Zdecydowanie mam taką nadzieję.

Rozdział 7

Megan siedziała właśnie, marszcząc czoło nad ostatnim rachunkiem za kosmetyki, gdy w biurze nagle pojawił się Paul. Krzyknęła przerażona, a trzymany przez nią papier poleciał na drugi koniec gabinetu.

– Rety, Paul! – rzuciła ostro. – Dzwon, zanim się teleportujesz, czy coś!

– Przepraszam – powiedział Paul, po czym zmarszczył czoło, patrząc na papiery rozrzucone po biurku. – Co ty tu robisz? – dodał poważnie, z mocno zmarszczonymi brwiami. Przez ostatnich kilka tygodni znów stracił na wadze i był teraz tak chudy, że wystawały mu żebra. Jego ubranie też nie było zbyt schludne. Prawdę mówiąc, wyglądał jak chodzący trup.

– Ostatnio zajmuję się księgowością – wyjaśniła Megan, wskazując na dokumenty i martwiąc się zmianami w jego wyglądzie. Paul umierający z niedożywienia nie stanowił części jej planów. – I innymi rzeczami.

– Jakimi „innymi rzeczami”? – zapytał groźnie Paul. We wbitych w nią oczach widziała złowieszczy blask. – I czemu ty zajmujesz się księgowością? – dodał szorstko.

– Te „inne rzeczy” to produkcja perfum – wyjaśniła, wstając elegancko i podchodząc, żeby mógł powąchać jej nadgarstek.

– Przyjemne – przyznał ułagodzony Paul. – Ty je robisz?

– Muszę. – Teraz to ona zmarszczyła czoło, wracając do biurka i siadając wdzięcznym ruchem, którego nauczyła ją Mirta. – Zdajesz sobie sprawę, że w całej Ropazji nie ma ani jednego wytwórcy perfum? Oczywiście poza mną. Może chciałbyś dla odmiany zarobić trochę pieniędzy, zamiast tylko je wydawać?

– Robiąc perfumy? – prychnął Paul.

– W czasach przedindustrialnych perfumy były bardzo cennym przedmiotem handlu, Paul – odpowiedziała ostro Megan. – Biorąc pod uwagę, ile płacę za kosmetyki dla dziewcząt, zrobiłabym furorę, gdybym wciąż była na zewnątrz. Uruchomienie perfumerii jest kosztowne, ale inwestycja zwróciłaby się po roku!

– Nie wyjdiesz stąd, Megan – powiedział łagodnie Paul, siadając przy biurku. – Masz tu znacznie ważniejszą pracę. Nie... nie popełniaj tego samego błędu, co niektóre.

– Paul, nie planuję uciekać, dobra? – odparła Megan, zastanawiając się i bojąc się prawdy tkwiącej w tym stwierdzeniu. – Nie wiem nawet, gdzie jesteśmy. Dobrze, wspięłam się do okna, przez które mogłam się zmieścić i

wyjrzałam na zewnątrz. Jesteśmy w zamku. Też mi niespodzianka. W zamku w górach. Jesteśmy w zamku stojącym w górach, a w dole jest dolina, w dali zaś inne góry. Paul, przecież możemy być gdziekolwiek w Ropazji, prawda? I przyjrzałam się dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, że zamku pilnuje z milion Przemienionych. W dolinie jest miasto. Nie próbuję uciekać. Mówię po prostu, że tu na stole leżą pieniądze!

Paul patrzył na nią przez chwilę, po czym roześmiał się, siadając w końcu na poduszce i tracąc część napięcia rysującego się na jego twarzy.

– Zmieniłaś się – powiedział, wciąż ze śmiechem.

– Co masz na myśli? – zapytała ostrożnie.

– Gdzie jest ta pokorna mała Megan, którą znalazłem na brzegu strumienia? – zapytał Paul. – Pokorna, przestraszona mała Megan. Zniknęła, zastąpiona przez zimną kobietę interesu, która chciałaby zarobić fortunę w przemyśle perfumeryjnym.

– Mała Megan wciąż tu jest – zaprzeczyła z uśmiechem. Potrząsnęła jednak głową, z powodu jego wyglądu. – Paul, co ty z sobą robisz? Wyglądasz jak jakiś upiór. Ile czasu minęło, od kiedy ostatni raz się śmiałeś?

– Zbyt dużo – przyznał, marszcząc brwi. – W tej chwili świat jest tak okropnym miejscem, Megan. Ta suka Sheida i jej sługusy...

– Paul – przerwała mu łagodnie Megan. – Potrzebujesz trochę odpoczynku.

– Jest zbyt wiele do zrobienia – powiedział, a właściwie prawie załkał. – Trzymam wszystko obiema rękami najmocniej, jak potrafię, a i tak czuję, jak wszystko mi się wymyka!

– Paul – oświadczyła groźnie Megan. – Idź, weź prysznic, może kąpiel. Nie, czekaj... – Zastanawiała się przez chwilę, potem kiwnęła głową. – Zostań tu. Nigdzie nie idź. Obiecujesz?

– Obiecuję – zgodził się Paul. – Ale czemu?

– Po co tu przychodzisz? – zapytała Megan.

– Bo mam obowiązki... – zaczął odpowiadać Paul.

– My też mamy swoje obowiązki – przerywała mu Megan. – I to nie tylko rodzenie dzieci. W tej chwili jesteś najważniejszym człowiekiem na ziemi. Naszym obowiązkiem jest upewnić się, że ty podołasz swoim, a wyraźnie w tym zawiodłyśmy.

– Christel też ciągle to mówi, ale...

– Christel Szmistel – prychnęła Megan. – Przepraszam, ona jest dobra do pilnowania porządku wśród dziewcząt, ale nie przypadkiem to ja zajmuję się księgowością. Zrozum to, Paul, ona nie jest najbystrzejszą z tu obecnych.

Wiem, czego ci potrzeba, i dostaniesz to, A więc zaczekaj tu.

Wstała i wyszła do głównej sali, wskazując na Shaneę, która rozmawiała z Mirtą, a potem również na Mirtę. Podeszła do Christel i przykucnęła przy niej.

– Jest tu Paul, ale wygląda okropnie – oznajmiła.

– W biurze? – zareagowała nerwowo Christel i zerwała się na nogi. – Będzie chciał sprawdzić księgi...

– Ja to załatwię – odpowiedziała Megan, kładąc rękę na ramieniu kobiety.

– Pozwól mi się tym zająć, dobrze? On potrzebuje odpoczynku. Ty wypróbowałaś już swoje argumenty, pozwól mi spróbować moich, dobrze?

Christel marszcząc brwi, spojrzała na drzwi do gabinetu.

– Christel, nie chcę twojej pracy – odezwała się cicho Megan. – Nie chcę próbować utrzymywać porządku wśród dziewcząt. Nie chcę mieć bicza. Nie, rozumiesz? Ale co się stanie, jeśli Paul umrze z zaniedbania się?

Kobieta przełknęła ślinę i potrząsnęła głową.

– Nie wiem, podejrzewam...

– Co podejrzewasz? – warknęła Megan, ostro, choć cicho. – Że weźmie nas pod swoje skrzydła Chansa? Mało prawdopodobne. Raczej trafiłybyśmy do Reyesa, który przechodzi przez kobiety jak rekin przez ławicę. Albo do obsługi Przemienionych. Lub zostałybyśmy Przemienione. Może nawet trafiłybyśmy do Celine – tworzącej potwory produkowane na potrzeby wojny prowadzonej przez Nowe Przeznaczenie. Większość była wcześniej istotami ludzkimi. Wedle zasad sprzed Upadku nadal nimi była. Ale nikt, kto je widział lub słyszał, nie potrafił o nich w ten sposób myśleć.

– Oni by nie... – desperacko zaczęła Christel.

– Tak, zrobiliby to i dobrze o tym wiesz – ucięła Megan. – Musimy się więc upewnić, że Paul przeżyje. Od samego początku miałaś rację, jesteśmy tu dla Paula. Ale on potrzebuje czegoś więcej, niż „obowiązkowego” pojawiania się tu co jakiś czas i zapładniania nas. I zamierzam mu tego dostarczyć.

– Idź – zdecydowała w końcu Christel. – Spróbuj.

– Spróbuję – odpowiedziała Megan. – Shanea, Paul jest w biurze. Idź po niego. Weź ze sobą... Velwę. Zabierzcie go do łaźni. Wykąpcie go, ale nie pozwólcie mu niczego zrobić samemu. I nie kochajcie się z nim. Jeśli będzie nalegał, powiedzcie mu że nie teraz, później, teraz tylko kąpiel. Rozumiesz?

– Wykąpać Paula – powtórzyła Shanea, głośno przełykając ślinę. – Nie kochać się z nim, nawet jeśli będzie chciał. A co, jeśli będzie bardzo chciał?

– Naprawdę powiedz mu „później”. Kiedy skończycie, zaprowadźcie go

do jego pokoju w szlafroku. – Odwróciła się do Mirty. – Mirta, załóż Amber jej strój, a potem podejdź do drzwi kuchni. Weź tacę. Lekkie jedzenie. Chleb, owoce, ser, mała karafka wina. Potem przyjdź z tym i z Amber do pokoju Paula.

– Paul ma... problemy z Amber – wtrąciła się Christel. – Jesteś pewna...?

– Jestem – zapewniła Megan, rozglądając się. – Dziewczyny, idźcie przebrać się w wasze nowe kostiumy. Kiedy Paul wróci z łaźni, chcę, żebyście chodziły wokół niego i mówiły same miłe rzeczy. Nic ważnego, po prostu, że cieszycie się z jego obecności. Tylko nic przesadnie sugestywnego. I nie próbujcie wchodzić z nim do środka. Jeśli to się uda, zamierzam zatrzymać go tu przynajmniej na kilka dni.

Spojrzała na Shaneę i Mirtę, po czym wskazała w stronę drzwi.

– Idźcie.

Megan stała przez chwilę, skubiąc kosmyki włosów, po czym odwróciła się do Christel.

– Mam w laboratorium parę potrzebnych mi rzeczy – powiedziała. – Gdybym mogła...

– Idź – stwierdziła Christel. – Dobrze sobie radzisz. Wiesz, myślę, że masz rację. Dziewczyny, co tu jeszcze robicie? Ruszać się, przebierać...

* * *

Megan popędziła do swojego pokoju i zebrała różne tygle, po czym udała się do porzuconej destylarni. Kiedy zajmowała się księgowością, płomieni i destylacji pilnowała Shanea, jednak ponieważ i ona była zajęta, Megan wyłączyła podgrzewanie wszystkich tygli, zgarnęła kilka buteleczek i ruszyła do toalety.

Były tam prawie wszystkie dziewczyny, przepychając się o miejsce przy lustrach, ale Megan odepchnęła je z drogi biodrem i ostrożnie rozstawiła swój ładunek na półce.

– Ashly – powiedziała w stronę blondynki czeszącej włosy przed lustrem. – Moje nowe perfumy, są trochę bardziej skoncentrowane. I potrzebuję, żeby ktoś coś dla mnie mieszał, kiedy będę się malować.

Ashly popatrzyła na nią, jakby nagle wyrosła jej druga głowa, po czym kiwnęła głową.

– Dobra, Karie, ty zajmij się mieszaniem – poleciła Ashly, podchodząc spojrzeć na butelki i tygle. – Co to wszystko jest?

– Perfumy, olejki, maści do masażu – wyjaśniła Megan. – Karie – mówiła

dalej, otwierając słoiczek i wlewając na jego kremową zawartość kilka mililitrów olejku. – Proszę, czy możesz to dla mnie wymieszać?

– Co to? – zapytała Karie, wachając zawartość.

– Migdałowa pasta do masażu i olej sezamowy – odpowiedziała Megan, patrząc do lustra. – Nie mam czasu – wymamrotała, biorąc cień do powiek.

– Vita, uczesz ją – rozkazała Ashly. – Megan, uspokój się. Co się u diabła dzieje?

– Widziałas go? – zapytała Megan, odwracając się. – Wygląda jak zombie.

– Widziałam. Megan, nie mów mi, że się w nim zakochałaś – rzuciła Ashly ze złośliwym uśmiechem.

Megan zamknęła oczy i pomyślała, że nie będzie ponownie wyjaśniać jej sytuacji. Ale bardzo ją kusilo.

– Nie, nie zakochałam się – odpowiedziała w końcu, zastanawiając się równocześnie, czy to czasem nie jest prawda. – Ale jeśli Paul zginie, wszystko to przepadnie i prawdopodobnie spotka nas bardzo nieprzyjemny los, wiesz? Nie chcę, żeby do tego doszło. A ty?

– Nie – przyznała Ashly. – Nie pomyślałam...

– Podobnie jak Christel – mruknęła Megan, gdy Vita czesała jej włosy, a Ashly wyjęła tusz z jej trzęsących się rąk.

– Co planujesz zrobić? – zapytała Vita. Starła się tak napuszyć czesaniem włosy Megan, by wydawało się, że jest ich więcej.

– Chcę zrobić z niego najszczęśliwszego sukinsyna na ziemi – oznajmiła Megan. – Sprawić, żeby nigdy już nie chciał stąd wychodzić. A potem przekonać go, że dla dobra całego świata powinien tu na trochę zostać. Przynajmniej przez kilka dni. I będziemy go karmić, kadzić mu i pielęgnować do czasu, aż znów będzie w stanie o siebie zadbać.

– A jeśli nie zdołasz? – zapytała Ashly, sprawnie ją malując.

– Trochę delikatniej, proszę – rzuciła Megan. – Wtedy równie dobrze możemy sobie podciąć gardła. Chcesz zostać przekazana Ryesowi? Albo Przemienionym?

– O Boże! – jęknęła Vita.

– Właśnie, więc lepiej uczynmy go naprawdę szczęśliwym – oświadczyła Megan, patrząc w lustro. – Dotarło?

– Dotarło – potwierdziła Ashly.

Megan podniosła stosik materiału leżący pod nogami i założyła zrobiony dla niej przez Mirtę nowy strój, składający się z fig z długim paskiem materiału z przodu i tyłu oraz pasującej do nich, ciasnej, przypominającej top

bluzki bez rękawów, w całości zakrywającej piersi poza ich dolnym brzegiem. Bluzka praktycznie prosiła się o podciągnięcie do góry.

– Wyglądasz jak... no cóż, wyglądasz doskonale – przyznała Ashly.

– Wy też musicie się przebrać – odpowiedziała Megan. – I to szybko. Zebrała słoiczki, kiwając głową Karie i Ashly, po czym praktycznie wybiegła przez drzwi.

* * *

Zostawiła słoiczki w pokoju Paula, a potem pobiegła z powrotem do biura, biorąc stamtąd przygotowane wcześniej zestawienie wszystkich prowadzonych przez siebie kont. Wiedziała, że zazwyczaj omawiała je z Paulem Christel, ale to również musiało się skończyć. W rachunkach było zbyt wiele niespójności, by Christel – niech Bóg błogosławi jej głupią duszyczkę – potrafiła je wyjaśnić.

Położyła raporty przy poduszkach, a potem przybrała skromną pozycję i czekała. Zanim dotarł tam Paul, przysłała Mirta z talerzem jedzenia i Amber. Kiedy Mirta wyszła, Megan posadziła Amber przy tacy z jedzeniem i winem, z dodatkową karafką wody, co było przejawem bystrości Mirty, i znów siadła, czekając. Ledwie miała czas poprawić poduszki, gdy usłyszała dobiegające z zewnątrz głosy i otworzyły się drzwi. Widziała, że wszystkie dziewczyny wystroiły się, jak mogły, i gdy tylko Paul wszedł do pokoju, gestem zabroniła Velvie wejść wraz z nim. Dziewczyna wyglądała na urażoną, ale posłusznie zamknęła drzwi.

– Megan – odezwał się słabo Paul. – To wszystko jest niepotrzebne...

– Cicho – przerwała mu, wstając i rozwiązując jego szlafrok. – Połóż się.

– Megan – zaczął, patrząc na dwie pozostałe dziewczyny.

– Kochałeś się z każdą z nas? – zapytała Megan, pchając go w dół.

– Cóż... tak, ale...

– Cicho – powtórzyła. – Bez rozmów. Ani słowa o pracy, w ogóle żadnych rozmów.

Obróciła go na brzuch i umieściła Shaneę i Amber po obu bokach.

– W ten sposób – powiedziała, biorąc na palec porcję maści do masażu i wsmarowując go w jego ramię. Wzięła w ręce dłonie Amber i wcisnęła jej kciuki w mięsień, masując ramię. – Powoli i mocno, całą drogę aż do dłoni. Rozumiesz? Nie szczyt.

– W dół ręki – powtórzyła Amber, kiwając głową i masując tricepsa mężczyzny. – Nie szczytać.

– Shanea, ty zajmij się drugą ręką – poleciła Megan, wcierając krem w jego plecy, a potem rozpoczynając masaż.

– Och, cudowne uczucie – wymruczał Paul.

– Musisz bardziej o siebie dbać, Paulu Bowmanie – powiedziała Megan, naciskając jego mięśnie. Były mocno ponapinane, ale on był tak chudy. – Co się stanie z nami, jeśli zginiesz?

– Nie zginę – zapewnił Paul, próbując się podnieść.

– Nie waż się podnosić – zagroziła Megan. – Ledwie zaczęłyśmy.

Masowała jego plecy, podczas gdy pozostałe dziewczyny pracowały nad rękami i ramionami, a potem cała trójka zajęła się nogami. Kiedy go masowały, wyraźnie się odprężył i w pewnej chwili nawet cicho zachrapał. Ten dźwięk go obudził i Paul zaczął się podnosić.

– I najwyraźniej ostatnio niedosypiasz – stwierdziła Megan, pchając go z powrotem na łóżko. Do tego czasu zeszły już do końca jego nóg i przeturlała go na plecy. Zaczęła masować mu mięśnie piersiowe i kiwnęła głową w dół, patrząc na Shaneę.

Dziewczyna odpowiedziała jej radosnym uśmiechem i zsunęła się w dół, biorąc go w usta.

– Megan! – powiedział, gwałtownie otwierając oczy i podnosząc ręce.

– Nie, Shanea – uśmiechnęła się Megan. – Leż teraz i daj się ponieść.

– To nie jest w porządku – powiedział Paul, mimo wszystko się kładąc. – Ludzie umierają z głodu i...

– A jeśli ty umrzesz, kto się nimi zaopiekuje? – zapytała Megan. – Chansa? Celine?

– Tu masz rację – przyznał Paul.

Przesunęła się i oparła jego głowę na swoich udach, po czym wskazała na tacę. Amber musiała się przez chwilę nad tym zastanawiać, ale potem jej oczy rozbłysły i podsunęła ją, biorąc z niej śliwkę i podając Paulowi.

Megan wzięła kromkę chleba, wciąż ciepłego z pieca i oderwała kawałek. Gdy tylko Paul zjadł śliwkę, podała mu chleb, w który wgrzył się, jakby umierał z głodu.

– Powoli – ostrzegła. – Powoli. Musisz odzyskać siły. I powiem ci coś, Paulu Bowmanie, nie opuścisz tego... budynku do czasu, aż będziesz wyglądał lepiej, niż kiedy wszedłeś. I lepiej, żebyś szybko wrócił na kolejne dopieszczanie.

– To nie jest w porządku – wymamrotał Paul, ale nie próbował już wstawać.

– Zaczyna mnie już boleć szyja – odezwała się Shanea. – Nigdy nie

dajesz mi okazji poćwiczyć, Paul.

– Widzisz? – skomentowała Megan, próbując ani się nie rozplakać, ani nie roześmiać. – Bezwstydnie zaniedbałeś Shaneę, zmuszając ją do utraty formy w jej sztuce.

– Seks oralny nie przysparza dzieci – zauważył Paul.

– Dzieci nie poczną się ani nie będą miały obrońcy, jeśli o siebie nie zadbasz – bezlitośnie przypomniała Megan. – Amber, pamiętasz jeszcze...? – Wskazała na Shaneę, która pieściła jego członka.

– Tak – odpowiedziała dziewczyna, przesuając się w dół, by zastąpić koleżankę. Kiedy zaczęła, Paul jęknął i wyciągnął do niej rękę.

– Amber – powiedział smutno. – Ze wszystkich rzeczy, które zrobiłem, najgorzej się czuję, patrząc na ciebie.

To gorsze od pograżenia świata w barbarzyństwie? pomyślała Megan, zaskoczona intensywnością fali gniewu.

– Myślę, że w ten sposób jest chyba szczęśliwsza – powiedziała zamiast tego. Wzięła kolejny kawałek chleba, a Shanea przytuliła się do jej boku.

– Czasem słowik w klatce nie chce śpiewać – powiedział cicho Paul, głaszcząc głowę kobiety, która pieściła ustami jego członka. – Wiesz, że przed Upadkiem była moją... przyjaciółką?

– Jak Christel? – zapytała neutralnie Megan.

– Tak, zajmuję się też naszą córką. Ale Amber nie potrafiła się przystosować do ograniczeń, jakie na niej musiałem wymusić. – Znów spojrział na Megan. – Ty zdajesz się dobrze dostosowywać.

To dlatego, że w tej chwili pracuję nad kluczem do klatki.

– Niektórzy ludzie nie potrafią zaakceptować zmian – odpowiedziała, biorąc kolejny kawałek chleba i karmiąc go nim. Shanea przesunęła się jeszcze wyżej i lizała delikatnie jego skórę, a on znów jęknął.

– Amber – szepnął prawie bez tchu.

Strój zrobiony przez Mirtę dla dziewczyny po kasacji mózgu zasłaniał ją prawie całkowicie, jak kombinezon. Ale zrobiony był z prawie przejrzystego materiału, który zmieniał barwę i stopień przezroczystości, ukrywając i odsłaniając fragmenty ciała w przypadkowy sposób. Miał także dobrze rozmieszczone guziki i wiązania, a Amber posłusznie rozwiązała dół, dosiadając Paula.

Ponownie jęknął, gdy zaczęła poruszać biodrami, a potem szybko doszedł.

– To zbyt wiele – powiedział, gdy Amber podniosła się z niego. Shanea wzięła ręcznik i wytarła go do czysta, a potem dokończyła dzieła, znów

opuszczając się na niego i przesuwając po okolicy penisa językiem, poruszając przy tym głową jak kotka.

– To zbyt wiele – powiedział ponownie Paul, a potem jego głowa zwiła bezwładnie na jej kolanach.

Słyszając jego chrapanie, Shanea zaczęła się kręcić z niezadowoloną miną.

– Zostań tu z nim – poleciła Megan, zsuwając ostrożnie jego głowę z kolan i umieszczając pod nią poduszkę. – Kiedy się obudzi, przyślij do mnie Amber i daj mu wszystko, czego będzie potrzebował. Nie, ujmę to jaśniej, kiedy się obudzi upewnij się, że znów dojdzie, w taki czy inny sposób. Ale najpierw przyślij do mnie Amber.

Wzięła tacę i wstała, ruszając do drzwi. Dopiero kiedy opuściła pokój, uświadomiła sobie, że była jedyną w nim osobą, która nie brała udziału w seksie i przeraziło ją odkrycie, że głęboko tego żałuje.

Rozdział 8

- Co z nim? – zapytała Christel.
- Śpi – odpowiedziała Megan. Mirta odebrała od niej tacę, za co podziękowała szwacze ukłonem.
- On nigdy tu nie śpi! – obruszyła się Christel.
- Będzie to robił przez kilka najbliższych dni, jeśli tylko uda mi się postawić na swoim – odparła Megan. – Potrzebuje odpoczynku.
- Powinien być pilnowany we śnie – zauważyła Christel. – Pytał o rozliczenia?
- Tego tematu nie podnosiliśmy – odrzekła Megan. – Choć podniosły się inne rzeczy – dodała z uśmiechem.
- Za nic tu nie zostanie – stwierdziła Christel. – Ma różne rzeczy do zrobienia.
- Słuchaj, kiedy się obudzi, najpierw dostanie seks, a potem go nakarmimy – wyjaśniła Megan, odliczając na palcach. – Pożywne jedzenie, dużo mięsa i węglowodanów – po dwóch sesjach seksu będzie bardzo głodny. Kiedy zje, znów doprowadzimy go do szczytowania. Po jedzeniu i seksie znów zaśnie. Kiedy ponownie się obudzi, może nam zrobić awanturę. Ale jeśli będzie trzeba, wszystkie dziewczyny rozbiorą się do naga i ułożą się na nim. Nie ma na ziemi mężczyzny, który ucieknie w sytuacji, gdy trzyma go piętnaście nagich dziewcząt, błagając, by je wziął.
- Masz rację – przyznała Christel, uśmiechając się.
- To naprawdę jest ważne – ponownie podkreśliła Megan.
- Wiem – odpowiedziała Christel. – Czy ktoś ma tam wejść?
- Znasz kogoś jeszcze, kto miałby tyle cierpliwości co Amber i Shanea? – zapytała Megan, unosząc brwi. – Jak myślisz, czemu sama tam nie siedzę? To będzie głównie przyglądanie się, jak chrapie.
- A co ze strażą? – zapytała Christel.
- Co z nimi? – Megan wzruszyła ramionami. – Ma swoje pole ochronne, czego więcej mu trzeba?
- Nie aktywują się już samodzielnie – przypomniała Christel. – Musi je przywołać. Co będzie, jeśli ktoś się tu włamie i spróbuje go zamordować?
- Kto? – zapytała zirytowana Megan. – Musiałby najpierw przebić się przez Przemienionych strażników pilnujących zamku, a potem przez nas, co muszę przyznać, nie byłoby trudne. Ale wtedy Paul już by się obudził i przygotował. Christel, jest tu bezpieczny. Jediną osobą, która może go zabić,

jest on sam. I właśnie chcę go przekonać, żeby tego nie robił.

* * *

Megan była w destylarni, gdy przysłała po nią Amber, natychmiast pospieszyła więc do pokoju Paula, ściągając po drodze szlafrok, którym osłoniła strój.

Kiedy weszła, Shanea już się za niego zabrała, mocnymi ruchami przesuając głową w górę i w dół. Słyszając otwierane drzwi Paul spojrzał poirytowany, a potem na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju wstydu, gdy zobaczył, kto wchodzi.

– Nie lubię być obserwowany – powiedział, marszcząc czoło.

– W takim razie może się przyłączyć? – zaproponowała Megan, ściągając majteczki i przesuując Shaneę na bok i wsuwając się na niego.

– Hej, mój – zaprotestowała żartobliwie Shanea.

– Może później – oświadczyła Megan, przesuując się na nim w górę i w dół. Na szczęście był już zwilżony i bardzo szybko zaczęła należycie się ślizgać. Po krótkiej chwili przewróciła się na plecy i wciągnęła go na siebie, chwytając go za pośladki i wpijając się w nie paznokciami. Zaczął wbijać się w nią mocno i jak zwykle doszedł odrobinę za szybko.

– Muszę iść – oświadczył, wstając.

– Nie, dopóki czegoś nie zjesz – zaprotestowała Megan, wskazując na jego szlafrok. Shanea posłusznie podniosła go i założyła na niego.

– Chodź do głównej sali – zaproponowała Megan. – Pozostałe dziewczyny również chcą cię zobaczyć.

Umyła się, założyła dół stroju i wyprowadziła Paula do wspólnej sali, sadzając na poduszkach z dziewczętami po obu stronach. Poszła do jadalni, ciągnąc ze sobą Shaneę.

– Marlene – zawołała, stając przed drzwiami. Już wcześniej ustaliła, że pole ochronne rozciągało się przynajmniej na metr do wnętrza jadalni. Gdyby któraś z haremowych dziewcząt weszła w pole, dostałaby bardzo nieprzyjemny impuls bólu. Zastanawiała się, czy pole rozciągało się również na drugą stronę drzwi. Jeśli nie, może istniała możliwość rzucenia się przez nie. Z drugiej strony, wcale nie zamierzała próbować.

– Dzwoniłaś? – Marlene przeszła przez drzwi z tacą osłoniętą srebrną pokrywą.

– Bogu dzięki – westchnęła Megan, odbierając tacę.

– Zrobiłam jeszcze drugą z ciastkami i innymi rzeczami, żeby

dziewczyny też mogły coś zjeść – powiedziała Marlene, gdy przez drzwi przeszła służąca. – On mógłby nie jeść, gdybyście wy nic nie brały do ust.

– Dziękuję – powiedziała Megan, wskazując Shanei, żeby wzięła drugą tacę.

– Usłyszałam, czemu to robisz – wyjaśniła Marlene, patrząc jej w oczy.

– Moim obowiązkiem jest służyć mojemu panu – odparła Megan z uśmiechem.

– Mirta przekazuje jednym spojrzeniem więcej niż ty zdaniem – skomentowała kucharka. – Paul też może mieć ochotę na kilka ciastek, przypilnuj, żeby dziewczyny nie opchały się bez pamięci.

– Przypilnuję – zapewniła Megan. – Później.

Megan wróciła do sali, gdzie Paul słuchał Ashly opowiadającej o ostatnim zwycięstwie w tryktraku. Było jasne, że usiłował obudzić w sobie choć odrobinę zainteresowania i kompletnie mu to nie wychodziło.

– Znow jedzenie? – zapytał, gdy Megan usiadła i odsłoniła tacę. Marlene przeszła samą siebie. Było tam jakieś mięso w sosie z czerwonego wina i przepięknie ukształtowane porcje ziemniaczanego puree, lekko podpieczone pomidory i masa z groszku, której nadano kształt kwiatu. Shanea odkryła drugą tacę i częstowała dziewczyny małymi, glazurowanymi ciastkami, szepcząc przy tym, że mają się nie objadać.

– Znow jedzenie – potwierdziła Megan, biorąc widelec, po który wyciągnął rękę. – O nie, niczego nie będziesz robił samodzielnie.

– Potrafię się sam nakarmić – obruszył się Paul, ale pozwolił jej odkroić mały kawałek jedzenia i podać sobie do ust. Kiedy z widelca spadło kilka okruszków, Ashly schyliła się i zlizwała je z niego. Do tego czasu pojawiła się Christel z kolejną karafką schłodzonego wina i zaczęła go poić między kolejnymi kęsami.

– Co ty ze mną robisz? – zapytał Paul, patrząc na Megan.

– Pielęgnujemy cię – odparła dziewczyna. – Przystaniemy, kiedy nauczysz się o siebie dbać.

– Dobrze, obiecuję nigdy się tego nie nauczyć. – Paul wybuchnął śmiechem.

– To dobrze – szczerze ucieszyła się Megan. Zatrzymanie go tutaj jak na razie działało idealnie. Rozwiązała pasek jego szlafroka i pocałowała go w tors, liżąc go lekko.

– Megan, nie tutaj – jęknął.

– Tutaj – powiedziała, sięgając i przesuwając Ashly w stronę jego krocza. Złapałaby Shaneę, nie wiedząc, jakie podejście miała do tego Ashly, ale ta

była po prostu poza zasięgiem jej ręki.

Nagle poczuła na swojej twarzy pierś, to Karie stanęła z boku, i odsunęła się, gdy ruszyły na niego pozostałe dziewczyny.

Stała przez chwilę i patrzyła na Christel, która do niej mrugnęła. Czyli działał tu więcej niż jeden plan. Dobrze.

Megan wycofała się z płataniny i zbliżyła się do Christel.

– Jak skłonimy go do snu? – zapytała szeptem.

– Och, myślę, że uśnie, kiedy już z nim skończymy – zaśmiała się cicho Christel.

– Chyba wszystkie usną – odpowiedziała Megan, obracając głowę w bok.

Paul nie był jedyną dobrze bawiącą się osobą w tej płataninie. Ashly, która wciąż poruszała głową, ile siły w szyi, siedziała na twarzy Shanei. I nie było mowy, żeby Shanea nie trafiła tam dobrowolnie, bo na początku znajdowała się z drugiej strony. Shanea jednak nie była poszkodowana, ponieważ jej kroczem zajmowała się dłoń należąca do... chyba Velvy...

– Wygląda to jak erotyczny obraz M. C. Eschera – wymamrotała Megan, potrząsając głową.

– Dobra robota – znów roześmiała się Christel.

– Jasne, śmieć się – odpowiedziała Megan. – Ja muszę przypilnować destylacji.

– Proszę bardzo – rzuciła Christel, zdejmując ubranie. – Mam lepsze rzeczy do robienia. Wszystko, czego tu brakuje, to pół tony bitej śmietany i jeszcze pięciu samców.

Wzruszyła ramionami, kiedy Christel wplątała się w grupę. Naprawdę planowała wrócić do swojej samotnej pracowni i dalej destylować różne substancje. Ale im dłużej o tym myślała, tym intensywniej się przyglądała, stojąc samotnie obok skręcającej się masy kończyn.

Która była zdecydowanie atrakcyjniejsza.

– Och, do diabła z perfumami – westchnęła, świadoma, że dotarła do punktu, w którym wcale już nie zamierzała wracać do pracowni. Choć mogłaby skorzystać z łaźni. W końcu odetchnęła głęboko, drżąc przy tym trochę, ściągnęła z siebie ubranie i zanurkowała w płataninę ciał.

Christel miała rację – brakowało bitej śmietany.

Rozdział 9

Kiedy Paul obudził się w plątaninie kobiecych ciał, wyglądał na lekko zawstydzonego. Jednak pierwszą rzeczą, jaką zobaczył po obudzeniu, była oparta na jednym ramieniu, pilnująca go Megan.

– Czy to tylko moja wyobraźnia, czy faktycznie widziałem twoją twarz pośrodku... tego – zapytał, wskazując na dziewczyny, z których większość jeszcze spała.

– Nie wyobraziłeś sobie tego – odparła Megan, wzruszając ramionami. Przyjrzał się, w jaki sposób ruch wpłynął na jej piersi i potrząsnął głową.

– Ja... nie sądziłem, że interesują cię takie rzeczy – powiedział ostrożnie.

– Ja też nie – przyznała Megan. – Ale było to dość przyjemne, gdy już pogodziłam się z pomysłem.

– Muszę wstać – oświadczył Paul, próbując dojść, jak wyczołgać się z plątaniny, budząc jak najmniej kobiet.

– Zostaniesz jeszcze przynajmniej przez dzień – oznajmiła stanowczo dziewczyna. – Kiedy tu przybyłeś, wyglądałeś jak śmierć na chorągwi i wciąż nie wyglądasz za dobrze.

– Są rzeczy, które muszę zrobić – oświadczył Paul. – Oprócz pójścia do łazienki.

– Jest tam – Megan wskazała ruchem głowy. – Ale lepiej, żebyś wrócił.

Kiedy przyszedł z powrotem, miał na sobie jedną ze swoich standardowych szat. Usiadł na poduszce i wykręcił głowę na bok, przyglądając się Megan.

– Czemu nie spałaś o... – urwał i wyraźnie skonsultował się z Siecią – trzeciej w nocy?

– W haremie mam dość snu. – Megan wzruszyła ramionami. – Nie byłam zmęczona. – Czuwałam przy tobie.

– Przyglądając się, jak śpię? – zapytał Paul. – Czy pilnując mnie?

– Po trosze jedno i drugie. Czuwając i myśląc.

– Jak łatwo byłoby mnie zabić? – zapytał Paul.

– Uszkodzić, owszem – powiedziała Megan. – Zabicie cię byłoby praktycznie niemożliwe. A gdybym nawet spróbowała, cóż, najlepsze, co mogłoby mnie potem spotkać to los Amber. Ale ja wcale nie chcę cię zabić. Z początku chciałam, ale już nie.

– Wiesz czemu? – zapytał cicho.

– Nie – odpowiedziała Megan, siadając. – Powiedz mi, o Najmądrzejszy.

Paul uśmiechnął się i powiedział coś cicho.

– Słyszałaś kiedyś o Sabinkach? – zapytał.

Megan zastanawiała się przez dłuższą chwilę, po czym potrząsnęła głową.

– Myślę, że moja matka użyła kiedyś tego słowa. Ale nic więcej nie pamiętam.

– To bardzo stara legenda – wyjaśnił Paul, pociągając łyk wina. – Rzymianom brakowało kobiet, więc zaprosili sąsiednie plemię, Sabinów, na festyn ku czci ich bóstw. Oczywiście zobowiązując się do rozejmu. W samym środku zabawy młodzi Rzymianie porwali Sabinki, podczas gdy starsi powstrzymywali Sabinów. Potem kobiety zostały zgwałcone i wzięte za żony. Kilka lat później Sabinowie zebrali dość sił, by zaatakować Rzymian i ich zniszczyć. Jednak ich własne kobiety przekonały ich, żeby nie zabijali ich nowych mężów. Po jakimś czasie plemię Sabinów zostało wchłonięte przez Rzym.

Megan zmarszczyła brwi.

– To legenda.

– Legenda, która do dziś ma w sobie cień prawdy. – Paul westchnął. – Psychologiczne jej podstawy zaczęły być rozumiane w dwudziestym wieku. Ludzie mają skłonność do wiązania się ze swoimi porywaczami w sytuacjach, gdy dochodzi do osobistych kontaktów. Większość przykładów została zapomniana w ciągu ostatnich tysiącleci, ale przebadano dziesiątki tysięcy takich sytuacji. A efekty psychofizjologiczne, a nawet ich podstawy ewolucyjne, są dość proste. Kobiety, które zostały porwane i uwięzione, mają skłonność do wiązania się ze swoimi porywaczami i nawet zakochiwania się w nich. Skłonność. Nie zawsze, ludzie różnią się między sobą. Ale tak jest w przypadku większości.

– Zakochałam się w moim porywaczu – powiedziała, zwieszając głowę.

– Zakochałaś się w swoim porywaczu – potwierdził Paul. – Nie jest to miłe, nie tak powinno być. Ale to bardzo prawdziwe, bardzo ludzkie i liczyłem na to, kiedy ustanawiałem tę... grupę. Prawdopodobnie wywodzi się to z czasów prehistorycznych. Młode szympanse wyrzucone ze swoich stad często znajdują się przez samców z innych stad. W takim przypadku siłą zaganiane są na obszary zajmowane przez samice i poddawane są przemocy do czasu, aż zostają tam z własnej woli. Do tego stopnia, że przeszkadzają w ucieczce nowym samicom. Nie byłem wobec was brutalny, ale myślisz, że na przykład Christel Pomogłaby ci w planach ucieczki?

– Nie – przyznała Megan.

– Mógłbym zaproponować stworzenie rasy, która jest inna – urwał i roześmiał się ponuro. – Właściwie nie muszę. Elfy są inne. Jeśli chce się spróbować uwięzić i zgwałcić elfkę, lepiej mieć pod ręką dużo łańcuchów. I knebel.

– Ty nie... – przeraziła się Megan z szeroko otwartymi oczami.

– Nigdy – zdecydowanie zapewnił Paul. – Ale od czasu do czasu zdarzali się tacy, co próbowali, zwłaszcza kiedy elfy żyły jeszcze między ludźmi. Elfy zawsze były piękne. Ale elfy nie poddają się prześladowcy. I nie zmieniają uczuć pod wpływem... stresu. Jeśli się je uwięzi, zawsze będą starały się uciec. Będą ze wszystkich sił próbować zabić swoich strażników, nawet jeśli będzie to oznaczało ich własną śmierć. Ludzie mają raczej skłonność do jak najlepszego wykorzystania złej sytuacji. Nawet przez zakochanie się. – Spojrzał na nią czule i uśmiechnął się. – Zakładam, że jesteś człowiekiem?

– Bardzo – przyznała.

– Z drugiej strony Amber zdawała się być częściowo elfem. – Paul westchnął. – Nie chciała pogodzić się z tą koniecznością i planowała zabić Christel i uciec, więc byłem zmuszony uczynić ją... bardziej posłuszną.

Megan zadrżała i potrząsnęła głową.

– Paul, proszę cię o jedno. Jeśli kiedyś oszaleję i zrobię coś, co skłoni cię do czegoś takiego, po prostu mnie zabij, dobrze?

– Mam głęboką nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie. Wiesz, że nie możesz mnie zabić – dodał, patrząc na nią. – A gdybyś kiedykolwiek jakimś cudem tego dokonała, byłoby jeszcze gorzej. To element tego syndromu – mając do wyboru trudne do przełknięcia sytuacje, ludzie wybierają mniejsze zło i starają się żyć najlepiej, jak mogą. Ale nie chcesz już tego, prawda?

Pomyślała o wszystkich nocach, które przepłakała z powodu swojej straty i bólu. I o wszystkich okazjach, gdy rozmawiali. Prawdopodobnie wiedziała więcej o wewnętrznych mechanizmach działania frakcji Paula, niż ktokolwiek, kto nie był jej częścią. I wiedziała, że nie chce go już zabić. Nie znaczyło to, że tego nie zrobi, tylko że wcale nie chciała.

– Nie – odparła szczerze, opuszczając głowę i walcząc ze łzami.

– Jeśli to ci w czymś pomoże, ja też cię kocham – wyznał Paul. – Jesteś... bardzo mi bliska. Czasami przychodzę tu tylko po to, żeby się z tobą zobaczyć. Z innymi ludźmi nie mogę tak rozmawiać. A z pewnością z nikim poza tą grupą, a ze wszystkich tu osób jedyną, która dysponowała podobną bystrością umysłu i zdolnością słuchania oraz oferowania pożytecznych komentarzy, była Amber. Ale w końcu musiałem uczynić ją bezpieczną.

- Nie zmuszę cię do zrobienia tego samego ze mną – powiedziała Megan.
- A przynajmniej mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.
- Wiesz, czemu słowik w klatce nie chce śpiewać? – zapytał Paul.
- Już to mówiłeś – odparła, patrząc na niego oczyma pełnymi nieprzelanych łez.
- To dlatego, że wie, iż powinien latać wolno – wyjaśnił. – Kiedy nie będziesz już potrafiła śpiewać, będę wiedział, że pora cię uwolnić... albo zdać sobie sprawę, że nigdy już nie zaśpiewasz. – Przez chwilę patrzył na nią ze smutkiem, po czym wstał. – Muszę iść.
- Paul, nigdzie stąd nie pójdziesz – oświadczyła Megan. – Wciąż nie masz dość sił.
- Są rzeczy, które muszę zrobić – przypomniał. Ale kiedy wstał, zachwiał się na nogach.
- No proszę – triumfalnie skomentowała dziewczyna.
- Po prostu odpłynęła mi krew z głowy – stwierdził Paul. – Wstałem za szybko.
- Zaraz wszystkich obudzę i zaczniemy od nowa – ostrzegła Megan. – Gdzie musisz być? Czego nie możesz zrobić z tego miejsca?
- Muszę... nie muszę być w żadnym określonym miejscu. Ale muszę przywołać swoje awatary i dowiedzieć się, co robiły, gdy sam byłem... zajęty.
- Masz aktywne projekcje, których nie monitorujesz? – zapytała Megan.
- To świadome awatary – poprawił Paul. – Praktycznie rzecz biorąc, każdy z nich jest mną. Przed Upadkiem było to zabronione, ale to jedyny sposób na dopilnowanie wszystkiego, co się dzieje. Naprawdę muszę je ściągnąć i to szybko. Nie są... w pełni stabilne. Muszę je zebrać i wysłać nowe.
- Cóż, możesz to zrobić tutaj – stwierdziła Megan. – Prawda?
- Potrzebuję do tego spokoju – zauważył Paul.
- Tuż obok jest pusty pokój. – Megan wskazała na jego komnatę. – I dopilnuję, żeby nikt ci nie przeszkadzał. A kiedy skończysz, dopilnuję, żebyś się najadł, wypoczął i...
- Dobrze, dobrze. – Paul roześmiał się, ale zaraz przycichł, gdy jedna z dziewcząt poruszyła się i wysunęła rękę w jego stronę. – Wejdę tam.
- A ja będę pilnować. Czy powinnam o czymś wiedzieć?
- Nie, to nieszkodliwa procedura – zapewnił Paul, idąc do pokoju. – Przeważnie.
- Ułożył się z głową na jednej z poduszek i zamknął oczy, usypiając lub

wchodząc w trans. Jednak prawie natychmiast zaczął drgać, jakby pod wpływem jakiejś niewidzialnej siły. I zaczął mamrotać.

– Jasna cholera... – Przerwa. – Nie, nie, nie, jak głupia może być jedna wredna suka? Zwolniony? – Przerwa. – Ekmantan. – Przerwa. – Statki? Smokowce? – Przerwa. – Niech ich diabli. Talbot. – Syk złości.

Trwało to bardzo długo, miała wrażenie, że całe godziny, i cały pokrył się potem, w miarę jak narastająca złość gotowała się w nim w prawie widoczny sposób.

Po jakimś czasie wstała cicho i wyszła. Wszystkie pozostałe dziewczyny wciąż jeszcze spały, więc zaczęła przeszukiwać pozostałości orgii, aż znalazła karafkę z resztką wina i dzbanek wody. Zniosła obie do jego pokoju i kontynuowała czuwanie.

Paul w końcu się uspokoił, przestał dygotać i zdawał się śnić. Od czasu do czasu mamrotał coś niezrozumiale. Ze wszystkich sił wyteżęła słuch, ale nie było tam nic artykułowanego. W końcu otworzył oczy, błądy i wymizerowany.

– Nieszkodliwe, co? – zapytała, pomagając mu usiąść i podpierając go poduszką. Podstawiła mu do ust szklanekę wina, a potem następną, z wodą.

– Tym razem było trudniej niż zwykle – przyznał. – Zbyt długo tego nie robiłem.

– I robisz coś takiego regularnie? – zapytała.

– Zazwyczaj codziennie. W ten sposób orientuję się w sytuacji.

– Co to są smokowce? – zapytała.

Spojrzał na nią ostro, po czym wzruszył ramionami.

– ZWS przerobiła jeden ze swoich okrętów tak, żeby mogły z niego startować wywerny i większe smoki – wyjaśnił. – Słyszałem o tym, ale nie spodziewałem się, żeby to zadziałało. Cóż, okazało się, że byłem w błędzie. Zniszczyli grupę, którą wysłaliśmy na Wyspy w celu przerwania ich negocjacji z syrenami. Teraz Chansa chce zbudować swoje smokowce do ochrony floty inwazyjnej.

– Co ty o tym myślisz? – zapytała Megan.

– Myślę, że w ten sposób zastosujemy się do ich reguł gry i to właśnie powiedziałem Chansie – odparł Paul. – W tej chwili dysponujemy praktycznie takimi samymi zasobami energii, więc nie możemy jej użyć przeciw nim. Ale samo zbudowanie własnych smokowców nie zapewni nam kontroli nad oceanami. Potrzebujemy czegoś, co pozwoli nam wyeliminować smoki. Kazałem mu skonsultować się z Celine w sprawie modyfikacji naszych smoków i zebrania grupy, która miałaby zastanowić się nad

unieszkodliwieniem ich bestii.

– Myślisz, że to się uda? – zapytała Megan, podając mu wodę.

– Musimy zdobyć Norau. – Paul wzruszył ramionami. – Jest tam pięć elektrowni. Próbowaliśmy wszystkiego, od przekupstwa do infiltracji grupami uderzeniowymi, ale większość jest dość daleko od wybrzeży i nie możemy skorzystać z teleportacji. Jeśli zdobędziemy elektrownie albo schwytemy tę sukę Sheidę Ghorbani, wojna się skończy. Ale to będzie... trudne. Uzbrowili wszystkich wieśniaków i każą im ćwiczyć z bronią. Choć są obszary, gdzie do tego nie doszło, bo Sheida jest zbyt głupia, żeby ich zmusić. Zamierzamy skupić atak na takich rejonach. Ale musimy najpierw tam dotrzeć, co oznacza kontrolę nad oceanem. A nic z tego nie wyjdzie, jeśli jeden smokowiec może zniszczyć sześć naszych jednostek, z czego pięć nawet go nie widziało. A tam nie było nawet pełnej obsady smoków.

– Czego boją się smoki? – rzuciła Megan. Już od dłuższego czasu żałowała, że nie ma żadnego sposobu przekazywania informacji drugiej stronie. To był wywiad operacyjny, rzeczy, na których podstawie można było działać. Zwłaszcza gdyby zdobyła plany przeciwdziałania. Musiała wymyślić jakiś sposób na szmuglowanie informacji. Musiało to być wykonalne.

– Nie wiem o niczym takim – odpowiedział, patrząc w przestrzeń w trakcie dostępu do Sieci. – Ich skrzydła składają się z włókien monomolekularnych, a więc nie da się ich w nie zranić. Choć brzuchy mają nie chronione. Powiedziałbym, że dobrze wymierzony pocisk z balisty powinien takiego załatwić.

– A dużo smoków? – zapytała Megan.

– Dużo pocisków – uśmiechnął się w odpowiedzi Paul. – To problem Chansy. Pozwolę mu znaleźć jakieś rozwiązanie.

– Kim jest Talbot? – zapytała teraz Megan. – Już o nim wspominałeś.

– Księżę Honorowy Karol lub Edmund, jak wolisz, pieprzony Talbot – odpowiedział Paul, krzywiąc się. – Był jednym z kochasiów Sheidy, zanim została członkinią Rady. Najwyraźniej porzucił ją dla jej siostry. Dowodzi teraz obroną wschodniego wybrzeża Norau i popłynął z misją do syren. Udało mu się podburzyć te Przemienione obrzydlistwa, bo zabili wszystko, co wysłał do Chansa. Chansa szaleje. Nie tylko stracił orki i krakena, ale dodatkowo w miarę kompetentnego agenta polowego i bardzo dobre źródło informacji. Wszystko dzięki pieprzonemu księciu Talbotowi.

Megan uznała, że bardzo chciałaby poznać „pieprzonego księcia Talbota” i serdecznie go ucałować.

– A reszta?

– Zakończyliśmy negocjacje z następcą następcy Minjie – powiedział z uśmiechem Paul. – Miałś genialny pomysł, moja droga. Pozwoliłem Celine wszystko przygotować. Z tego, co rozumiem, prawie starli już krew ze ścian. Wysłała do jego pokoi bardzo małego i trochę inteligentnego pająka. Kiedy był zajęty w łóżku, pajaczek ugryzł go i sparaliżował. Potem przyszła mamusia i dokończyła dzieła.

– Co stało się z dziewczyną? – zapytała poruszona Megan.

– Okazało się, że chłopcem – uściślił Paul. – Nic, pająki miały bardzo precyzyjne instrukcje. Wyraźnie poleciłem to Celine. W ten sposób było to znacznie bardziej groźne.

– Paul – powiedziała Megan, rozglądając się. – Nie mogę zagwarantować, że zauważę pająka.

– Ja bym zauważył, moja droga – uśmiechnął się Paul. – Nie aktywuję osobistego pola ochronnego, kiedy jestem z wami, ale nic nie może tu wejść ani stąd wyjść.

– Dostałam jedzenie i picie z kuchni – zauważyła Megan.

– Tylko dlatego, że rozluźniłem protokoły na tyle, żeby ci to umożliwić – odpowiedział Paul. – A sama kuchnia jest zamknięta. Sprawdzam też pomieszczenia pod kątem wszystkiego, co mogłoby być jednym z potworków Celine, nie wspominając o truciznach. A przy okazji, masz w laboratorium kilka bardzo uroczych substancji. Do czego potrzebujesz kwasu siarkowego?

– To odczynnik – wyjaśniła Megan. – Używam go do przetwarzania niektórych surowców tak, żeby dodać grupę siarczanową. Dzięki temu robią się bardziej lotne.

– Ach – rzucił Paul, patrząc w przestrzeń. – Właściwie większość rzeczy, których używasz do perfum jest w odpowiednim stężeniu trująca. – Spojrzał na nią i uśmiechnął się. – Ale oczywiście nie dla mnie. Potrzeba byłoby czegoś znacznie bardziej zaawansowanego niż koncentrat płatków różanych.

– Zdarzało się, że ludzie umierali od zatrucia kosmetykami. – Megan wzruszyła ramionami. – Metale ciężkie. I od malowania. Malarze nie zawsze zaczynali jako szaleńcy, ale jeśli dość długo lizać pędzle pokryte cynobrem, który zawiera mnóstwo rtęci, w mózgu się poprzestawia. Nie wspominając o zółci z ołowiem.

Paul znów przybrał nieobecny wyraz twarzy, po czym się uśmiechnął. I – Jesteś kopalnią wiedzy, skarbie.

– Lubię chemię – stwierdziła Megan i wzruszyła ramionami. Oczywiście głównie pod kątem ekspertyz śledczych, ale tego nie musiała dodawać. –

Połowa chemii to wiedza, czego nie połykać.

Paul ziewnął i posłał jej uśmiech.

– Dam radę przekonać cię do przytulenia się do mnie? – zapytał, klepiąc poduszki. – Tak po prostu, jak dwoje ludzi cieszących się ze swojej bliskości? Nie jedna z dziewcząt, które uważają, że muszą... mnie obsłużyć. Po prostu... przyjaciele?

– Tak, Paul – powiedziała, kładąc się w jego ramionach. – Myślę, że możemy to zrobić.

– Zawsze dla mnie śpiewaj – wymamrotał już na skraju snu.

– Zawsze, ukochany – wyszeptała. Póki śmierć nas nie rozłączy.